

AUTOR BESTSELLEROWEGO *SEKRETU FREUDA*, SPRZEDANEGO
W NAKŁADZIE PONAD MILIONA EGZEMPLARZY!

INSTYNYKT ŚMIERCI



Jed Rubenfeld

1920 rok. To właśnie bomba, która zniszczyła Wall Street w 1920 roku, eksploduje na pierwszych stronach *Instynktu śmierci*. Weteran wojenny doktor Stratham Younger i kapitan James Littlemore z nowojorskiej policji znajdują się na Wall Street pamiętnego dnia wybuchu. Towarzyszy im piękna Colette Rousseau, francuska specjalistka w dziedzinie radiochemii, którą Younger poznał, walcząc we Francji podczas I wojny światowej. Kilka niewytłumaczalnych ataków na Colette, tajemnica schowana w jej przeszłości i tajemnicze fakty, odkryte przez Youngera, stają się dla trójki bohaterów początkiem fascynującej podróży, która poprowadzi ich do Paryża i Pragi; z salonu wiedeńskiego domu Zygmunta Freuda zabierze ich na korytarze władzy w Waszyngtonie, by w końcu odkryć przed nimi ukryte pokłady naszych najokrutniejszych instynktów.

„Rubinfeld oczaruje czytelników, pozwalając bohaterowi *Sekretu Freuda*, doktorowi Strathamowi Youngerowi, rozwikłać zagadkę zamachu bombowego na Wall Street, zagadkę, której prawdziwym władzom nigdy nie dane było rozwiązać”.

Publishers Weekly

„Świetnie pomyślana i przyprawiająca o solidne dreszcze. , Spora część fikcji i prawdy otaczających zamach z 1920 roku jest równie aktualna dziś, co prawie wiek temu”.

USA Today

„Solidna dawka intrygi i fałszywych tropów oraz finał, którego nie sposób przewidzieć”.

The New York Times

„Inteligentna, wciągająca i skłaniająca do refleksji”.

The Seattle Times

Jed Rubinfeld

INSTYNYKT ŚMIERCI

Z języka angielskiego przełożył Paweł Cichawa

Tytuł oryginału: THE DEATH INSTINCT

Moim wyjątkowym córkom

Sophii i Louisie

Pięknego wrześniowego dnia centrum finansowe Stanów Zjednoczonych na dolnym Manhatanie stało się celem potężnego ataku terrorystycznego, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczone na amerykańskiej ziemi. Był rok 1920. Choć przeprowadzono wówczas śledztwo na skalę bez precedensu w historii USA, tożsamość sprawców do dziś pozostaje tajemnicą.

CZĘŚĆ

Pierwsza

ROZDZIAŁ

Pierwszy

Śmierć jest ledwie początkiem. Dopiero potem przychodzi najtrudniejsze.

Są trzy sposoby by żyć ze świadomością śmierci, zapanować nad przerażeniem, które ona wzbudza. Pierwszym jest wyparcie: zapomnij, że śmierć nadejdzie; zachowuj się tak, jakby w ogóle nie istniała. Tak właśnie większość z nas radzi sobie z tym problemem. Drugi sposób to odwrotność pierwszego: *memento mori*. Pamiętaj o śmierci. Licz się z nią w każdej chwili, bo życie najlepiej smakuje wtedy, gdy człowiek jest przekonany że zostało go niewiele. Trzecią metodą jest akceptacja. Człowiek, który akceptuje śmierć - akceptuje naprawdę - niczego się nie boi, a to pozwala mu zachować najwyższy spokój w obliczu każdej straty. Te trzy strategie mają wspólny mianownik: wszystkie są kłamstwem. Przerażenie jest przynajmniej uczciwe.

Istnieje jednak jeszcze jeden sposób, czwarte wyjście. To niedopuszczalna droga, o której żadnemu człowiekowi nie wolno mówić, nawet gdy w ciszy prowadzi wewnętrzny dialog z samym sobą. Nie wymaga ona zapomnienia, kłamstwa ani płaszczenia się przed tym, co nieuniknione. Wymaga tylko instynktu.

•••

W południe 16 września 1920 roku, gdy zabiły dzwony kościoła Świętej Trójcy, wszystkie drzwi przy Wall Street, jak za pociągnięciem sznurka, otworzyły się pod naporem urzędników i gońców, sekretarek i stenografek wyrrywających się na upragnioną godzinę lunchu. Wylegli oni tłumnie na ulicę, by przepłynąć obok samochodów i ustawić się w kolejkach do ulubionych sprzedawców, w jednej chwili zapelniając ruchliwe skrzyżowanie ulic Wall, Nassau i Broad, w świecie finansów znane jako Comer, a więc po prostu Róg. Tam stał budynek Departamentu Skarbu, z grecką fasadą strzeżoną przez odlanego z brązu Jerzego Waszyngtona w monarszej pozie. Tam wznoszą się białe kolumny budynku Giełdy Nowojorskiej. Tam J. P. Morgan zwieńczył kopułą fortecę swojego banku.

Przed jego właśnie bankiem stuknęła kopytem o bruk stara gniada kobyła zaprzęzona do przeladowanego, przykrytego brezentem i blokującego ruch wozu bez woźnicy. Za nim trąbiły gniewnie klaksony. Tęgi taksówkarz wysiadł zza kierownicy z rękami wzniesionymi do góry, wzywając pomsty niebios. Zaskoczony dziwnym stłumionym dźwiękiem dobywającym się z wozu przyłożył ucho do brezentu i usłyszał charakterystyczny dźwięk: tykanie.

Kościelny dzwon kończył wybijać południe. Nie wybrzmiało jeszcze ostatnie donośne uderzenie, gdy zaciekawiony taksówkarz podniósł róg sfatygowanego brezentu i zobaczył, co leży pod nim. W tym momencie wśród przepychających się tysięcy przechodniów tylko cztery osoby wiedziały, że śmierć się szykuje, by zebrać krwawe żniwo na Wall Street: taksówkarz, rudowłosa kobieta przechodząca obok, nieobecny

woźnica i Stratham junior, który niespełna pięćdziesiąt metrów dalej rzucił na ziemię policyjnego detektywa i młodą Francuzkę.

Taksówkarz wyszeptał: „Panie, zmiłuj się nad nami!”.

Wall Street eksplodowała.

• • •

Dwie kobiety, niegdyś najlepsze przyjaciółki, spotykające się znów po latach rozłąki, krzyczą z niedowierzaniem, obejmują się i narzekają na okrutny los, i od razu uzupełniają sobie nawzajem wiedzę o minionych chwilach, by odmalować je z całą żywością barw i odcieni, na jaką mogą się zdobyć. Dwaj mężczyźni w takich samych okolicznościach nie mają sobie nic do powiedzenia.

O jedenastej przed południem tamtego dnia, godzinę przed eksplozją, Younger i Jimmy Littlemore uścisnęli sobie dłonie na Madison Square, trzy kilometry na północ od Wall Street. Dzień był wyjątkowo piękny jak na tę porę roku, bez jednej chmurki na błękitnym niebie. Younger wyjął papierosa.

- Kawał czasu, doktorze - stwierdził Littlemore.

Younger potarł zapalką o draskę, przypalił i skinął głową.

Obydwaj mężczyźni przekroczyli trzydziestkę, a każdy prezentował inny typ urody. Littlemore, detektyw policji miejskiej Nowego (orku, należał do ludzi, których z trudnością się rozpoznawało w tłumie: średni wzrost, średnia waga i niewyróżniający się kolor włosów. Nawet rysy jego twarzy łączyły typową dla Amerykanów otwartość i prostoliniowość ze zdrowym wyglądem. Younger z kolei zwracał na siebie uwagę. Był wysoki, pięknie się poruszał; jego ogorzała twarz mimo drobnych defektów skóry należała do tych, które podobają się kobietom. Krótko mówiąc, doktor przyciągał większą uwagę niż detektyw, ale wzbudzał mniej życzliwości.

- Jak praca? - zapytał Younger.

- Jak to praca - odparł Littlemore, leniwie poruszając trzymaną w ustach wykałaczką.

- A rodzina?

- Jak to rodzina.

Kolejna różnica między nimi dwoma także była doskonale widoczna. Younger walczył na froncie, Littlemore nie.

Younger, porzuciwszy praktykę lekarską w Bostonie i badania naukowe na Harvardzie, zaciągnął się, gdy tylko Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny w 1917 roku. Littlemore też by się zgłosił, gdyby nie miał na utrzymaniu żony i liczne potomstwa.

- To dobrze - ocenił Younger.

- Powiesz mi w końcu, czy mam użyć łomu, by to z ciebie wydobyć?

Younger się zaciągnął.

- Użyj łomu.

- Dzwonisz do mnie po tylu latach, twierdzisz, że masz do mnie sprawę, i teraz nie zamierzasz mi sam tego powiedzieć?

- To tutaj odbyła się wielka parada zwycięstwa, prawda?

- Younger spojrzał na Madison Square Park z jego zielenią, pomnikami i ozdobną fontanną. - Co się stało z łukiem?

- Rozebrali.

- Dlaczego tak wielu mężczyzn chciało umrzeć?
 - Kto chciał? - dopytywał się Littlemore.
 - To bezsensowne. Z punktu widzenia ewolucji - Younger przeniósł wzrok z powrotem na Littlemore'a. - To nie ja chcę z tobą porozmawiać, tylko Colette.
 - Ta panienka, którą przywiozłeś z Francji?
 - Powinna się pojawić lada moment. Jeśli nie zabłądziła.
 - Jak ona wygląda? - zainteresował się Littlemore.
- Younger zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.
- Jest ładna - stwierdził. I zaraz dodał: - Już idzie.

Niedaleko od nich na Piątej Alei zatrzymał się piętrowy autobus. Littlemore odwrócił się i z wrażenia omal nie wypadła mu z ust wykałaczką. Po zewnętrznych spiralnych schodach stapała dziewczyna w cienkim trenczu. Mężczyźni podeszli ją powitać.

Colette Rousseau cmoknęła Youngera w oba policzki, po czym wyciągnęła szczupłą dłoń do Littlemore'a. Miała zielone oczy, pełne gracji ruchy i długie ciemne włosy.

- Miło mi poznać panienkę - wybąkał detektyw, dzielnie usiłując dojść do siebie. Obrzuciła go spojrzeniem.

- A więc Jimmy to pan - odparła, nadal mu się przyglądając. - Najlepszy i najodważniejszy człowiek, jakiego Stratham kiedykolwiek znał.

Littlemore mrugnął powiekami.

- Tak powiedział?
- Powiedziałem jej też, że twoje dowcipy nie są śmieszne - dodał Younger.

Colette zwróciła się do niego:

- Żałuj, że cię nie było w klinice radioterapii. Wyleczyli mięsaka. Twardziel też. Jak to możliwe, że mały szpital w Ameryce ma aż dwa gramy radu, podczas gdy w całej Francji nie zbierze się nawet jednego?

- Zjemy lunch? - zaproponował Younger.

•••

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej w miejscu, gdzie Colette wysiadła z autobusu, nad Piątą Aleją rozpinał się monumentalny potrójny łuk. W marcu 1919 roku wielkie tłumy wiwatowały na cześć powracających z wojny żołnierzy którzy paradowali pod łukiem triumfalnym, wzniesionym na wzór rzymskich, dla uczczenia zwycięstwa kraju w wielkiej wojnie. Wiły się wstęgi, latały balony, huczały armatnie salwy i - ponieważ prohibicja jeszcze nie zaczęła obowiązywać - strzelały korki od butelek z szampanem.

Ale żołnierze, którym zgotowano tak entuzjastyczne powitanie, już następnego ranka obudzili się w mieście, które nie miało dla nich pracy. Wzrost koniunktury w czasie wojny zamienił się w powojenny krach gospodarczy. Okna jeszcze niedawno tętniących pracą fabryk zabite zostały deskami. Pozamykano sklepy. Obrót gruntami całkowicie ustał. Rodziny znalazły się na ulicy, nie mając gdzie się podziać.

Łuk miał być wzniesiony z marmuru, ponieważ jednak taka ekstrawagancja okazała się zbyt kosztowna, zbudowano go z drewna i gipsu. Kiedy pogoda się zepsuła, farba zaczęła obłazić, a konstrukcja pękać. Łuk wyburzono przed zimą - mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zostały zdelegalizowane napoje wysokokowe.

Olbrzymi oślepiająco biały łuk przyprawiał o upiorny dreszcz przechodniów na Madison Square. Także Colette poczuła się nieswojo; wydawało się jej nawet, że ktoś ją obserwuje i postanowiła to sprawdzić. Obejrzała się jednak w złą stronę, pominawszy

Piątą Aleję, gdzie zza pędzących samochodów i grzechoczących omnibusów para oczu naprawdę się w nią wpatrywała.

Były to oczy samotnej kobiety z zapadniętymi policzkami i bladą twarzą, wychudzonej tak bardzo, że nie mogłaby zagrozić nawet dziecku - przynajmniej sądząc po wyglądzie. Chusta niemal całkowicie zakrywała jej zniszczone włosy, a znoszona sukienka sięgała kostek wedle mody z poprzedniego stulecia. Nie dało się określić jej wieku: mogła być niewinną czternastolatką albo kościstą matroną po pięćdziesiątce. Te oczy miały jedną szczególną cechę: na bladym błękicie tęczywek widniały brązowożółte plamki - niczym trupy unoszące się na spokojnym morzu.

Wśród pojazdów uniemożliwiających tej kobiecie przejście na drugą stronę Piątej Alei znalazł się wóz ciągnięty przez konia. Ze spokojem spojrzała na niego. Kłusujący koń dostrzegł ją kątem oka. Stał w miejscu i zaczął się cofać. Woźnica krzyknął. Samochody uciekały na boki z piskiem opon. Nie doszło do stłuczki, ale między pojazdami zrobiła się wyraźna przerwa. Kobieta przeszła przez Piątą Aleję bez przeszkód.

• • •

Littlemore zaprowadził ich do stojącego przy wejściu do metra wózka ulicznego sprzedawcy proponując, żeby zjedli po hot dogu. Obydwaj mężczyźni musieli wyjaśnić młodej Francuzce, z czego przygotowuje się tę kulinarną nowinkę.

- Będzie panience smakowało, daję słowo - zapewnił Littlemore.
- Czyżby? - zapytała z niedowierzaniem.

Znalazszy się po drugiej stronie Piątej Alei, kobieta w chustce na głowie położyła pokrytą niebieskimi żyłami dłoń na brzuchu. Niewątpliwie był to umówiony znak lub komenda. Fontanna w pobliskim parku przestała strzelać strumieniami. Kiedy ostatnie krople wody opadły do zbiornika, w polu widzenia pojawiła się kolejna rudowłosa kobieta, podobna do pierwszej niemal jak lustrzane odbicie - była tylko trochę mniej blada i mniej wychudzona, a jej niezakryte włosy powiewały na wietrze. Także ona położyła dłoń na brzuchu. W drugiej trzymała ogromne nożyce z dużymi zakrzywionymi ostrzami. Ruszyła w stronę Colette.

- Może chce panienska ketchupu? - zaproponował Littlemore. - Większość je z musztardą, ale ja jestem zwolennikiem ketchupu. Proszę bardzo.

Colette niezgrabnie wzięła od niego hot doga.

- Dobrze, spróbuję - stwierdziła.

Trzymając bułkę obydwoma rękami, ugryzła. Mężczyźni patrzyli. Patrzyły też dwie rudowłose niewiasty nadchodzące z dwóch różnych stron - i trzecia, stojąca pod masztem flagowym na Broadwayu, także ruda, która oprócz chustki na głowie miała szyję owiniętą kilka razy szarym wełnianym szalem.

- Ależ to smaczne! - wykrzyknęła Colette. - Co jeszcze pan położył na swoją bułkę?

- Kapustę kiszoną - wyjaśnił Littlemore. - To kapusta, którą się...
- Ależ ona wie, co to kapusta kiszona - przerwał mu Younger.
- Chce pani trochę? - zapytał Littlemore.
- Tak, proszę.

Kobieta spod masztu oblizwała wargi. Nowojorczyści przechodzili obok w pośpiechu, nie zwracając na nią uwagi i zupełnie nie zauważając szala, którego przecież wcale nie

wymagała pogoda i który nienaturalnie odstawał od szyi. Kobieta podniosła dłoń do ust. Zniszczone palce dotknęły rozchylnych warg. Ruszyła w stronę Francuzki.

- Pojedźmy do centrum - zaproponował Littlemore.
- Chciałaby panienka zobaczyć Most Brookliński?
- Bardzo - wyznała Colette.
- Proszę więc za mną - komenderował detektyw, rzucając sprzedawcy dwa

drobniaki napiwku i wchodząc na schody do metra. Sięgnął do kieszeni. - A niech to! Potrzebujemy jeszcze jednej pięciocentówki.

Słyszając to, sprzedawca hot dogów zaczął grzebać w pudełku z monetami. W tej samej chwili zauważył, że trzy dziwnie podobne do siebie postacie zbliżają się do jego wózka. Pierwsze dwie szły ramię w ramię - ich dłonie ocierały się o siebie. Trzecia nadciągała z przeciwnego kierunku, przytrzymując gruby wełniany szal wokół szyi. Długi widelec wyślizgnął się z ręki sprzedawcy i zniknął w garnku z wrzącą wodą. Mężczyzna zmarł, zapominając o szukaniu pięciocentówki.

- Mam jedną - stwierdził Younger.
- To idziemy - zarządził Littlemore i zbiegł ze schodów. Colette i Younger ruszyli za nim. Mieli szczęście: skład do miasta właśnie wjeżdżał na stację. Wsiadli. Pociąg ruszył, zatrzymał się jednak, zanim opuścił peron. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, zamknęły z trzaskiem, a potem znów otworzyły. Widocznie jacyś spóźnieni pasażerowie przekonali konduktora, żeby ich wpuścił do wagonu.

• • •

Po wąskich arteriach dolnego Manhattanu Younger, Colette i Littlemore, którzy wysiedli przy ratuszu, poruszali się, przesuwani kapilarnym ruchem tłumu. Younger wciągnął powietrze głęboko w płuca. Uwielbiał to rojne miasto, jego determinację i przebojowość. Zawsze był pewny siebie. Mógł się pochwalić dobrym urodzeniem - jak na Amerykanina: przez matkę, z domu Schermerhorn, skoligacony z nowojorską rodziną Fishów, przez ojca natomiast z bostońskimi Cabotami. Ten szlachetny rodowód był mu już kompletnie obojętny, choć jako młody chłopak się nim brzydził. Poczucie wyższości, tak powszechne w jego grupie społecznej, wydawało mu się kompletnie bezzasadne; robił wszystko na przekór oczekiwaniom swoich bliskich - aż do nocy, kiedy zmarł jego ojciec. Życiem Youngera zawładnęła wówczas konieczność, musiał zmierzyć się z realnym światem i kwestia pochodzenia społecznego przestała go zupełnie interesować.

Tamte dni jednak dawno przeminęły, zepchnięte latami niezmordowanej pracy, sukcesów i wojny Teraz, w ten nowojorski poranek, czuł się niemal jak niezniszczalny superbohater. Uczucie to, jak sądził, wynikało wyłącznie ze świadomości, że żaden snajper nie leży w kryjówce, trzymając na muszce jego głowę, i że żadna kula nie wykrzykuje w powietrzu świszczącej komendy, by padł na ziemię. Niewykluczone jednak, że było odwrotnie: nowojorskie powietrze przesiąknięte przemocą tak silnie, że weteran wojennych zmagani oddychał nim swobodnie, czuł się tu jak ryba w wodzie, wciąż prężąc mięśnie nawykłe do zabijania bez skrupułów i nie czując się przy tym potworem ani odmieńcem.

- Mam zacząć? - zwrócił się Colette. Po ich prawej stronie wyrastały niewyobrażalnie wysokie drapacze chmur. Po lewej nad rzeką Hudson zawisł Most Brookliński.

- Nie, sama to zrobię - odparła. - Przepraszam, że zabieram panu tyle czasu, Jimmy.

Powinnam od razu powiedzieć panu, o co chodzi.

- Nie żałuję tego czasu, panienko - zapewnił Littlemore.
- To zapewne nic takiego, ale wczoraj wieczorem szukała mnie w hotelu jakaś dziewczyna. Nie było nas, zostawiła więc wiadomość. Oto ona. - Colette wyjęła z torebki pomięty skrawek papieru, na którym pospiesznie skreślono kilka słów:

Muszę się z Panią zobaczyć. Proszę nie odmawiać. Oni wiedzą, że Pani ma rację. Wróć tu jutro rano o siódmej trzydzięci. Proszę mi pomóc.

Amelia.

- Nie przyszła - dodała Colette.
- Zna pani tę Amelię? - zapytał Littlemore, odwracając kartkę i nie znajdując niczego na drugiej stronie.

- Nie.

- „Oni wiedzą, że Pani ma rację”? - zacytował Littlemore.

- W czym?

- Nie mam pojęcia.

- fest coś jeszcze - wtrącił Younger.

- Właśnie. Niepokoi nas to, co zawinęła w tę karteczkę - podjęła Colette, przeszukując torebkę. Wręczyła detektywowi biały wacik.

Littlemore rozsunął watę. Pośrodku białej kulki leżał mały błyszczący ludzki ząb trzonowy.

Nagle usłyszeli grad przekleństw. Kierowano je pod adresem uczestników pochodu na Liberty Street, którzy zatrzymali ruch uliczny. Maszerowali sami czarni w niedzielnych ubraniach - obszarpanych niedzielnych ubraniach, z rękawami przeważnie za krótkimi - choć przecież był środek tygodnia. Między rodzicami dreptały boso chude dzieci. Większość manifestantów śpiewała; ich pieśni nie zdołały zagłuszyć gniewne okrzyki kierowców i drwiny gapiów.

- Stać! - krzyknął policjant, dzieciak jeszcze, do pomstującego kierowcy.

Littlemore, przeprosiwszy Youngera i Colette, podszedł do policjanta.

- Co tu robisz, Boyle? - zapytał.

- Przysłał nas kapitan Hamilton - wyjaśnił Boyle. - Ze względu na marsz czarnuchów.

- Kto patroluje ulice przy giełdzie?

- Melduję, że nikt. Wszyscy jesteśmy tutaj. Mam zatrzymać ten pochód? Wygląda na to, że się skończy kłopotami.

- Niech pomyślę - Littlemore podrapał się w głowę. - Co byś zrobił, gdyby w dniu Świętego Patryka jacyś czarni przeszkadzali w paradzie? Zatrzymałbyś parady?

- Zatrzymałbym czarnych. Zatrzymałbym ich, że aż hej!

- Dzielnny chłopak! Zrób więc to samo teraz.

- Tak jest. Dobra, wy tam! - krzyknął posterunkowy Boyle w kierunku demonstrujących i wyciągnął pałkę poli cyjną. - Wynocha z ulicy, i to wszyscy!

- Boyle! - skarcił go Littlemore.

- Tak jest!

- Nie czarnych.

- Ale powiedział pan...

- Masz powstrzymać tych, którzy przeszkadzają w paradzie, a nie uczestników! Samochody przepuszczaj co dwie minuty. Ci ludzie mają takie samo prawo do

demonstracji jak wszyscy.

- Tak jest!

Littlemore wrócił do Youngera i Colette.

- Zgadzam się, że ząb jest trochę dziwny - stwierdził.

- Po co ktoś miałby pani przekazywać ząb?

- Nie mam pojęcia.

Podjęli przerwany spacer po centrum. Littlemore podniósł ząb do światła i obrócił go, oglądając.

- Wygląda na zdrowy. Po co? - Ponownie obejrzał liścik. - Tu nie ma pani nazwiska ani imienia. Może to wcale nie do pani?

- Recepcjonista twierdził, że dziewczyna pytała o pannę Colette Rousseau - wtrącił Younger.

- Może ktoś nosi podobne nazwisko? - zasugerował Littlemore. - Hotel Commodore jest dość duży. Czy pracuje tam jakiś dentysta?

- W hotelu? - upewniała się Colette.

- Skąd wiesz, że zatrzymaliśmy się w hotelu Commodore?

- Zapalki firmowe. Podpalałeś nimi papierosa.

- Te okropne zapalki! - wtrąciła Colette. - Luc na pewno się teraz nimi bawi. Luc to mój braciszek. Ma dziesięć lat, a Stratham pozwala mu się bawić zapalkami.

- Podczas wojny ten chłopiec rozkładał na części granaty ręczne - powiedział Younger do Colette. - Nic mu się nie stanie.

- Mój najstarszy syn ma dziesięć lat. Jimmy junior, ma imię po mnie - pochwalił się Littlemore. - Czy pani rodzice też przyjechali?

- Jesteśmy sami. Nasi rodzice zginęli w czasie wojny - wyjaśniła.

Dochodzili właśnie do finansowego centrum miasta, z granitowymi fasadami oszalałymi drapaczy chmur. Maklerzy w trzyczęściowych garniturach prowadzili aukcję papierów wartościowych w promieniach wrześniego słońca niczym uliczni sprzedawcy.

- Przykro mi, panienko - rzucił Littlemore - z powodu pani rodziców.

- Nic wyjątkowego. Nie oni jedni. Ginęą całe rodziny. My z bratem mamy szczęście, że przeżyliśmy.

Littlemore zerknął na Youngera, który wyczuł jego spojrzenie, ale nie dał tego po sobie poznać. Younger wiedział, nad czym Littlemore się zastanawia: jak można stwierdzić, że utrata rodziny to nic wyjątkowego? Ale Littlemore nie widział wojny Szli w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach, i dlatego żadne z nich nie usłyszało stworzenia nadciągającego od tyłu. Nawet Colette zorientowała się dopiero wtedy, kiedy poczuła gorący oddech na karku. Wzdrygnęła się i krzyknęła przerażona.

Był to koń, stara gniada kobyła parszająca z wysiłku, jakiego wymagało od niej ciągnięcie zniszczonego, przeładowanego drewnianego wozu. Colette, z ulgą i pełną skruchy, potarła ucho. Klacz z wdzięczności poruszyła nozdrzami. Woźnica syknął, kłując ją w bok trzonkiem bata. Colette szybko cofnęła dłoń. Przykryty brezentem wóz minął ich, klekocząc na bruku Nassau Street.

- Mogę o coś zapytać? - odezwał się Littlemore.

- Proszę - zgodziła się Colette.

- Kto w Nowym Jorku wie, gdzie się zatrzymaliście?

- Nikt.

- A ta starsza kobieta, którą odwiedziliście dziś rano? Ta z mnóstwem kotów, która wszystkich obściskuje.

- Pani Meloney? Nie mówiłam jej, w którym hotelu...

- Skąd o tym wiesz? - wpadł jej w słowo Younger, wyjaśniając: - Nie wspominałem mu o wizycie u pani Meloney.

Zbliżali się do skrzyżowania ulic Nassau, Broad i Wall, finansowego centrum Nowego Jorku, a prawdopodobnie nawet całego świata.

- To raczej oczywiste. Obydwoje macie na butach kocią sierść - wyjaśnił Littlemore. - A ty, doktorze, także na mankietach spodni. To różne rodzaje sierści, wiem zatem, że obydwójce odwiedziliście dziś rano miejsce, gdzie jest wiele kotów. Ale panią ma dodatkowo na ramieniu długi siwy włos, tym razem ludzki. Stąd wniosek, że koty należą do starszej kobiety, że dziś rano obydwójce ją odwiedziliście i że nie skąpi ona uścisków, ponieważ właśnie w taki sposób...

- Dobrze, już dobrze - przerwał mu Younger.

Przed bankiem Morgana wóz konny się zatrzymał. Rozbrzmiały dzwony kościoła Świętej Trójcy i ulice zapełniły tysiące urzędników wypuszczonych z biur na cenną godzinę lunchu.

- W każdym razie - podjął Littlemore - Amelia najprawdopodobniej szukała kogoś innego, a recepcjoniście coś się pomyliło.

Klaksony roztrąbiły się ze złością za stojącym na ulicy wozem, którego woźnica gdzieś przepadł. Na schodach gmachu delegatury Departamentu Skarbu stała samotnie rudowłosa kobieta w chustce na głowie, omiatając tłum czujnym, choć spokojnym spojrzeniem.

- Ale wszystko zdaje się wskazywać, że owa Amelia ma jakieś kłopoty - ciągnął Littlemore. - Pozwoli mi panią zatrzymać ten ząb?

- Tak, proszę - zgodziła się Colette.

Littlemore wsunął kulkę waty do kieszeni. Na Wall Street za wozem konnym tęgi mężczyzna wysiadł zza kierownicy taksówki z rękami wzniesionymi do góry, wzywając pomsty niebios.

- Zadziwiające, jak niewiele się tu zmieniło - stwierdził Younger. - Europa wróciła do średniowiecza, w Ameryce natomiast czas zrobił sobie wakacje.

W kościele Świętej Trójcy nadal rozbrzmiewały dzwony. Niespełna pięćdziesiąt metrów przed Youngerem taksówkarz usłyszał dziwny dźwięk dobiegający z przykrytego brezentem wozu, a w oczach rudowłosej kobiety, stojącej na schodach prowadzących do delegatury Departamentu Skarbu, pojawiły się zimne błyski. Dostrzegła Colette i ruszyła w dół. Ludzie odruchowo ustępowali jej z drogi.

- Nie zgadzam się z tobą - zaprotestował Littlemore. - Wszystko jest teraz inne. W mieście zrobiło się niespokojnie.

- Dlaczego? - zaintrygowała się Colette.

Younger już ich jednak nie słyszał. W jednej chwili przeniósł się z Nowego Jorku do Francji, gdzie próbował ocalić życie jednorekiego żołnierza w okopie po kolana wypełnionym lodowatą wodą, podczas gdy powietrze przeszywały przenikliwe, coraz głośniejsze śmiertelne świsty przelatujących pocisków.

- Brak pracy, brak pieniędzy, eksmisje na bruk, strajki i zamieszki, a teraz jeszcze dołożyli prohibicję - wyjaśnił Littlemore.

Younger spozjrzał na Colette i Littlemore'a; oni nie słyszeli świstu pocisków

artyleryjskich. Nikt go nie słyszał.

- Prohibicję - powtórzył Littlemore. - To najgorsze, co mogło się przytrafić temu krajowi.

Przed bankiem Morgana zaciekawiony taksówkarz odchylił jeden róg zżartej przez mole plandeki. Rudowłosa kobieta, która właśnie przechodziła obok, zatrzymała się zaciekawiona. Źrenice jej bladoniebieskich oczu rozszerzyły się, gdy przeniosła wzrok na taksówkarza, który wyszeptał: „Panie, zmiłuj się nad nami!

- Padnij! - wrzasnął Younger, rzucając nierozumiejących niczego Littlemore'a i Colette na kolana.

Wall Street eksplodowała.

ROZDZIAŁ

Drugi

Younger, który był świadkiem kanonady pod Chateau-Thierry, nigdy nie słyszał tak głośnego wybuchu. Huk był dosłownie ogłuszający: nastąpił wstrząs, po czym wszystko wokół zamilkło.

Pulsująca, złowieszcza niebieskoczarna chmura żelaza i dymu wypełniła całą przestrzeń. Niczego oprócz niej nie dało się zobaczyć. Nie dało się też stwierdzić, co się dzieje z ludźmi, których spowiła.

Z tej ciężkiej chmury wyłoniła się taksówka. Jednak auto nie stało na ulicy. Unosiło się w powietrzu.

Younger, na kolanach, patrzył, jak taksówka wystrzeliła w niebo z kłębow dymu niczym pocisk z haubicy, by następnie zastygnąć w nieprawdopodobnym bezruchu. Przez krótką chwilę w absolutnej ciszy auto wisiało nieruchomo dobre sześć metrów nad ziemią. Później kontynuowało lot, ale tym razem powoli, niesamowicie wolno, jakby eksplozja pozbawiła świat nie tylko dźwięków, ale i prędkości. Wszystko, co dostrzegł Younger, poruszało się w tempie stanowiącym ledwie ułamek zwykłej prędkości. Nad jego głową taksówka obracała się wokół własnej osi lekko, po cichu, zmierzając prosto na Youngera, Littlemore'a oraz Colette i z każdą sekundą stawała się coraz większa.

W tym momencie siła uderzenia powaliła Littlemore'a i Colette na plecy. Tylko klęczący między nimi Younger, który wiedział, że po wybuchu nastąpi podmuch powietrza, i silnie się zaparł, utrzymał się w pionie, obserwując wyłaniające się z dymu zniszczenia i wirującą taksówkę lecącą prosto na nich. Gdzieś, jakby w oddali, usłyszał krzyk Littlemore'a, żeby paść na ziemię; Younger jednak tylko pochylił głowę, kiedy auto przelatywało nie więcej niż kilkanaście centymetrów nad nim. Potem taksówka delikatnie opadła na ziemię za jego plecami - bez pośpiechu i bezdźwięcznie - wpadła w poślizg, przekoziółkowała, uderzyła w słup latarni i stanęła w płomieniach.

Potem odłamki. Kawałki żelaza powoli rwały powietrze, zostawiając za sobą wyraźną turbulencję, jakby poruszały się w wodzie. Younger patrzył na metalowe pociski rozgrzane do czerwoności, jak cicho niszczą ciągnięte przez sprzedawców wózki i z nieskończoną cierpliwością rozdzierają ludzkie ciała. Zdawał sobie sprawę, że oko człowieka nie potrafi dostrzec rzeczy, które dzieją się tak szybko, a przecież je widział.

Chmura ciemnego dymu przybrała kolor burzowy i uniosła się nad ziemię. Szła w górę wyżej i wyżej, co najmniej trzydzieści metrów, formując wielki grzyb, który zakrył słońce. Wewnątrz niej i na krawędziach błyskały płomienie.

Spod dymu powoli wyłaniała się ulica. Pograżona w ciemności, choć przecież ledwie minęło południe. I padał śnieg. Skąd śnieg? „Miesiąc, usiłował sobie przypomnieć Younger, jaki mamy miesiąc?”

To nie śnieg, tylko szkło. Szyby w oknach wszystkich okolicznych budynków popękały do wysokości dwudziestego piątego piętra i spadały teraz białym deszczem

małych odłamków i poszczerbionych kryształków szkła. Ładowały miękko na przewróconych samochodach. Na małych kupkach gliny i płomieni, które kilka sekund wcześniej były kobietami albo mężczyznami. Na ludziach, którzy stali z płonącymi włosami albo ubraniami, i na innych, setkach innych, usiłujących stąd uciec, zderzających się ze sobą, ociekających krwią. Ludziach z otwartymi ustami, którzy próbowali krzyczeć, nie mogli jednak dobyć z siebie głosu. A wszyscy ledwie się poruszali: w podobnym do sennych marzeń spowolnionym świecie, który obserwował Younger, wyglądało to tak, jakby wszyscy rozpaczliwie usiłowali oderwać podeszwy butów przyklejone do stopionego chodnika.

Nagle gęsta płonąca chmura nad ich głowami rozprysnęła się niczym olbrzymi fajerwerk. Kurz i odłamki wciąż zalegały w powietrzu, ale szklany deszcz ustał. Dźwięk i ruch powróciły do świata.

• • •

Kiedy stanęli na nogi, Littlemore wypluł spomiędzy warg złamaną wykałaczkę, lustrując wzrokiem chaos panujący wszędzie wokół.

- Pomożesz mi, doktorze? - zapytał.

Younger skinął głową. Odwrócił się do Colette z pytaniem w oczach. Ona także skinęła głową potakująco.

- Idziemy! - zdecydował Younger.

Cała trójka rzuciła się w osłupiały tłum.

• • •

Pośrodku tej jatki wszędzie leżały ciała, bez żadnej logiki ani porządku. W powietrzu unosiły się drobinki piachu i tłące się skrawki papieru. Ludzie, potykając się, z krzykiem wybiegali z budynków kaszlący, poważnie poparzeni. Ze wszystkich stron dochodziły krzyki, wołanie o pomoc i dziwne syczenie - rozgrzany metal zaczynał stygnąć.

- Jezusie, Maryjo! - jęknął Littlemore.

Younger przykucnął obok młodej kobiety, która klęczała pochylona, jakby w modlitwie. Obok niej leżały nożyce. Chciał jej coś powiedzieć, ale zamilkł. Colette krzyknęła: kobieta nie miała głowy.

Littlemore wszedł głębiej w tłum, szukając czegoś. Younger i Colette podążyli za nim. Nagle natrafili na otwartą przestrzeń, pusty okrąg na chodniku - tak gorący, że nikt nie odważył się na niego wejść. Przypominające krater zagłębienie miało średnicę mniej więcej pięciu metrów, było czarne, połyskujące, dymiące, bez żadnych pęknięć i szczelin. Między dwoma kamieniami dostrzegli rozżarzony do czerwoności kawałek końskiej podkowy.

Doktor i detektyw popatrzeli na siebie. Colette chwyciła Youngera za ramię. Z chodnika patrzyły na nich dzikie oczy. Głowa młodej kobiety leżała otoczona czerwoną aureolą nie krwi, lecz włosów.

• • •

Na skrzyżowaniu ulic tłoczyło się teraz zdecydowanie zbyt wielu ludzi. Tysiące usiłowały stamtąd uciec, ale też tysiące przybiegły z Wall Street, żeby zobaczyć, co się stało. Plotka o kolejnym wybuchu w jednej chwili opanowała tłum na Nassau Street, wywołując panikę, w wyniku której tratowano i rannych, i martwych.

Littlemore wdrapał się na przewrócony samochód przy rogu Wall i Broad Street. Dzięki temu znalazł się dobre półtora metra nad otaczającym go tłumem. Krzyknął, prosząc o uwagę. Powtarzał słowa „policja” i „kapitan”. Jego silny i klarowny głos zaskoczył Youngera, ale i tak wysiłki detektywa okazały się daremne.

Littlemore zaczął strzelać w powietrze z pistoletu. Po piątym strzale przyciągnął uwagę tłumy. Younger ocenił, że ludzie są przede wszystkim przerażeni.

- Słuchajcie! - krzyknął Littlemore, kiedy po raz kolejny przedstawił się jako oficer policji, dodając ludziom otuchy pośród spustoszenia. - Już po wszystkim. Słyszycie mnie? Po wszystkim! Nie ma się czego bać. Jeśli ktoś z was albo waszych bliskich potrzebuje pomocy medycznej, niech zostanie na miejscu. Jest ze mną lekarz, który się wami zajmie. A teraz niech wystąpią z tłumy wszyscy policjanci.

Żadnej reakcji.

Pod nosem Littlemore zgromił kapitana Hamiltona za odesłanie funkcjonariuszy do obstawy parady.

- W porządku, a może są jacyś żołnierze? - krzyknął.

- Albo weterani?

- Ja służyłem, kapitanie - pisnął słabym głosem jakiś młodziak.

- Dobrze, chłopcze. Ktoś jeszcze? Niech wystąpią wszyscy ci, którzy walczyli na wojnie!

Tłum wokół Littlemore'a zafalował, w miarę jak mężczyźni przemieszczali się do przodu.

- Zróbcie im miejsce! Niech się cofną ci, którzy nie służyli! - krzyknął policjant, nadal stojąc na przewróconym samochodzie. Potem dodał po cichu: - A niech mnie!

Na jego wezwanie zgłosiło się ponad czterystu weteranów.

Littlemore krzyknął do Youngera:

- Ilu ludzi pan potrzebuje, doktorze?

- Dwudziestu - odkrzyknął Younger. - Trzydziestu, jeśli tylu zbierzesz.

•••

Dowodząc swoimi kompaniami, Littlemore szybko przywrócił porządek. Opróżnił plac i zabezpieczył teren wokół miejsca wybuchu, tworząc mur z ochotników, którym polecił wypuszczać ludzi na zewnątrz, ale nie wpuszczać do środka gapiów. W ciągu kilku minut nadjechały wozy strażackie. Littlemore utorował im drogę. Z okien na czternastym piętrze wydobywały się płomienie.

Później przyjechały ambulansy i oddziały policji - w sumie tysiąc pięćuset funkcjonariuszy. Littlemore postawił ludzi przy wejściu do każdego budynku. Z uliczki przy budynku delegatury Departamentu Skarbu, zbyt wąskiej dla wozów strażackich, wydobywał się czarny dym, a wraz z nim swąd spalonego drewna i czegoś cuchnącego. Littlemore przebił się tam w poszukiwaniu osób, które mogły ocaleć, pokonując wyrwaną podczas wybuchu bramę z kutego żelaza i ignorując ostrzegawcze okrzyki strażaków. Nie znalazł nikogo, za to w gęstym dymie dostrzegł wysoki stos strzelającego w górę płomieniami drewna. Wszystko, co wykonano z metalu, pulsowało purpurą: żelazna brama zdmuchnięta z zawiasów, pokrywa studzienki kanalizacyjnej i miedziana odznaka przypięta do zwłok leżących między żarzącymi się belkami.

Było to ciało mężczyzny; z prawej strony dosłownie nietknięte, za to z lewej zwęglone, pozbawione skóry, bez oka, dogasające.

Littlemore spojrział na połowę twarzy połowy mężczyzny Oko i to, co zostało z jego ust, wyrażały błogi spokój; z niewiadomego powodu przypominały mu jego własne. Rozżarzona odznaka świadczyła o tym, że mężczyzna był agentem Departamentu Skarbu. W jego spalonej dłoni coś błyszczało, dymiąc: sztabka złota opleciona zwęglonymi, tłącymi się jeszcze palcami.

•••

Younger kazał ochotnikom zająć się ofiarami, żywymi i martwymi. W Banku Morgana zorganizował tymczasową kostnicę. Poleciał byłym żołnierzom, żeby nie zrzucali zwłok bezładnie na stos, lecz układali je równo obok siebie, rzędami po dwanaście sztuk.

Dzięki zapasom pobliskiej apteki Colette zorganizowała punkt opatrunkowy w kościele Świętej Trójcy. Z podwiniętymi rękawami koszuli Younger robił, co mógł, wspomagany przez Colette i pielęgniarkę z Czerwonego Krzyża, która się zgłosiła na ochotnika. Czyścił i szyl rany złożył parę złamanych kości, usunął metalowe odłamki z uda jednego mężczyzny i z brzucha innego.

- Spójrz! - krzyknęła do niego nagle Colette, asystująca mu podczas operacji mężczyzny, którego krwotoku nie zdołała zatamować pielęgniarka. Wskazała na niewyraźny kształt poruszający się pod prowizorycznym stołem operacyjnym. - On jest ranny.

Younger spojrział w dół. Brudny terier z małą siwą brodą kręcił się przy ich stopach.

- Powiedz mu, że musi poczekać na swoją kolej, jak wszyscy - rzucił.

Kiedy milczenie Colette zrobiło się podejrzanie długie, Younger oderwał wzrok od pracy: dziewczyna opatrywała przednią łapę teriera.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się.

Na ławkach kościoła Świętej Trójcy siedziało lub leżało kilkanaście osób z poczerwiałymi twarzami albo krwawiącymi kończynami, czekając na pomoc lekarską.

- To zajmie tylko minutę - odparła Colette.

Zajęło pięć.

- Już po wszystkim - powiedziała, wypuszczając psa.

•••

Późnym popołudniem Littlemore siedział przy długim stole postawionym pośrodku placu, wysłuchując zeznań naocznych świadków. Powietrze wciąż było gęste od dymu i pyłu. Dwóch umundurowanych policjantów, Stankiewicz i Roederheusen, przerwało przesłuchanie.

- Kapitanie, nie chcą nas wpuścić do środka - zameldował Roederheusen.

Wcześniej Littlemore nakazał funkcjonariuszom, żeby dokładnie sprawdzili okoliczne budynki, szukając ludzi, którzy nie mogli ich opuścić, bo byli zbyt ranni albo zbyt martwi.

- Kto nie chce? - zapytał.

- Wojsko, panie kapitanie - wyjaśnił policjant, wskazując budynek Departamentu Skarbu, na którego schodach w zwartej grupie stanęło około dwustu żołnierzy piechoty Stanów Zjednoczonych. Kolejna kompania nadchodziła od południa z bagnietami osadzonymi na lufach karabinów, rytmicznie tupiąc kamaszami po bruku Wall Street.

Detektyw gwizdnął.

- Skąd oni się wzięli?
- Czy oni mają prawo nam rozkazywać? - zapytał Stankiewicz, unosząc lśniący daszek czapki i wysuwając do przodu szczękę, by zademonstrować rozzalenie.
- Stanky wdał się w awanturę, panie kapitanie - rzucił Roederheusen.
- To nie była moja wina - zaprotestował Stankiewicz. - Powiedziałem pułkownikowi, że mamy sprawdzić budynki, a on na to: „Cofnij się, cywile!”. Więc mu mówię: „Kogo pan nazywa cywilem? Jestem policjantem”. A on znowu: „Cofnij się, cywile, albo cię do tego zmuszę!”. A potem jego żołnierz pakuje mi pod żebro bagnet. No to ja sięgam po broń...
- Tylko nie to! - wpadł mu w słowo Littlemore. - Nie mów, że wyciągnąłeś broń na pułkownika armii Stanów Zjednoczonych!
- Nie wyciągnąłem, kapitanie. Tylko im pokazałem, że mam, odchylając lekko marynarkę, jak nas pan uczył. W jednej chwili dwunastu otoczyło mnie z bagnietami.
- Jak to się skończyło? - zapytał Littlemore.
- Rzucili Stanky ego na kolana i kazali mu założyć ręce za głowę, panie kapitanie - odpowiedział Roederheusen.
- Zabrali mu broń.
- Na litość boską, Stanky! - zachnął się Younger. - A ty, Lederhosen?
- Nazywam się Roederheusen - poprawił go funkcjonariusz.
- Jemu też zabrali broń - wtrącił Stankiewicz.
- A ja przecież nic nie zrobiłem - dodał Roederheusen.

Younger pokiwał głową. Wręczył policjantom plik pustych kart katalogowych.

- Odzyskam waszą broń później. Tymczasem mam dla was zadanie. Potrzebna nam lista ofiar. Chcę dostać osobną fiszkę dla każdego. Ustalcie nazwisko, wiek, zawód, adres i wszystko, co...
- Littlemore! - odezwał się apodyktyczny głos po drugiej stronie ulicy. - Proszę tu podejść, kapitanie! Muszę z panem porozmawiać.

Głos należał do Richarda Enrighta, komendanta głównego policji nowojorskiej. Littlemore truchtem przebiegł przez ulicę, dołączając do grupy czterech starszych mężczyzn, którzy stali na chodniku.

- Kapitanie Littlemore, zna pan oczywiście burmistrza - powiedział komendant Enright, przedstawiając Littlemore'a Johnowi F. Hylanowi, burmistrzowi Nowego Jorku. Rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy włosy Hylana były potargane i tłuste; jego małe oczy niespokojnie biegały wokół, ale nie świadczyły o nadmiernej inteligencji. Następnie komendant przedstawił Littlemore'a pozostałym dwóm mężczyznom. - To pan McAdoo, który podlega bezpośrednio prezydentowi Wilsonowi w Waszyngtonie, a to pan Lamont z firmy J. P. Morgan and Company. Na pewno nic panu nie jest, Lamont?
- Szybka roztrzaskała się tuż przed nami - odparł drobny, dobrze ubrany mężczyzna z paskudną raną na ramieniu. Na jego pozbawionej wyrazu twarzy na dobre zagościło osłupienie. - Mogliśmy zginąć. Jak do tego doszło?
- No właśnie, co się stało? - spytał Littlemore'a burmistrz Hylan.
- Jeszcze nie wiem, panie burmistrzu. Pracujemy nad tym.
- Co zrobimy ze świętem konstytucji? - wyszeptał zaniepokojony burmistrz.
- Jutro siedemnasty września, Littlemore, Dzień Konstytucji - powiedział komendant Enright. Był mężczyzną o imponującej, a jednocześnie budzącej grozę ogromnej posturze, bujnych falach siwych włosów i nadspodziewanie wrażliwych

oczach. - Jutrzejšie obchody miały się odbyć dokładnie tutaj, przed giełdą. Burmistrz Hylan chce wiedzieć, czy zdołacie przygotować plac.

- Uprzątniemy wszystko do ósmej wieczorem - stwierdził Littlemore.
- Sam widzisz, Hylan! - wykrzyknął Enright. - Mówiłem ci przecież, że Littlemore zrobi wszystko, jak trzeba. Możesz zorganizować obchody albo nie, jak sobie życzysz.
- Czy tu będzie bezpiecznie? Dla dużego zgromadzenia?
- dopytywał się burmistrz.
- Tego nie mogę zagwarantować - odparł Littlemore. - W tłumie nigdy nie da się zapewnić stuprocentowego bezpieczeństwa.
- Sam nie wiem - burmistrz Hylan załamał ręce. - Czy będzie głupio, jeśli odwołamy uroczystości, czy jeszcze głupiej, jeśli ich nie odwołamy?

Odpowiedział mu McAdoo:

- Nie kontaktowałem się jeszcze z prezydentem, ale przeprowadziłem długą rozmowę z ministrem sprawiedliwości Palmerem, który nalega, żeby postępować zgodnie z planem. Przemówienia należy wygłosić, a obywatele powinni się zebrać. Im większe zgromadzenie, tym lepiej. Palmer jest zdania, że nie wolno nam okazać strachu.
- Strachu? - zapytał Hylan bojaźliwie. - Przed czym?
- Przed anarchistami, oczywiście - wyjaśnił McAdoo.
- Tylko którymi anarchistami, oto jest pytanie!
- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - stwierdził Enright.
- Palmer sam zamierza wygłosić przemówienie, jeśli zdoła dotrzeć na czas - dodał McAdoo, przystojny szczupły mężczyzna z zaciśniętymi wargami, pięknym wydatnym nosem i włosami wciąż czarnymi mimo słusznego wieku.
- Minister Palmer przyjeżdża do Nowego Jorku? - upewnił się Littlemore.
- Podejrzewam, że zamierza kierować śledztwem - odparł McAdoo.
- Nie moim śledztwem - zaproponował komendant Enright.
- Może być tylko jedno śledztwo - odparował McAdoo.
- Skoro jutro czeka nas duża impreza, panie Enright, to będziemy potrzebowali dodatkowych ludzi na ulicach. Trzystu, może nawet czterystu funkcjonariuszy - oznajmił Littlemore.
- Dlaczego? Czy spodziewa się pan kolejnej eksplozji? - wykrzyknął przerażony burmistrz.
- Uspokój się, Hylan - zmiłgował go Enright. - Jeszcze ktoś cię usłyszy!
- To tylko środki ostrożności, panie burmistrzu - wyjaśnił Littlemore. - Nie chcemy żadnych problemów.
- Czterystu dodatkowych ludzi? - w głosie burmistrza pobrzmiwało niedowierzanie. - W ramach służby oraz nadgodzin? Kto za to zapłaci?
- O pieniądze proszę się nie martwić - Lamont wyprostował dumnie swą mizerną postać. - Firma J. P. Morgan pokryje koszty. Wszyscy musimy dbać o nasze interesy. Nie wolno dopuścić, żeby świat choćby pomyślał, że Wall Street nie jest bezpieczna. To oznaczałoby katastrofę!
- A jak nazwać coś takiego? - zapytał Hylan, wskazując gestem dookoła.
- Co z pańskimi ludźmi, Lamont? Ilu pan stracił? - zainteresował się Enright.
- Jeszcze nie wiem - odpowiedział Lamont ponuro. - Junius, syn J. P. juniora, znalazł się w samym centrum tego wszystkiego.
- Ale nie zginął, prawda? - dopytywał się Enright.

- Nie, ale zamiast twarzy ma jedną wielką ranę. Tylko jedno wiem na pewno: bank Morgana zostanie jutro otwarty dla interesantów punktualnie o ósmej rano.

Komendant Enright skinął głową.

- No, to już wiemy - podsumował. - Działamy jak zwykle. To wszystko, kapitanie Littlemore.

• • •

Littlemore wrócił do stołu, przy którym jego ludzie wypytywali świadków. Stankiewicz czekał na niego z biznesmenem, który obficie się pocił.

- Chyba powinien pan z nim porozmawiać, kapitanie - powiedział Stankiewicz. - Twierdzi, że ma dowody.

- Przysięgam panu, że nie wiedziałem - zapewnił biznesmen z niepokojem. - Myślałem, że to żart.

- O czym on mówi, Stanky? - zapytał Littlemore.

- O tym, panie kapitanie.

Stankiewicz wręczył przelozonemu pocztówkę ostemplowaną w Toronto z datą 11 września 1920 roku, adresowaną do George a E Ketledge a mieszkającego pod numerem drugim przy Broadway Street w Nowym Jorku. Na kartce widniała krótka wiadomość:

Witaj,

Opuść Wall Street, jak tylko dzwon wybije trzecią po południu w środę piętnastego.

Powodzenia.

Ed.

- Pan się nazywa Ketledge? - zapytał Littlemore biznesmena.

- Tak.

- Kiedy pan to dostał?

- Wczoraj rano, czyli piętnastego. Do głowy by mi nie przyszło, że to coś poważnego.

- Kim jest Ed?

- Edwin Fisher - odpowiedział Ketledge. - Stary znajomy. Pracuje w biurze Wysokiego Komisarza Francji.

- Co to takiego?

- Nie wiem dokładnie. Mieści się pod sześćdziesiątym piątym przy Broadway Street, kilka przecznic od mojego biura. Czy ja popełniłem przestępstwo?

- Nie - uspokoił go Littlemore. - Ale musi pan złożyć oficjalne zeznanie. Chłopcy, skoczą teraz pod sześćdziesiąty piąty na Broadwayu. Niech pan powie, Ketledge, czy w tym biurze Wysokiego Komisarza Francji mówią po angielsku?

- Nie mam pojęcia - stwierdził Ketledge.

• • •

Po kilku godzinach Colette oznajmiła Youngerowi, że kończą im się bandaż.

- Zaczyna też brakować środków odkażających. Pójdę do apteki.

- Nie znasz drogi.

- Nie jesteśmy w okopach, Stratham. Mogę zapytać o drogę. Zresztą i tak muszę znaleźć telefon i zadzwonić do Luca. Na pewno się niepokoi.

- W porządku - zgodził się Younger. - Weź mój portfel.

Pocałowała go w policzek, po czym się zatrzymała.

- Pamiętaj, co mi mówiłeś?

Pamiętał.

- Ze w Ameryce nie ma wojny.

U stóp schodów wpadła na Littlemore'a. Detektyw krzyknął do Youngera:

- Mógłbym zabrać panienkę na pół godziny, doktorze?

- Mógłbyś. Ale podejdź tutaj, dobrze? - odparł Younger pochylony nad pacjentem.

- Co się dzieje? - detektyw wszedł na górę.

- Chyba coś widziałem, Littlemore - wyjaśnił Younger, nie przerywając pracy. -

Siostro, czoło!

Pielęgniarka wytarła mu pot. Chusteczka zrobiła się mokra i czerwona.

- To twoja krew? - zapytał Littlemore.

- Nie - skłamał Younger. W rzeczywistości drasnął go odłamek, kiedy eksplodowała bomba. - Tuż po wybuchu. Coś było nie tak.

- Co?

- Nie wiem. Ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że to coś ważnego.

Littlemore czekał, aż Younger powie coś więcej, ten jednak nic już nie dodał.

- Świetna robota, doktorze - pochwalił detektyw. - Tak trzymać.

Littlemore zbiegł ze schodów, kręcąc głową, i zniknął razem z Colette. Younger także pokręcił głową, ale z zupełnie innego powodu. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że nie potrafi sobie przypomnieć czegoś, co utkwiło gdzieś na obrzeżach jego pamięci: mgła albo burza, tablica - tablica? - ktoś stał przed nią i pisał na niej coś, ale nie kredą.

Karabinem?

- Nie powinien pan odpocząć, doktorze? - zapytała pielęgniarka. - Nie zrobił pan sobie ani chwili przerwy, nawet na łyk wody.

- Jeśli jest tu jakaś woda na zbyciu, to proszę jej użyć do umycia podłogi - polecił Younger.

• • •

Dzwony kościoła Świętej Trójcy wybiły siódmą, kiedy Younger wreszcie skończył. Zniknęli ranni, zniknęła jego pielęgniarka, zniknął nawet terier z małą siwą brodą i zniknęły ciała umarłych.

Jakby na przekór tragicznym wydarzeniom letni wieczór był przyjemny. Wprawdzie kilku policjantów wciąż usuwało pozostałości po wybuchu, umieszczając je w numerowanych płóciennych workach, ale Wall Street była prawie pusta. Younger dostrzegł zbliżającego się Littlemore'a, całego w pyłe. Koszula i spodnie Youngera z kolei były przesiąknięte krwią, która zdążyła już zaschnąć i zbrązowieć. Obmacał kieszenie w poszukiwaniu papierosa, po czym dotknął skóry głowy nad lewym uchem. Opuszki palców zrobiły się czerwone.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdził Littlemore, stając w drzwiach.

- Nic mi nie jest - odparł Younger. - Ale czułbym się teraz lepiej, gdybyś mnie nie pozbawił asystentki. Mówiłeś, że zabierasz ją tylko na pół godziny

- Mówisz o Colette? Tak zrobiłem.

- Jak?

- Odprowadziłem ją tu z powrotem po półgodzinie. Miała iść do apteki.

Obydwaj zamilkli na chwilę.

- Gdzie jest telefon? - zapytał w końcu Younger. - Zadzwoń do hotelu.

Zatelefonował do hotelu Comodore z budynku Giełdy Powiedziano mu, że panna Rousseau nie pojawiła się, odkąd wyszła wcześniej rano. Poprosił, żeby go połączono z jej pokojem, bo chciał porozmawiać z bratem Colette.

- Przykro mi, doktorze Younger, ale on także nie wrócił - stwierdził recepcjonista.
- Chłopiec wyszedł z hotelu? Sam?
- Sam? - powtórzył zdziwiony recepcjonista.
- Przecież pytam. Czy wyszedł z hotelu sam? - zapytał Younger, czując, jak złość rośnie w nim razem z obawą.
- Nie, proszę pana. Wyszedł z panem.

ROZDZIAŁ

Trzeci

Atak na Wall Street z 16 września 1920 roku był nie tylko najkrwawszy w stu pięćdziesięcioletniej historii Ameryki. Był też najbardziej niezrozumiały. Kto miałby powód, żeby zdetonować prawie trzysta kilogramów środków wybuchowych w jednym z najruchliwszych miejsc Nowego Jorku, i to w porze, kiedy robiło się tam najtłoczniej?

Według „New York Timesa” tylko jedno słowo pasowało do sprawców takiego czynu: terroryści. W „Washington Post” napisano, że zamach był „aktem agresji”, wymagającym natychmiastowego kontrataku armii Stanów Zjednoczonych. Tylko który kraj zaatakować, który naród, jakiego wroga? Na to odpowiedzi nie znano. Pod tym względem atak na Wall Street był nie tylko przerażający, ale też przerażająco typowy.

Wielka wojna pochłonęła piętnaście milionów ludzi - ta liczba przekraczała wszelkie wyobrażenia. A przecież mimo to jakoś dawało się o niej myśleć. Armie mobilizowały się i demobilizowały. Kraje ulegały najeźdźcom, a następnie się od nich uwalniały. Mężczyźni szli na front i większość z nich wracała. Wojna miała granice. Wojna się kończyła.

Jednak w 1920 roku świat stanął w obliczu nowego rodzaju wojny. Zaczęła się ona ćwierć wieku wcześniej serią zamachów. W 1894 roku zamordowano prezydenta Francji, w 1898 cesarzową Austrii, w 1900 króla Włoch, w 1901 prezydenta Stanów Zjednoczonych McKinleya, w 1912 roku premiera Hiszpanii i wreszcie w 1914 roku arcyksięcia z rodu Habsburgów, co wywołało wielką pożogę. Zabójstwo nie było niczym nowym, te morderstwa były jednak inne. Większości z nich brakowało wyraźnego, konkretnego celu. Nie dałoby się nawet przypisać im nieobliczalności kumulowanej urazy.

Ale wszystkie były w pewnym sensie takie same. Popełnili je biedni młodzi mężczyźni, zwykle obcokrajowcy z niejasnymi międzynarodowymi powiązaniem, wyznawcy różnych odmian ideologii śmierci, która sprawiała, że każdy z nich niemal z radością witał własny koniec. Zamachy dotyczyły najwyraźniej wszystkich państw zachodnich, jakby wymierzano je w ideologię cywilizacji. Sprawców nazywano różnie: anarchistami, socjalistami, nacjonalistami, fanatykami, ekstremistami, komunistami. W gazetach i wystąpieniach publicznych jednak nadawano im jedno imię: terroryści.

W 1919 roku zaczęły się ataki bombowe na ziemi amerykańskiej. 28 kwietnia małą brązową paczkę dostarczono burmistrzowi Seattle, który nieco wcześniej stłumił strajk powszechny. Jako nadawca figurowała firma Gimbel Brothers; odręczny dopisek obiecywał: „Nowość - próbka”. W środku leżała drewniana tuba, rzeczywiście stanowiąca nowość. Zawierała zapalnik kwasowy i laskę dynamitu. Okrutna bomba nie eksplodowała. Ale nazajutrz identyczna nowość dotarła do domu byłego senatora Stanów Zjednoczonych i wybuchnęła w rękach nieszczęsnej pokojówki, której pechowo wypadło otworzyć paczkę.

Następnego wieczoru wracający do domu metrem nowojorski urzędnik pocztowy, czytając gazetę, uprzytomnił sobie, że w ciągu dnia widział ponad dwanaście podobnych przesyłek. Pośpieszył z powrotem na pocztę i odnalazł paczki, których nie dostarczono, ponieważ uiszczono za nie zbyt niską opłatę. Ostatecznie odkryto trzydzieści sześć przesyłek z takimi właśnie nowościami zaadresowanych do różnych osobistości, w tym do Johna D. Rockefellera i J. P. Morgana.

Miesiąc później osiem eksplozji rozświetliło noc o tej samej porze w ośmiu różnych amerykańskich miastach. Celem był między innymi dom burmistrza jednego z miast w Ohio, członka legislatury z Massachusetts i sędziego z Nowego Jorku. Za najśmielszy z tych ataków uznano jednak zdecydowanie zamach na dom ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego A. Mitchella Palmera w Waszyngtonie. Terrorysta jednak skrewił. Bomba wybuchła mu w dłoniach, gdy wchodził po schodach domu Palmera; doczesne szczątki dostarczyciela pozbierała potem policja.

Palmer odpowiedział szeroko zakrojonymi represjami. Jego urzędnicy przeprowadzali naloty w całej Ameryce, za dnia i pod osłoną nocy. Zgarnięto, osadzono w areszcie i deportowano tysiące ludzi, z zarzutami lub bez nich. Podśluchiwano rozmowy telefoniczne. Cenzurowano pocztę. Podejrzanych przesłuchiwano „z całą bezwzględnością”. Ale sprawców nie udało się wykryć.

Wszystkie te akty przemocy, choć potworne, skierowane były jednak przeciw osobom publicznym. Zwykli obywatele nie czuli się zagrożeni. Nie widzieli potrzeby dokonania zmian w stylu życia i przyzwyczajeniach. To poczucie bezpieczeństwa uszło wraz z dymem, gdy 16 września 1920 roku stanęła w ogniu Wall Street.

• • •

Po przekroczeniu policyjnego kordonu Younger i Littlemore zostali wchłonięci przez tłum - znacznie większy, niż się Younger spodziewał - napierający na bariery wokół miejsca wybuchu. Kobiety z dziećmi na rękach szarpały Youngera za rękawy, błagając o informacje dotyczące ich mężów. Wzburzeni ludzie krzyczeli w mroku, pytając, co się właściwie wydarzyło.

Littlemore starał się odpowiadać na każde pytanie. Zapewnił jedną z kobiet, że nie zginęło ani jedno dziecko. Innym wyjaśniał, dokąd mają się udać, żeby poznać się z listą ofiar. Całej reszcie stanowczym, ale opanowanym głosem poradził, żeby poszli do domów i czekali na wiadomości w gazetach, które się ukażą nazajutrz.

Nawet policjanci, którzy stali na posterunku, nie wpuszczając nikogo na miejsce wybuchu, ulegli powszechnemu zaniepokojeniu. Jeden z nich szepnął do Littlemore'a, gdy ten przechodził obok:

- Niech pan powie, kapitanie, czy to byli bolszewicy? Ludzie mówią, że tak.
- To tylko rura gazowa, nic więcej - wtrącił inny funkcjonariusz, na dowód prawdziwości swoich słów podnosząc w powietrzu gazetę. - Tak powiedział burmistrz Hylan. Czy to prawda, panie kapitanie?
- Daj mi to - zażądał Littlemore.

Detektyw zarekwirował gazetę, której nie miał prawa czytać policjant na służbie. Był to nadzwyczajny czterostronicowy dodatek „Sun”.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Littlemore, czytając tekst w środku. - Hylan opowiada, że to był wybuch magistrali gazowej.

Younger i Littlemore dobrze wiedzieli, że najważniejszą informacją na temat

osmalonego krateru, który widzieli na placu, jest to, czego tam nie znaleźli.

W miejscu eksplozji nie zauważyli żadnych szczelin, żadnych pęknięć chodnika, które musiałyby się tam pojawić, gdyby pod ziemią pękła rura z gazem, wysyłając w niebo słup ognia.

- To był lej po bombie - ocenił Younger.
- Tak to wyglądało - zgodził się Littlemore, czytając w marszu gazetę.
- Na pewno lej po bombie - powtórzył Younger. - Możesz się oderwać od tej cholerycznej gazety?
- Do licha! - mruknął detektyw, rzucając gazetę na tylne siedzenie samochodu.
- Gdzie jest korbka? - zapytał Younger, stając przed maską, żeby uruchomić silnik.
- Trochę cię tu nie było. Nie ma już korb. Samochody uruchamia się teraz pedałem

- odpowiedział mu Littlemore. Dostrzegł zdenerwowanie w oczach Youngera. - Rozchmurz się, doktorze, na pewno nic jej się nie stało. Wróciła do hotelu, zabrała dzieciaka na obiad i zostawiła ci wiadomość w recepcji, a oni coś popieprzyli. Zobaczysz.

• • •

Na rogu Czterdziestej Czwartej i Lexington Avenue, przecznicę od hotelu Commodore, mieściła się firma Bat and Table. Wzdłuż jej siedziby ciągnęła się wąska nieoświetlona alejka, w którą wjeżdżały niemal wyłącznie śmieciarki, po zmroku bywała więc zwykle pusta. Wieczorem 16 września 1920 roku stało na niej jednak czterodrzwiowe auto z krytym dachem i włączonym silnikiem.

Kierowca auta nie był osobą z towarzystwa. Jego tłusta, okrągła i pozbawiona zarostu twarz błyszczała od potu. Ramiona pod zniszczoną marynarką miał tak potężne, że nie zostawiały miejsca na szyję. Kapelusz nosił przynajmniej o numer za mały, przez co pod materiałem odznaczały się uszy. Choć auto stało w miejscu, mężczyzna trzymał ręce na kierownicy, a siedząca obok niego kobieta patrzyła na krótkie grube włoski nad jego knykciami. Była to Colette Rousseau, której ręce związane za plecami.

Na tylnym siedzeniu rozpierał się kolejny niebudzący sympatii mężczyzna- ten nie z powodu potężnych mięśni, bo nie miał ich prawie wcale, lecz pistoletu, którym mierzył w Colette. Jego drobny, chudy tors zakryty był zbyt obszerną marynarką w kratę cuchnącą skwaśniałym piwem. Oddech miał równie nieświeży: wydzielał odór surowej cebuli.

Ci dwaj mężczyźni wymieniali uwagi w języku, którego Colette nie rozumiała ani nawet nie rozpoznawała. Kierowca najwyraźniej miał na imię Zelko, mężczyzna na tylnym siedzeniu natomiast - Miljan. Colette milczała. Nad jej lewym okiem widniał mały siniak.

Otworzyły się tylne drzwi i na kanapie wylądował wrzucony głową naprzód chłopiec, po którym do auta wszedł mężczyzna wyższy od tamtych dwóch, ubrany lepiej od nich, co nie znaczy dobrze - w prążkowany garnitur, kiedyś stanowiący część garderoby jakiegoś zanego dżentelmena. Miał tak silny czarny zarost, że nie widać było spod niego ust. Oczy zerknęły z gęstwiny brwi i bokobrodów. Zatrzasnął za sobą drzwi i warknął jakieś rozkazy w tym samym niezrozumiałym języku. Tamci dwaj, zwracając się do niego, wymieniali imię Drobac.

Drobac wydał prawdopodobnie polecenie, żeby związać chłopca i odjechać. A przynajmniej tamci dwaj tym właśnie się zajęli. Colette zapytała Luca po francusku, czy nic mu się nie stało. Kiedy chłopak zaprzeczył ruchem głowy, dodała cicho i szybko:

- To jakaś pomyłka. Zorientują się niebawem i nas wypuszczą.

Miljan wypluł z siebie kilka niezrozumiałych zdań, które śmierdziały cebulą. Drobac uciszył go szorstkim głosem.

- Nie rozumieją po francusku - ciągnęła Colette szeptem. - Nie znalazł kasetki, prawda? Tylko kiwnij głową: tak albo nie.

Drobac szczechnął coś niezrozumiale i Zelko, kierowca, raptownie zatrzymał auto.

- *Quelle boite?* - zapytał Drobac po francusku. - Jaka kasetka?

Colette, która rozmawiając z bratem, siedziała twarzą do niego, teraz się odwróciła i wbiła wzrok w ulicę przed autem.

- Jaka kasetka? - powtórzył Drobac.
- Nic specjalnego. Pudełko z zabawkami mojego brata - odpowiedziała Colette zbyt szybko. - On bardzo się troszczy o swoje zabawki. Są dla niego bezcenne.
- Pudełko z zabawkami. Akurat! - Drobac uniósł Luca, chwyciwszy go za kołnierz koszuli, i przystawił chłopcu do głowy lufę pistoletu. Colette krzyknęła. Jedna z owłosionych dłoni Zelki podniosła się i uderzyła ją w twarz.
- Jeśli jeszcze raz skłamiesz, zabiję go! - zagroził Drobac, nie odrywając wylotu lufy od szarpiącego się chłopca.
- Proszę, bardzo proszę! To coś dla chorych ludzi - błagała Colette. - Coś ważnego dla ich zdrowia. Dla was nie przedstawia żadnej wartości. Nie uda wam się tego sprzedać. Od razu będzie wiadomo, że kradzione.

Drobac wypowiedział jakiś rozkaz i Zelko wrzucił wsteczny bieg. Wrócili na nieoświetloną alejkę obok Bat and Table. Drobac się uśmiechnął. Colette także, choć tylko w duchu.

• • •

W recepcji hotelu Commodore Younger usłyszał, że w pokoju panny Rousseau nie ma nikogo. Ani ona, ani jej brat jeszcze nie wrócili.

- Proszę o mój klucz - rzucił Younger, zastanawiając się, czy Colette nie siedzi z bratem w jego pokoju.
- Pan jest... - zawiesił głos recepcjonista.
- Doktor Stratham Younger.
- Zaraz wydam klucz. Czy mogę prosić o dowód tożsamości? - spytał recepcjonista.

Younger sięgnął po portfel, przypomniał sobie jednak, że dał go Colette.

- Nie mam przy sobie dokumentów.
- Ach, tak. Może zechce pan porozmawiać z dyrektorem?
- Tak, niech tu przyjdzie.

Podana przez recepcjonistę informacja, że w pokoju panny Rousseau nie ma nikogo, była nieprawdziwa. Dwanaście pięter wyżej mężczyzna z bujnymi bokobrodami stał w rękawiczkach przed otwartą szafą Colette, wpatrzony ze złością w wyłożone ołowiem pudełko wielkości małego kufra podróżnego. Drobac właśnie się przekonał, że jest ono zbyt ciężkie, by mógł je niepostrzeżenie przenieść przez hol i wyjść z nim z hotelu. Z trudem zdjął nieporęczny przedmiot z półki i położył na podłodze.

• • •

W bogato zdobionym holu hotelu panowała zaskakująca cisza. Zbici w małe grupki

pod palmami albo między marmurowymi kolumnami ludzie z niepokojem i niedowierzaniem szeptali o tym, gdzie się znajdowali, kiedy usłyszeli potworny wybuch na Wall Street, albo jak się dowiedzieli o eksplozji. Tak samo zresztą było wszędzie, co Younger zauważył, jadąc z Littlemore'em przez miasto: ludzi paraliżował strach, jakby odgłos eksplozji nadal się odbijał po ulicach, wstrząsając ziemią i mącąc powietrze.

Younger miał ochotę na nich krzyczeć. Chciał im powiedzieć, że to nie była śmierć. Że nie mają pojęcia, jak śmierć wygląda.

- Czy to pan się podaje za doktora Youngera? - zapytał dyrektor hotelu, wysoki mężczyzna w okularach, białych rękawiczkach i stroju wieczorowym.

- Nie - odparł Younger spokojnie. - Ja jestem doktorem Youngerem.

Dyrektor, zerkając z niesmakiem na zakrwawiony garnitur Youngera, zdjął stożkową słuchawkę z widełek stojącego na kontuarze telefonu i trzymał ją w powietrzu niczym broń.

- Niemożliwe. Dwie godziny temu osobiście wydawałem klucz do pokoju panu doktorowi Youngerowi, bezspornie ustaliliśmy wcześniej jego tożsamość - powiedział, po czym do słuchawki rzucił półgębkiem polecenie dla hotelowej telefonistki: - Połącz mnie z policją.

- Policja już tu jest - odezwał się głos zza pleców Youngera. Littlemore, zaparkowawszy samochód, podszedł do recepcji i wyciągnął odznakę. - Portfel doktora Youngera został skradziony. Wydał pan klucz oszustowi.

Dyrektor spojrzał na wyglądającego niechlujnie i brudnego Littlemore'a z niesłabnącą podejrzliwością. Przez okulary uważnie obejrzał jego odznakę i wciąż ze słuchawką przy uchu powtórzył polecenie połączenia go z policją, ponieważ chciał potwierdzić tożsamość detektywa.

• • •

Z papierosem zwisającym niebezpiecznie blisko bujnych bokobrodów Drobac przeglądał zawartość kasetki laboratoryjnej Colette. Znalazł w niej dwa flakony, pół tuzina zatkanych gumowymi korkami próbek oraz kilka kawałków jakiejś rudy. Kamienie te, każdy wielkości steku z połędwicy wołowej, miały postrzępione krawędzie i były czarne jak smoła, ale połyskiwały, jakby wykonano je z zakrzepłej ropy. Na powierzchni rysowały się wyraźne żyłki złota i srebra. Drobac wypchał nimi kieszenie, nie zostawiając w kasetce zupełnie nic.

• • •

- Czy w hotelu są jakieś gabinety stomatologiczne? - zapytał Littlemore dyrektora, kiedy tamten czekał na połączenie.

- Oczywiście, że nie ma - odparł mężczyzna. - Niestety, linie są zajęte. Może pan usiądzie?

- Mam lepszy pomysł - oznajmił Littlemore, machając kajdankami nad kontuarem. - Albo wyda pan ten klucz, albo ja pana aresztuję i zabiorę na komisariat za utrudnianie śledztwa policyjnego. W ten sposób potwierdzi pan moją tożsamość osobiście.

Dyrektor wręczył mu klucz.

W obitej pluszem windzie detektyw i doktor stali bez słowa. Kiedy kabina w końcu się zatrzymała i otworzyła, Younger wyskoczył tak gwałtownie, że stracił kapelusz z głowy mężczyzny czekającego przy drzwiach. Zauważył jego gęstą brodę oraz bujne

wąsy, nie zwrócił jednak uwagi na to, jak dziwnie wisiała na jego ramionach wyświechtana, prążkowana marynarka, jakby kieszenie wypchane miał śrutem.

Younger przeprosił, schylając się po kapelusz. Drobac chwycił go jednak pierwszy.

- Kurs na dół - ogłosił windziarz.

• • •

W pokoju Colette Younger nie znalazł niczego, co potwierdzałoby jego nadzieje i obawy. Na końcu nieskończonego, jak mu się wydawało, korytarza on i Littlemore znaleźli zwyczajny hotelowy pokój. Jej łóżko było zasłane, Luca także. Walizki leżały nietknięte. Na blacie stolika rzędy spalonych zapalek rozchodziły się promieniście starannymi półkolami - rezultat ulubionej zabawy chłopca.

Tylko wyłożona od środka ołowiem kasetka na materiały laboratoryjne Colette, otwarta i pusta na podłodze przed szafą, świadczyła o włamaniu. W stojącym powietrzu wisiał dym tytoniowy.

- A więc po to przyszli - stwierdził Younger ponuro. - Po tę kasetkę.

- Nie - zaprzeczył detektyw, otwierając szafki i sprawdzając, co jest za zasłonami. - Kasetkę zostawili.

Younger spojrział na Littlemore'a z niedowierzaniem i rozdrażnieniem. Postawił krok w kierunku pudełka.

- Nie dotykaj jej, doktorze - rzucił detektyw, zaglądając do łazienki. - Sprawdzimy, czy są na niej jakieś odciski palców. Co było w środku?

- Rzadkie pierwiastki. Na wykład, który miała wygłosić. Sam rad był wart dziesięć tysięcy dolarów.

Detektyw gwizdnął.

- Kto o tym wiedział?

- Oprócz jednej pani profesor z New Heaven nikt nie przychodzi mi do głowy. Ale ona nie jest przecież porywaczem.

Littlemore, zaglądając pod łóżko, odparł:

- A ta starsza kobieta, którą odwiedziliście dziś rano?

- Racja.

Kłęcząc, detektyw zaczął za pomocą szkła powiększającego i pęsety badać dywan wokół kasetki laboratoryjnej Colette.

- No, proszę! - mruknął.

- Co takiego? - zainteresował się Younger.

Littlemore rozcierał między kciukiem a palcem wskazującym kawałek popiołu, który właśnie podniósł ze sporego stosu na dywanie.

- Popiół jest jeszcze ciepły - stwierdził. - Ktoś był tu całkiem niedawno.

Littlemore wypadł na korytarz i popędził do wind. Younger nie pobiegł za nim, tylko podszedł do drzwi balkonowych i wkroczył w noc. Daleko w dole, w świetle wydobywającym się na ulicę przez drzwi hotelu, zobaczył to, czego podświadomie oczekiwał: mężczyzna w prążkowanym garniturze stał przy krawężniku.

- Ej, ty! - krzyknął Younger.

Nikt go jednak nie usłyszał. Balkon znajdował się zbyt wysoko, a na ulicy panował zbyt duży hałas. Obok prążkowanego garnituru zatrzymał się nagle samochód i ktoś od wewnątrz otworzył tylne drzwi. Gwałtowny skręt i ostre hamowanie sprawiły, że ze środka omal nie wypadł mały chłopiec. Chwilę później jego do połowy widoczne z góry

ciało wciągnęły z powrotem do środka jakieś niewidoczne ręce.

- Nie! - jęknął Younger, po czym wrzasnął na całe gardło: - Zatrzymać ten samochód!

Drobac się zawahał. Zadarł głowę, nie znalazł jednak osoby, która wydała z siebie ten krzyk. Younger krzyknął te same daremne słowa raz jeszcze, kiedy mężczyzna wsiadał na tylne siedzenie, i jeszcze raz, kiedy samochód ruszył pędem po Park Avenue; wkrótce jego tylne światła zniknęły w mroku nocy.

Dwie krople krwi skapnęły z włosów Youngera, kiedy krzyczał, poleciały na dół i rozbiły się na chodniku niedaleko miejsca, gdzie przed chwilą stał mężczyzna w prążkowanym garniturze.

• • •

Zanim wybrzmiało echo głosu Youngera, Littlemore wrócił do pokoju, usłyszawszy krzyk.

- To był facet sprzed windy - rzucił Younger.

- Ten włochaty z wypchanymi kieszeniami? - upewniał się Littlemore. - Jesteś pewien?

Younger spojrzał na detektywa. Potem powolnym ruchem podniósł z podłogi stolik - ten, na którym Luc układał wzory ze spalonych zapalek - i cisnął nim w lustro wiszące na drzwiach szafy. Nie nastąpiła satysfakcjonująca eksplozja szkła. Lustro tylko pękło, blat stolika również. Zapalki wirowały w powietrzu jak nasiona klonu spadające na ziemię jesienią.

- O Jezu, doktorze! - wycedził Littlemore.

- Widziałeś coś w jego kieszeniach - odparł cicho Younger. - Dlaczego go nie zatrzymałeś?

- Za to, że ma coś w kieszeniach?

- Gdybyś postawił przed hotelem swojego człowieka, moglibyśmy go złapać.

- Wątpię - powiedział Littlemore. - Coraz bardziej krwawisz.

- Jak to wątpisz?

- Gdybym postawił przed frontowymi drzwiami mundurowego policjanta, facet poszedłby nie do głównego wyjścia, tylko do bocznego. Albo do tylnego.

Potrzebowałibyśmy co najmniej sześciu ludzi.

- Dlaczego więc nie przyprowadziłeś sześciu ludzi? - zapytał Littlemore, podchodząc do Youngera.

- Spokojnie, doktorze.

- Dlaczego ich nie przyprowadziłeś?

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Oprócz tego, że nie miałem żadnego powodu, by to zrobić, to nie znalazłbym sześciu policjantów, nawet gdybym chciał. Jeśli jeszcze się nie zorientowałeś, to zwracam ci uwagę, że policja jest dziś trochę zajęta. Nawet mnie nie powinno tu być.

Zamiast odpowiedzieć, Younger popchnął Littlemore'a mocno w pierś.

- W takim razie spadaj!

- Co się z tobą dzieje? - zdziwił się Littlemore.

- Powiem ci, dlaczego go nie zatrzymałeś. Bo miałeś to w dupie!

- Ja? A kto potrzebował kilku godzin, żeby zauważyć, że jego dziewczyna zniknęła, choć wyszła tylko na pół godziny?

- Ponieważ ty ją zabrałeś - krzyknął Younger, wymierzając lewy prosty w głowę Littlemore'a. Detektyw się uchylił, ale Younger, który umiał się bić, spodziewał się właśnie uniku. W tej samej chwili uderzył celnie z prawej, posyłając Littlemore'a na dywan, a wraz z nim lampę.

- Skurczybyk - jęknął Littlemore z podłogi. Jego warga krwawiła.

Rzucił się na Youngera, uderzając nisko. Przelecieli przez cały pokój. Głowa Youngera uderzyła o ścianę. Znieruchomieli. Littlemore trzymał prawą pięść gotową do ciosu, ale Younger tylko patrzył tępo przed siebie.

- Ilu ludzi dzisiaj zginęło? - zapytał Younger. - Trzydziestu?

- Trzydziestu sześciu - odrzekł Littlemore, wciąż z podniesioną pięścią.

- Trzydziestu sześciu - powtórzył Younger pogardliwie. - I całe miasto jest sparaliżowane strachem. Nienawidzę umarłych!

Nie odzywali się obaj przez chwilę. Younger osunął się na podłogę i siedział oparty o ścianę. Littlemore usiadł obok niego.

- Zabieram cię do szpitala - powiedział zdecydowanie.

- Spróbuj!

- Wiesz, że jestem wyższy rangą - stwierdził detektyw.

Younger uniósł brew.

- Kapitan jest starszy rangą od porucznika - wyjaśnił Littlemore.

- Kapitan policji nie jest starszy rangą nawet od szeregowca w obozie rekrutów.

- Kapitan jest starszy rangą od porucznika - powtórzył Littlemore.

Cisza.

- Dlaczego powiedziałeś, że nienawidzisz umarłych? - zapytał Littlemore.

- Luc tak do mnie napisał. Brat Colette. On nie mówi. Co ja wtedy robiłem? Aha, czytałem książkę, którą mi podarował. A on mi wręczył kartkę, na której napisał: „Nienawidzę umarłych!” - Younger spojrzał na detektywa. - Przepraszam za to, że... że cię...

- Że mnie wałnąłeś w szczękę?

- Że cię obwiniałem - sprostował Younger. - To moja wina. Przeze mnie przyjechali do Ameryki. Przeze mnie ona poszła sama do apteki.

- Odnajdziemy ich - zapewnił Littlemore.

Younger opowiedział mu, co zobaczył z balkonu. Littlemore zapytał o markę samochodu, ale Younger nie potrafił jej określić. Widział go ze zbyt dużej wysokości. Nie był nawet pewien koloru.

- Odnajdziemy ich - powtórzył Littlemore.

- Jak? - zapytał Younger.

- Oto, co zrobimy. Ja pojedę do komisariatu, wystawię list gończy i jutro rano cała policja będzie szukała tego faceta. Ty poczekasz tutaj, na wypadek gdyby przysłali list z żądaniem okupu. Tymczasem ja przesłucham tę starszą panią, którą odwiedziliście. Jak ona się nazywa?

- Pani Williamowa B. Meloney. Mieszka przy Dwudziestej Zachodniej pod trzydziestym pierwszym.

- Może powiedziała komuś o próbkach, które Colette ze sobą przywiozła.

- Niewykluczone - zgodził się Younger.

- W ten sposób mogła się o nich dowiedzieć niewłaściwa osoba. - Stojąc już w drzwiach, Littlemore dodał: - Wyświadczyć mi przysługę. Załataj sobie jakoś głowę.

ROZDZIAŁ

Czwarty

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, BRATERSTWO - *TERROR*: słowo to wywodzi się z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Rządami terroru nazwano okres brutalnej władzy Robespierre'a. Setki tysięcy Francuzów uznanych wtedy za wrogów ludu więziono, głodzono, deportowano i torturowano. Czterdzieści tysięcy stracono. „Cnota i terror są niezbędne rewolucji - ogłosił Robespierre, dodając: - Terror nie jest niczym innym, jak tylko sprawiedliwością; szybką, okrutną i nieugiętą sprawiedliwością”. Tych, którzy go popierali, nazywano terrorystami.

Sto lat później kolejny rewolucjonista przyjął podobne standardy. „Nie możemy odrzucić terroru - pisał mężczyzna, który nazwał siebie Leninem. - Jest on jedną z form walki, która może się okazać absolutnie niezbędna”. Jego naśladowcy stali się terrorystami nowego stulecia.

Jednak z pewną różnicą. We Francji terror stanowił instrument władzy państwowej. Teraz skierowano go przeciwko państwu. Pierwotnie terrorysta był dobrze wychowanym francuskim despotą, butnie powołującym się na autorytet państwa i prawa. Teraz terrorysta stał się niechlujnym brodatym skrytobójcą - Słowianinem, Żydem albo Włochem podkładającym śmiercionośną bombę lub ukrywającym pistolet w kieszeni podartego płaszcza. Taki właśnie terrorysta, z pochodzenia Serb, dokonał w 1914 roku zamachu na austriackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, wywołując w ten sposób wojnę światową.

Niewątpliwie Niemcy chcieli wojny, nigdy jednak by nie wybuchła, gdyby nie zapął do walki młodych mężczyzn w całej Europie. Szybko ich gotowość, by oddać życie za ojczyznę, przekształciła się w piekło, jakiego nie mogli przewidzieć - kiedy na przykład gaz musztardowy niszczył ciała żywych ludzi brnących w lodowatej wodzie po kostki. Ale w gorące lato 1914 roku Europejczycy wszystkich stanów pragnęli tylko wyjść naprzeciw wrogom i zabić ich na polu walki.

Porównywalne uczucia ogarnęły obywatele Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza kiedy niemieckie okręty podwodne zaatakowały amerykańskie statki handlowe na morzu. Chociaż prezydent Wilson za wszelką cenę starał się zachować neutralność Ameryki, wojenne werble warczały coraz głośniej.

W końcu błąd Niemiec skłonił Amerykę do działania. W styczniu 1917 roku władze niemieckie nadały zaszyfrowaną depezę do prezydenta Meksyku, proponując mu udział w inwazji na Stany Zjednoczone. Meksyk miał dzięki temu odzyskać tereny zagarnięte przez północnego sąsiada, Niemcy natomiast zyskałyby, ponieważ ten sojusz oznaczał osłabienie armii amerykańskiej, zmuszonej do walki na dwóch frontach. Depeszę przechwyciła jednak i rozszyfrowała Wielka Brytania, która przekazała ją Wilsonowi. Stany Zjednoczone w końcu przystąpiły do wojny. Niebawem Ameryka zaczęła wysyłać

dziesięć tysięcy żołnierzy dziennie na pola walk w Europie, gdzie śmierć obficie zbierała żniwo.

Doktor Stratham Younger znalazł się w jednym z pierwszych amerykańskich transportów. Jako lekarz w randze porucznika trafił do brytyjskiego szpitala polowego na północnym zachodzie Francji.

• • •

Kiedy Littlemore wyszedł z hotelu, Younger dał się pochłonać wspomnieniom z czasów wojny: zobaczył Colette pochyloną nad wanną w ruinach zbombardowanego budynku owiniętą tylko dwoma białymi ręcznikami - jednym wokół tułowia, drugim na głowie, w kłębach gorącej pary, która wypełniała powietrze. Tyle tylko że nigdy jej takiej roznegliżowanej nie widział. W tym wspomnieniu, które wspomnieniem nie było, Colette zwracała ku niemu przestraszona twarz. Cofała się, jakby miał zamiar ją zaatakować, pytając, czy zapomniał. Zapomniał o czym?

Younger podszedł do umywalki w łazience, usiłując rozproszyć to pseudowspomnienie. Natychmiast zastąpił je jednak ziarnisty jak na fotografii obraz stojącej we mgle albo w epicentrum burzy szkolnej tablicy, na której ktoś rysował, ale nie kredą. Także to wspomnienie, jeśli w ogóle było to wspomnienie, stłamsił ze złością. Nagle nabrał pewności, że o czymś nie pamięta, o czymś ważnym i bieżącym.

Obmył twarz. Gdy zimną wodą przetarł powieki, zrozumiał, o co chodziło.

Younger raz jeszcze wyszedł na ciemny balkon. Na dole zobaczył Littlemore'a czekającego na swoje auto - tak samo jak czekał wcześniej mężczyzna w prążkowanym garniturze. Tym razem jednak krzyk nie był daremny. Wymachując rękami, dał sygnał detektywowi, żeby na niego poczekał.

• • •

Younger wypadł z hotelu na Czterdziestą Drugą. Niósł nieporęczną kolekcję zebranych pośpiesznie przedmiotów: karnisz zdjęty znad okna, metalowe pudełko ze wskaźnikami i przełącznikami oderwane od jednej ze ścianek, dwa długie przewody elektryczne, rolkę czarnej taśmy i dwudziestocentymetrową zatkaną z obydwu stron szklaną rurkę. Przykucnął, żeby położyć na chodniku cały swój bagaż.

- Potrzebny mi twój samochód - powiedział do Littlemore'a, dołączając przewody do szklanej rurki. - Jak mogłem być takim głupcem?

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się detektyw.

- To wykrywacz promieniowania - Younger podłączył drugi koniec każdego z przewodów do metalowego pudełka.

- Colette miała go użyć podczas swojego wykładu.

- Wygląda to bardzo szykownie, doktorze, ale jest kilka innych rzeczy, którymi powinienem się właśnie teraz zajmować.

- Każda próbka z kasetki Colette jest radioaktywna - wyjaśnił Younger, ciągle zajęty podłączaniem przewodów do pudełka. - Ich samochód zostawia za sobą radioaktywne cząsteczki, jak okruszki chleba. My ich nie widzimy, ale to urządzenie - owszem. Jeśli się pośpieszymy.

Younger pstryknął przełącznikiem na pudełku. W szklanej rurce błysnęło zielone światło, któremu towarzyszyły trzaski w pudełku. Po chwili równie niespodziewanie szklana rurka znów zrobiła się ciemna, a pudełko ucichło.

- Czy tego właśnie się spodziewałeś? - zapytał Littlemore.
- Raczej nie - odpowiedział Younger. - Radioaktywność powinna wytworzyć niebieskie wyładowania. Tak mi się wydaje.

Younger wziął pudełko w jedną rękę, a drugą wysunął przed siebie kamisz, do którego przykleił taśmą szklaną tubę, jakby to była różdżka. Nic się nie wydarzyło. Wszedł na Park Avenue, próbując wzdłuż chodnika oraz w powietrzu. W szkle rozbrzmiało na chwilę niebieskie wyładowanie.

- Mamy ich! - zakomunikował Younger.

Postawił krok w prawo. Nic. Cofnął się i zrobił krok w przeciwnym kierunku. W szklanej tubie pojawiło się kolejne niebieskie wyładowanie, a potem jeszcze jedno. Younger szedł za tymi iskrami, aż stanął twarzą w twarz z detektywem, wskazując różdżką prosto w jego pierś.

- I co? - zapytał Littlemore.

- Pewnie dlatego, że podszedłeś tak blisko do otwartej kasetki - stwierdził Younger. Wrócił na ulicę, nie zważając na irytację kierowców, którzy musieli go omijać swoimi samochodami. Szukał sygnału o wiele silniejszego od pojedynczych iskier, które doprowadziły go do Littlemore'a. Na środku jezdni w jego szklanej tubie wybuchnął miniaturowy niebieski fajerwerk. Kiedy ruszył naprzód, fajerwerk zamienił się w stabilne niebieskie wyładowanie, w metalowym pudełku natomiast wyraźnie dało się słyszeć trzaski.

- A niech mnie! - powtórzył Littlemore po raz drugi tego dnia.

Chwilę później jechali po Park Avenue pełnym gazem, Littlemore za kierownicą, a Younger stojąc na stopniu auta. Younger trzymał przed sobą kamisz, rozjaśniając ciemność ciepłej nocy Manhattanu niebieskimi iskrami w szklanej tubie umieszczonej na jego końcu.

• • •

Na Times Square sygnał nagle ustał.

- Skręcili - zawyrokował Younger. Zeskoczył ze stopnia z pudełkiem i gzymsem w rękach, Littlemore tymczasem zawrócił auto. Younger szukał cząstek radioaktywnych. Na północy ich nie znalazł, kiedy jednak przeszedł w stronę placu bliżej centrum miasta, niebieski prąd wewnątrz szklanej rurki ożył. Niebawem jechali na południe Broadwayem. Przez ponad dwie mile urządzenie świeciło i trzaskało bez przerwy.

- Dlaczego? - Younger przekrzykiwał hałas silnika.

Littlemore zinterpretował jego pytanie:

- Dlaczego ją porwali?

Younger skinął głową.

- Dziewczyny są porywane z dwóch powodów - krzyknął detektyw. - Jeden z nich to pieniądze.

• • •

Colette nie miała pojęcia, jak by się zachowała, gdyby była sama. Kiedy samochód w końcu się zatrzymał i wyciągnęli ją na nieoświetloną ulicę, Miljan i Zelko, dwaj głupi kompani, prowadzili zaciętą kłótnię. Niewykluczone, że zdecydowałyby się na ucieczkę, gdyby była sama. Ale oni mieli jej brata; próba wyrwania się z rąk porwaczy nie wchodziła w grę.

Miljan, niższy i śmierdzący cebulą, najwyraźniej usiłował ustalić z kumplem, który z nich będzie jej pilnował. Wyrwali ją sobie przez chwilę i doszło nieomal do bójki, aż w końcu Drobac kazał Miljanowi zająć się Lukiem, podczas gdy Zelkowi powierzył pieczę nad Colette.

• • •

W płątaniu uliczek Lower East Side Younger musiał schodzić na jezdnię na każdym skrzyżowaniu, szukając śladów radioaktywności na kolejnych zakrętach i rozjazdach w istnym labiryncie zaułków. Kilka minut później na ciemnej jezdni trzaski urządzenia Youngera stały się tak głośne, że doktor musiał ściszyć aparaturę.

- Jesteśmy blisko - powiedział.

• • •

Luca rzucono na podłogę jednego z mieszkań w zrujnowanym starym domu; na ścianach spod płatów łuszczącej się farby wyzierała zielona pleśń, a za ścianami tupotały szczury. Miljan przywiązał chłopca do zardzewiałego kaloryfera.

Colette stała pośrodku pokoju. Muskularny i pozbawiony szyi Zelko trzymał ją za włosy, czekając na rozkazy. Drobac podszedł do stołu, żeby zakręcić korbą fonografu. Walec urządzenia zaczął się obracać i z tuby popłynął wśród trzasków wspierany przez orkiestrę swingową radosny głos Ala Jolsona, który opowiadał, że teraz jego kapitan pracuje dla niego. Drobac poruszał głową do rytmu.

- To dobre - stwierdził. - Amerykańska muzyka jest dobra.

Ustawił urządzenie najgłośniej, jak się dało.

• • •

Nagle trzaski w aparacie Youngera osłabły.

- Zawróć - polecił. - Minęliśmy ich.

Kilka chwil później Younger zidentyfikował źródło promieniowania: czarny sedan zaparkowany pośrodku przecznicy. W środku nie było nikogo. Wzdłuż ulicy znajdowały się głównie magazyny, teraz ciemne i pozbawione życia. Tylko z jednego budynku dochodziły jakieś odgłosy - ze starego dwupiętrowego, ceglanego domu z płaskim dachem. Kiedyś mogła to być przyzwoita siedziba jakiejś rodziny, teraz jednak budynek stał się ruiną. W kilku dużych brudnych oknach paliło się słabe światło. Ze środka dochodziła muzyka.

Younger wychwycił delikatny sygnał prowadzący od auta do frontowych drzwi tego domu. Żaden z nich się nie odezwał. Littlemore wyjął coś, co wyglądało jak linijka, oraz mały metalowy łom.

• • •

Drobac opróżnił kieszenie i wyjął przedmioty doskonale znane Colette: mosiężne flaszki, zamknięte próbki z kolorowymi proszkami, skrzące się kawałki rudy. Umieścił je na stole obok ryczącego na cały regulator fonografu. Następnie w niezrozumiałym dla kobiety języku wydał jakieś polecenie kompanom, po czym podszedł do drzwi i otworzył je.

Znad marynarki w kratę Miljan rzucił mu złośliwy uśmiech. Najwyraźniej Drobac kazał Zelce opuścić pokój. Ten zaklął i splunął na podłogę. Mimo oznak niezadowolenia

wziął krzesło, wyniósł na korytarz i usiadł na nim ciężko z założonymi rękami. Drobac także wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Colette poczuła na karku ciepły obrzydliwy oddech.

• • •

Z pistoletem w ręku Younger wszedł do wyłożonego płytkami ponurego holu. Na parterze nie było żywego ducha. Dźwięki swingu dochodziły z góry Younger odebrał sygnał prowadzący właśnie na piętro. Littlemore wykonał gest, jakby podcinał sobie gardło. Younger wyłączył miernik promieniowania. Schody były brudne, ale mocne. Lekko skrzypiały, kiedy mężczyźni wchodzili na górę.

Na piętrze z sufitu zwisała nieosłonięta żarówka. Muzyka bigbandu brzmiała nienaturalnie. Przedzierały się przez nią zwykle odgłosy domowe - szcęk naczyń w kuchni, szum wody w spłuczce w toalecie. Littlemore przeszedł ostrożnie do przodu, przykucnął, wyrzał za róg i zobaczył Zelkę siedzącego z założonymi rękami na drugim końcu korytarza. Natychmiast się wycofał, gestem wskazując Youngerowi schody.

- Strażnik - szepnął. - Na krzesle w końcu korytarza.
- Załatwisz go? - zapytał Younger także szeptem.
- Pewnie, że mogę. Tylko co potem? Ci w środku usłyszą hałas, wtedy Colette i chłopak staną się zakładnikami. Albo zginą.

Z końca korytarza dobiegł przytłumiony przez ścianę krzyk. Tylko jedno słowo było zrozumiałe: „Nie”. Kobięcy głos wykrzyknął je z francuskim akcentem. Potem coś ciężkiego, może ciało, upadło na podłogę.

Littlemore musiał powstrzymać Youngera.

- Zastrzelą ją! - wycedził detektyw szeptem. - Słuchaj mnie uważnie. Potrzebne mi coś, co odwróci ich uwagę. Jakiś hałas na ulicy. Albo rzuć kamieniem w okno. Rozbij szybę. Potrzebuję czegoś wystarczająco głośnego, żeby ten facet wstał z krzesła i wszedł do pokoju.

- Załatwione - obiecał Younger. Zamiast jednak zejść na ulicę, wspiał się wyżej po wąskich schodach, które prowadziły na dach.

• • •

Rzucona na ziemię Colette leżała częściowo na podłodze, a częściowo na cienkim poplamionym materacu. Policzką dotykała drewnianej podłogi, ręce miała związane za plecami. Miljan, ten w za dużej kraciastej marynarce, znajdował się za nią z pistoletem w dłoni.

Czuła jego cuchnący oddech i dłoń wędrującą w okolicach jej talii. Kopnęła na oślep, udało jej się jednak trafić mężczyznę w kolano. Zdławił okrzyk, ale podskakiwał z bólu na jednej nodze. Colette przeturlała się na plecy i kopnęła go w drugą nogę. Upadł na kolana, a wtedy kolejnym kopniakiem wytrąciła mu z ręki broń. Zaskoczony i wściekły mężczyzna rzucił się po pistolet, który z hukiem upadł na podłogę obok Luca. Miljan już po niego sięgał, kiedy chłopiec, nadal przywiązany do rury grzejnika, kopnął pistolet i skierował go z powrotem ku siostrze.

Colette zdołała przesunąć skrepowane dłonie na bok. Szczęście albo przeznaczenie sprawiło, że pistolet wślizgnął się prosto w jej dłonie. Zdołała już zacisnąć palce na rękojeści, kiedy Miljan nadepnął na jej rękę, jakby chciał zdeptać karalucha.

Krzyknęła. Nawet wtedy, kiedy napastnik miażdżył jej dłoń podeszwą buta,

próbowała położyć palec na spuście. Daremnie. Miljan wyszarpnął pistolet i przyłożył do jej skroni.

• • •

Na szczycie schodów Younger otworzył wypaczone drzwi i wyszedł na dach. W świetle księżyca dostrzegł rozwieszane pranie, przewrócony stół i ceglany komin na przeciwległym końcu. Podszedł do krawędzi od strony ulicy. Nie dostrzegł żadnego parapetu ani gzymsu. Komin był teraz tuż obok niego. Younger ocenił, że znajduje się dokładnie nad pokojem, w którym przetrzymywano Colette i Luca. Oderwał karnisz od urządzenia, które ciągle trzymał w rękach, zbił szklaną tubę na jego końcu i kawałkiem szkła przeciął linkę, na której wisiało pranie.

• • •

Colette poczuła szarpnięcie za skraj sukienki i usłyszała delikatne stukanie o podłogę: oderwany guzik odbijał się od desek. Miljan znów stał za nią. Szarpnął sukienkę od góry, odrywając kolejne guziki. Zaczął głaskać skórę między jej łopatkami lufą pistoletu. Mały przezroczysty guzik kręcił się jak rzucona moneta tuż obok Luca. Cokolwiek chłopiec czuł, nie zdradzał się z tym.

• • •

Younger stanął na krawędzi dachu plecami do ulicy, dokładnie nad oknem, o które mu chodziło. Wcześniej przywiązał jeden koniec linki do komina. Pod pachą trzymał karnisz z rozbitym szkłem na końcu, który zamienił się w tak dobrze mu znany bagnet. Szarpnął silnie za linkę, żeby sprawdzić węzeł. Trzymał.

Younger wziął głęboki wdech i odbił się od dachu. Przez chwilę linka ślizgała się w jego palcach, zaraz jednak chwycił ją mocno. Kiedy się napружиła, zaczął opadać w stronę okna. Przeleciał przez nie nogami naprzód pośród odłamków brudnego szkła i sosnowych drzazg.

Czekający w środku Littlemore usłyszał trzask i zobaczył, jak Zelko podrywa się z krzesła na końcu korytarza i wpada do pokoju. Littlemore puścił się biegiem po pustym korytarzu.

Younger przekoziołkował po podłodze, ale natychmiast się podniósł ze swoim bagnetem w rękach, plując farbą i kawałkami drewna. To co zobaczył, zaskoczyło go całkowicie: słabowity starzec w koszuli nocnej, z kosmykami siwych włosów wokół twarzy, patrzył na niego z otwartymi ustami, pokazując braki w uzębieniu. Younger wdarł się do niewłaściwego pokoju.

Littlemore trafił do właściwego. Liczył, że zaskoczeni działaniem Youngera mężczyźni dobiegną do okna i będą zwrócenii tyłem do niego. Niestety, kiedy stanął w drzwiach, Miljan i Zelko patrzyli prosto na niego. Potrzebowali ledwie sekundy, żeby otworzyć ogień, ale ta sekunda wystarczyła Littlemore'owi. Rzucił się na kolana. Kule przeleciały nad jego głową, podczas gdy on turlał się po podłodze.

Detektyw był zbyt sprytny, żeby strzelać do obydwu mężczyzn, bo musiałby wtedy szybko przesunąć pistolet między jednym a drugim i zapewne nie trafiłby żadnego. W mgnieniu oka uznał, że Zelko jest groźniejszy, i posłał w jego pierś trzy kule. Mężczyzna osunął się na kominek.

Przez ten czas Miljan strzelał, robił to jednak na oślep. Kiedy Littlemore ślizgał się w

jego kierunku, Miljan pociągał za spust zbyt szybko, nie uwzględniając odrzutu broni. W rezultacie trafił w powietrze nad głową detektywa, aż ten uderzył w niego z impetem. Obaj potknęli się o ciało Zelki i przewrócili. Nie było szarpaniny: Littlemore natychmiast ogłuszył przeciwnika rękojęścią pistoletu, po czym przykuł kajdankami do żelaznego pierścienia wystającego z kominka.

Younger wbiegł do pokoju z sosnowymi drzazgami we włosach, wymachując swoim bagnetem, który w trakcie przeprawy przez okno stracił szklane ostrze i był już tylko zwyczajnym karniszem. Colette i Lue spojrzeli na niego. Fonograf wypełniał pokój swingowym rytmem.

- Nie ma to, jak dobrze odwrócić uwagę, doktorze - rzucił Littlemore, omijając wzrokiem Colette w sukience zsuniętej z ramion, po czym zajął się oswobodzeniem Luca.

Younger podszedł do Colette. Nieznaczny ruch głową i dyskretny uśmiech powiedziały mu, że nic się nie stało. Naciągnął jej sukienkę na ramiona, dostrzegł siniak nad okiem i nie zważając na konwenanse, chciał ją przytulić.

- Może najpierw byś mnie rozwiązał? - odezwała się.
- Oczywiście.
- Jest jeszcze jeden mężczyzna, ten z brodą - dodała.
- Złapaliście go?

Younger i Littlemore spojrzeli na siebie. Niemal w tej samej chwili poczuli, że ktoś ich obserwuje od drzwi. Littlemore zareagował pierwszy. Skoczył na równe nogi, jednocześnie odwracając się i podnosząc broń. Nie zdążył. Drobac trafił go jednym strzałem. Trysnęła krew, detektyw upadł na stół, a jego pistolet poszybował przez pokój.

Younger podniósł się znacznie wolniej, stojąc plecami do drzwi i podnosząc ręce, żeby pokazać, że nie ma broni; w prawej dłoni nadal trzymał karnisz. Littlemore zsunął się na podłogę, ściskając zakrwawione lewe ramię. Muzyka ucichła, kiedy upadał na stół. Jedynym dźwiękiem był teraz odgłos probówki toczącej się wolno po blacie stołu.

Drobac szczechnął coś niezrozumiałego do Miljana, który leżał przykuty do pręta przy kominku. Ten odpowiedział równie enigmatycznie.

- Ty się odwróć - rozkazał Youngerowi Drobac. Mówił z silnym akcentem wschodnioeuropejskim, którego Younger nie potrafił zidentyfikować. - Zanim cię zabiję.

Younger zauważył, że Luc wskazuje gestem blat stołu. Oczy chłopca wpatrzone były w obracającą się powoli zamkniętą probówkę wypełnioną drobnymi czarnymi kryształkami. Probówka toczyła się ku krawędzi stołu, by za chwilę spaść pod nogi leżącego na podłodze Littlemore'a. Najwidoczniej Luc wiedział, że czarny proszek w probówce to dwutlenek uranu - substancja nie tylko radioaktywna, ale też piroforyczna, czyli ulegająca samozapłonowi w kontakcie z powietrzem.

- Złap to - cicho powiedział Younger do Littlemore'a.
- Co? - zapytał detektyw.
- Probówkę.

Littlemore spojrział na stół dokładnie w chwili, kiedy szklana rurka spadała z blatu. Złapał ją w powietrzu zdrową prawą ręką.

- A teraz mi wystaw tłusciocha na Broadwayu - dokończył Younger szeptem.

- Zamknij się! - warknął Drobac. - Gdzie są? Powiedziałem, odwróć się! Bo strzelę ci w plecy.

- W porządku, już się odwracam - krzyknął Younger. Przekręcając się powoli

twarzą do Drobaca, złapał spojrzenie Littlemore'a i skinął głową. Detektyw zrozumiał, co ma zrobić: tłuszcioch na Broadwayu oznaczał w slangu rzut łatwy do odbicia. Nie rozumiał jednak, dlaczego Younger tego chciał. Mimo wszystko jednak, wzruszając ramionami, podrzucił probówkę. Younger zamachnął się karniszem jak kijem bejsbolowym i roztrzaskał probówkę, posyłając w stronę Drobaca czarną chmurę dwutlenku uranu, która niemal natychmiast zamieniła się w ognistą kulę.

Drobak stanął w ogniu, pokrywając się od ramion w górę wielobarwnymi płomieniami - od niebieskiego przez zielony i żółty do purpurowego. Młóćąc rękami w powietrzu, wyszedł na środek pomieszczenia. Upuścił pistolet i złapał się za twarz. Younger podniósł z podłogi jego pistolet. Littlemore chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę pokoju po własny.

Chwilę później czarne kryształki wypaliły się jak nitroceluloza. Ogień zgasł, zostawiając niteczki dymu i mężczyznę w osmalonej prążkowanej marynarce, który stał pośrodku pokoju i klepał się po twarzy, jakby chciał się przekonać, że nadal ją ma. Wściekłość w jego oczach zastąpiła najpierw ulga, a zaraz potem zażenowanie. Nikt się nie poruszył. Younger i Littlemore trzymali pistolety wymierzone w Drobaca. W powietrzu unosił się smród przypalonych włosów.

Drobac się napreżył. Wolnym ruchem wyjął z kieszeni marynarki nóż.

- Chyba żartujesz - wycedził Littlemore.

Drobac pobiegł prosto do dużego okna. Machnął ręką, zanim rozbił to samo szkło, przez które Younger zamierzał się wedrzeć do środka kilka minut wcześniej. Littlemore nie strzelił do niego. Younger chciał to zrobić, ale pistolet uciekiniera się zaciął - prawdopodobnie był to skutek płonącego dwutlenku uranu. Littlemore i Younger podbiegli do parapetu, skąd dostrzegli, jak mężczyzna podnosi się z chodnika i kulejąc, znika w mroku.

- Patrzcie! - krzyknęła Colette, wskazując kominek.

Miljan z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w powietrze. Okazało się, że uciekinier zostawił im swój nóż - wbił go prosto w serce kompana.

• • •

Minęło sporo czasu, zanim na miejsce przybyli policjanci i ambulans, który zabrał ciała. Younger w końcu się zgodził pojechać do szpitala, żeby opatrzone mu ramię. Później zrodziło się pytanie, gdzie umieścić na noc Colette i Luca. Littlemore twierdził, że nie mogą wrócić do hotelu. Jego żona Betty, która przyjechała do szpitala na wieść, że mąż został ranny - już na miejscu sprawiała wrażenie rozdrażnionej, ponieważ rana okazała się jedynie powierzchowna - przekonała wszystkich, żeby pojechali do mieszkania Littlemore'ów przy Czternastej.

- Po drodze zatrzymamy się w komisariacie - stwierdził Littlemore. - Trzeba spisać zeznania. Niestety, nie unikniemy papierkowej roboty.

• • •

Dwie godziny później podpisane zostały ostatnie protokoły policyjne. Pusty radiowóz czekał na nich z włączonymi światłami przed miejską komendą policji przy Centre Street.

Schodzili po ciemnych schodach parami: z przodu kobiety za nimi Littlemore i Younger, ten ostatni z Lukiem na rękach. Lewy rękaw kurtki Littlemore'a zwisał luźno,

ponieważ unieruchomioną rękę zawieszono na temblaku.

Jeden z funkcjonariuszy, stojąc w drzwiach, głośno domagał się od Littlemore'a instrukcji. Younger i Littlemore odwrócili się przodem do niego. W rezultacie Luc patrzył na ulicę, gdy jego siostra i Betty Littlemore wchodziły do radiowozu. I zobaczył coś, czego nie widział nikt inny: dwie kobiety w świetle reflektorów auta. Jedna miała rude włosy powiewające na nocnym wietrze, druga owinęła głowę chustą. Pierwsza powoli podeszła do samochodu. Jej stopy znajdowały się poniżej snopa światła, przez co zdawała się unosić w powietrzu. Druga stała w świetle reflektorów. Wokół szyi miała szal, który zaczęła odwijać.

Pierwsza kobieta sięgnęła do klamki drzwi od strony Colette. Zauważyła ją Betty i krzyknęła, po czym spojrzała przed samochód i wskazała w tamtą stronę ręką. Colette, przestraszona krzykiem Betty spróbowała zablokować drzwi, ale było już za późno. Zamek ustąpił z trzaskiem i drzwi się otworzyły. W tej samej chwili kobieta stojąca przed samochodem skończyła odwijać swój szal.

Przerażona Betty zaczęła wrzeszczeć.

Littlemore krzyknął. Razem z Youngerem zbiegli ze schodów. Rudowłosa kobieta dostrzegła ich, odwróciła się i zniknęła w ciemności. Littlemore pobiegł za nią. W pogoń rzucił się też funkcjonariusz, który prosił Littlemore'a o instrukcje, oraz kilku innych, zwabionych krzykiem Betty. Rozeszli się we wszystkie strony, przeszukali całą przecnicę, dobijali się do drzwi, oświetlali latarkami wnętrza zaparkowanych w okolicy samochodów; kobiety przepadły jednak bez śladu.

Kiedy Littlemore wrócił do radiowozu, Betty wciąż zakrywała usta dłonią.

- Widziałaś to?
- Co? - odpowiedziała pytaniem Colette.

Betty była wyraźnie przerażona.

- To był jakiś potwór, Jimmy
- Już dobrze - uspokajał ją Littlemore.
- To rosło!
- Co takiego? - zapytał Littlemore.
- Nie wiem - odparła Betty. - To żyło. I było jak głowa. Głowa dziecka.
- Ta kobieta niosła na rękach dziecko?
- Ona niczego nie niosła! - krzyknęła Betty. - To coś było do niej doczepione. Jakby wyrastała jej z szyi głowa dziecka!

Zapadła cisza.

- Jedźmy stąd - zarządził Littlemore, pomagając Betty wsiąść do radiowozu. Rzucił kluczyki Youngerowi. - Ty prowadzisz, doktorze.

• • •

O drugiej nad ranem Younger i Littlemore pili bourbona przy stole kuchennym w mieszkaniu detektywa. Między nimi stała do połowy opróżniona butelka. Pozostali bohaterowie wydarzeń mocno spali.

Littlemore liczył coś w myślach.

- Kiedy wyjechałeś, ile dzieci mieliśmy z Betty? - zapytał.
- Younger nie odpowiedział.
- Nieważne. Teraz mamy o troje więcej - dodał Littlemore.
 - Czyli siedemdziesięcioro dwoje.

- W porządku. Podsumujmy to, co mamy. Sporo tego: ząb, bomba, porwanie i dwie kobiety przy radiowozie, z których jedna hodzi na szyi zapasową głowę. Pewnie próbujesz teraz ustalić, jak to wszystko się ze sobą wiąże?

- Być może.

- Nie myśl o tym w taki sposób. Nigdy nie zakładaj żadnych powiązań. Trzeba analizować po kolei, jedno po drugim. Pozwól więc, że raz jeszcze podsumuję, co mamy, jedno po drugim: zbieraninę wydarzeń, które nie mają żadnego sensu. - Littlemore przekrzywił głowę. - Wiedziałeś, że za chwilę nastąpi wybuch. Skąd?

Younger wzruszył ramionami.

Littlemore zakręcił szklaneczką, mieszając whisky.

- Dziecko nie może wyrastać z szyi kobiety, prawda?

Younger znów wzruszył ramionami.

- Nie jesteś specjalnie wygadany, prawda? - zapytał Littlemore.

Younger chciał wzruszyć ramionami, ale się powstrzymał.

- Powiem prosto z mostu - ciągnął Littlemore. - Nie wróciłeś do pracy na uczelni. Nie prowadzisz badań naukowych. Nie wznowiłeś praktyki lekarskiej. Co więc robisz?

- Kuszę los.

- Trudno to nazwać robotą.

- Niedawno wróciłem.

- Owszem, ale wojna się skończyła dwa lata temu. Gdzie byłeś przez ten czas?

Minęło kilka minut. Mężczyźni pili dalej.

- Nie znam nikogo, kto by chciał umierać - rzekł Littlemore.

- Jak to?

- Dziś rano się dziwiłeś, że tak wielu mężczyzn chciało umierać.

Younger wiedział, że Littlemore próbuje coś z niego wyciągnąć; nie przeszkadzało mu to.

- Trzeba było widzieć Francję w tysiąc dziewięset osiemnastym - podjął Younger. Podniósł się i zapalił papierosa długą zapalką do podpalania w piecu. - Brytyjczycy i Francuzi mieli już wtedy dosyć. Chcieli tylko przetrwać. Nie wierzyli własnym oczom, kiedy dołączyli do nich Amerykanie. Jakbyśmy przez całe życie nie mogli się doczekać okazji, żeby umrzeć.

- Też bym tam był. Gdyby nie Betty i dzieciaki - powiedział Littlemore.

- Ale nie chodzi tylko o wojnę - ciągnął Younger. - Daj ludziom posmakować strachu, a wychłpczą go do ostatniej kropli. Niby po co są kolejki górskie w wesołym miasteczku na Coney Island?

- Nie po to, żeby umierali ludzie - odrzekł Littlemore.

- Żeby mogli poczuć strach przed śmiercią. Bogaci ludzie wiodący wygodne życie zabijają się, chodząc po górach. Albo dla sportu pilotując samoloty. Wiesz, co się dzieje, kiedy gazety doniosą, że ktoś zmarł na serce w wagoniku kolejki na Coney Island? Następnego dnia bilety kupuje jeszcze więcej osób.

- Ja nie jeżdżę kolejką w wesołym miasteczku - Littlemore napełnił puste już szklanki. - Po co ktoś miałby detonować bombę na ulicy? To nie ma sensu.

- Bo myślisz jak policjant. Szukasz motywu.

- Oczywiście, że tak.

- A jeśli oni chcieli po prostu zabijać?

- Po co?

- Kogo zabijesz, jeśli pałasz nienawiścią do całego kraju? - replikował Younger. - Dawniej byłby to król. Zaatakuj króla Anglii, a zaatakujesz całą Anglię. Ale prezydent? Prezydent jest tylko politykiem, który i tak odejdzie za kilka lat. Demokracja sprawiła, że mord polityczny jest nie na miejscu. Trzeba więc mordować zwykłych ludzi.

Littlemore zastanowił się nad tym.

- Dlaczego mieliby nas nienawidzić? - zapytał.

- Cały świat nas nienawidzi.

- Nie ma ludzi, którzy nas nienawidzą. Wszyscy kochają Amerykę.

- Niemcy nienawidzą nas, bo ich pokonaliśmy. Anglia i Francja nienawidzą nas za to, że przynieśliśmy im ocalenie. Rosja nienawidzi nas, bo jesteśmy kapitalistami. Reszta świata natomiast nienawidzi nas jako imperialistów.

- To żaden motyw - stwierdził Littlemore. - Nie jesteś ciekaw, dlaczego potrzebowałem dziś Colette?

- Dlaczego?

- Pewien facet nazwiskiem Fischer kilka dni temu wysłał znajomemu bankierowi ostrzeżenie, żeby się trzymał z dala od Wall Street piętnastego. Fischer pracuje w jakiejś francuskiej instytucji kilka przecznic od miejsca wybuchu. Zabrałem Colette, żeby tłumaczyła. A teraz posłuchaj: Francuzi też dostali wczoraj od Fischera list ostrzegający ich, że coś się szykuje na Wall Street.

Younger aż gwizdnął.

- Kim on jest?

- Zapytałbym raczej, gdzie on jest. Wygląda na to, że uciekł od Francuzów jakiś miesiąc temu. Prawdopodobnie jest w Kanadzie. Znajdziemy go. Powiedziałem o tym prasie. Za kilka godzin będzie go szukać milion ludzi. A wiesz, co jest najzabawniejsze? Francuski szef Fischera podarł list od niego i wyrzucił. Musieliśmy wyciągać drobne kawałki z kosza na śmiecie. Nikt nie potraktował tego faceta poważnie. - Littlemore zakorkował butelkę z bourbonem, postawił na stole i zakręcił. - Próbują nas odciąć od tej sprawy.

- Francuzi?

- Nie. Federalni. Chcą przejąć śledztwo. Duży Bill Flynn już przyjechał. Palmer też się wybiera.

A. Mitchell Palmer był prokuratorem generalnym Stanów Zjednoczonych, a William J. Flynn dyrektorem Biura Śledczego, agencji federalnej.

- Całe Biuro Śledcze przyjeżdża do Nowego Jorku - ciągnął Littlemore z miną, jakby przełykał coś obrzydliwego. -

Do tego przedstawiciele Departamentu Skarbu i agenci Tajnej Służby. Dziesiątki ludzi. Podobno śledztwo jest w rękach władz federalnych, tak przynajmniej twierdził wczoraj Duży Bill. Znaczy Flynn. Powiem ci coś: żaden z niego Teddy Roosevelt. Kilka lat temu był szefem nowojorskich detektywów. Nikt go nie lubił. I pomyśleć, że jako dziecko chciałem zostać agentem federalnym! Z ojcem rozmawialiśmy, jak to będzie. Nadal o tym rozmawiamy. Że niby awansuję w policji, a potem przeniosę się do Waszyngtonu i zacznę pracować dla Roosevelta. To chyba dobrze, że mi się nie udało, skoro rządzą tam Palmer i Flynn, a Kongres uchwałą ustawę o prohibicji. W ogóle już nie rozumiem, co się wyrabia w tym Waszyngtonie.

- Szkoda, że Roosevelt nie żyje - stwierdził doktor. W odróżnieniu od Littlemore'a, który wymawiał nazwisko byłego prezydenta tak jak większość Amerykanów, Younger

wymawiał je przez o, podobnie jak sami Rooseveltowie.

- Co go zabiło? Ta kula, której nie udało się mu wyjąć z klatki piersiowej?
- Nie. Umarł na malarię.
- Spotkałeś go kiedyś? - zapytał Littlemore.
- Raz czy dwa - odpowiedział Younger. - Był moim kuzynem.
- Wszyscy są twoimi kuzynami.
- Nie łączyły nas więzy krwi. To było dalekie pokrewieństwo. Lepiej znam jego córkę Alice. Dokładnie rzecz ujmując, lepiej ją znałem.

- Nie mów!

Younger milczał.

- Jasna cholera, doktorze! Kręciłeś z córką Roosevelta? - krzyknął Littlemore. - Z tą ślicznotką? Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Głównie dlatego, że już miała męża.
- Oj, doktorze - westchnął Littlemore. - Córka samego Roosevelta! Czy to było, zanim poznałeś Norę?
- Musiała znosić takiego dziwkarza - dodał Younger.
- Żaden z ciebie dziwkarz.
- Chodziło mi o męża Alice. Ale dziękuję.
- Jesteś raczej kobieciarzem.
- Cóż za subtelne rozróżnienie! Nie jestem kobieciarzem. Nie sypiam z kobietami. Chyba że coś do nich czuję. Ale to się zdarza raczej rzadko. Ty skaczesz na boki?

- Ja? - roześmiał się Littlemore. - Zawsze zadaję sobie pytanie, co zrobiłby mój ojciec. On nigdy by się do czegoś takiego nie posunął, a więc ja też nie.

- Jak on się czuje? Twój ojciec?
- Dobrze. Nadal odwiedzam go prawie w każdy weekend.
- Littlemore uderzał palcami w blat stołu. - A tak w ogóle, co to za imię Drobac? - Colette zeznała na policji, że porywacz, który im uciekł, szef tamtych dwóch, tak właśnie był nazywany przez swoich kompanów. - I dlaczego zadał nam wtedy pytanie: „Gdzie są?”. Kogo miał na myśli? Albo co?

- I dlaczego zabił swojego kumpla? - dorzucił Younger.

- To akurat proste. Zabił go, żeby nie gadał. - Littlemore położył nogi na stole. - Ale jednego nie rozumiem.

- Mojego zachowania wobec Colette? - zgadywał Younger.
- Przywozisz ją z Francji - ciągnął Littlemore z większym zapalem - ale każesz jej mieszkać w Connecticut. Odchodzisz od zmysłów, kiedy znika, ale w jej obecności zachowujesz się, sam nie wiem, nader poprawnie.

- Chcesz wiedzieć, kiedy się oświadczę?
- Inaczej po co ciągnąłbyś ją przez Atlantyki? Chyba że zamierzasz ją zrujnować.
- Chyba bardzo cię dziś interesuje perspektywa mojego małżeństwa.
- Więc jak, zamierzasz czy nie? - zapytał Littlemore.
- Zrujnować ją? Już próbowałem - odparł Younger. Pociągnął spory łyk bourbona. - Chcesz posłuchać, jak to było?

- Pewnie.

ROZDZIAŁ

Piąty

W październiku 1917 roku porucznik doktor Stratham Younger został przerzucony do amerykańskiego szpitala polowego w Einville niedaleko Nancy, gdzie oddziały armii Stanów Zjednoczonych zostały w końcu rozlokowane na linii frontu. W tamtym czasie żołnierze amerykańscy służyli pod dowództwem francuskim i Younger leczył w rezultacie więcej Francuzów niż Amerykanów. Przez całą ciężką zimę i wiosnę z pierwszą, a później z drugą dywizją Younger przemierzył wzdłuż i wszerz front zachodni, przydzielany tam, gdzie były największe potrzeby: klin pod St. Mihiel, Seicheprey, Chaumont-en-Vexin, Cantigny, Bois de Belleau.

Właśnie tam, w pobliżu lasów Belleau na obrzeżach Chateau-Thierry, poznał Colette.

Świtało. Wraz z czerwienią na niebie przyszła chwila spokoju po ciężkich nocnych bombardowaniach. Younger wyszedł z lasu na otwarte pole, prowadząc rannego starego francuskiego kaprała do punktu medycznego. Punkt był nietknięty - białe namioty, stoły i szafki z instrumentami stały na swoim miejscu - ale w zasięgu wzroku nie dostrzegł ani jednego lekarza czy sanitariusza. Najwidoczniej personel medyczny zwinął się w pośpiechu.

Z przeciwległej strony pola dochodził hałas. Francuska piechota zebrała się wokół sanitarki Czerwonego Krzyża. Younger pomyślał, że wyglądają jak gromada dzieci skupionych wokół budki z lodami, tylko spowija ich aura samczej żądz.

Z ramieniem kaprała wokół szyi Younger przeszedł przez pole, przecinając pasma mgły przywierające do pobrużdżonej ziemi. Przy sanitarce stała młoda kobieta otoczona półkolem rozochoconych mężczyzn i odwrócona do nich tyłem, ponieważ przez okno zaglądała do wnętrza szoferki. Mężczyźni wykrzykiwali - po francusku, który Younger rozumiał - nazwy rzekomych chorób i dolegliwości, udając, że potrzebują pomocy. Jeden z nich, wrzeszcząc wyjątkowo głośno, błagał dziewczynę, żeby włożyła rękę pod jego koszulę, ponieważ serce wali mu jak młot i rośnie niebezpiecznie.

Dziewczyna wyciągnęła z szoferki brązową torbę. Była szczupła, pełna wdzięku, ciemnowłosa, mniej więcej dwudziestoletnia. Trzymała głowę wysoko i miała aż nienaturalnie zielone oczy. Ubrana w prostą wełnianą spódnicę i niebieski sweter na pewno nie była pielęgniarką.

Odezwała się do otaczających ją mężczyzn. Younger nie słyszał, co powiedziała, dostrzegł jednak, że rzuciła brązową torbę temu, który krzyczał najgłośniejszym głosem. Tamten ją złapał, upuszczając karabin, co wywołało śmiech pozostałych. Dziewczyna znowu się odezwała. Jeden po drugim mężczyźni milkli speszzeni, po czym zaczęli się chyłkiem wycofywać. Nie miała miny zwycięzcy. Była zmęczona. Piękna, przygnębiona i zmęczona. Kiedy żołnierze się rozeszli, został tylko Younger z rannym kapralem opierającym się całym ciężarem o jego brudny mundur. Dziewczyna spostrzegła, że Younger się w nią wpatruje. Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

Younger ułożył kaprala na trawie - staro wyglądający żołnierz ze spierzchniętą twarzą i siwymi włosami jedną ręką trzymał się za brzuch - po czym ruszył w stronę dziewczyny, która instynktownie się cofnęła. Minał ją, nie patrząc, i otworzył drzwi sanitarki. Dwie rzeczy wewnątrz go zaskoczyły. Pierwszą był widok chłopca, najwyżej ośmioletniego, czytającego książkę mimo mroku w tylnej części kabiny. Drugą - skomplikowany aparat radiologiczny z dużą szklaną płytą, ciężkimi kurtynami i szklanymi ampułkami.

Younger odwrócił się do dziewczyny.

- Gdzie twój chłopak? - zapytał po francusku.
- Co?
- Gdzie jest mężczyzna obsługujący ten aparat?
- Ja go obsługuję - odparła po angielsku.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jesteś jedną z dziewcząt madame Curie.
- Tak.
- Bierz się więc do roboty, jeśli nie chcesz, żeby ten kapral umarł.
- To bezcelowe. Nie ma ani jednego chirurga. Wszyscy się ewakuowali.
- Po prostu przygotuj go do wieczora.

Younger podszedł do kaprala, szepnął mu coś do ucha i zniknął w lesie - tam, skąd przyszedł.

• • •

Księżyc już wzeszedł, kiedy Younger wrócił. Został punkt medyczny w takim samym stanie, jak rano: nietknięty, ale wyludniony. W jednym z namiotów świeciła się lampa elektryczna. Obok niego stała zaparkowana sanitarka z włączonym silnikiem. Między pojazdem a namiotem biegła po ziemi wiązka przewodów. Dziewczyna używała silnika jako źródła prądu.

Younger podniósł klapę namiotu i wszedł do środka. Wszystko było gotowe. Stary kapral, którego nazwisko brzmiało Dubeney, spał na stole operacyjnym z umytą twarzą i uczesаныmi włosami. Instrumenty starannie poukładano. Miski z wodą stały na podorędziu. Dziewczyna podniosła się z krzesła. Mały chłopiec siedział u jej nóg, ciągle czytając. Bez słowa wyjęła kilka radiogramów oraz dokonanych na ich podstawie wyliczeń i podała je Youngerowi.

Podniósł kliszę do gołych żarówek elektrycznych. Na tle białych kości i szarych trzewi małe czarne kropki widoczne były z wyjątkową ostrością. W postrzale w jamę brzuszną największym niebezpieczeństwem wcale nie jest zniszczenie organów tylko zatrucie krwi. W tamtych czasach usunięcie każdego odłamka postrzału było zadaniem beznadziejnym, istniało więc wysokie zagrożenie śmiercią. Posługując się jednak porządnymi radiogramami, kompetentny chirurg mógł uratować pacjenta.

Younger umył dłonie, przedramiona i twarz. Poświęcił na to wiele czasu, jakby chciał splukać krew i brud nie tylko ze skóry, ale też z umysłu. W tym czasie dziewczyna podała więcej chloroformu kapralowi Dubeneyowi, który bezskutecznie usiłował złapać ją za rękę, dopóki znów nie zapadł w sen. Younger przystąpił do pracy. Ciszę przerywały tylko jego prośby o kolejne instrumenty i kiedy już zrobił nacięcie, stukot metalowych odłamków wrzucanych do ceramicznego naczynia.

Nad brwiami Youngera zaczął się zbierać pot.

- Proszę poczekać - powiedziała dziewczyna po angielsku. Były to jej pierwsze słowa, odkąd wrócił.

Trzymał skalpel w powietrzu, ona natomiast otarła mu czoło, po czym przytknęła szmatkę do policzków, szczęki i szyi. Younger ukradkiem obserwował jej delikatne, ale zdecydowane rysy. Ani razu nie spojrzała mu w oczy.

- Co było w torbie? - zapytał Younger.

- Słucham?

- Rzuciłaś żołnierzom torbę.

- Ach. Produkty spożywcze. Głównie ser. Nie dostają dość żywności, są wiecznie głodni. Jak banda myszy.

- Co im powiedziałaś?

- Że powinni zabijać Niemców, a nie zaczepiać francuską dziewczynę.

Younger skinął głową i wrócił do pacjenta.

- To się nazywa stado. - Dziewczyna zdziwiona zmarszczyła brwi, płucząc ubrudzoną szmatkę. - Mówi się stado myszy, a nie banda myszy. Czy uczyła cię sama madame Curie?

- Tak - odpowiedziała.

- Co o niej myślisz?

Odpowiedziała natychmiast:

- To najszlachetniejsza kobieta na świecie.

- A więc jesteś jej wielbicielką. Ja natomiast się dziwię, że na to pozwolono.

- Nie rozumiem.

- Żeby kobieta, która się dopuściła cudzołóstwa, uczyła młode dziewczęta...

- Ona nie popełniła cudzołóstwa - ucięła dziewczyna ostro. - On je popełnił.

Przecież to monsieur Langevin jest żonaty, a jego się nie obwinia. Nikt go nie wzywa do opuszczenia kraju. Nie rzucają kamieniami w jego okna. Teraz ma kolejną kochankę. Einstein ma dziecko z nieprawego łoża i wszyscy o tym wiedzą. Dlaczego madame Curie miałyby stracić katedrę, skoro oni zachowują się tak samo albo jeszcze gorzej? Dlaczego to jej grozi się śmiercią?

- Ponieważ jest kobietą - rzekł Younger z zadowoleniem.

- Kobiety powinny być czyste.

- Raczej chyba mężczyźni.

- I ponieważ jest Żydówką. Skalpel.

- Co?

- Skalpel. I Polką.

- Co to ma do rzeczy?

- A jej najcięższym grzechem jest fakt, że Nagrodę Nobla zdobyła nie raz, ale dwukrotnie.

Dziewczyna znów zmarszczyła brwi.

- Nie umiem ocenić, co jest żartem, a co nie.

- Prawdę mówiąc, jestem szczery tylko z mężczyznami - stwierdził Younger. -

Kobiety nie powinny mi wierzyć.

Spojrzała na niego.

- To kobiety uczą mężczyzn kłamać - ciągnął. - Nigdy jednak nie jesteśmy w tym aż tak dobrzy jak by tego chciały one. Gdzie spotkałaś madame Curie?

Odpowiedziała dopiero po chwili:

- Poszłam na Sorbonę i oświadczyłam, że chcę studiować chemię. Miałam siedemnaście lat. Wyśmiali mnie, ponieważ nie miałam jeszcze matury. Przypadkiem, a może z woli opatrznosci, kto wie, w tej samej chwili nadeszła Madame. Usłyszała, o czym rozmawiamy. Jakże oni się jej bali! Wygląda staro, ale jest życzliwa. Nie wiem, dlaczego się mną zainteresowała, ale stało się to, kiedy powiedziałam, że matematyki i przedmiotów ścisłych uczył mnie ojciec. Zadała mi kilka pytań, żeby sprawdzić, co umiem. To dzięki niej pozwolono mi przystąpić do egzaminu wstępnego.

- Który zdałaś? - zapytał Younger.
- Z najlepszą notą na roku.
- Powinnaś więc być na wykładach, a nie prześwietlać rannych żołnierzy.
- Uczęszczałam na wykłady przez dwa lata. Ale potem dowiedziałam się, co

Madame robi dla wojska. Te sanitarki to był jej pomysł. To ona pierwsza dostrzegła, ile istnień ludzkich można ocalić, jeśli na front pośle się radioskopy. Wszyscy mówili, że to niemożliwe, zaprojektowała więc aparat dostosowany do pracy w sanitarce. Rząd, ponieważ to sami głupcy, odmówił finansowania i Madame sama zdobyła potrzebne pieniądze. Później armia oświadczyła, że nie przydzielili ludzi do obsługi sanitarek z radioskopami, Madame przeszkoliła więc kilka dziewcząt. Wtedy władze stwierdziły, że kobiety nie mogą prowadzić pojazdów Madame więc sama siadała za kierownicą sanitarki, rzucając im wyzwanie: niech ją spróbują powstrzymać! Nauczyła się kierować autem, zmieniała opony i sama wykonywała zdjęcia rentgenowskie. Władze się przekonały, że to ratuje życie, i w końcu ustąpiły.

Teraz jest nas ponad sto pięćdziesiąt. I jedyny problem mamy z mężczyznami.

- Z mężczyznami?
- Niektórzy żołnierze stają się bardzo agresywni na widok kobiety.
- To wojna.
- To żadne wytłumaczenie. Czymś się przecież różnimy od tych sprośnych

Niemców.

Younger spojrział na nią kątem oka. Na twarzy dziewczyny pojawiła się zawziętość. Już wcześniej dostrzegł jej przebliski podczas rozmowy z żołnierzami, teraz jednak była naprawdę silna. Kontynuował zmuśną operację.

Po długiej chwili dziewczyna znów się odezwała:

- Ten kapral jest przemiły. Jak trafił pod pańską opiekę?
- Ja nic nie zrobiłem. Po prostu zgubił się w nocy i przez pomyłkę znalazł się na naszej linii. Rzucił się na mnie, biedaczysko.
- Nie słuchaj go, panienko - mruknął kapral Dubeney.
- Co? Jesteś przytomny? - zdziwił się Younger. - Siostró, chloroform!
- Wszedł na ziemię niczyją, żeby mnie stamtąd wyciągnąć - powiedział Dubeney. -

I to w ogniu walki.

- Majaczy po prostu - stwierdził Younger.
- On nocuje na froncie - dodał Dubeney.
- Gdzie jest ten cholerny chloroform? - zapytał Younger.
- Nie potrzeba. Nic nie czuję.

Younger mruknął z rozdrażnieniem, zaciskając wargi. Nikt się nie odezwał.

- Nie mógłbym przecież pozwolić, żeby mój najlepszy eksperyment poszedł na marne - powiedział w końcu Younger. - Obejrzyj jego prawe kolano.

Zaciekawiona dziewczyna zapytała kaprala, czy ma coś przeciw temu. Kiedy

pokręcił głową, podwinęła nogawkę jego spodni. Ukazała się paskudna rana.

- Trzeba to odkazić - stwierdziła.
- Od dłuższego czasu ją odkażam - odparł Younger. - I to codziennie. Teraz zerknij na drugie kolano.

Kiedy dziewczyna podwinęła drugą nogawkę spodni Dubeneya, aż jęknęła. Także to kolano było strzaskane, w ranie jednak roiło się od robaków.

- Co to jest? - zapytała.
- Larwy. Co jeszcze widzisz? - zapytał Younger.
- Rana jest czysta - odpowiedziała.

Dwie identyczne rany, zadane temu samemu człowiekowi w tym samym czasie i w taki sam sposób. A mimo to jedna się goi, a druga wciąż jest paskudna. Czysta rana jest leczona tylko larwami. To nie mój pomysł. Żołnierze na froncie używają ich od lat. A ten stary dureń, wiedząc, jak ważne dla nauki są jego kolana, daje się postrzelić w brzuch. Żadnego poczucia odpowiedzialności!

Younger zauważył, że chłopiec podszedł cicho do stołu, stanął obok dziewczyny i obserwował larwy na ranie kaprala Dubeneya.

- To mój brat - zwróciła się do Youngera. - Ma na imię Luc.

Chłopiec miał jasne włosy, w odróżnieniu od siostry brudne, zaniedbane i jak na chłopca całkiem długie, bo do ramion. Jego skóra była znacznie ciemniejsza niż jej, a może tylko brudniejsza, ale w brązowych oczach zobaczył podobną surowość i inteligencję, choć były czujniejsze niż oczy siostry, bardziej skupione. Younger miał wrażenie, że chłopiec widzi wszystko.

- Ile masz lat, kawalerze? - zapytał.

Chłopiec ani na niego nie spojrział, ani nie odpowiedział.

- Luc, masz bardzo kiepskie maniery - skarciła chłopca, po czym zwróciła się do Youngera: - On nie lubi mówić. A więc to pan!

- Słucham?

- Żołnierze opowiadali mi historie o amerykańskim lekarzu, który nie schodzi z linii frontu. Leczy ich na polu walki.

- Ja ich nie leczę. Przeprowadzam na nich eksperymenty.
- I razem z nimi walczy.
- Bzdura!
- Jak sam diabeł! - wtrącił Dubeney.

Chłopiec spojrział na Youngera z zainteresowaniem.

- Nic nie czujesz, tak? - powiedział Younger do Dubeneya, ruchem noża sprawiając, że stary kapral zawył.

• • •

Kilka godzin później wspólnie ładowali wszystko do sanitarki dziewczyny. Była zaskakująco silna jak na swój wzrost. Eksplozja wstrząsnęła ziemią pod ich nogami, wybuchając ogniem daleko w lesie.

- Nie boisz się? - spytał Younger.
- Wojny?
- Przebywania sam na sam z nieznajomym.
- Nie - powiedziała.
- Jesteś ufna.

- W ogóle nie ufam mężczyznom. Dlatego się ich nie boję.
- Rozsądna strategia - stwierdził Younger. Spojrzał w górę na baldachim mrugających gwiazd. - Widziałem dzisiaj coś, czego nigdy nie zapomnę. Amerykański sierżant piechoty morskiej rozkazał plutonowi wyjść z okopu. Przeciwnik miał przewagę liczebną i większą siłę ognia, ale sierżant postanowił atakować. Jego ludzie zbyt się bali, żeby opuścić okop. Wtedy sierżant wrzasnął na nich... Cóż, padło określenie, którego nie powinienem przytaczać w kulturalnym towarzystwie. Mam powtórzyć?

- Żartujesz? - odpowiedziała pytaniem Colette.
- Sierżant wrzasnął: „Do przodu, skurwysyny! Chcecie żyć wiecznie?”. I ludzie wyszli. Doszło do krwawej rzezi.

- Sierżant przeżył?

- Przeżył.

W powietrzu rozległo się potępięcze wycie, a po nim huk eksplozji. Tym razem wybuch nastąpił bliżej. Ziemia się zatrzęsała i zobaczyli ogień w odległości niespełna kilometra.

- Powinnaś wyjechać - stwierdził Younger. - Dziś wieczorem. Jeśli Niemcy się przebiją, będą tu przed świtem. Mogą potraktować francuską dziewczynę gorzej niż ci żołnierze dziś rano.

Nie odezwała się. Younger wrzucił na ramię plecak i znów wyruszył do lasu - w kierunku eksplozji.

•••

Dopiero w czerwcu 1918 roku zobaczył ją ponownie. Niemcy przeprowadzili serię zaciekłych natarć we Francji, zdeterminowani, by osiągnąć zwycięstwo, zanim Stany Zjednoczone zdolają się w pełni zmobilizować. Zaprawieni w bojach niemieccy żołnierze nadciągali setkami tysięcy ze wschodu, gdzie nowi bolszewicki władcy Rosji się poddali, uwalniając armię kajzera od frontu wschodniego. Do końca maja Niemcy wyparli siły francuskie z powrotem do linii Marny niespełna dwadzieścia pięć kilometrów od Paryża.

Ale pod Belleau, pod Vaux i pod Château-Thierry Amerykanie powstrzymywali niemiecki pochód, walcząc na śmierć i życie z zapamiętaniem, którego w szeregach sprzymierzonych brakowało od 1914 roku. Gazety w Stanach Zjednoczonych trąbiły o jankeskich zwycięstwach, znacznie przeceniając ich wagę. Pozostawało pytanie, czy nowa linia się utrzyma.

Przez czterdzieści dni obydwie strony rzucały kolejne fale młodych ludzi do brutalnej walki, która nie przynosiła jednak ostatecznego rozstrzygnięcia. Stopniowo starcia wygasły, a działania wojenne ograniczyły się do wymiany druzgocących ataków artyleryjskich przeprowadzanych z dobrze ufortyfikowanych stanowisk. Ta pauza była złowieszcza. Niemcy znów się wzmacniali, gromadząc kolejne dywizje.

W tej ciszy przed burzą powstał targ spożywczy podejrzanego autoramentu, w wiosce Crezancy, tuż pod lśnącymi lufami potężnych amerykańskich dział umieszczonych na szczycie Moulin Ruine. Zgarbieni i pomarszczeni francuscy chłopcy sprzedawali to, co udało im się ocalić przed rządowymi rekwizycjami.

To Luca zobaczył najpierw. Natychmiast rozpoznał go w małym chłopcu kupującym ser i mleko, który bez słowa kręcił głową na jakieś niebotyczne żądania sprzedawców i godził się zapłacić tylko wtedy, gdy usłyszał rozsądną cenę. Amerykanin przywitał chłopca ciepło. W przypływie nagłej inspiracji wyjął z kieszeni zakryty słoik z robakami.

Luc szeroko otworzył oczy.

- To larwy - wyjaśnił Younger po francusku. - Niedługo każdy z tych robaczków owinie się kokonem. Za tydzień albo dwa kokon pęknie, a ze środka wypełźnie... wiesz, co wypełźnie?

Chłopiec pokręcił głową.

- Mucha. Zwykła mucha plujka.

Po tym wyjaśnieniu chłopca najwyraźniej zainteresowała kłębiąca się w słoiku masa.

- Chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego larwy są sprzymierzeńcami rannych żołnierzy? Ponieważ jedzą tylko martwą tkankę. Żywe komórki im nie smakują. Proszę, weź słoik. Mam ich więcej. Niewielu młodych ludzi może się pochwalić hodowlą tak małych larw. Chłopiec przyjął prezent, po czym sięgnął do kieszeni, wyjmując z niej coś na wymianę.

Younger uniósł brwi.

- Granat.

Luc kiwnął głową.

- Nie jest rozbrojony, prawda? - zapytał Younger.

Chłopiec odłożył słoik, przytrzymał zawleczkę, wykręcił korek zabezpieczający, potem zapalnik z obsady i podniósł granat do góry.

Younger pochylił się, żeby powąchać suchy proszek w środku.

- Ach, tak. Wspaniale. Prawdziwy uzbrojony granat.

Chłopiec odwrócił kolejność czynności, sprawnie składając z powrotem granat, po czym znów podał go Youngerowi, który ostrożnie przyjął podarunek. Dziękował Lucowi, kiedy usłyszał za sobą surowy kobiecy głos:

- Pozwoliłeś mu tego dotykać? - zapytała.

Younger się odwrócił, by zobaczyć siostrę chłopca.

- Chcesz, żeby myślał, że granaty to zabawka? - podjęła ze złością. - Żeby podnosił je z ziemi, kiedy tylko zobaczy, i bawił się nimi?

Younger spojrzał na Luca, który wyraźnie nie życzył sobie, by siostra wiedziała, że to on nosi w kieszeniach prawdziwe granaty

- Racja, mademoiselle - Younger schował do kieszeni problematyczny przedmiot. - Nie wiem, co mnie podkuśliło. Luc, granat to nie zabawka, słyszysz? Tylko ludzie, którzy dobrze znają jego budowę i działanie, mogą brać go do ręki!

- Przepraszam - powiedziała Colette do Youngera, trochę udobruchana. - On tak bardzo lubi się bawić bronią i amunicją! Aż mnie to przeraża.

- Podobno wróciłaś do Paryża - Younger zmienił temat.

Zmarszczyła brwi. Luc pociągnął ją za spódnicę. Dziewczyna przeprosiła, pochyliła się nad nim i chłopiec wykonał kilka gestów przed jej oczami - coś w rodzaju języka migowego. Odpowiedziała mu surowo i stanowczo:

- Absolutnie nie! Co się z tobą dzieje? - Po czym zwróciła się do Amerykanina z wyjaśnieniem: - Teraz chce iść z tobą na front.

- Obawiam się, że to niemożliwe ze względu na twój wiek, młody człowieku - powiedział Younger. - Choć, zważywszy na przebieg tej wojny, masz jeszcze szansę. Ale może chciałbyś obejrzeć amerykańską bazę?

Chłopiec skinął głową.

Younger zwrócił się do jego siostry:

- Wyświadczyłybyś nam wielką przysługę, gdybyś przyjechała do naszej bazy

swoją sanitarką. Mamy wprowadzić aparat rentgenowski, ale w porównaniu z twoim jest prymitywny. Jest wielu pacjentów, którym potrafiłbym pomóc dzięki twojej wizycie.

- Dobrze, przyjadę dziś po południu - zgodziła się. - Ale ja nawet nie wiem, jak się nazywasz.

• • •

Przez kilka następných dni sanitarka radiologiczna Colette zajeżdżała wieczorem przed szpital połowy Youngera, w tumanach kurzu podskakując na nieutwardzonej drodze. Z Youngerem na siedzeniu pasażera wyprawiali się do różnych obozów, zapuszczając się aż do Lucy-le-Bocage. Dziesiątki żołnierzy rannych, ale odesłanych z powrotem do plutonów, nie zostały należycie wyleczone. Younger chciał ponownie ich wszystkich przebadać. Najczęściej prześwietlenia nie wykazywały niczego złego, ale od czasu do czasu, zgodnie z podejrzeniem Youngera, upiorne szkielety ujawniały jakiś przeoczony drobny odłamek.

Kiedy to odkryli po raz pierwszy, Colette krzyknęła triumfalnie. Younger się uśmiechnął. Pracowali blisko siebie na tyłach sanitarki, jej palce często więc dotykały jego dłoni, kiedy podawała mu instrumenty. Albo ciałem ocierała się o niego. Za każdym razem szybko się odsuwała, ale Younger miał wrażenie, że ten kontakt nie był przypadkowy.

Wobec rannych Colette zachowywała się uprzejmie, choć bez nadmiernej delikatności czy współczucia. Rozmawiając ze zdrowymi, była zimna jak gład. Younger wiedział, że jej szorstkość to częściowo strategia samoobrony: Colette była zbyt ładna, żeby się zbyt łatwo spoufalac z żołnierzami. Wiedział też jednak, że to nie tylko samoobrona, i zastanawiał się, co mogłoby ją zmiękczyć.

• • •

Pewnego wieczoru, kiedy Colette była zajęta obliczeniami, Younger skorzystał z chwili przerwy, żeby przy świetle lampy zerknąć w papiery. Po chwili uświadomił sobie, że stoi przy nim Luc.

Chłopiec wręczył Youngerowi książkę - napisaną po angielsku i wydaną rok wcześniej. Autor nazywał się Toynbee, a tytuł brzmiał *Niemiecki terror we Francji*. Niewielki tom nosił ślady wielokrotnego kartkowania. Czy to możliwe, że chłopiec czytał po angielsku?

Younger zaczął przeglądać książkę. Właśnie wtedy Luc podał mu notkę, w której napisał, że nienawidzi umarłych. Po raz pierwszy komunikował się z nim w taki sposób. Potem chłopiec usiadł na ziemi, opierając się o oponę sanitarki, i zaczął się bawić jakąś starą zabawką.

- Skąd ją wzięłeś? - zapytała Colette, widząc książkę w rękach Youngera.

- Dał mi ją twój brat.

- Aha. - Mięśnie na jej twarzy się rozluźniły. - Luc chce, żebym ci opowiedziała, co się stało z naszą rodziną.

- Nie musisz.

Spojrzała na Luca, który nie przerywał zabawy.

- Możesz o tym przeczytać, jeśli chcesz - powiedziała, wskazując zaznaczoną zagiętym rogiem kartkę w książce, na której podkreślono cały akapit. Younger przeczytał go:

Miejscowość Sommeilles została doszczętnie spalona 6 września. „Kiedy zaczęło się palenie budynków, państwo Adnot

(pani Adnot w wieku około sześćdziesięciu lat), pani X. (trzydzieści pięć lub sześć lat), której mąż służy ojczyźnie, oraz jej czworo dzieci schronili się w piwnicy domu Adnotów - relacjonuje burmistrz. - Zostali tam zamordowani w okrutny sposób. Kobiety były gwałcone. Kiedy dzieci zaczęły krzyczeć, jednemu odcięto głowę, a dwóm pozostałym po jednej ręce; wszystkich w piwnicy zmasakrowano. Dzieci miały lat jedenaście, pięć i cztery oraz półtora roku”.

- Wielki Boże! - wyszeptał Younger. - Mam nadzieję, że to nie była twoja rodzina.

- Nie, ale to była nasza wioska, Sommeilles - odparła. - Przeprowadziliśmy się tam, kiedy byłam małą dziewczynką: matka, ojciec, babcia i ja. Luc urodził się właśnie tam. Po wybuchu wojny wszyscy młodzi mężczyźni poszli do wojska. Wioska była bezbronna. Tamtej nocy, kiedy przyszli Niemcy, Luca i mnie odesłano do domu stolarza, ponieważ miał kryjówkę podziemną. Tylko dlatego przeżyliśmy Niemcy zabili wszystkich, ale nas nie znaleźli. Przez całą noc słyszeliśmy strzały i krzyki. Następnego dnia wyjechali. Nasz dom był spalony, ale nadal stał. Matkę i ojca znaleźliśmy martwych na podłodze. Najwyraźniej ojciec stawiał zacięty opór. Babcia jeszcze żyła, ale niedługo. Mama leżała naga. Wszędzie było mnóstwo krwi.

Luc przestał się bawić, gdy siostra zaczęła mówić. Kiedy stało się oczywiste, że skończyła, wrócił do zabawy.

- Wszyscy uważają, że człowiek będzie nosił żałobę przez resztę życia - dodała jeszcze Colette.

ROZDZIAŁ

Szósty

Z wielką wojną przyszły wielkie choroby - nieznane wcześniej dolegliwości na niesłychaną skalę.

Ostatnia okazała się najgorsza: grypa z lat 1918-1919 przemierzyła kontynent wraz z armią, ukryta w zniszczonych płucach wracających do domu żołnierzy, by w rezultacie zabić miliony ludzi w każdym zakątku Ziemi. Przed hiszpanką ludzie umierali od fosgenu i gazu musztardowego, który wypalał oczy i ciało aż do kości. Jeszcze wcześniej żołnierzy atakowały grzyby i pasożyty, unieszkodliwiając ich paskudnymi ranami, a w nieodwadnianych zaszczerzonych okopach panoszyła się gangrena. Najpierw jednak pojawiła się nerwica frontowa.

Pierwsze doniesienia o tej dziwnej chorobie były zaskakujące. Żołnierze, którzy nie odnieśli żadnych widocznych obrażeń, przejawiali całe mnóstwo przeciwstawnych symptomów: przyśpieszony oddech lub trudności z jego zaczerpnięciem, spokój lub napady szału, nadmierną ruchliwość lub ataki katatonii; odmawiali też oddania broni lub wzięcia jej do rąk. Zawsze jednak towarzyszyły im nocne koszmary - przeraźliwe krzyki chorych budziły nocą towarzyszy broni.

Później pojawiły się symptomy jeszcze bardziej osobliwe. Głuchota, niemota i ślepotą oraz paraliż dłoni i nóg. Wszystko bez żadnych urazów fizycznych.

Francuzi mieli dla tych ludzi gotowe określenie: *simulateurs*. Brytyjczycy także: *malingers*. Ci ostatni początkowo przepisywali „symulantom” radykalną terapię, stawiając ich przed plutonem egzekucyjnym, ponieważ armia brytyjska karała tchórzostwo śmiercią. Niemieccy lekarze z kolei używali elektryczności. Za niemiecką terapią elektrowstrząsami nie kryła się chęć wyleczenia, lecz przekonanie, że wystarczająco wysokie napięcie prądu uczyni powrót na front atrakcyjniejszym od leczenia. Niemieccy lekarze przeoczyli jednak третią opcję, z której skorzystało całkiem sporo tych pacjentów: samobójstwo.

Nawet jednak tak nieodparte argumenty nie powstrzymały objawów choroby. Liczba dotkniętych nią żołnierzy urosła do oszałamiających rozmiarów. W końcu Wielka Brytania zdiagnozowała tajemnicze schorzenie u osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy. Wielu z nich było oficerami o nieposzlakowanym charakterze, z brytyjskiego punktu widzenia dobrze urodzonych i nienagannie wychowanych. W rezultacie zaczęto powątpiewać, czy istotnie symulują.

Pierwsi lekarze, którzy potraktowali objawy jak jednostkę chorobową, ogłosili, że przyczyną są eksplozje pocisków. Stwierdzono, że ogłuszające wybuchy potężnych pocisków używanych w nowoczesnej wojnie wywołują mikrokrwawienia w naczyniach mózgowych, prowadząc do neurologicznego paraliżu albo szoku w mózgu. Zaczęto mówić o wyczerpaniu bojowym albo nerwicy frontowej.

Nazwa została, zmieniała się jednak diagnoza. Zbyt wielu ludzi cierpiących na

nerwicę frontową nigdy nie przeszło próby ogniowej. Niebawem stało się oczywiste, że podłoże psychologiczne tej choroby jest istotniejsze od fizjologicznego. Równie oczywisty był fakt, że na całym świecie tylko jeden psychiatra zbudował teorię, która mogła wyjaśnić symptomy tego schorzenia: Zygmunta Freud.

Stopniowo coraz więcej lekarzy na całym świecie - ludzi, którzy wcześniej traktowali psychoanalizę z najgłębszym niesmakiem i podejrzliwością - zaczęło przyznawać, że freudowska koncepcja podświadomości sprawdza się w diagnozowaniu i leczeniu nerwicy frontowej. W 1917 roku pewien brytyjski lekarz napisał: „Los najwyraźniej dał nam sposobność, by przetestować prawdziwość teorii podświadomości Freuda”. Test wypadł pozytywnie.

Lekarze angielscy, australijscy, francuscy i niemieccy donosili o zaskakujących sukcesach w leczeniu nerwicy frontowej metodą psychoterapii. W Wielkiej Brytanii władze wojskowe zaapelowały do doktora Ernesta Jonesa, jednego z pierwszych uczniów Freuda - którego nadal obowiązywał zakaz praktykowania w szpitalach z powodu skłonności do poruszania nieprzyzwoitych tematów w rozmowach z dwunastoletnimi dziewczynkami - by zgodził się leczyć schorzenie, które powszechnie nazywano nerwicą wojenną. Niemcy wysłały delegację na międzynarodowy kongres psychoanalityków, błagając o pomoc w leczeniu całych zastępów ofiar. Freudowi - tak długo lekceważonemu i bojkotowanemu - rząd austriacki złożył propozycję sfinansowania badań nad właściwym leczeniem żołnierzy dotkniętych nową przypadłością. W 1918 roku już chyba tylko jeden człowiek spośród tych, którzy wierzyli w psychoanalizę, zdawał sobie sprawę, że freudowska teoria nie potrafi wyjaśnić nerwicy frontowej. Tym człowiekiem był sam Zygmunt Freud.

•••

- Powinien być w szkole - powiedziała Colette o bracie kilka dni później. Siedziała za kierownicą sanitarki, prowadząc ją na zniszczonej przez koleiny drodze. Nie miała skrupułów, rozmawiając o Lucu w jego obecności. - Ale jest zbyt niechętny do współpracy. Nauczyciele w Paryżu sądzili, że cierpi na głuchotę. Uznali też, że nie potrafi mówić. Ale ja wiem, że potrafi.

Z tyłu sanitarki Luc trzymał w rękach ulubioną zabawkę - stary kołowrotek od wędki - wydając jakieś niezrozumiałe dźwięki.

- Jak długo jest w tym stanie? - zapytał Younger.

- Kiedy spalili Sommeilles, wszędzie był dym. Dostał się nawet do piwnicy w domu stolarza, ale Luc nie chciał stamtąd wyjść. Przeleżał w piwnicy cały dzień. Potem się przeziębził i w nocy zaczął strasznie kasłać. Bałam się, że stracę także jego. Wyzdrowiał, ale od tamtej pory tak właśnie się zachowuje.

- Czy zauważyłaś u niego problemy z oddychaniem, na przykład kiedy biegnie?

- Nigdy - zapewniła Colette. - Wszyscy twierdzą, że na pewno przeszedł zapalenie płuc, myślę jednak, że to coś innego. To ma podłoże psychiczne. Może jakaś nerwica. Słyszałaś o doktorze Freudzie z Wiednia?

- W lewo za tym znakiem - rzucił Younger.

- Jest psychologiem. Bardzo znanym. Ludzie mówią, że tylko on potrafi wyjaśnić nerwicę frontową. Leczy też dzieci.

- Doktor Freud z Wiednia ma dość osobliwą teorię na temat przyczyn powodujących nerwicę.

- Czytałeś jego prace? Ja nie znalazłam niczego po francusku.
- Nie tylko czytałem jego prace, ale znam go osobiście.
- To cudownie! - wykrzyknęła Colette. - Kiedy wojna się skończy, napiszę do niego. Nie mamy pieniędzy, ale mam nadzieję, że zgodzi się zająć Lukiem. Pomożesz mi?
- Nie.
- Nie pomożesz? Dlaczego?
- Nie wierzę w psychologię Freuda. Prawdę mówiąc, wcale nie wierzę w psychologię. Szrapnel, bakteria czy siarka - to całkiem co innego. Wystarczy usunąć je z organizmu pacjenta, żeby poczuł się lepiej. Ale neuroza? To według mnie żadne rozpoznanie. Skąd wiesz, że Luc nie ma problemów z krtanią?
- Wiem, że Luc może mówić. Wiem na pewno. On po prostu nie chce.
- Jeśli masz rację, to może jest po prostu nieśmiały. Też byłem nieśmiały w jego wieku.
- To nie jest nieśmiałość - zaprzeczyła Colette. - Zachowuje się tak, jakby... jak to określić... jakby kontestował cały świat.
- Absolutnie racjonalne zachowanie, zważywszy, co świat mu pokazał. Zatrzymaj się tam.
- Colette wykonała polecenie i ciężarówka wyhamowała ze zgrzytem.
- Pacjenci doktora Freuda wracają do zdrowia - upierała się. - Wszyscy tak mówią.
- To nie dowodzi słuszności jego teorii.
- W takim razie dlaczego jego pacjenci zdrowieją?
- Może powinnaś mu podać olej wężowy?
- Podałabym, gdyby miało mu się od tego poprawić. Zrobiłabym wszystko, żeby wyzdrowiał.
- Younger otworzył drzwi po swojej stronie.
- Z umysłem twojego brata nie dzieje się nic złego - zapewnił. - Potrzebuje tylko jednego: żeby ta cholerna wojna się skończyła.

• • •

13 lipca Younger spędził całą noc na froncie, operując ciężko rannego żołnierza. Do bazy wrócił dopiero późnym wieczorem następnego dnia. Mimo późnej godziny kazał sobie postawić wóz transportowy i pojechał na pozycje francuskie, gdzie zwykle znajdował Colette. Kiedy tam dotarł, prała ubrania w świetle reflektorów sanitarki.

Podbiegła do niego: stanęli twarzą w twarz, ale się nie dotknęli.

- Gdzie byłeś? - zapytała. - Na froncie?

Podczas wojny ludzie albo przestają myśleć o śmierci, albo śmierć ich paraliżuje. Younger przestał o niej myśleć.

- W tej chwili jestem poza jednostką bez pozwolenia przełożonych - odparł. - Za to grozi sąd wojenny.

- Naprawdę?

- Wszystko w porządku. Mój ordynans wie, gdzie jestem. Nie mogłem dopuścić, żeby rocznica zburzenia Bastylji minęła nieuczczona. - Z samochodu wyjął butelkę wina deserowego, puszkę foie gras, niebieski ser, słoik konfitur truskawkowych, świeże masło oraz różne rodzaje angielskich herbatników.

- Skąd to wszystko wzięłeś? - zapytała ze zdziwieniem.

- Pozwoli pani, mademoiselle?
- Z przyjemnością.

Rozłożyła na trawie koc i ułożyła na nim artykuły które przywiózł. Noc była ciepła. Rzucił kurtkę na ziemię, położył na niej czapkę i pas z pistoletem, po czym zabrał się za otwieranie butelki z winem. Przerwał, bo po palcach spłynęła na butelkę krew.

- Umiesz może szyć? - zapytał.

Podwinęła jego rękaw i aż syknęła na widok głębokiej rany szarpanej na przedramieniu.

- Poczekaj - rzuciła. Kiedy chwilę później wróciła z niemi medycznymi i alkoholem do dezynfekcji, dodała: - Nie mam nic do znieczulenia.

- Do takiego draśnięcia? - zdziwił się.

Polała ranę czystym alkoholem, który syczał i silnie się pienił. Przebiła igłę przez jeden kawałek krwawiącej skóry, potem przez drugi i przeciągnęła nić.

- Jakim cudem ty to znosisz? - zapytała.
- Nie czuję tego - odparł.
- Oczywiście, że czujesz! - zaprzeczyła, nie przerywając szycia.
- Jest mi to obojętne.
- Człowiek, który nie czuje bólu, nie doświadcza też przyjemności.
- Przyjemności także są mi obojętne.
- Pielęgniarki twierdzą inaczej.
- Słucham?
- Jak długo nie spałeś? - zapytała.

- Jest w tobie coś, czego nie rozumiem, panno Rousseau. Dlaczego mianowicie zostawiłaś Paryż dla życia w sanitarce? Tylko mi nie mów, że to twój obowiązek wobec Francji!

- Dlaczego nie? - Przekłuła ostatni kawałek rozerwanej skóry. - Nie ruszaj się!
- Ponieważ kobiety nie kierują się poczuciem obowiązku wobec kraju. Zawsze kryje się za tym jakiś mężczyzna.

- To niewybaczalne. - Odcięła i zawiązała nici. - Gotowe.

Poruszał ręką, skinął głową, otworzył wino, nalał jej i zaproponował toast za ród niewieści. Odpowiedziała toastem za Francję. Zabrali się do posiłku. Nałożyła mu porcję.

- Poszłaś za jakimś chłopcem, to oczywiste - podjął Younger. - Zabrano go na front, i to był jedyny sposób, żeby mu towarzyszyć. Pytanie tylko, czy ty straciłaś jego, czy on stracił ciebie.

- Nie poszłam za chłopcem.
- Przepraszam. Za mężczyznę.
- Za mężczyznę też nie.
- Za kobietą?

Rzuciła w niego krakersem.

- Wybacz, ale to nie ma sensu - stwierdził. - Zostawiłaś Sorbonę, która przecież na pewno była dla ciebie najważniejsza. Wiesz dobrze, że nie przyjmą cię z powrotem po wojnie. Będzie zbyt wielu mężczyzn, którzy musieli przerwać edukację.

- Owszem. - Strzepnęła okruszki z koca, prawie nie zdradzając głębokiego rozczarowania. - Nawet Madame uprzedzała, że po raz drugi nie zdoła mi pomóc.

- Dlaczego więc rzuciłaś studia? - zapytał Younger.
- Nie mogłam dłużej znosić jałmużny.

Nie wyczytał nic z jej oczu.

- Wielu jest chętnych, by przyjąć pod swój dach tych, którzy stracili rodziny gotowych ich wyżywić - ciągnęła. - Ale za tę jałmużnę płaci się wysoką cenę. Teraz mamy dach nad głową i nie muszę nikogo prosić o chleb.

- Jaka jest cena za jałmużnę?

- Zależność.

- W młodości wszyscy od kogoś zależymy. Choćby od rodziców.

- Zależność od rodziny to sama radość - powiedziała.

- Jest zupełnie inaczej, kiedy zależymy od kogoś obcego.

Znów jej twarz przybrała ten nieprzenikniony wyraz, tym razem jednak Youngerowi się udało coś z niego odczytać.

- Czyli ty nie kłamałaś, ale ja i tak miałem rację - stwierdził.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wyjechałaś z Paryża za mężczyzną. Zrobiłaś to, żeby przed mężczyzną uciec. Bo chciał zebrać zyski z dobroczynności, którą traktował jak inwestycję.

Spojrzała na niego znad krawędzi kieliszka.

- Miałas z nim romans - ciągnął Younger. - Oczywiście nie ponosisz za to winy.

- Jak widzę, wszędzie wieszysz romanse.

- Każda dziewczyna postąpiłaby na twoim miejscu tak samo.

- Amerykanka może tak. Ale ja nie chciałam. Zrozumiesz, kiedy ci powiem, kto to był: monsieur Langevin.

Paul Langevin był wybitnym francuskim fizykiem, którego nazwisko kilka lat wcześniej bezustannie kojarzono z Marią Curie w prasie na całym świecie.

- Powinienem był się domyślić - rzucił Younger. - Już wcześniej wspomniałaś o nim, wymawiając to nazwisko z większym jadem niż jakiegokolwiek słowo, które słyszałem z twoich ust. Oprócz słowa „Niemiec”. Co ten łotr ci zrobił?

- Próbował mnie rozebrać w laboratorium.

- To drań! Przecież jest tyle innych miejsc.

- Uważasz, że to zabawne? To mężczyzna, którego kochała Madame. Mężczyzna, przez którego wszystko straciła. A on dobierał się do mnie pod jej nosem.

- Przynajmniej ma dobry gust.

- Chyba próbujesz mnie sprowokować - powiedziała. - To było okropne. Przyjął mnie i Luca pod swój dach. Sądziłam, że jest dobrym człowiekiem. Ale wydarzył się ten incydent w laboratorium. Potem było ich jeszcze więcej, nocą w jego domu.

- Użył siły?

- Nie. Kiedy mu się oparłam, dał spokój. Ale musiałam go odepchnąć. Sytuacja była dla mnie nieznośna. Gdybym się wyprowadziła z jego domu, nie opuszczając Paryża, Madame zrozumiałaby wszystko natychmiast, cokolwiek bym powiedziała. I znenawidziłaby mnie.

- Nauczyłaś się więc prowadzić sanitarkę?

- Nie przyszło mi do głowy lepsze rozwiązanie. Musiałam odejść z uniwersytetu. On ciągle szukał okazji, żeby być w pobliżu. Madame zorientowałaby się prędzej czy później.

Younger zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Ruciłaś Sorbonę, żeby oszczędzić jej przykrości.

Zapadła dłuższa cisza.

- Są trzy rzeczy, które zamierzam zrobić w życiu - odezwała się w końcu. - Po pierwsze, wyleczyć Luca. Po drugie, skończyć Sorbonę, dla mojego ojca. Jeśli mnie nie przyjmą zaraz po wojnie, będę się starała aż do skutku.

- A trzecia?

Wyglądziła spódnicę. Potem spojrzała na niego badawczo.

- Twoja sytuacja wygląda, oczywiście, inaczej. Jesteś mężczyzną. Miałeś wiele dziewcząt i jesteś za to podziwiany.

- Ja? Żyję w celibacie jak kapucyn.

Colette roześmiała się kpiąco.

- Nie słuchaj pielęgniarek - dodał. - Są zazdrosne, bo cały wolny czas spędzam z tobą.

- Nigdy się nie ożeniłeś? - zapytała.

- Nie wierzę w małżeństwo.

- Niech zgadnę dlaczego. Nie żenisz się, bo uważasz, że monogamia jest sprzeczna z naturą mężczyzny.

- Małżeństwo to planowanie przyszłości. Niezbyt rozsądne zajęcie podczas wojny.

- Mam inne wytłumaczenia. - Odstawiła kieliszek, żeby wziąć skórzaną kurtkę Youngera i jego czapkę. - Bo jesteś Amerykaninem.

- Co z tego?

- Gdybyś był Francuzem, po ślubie mógłbyś mieć tyle romansów, ile by ci się podobało. Uważałbyś to za swoje prawo. Jako Amerykanin musiałbyś dochować wierności.

- Czyżby?

- Amerykańscy mężowie są znacznie wierniejsi. Tak przynajmniej twierdzi de Tocqueville. - Podniosła się i przymierzyła kurtkę oraz czapkę. - Jak wyglądam?

Nie odpowiedział.

- Nie podoba ci się, że zakładam twój mundur? W porządku. - Zdjęła czapkę, nałożyła mu na głowę i przekrzywiła zawadiacko. - Zresztą tobie bardziej w niej do twarzy.

Kiedy poprawiała czapkę na jego głowie pochylona nad nim, klapy za dużej na nią kurtki skórzanej rozchyliły się pod szyją, odsłaniając mały medalion ze srebra i macicy perłowej pod białą bluzką. Chwycił jej nadgarstki i stanowczo, choć delikatnie usadził na trawie.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

Rozpiął górny guzik jej bluzki.

- Przestań! - powiedziała.

Pocałował ją w szyję.

- Nie - wyszeptła.

Zastygł w bezruchu i spojrzał na nią. Jej intensywnie zielone oczy patrzyły na niego tak, że zapało mu dech w piersiach. Medalion podnosił się i opadał razem z piersiami. Sięgnął do bluzki. Odskokczyła jak zwierzę. Uklękła z pistoletem w rękę. Ale broń tkwiła w kaburze, a ona nie mogła jej wyjąć. Potrząsała rękami z wściekłością, machając przy tym paskiem jak pies ogonem. W końcu uwolniła pistolet i wymierzyła w niego.

- Nie ruszaj się - zażądała.

Podniósł brew.

- Mówiąc między nami, właśnie zamierzałem zapiąć ten guzik z powrotem.

- Nie potrzebuję twojej pomocy w zapinaniu guzików - odparła, podnosząc się z ziemi i demonstrując prawdziwość tego stwierdzenia. Także on zaczął wstawać. - Powiedziałam, żebyś się nie ruszał!

Wstał, ignorując jej rozkaz.

- Wsiadaj do swojego samochodu i odjedź stąd - zażądała, zdejmując z siebie jego kurtkę i rzucając mu ją pod nogi.

- Jeśli postawisz choćby krok w moim kierunku, strzelę.

- Proszę bardzo. - Postawił krok naprzód, żeby podnieść kurtkę. - Wolę zginać z twojej ręki niż na kilka innych sposobów, które przychodzą mi teraz do głowy.

Nie dane jej było odpowiedzieć. Rozległ się ryk silnika i dokładnie naprzeciw nich pojawiła się dwuosobowa wojskowa terenówka, oświetlając ich reflektorami. Auto zatrzymało się zaledwie trzy metry od nich. Ordynans Youngera zeskoczył na ziemię, nie wyłączając silnika. W świetle reflektorów Colette nie opuściła pistoletu wycelowanego w Youngera.

- Przepraszam, panie poruczniku, ale czy wszystko w porządku? - odezwał się ordynans.

- O co chodzi. Franklin?

- Ma pan wracać. I to jak najszybciej.

- Dlaczego? - zapytał Younger.

- Złapali dwóch szkopskich łączników gdzieś koło Rims - odpowiedział Franklin, błędnie wymawiając nazwę miasta Reims. - Znaleźli przy nich rozkazy. Atak jest spodziewany dziś w nocy, panie poruczniku. Duży atak.

- Proszę wybaczyć, mademoiselle, ale wzywa mnie ojczyzna - rzekł Younger, podnosząc z ziemi pas z kaburą i zapinając go na biodrach.

Zmarszczyła brwi.

- Wyślą cię na front?

Uśmiechnął się.

- Nigdy nie zaznałem tyle troski ze strony kogoś, kto mierzy do mnie ze śmiercionośnej broni. - Wyciągnął dłoń. Oddała mu pistolet.

- Panie poruczniku? - ponaglił go ordynans.

- Już idę, Franklin - Younger spojrział z żalem na niedokończony posiłek. - Zjedzcie jutro resztę z bratem. Tylko nie dawaj mu wina.

• • •

Tamtej nocy o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, kiedy amerykańscy i francuscy generałowie bawili się na gali w byłej paryskiej rezydencji barona Charlesa Rothschilda, siły sprzymierzone pod Chateau-Thierry otworzyły ogień ze wszystkiego, czym dysponowały, bombardując niewidoczne niemieckie dywizje zbierające się ponoć na północnym brzegu Marny. Przez cztery godziny Niemcy wytrzymali atak, nie podejmując walki. O trzeciej trzydzieści nad ranem przystąpili do kontrataku.

Pod osłoną wściekłego ognia zaporowego - siedemnaście i pół tysiąca pocisków gazowych oraz trzydzieści pięć ton materiałów wybuchowych - niewidzialne niemieckie ręce zaczęły spinać Marnę mostami pontonowymi. Po tych mostach falami przechodziły oddziały szturmowe. Sto dwudziesta piąta francuska dywizja natychmiast zrezygnowała i wycofała się w nieładzie. W odróżnieniu od niej naiwni Amerykanie na pierwszej linii bronili swoich pozycji i wkrótce zostali wybici w pień.

Atak był nie do powstrzymania. Niemcy parli naprzód, niszcząc wszystko na swojej drodze. Po przejściu trzech kilometrów znaleźli się między dwoma wzgórzami wyrastającymi po obydwu stronach doliny rzeki Surmelin. Amerykanie przewidzieli tę okoliczność. Łamiąc rozkazy francuskiego dowództwa, które nie brało pod uwagę możliwości masowego odwrotu wojsk sprzymierzonych, trzecia dywizja amerykańska dobrze ufortyfikowała ciężką artylerię między drzewami Bois d'Aigremont po jednej stronie doliny oraz na Moulin Ruiné po drugiej, na tyłach wojsk sprzymierzonych. Te właśnie działa zasypały gradem pocisków odsłoniętą niemiecką piechotę. Pod ogień flankowy napływały wciąż nowe regimenty. Niemcy ginęli tak licznie, że ziemia nasiąknęła ich krwią na kilkanaście centymetrów w głąb.

Punkt opatrunkowy Youngera był pełen rannych. Wozy konne i ciężarówki jeździły tam i z powrotem, dowożąc potrzebujących pomocy medycznej, zmarłych i umierających. W ciemnościach wczesnego poranka 16 lipca przywieziono niemieckiego oficera z roztrzaskanymi żebrami, ale Younger, który prawie nie zmrużył oka od siedemdziesięciu dwóch godzin, odmówił przyjęcia go przed rannym francuskim strzelcem.

- Amerykańskie dzikusy - mruknął oficer po niemiecku.

- Niech pomyślę - odparł Younger w tym samym języku, kiedy wyjął zaskakująco długi kawałek drutu kolczastego z nogi piechura. - Kto storpedował brytyjski statek szpitalny dwa tygodnie temu, a następnie zastrzelił pielęgniarki, które przeżyły katastrofę? Ach tak, już sobie przypominam. To byli Niemcy.

Oficer splunął krwią do chusteczki.

- Amerykanie strzelają tam do leżących. Nie dajecie nam szansy, żebyśmy się poddali. Zabijacie wszystkich.

- I dobrze - skwitował Younger.

Chociaż walki ciągnęły się jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, rankiem stało się jasne, że niemiecka ofensywa skończyła się klęską. Osiemnastego lipca wojska ententy, wspierane teraz przez Amerykanów, których siła bojowa wzrosła już do miliona, przeprowadziły popisowy kontratak. Niemcom brakowało zaledwie kilku dni marszu do obrzeży Paryża, ale zaczęli się wycofywać, desperacko próbując dokonać przegrupowania na północ od Marny i uniknąć ostatecznego pogromu.

Następnego dnia o świcie korpus medyczny Youngera został przeniesiony do Soissins. Obóz pod Château-Thierry opustoszał. Zostały gruzy, wysadzony w powietrze kościół i spalony wrak niemieckiego sterowca z Friedrichshafen, a jedynymi dźwiękami były odgłosy transportu wojskowego i kanonady artyleryjskiej na północy.

Kiedy wyjeżdżała jego kompania, Younger obejrzał się na drogę gruntową, po której jeździli razem z Colette i milczącym chłopcem z tyłu sanitarki. Zaraz jednak wyrzucił z głowy te myśli. Człowiek, który nie patrzy przed siebie, nie powinien oglądać się wstecz.

•••

Nie widział jej do końca wojny.

W sierpniu Niemcy zostali ostatecznie pokonani. Wiedzieli o tym oni sami i wszyscy inni. A mimo to wojna nadal się toczyła. Na początku listopada Younger znalazł się w zniszczonych bombardowaniami koszarach niedaleko Verdun. Pochylony nad angielskim artylerzystą przygniecionym przez półtonowe działo, oglądał jego złamaną nogę, w której należało złożyć kość strzałkową. Mimo bólu ranny mężczyzna zerkał ciągle na zegarek.

- Proszę mi wybaczyć, ale czy to jeszcze długo potrwa? - zapytał w końcu.
- Mógłbym ją po prostu odciąć. Byłoby zdecydowanie szybciej - odparł Younger.
- Chodzi o Szkopów - wyszeptał artylerzysta. - Za dziesięć minut będzie tu strzelanina.
- A wy skąd o tym wiecie, żołnierzu? - zapytał Younger.
- Ranny mężczyzna rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy są sami.
- To coś w rodzaju porozumienia - stwierdził.
- Naprawdę? - Younger spojrzał w oczy artylerzysty, żeby stwierdzić, czy nie mający. Wydawało się, że nie.
- Oni strzelają tu przez czterdzieści minut, a potem my walimy w jedno miejsce po ich stronie przez kolejne czterdzieści. Codziennie w to samo miejsce i o tej samej porze. W ten sposób żadna ze stron nie ponosi strat.
- Younger przerwał operację.
- Wasi oficerowie się na to godzą?
- Oni o tym nie wiedzą, panie doktorze - odparł żołnierz.
- To my, artylerzyści, dogadaliśmy się między sobą, że się tak wyrażę. Nie powie pan nikomu, prawda?
- Younger przez chwilę się zastanawiał.
- Nie powiem.

• • •

Dwa dni później o piątej czterdzieści pięć nad ranem radiotelegrafiści rozrzućeni po całej Francji odebrali sygnał z wieży Eiffla: głównodowodzący wojsk ententy marszałek Foch proklamował koniec wojny. Podpisano porozumienie o zawieszeniu broni. Wszelkie działania wojenne miały ustać dokładnie o jedenastej czasu francuskiego.

O dziewiątej tego ranka rozkaz przerwania ognia został formalnie dostarczony wszystkim dowódcom sił sprzymierzonych i przekazany ludziom w okopach. Paradoksalnie zwykli żołnierze, którzy na tej wiadomości zyskiwali najwięcej, przyjęli ją z największym niepokojem. Ludzie, którzy nauczyli się rzucać naprzód pod ogień broni maszynowej niepomini niebezpieczeństwa, nagle zaczęli się obawiać, że zginą w ciągu ostatnich dwóch godzin wojny.

O jedenastej trzydzieści regiment, do którego przydzielony był Younger, zaczął zaciekle bombardować pozycje niemieckie za ziemią niczyją. W ziemiance oficerskiej Younger zawołał do znajomego podporucznika, pytając, co się u diabła dzieje.

- Atakujemy - odkrzyknął podporucznik.
- Co? - Younger nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wtedy zobaczył piechurów biegnących w pełnym uzbrojeniu przez sieć krzyżujących się okopów z napiętymi twarzami i szukających się do ataku. Od linii frontu dobiegały komendy i warkot karabinów maszynowych po stronie niemieckiej, co znaczyło, że żołnierze sił sprzymierzonych przystąpili już do walki.
- To szaleństwo - stwierdził Younger.
- Podporucznik wrzucił ramionami.
- Rozkaz to rozkaz - odparł.

O dziesiątej pięćdziesiąt sześć wydano rozkaz zatrzymania ataku sprzymierzonych. Potrzeba było mniej więcej dwóch minut, żeby go przekazać z głównej kwatery polowej do posterunków radiowych i dowódców na polu walki. A o dziesiątej pięćdziesiąt osiem

umilkło ostatnie działo alianckie. O dziesiątej pięćdziesiąt dziewięć ustał ostrzał niemiecki. W powietrzu zawisła ulotna cisza.

Dwanaście sekund później Younger usłyszał gwizd ostatniego nadlatującego pocisku - po dźwięku ocenił go jako salwę z siedemdziesięciopięciomilimetrowego działa dalekonosnego. Pocisk upadł gdzieś niedaleko: ziemia zatrzęsa się pod nogami, a od ścian oderwały się grudki piachu. Prawdopodobnie pocisk wylądował w ziemiance, może nawet zajętej przez ludzi. Wszyscy czekali z zapartym tchem. Po chwili rozległ się huk alianckich haubic, zapewne wycelowanych w miejsce, skąd Niemcy oddali ostatni strzał.

- Tylko nie to! - szepnął Younger.

Naturalnie Niemcy odpowiedzieli ogniem. Niebawem powietrze znów drżało od regularnego bombardowania. Atak trwał nieprzerwanie przez kilka godzin. W pewnym momencie wystrzelono nawet w powietrze flary sygnalizacyjne, bezużyteczne za dnia i niegroźne w skutkach. Obie strony nie miały chyba żadnego celu oprócz wystrzelania do ostatniego naboju amunicji z arsenałów.

11 listopada 1918 roku jedenaście tysięcy ludzi zginęło lub odniosło rany w walkach, które nastąpiły już po tym, gdy dowódcy zostali poinformowani, że wojna się skończyła.

• • •

Po podpisaniu zawieszenia broni Younger został przydzielony do sojuszniczej armii okupacyjnej. Po przekroczeniu granicy niemieckiej dokonał zdumiewającego odkrycia: w kraju wroga zobaczył pola obiecujące obfite zbiory, na domach dachy i kominy, było tłuste od słodkiej trawy, a żony chłopów pulchne od dostatku. Żołnierze sił sprzymierzonych - zwłaszcza Francuzi, ale nie tylko oni - patrzyli na to z niesmakiem, mając w pamięci widok zrujnowanej Francji.

W Bitburgu Younger pracował w szpitalu. Nie lubił tego. Praca wydawała mu się zbyt regularna i - szczerze powiedziawszy - zbyt bezpieczna. W styczniu nowego roku w porze lunchu ordynans stuknął Youngera w ramię i zaskoczony poinformował, że ma gościa. Podążając wzrokiem za gestem ordynansa, Younger zobaczył w drzwiach stołówki Colette, jak zwykle w wełnianym swetrze i długiej spódnicy.

Wytarłszy usta, podszedł do niej. Nie podali sobie rąk ani się nie uścisnęli. Żołnierze przeciskali się obok Youngera, wchodząc do wielkiej wypełnionej zgiełkiem kantyny

- A więc żyjesz - powiedziała.

- Na to wygląda. Wywołuje pani spore zamieszanie, panno Rousseau.

Kilku żołnierzy zmierzających w pośpiechu do drzwi zatrzymało się gwałtownie, powodując, że idący za nimi wpadali na nich; przyczyną tego chaosu była niewiarygodnie piękna niewiasta stojąca w przejściu.

- Przechodźcie, żołnierze, przechodźcie - ponaglił Younger, pomagając jednemu podnieść się i popychając go. - Co cię sprowadza do Bitburga?

- Usiłuję znaleźć sztab łącznikowy armii niemieckiej. Rozpoznałam barwy twojej kompanii na zewnątrz i pomyślałam, że...- spuściła wzrok. - Chciałam przeprosić za tamten wieczór. To była moja wina.

- Twoja wina? - spytał zdziwiony.

Zmarszczyła brwi.

- Flirtowałam z tobą.

- Tak. To moje najpiękniejsze wspomnienie z czasu wojny. Wiem, jakiego mężczyzny szukasz.

Jej mina zrobiła się jeszcze surowsza.

- Czyżby?
- Takiego, któremu możesz zaufać - ciągnął Younger.
- Zaufałaś mi, a ja cię zawiodłem. Wiem, że będę tego żałować przez resztę życia.

Chodź, zaprowadzę cię do sztabu łącznikowego.

- Nie, poradzę sobie.
- Pozwól mi - nalegał Younger. - Potraktują cię lepiej, jeśli przyjdiesz z

amerykańskim oficerem.

Na dworze było cicho i szaro. Tak samo wyglądały ulice Bitburga i niebo nad miastem, ciągle zapowiadające opady śniegu, które nigdy nie nadchodziły. Podeszli do przysadzistego budynku, gdzie niewielka grupa Niemców prowadziła coś w rodzaju biura rzeczy znalezionych - nie przedmiotów jednak, lecz żołnierzy. Przed frontowymi drzwiami zaczynała się kolejka co najmniej stu cywilów, ciągnąca się wzdłuż ulicy. Widząc tłum oczekujących, Colette powiedziała Youngerowi, żeby wracali. Wtedy ktoś stojący przy drzwiach przywołał ich gestem do siebie. Kolejka była dla cywilów, nie dla oficerów.

Przy okienku, z Youngerem w roli tłumacza, Colette wyjaśniła, że szuka żołnierza nazwiskiem Gruber, Hans Gruber.

Flegmatyczna przysadzista Niemka w okienku spojrzała na nią bez cienia sympatii.

- Powód? - zapytała.

Colette wyjaśniła, że w ostatnich miesiącach wojny pracowała w szpitalu dla ofiar grypy pod Paryżem. Wśród zmarłych był niemiecki więzień nazwiskiem Hans Gruber.

- Był przed śmiercią bardzo smutny i wyjątkowo pobożny. Mówił, że nikt w jego kompanii nawet nie wie, co się z nim stało. Obiecałam, że po wojnie postaram się zwrócić rodzicom jego rzeczy osobiste i identyfikator.

- Proszę mi dać ten identyfikator - zażądała kobieta w okienku. - Jest własnością państwa niemieckiego.

- Nie przyniosłam go ze sobą - odparła Colette. - Przykro mi.

Niemka spojrzała na nią z pogardą.

- Nazwa pułku?

Colette podała żądane informacje i usłyszała, że ma wrócić za tydzień.

- Ale nie mogę - powiedziała. - Mam pracę. I opiekuję się młodszym bratem.

Kobieta w okienku wzruszyła ramionami, po czym wezwała następną osobę z kolejki.

- Ja tu wrócę, panno Nightingale - rzucił Younger do Colette, kiedy wyszli z budynku.

Aluzja nie wywarła na niej najmniejszego wrażenia:

- Nie ma potrzeby, znajdę inny sposób - odparła.

Zaczęło padać. Nie śnieg, raczej papka zmarzniętego deszczu.

- Masz nową pracę? - zapytał.

- Tak - rozchmurzyła się trochę. - Zaczynam od marca. Miałaś rację, na Sorbonę mnie nie przyjęli. Ale to nieważne. Dostanę się w przyszłym roku. W każdym razie Bóg się nade mną zlitował. Madame zaproponowała mi stanowisko technika w Instytucie Radowym. Nauczę się tam więcej nawet niż na uniwersytecie.

- Niezbadane są wyroki opatrności.

Spojrzała na niego.

- Jesteś niewierzący?
- Dlaczego miałbym nie wierzyć? Cóż za skandal! Jak można przypisywać Bogu odpowiedzialność za śmierć setek tysięcy dzieci, które zabrała grypa? To nie jego wina.
- Nie jego. - Odwróciła twarz. Jej głos stał się cichy. - Zabrali mi Luca. Do szkoły dla niepoprawnych dzieci. Mieszkał ze mną w piwnicy instytutu. Madame pozwoliła mi tam się urządzić, dopóki nie dostanę posady oficjalnie. To całkiem miłe miejsce. Są łazienki, książki i palniki, mogę więc gotować. Ale ktoś złożył na nas donos.
- Idiotyzm! - oburzył się Younger. - Niby na czym według nich polega niepoprawność?
- Pozostałe dzieci to złodzieje albo imbecyle. To dom poprawczy. Luc niczego się nie uczy i nie jest leczony.
- On nie potrzebuje leczenia. Musi po prostu żyć.
- Skąd wiesz? - zapytała. - Jesteś psychologiem?
Nie odpowiedział.
- Na pewno pomógłbyś mu otrzymać najlepsze leczenie na świecie - ciągnęła. - Pamiętasz notki, które czasami pisał? Teraz nie robi już nawet tego. Od dwóch miesięcy nie komunikował się z nikim. Po co ja ci to mówię? Po co w ogóle tu jestem? Nienawidzę tego kraju. Muszę iść, zaraz mam pociąg.
Uciekła.

• • •

Spodziewał się zobaczyć ją w następnym tygodniu. Po dziesięciu dniach poszedł do biura łącznikowego, żeby sprawdzić, czy wróciła. Nie wróciła. Younger zapalił papierosa i spojrzął w wieczne szare niebo nad Bitburgiem.

• • •

Wiosną, kiedy w końcu został zwolniony ze służby, wsiadł do pociąg w kierunku Paryża. W Instytucie Radowym zapytał o pannę Rousseau. W recepcji dowiedział się, że Colette wyszła, ma jednak wrócić niebawem. Czekał na nią przed budynkiem.

Ulice Paryża były godne podziwu. Drzewa rosły wszędzie tam, gdzie rosnąć powinny. Budynki piękne i duże, nigdy jednak zbyt duże. Zapach czystej wody na chodniku. Zastanawiał się, czy się tu nie przeprowadzić.

Colette rozpoznała go dopiero, kiedy doszła do połowy schodów. Stała zaskoczona i uśmiechnęła się promiennie; jej uśmiech zginął jednak równie prędko, jak się pojawił. Była nawet szczuplejsza niż poprzednio. Przemknęło mu przez myśl, że może głoduje.

- Zapraszam do środka - powiedziała.

Pokręcił głową. Poszli natomiast na spacer.

- Znalazłaś swojego Hansa Grubera? - zapytał.

- Jeszcze nie.

- Nie wróciłaś do Bitburga, prawda?

- Nie, ale wrócę - zapewniła.

- Bo nie miałaś pieniędzy na pociąg. Czy ty w ogóle coś jadasz?

- Wszystko wróci do normy za dziesięć dni. Wtedy oficjalnie zaczynam pracę.

Teraz muszę wszystko oszczędzać dla Luca. Nie karmią go należycie w tej szkole. Czy wyglądam okropnie?

- Piękniej niż kiedykolwiek, jeśli to w ogóle możliwe - odparł. - Znalazłem twojego

żołnierza. Hans był Austriakiem. Po wybuchu wojny zgłosił się do armii niemieckiej. Mam jego wiedeński adres. Proszę.

Wręczył jej notatkę. Wpatrywała się w papier.

- Dziękuję.
- Jak się ma Luc? - zapytał.
- Okropnie.
- Pozwalają mu stamtąd wychodzić?
- Oczywiście. Prawdę mówiąc, ma lekcje tylko do końca tygodnia, potem

zaczynają się wakacje, jak długo zostaniesz w Paryżu? Na pewno chciałby się z tobą zobaczyć.

- Wyjeżdżam w piątek.

- Ach, tak - powiedziała. - Zapraszam zatem do instytutu. Właśnie odwiedzają nas amerykańscy żołnierze. Uczą się technik radiograficznych od Madame.

- Wiem. Dlatego nie chciałem wejść. Mam dość armii na jakiś czas.
- Ale mogłabym cię przedstawić Madame.

- Nie. - Doszli o ulicy, na której dudniły trolejbusy. - Cóż, panno Rousseau, nie chcę cię zatrzymywać.

Spojrzała na niego.

- Po co przyszedłeś?

- Byłbym zapomniał! Jest coś jeszcze, co chciałem ci dać.

Wręczył jej kopertę, którą wyjął z kieszeni. Zawierała krótką wiadomość telegraficzną:

Z PRZYJEMNOŚCIĄ PRZYJME CHŁOPCA JAKO SWOJEGO PACJENTA.
PORADŹ JEGO SIOSTRZE ZEBY PRZYSZŁA PROSTO DO MNIE JAK
PRZYJEDZIE DO WIEDNIA.

FREUD

Zaniemówiła.

- Możesz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu - podjął Younger. - Zabierzesz Luca do Freuda i złożysz wizytę rodzinie twojego żołnierza.

- Ale nie mogę tam pojechać. Nie mówię po niemiecku. Nie miałabym się gdzie zatrzymać. Nie mam nawet na bilety.

- Ja mówię po niemiecku - odparł.
- Pojechałbyś?
- Jeśli nie będziesz do mnie strzelała.

Zaskoczyła go, rzucając mu się na szyję. Miał wrażenie, że płacze.

•••

Jimmy Littlemore uwolnił stół kuchenny od ciężaru stóp. Wyciągnął zdrową rękę i nałał im jeszcze po szklaneczce whisky.

- Nie rozumiem cię, doktorze. Najpierw ją prawie gwałcisz...
- Bzdura!
- Rozpiąłeś jej bluzkę. Za kogo ją uważałeś?

Younger przyglądał się jesiennej barwie bourbona.

- W czasie wojny obowiązują inne reguły.
- Ona miała inne zdanie - odparł Littlemore. - Podoba mi się w niej to, że wie, jak zadbać o własną przyszłość. Wie, czego chce, dlatego jeszcze pokaże mężczyznom, że jest dobra.

- Co takiego?

- Chodzi mi o uczelnię, że chce ją skończyć dla swojego ojca. Ja mam podobnie z wyjazdem do Waszyngtonu. Mój tata stracił jedyną okazję pracy u federalnych. Kiedy Teddy Roosevelt przeprowadzał się do stolicy, ojciec mógł się z nim zabrać. Był najlepszym gliniarzem w Nowym Jorku, ale miał rodzinę. Rozumiesz, dzieciaki. Ja pewnie nigdy nie dostąpię takiego zaszczytu, ale gdyby mi się trafiło, to wiem, że ojciec byłby ze mnie dumny. Kiedy się zorientowałeś, że ten jej żołnierz wcale nie umarł?

Szklanka Youngera zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Skąd wiesz?

- Identyfikator - odparł Littlemore. - Dziewczyna jedzie do biura niemieckiej armii, żeby odnaleźć dane martwego żołnierza, i zostawia jego identyfikator we Francji? Bardzo wątpię. Moim zdaniem ona wcale nie ma identyfikatora tego chłopca. Dlaczego? Bo on nie umarł.

- Zawsze mówiłem, że powinieneś zostać detektywem.

- Miała do niego feblik, tak? I nie chciała, żebyś wiedział?

Younger odpowiedział dopiero po chwili:

- Ona kocha tego Hansa. Chcesz wiedzieć, co się stało w Austrii?

- Zamieniam się w słuch.

ROZDZIAŁ

Siódmy

Żadnego miasta na świecie wielka wojna nie zmieniła tak bardzo jak Wiednia.

Nie fizycznie. Wiedeń nigdy nie był okupowany przez wojska podczas pierwszej wojny światowej. Nawet jeden kamień nie został drażnięty pociskiem. Wojna jednak zniszczyła wiedeńskiego ducha i pozycję tego miasta w świecie.

Wiosną 1914 roku Wiedeń był słońcem, wokół którego obracała się galaktyka piętnastu milionów poddanych mówiących dziesiątkami języków, lecz będących lennikami cesarza Franciszka Józefa i Habsburgów. Wiedeń był bogaty, a więc ważny dla świata. Pięć lat później stał się nieznaczącym miastem - głodującym, marznącym, pełnym zamkniętych fabryk; wiedeński cesarz stał się uciekinierem, wiedeńskie imperium się rozpadło, a lata niedożywienia i chorób zdeformowały ciała wiedeńskich dzieci.

W rezultacie turyści przybywający tam w marcu 1919 roku mieli całkowicie sprzeczne wrażenia. Jadąc ze stacji kolejowej elegancką dwukonną dorożką, Younger, Colette i Luc widzieli w promieniach porannego słońca Wiedeń z pozoru wielki jak dawniej. Ring - parada majestatycznych monumentów przy szerokim bulwarze okalającym stare centrum miasta - prezentowała niewzruszone oblicze, podobnie jak przed wojną. Architektura wzdłuż Ringu, za nic mając spójność, zapożyczała obficie i swobodnie z całego zachodniego kanonu. Przejechali kłusem obok zbyt wielkiego, rażącego bielą greckiego Partenonu. Dorożka minęła ciemną gotycką katedrę, a następnie wieloskrzydłowy neorenesansowy pałac. Pierwszy budynek był siedzibą parlamentu, drugi rady miejskiej, a trzeci sławnego w całym świecie uniwersytetu. Nawet najskromniejszy budynek przy Ringu byłby pałacem w każdym innym miejscu na świecie.

Ale ludziom odbywającym poranny spacer po Ringu mimo modnych strojów daleko było do imperialnej dumy. Wielu z nich zostało okaleczonych; kule, zwisające luźno puste rękawy i opaski na oko spotykało się na każdym kroku. Nawet od przechodniów ze sprawnymi ciałami wiało jakąś pustką. Na mniejszych uliczkach poza Ringiem dzieci ustawiały się setkami w kolejkach po paczki z żywnością. W jednym z tych miejsc Colette i Younger widzieli, jak zaczynają się przepychać; usłyszeli rozzłoszczone krzyki dorosłych, potem przyszła kolej na ciosy, a w końcu traktowanie.

• • •

Colette chciała, żeby dorożkarz wysadził ją pod domem Hansa Grubera.

Younger zauważył jednak, że ze względu na spóźnienie pociągu, który miał przyjechać poprzedniego dnia wieczorem, może im przepaść umówione spotkanie z Freudem.

- Zapytaj woźnicę, gdzie jest ta ulica - poprosiła. - Może gdzieś blisko.

Nie była blisko. Colette ustąpiła. Kiedy rozczarowana znów się umościła na miejscu,

woźnica zwrócił się do niej nienaganną francuszczyzną:

- Proszę wybaczyć, mademoiselle, ale chciałbym zapytać, czy nienawiść Francji do Niemiec obejmuje także wiedeńczyków?

- Nie - odparła. - Wiemy, że ucierpieliście tak samo jak inni.

- To prawda, mamy problemy - zgodził się woźnica. - Zauważył pan może, co się dzieje z wiedeńskimi psami?

- Nie widziałem żadnych psów - odparł Younger.

- To właśnie jest niepokojące. Ludzie zjadają psy. Na pewno też słyszał pan o płacziwej chorobie. Ludzie zaczynają łkać bez żadnego widocznego powodu, mężczyźni na równi z kobietami, i nie mogą przestać. Płaczą przez sen i ciągnie się to tak długo, aż dostają drgawek epileptycznych. Po przebudzeniu niczego nie pamiętają. Wszystkiemu winne są nerwy. My, wiedeńczycy, zawsze byliśmy nerwowi. Weseli, ale nerwowi.

Colette wyraziła uznanie dla jego znajomości francuskiego.

- Panienska jest równie wspaniałomyślna, jak czarująca - odparł woźnica. - Jako chłopiec miałem guwernantkę paryżankę. Oto mój bilet wizytowy. Jeśli będziecie państwo potrzebowali dorożki, proszę zwrócić się do mnie.

Z biletu dowiedzieli się, że ich woźnica nazywa się Oktavian Ferdinand graf Kinsky von Wchinitz und Tettau.

- Jest pan szlachcicem - rzekł Younger. Arystokratyczny tytuł grafa używany był w Niemczech. O szlacheckim pochodzeniu świadczyło także „von” przed nazwiskiem.

- Tak, hrabią, i w dodatku takim, który miał w życiu szczęście. Zachowałem ostatni powóz i teraz dzięki niemu zarabiam na życie. Zaprzyjaźniony ze mną baron utrzymuje się z zamiatania podłogi w restauracji. Zwróćcie uwagę na moją liberię!

Dopiero teraz Younger dostrzegł niegdyś wytworny, teraz jednak zniszczony uniform woźnicy.

- Należała do jednego z moich służących. I też dopisało mi szczęście. Miałem lokaja równie niskiego i okrągłego jak ja. Jesteśmy na miejscu. Oto hotel Bristol.

- Ale ten pokój jest... o wiele za duży - powiedziała Colette, oglądając wynajęty dla nich apartament. Oczy Luca powędrowały do przykrytego białym obrusem stołu, gdzie na srebrnej tacy piętrzył się stos ciast obok dwóch parujących dzbanków - w jednym była kawa, w drugim gorąca czekolada. Chłopiec nie cierpiał głodu, jak wiele dzieci w Wiedniu, ale jego warunki życiowe pozostawiały wiele do życzenia. Colette dodała: - Nigdy w życiu nie byłam w takim pokoju!

- I mają czelność brać za to trzy angielskie pensy - odparł Younger. - Rabunek!

• • •

Niespełna godzinę później w małej, ale komfortowej według standardów klasy średniej kamienicy przy Berggasse - wąskiej, brukowanej, lekko spadzistej alejce przy kanale dunajskim - pokojówka wpuściła Youngera i Colette do pustego gabinetu Zygmunta Freuda.

- Bardzo się denerwuję - szepnęła Colette.

Younger skinął głową ze zrozumieniem. W końcu ma powody, pomyślał: Colette nie tylko zastanawiała się, czy doktor Freud naprawdę pomoże jej bratu, ale zapewne chciała też zrobić dobre wrażenie na sławnym w całym świecie wiedeńskim lekarzu. Tylko że to nie ona mogła go rozczarować.

Gabinet Freuda kojarzył się z wanną, do której wlano ni mniej, ni więcej, tylko

cywilizację. Ściany zastawione oprawnymi w skórę wolumenami, a każdy centymetr niezajęty przez książki uzupełniały antyki oraz miniaturowe rzeźby: greckie wazy przemieszane z chińskimi terakotami, rzymskie intaglio obok południowoamerykańskich figurek i egipskich brązów. W powietrzu unosił się intensywny zapach dymu cygara, a szkarłatne orientalne dywany nie tylko leżały na parkiecie, ale też udrapowane zostały na niskich stolikach, a nawet okrywały długą leżankę.

Otworzyły się drzwi. Przebiegł przez nie pies, mały chow-chow, ujadając. Po zwierzęciu do pokoju wszedł sam Freud, który zatrzymał się w progu, odciągając psa od butów Youngera i Colette. Chow-chow okazał się posłuszny.

- A więc, mój chłopcze, nie zajmujesz się już psychoanalizą? - zwrócił się Freud do Youngera bez żadnych wstępów.

Freud miał na sobie garnitur z kamizelką, koszulę i był pod krawatem. W lewej, uniesionej lekko dłoni między dwoma palcami trzymał cygaro. Postarzał się od czasu, kiedy Younger widział go po raz ostatni. Jego siwe włosy zrzedły i ujawniły zakola; krótka ostra bródka była teraz całkiem siwa. Pozostał jednak nadal przystojny, jak na sześćdziesięcioletniak, sprawny i silny, a oczy miał dokładnie takie, jakie zapamiętał Younger - przenikliwe i współczujące jednocześnie, gniewne i rozbawione.

- Panno Rousseau, czy mogę panią przedstawić doktorowi Freudowi? - odezwał się Younger. - Doktorze Freud, uznałem, że zechce pan porozmawiać z panną Rousseau, zanim zobaczy pan jej brata.

- Bardzo mi miło panią poznać, *Frdulein* - powiedział Freud i natychmiast zwrócił się do Youngera. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie zajmuję się już wcale psychologią, doktorze.

- Uprawiałeś psychoanalizę? - zdziwiła się Colette.

- Czyżbym o tym nie wspomniał? - odparł pytaniem Younger.

- Nie przyznał się pani, że był kiedyś najbardziej obiecującym spośród moich uczniów w Ameryce? - zapytał Freud.

- Nie - stwierdziła Colette.

- Oczywiście! - powiedział Freud. - Kiedy się poznaliśmy, Younger przeprowadził pod moim nadzorem psychoanalizę dziewczyny, która później została jego żoną.

- Ach, tak - rzuciła Colette.

Younger się nie odezwał.

- Nie mówił pani o swojej żonie? - kontynuował Freud.

Colette się zaczerwieniła.

- On niczego mi o sobie nie mówi.

- Więc to tak. Cóż, nie jest już żonaty, jeśli ten temat panią interesuje. Zakładam jednak, że powiedział pani przynajmniej, na czym polega psychoanaliza.

- Nie, tego też mi nie wyjaśnił.

- Zrobię to zatem ja. Proszę usiąść. - Freud zerknął na Youngera, potem wezwał pokojówkę, kazał jej podać herbatę i usiadł w wygodnym fotelu. - Jest pani naukowcem, panno Rousseau?

- Studiuję, żeby nim zostać. Radiochemikiem. Będę pracowała w instytucie madame Curie. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

- To dobrze. Jako naukowiec łatwiej zrozumie pani to, co za chwilę powiem. Przed podjęciem analizy dziecka uważamy za stosowne poinformować jego rodziców, a w tym przypadku opiekunkę, co robią analitycy. To dlatego Younger umożliwił mi rozmowę

najpierw z panią - powiedział Freud, ponieważ Younger i Colette, idąc do niego, zostawili Luca w hotelu.

Paula, pokojówka Freuda, weszła z serwisem do herbaty.

- Wszystkie neurozy są powodowane przez wspomnienia - ciągnął Freud, podczas gdy pokojówka nalewała herbaty do filiżanek. - Zazwyczaj jest to wspomnienie sprzed wielu lat, kryjące niezrealizowane pragnienie. Pragnienia, z których powodu cierpią neurotycy, nie są wyjątkowe. Wszyscy żywiliśmy je w dzieciństwie, jednak w ich przypadku coś uniemożliwia zatarcie tych odległych wspomnień i pozbycie się ich z wiekiem. Pozostają więc w zakamarkach umysłu tak dobrze ukryte, że moi pacjenci nie są ich nawet świadomi. Celem analizy jest uświadomienie pacjentowi tych tłumionych wspomnień.

- Żeby mógł o nich zapomnieć? - zapytała Colette.

- Żeby mógł się od nich uwolnić - odparł Freud. - Ale ten proces zwykle nie należy do łatwych, ponieważ prawda bywa trudna do zaakceptowania. Pacjent i jego rodzina niezmiennie odrzucają nasze interpretacje, opierając się im z wielką siłą. I nie bez powodu. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, stosunki w rodzinie mogą się nieodwracalnie zmienić.

Colette zmarszczyła brwi.

- W rodzinie?

- Tak. Prawdę mówiąc, często właśnie dzięki temu wiemy, że dotarliśmy do sedna: rodzina pacjenta nagle zaczyna domagać się przerwania analizy. Choć czasem mamy też inne, bardziej oczywiste dowody. Dam pani przykład. Mam pacjentkę, podobnie jak pani Francuzkę, z bardzo dobrej rodziny i z wielkim majątkiem. Uskarża się ona na oziębłość płciową.

Younger poruszył się na krześle. Bezpośrednie odwołania do cielesnej żądzły należały do podstawowych powodów, dla których nie dyskutował o psychoanalizie z Colette.

- Podczas jednej z pierwszych sesji ta pacjentka, atrakcyjna, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, opowiedziała mi sen, który śniła poprzedniej nocy - kontynuował Freud. - Była w Lasku Bulońskim. Znajoma para leżała tam między drzewami na podwójnym łóżku ustawionym na zielonej trawie wokół jeziora. I to wszystko. Nie śniło jej się nic więcej. Co pani zdaniem mógł oznaczać ten sen, panno Rousseau?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Czy sny mają znaczenie?

- Z całą pewnością. Uświadomiłem jej, że była świadkiem, może nawet więcej niż raz, stosunku seksualnego, którego nie powinna była widzieć jako małe dziecko, prawdopodobnie między trzecim a piątym rokiem życia. Odpowiedziała, że to niemożliwe, ponieważ wychowywała się bez matki. Ale oczywiście miała guwernantki. Nagle przypomniała sobie, że pierwsza z nich opuściła rodzinę nagle, kiedy ona sama miała pięć lat. Nigdy się nie dowiedziała dlaczego. Stwierdziłem, że najprawdopodobniej ta guwernantka ma związek z jej snem. Zapytała więc o to w domu.

Pytała każdego, ze starymi służącymi włącznie. Wszyscy ją zapewniali, że odejście tamtej guwernantki nie było spowodowane niczym niestosownym, powiedziała mi więc później, że musiałem się pomylić. Następnie moja pacjentka miała kolejny sen, w którym pojawiła się ta właśnie guwernantka, ale z twarzą konia. Powiedziałem jej, że ten sen oznacza, iż... Ale może ty, Younger, wiesz, co oznacza drugi sen mojej pacjentki?

- Nie - odparł Younger.

- Nie? W takim razie powiedz pannie Rousseau, jak ja zinterpretowałbym jego znaczenie.

- Nie jestem pewien, czy to uchodzi.

- Jeśli panna Rousseau ma się zgodzić na leczenie brata, to chyba powinna wiedzieć, na co się godzi? - spytał Freud.

- No cóż. Przede wszystkim doktor Freud powiedziałby zapewne, że końska twarz tej guwernantki jest wynikiem kondensacji, a więc oznacza zarówno samą nauczycielkę, jak i mężczyznę, z którym spała.

- Dobrze - pochwalił go szczerze Freud z zadowoloną miną.

- Ojciec pacjentki był jeźdźcem, jak przypuszczam?

- Nie - odparł Freud, nie zdradzając żadnych szczegółów.

- Czy pacjentka kojarzyła go z końmi?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Younger zamilkł na chwilę.

- Ale konie znajdowały się w majątku rodzinnym?

- Trzymali konie do powozów - wyjaśnił Freud.

- Uważam zatem, że powiedziałby pan, iż guwernantka pacjentki spała z kimś jakoś związanym z tymi końmi, ale też w jakiś sposób kojarzącym się jej z ojcem.

- Doskonale! - wykrzyknął Freud. - Powiedziałem pacjentce, że guwernantka najprawdopodobniej miała romans ze stajennym, który był spokrewniony z jej ojcem. Odparła na to, że ten właśnie stajenny znalazł się w gronie służących, których wypytywała, i zapewniał ją, że guwernantka nie dopuściła się żadnego niestosownego czynu. Poradziłem jej, żeby raz jeszcze porozmawiała ze stajennym.

- Rozmawiała z nim? - zacięła się Colette.

- Owszem - odpowiedział Freud. - Powiedziała mu, że wie o jego romansie z guwernantką. Wtedy mężczyzna przyznał się do wszystkiego. Miejscem ich schadzki była stajnia. Guwernantka dawała mojej pacjentce syrop, po którym robiła się ona senna. Wtedy układali ją na sianie i mogli zająć się tylko sobą. Stajenny dodał przy okazji, że guwernantka miała wyjątkowy temperament, czasem się obawiał, że umrze z rozkoszy. Romans się zaczął, kiedy moja pacjentka miała trzy lata, a skończył, gdy miała pięć, ponieważ właśnie wtedy kochanków nakryto i guwernantkę odprawiono.

- To niesamowite! - krzyknęła Colette. - *Vraiment incroyable*.

- Dobra robota, mój chłopcze - Freud pochwalił Youngera, jakby to właśnie jemu należało przypisać całą zasługę, i podniósł się, sugerując, że rozmowa dobiegła końca. - Musicie zjeść dziś z nami kolację. Moja żona Martha serdecznie panią zaprasza, *Fräulein*. Proszę też przyprowadzić brata. W ten sposób będę miał lepszą orientację, jak postępować.

Colette odparła, że czuje się zaszczycona.

- Doktorze Freud, czy mogę zamienić z panem kilka słów? - poprosił Younger.

- Właśnie miałem cię prosić o to samo. Wybaczy nam pani, panno Rousseau?

Younger, proszę do mojej pracowni.

• • •

- Jak twoim zdaniem mam przeprowadzić analizę chłopca, który nie mówi? - zapytał Freud, siadając za biurkiem w prywatnym gabinecie, w którym znajdowało się jeszcze więcej antyków.

- Ale pan...
- To brzmi jak początek dowcipu: przychodzi niemowa do Zygmunta Freuda.
Twoje zachowanie wymaga analizy, mój chłopcze.
- Moje zachowanie?
Freud podniósł wieczko drewnianego pudełka.
- Cygaro?
- Dziękuję.
Freud obciął cygaro cienkimi, delikatnymi nożyczkami.
- Masz mi coś do powiedzenia, ja natomiast mam coś do powiedzenia tobie.
Zacznijmy od tego, co ty chcesz powiedzieć mnie.
Younger nie bardzo potrafił ująć w słowa własne myśli.
- Pozwolisz? - zapytał Freud. - Przede wszystkim chcesz mi wyznać, że przywiezienie chłopca do mnie nie było twoim pomysłem.
Younger milczał.
- Gdyby to był twój pomysł, wyjaśniłbyś panie Rousseau zasady psychoanalizy, powiedziałbyś o swojej praktyce, korzyściach z niej płynących i tak dalej. Nie zrobiłeś żadnej z tych rzeczy. A więc pomysł, żeby tu przyjechać, wyszedł od niej. Co więcej, masz obietnicę do przeprowadzenia psychoanalizy chłopca, ponieważ obawiasz się tego, co powiem o jego stanie. Panna Rousseau jest oczywiście jego matką zastępczą od dłuższego czasu. Oczekujesz, że stwierdzę, iż chłopiec chce z nią spać, i chcesz, żebym jej o tym nie informował.
Younger nie ukrywał zdumienia.
- Jest tylko jeden człowiek na ziemi, którego ciągle pytam, skąd wie to, co wie. Tak się składa, że słucha on teraz tej historii.
- Tego nie powiedziałeś - stwierdził Littlemore. Jego mocno zdarte czarne buty ponownie skrzyżowały się na blacie stołu kuchennego. - Nie przerywaj w ten sposób. To psuje... ten... no wiesz...
- Efekt dramatyczny? - podsunął Younger.
- Tak. Jeszcze ci powiem, że ten Freud byłby świetnym detektywem. Ale nieźle wszystko pomieszałeś, doktorze. Twoja opowieść zabrzmiała tak, jakby według Freuda Luc chciał się przespać z Colette, i to dlatego, że przez kilka lat mu matkowała.
Littlemore wybuchnął głośnym śmiechem. Przestał, kiedy zobaczył, że z twarzy Youngera nie zniknęła powaga.
- On chyba tak nie sądzi - ocenił Littlemore.
Younger pokiwał głową.
- Nie może tak sądzić - dodał Littlemore.
- Właśnie dlatego przestałem się parać psychoanalizą
- rzekł Younger. - Powiedziałem Freudowi dziesięć lat temu, że w nią nie wierzę. Stąd tak dobrze znał tok mojego myślenia.
- I co mu odpowiedziałeś?

• • •

- To prawda, byłbym wdzięczny, gdyby pan jej tego nie mówił, doktorze Freud - potwierdził Younger. - Ponieważ ona uwierzy, że to prawda.
- Podczas gdy ty w to nie wierzysz.
- Nie wierzę, panie doktorze. - Freud przypalił cygaro, kiwając głową. - Przykro

mi, ale nie dam wiary że trudności Luca mają cokolwiek wspólnego z tym, że chłopiec pożąda siostry, matki czy też kogokolwiek z rodziny - dodał Younger. - Jeśli w ogóle cierpi na neurozę, to ma ona podłoże wojenne. Na pewno nie seksualne.

- Nie seksualne? Na jakich podstawach opierasz diagnozę? Przypominasz mi rządowych lekarzy podczas konferencji w Budapeszcie: „Tak, musimy to przekazać Freudowi. Tak, staruszek ma rację w sprawie podświadomości. Tak, neuroza wojenna może być wywołana podświadomymi wspomnieniami, dokładnie tak, jak twierdził z uporem Freud. Ale te ohydne powiązania z seksem? Bogu dzięki, nerwica frontowa nie ma z nimi nic wspólnego!”. Prawdę mówiąc, ani jeden przypadek nerwicy frontowej nie został jeszcze dogłębnie przeanalizowany. Nie wiemy, jaki ma ona związek z dziecięcymi pragnieniami. Dlatego bardzo mnie interesuje brat panny Rousseau.

- Chce się pan przekonać, czy za objawami też ukrywa się Edyp?

- Jeśli tam jest, to dlaczego miałbym go nie znaleźć? Nie bądź jednak taki pewien, jakich rezultatów oczekuję. Chłopiec może kryć inną tajemnicę. Dostrzegłem coś nowego, Younger. Niewyraźnie, ale dostrzegłem. Niewykluczone, że kolejnego trupa w szafie.

- Co mianowicie?

- Nie powiem ci, ponieważ nie wiem. - Freud strzepnął popiół z cygara. - Ale przejdźmy do tego, co ja mam ci do zakomunikowania.

- Chce pan, żebym ponownie się zastanowił, czy słusznie odrzuciłem kompleks Edypa.

- Chcę, żebyś wrócił do psychoanalizy. Dlaczego tu jesteś?

- Panna Rousseau...

- Chciała poddać analizie brata - przerwał mu Freud. - A ty ją kochasz, zgodziłeś się więc, aby uczynić jej zadość. To oczywiście. Ale oprócz tego.

- Oprócz tego?

- Jeśli założymy, że chłopca w ogóle trzeba poddać analizie, to mogłeś ją przeprowadzić sam. Nie było potrzeby przedsięwziąć podróży do Austrii. Co więcej, decyzja o przyjeździe tutaj była nielogiczna, ponieważ panna Rousseau planuje niebawem wracać do Paryża. Doskonale wiesz, że analizy nie da się przeprowadzić w ciągu tygodnia czy dwóch. Wynika stąd, że miałeś jeszcze inny powód przyjazdu.

- Jaki? - zapytał Younger.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć - odparł Freud.

Younger się zamyślił. Długo milczał, zanim w końcu wyznał:

- To prawda.

- Dlaczego?

- Noszę się z zamiarem, by o coś pana zapytać.

Freud czekał. Zapadła jeszcze dłuższa cisza.

- Nie mam już... - Younger szukał odpowiednich słów.

- Straciłem wiarę.

- Odejście od religii jest początkiem dojrzałości - odparł Freud.

- Nie chodzi o religię.

Freud czekał.

- Wojna. Miliony mężczyzn, wiele milionów młodych mężczyzn zabitych za nic - podjął Younger. - Bezsensowna rzeź. Niezliczenie więcej okaleczonych do końca życia.

- Ach, tak! - rzucił Freud. - Owszem. Trudno pojąć destrukcję, jakiej ulegliśmy. W

konfrontacji z nią moja dotychczasowa wiedza o ludzkim umyśle okazuje się niewystarczająca. Ale to ciągle nie jest powód, dla którego tutaj jesteś.

Younger milczał.

- To nie o wojnę chcesz mnie zapytać - dodał Freud.

- Nie dostrzegam już sensu - wyznał w końcu Younger. - Nie widzę nawet możliwości, by go dostrzec. Myślę, pragnę, ale nie mam żadnego celu. - Jego prawa pięść zacisnęła się mimowolnie. Rozluźnił ją. - Czy można żyć bez celu?

- Potrzebę celu w życiu, mój chłopcze, przejąłeś od rodziców, prawdopodobnie od ojca. Trzeba by poddać to analizie.

- Dla mnie to stwierdzenie - odparował Younger - jest równoznaczne z przyznaniem, że cel nie istnieje.

- W takim razie nie mogę ci pomóc.

Kolejna pauza.

- Nie palisz - powiedział Freud, zauważając, że cygaro Youngera zgasło i podając mu ogień. - Śledziłem twoją karierę z daleka. Brill mnie informował. Dobrze ci szło.

- Dziękuję.

- Walczyłeś?

- Tak.

- Moi synowie także. Martin nadal jest w niewoli we Włoszech. - Freud zaciągnął się cygarem. - Dotarła do mnie przykra wiadomość o śmierci twojej żony. To coś potwornego. Czy ty źle traktujesz kobiety?

- Słucham?

- Nie ożeniłeś się powtórnie. Masz przesadne wyobrażenie o kobiecej czystości, sądząc po niechęci do poruszania tematu seksu przy pani Rousseau. Zastanawiam się, czy nie masz zwyczaju znęcać się nad kobietami.

- Dlaczego miałbym się znęcać nad kobietami?

- To dość powszechna reakcja. Mężczyzna, który idealizuje kobiety, często ich też nie szanuje.

- Nie jest prawdą, że nie szanuję kobiet. Przeciwnie, bardzo je cenię.

- Ja tylko obserwuję. To po śmierci żony odwróciłeś się od psychologii. Odwróciłeś się od umysłu.

- Studiowałem umysł - zaprzeczył Younger. - Biologicznie.

- Właśnie w ten sposób się od niego odwróciłeś. Prawdopodobnie była to forma rewanzu.

- Na kim?

- Na twojej żonie. Pewnie także na mnie. Na sobie samym.

Younger nie skomentował.

- Porzuciłeś psychoanalizę - podjął Freud - i znęcasz się nad kobietami z tego samego powodu: czujesz się odpowiedzialny za śmierć żony.

- To absurd! Nie jestem odpowiedzialny za jej śmierć.

- Absurd jest obrazą logiki - odparł Freud. - Ale umysłem logika nie włada.

• • •

Colette zdążyła opuścić gabinet słynnego psychologa, nim mężczyźni wrócili tam po rozmowie w pracowni. Younger wyszedł na zewnątrz, nie znalazł jej jednak także na ulicy. Pomyślał, że wybrała się na spacer, żeby zobaczyć Dunaj. Ale nad rzeką również

jej nie było. Younger długo wpatrywał się w wodę.

• • •

Po powrocie do hotelu Bristol Younger zapytał Luca, czy wie, gdzie jest siostra. Chłopiec pokręcił głową i pokazał Youngerowi, co narysował w czasie ich nieobecności.

- Znakomity rysunek - pochwalił Younger. Chłopiec narysował drzewo z wieloma gałęziami. Na kilku z nich siedziały zwierzęta, każde wpatrzone w oglądającego obrazek wygłodzonymi oczami. - To psy?

Luc pokręcił głową.

- Wilki?

Chłopiec skinął.

- Zdajesz sobie sprawę, młody człowieku, że nie wiemy nawet, czy potrafisz mówić. W sensie fizycznym.

Luc nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego.

- Ale ty sam wiesz, czy potrafisz. Jestem pewien, że wiesz - ciągnął Younger. - A jeśli nie potrafisz mówić, Luc, to nie ma powodu, żebyś szedł do doktora Freuda. On nie jest odpowiednim lekarzem.

Chłopiec nie zareagował w żaden sposób.

- Jeśli jednak możesz mówić, to bez trudu poradzisz sobie sam. Po prostu zacznij mówić. Nie musisz chodzić do lekarza. Nie musisz chodzić do szkoły, w której teraz się uczysz. Zacznij mówić i spraw, żeby twoja siostra była szczęśliwa.

Luc patrzył na Youngera przez długą chwilę, zanim odwrócił rysunek, by napisać na odwrocie odpowiedź. Dopie-

ro drugi raz w ten sposób kontaktował się z Youngerem. Na kartce widniały dwa słowa: „Mylisz się”.

Patrząc, jak chłopiec siada w kącie z jedną ze swoich książek, Younger się zastanawiał, dlaczego według chłopca się myli. Czy błędem jest przypuszczenie, że Luc wie, czy może mówić? Czy że uszczęśliwiłby siostrę, gdyby mówić zaczął?

• • •

Colette wróciła do hotelu godzinę później.

- Zniknęłaś - stwierdził Younger.

- Wybrałam się... - zaczęła.

- Do Gruberów.

- Tak. Piechotą. Ale pod tym adresem nie znalazłam ich domu. To wcale nie jest dom mieszkalny. Niczego nie udało mi się dowiedzieć. Nie jestem nawet pewna, co to za miejsce. Zdaje się, że sala koncertowa. Mógłbyś mi pomóc?

Younger poszedł z nią pod wskazany adres jako tłumacz. Budynek okazał się szkołą muzyczną. Sekretarka, dość życzliwa, by zajrzeć do szkolnego archiwum, znalazła zapis, że uczeń nazwiskiem Hans Gruber uczęszczał do szkoły, a przynajmniej złożył podanie o przyjęcie w 1914 roku. Dała im kolejny adres w dystrykcie Hutteldorf, który jak się dowiedzieli od woźnicy, leży dwie godziny drogi konno, taniej więc - i szybciej - będzie pojechać koleją. Colette oświadczyła, że wybierze się tam sama nazajutrz.

- Nie bądź niemądra. Pojadę z tobą - zaferował Younger.

• • •

Tamtego wieczoru Martha Freud, jej siostra Minna oraz pokojówka Freudów Paula rozplęwały się nad Lukiem, nazywając go wyjątkowo zachwycającym dzieckiem - *schmächtige Kerlchen*. Martha kilka razy przeproszała za skromny poczęstunek, który w istocie był bardzo obfity, tylko złożony z naprawdę prostych dań. Jakby Freudowie zajmowali się uprawą roli.

- Ta okropna wojna - powiedziała Martha.
- Przynajmniej zwycięstwo przypadło właściwej stronie
- oświadczył Freud.

Martha się zdziwiła, jak jej mąż może coś takiego mówić, skoro oni też wszystko stracili.

- Nie straciliśmy wszystkiego, moja droga - skarcił ją Freud.
- Tylko oszczędności całego życia - ironizowała Martha.
- Ulokowaliśmy je w obligacjach państwowych. Najbezpieczniejsza inwestycja, jak mówili wszyscy. Na każdej obligacji widniał portret cesarza Franciszka Józefa.

- Teraz są tyle warte, co on sam - wtrącił Freud.
- Nic nie są warte! - krzyknęła Martha.
- To właśnie powiedziałem, moja droga - odpowiedział Freud. - Ale nasi synowie nie zostali ranni, a nasze córki są szczęśliwe. To prawda, że Martin nie wrócił jeszcze do domu, ale tam, gdzie jest, wie dzie mu się lepiej. Jako jeniec dostaje codziennie posiłek, podczas gdy Wiedeń głoduje. Za to nasz ruch, wyobraź sobie, Younger, został dofinansowany. Otrzymaliśmy hojny zapis, milion koron, od węgierskiego pacjenta. Kiedy pieniądze do nas dotrą, wybudujemy bezpłatne kliniki w Berlinie i na Węgrzech. Budapeszt stanie się naszym nowym centrum. Twój stary przyjaciel Ferenczi właśnie został tam profesorem psychologii.

Po posiłku Lucowi pozwolono odejść od stołu. Usiadł w rogu pochłonięty jedną z książek Freuda.

- A może zostawi pani u nas chłopca na dzień lub dwa?
- Freud zwrócił się do Colette. - Nie mogę przeprowadzić z nim typowych sesji, gdybym jednak miał go pod swoim dachem, byłoby mi łatwiej go obserwować.

Youngerowi plan Freuda bardzo się spodobał, jednak nie z powodów terapeutycznych. Gdyby chłopiec został u Freudów, on i Colette zostaliby w hotelu sami.

- Pani także może się u nas zatrzymać - ciągnął Freud.
- Nasze gniazdo opustoszało. Anna jest z wizytą u siostry w Berlinie. Mogłaby pani zająć jej pokój.

Younger spędził noc samotnie.

• • •

Colette miała przyjść do hotelu po śniadaniu następnego ranka. Istotnie, przyszła po śniadaniu, ale minęła już także pora lunchu.

- Martha i Minna zabrały Luca do parku rozrywki - powiedziała, jakby ten fakt wyjaśniał także kilka godzin, o których nie wspominała. - On jest taki silny. Doktor Freud. Te jego oczy! Widzą wszystko.
- Wiem, gdzie byłeś - odparł Younger. - W Hütteldorfie.
- Tak. Koło domu Freudów jest stacja kolejowa. Nie chciałam sprawiać ci kłopotu, ale... - uniosła brwi błagalnie.
- Musisz tam wrócić - zgodził Younger.

- Pomożesz mi jeszcze ten jeden raz? - poprosiła, przywołując na usta najpiękniejszy ze swoich uśmiechów. - Chyba znalazłam budynek, w którym kiedyś mieszkał, nie rozumiałam jednak, co do mnie mówiono. Nie wydaje mi się, żeby Gruberowie nadal tam mieszkali, ale może ktoś nam powie, dokąd wyjechali. Kolejka jest całkiem szybka.

• • •

- Gdzie są jego rzeczy? - zapytał Younger, kiedy siedzieli w kolejce miejskiej do Hütteldorfu. Wiedeńska zima musiała być długa i mroźna: choć już nadchodziła wiosna, na drzewach nie pojawił się ani jeden pąk.

- Rzeczy? - powtórzyła Colette.

- Rzeczy osobiste twojego żołnierza. Miałaś je zwrócić rodzinie. Zapomniałaś o nich?

- Oczywiście, że nie - zapewniła. - Mówiłam ci przecież. Nie sądzę, żeby Gruberowie nadal tam mieszkali. Dlaczego ukrywałeś przede mną, że byłeś żonaty?

- Nie ukrywałem.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Nigdy nie pytałaś.

- Owszem, pytałam - odparowała Colette. - Odpowiedziałeś, że nie wierzysz w małżeństwo.

- Bo to prawda.

Spojrzała przez okno.

- Niczego mi nie mówisz. To tak, jakbyś kłamał. Bo to właściwie jest kłamstwo.

- Milczenie nie może być kłamstwem.

- Może, jeśli wprowadza kogoś w błąd. Wolalabym, żebyś skłamał. Przynajmniej bym wiedziała, że ci zależy na tym, co o tobie myślę.

Siedzieli w milczeniu. Pociąg toczył się z łoskotem wzdłuż brzegów brązowego, niezmaconego niczym Dunaju. Younger patrzył na jej profil. Zastanawiał się, dlaczego uważał ją za istotę bezbronną, choć nie świadczyło o tym ani zdecydowanie na jej twarzy, ani cała jej postawa życiowa.

- Zależy mi - zapewnił.

- Nieprawda!

Younger trzymał się zasady, by nie mówić ani słowa więcej niż trzeba o sobie i swojej przeszłości - przede wszystkim kobietom. Zawsze go o to prosiły, ale on nigdy tego nie robił. Najwyraźniej jednak dla niej łamał swoje zasady.

- Spotkałem ją w listopadzie tysiąc dziewięćset dziewiątego roku. Miała na imię Nora. Chciałabyś się dowiedzieć więcej?

- Oczywiście, jeśli możesz mi o tym powiedzieć.

- Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkałem w życiu do tamtej chwili. Była zupełnie inna niż ty. Blondynka. Tak krucha, że mogłaby się rozpaść w twoich rękach. W dodatku przejawiała skłonność do autodestrukcji. Chyba właśnie to mi się w niej podobało. Spędziliśmy sześć wspaniałych miesięcy. Doświadczenie mi podpowiada, że to nie najgorzej - pół roku. Ale już wtedy pojawiały się niebezpieczne oznaki. Pamiętam, jak wybrałem się z nią po suknię ślubną. Wbiła sobie do głowy, że modelka, która prezentowała nam tę suknię, mniej więcej szesnastoletnia, wyśmiewa się z niej. Popełniłem błąd, pytając, co takiego zrobiła, a wtedy Nora mnie oskarżyła, że biorę tę

dziewczynę w obronę. Popeliłem kolejny błąd, bo się roześmiałem. Klótnia trwała dwa dni. Ale sprawy przybrały naprawdę poważny obrót po ślubie, kiedy znalazła kilka moich notatników. Zapisywałem w nich uwagi związane z psychoanalizą, przebieg poszczególnych przypadków. Moje pacjentki zazwyczaj, no cóż... Większość z nich zaczynała się zachowywać tak, jakby się we mnie zakochały, ale tak właśnie zawsze się dzieje w psychoanalizie. Możesz zapytać Freuda, jeśli mi nie wierzysz.

- Oczywiście, że ci wierzę - zapewniła go Colette.
- W notatkach opisywałem, co się zdarzyło podczas każdego seansu

terapeutycznego: co pacjentki mówiły, jaką wzbudzały we mnie reakcję i tym podobne rzeczy.

- Tym podobne?
- Tak.
- Czy ty... Czy twoje pacjentki ci się podobały? I pisałeś o tym w notatkach?
- Jedna z nich. Miała na imię Rachel.
- Rachel. Była ładna?
- Z wyglądu przypominała ciebie - odparł Younger. - A więc tak, była ładna.
- Chciała się z tobą przespać?
- Z pewnością tak.
- Sugerujesz, że zrobiłeś jej to, co próbowałeś zrobić mnie, a ona ci na to

pozwoliła?

Younger tylko spojrzał na Colette.

- Nie winię cię - stwierdziła. - Ładna dziewczyna przychodzi do twojego gabinetu dzień w dzień, kładzie się na kozetce i powierza ci swoje sekrety... Gdybym była mężczyzną, z pewnością też by mnie pociągała.

- Wielu analityków sypia z pacjentkami. Freud tego nie robi. Ja także nie miałem zwyczaju.

- Ale spałeś z Norą - zaoponowała Colette.
- Nie przed ślubem. Ponadto ona nie była moją pacjentką. Nie w dosłownym znaczeniu.

- Rozumiem. Nie doszło do niczego z Rachel. Napisałeś tylko w notatniku, że ci się podoba. I nie rozumiałeś, dlaczego żonę to denerwuje.

- Właśnie tak.
- To nie było zbyt mądre.
- Naprawdę? Jeśli kobieta chce, żeby mężczyźni nie spodobała się żadna inna do końca życia, to nie mężczyzna zachowuje się niemądrze.
- Co powiedziałaś Norze? - zapytała Colette.

- Zrugalem ją za to, że przeczytała moje notatki, które były poufne. I popełniłem błąd. Oskarżyła mnie, że ukrywam przed nią swoje romanse. Wypracowała całą teorię, według której poufność psychoanalizy została wymyślona tylko po to, by doktorzy mogli sypiać z pacjentkami. Od tego czasu nie było wieczoru bez aluzji do moich rzekomych romansów. Twierdziła, że budzę w niej obrzydzenie. Że jestem bezduszny. Że jestem słaby. Zaczęła rzucać czym popadnie - najpierw w ściany, potem we mnie.

- A ty byłeś niewzruszony jak skała.
- Mniej więcej.
- Zapewne wpadała przez to w jeszcze większą złość.
- Tak. Zaczęła mnie bić. I kopać. A przynajmniej próbowała to robić.

- Co zrobiłeś?

- Cóż, byłem bardzo młody, a ona miała za sobą naprawdę koszmarnie przeżycia. W dodatku była bardzo drobnej budowy. Rozczulała mnie niemal, kiedy próbowała wyrządzić mi krzywdę. Znosiłem to więc, tłumiąc złość. Prawdę mówiąc, chyba nie miałem pojęcia, ile wysiłku wkładałem w to, by ją tłumić.

Pewnego razu - ciągnął - po powrocie do domu zastałem tremo, prawdziwy antyk, prezent ślubny od mojej ciotki, roztrzaskane na kawałki na podłodze salonu. Nora celowo je rozbiła. Tamtego wieczoru opanowała ją jeszcze większa wściekłość niż zazwyczaj. Jeden z jej ciosów mnie dosięgnął! i w końcu też wymierzyłem jej policzek wierzchem dłoni. Nie zdawałem sobie sprawy z siły tego uderzenia. Upadła na podłogę. Ku mojemu zaskoczeniu przeprosiła mnie. Po raz pierwszy zdecydowała się mnie przeprosić. Pomstowała na własną głupotę, chwaliła moją dobroć i zapewniała o dozgonnej miłości. Rzuciła mi się na szyję i błagała o wybaczenie. Pomyślałem, że nareszcie osiągnęliśmy porozumienie.

Tymczasem wszystko zaczęło się od początku. Nasze kłótnie wybuchały znowu, nasilały się jak przedtem, a w końcu dochodziło do rękoczynów. Ścisłej, ona próbowała mnie bić, aż w końcu ja nie wytrzymałem, a wtedy miękła i błagała o wybaczenie. Najdziwniejsze było jednak to, że mogłem zapobiec najgorszym momentom naszej kłótni... jak by to powiedzieć... przechodząc od razu do apogeum, w naszym życiu intymnym.

- Nie rozumiem - wyznała Colette.

- A ja ci tego nie wyjaśnię - stwierdził Younger. - W każdym razie ta metoda się sprawdzała, przynajmniej przez jakiś czas, ale niezbyt długo. W miejscach publicznych, na ulicy, w teatrze, gdziekolwiek wyszliśmy razem, Nora dostawała furii, wmawiając mi, że okazuję zainteresowanie innym kobietom. Oczywiście, zwracałem uwagę na inne kobiety, przynajmniej te atrakcyjne. Początkowo nie zaprzeczałem, w końcu jednak, żeby ją uspokoić, powiedziałem, że sobie to wymyśla, że wszystko dzieje się tylko w jej głowie. Wiedziała, że kłamię, ale najwyraźniej wolała kłamstwo od prawdy.

Niedługo potem młoda żona bogatego starego pacjenta wezwała mnie na wizytę domową. Jej mąż umierał. Wizyta przeciągnęła się do późna. Kiedy zasmucony wróciłem nocą do domu, odkryłem, że nie mam ochoty podzielić się tym z Norą. Nie miałem nic do ukrycia, ale małżonka pacjenta była urocza i powszechnie znana, ponieważ występowała na scenie; wiedziałem, że jeśli powiem Norze, noc spędzimy na niekończących się i bezpodstawnych oskarżeniach. Nasze spory zaczynały mnie nudzić, po prostu stały się monotonne. Opowiedziałem jej więc jakąś wymyśloną historię. Uwierzyła. Wtedy zdałem sobie sprawę, że przestałem kochać żonę.

Mnie więcej dwa miesiące później zatelefonowała do mnie ta młoda kobieta. Jej mąż zmarł jakiś czas przedtem, a ona wznawiała właśnie występy na Broadwayu. Stwierdziła, że doskwiera jej ból w krzyżu po próbach w teatrze. Poprosiła, żebym zbadał ją w domu. Pojechałem. Później zamawiała wizyty domowe kilka razy w tygodniu. Niebacznie okłamywałem Norę w tej kwestii.

Pewnego razu aktorka przysłała do naszego mieszkania bilecik, prosząc, żebym do niej przyszedł jak najszybciej. Oczywiście gdy Nora zobaczyła ten bilecik, w jednej chwili zrozumiała, że ją okłamywałem. Oskarżyła mnie o romans. Przyznałem jej rację. Rozwiedliśmy się w atmosferze skandalu niewiele więcej niż rok po ślubie. Najśmieszniejsze było jednak to, że wcale nie miałem romansu. Znaczący - byłoby to

najśmieszniejsze, gdyby Nora nie umarła niedługo potem. Przysłano mi telegram do Bostonu. Rzuciła się pod pociąg z peronu na stacji metra. Jej śmierć uznano za wypadek, ja jednak w to wątpię. Dowiedziałem się też, że w chwili śmierci nosiła w łonie dziecko. Freud twierdzi, że czuję się odpowiedzialny za jej śmierć.

- A czujesz się? - zapytała Colette.
- Gorzej. Byłem szczęśliwy, że umarła. Nadal jestem z tego powodu szczęśliwy, nawet dzisiaj.

•••

Stacja Hütteldorf leżała na końcu trasy. Serce sielankowego, pełnego gęstych lasów dystryktu stanowiło kilka niskich domów mieszkalnych. W jednym z nich miał ponoć mieszkać Gruber, ale nikogo o tym nazwisku pod tym adresem nie znano. Younger nie zdołałby się dowiedzieć niczego, gdyby nie zaczepił korpulentnej matrony zamiatającej podwórko.

- Hans Gruber? - powiedziała. - Za którym szalały wszystkie dziewczęta? Wysoki młody blondynek z pięknymi niebieskimi oczami?

Younger przetłumaczył ten opis bez komentarza. Dokładnie i beznamiętnie. Colette przyznała, że wizerunek jest prawdziwy. Zdawało mu się, że na jej twarzy wykwitł rumieniec.

- Oczywiście, że pamiętam - stwierdziła kobieta. - Cóż to był za leń, a jaki przy tym wyniosły! Miał stypendium, bo bodajże ojciec mu umarł, nie musiał więc chodzić do pracy. Palcem nie ruszył. Odbywał tylko długie spacerunki po lesie, grając na skrzypcach. A jaki miał temperament! Rozstawiał nas po kątach, kiedy był pijany, a obrażał, kiedy był trzeźwy.

- Najwyraźniej poświęcasz wiele wysiłku komuś, kto na to nie zasłużył - powiedział Younger do Colette po przetłumaczeniu tych opinii.

Colette zmarszczyła brwi i pokręciła głową, ale się nie odezwała.

Younger wyjaśnił sprzątacze cel ich wizyty, pytając, czy rodzina Gruberów nadal mieszka w okolicy.

- A więc zginął - stwierdziła kobieta. - Cóż, jeszcze jeden. Nie, jego rodziny nigdy nie znalazłam. Pochodził z któregoś z nadrzecznych miasteczek na zachodzie, blisko Bawarii. Niech pan zapyta w Trzech Huzarach koło św. Stefana. Tam się stołował. Może ktoś będzie wiedział.

•••

Słońce już zaszło, kiedy wrócili do centrum Wiednia. W dorożce Younger zapytał woźnicę, czy zna restaurację o nazwie Trzej Huzarzy. W odpowiedzi usłyszał, że jest ona chwilowo zamknięta, ale ponowne otwarcie nastąpi w czwartek.

- Nieważne - Colette spojrzała na Youngera. - Nie chcę, żebyś tam ze mną chodził. I tak poświęciłeś mi zbyt wiele czasu.

•••

- Pani brat ciągle się bawi kołowrotkiem i żyłką, *Fräulein* - powiedział Freud do Colette wieczorem tego dnia. - Wydaje przy tym dźwięki, brzmiące jak „och” i „ach”. Czy wie pani, co one znaczą?

- Nic - odparła Colette. - Czy ta zabawa coś oznacza?

- Przede wszystkim oznacza, że jego struny głosowe są sprawne - oznajmił Freud.
- Czy to źle, że ciągle bawi się tak samo? - zainteresowała się Colette.
- To interesujące - powiedział Freud.

• • •

Spacerując z psem następnego ranka, gdy tylko pierwsze promienie słońca błysnęły na mokrym bruku, Zygmunt Freud trzymał za rękę małego Francuza. Ich konwersacja była jednostronna. Freud przyjaźnie paplał po francusku, opisując chłopcu historie z mitologii greckiej i egipskiej. Chłopiec słuchał z zainteresowaniem, ale nie odpowiadał.

W małym trójkątnym parku natknęli się na tłum otaczający mężczyznę leżącego na trawie w konwulsjach. Jego robocze ubranie było czyste, choć połatane i postrzępione. Czapka, która zapewne spadła mu z głowy, gdy zaczął się atak, leżała obok wijącego się ciała.

- Gdybyś spacerował w towarzystwie mojej żony i siostry - szepnął Freud do chłopca - z pewnością zakryłyby ci teraz oczy. Czy mam zasłonić ci oczy?

Luc pokręcił głową. Nie przejawiał lęków, które zwykle ogarniają dzieci w obliczu choroby. Ktoś w tłumie, litując się nad epileptykiem, wrzucił monetę do jego czapki. W końcu Freud zabrał stamtąd chłopca.

Luc miał zamyśloną minę. Po chwili pociągnął Freuda za rękaw i spojrzał na niego z pytaniem w oczach.

- Co się stało?

Chłopiec znów pociągnął Freuda za rękaw.

- To nie wystarczy - stwierdził Freud. - Nie wyjaśnię ci niczego, dopóki się nie dowiem, co cię niepokoi.

Luc wpatrywał się w niego, odwrócił wzrok, po czym znów spojrzał na Freuda. Zaczął wyciągać na zewnątrz kieszenie.

Freud przyglądał się mu, drapiąc za uchem psa. W końcu zrozumiał.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie dałem temu mężczyźnie pieniędzy?

Luc skinął głową.

- Ponieważ zrobił to za słabo - odrzekł Freud.

• • •

Younger, spacerując samotnie po starym centrum Wiednia, trafił na targ, duży i dobrze zaopatrzony. Było jasne, że Freud nie przyjmie pieniędzy za leczenie Luca, Younger postanowił więc wysłać paczkę pod numer dziewiętnasty przy Berggasse: świeże owoce i kwiaty, mleko, jaja, kurczaki, pęta kiełbasy, wino, czekoladki i kilka sztuk mięsa w puszkach.

Przez cały dzień jednak trzymał się od Freudów z daleka. Miał kilka starych mrocznych kościołów do obejrzenia. I musiał się uporać ze świadomością, że Colette coś przed nim ukrywa.

• • •

- Czy w pani rodzinie nie mówiono przypadkiem po niemiecku, panno Rousseau? - zapytał Freud tamtego wieczoru.

Tego dnia przyjął kilku pacjentów, wysłał zaległą korespondencję, dodał kilka uzupełnień do roboczej wersji referatów, nad którymi pracował, najwidoczniej więc nie

znalazł czasu, żeby się zająć Lukiem. Stał w drzwiach do kuchni

- Colette pomagała gosposi w pracach porządkowych.
- Mówiliśmy po francusku, naturalnie - odparła.
- Nigdy po niemiecku? - dopytywał się Freud. - Na przykład kiedy była pani

dzieckiem?

- Babcia pochodziła z Austrii i znała niemiecki - uśmiechnęła się Colette. - Kiedy byliśmy bardzo mali, bawiła się z nami. Zakrywała twarz dłońmi, mówiąc „fort”, a potem pokazywała nam twarz i mówiła „da”.

- Zabawa w fort-da!

Colette zmywała.

- Zamyśliła się pani, *Fräulein* - zauważył Freud.

- Nie - zaprzeczyła wpatrzona w naczynia. - Żałuję tylko, że nie mówię po niemiecku.

- Jeśli to, co pani ukrywa, ma związek z pani bratem, chciałbym się o tym dowiedzieć, panno Rousseau. W innym wypadku nie mam zamiaru się narzucać.

• • •

Restauracja Trzej Huzarzy, mieszcząca się przy staroświeckiej nierównej alejce w najstarszej części Wiednia, ożyła o jedenastej trzydzieści w czwartek przed południem. Rozchylono okiennice i okna, otworzono drzwi wejściowe i wyszedł kelner w fartuchu, żeby zamieść chodnik; fartuch miał chronić jego czarno-biały strój. Podeszła do niego bardzo ładna Francuzka z nieśmiałym uśmiechem, a on skierował ją do środka.

Younger siedzący w kawiarni naprzeciwko patrzył i czekał. Dziesięć minut później dziewczyna wyszła, z troską marszcząc czoło. Younger podążył za nią.

• • •

Każda ulica w najstarszej części Wiednia prowadzi na duży Stephansplatz, na którym stoi katedra Świętego Szczepana; olbrzymia, ciemna, gotycka i niewzruszona, przykryta dachem w niezbyt stosowne czerwono-zielone zygzaki, z południową wieżą tak absurdalnie wielką, jak lewe szczytce kraba skrzypka, do których jego ciało wydaje się za małe.

Colette przeszła przez olbrzymie drewniane drzwi katedry. Zapaliła świeczkę, zanurzyła dwa palce w kamiennej misie z wodą święconą, przeżegnała się, weszła do ogromnej nawy, usiadła na pustej ławce obok kolumny trzykrotnie szerszej od niej i pochyliła głowę. Długą chwilę później wstała i wyszła w pośpiechu, nie zauważając Youngera, który ukrył się w cieniu jednej z bocznych naw.

Przeszła ponad półtora kilometra, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby spytać o drogę, pokazując skrawek papieru, na którym zapewne widniał adres. Minąwszy Ring i kanał, weszła do dużego niezgrabnego budynku. Był to komisariat policji. Po mniej więcej półgodzinie pojawiła się znowu. Younger czekał na nią przed drzwiami, paląc papierosa.

- Więc twój Hans żyje - odezwał się.

Zamarła, jakby wyrwał ją z ciemności snop światła reflektora.

- Śledziłeś mnie?

Nie odpowiedział, ponieważ w drzwiach komisariatu pojawił się policjant o zyczliwej twarzy z bokobrodami, najwyraźniej w pośpiechu.

- Ach, mademoiselle, zapomniałem pani powiedzieć - zwrócił się do Colette łamaną francuszczyzną. - Widzenia kończą się o drugiej. W więzieniu ściśle przestrzegają regulaminu. Jeśli nie zgłosi się pani przed drugą, zobaczy się pani z narzeczonym dopiero jutro.

- Dziękuję - odrzekła Colette, po czym zapadła niezręczna cisza.

- Proszę - odparł funkcjonariusz, uśmiechając się miło. Zapewne wziął Youngera za przyjaciela albo członka rodziny, bo odezwał się także do niego: - To takie wzruszające. Dwoje młodych ludzi zakochuje się w sobie podczas wojny, ale walczą po przeciwnych stronach. Jeśli całe to zabijanie może mieć jakiegokolwiek pozytywne skutki, to chyba właśnie jeden z nich.

Funkcjonariusz pożegnał się z Colette i wrócił do komisariatu.

- Powinnaś była mi powiedzieć - stwierdził Younger.

- Ja...

- I tak zabrałbym cię do Wiednia. I tak przedstawiłbym cię Freudowi.

Prawdopodobnie też zapłaciłbym za twój miesiąc miodowy. Dałbym ci wszystko, o co byś poprosiła.

Zaskoczyła go jej reakcja:

- Chcesz mnie zabić.

- Chcę się z tobą ożenić.

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

Spojrzeli na siebie.

- Pojawilem się za późno, prawda? - spytał Younger.

Colette odwróciła wzrok, po czym skinęła głową.

Tego wieczoru na przekór sobie Younger zjadł obiad w Trzech Huzarach, wyłożonej drewnem restauracji mieszczącej się w niskiej sali z nierówną podłogą i stolikami, na których z ledwością mieściły się olbrzymie sznyce podawane dosłownie każdemu klientowi.

Kiedy kelner sprzątał naczynia, Younger położył na stoliku okazały plik banknotów, mówiąc, że szuka starego przyjaciela Hansa Grubera, który siedzi w więzieniu i kiedyś często bywał w Trzech Huzarach. Kelner radośnie poinformował go, że akurat dzisiaj była w restauracji w porze lunchu narzeczona Hansa. Na dokładkę dorzucił, że dziewczyna jest Francuzką, i to bardzo ładną, która szaleje z miłości do niego, ale w końcu Hans zawsze miał szczęście do płci pięknej.

Younger przebił banknoty nożem do mięsa, przyszpilając je do drewnianego blatu. Wstał od stołu, górując nad kelnerem, a jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu.

- Za co Hans siedzi?

- Brał udział w wiecu - wyjąkał kelner, chociaż nie było jasne, czy bardziej się obawia przewagi fizycznej Youngera czy utraty pieniędzy.

- Jakim wiecu?

- Ligi. Popierającym Anschluss, unię z Niemcami.

- Jakiej ligi?

- No, ligi.

Younger wyszedł nie dlatego, że nie mógł już zebrać tam więcej informacji, ale ponieważ się obawiał, że mógłby kogoś uderzyć, gdyby został w środku.

•••

- Mam pewne przypuszczenia - powiedział Freud do Youngera później tego wieczoru we wspianym lobby hotelu Bristol.

Jego słowa dotarły do rozmówcy dopiero po chwili. Freud stał z założonymi rękami, w płaszczu zarzuconym na ramiona, podczas gdy Younger siedział przy niskim stoliku nad opróżnioną koniakówką. Freud obserwował go od dobrej minuty. Younger go nie widział.

- Słucham? - Younger powoli wracał do rzeczywistości.

- Przypuszczam, że właśnie odkryłeś coś, co panna Rousseau ukrywała - wyjaśnił Freud.

- Wiedział pan? - zapytał Younger.

- O czym?

- Że jest zaręczona.

- Oczywiście, że nie wiedziałem. Zaręczona? Dlaczego ci o tym nie powiedziała? Younger pokręcił głową.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mam analizować tego z waszej trójki, który najmniej potrzebuje analizy - stwierdził Freud.

- Czy w Wiedniu działa liga organizująca marsze na rzecz unii z Niemcami? - zapytał Younger.

- Liga Antysemityczna.

- Nazywają się antysemitami?

- Z dumą. W istocie większość z nich ma nastawienie antysocjalistyczne i nie jest przeciwna Żydom bardziej niż inni. Kilka miesięcy temu urządzili demonstrację.

Dlaczego pytasz?

- Jeden z nich jest narzeczonym Colette.

- Ach, tak! - rzucił Freud. - Co zamierzasz zrobić?

- Wyjadę z Wiednia, ale przedtem...

- Tak?

- Chcę zapłacić za leczenie jej brata. Jeśli pan uzna, że może go leczyć.

- Nie mogę. Powiem to pannie Rousseau jutro. Prawda jest taka, że nie rozumiem jego stanu. W ogóle nie rozumiem neuroz wojennych. Uważałbym za niewłaściwe udawać, że jest inaczej. Wiem wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę, jak wielu rzeczy jeszcze nie wiem. Chciałbym poddać chłopca dogłębnej analizie, w tych warunkach nie jest to jednak możliwe.

Younger się nie odezwał.

- Ale cóż - podjął Freud. - Przyszedłem podziękować ci serdecznie i przekazać wyrazy wdzięczności od Marthy i Minny. Podarowałaś nam dość, by wyżywić małą armię. Zechcesz mi towarzyszyć podczas spaceru? To moja jedyna gimnastyka. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Daję słowo, że wysłuchasz tego z przyjemnością.

•••

Poszli w stronę centrum miasta, schodząc z szerokiego i nowoczesnego Ringu na uliczki, które stawały się tym bardziej kręte, im bardziej były wiekowe. Na małym nieregularnym placu stare kamienice wychodziły na tylne ściany masywniej szych budynków administracyjnych. Plac był pusty i ciemny.

- To Judenplatz - powiedział Freud. - Ma za sobą całkiem długą historię. Gdzieś tu jest płyta licząca ponad czterysta lat. O, tutaj. Chodź, rzucimy okiem. Widzisz tę płaskorzeźbę? To chrzest Chrystusa w rzece Jordan. Jak z twoją łaciną?

Younger odczytał napis na płycie:

- Jak wody Jordanu oczyściły duszę ochrzczonych, tak ogień z tysiąc czterysta dwudziestego pierwszego roku uwolnił miasto od przestępstw... Przeszłości hebrajskich psów?

- Tak. W tysiąc czterysta dwudziestym pierwszym roku Wiedeń postanowił siłą nawrócić Żydów. Około tysiąca z nich schroniło się w synagodze, barykadując drzwi od środka. Przez trzy dni obchodzili się bez jedzenia i wody. Potem synagoga spłonęła. Według żydowskiej legendy sam rabin kazał podłożyć ogień, woląc śmierć od konwersji. Dwustu, może trzystu przetrwało pożar. Zapędzono ich nad brzeg Dunaju i spalono żywcem. Zawsze oszczędni wiedeńczycy wykorzystali kamienie z fundamentu synagogi do budowy uniwersytetu, w którym przez większość mojego dorosłego życia starałem się o profesurę.

- Mój Boże! - westchnął Younger. - Czy Żydzi nie protestują przeciw istnieniu tej płyty?

- Czy w tym celu trzeba być Żydem? - odparł Freud. Kontynuowali spacer. - Ale odpowiedź brzmi: nie. W każdym razie nie w sposób widoczny. Wiedeńscy Żydzi każdym nerwem ciała usiłują czuć i myśleć jak Austriacy. Albo jak Niemcy. Włącznie ze mną. To głupie i kompletnie nieracjonalne, ale wciąż sobie powtarzamy, że nas zaakceptują, jeśli tylko będziemy się prześcigać w dążeniu do tego, by być tacy, jakimi oni sami chcieliby się stać.

Przechodząc przez alejkę, która z ledwością mogła pomieścić dwóch mężczyzn spacerujących ramię w ramię, wyszli na przestronny Am Hof, gdzie w ciągu dnia na stoiskach pod parasolami sprzedawano ubrania, w większości używane. Teraz stoiska były puste, a parasole złożone i związane.

- Kluczem jest repetycja - dodał Freud.

- Kluczem do oszukiwania samego siebie?

- Do neuroz wojennych. Czy na wojnie leczyłeś nerwicę frontową?

- Nie, ale widziałem jej objawy.

- Czy natrafiłeś na przypadki żołnierzy, u których symptomy odpowiadały przeżytym przez nich traumatycznym doświadczeniom?

- Dwukrotnie. Mieliśmy człowieka konwulsyjnie mrugającego powieką. Okazało się, że dźgnął bagnetem w oko Niemca. Innemu sparaliżowało rękę, a wcześniej przypadkowo rzucił granat we własny pluton.

- Owszem, takie przypadki są wyjątkowe, ale pouczające. Podważają wszystkie moje wcześniejsze teorie.

- Podważają? - zdziwił się Younger. - Przecież one dowodzą racji pańskich teorii.

- Tak twierdzą wszyscy. Cały świat nagle zaczął szanować psychoanalityków, ponieważ wszystkim się wydaje, że tylko my potrafimy wyjaśnić nerwicę frontową. Nie zrozum mnie źle, przyjmuję te wyrazy uznania. Ale to ironia losu, że w końcu docenia się mnie na podstawie jedynej rzeczy, która zadaje kłam mojej teorii.

- Przykro mi, ale nie rozumiem - stwierdził Younger. - Jeśli podłożem nerwicy frontowej są tłumione wspomnienia, to z pewnością dowodzi ona słuszności pańskiej teorii.

- Oczywiście - przyznał Freud - ja jednak mówię o tym, co się znajduje w podświadomości. Nerwica frontowa podważa moją teorię, ponieważ nie ma w niej żadnej przyjemności. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Younger się zastanowił.

- Żadnej seksualności?

- Mówiłem, że z przyjemnością mnie wysłuchasz. Przyznanie się do błędu nie sprawia mi radości, ale jeśli fakty nie pasują do teorii, autor nie ma wyboru. Ofiary neuroz wojennych zachowują się jak masochiści, nieustannie przywołując najgorsze koszmary, z jednym wyjątkiem: nie przynosi im to satysfakcji seksualnej. Może próbują pozbyć się strachu. Albo co bardziej prawdopodobne, szukają sposobu, żeby nad nim zapanować. Jeśli tak, to ich strategia zawodzi. Podejrzewam coś jeszcze. Wyczuwam to u brata panny Rousseau. Jeszcze nie wiem, co to takiego. Szkoda, że chłopiec nie mówi. To coś ciemnego, niesamowitego. Nie widzę tego, ale słyszę. Słyszę wyraźny głos.

•••

Jimmy Littlemore przyłożył szklanekę do ust i podniósł do góry dnem, nic w niej jednak nie zostało. Chciał sobie dolać, ale butelka też była pusta. Za oknem zaczęło się przejaśniać - zbliżał się świt.

- No dobrze - powiedział powoli. - Co się stało potem?

- To wszystko. Wyjechałem następnego dnia. Do Indii.

- Do Indii?

- Spędziłem tam prawie rok.

Littlemore spojrzał na niego.

- Zadzurzony w niej po uszy tak?

Younger nie odpowiedział. Indie odpychały go i fascynowały zarazem. Ciągłe planował wyjechać, zostawał jednak przez kolejny parny miesiąc, dumając nad węzłowymi postaciami w Benaresie nad mętym Gangesem, w którym miejscowi się kąpali, choć zwyczajowo w jego wodach myje się ciała zmarłych, i nad harmonią wielkich pałaców oraz grobowców. Wiedział, że przedłuża pobyt tylko dlatego, że nic w Indiach nie przypomina mu Colette, podczas gdy w Europie i Ameryce kojarzyłoby się z nią wszystko. W końcu jednak nawet Hinduski zaczęły mu przywozić na myśl Colette.

- Chyba czas się przerwucić na kawę - oznajmił Littlemore. Poszedł do kuchni i zdrową ręką nastawił ekspres. - Co się stało z panią?

- Napisała do mnie. List czekał, kiedy wróciłem do Londynu. Wysłała go w poprzednie święta Bożego Narodzenia. Jak się wydaje, wyjechała z Wiednia, nie odwiedziwszy w więzieniu narzeczonego. Zmieniła zdanie po rozmowie z Freudem. Wróciła do Paryża, pół roku pracowała w Instytucie Radowym, aż w końcu przyjęli ją na Sorbonę. Kończyła właśnie pisać pracę dyplomową. Zaprosiła mnie do siebie w odwiedziny.

- Co jej odpisałeś?

- Nie odpisałem.

- Ostre posunięcie - stwierdził Littlemore.

Younger tego nie skomentował.

- Czy kiedykolwiek twoja relacja z dziewczyną znalazła się w punkcie, kiedy nie mogłeś zamknąć oczu, by jej nie widzieć? - zapytał. - W dzień i w nocy, na jawie i we śnie? Kiedy nie mogłeś pomyśleć o czymkolwiek, nie przywołując na myśl także jej?

- Nie.
- I nie życzę ci tego - rzekł Younger.
- Dlaczego do niej nie napisałeś?
- Gdybym się uzależnił od opium, co byś mi doradzał: żebym się poddał pragnieniu czy też bym mu się oparł?
- Opium szkodzi.
- Ona także.
- Co potem?
- Wróciłem do Ameryki. W lipcu zeszłego roku.
- A jak ona się tu znalazła?
- Rekomendowałem ją w Yale. Radiochemik Boltwood szukał asystenta. Okazała się najlepiej przygotowaną kandydatką.
- Żartujesz!
- Skądże! Była zdecydowanie najlepsza.
- Daj spokój, na co ty czekasz? - dziwił się Littlemore.
- Kiedy poprosisz ją o rękę?

Woda zaczęła wrzeć.

- Co jest z żonatymi facetami? - odpowiedział pytaniem Younger. - Uważacie, że każdy mężczyzna chce się znaleźć w waszym położeniu. Zadurzyłem się w dziewczynie, ale mi przeszło.
- Sam mówiłeś, że chciałeś się z nią ożenić. Kiedy byliście w Wiedniu.
- Myliłem się. Ona jest zbyt młoda. I wierzy w Boga.
- Ja też wierzę w Boga.
- No, z tobą także nie chcę się żenić.
- Czujesz się zraniony, bo cię okłamała w sprawie Hansa.
- Czuję się zraniony, bo jej pożądałem i nigdy nie posiadałem - odparował Younger.

- Freud miał rację. Ja naprawdę źle traktuję kobiety. Kiedy je posiadam, już ich więcej nie chcę. Zużywam je. Nie potrafię znieść ich widoku po trzech miesiącach i rzucam je. Będzie jej znacznie lepiej z Hansem. Znacznie lepiej.

- Ale ona nie chce Hansa. Zmieniła zdanie.
- I zmieni je znowu - Younger dokończył swoją whisky i odezwał się spokojniejszym głosem: - Myślisz, że o nim zapomniła? Przecież była z nim zaręczona. Kobiety nie reagują tak jak my. Powiem ci, co się wydarzy: ona zacznie go szukać. Możesz być pewien. Prędzej czy później uświadomi sobie, że musi zobaczyć Hansa. Tylko raz, żeby się upewnić.

Z korytarza dobiegły jakieś odgłosy, potem kroki. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Do kuchni weszła Colette, mrużąc oczy, w za dużej koszuli nocnej, którą pożyczyła jej żona Littlemore'a. Tylko młodość jest piękna o szóstej nad ranem; Colette mimo potarganych włosów wyglądała olśniewająco. Obydwaj mężczyźni wstali z miejsc.

- Dzień dobry, panienko - przywitał ją Littlemore. - Kawy?
- Tak, poproszę. Ale sama naleję. Wy, inwalidzi, siedźcie na miejscu. - Gorąca woda obijała się o szklaną pokrywkę dzbanka do kawy. Przecierając oczy Colette dostrzegła na stole butelkę po whisky. - Czy to nie jest w Ameryce nielegalne?
- Można pić w domu - wyjaśnił Littlemore. - Zakazane jest tylko kupno i sprzedaż. Świetna polityka! Wielu ludzi pędzi alkohol w wannie. Proszę posłuchać. Nie zdążyłem wyrazić pani uznania z powodu wczorajszego fortelu. Dzięki temu, że ich pani

wmanewrowała w kradzież radu, mogliśmy was odnaleźć.

- Dziękuję panu, Jimmy - powiedziała Colette. - Dopisało mi szczęście.
- Zrobiła to celowo? - spytał Younger.
- Oczywiście - odparł Littlemore. - Ile razy porywacze wchodzili do pokoju

hotelowego panienki?

- Nie wiem. Dwa?

- Dwa - zgodził się Littlemore. - Za pierwszym razem tylko po Luca. Mieli go już, kiedy dzwoniłeś, pamiętasz? Ale kiedy dotarliśmy na miejsce, Drobac stał w korytarzu z wypchanymi kieszeniami, a popiół obok kasetki był wciąż ciepły. Innymi słowy, dopiero wtedy zabrał te pierwiastki. Dlaczego więc nie wziął ich od razu, skoro są warte fortunę? Panienska Colette musiała mu o tym powiedzieć. Zastanawiałem się tylko, czy wygadała się pani przez przypadek czy celowo. Biorąc pod uwagę, jak jest pani bystra, musiałem dojść do wniosku, że zostało to zrobione z całym rozmysłem.

Younger pokręcił głową.

- Jestem pod wrażeniem, pod wielkim wrażeniem.
- Muszę wracać, Stratham - powiedziała Colette.
- Do hotelu? - zapytał Younger.
- Do Europy. - Colette wyłączyła ekspres. Nalała kawy.

Littlemore spojrział na Youngera.

- Nie możesz. Odpowiadasz za laboratorium Boltwooda - stwierdził Younger. - Nie osądzaj Ameryki na podstawie tego, co się stało wczoraj. Tutaj jest bezpiecznie.

- Nie o to chodzi - odpowiedziała. - Dostałam list z Austrii. Był w poczcie, którą kolega Jimmy'ego, pan Spanky, przyniósł z hotelu.

- Stanky, panienko, nie Spanky - poprawił ją Littlemore.

Younger się nie odezwał.

- Od kogo był ten list? - zapytał Littlemore.

- Od policjanta, który pomógł mi kiedyś w Wiedniu - wyjaśniła. - Hans wychodzi z więzienia, Stratham. Za kilka tygodni. Muszę wracać.

CZĘŚĆ

Druga

ROZDZIAŁ

Ósmy

Następnego dnia po ataku od rana na Wall Street zbierał się tłum.

Sto tysięcy ludzi przyszło obejrzyć ogromniszczeń i poczuć wciąż jeszcze unoszącą się w powietrzu atmosferę śmierci. Niektórzy gapie przyjechali spoza miasta. Inni pracowali w pobliżu. W większości jednak przybyli bez określonego celu, pchani potrzebą, której nie potrafiliby wyjaśnić - jakby obecnością w tym miejscu wypełniali pustkę, którą odczuwali, nie wiedząc dotąd, że ich wypełnia.

W rezultacie obchody Dnia Konstytucji cieszyły się największą frekwencją w historii kraju. Pracujący przez całą noc robotnicy wzniesli drewnianą platformę przed odlanym w brązie pomnikiem Jerzego Waszyngtona. Rozmieszczono wszędzie czerwone, białe i niebieskie chorągiewki oraz girlandy z amerykańskich flag. A ponieważ kompania żołnierzy w pełnym uzbrojeniu nadal strzegła siedziby delegatury Departamentu Skarbu, atmosfera na placu oscylowała między piknikiem a oblężeniem.

Wygłoszono patriotyczne przemówienia. Odśpiewano pieśń *Piękna Ameryka*, która wzruszyła ludzi - łzy pojawiły się na wielu twarzach. Kiedy ostatnie słowa pieśni wciąż wracały odbite echem w wielkich kanionach dolnego Manhattanu, generał brygady z bokobrodami na rumianej twarzy wszedł na podium. Tłum ucichł.

- Szesnasty września. Tej daty Ameryka nigdy nie zapomni - oświadczył, a jego głos wznosił się do drapaczy chmur. - Szesnasty września to dzień, w którym do końca świata Amerykanie będą powtarzali, że nasz kraj zmienił się raz na zawsze. Szesnasty września. W miejscu, gdzie teraz stoimy, dopuszczono się jednego z najdotkliwszych w naszej historii aktów przemocy. Czy my, amerykańscy obywatele, zamierzamy przytknąć oko na tę hańbę? Otóż nie, po tysiackroć nie!

To ostatnie zostało powtórzone przez wiele tysięcy ust.

Generał brygady podniósł dłonie, uciszając tłum.

- Wampirom musimy wymierzyć sprawiedliwość. I wymierzymy!

Gromki aplauz.

- Panie i panowie! Dziś rano rozmawiałem z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym generałem A. Mitchellem Palmerem - ciągnął mówca, a nazwisko Palmera wywołało kolejne okrzyki i tupanie. - Generał Palmer chciałby tu być dziś z nami, ale niestety nie mógł. Poleciał mi jednak zapewnić was nie tylko o tym, że jest już w drodze do naszego miasta, ale że zna tożsamość sprawców tego barbarzyństwa. Tak, ma w ręku list, w którym z dumą przyznają się do winy. Mam też przesłanie zarówno do was, jak i do naszych wrogów, przekazane przez generała Palmera. Pozwólcie, że wiernie zacytuję jego słowa: „Oczyścimy nasz kraj z obcego plugastwa!”.

Rozległ się ryk satysfakcji i elektryzujący chór okrzyków: „Oczyścimy! Oczyścimy!”. Na podium wystąpił przed szereg młody człowiek i zaintonował hymn państwowy. Sto tysięcy głosów przyłączyło się żarliwie.

• • •

Younger pisał list przy małym stoliku w salonie Littlemore'ów, kiedy wyczuł, a raczej usłyszał za plecami Luca.

Przez ostatnią godzinę Betty ubierała, karmiła i wyprawiała do szkoły niezliczoną gromadę małych Littlemore'ów. W mieszkaniu i tak nie zrobiło się całkiem cicho: niemowlęta płakały, starsze szkraby waliły w kuchenne garnki, a żona detektywa i jego teściowa dyskutowały zawzięcie w kuchni. Younger nie znał włoskiego, ale tematem było najwyraźniej coś, na czego temat obydwie kobiety miały odrębne zdania.

Younger odwrócił się do Luca. Chłopiec stał po drugiej stronie pomieszczenia zupełnie nieruchomo i jak zwykle milcząco. Długie i brudne blond włosy miał starannie uczesane, a wielkie przenikliwe oczy wyraźnie świadczyły, że chłopca pochłania wiele spraw naraz, ale żadnej z nich nie chce zaniedbać.

- Siostra powiedziała ci, że zamierza zabrać cię z powrotem do Europy - mówił Younger po francusku.

Luc skinął głową.

- I zastanawiasz się, czy zamierzam namówić ją, by zmieniła zdanie.

Chłopiec ponownie przytaknął.

- Odpowiedź brzmi: nie. Ona wie, co dla was najlepsze.

Luc zaprzeczył tylko jednym delikatnym ruchem głowy.

- Owszem, wie - stwierdził Younger. Odłożył pióro, rozsiadł się wygodnie i spojrzał za okno. Następnie odwrócił się znowu do chłopca. - Jeśli masz jechać z powrotem do Europy, to nie powinniśmy tracić czasu. Wiesz co? Przynieś mi gazetę. Zobaczymy, kiedy grają Yankees. Może Ruth po raz pięćdziesiąty przebiegnie wszystkie cztery bazy?

Chłopiec popędził czym prędzej, by za chwilę wrócić z poranną gazetą w rękę i rozczarowaniem na twarzy.

Younger spojrzał na stronę, którą Luc otworzył: Yankees wyjechali na tournée, nie grają więc na własnym stadionie. Chłopiec najwyraźniej zrozumiał tekst.

- Umiesz czytać po angielsku? - spytał Younger.

Luc wzruszył ramionami.

- Aha - mruknął Younger, przypominając sobie, że sam jako chłopiec zaskoczył ojca rozumieniem prostych tekstów po łacinie. Przypomniał sobie także, jak uważnie obserwował wszystko, co się działo w jego rodzinnym domu, rozszyfrowując sekretne miny matki, których z założenia nie miał nawet zauważyć.

- Czy ty umiesz mówić, Luc? Nie proszę, żebyś mówił, Chcę tylko wiedzieć, czy potrafisz. Tak czy nie?

Chłopiec patrzył na niego, stojąc nieruchomo.

- W porządku - skwitował Younger. - To niedobra wiadomość, że Yankees są na wyjeździe. Niech pomyślę. A może chciałbyś wejść na dach najwyższego budynku świata?

Lucowi pojaśniały oczy.

- Biegnij spytać, czy siostra pozwala - polecił Younger.

- I czy do nas dołączy.

• • •

Detektywa Littlemore'a dałoby się uznać za jednego z przedstawicieli prasy ściśniętych na niewygodnych krzesłach w hotelu Astor, gdyby nie fakt, że obydwie dłonie trzymał w kieszeniach, podczas gdy reporterzy pilnie notowali słowa Williama Flynna, dyrektora Biura Śledczego, który stał przed nimi obok planu dolnego Manhattanu. Dyrektor Flynn zajął kilka apartamentów w hotelu Astor i zamienił je w sztab operacyjny Littlemore siedział z tyłu, jak zwykle trzymając w zębach wykałaczkę, a słomkowy kapelusz zsunął tak bardzo na kark, że wyglądał, jakby się zmagał z silnym wiatrem.

Flynn miał perkaty nos, wydatną pierś, masywne ramiona, odpowiednio wielki brzuch oraz zaskakująco gładkie i świeże policzki. Ubrany w ciemny garnitur, pod krawatem i z zaczesanymi do tyłu włosami przypominał jako żywo wykidajkę w klubie nocnym, choć sam myślał o sobie raczej w kategoriach wojskowych. Flynn wierzył, że egzekwowanie prawa jest z natury zadaniem militarnym i popisywał się przy każdej okazji znajomością żargonu sił zbrojnych.

- Wczoraj około godziny dwunastej zero zero na wysokości numeru dwadzieścia trzy przy Wall Street, przed siedzibą Banku Morgana został zdetonowany zapalający ładunek wybuchowy - stwierdził Flynn, stukając wskaźnikiem w mapę.

- Ma pan na myśli bombę? - rzucił jeden z reporterów.

- Tak jest.

- Kapitan Carey twierdzi, że to mógł być pojazd ciężarowy z dynamitem.

- Nowojorska policja nie ma absolutnie nic wspólnego z tym dochodzeniem - odpalił Flynn. - Ładunek wybuchowy został przewieziony na miejsce za pomocą konnego pojazdu transportowego.

- Wóz konny? - padło pytanie dziennikarza.

- Czyż nie to właśnie powiedziałem? - warknął Flynn ostrym tonem. - Przymknijcie się teraz, chłopcy, i pozwólcie mi się wypowiedzieć. Mam wam coś ważnego do przekazania, zamknijcie więc jadałki, to może do tego przejdę. Wczoraj o jedenastej trzydzięci pracownik poczty Stanów Zjednoczonych otworzył pojemnik na listy tutaj - uderzył wskaźnikiem w kolejne miejsce na mapie - na rogu Cedar i Broadwayu. Wtedy pojemnik był pusty. O jedenastej pięćdziesiąt osiem ten sam pracownik pocztowy otworzył ten sam pojemnik na listy podczas kolejnego obchodu, tym razem wyjmując stamtąd pięć anonimów - dwa ostatnie słowa Flynn wymówił, jakby odmieniał wyraz „pięcionim”.

- Nie były one w nic zapakowane. Trzy minuty później pracownik poczty usłyszał głośną eksplozję ładunku wybuchowego. Z rozkazu generała Palmera upubliczniamy te anonimy, aby przestrzegający prawa ludzie w tym kraju wiedzieli, kto jest ich wrogiem.

Flynn rozdał pięć ulotek.

- Uważajcie z łapami - szczerką Flynn. - Jeśli ktokolwiek zniszczy którąś z tych kartek, pójdzie siedzieć za niszczenie dowodów. Nie żartuję!

Na każdej z kartek taniego chropowatego papieru o rozmiarach mniej więcej jedenaście na dwadzieścia pięć centymetrów widniały czerwone drukowane litery tak nierówne, że niewątpliwie napisano je ręcznie jedna po drugiej:

Pamiętajcie

Nie będziemy dłużej tolerować

Macie uwolnić więźniów
politycznych albo wszystkich
was czeka pewna śmierć
Amerykańscy Anarchiści

Reporterzy przepisywali jak szaleni.

- Róg Cedar i Broadwayu - podjął Flynn, znów używając wskaźnika - jest odległy o cztery minuty drogi piechotą od miejsca, w którym eksplodował ładunek wybuchowy. To nie pozostawia żadnych wątpliwości, co się wydarzyło. Anarchiści zostawili wóz konny na Wall Street mniej więcej o godzinie jedenastej pięćdziesiąt cztery. Kiedy dotarli do rogu Cedar i Broadwayu, wrzucili anonimy do pojemnika pocztowego na trzy minuty przed eksplozją.

Należy pamiętać - ciągnął Flynn - że anonimy powiązane z atakami bombowymi z dziewiętnastego roku wyglądały dokładnie tak samo jak te i zostały podpisane przez tę samą wrogą organizację. Nie trzeba też pewnie przypominać, że w tysiąc dziewięćset osiemnastym atak bombowy na Chicago Post Office przeprowadzono w trzeci czwartek (wymówione „czwałtek”) września, przypadający także wczoraj. Dokładna rocznica. Innymi słowy, są to ci sami bolszewicy terroryści, którzy zaatakowali nas ładunkami wybuchowymi w osiemnastym i dziewiętnastym roku: Włosi współpracujący z organizacją Gallianiego. Taka właśnie jest prawda. Wydrukujcie ją. Za chwilę odczytam nazwiska poszukiwanych.

- Odczytując z kartek, które z daleka wyglądały jak nakazy aresztowania, Flynn kontynuował przemowę: - Carlo Tresca, przywódca anarchistów i znany terrorysta; Pietro Baldesserotto, anarchista; Serafino Grandi, anarchista i rewolucjonista; Ruggero Bacini, anarchista; Roberto Elia, anarchista.

Kiedy Flynn zakończył recytację, reporterzy pisali jeszcze przez chwilę, po czym jeden z nich zapytał:

- Czy J. P. Morgan został ranny, dyrektorze?

- Chyba pan oszalał! - zachnął się Flynn. - J. P. Morgana nie było wczoraj w Nowym Jorku. Ten brutalny napad nie był skierowany przeciw Morganowi ani przeciw żadnemu innemu człowiekowi. To był atak na amerykański rząd, amerykański naród i amerykański styl życia. Napiszcie o tym w swoich gazetach.

- Co pan nam może powiedzieć o tym wozie i o koniu, panie dyrektorze? - rzucił inny dziennikarz.

- Dotychczas przesłuchani świadkowie twierdzą, że koń stał zwrócony na wschód, co jest niezgodne z przepisami ruchu drogowego. Ale terroryści nie przejmują się kodeksami, prawda? - Tors Flynna podniósł się i opadł po ostatniej uwadze, którą najwyraźniej dyrektor Biura Śledczego uznał za śmieszna.

- Nie zidentyfikowaliście więc wozu? - dopytywał się reporter.

- Wóz wyleciał w powietrze, tępaku! - odpalił rozdrażniony Flynn. - Jak mamy go zidentyfikować? Rozpadł się na milion kawałków. Koń też. Są jeszcze jakieś głupie pytania?

- Co z Fischerem?

- Nie martwcie się o Fischera - stwierdził Flynn.

- Złapaliście go już?

- Kto twierdzi, że go szukamy? Niech się nim zajmie policja nowojorska.
- Skąd Fischer wiedział o ataku bombowym?
- Kto mówi, że wiedział? Na pocztówce nie wspomniano o bombie. I jest w niej mowa o piętnastym, a nie o szesnastym września. Nie będę się wypowiadał na temat Fischera. Uważam, że to wariat, któremu trafiło się, trafiło się jak ślepej kurze ziarno, coś przewidzieć. A teraz wynoście się stąd wszyscy. Muszę wydać rozkazy moim ludziom.

•••

Pod zdobionym złotymi liśćmi kolebkowym sklepieniem Younger pokazał Colette i Lucowi wyrzeźbioną w kamieniu postać samego pana Woolwortha liczącego pięcio- i dziesięciocentówki. Weszli do szybkiej windy. Oczy chłopca z zachwytem obserwowały, jak zmieniają się światelka, które wskazywały pokonywane w zawrotnym tempie piętra. Oprócz nich tylko lekkie kołysanie kabiny i świst powietrza zdradzały tempo podróży.

Pięćdziesiąt osiem pięter wyżej wyszli przez ciężkie dębowe drzwi na oślepiające słońce i wiatr tak silny że Younger otoczył Colette ramieniem, a Luca wziął za rękę. Trójboczny taras obserwacyjny pełen był ludzi w łopoczących płaszczach. Przy balustradzie Younger, Colette i wspięty na palce Luc patrzyli na dachy budynków wyższych od najsmuklejszych katedr w Europie. Niemożliwie daleko w dole rzeka ludzkości - małych ludzików, samochodów i autobusów - płynęła i zatrzymywała się w dziwnym rytmie. To nie był widok z lotu ptaka; raczej widok z perspektywy Boga obserwującego, jak Ameryka narusza pierwszą zasadę świętości - oddzielenie ziemi od nieba.

Za nimi ciężkie dębowe drzwi windy znów się otworzyły, wypuszczając kolejną grupę zwiedzających. Wśród nowo przybyłych znalazł się mężczyzna w fedorze naciągniętej nisko na czoło. Lekko utykał, a jego gładko ogolona twarz pokryta była szkarłatnymi plamami, jakby śladami po przebytych niedawno poparzeniach.

•••

Gdy tylko reporterzy wyszli z jego tymczasowego biura, Duży Bill Flynn usiadł za potężnym dębowym biurkiem, chwytając pióro jak ktoś, kto ma do podpisania ważne dokumenty, choć w rzeczywistości na blacie znajdowały się wyłącznie gazety.

Dwaj ubrani w ciemne garnitury asystenci stanęli za nim po bokach, z rękami z tyłu i na szeroko rozstawionych nogach.

Littlemore pozostał na krześle, z wykałaczką w zębach oglądając jeden z anonimów.

- Czy to nie zabawne? - zapytał na głos nie wiadomo kogo, kiedy wyszedł ostatni reporter.

Flynn zwrócił się do jednego z asystentów:

- A on co, głuchy?

- Hej, kolego, głuchy jesteś? - rzucił asystent.

- „Albo wszystkich was czeka pewna śmierć” - zacytował Littlemore. - Nazwałbym to groźbą, ponieważ dotyczy czegoś, co się dopiero stanie. I ani wzmianki o tym, co już się wydarzyło. Gdyby zostawiał pan taką wiadomość po wysadzeniu w powietrze Wall Street, na pewno wspomnieliby pan coś o tym, czego właśnie dokonał. Nie sądzi pan? Może jakies złowieszcze: „Dziś był dopiero początek”. Albo trochę szyderstwa na dokładkę, powiedzmy: „Dziś wzięliśmy Wall Street, później przyjdziemy po resztę ulic”.

Detektyw wyśpiewał ostatnie słowa na melodię popularnej dziecięcej rymowanki.

- Kim do cholery jest ten facet? - zapytał Flynn.

- Kim do cholery jesteś? - powtórzył asystent.

- Kapitan James Littlemore - przedstawił się detektyw. - Wydział Zabójstw Policji Nowego Jorku. Komisarz Enright poprosił, żebym został oficerem łącznikowym z BŚ. Mam zaoferować panu nasze usługi.

- Ach tak? - zdziwił się Flynn. - No cóż, nie będzie oficera łącznikowego, ponieważ nie będzie żadnej łączności. A teraz proszę się stąd wynosić.

Dotychczas milczący asystent Flynna pochylił się i szeptał przez chwilę coś do ucha mocodawcy.

- Nie mów! - warknął Flynn. Rozsiadł się wygodnie na krześle. - A więc to ty znalazłeś tego Fischera?

- Tak, to ja - potwierdził Littlemore.

- I myślisz, że masz coś poważnego, prawda, Littlemore?

- Niewykluczone - odparł detektyw.

- Powiem ci, co masz. Świra. Będziesz go przesłuchiwał w szpitalu dla wariatów - stwierdził Flynn.

- Tego nie wiem - odparował Littlemore.

- Ale ja wiem. Jest teraz w jednym z nich.

- W którym?

- Chcesz go przesłuchać, to się dowiedz.

- Skąd pan o tym wie? - dopytywał się Littlemore.

- Przypuśćmy, że z powietrza - odparł Flynn, a jego tors znów się zatrzęsł.

Asystenci najwyraźniej też uznali tę uwagę za dowcipną, bo również się zaśmiali.

- No cóż, chyba muszę panu pogratulować, panie Flynn - rzekł Littlemore, powracając do oglądania anonimu, który teraz trzymał pod światło nad głową. - Nigdy nie widziałem sprawy rozwiązanej tak szybko.

- Dlatego dobrze nam płacą - chełpił się Flynn.

- Niech pan powie, dyrektorze, czy widział pan tych wszystkich żołnierzy przed budynkiem Departamentu Skarbu? Zastanawiam się, co oni tam robią.

- Są tam, ponieważ wydałem im taki rozkaz - powiedział Flynn. - Ktoś musi pilnować dobytku Stanów Zjednoczonych, skoro policja trzyma głowy w gaciach. A teraz spadaj.

- Tak jest! - Littlemore ruszył do wyjścia, zatrzymał się jednak przed mapą dolnego Manhattanu, drapiąc się po głowie. - Ci anarchiści... Zastanawiam się właśnie... Ciekawe, jak pan złapie ludzi, którzy potrafią robić rzeczy niemożliwe?

- Niby co jest niemożliwe? - zainteresował się Flynn.

- No cóż, wóz konny zostawiają na Wall Street o jedenastej pięćdziesiąt cztery i idą przez cztery minuty do skrzynki pocztowej na rogu Cedar i Broadwayu. Tak pan powiedział, prawda? Skrzynka zostaje opróżniona o jedenastej pięćdziesiąt osiem. Bomba wybucha o dwunastej zero jeden. Ile jest czasu między jedenastą pięćdziesiąt cztery a dwunastą zero jeden?

- Siedem minut, geniuszu - zakpił Flynn.

- Siedem minut - powtórzył Littlemore, kręcąc głową. - To właśnie mnie dziwi, panie dyrektorze. Myśli pan, że zostawili tykającą bombę na całe siedem minut? Ja bym nie zostawił. Przecież koń blokował ruch uliczny. Gdybym to ja chciał dokonać zamachu, ustawiłbym mechanizm zegarowy na minutę, góra dwie. Ponieważ w ciągu siedmiu

minut ktoś mógłby zabrać stamtąd konia, a może nawet odkryć bombę.

- Ale nikt tego nie zrobił, prawda? - warknął Flynn. - Nie ma w tym nic niemożliwego. Wynoś się pan stąd!

- Może nikt nie usunął konia dlatego, że upłynęły tylko dwie minuty - stwierdził Littlemore, podczas gdy asystenci szli w jego kierunku.

Flynn gestem nakazał ludziom poczekać.

- O czym pan mówi?

- Moi policjanci zebrali zeznania wielu ludzi, którzy tam wczoraj byli. Naocznych świadków. Wóz pojawił się na Wall Street jedną lub dwie minuty przed eksplozją bomby. Trzeba więc złożyć wyrazy uznania pańskim anarchistom. Opuszczają Wall Street o jedenastej pięćdziesiąt dziewięć albo o dwunastej, a docierają na róg Cedar i Broadwayu przed jedenastą pięćdziesiąt osiem, kiedy listonosz wyjmuje ze skrzynki te anonimy. Jak pan złapie ludzi, którzy to potrafią?

Nikt nie odpowiedział na jego pytanie. Flynn podniósł się z miejsca. Przeciągnął dłonią po swoich wybrylantynowanych włosach.

- Więc jest pan kapitanem, tak? Ilu ludzi panu podlega? Sześciu?

- Wystarczająco dużo - odparł Littlemore, myśląc o funkcjonariuszach Stankiewicz i Roederhausenie.

- Ja mam ich tysiąc. W dodatku moi ludzie różnią się od pańskich. W Policji Nowego Jorku służą funkcjonariusze dwojakiego rodzaju: ci, którzy biorą, oraz ci, którzy są zbyt głupi, żeby się zorientować, że cała reszta bierze. Do której grupy pan się zalicza?

Littlemore podszedł do wyjścia.

- Nie wiem. Jestem dość głupi - stwierdził, zamykając za sobą drzwi.

Flynn zwrócił się do asystentów.

- Chcę mieć wszystko o tym facecie - polecił. - Zona, przyjaciele, rodzina.

Dosłownie wszystko. I sprawdźcie, czy Hoover ma coś na niego.

•••

Luc wyrwał się Youngerowi i pobiegł na przeciwległą stronę tarasu widokowego wychodzącą na wodę. Grupa chłopców w wieku szkolnym podniosła tam wrzask z powodu czegoś, co dostrzegli na dole. Luc pobiegł właśnie do nich.

- Tylko spójrz! - powiedział Younger. - Zrozumiał, o czym ci chłopcy mówią.

- Ale nie w takim sensie, że zrozumiał ich słowa - zaproponowała Colette. - No bo jak by miał je zrozumieć?

- Przeczytał informację w gazecie.

- Po angielsku? Niemożliwe.

Stali obok siebie przy barierce, patrząc na panoramę miasta. Położyła dłoń na jego dłoni.

- Szkoda, że muszę wyjechać - westchnęła.

Cofnęła dłoń i sięgnęła po papierosa.

- Nie zależy ci na tym, czy zostanę czy nie?

- Rekomendowałem cię Boltwoodowi. Zostawiasz go bez osoby, która mogłaby poprowadzić jego laboratorium. Oczywiście, że mi zależy.

- Ach tak. I tak nie lubię tego twojego profesora Boltwooda. Wiesz, jak kiedyś nazwał Madame? Obmierzłą idiotką.

- Jest zazdrosny. Każdy chemik na świecie zazdrości Marii Curie.

- Zazdrość sprawia, że mężczyźni są wyjątkowo okrutni.
- Naprawdę? Czy ja wiem?

Nikt by nie zauważył, że człowiek, który dokuśtykał na środek tarasu, ma w dłoni nóż ukryty w rękawie. Nawet gdyby Colette się odwróciła, zapewne nie rozpoznałaby Drobaca, który zgolił krzaczaste bokobrody. Tylko oczy - małe, czarne, bystre oczy zerkające spod nisko naciągniętego kapelusza - mogłyby go zdradzić. Trzymał nóż za ostrze, pieszcząc je delikatnie jednym palcem. Nie ryzykował skaleczenia: jak każdy dobry nóż do rzucania, ten także miał tępe obydwie krawędzie. Tylko czubek był ostry.

Mistrz sztuki rzucania nożem, jeśli zamierza zabić, celuje prosto w serce ofiary. Z ludzkich organów, których przebicie niechybnie prowadzi do śmierci, serce jest największe

- oczywiście z wyjątkiem mózgu, dostęp do niego jednak chroni czaszka. Można by sądzić, że wystarczającą przeszkodą okażą się żebra, ale tak nie jest. Jeśli rzut wyprowadza się z boku, a nie znad głowy, serca nic nie chroni. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto żebra ofiary przepuszczą ostrze. Więcej nawet - poprowadzą je wprost do celu.

Younger i Colette stali do Drobaca tyłem, podobnie jak wszyscy pozostali na tarasie widokowym, ponieważ on znajdował się pośrodku, oni zaś przy poręczach. Dobry nożownik bez skrupułów celuje w plecy ofiary, co przecież pozwala mu atakować z zaskoczenia. Musi tylko dysponować ostrzem wystarczająco długim, by przebiwszy miękką tkankę lewego płuca, metal zdołał dotrzeć do mięśnia serca. Jeśli ofiara jest szczupła, wystarczy dwadzieścia centymetrów. Colette Rousseau była szczupła, a stalowe ostrze sztyletu w rękawie mierzyło dwadzieścia pięć centymetrów.

Oddech Drobaca stał się wolniejszy.

• • •

- Tak dobrze! - krzyknął Littlemore do robotnika obsługującego młot pneumatyczny. - Nie za blisko!

Littlemore stał na Wall Street przed siedzibą Morgan Bank, gdzie poprzedniego dnia eksplodowała bomba. Dwaj umundurowani funkcjonariusze - Stankiewicz i Roederheusen - nie dopuszczali przechodniów. Po przeciwnej stronie ulicy budynek delegatury Departamentu Skarbu i wysokościorzec Urzędu Probierczego nadal wyglądały jak garnizon z powodu rozstawionej wokół nich kompanii wojska.

Dłuto młota pneumatycznego rozkruszyło jeden z kamieni brukowych wokół poczerńałego krateru, potem następny. Littlemore dał robotnikowi znak, żeby przestał. Sam ukucnął i rozgarniając na boki piach i żwir, wyciągnął spomiędzy kamieni podkowę. Miała rozmiar cztery; widać było na niej resztki gwoździ. Stankiewicz i Roederheusen zerknęli nad jego ramieniem. Littlemore odwrócił podkowę. Ukazały się litery CKS.

- I co wy na to? - rzucił Littlemore. - Wiecie, chłopcy, co oznacza skrót CKS?
- Nie, panie kapitanie - odpowiedział Roederheusen.
- Cech Kowali i Stajennych.
- Jest w tym coś dziwnego, kapitanie? - zapytał Stankiewicz.
- Oczywiście, że tak. - Littlemore nie wyjaśnił jednak, co go dziwi.

• • •

Na tarasie widokowym Woolworth Building grupa chłopców w wieku szkolnym

rozwrzeszczała się i pędem przebiegła z jednego krańca na drugi. Luc pobiegł za nimi, deptając im po piętach. Zaniepokojona nauczycielka z kolei skrobała marchewkę jemu. Colette wykrzyknęła imię brata i ruszyła za nimi przekonana, że Luc się potknie i przekoziółkuje przez barierkę.

Drobac się uśmiechnął. Wciąż stał samotnie i nieruchomo pośrodku tarasu. Colette przebiegała z jego prawej strony na lewą na przeciwległym krańcu tarasu. Porywisty wiatr zamarł na chwilę i w tym właśnie momencie Drobac wykonał gwałtowny ruch, jak szermierz podczas pchnięcia wyrzucając nóż z bekhendu. Lubił ruchome cele, ponieważ stanowiły większe wyzwanie. Ale Colette nie rzuciła mu wyzwania. Niespodziewanie znieruchomiała: ponieważ Luc zatrzymał się nagle, zatrzymała się biegnąca za nim nauczycielka, a następnie Colette.

Sztylet wykonał w powietrzu dokładnie trzy i pół obrotu równoległe do podłogi i wbił się w plecy dziewczyny. Ostrze prześlizgnęło się między żebrami i przebiło płuco. Ale było to prawe płuco, nie lewe, czubek sztyletu nie dotknął więc serca, przechodząc na drugą stronę.

Nóż wbity w plecy zwykle powoduje, że ofiara wyrzuca szeroko rozstawione ręce do góry, krzyczy i upada do przodu, stawiając najwyżej krok lub dwa. Tak właśnie się stało. Niestety w bardzo nieszczęśliwych okolicznościach, ponieważ po drugim kroku dziewczyna przekoziółkowała przez barierkę. Była jeszcze szansa, że upadek skończy się na jednym z balkonów usytuowanych poniżej. Ale ofiara nie miała szczęścia. Odbiła się od parapetu na zewnątrz. Podczas uderzenia oderwał się kawałek betonu, który poszybował razem z jej ciałem, towarzysząc jej do ziemi przez pięćdziesiąt osiem pięter. Dokładnie w tym samym momencie, co ona, upadł na chodnik, który w tym miejscu składał się z mozaiki kolorowych szklanych kwadratów. Odbił się i poszybował w powietrze na wysokość kilku pięter. Znacznie cięższe ciało ofiary runęło na ziemię z przerażającym trzaskiem, przebiło się przez szklane płyty i wpadło do znajdującej się pod nimi stacji metra.

• • •

Littlemore słyszał trzask aż na Wall Street. Nasłuchiwał przez chwilę, co nastąpi potem. Nie pojawiły się jednak żadne oznaki zamieszania ani strachu, podjął więc czynności śledcze.

- Stanky, zawieszysz tę podkowę prosto do inspektora Laheya.
- Mogę o niej powiedzieć prasie? - zapytał Stankiewicz.
- Koniecznie im powiedz - polecił Littlemore. - Ale federalni nie mogą tej podkowy nawet dotknąć, rozumiesz?
- Przepraszam, kapitanie. Pan O Neill nadal czeka, żeby się z panem spotkać - przypomniał Roederheusen.

• • •

Na dachu Woolworth Building rozległy się paniczne krzyki. Chłopcy patrzyli i wrzeszczeli przerażeni. Tylko Luc milczał. Nie poddając się emocjom, opiekuńczym gestem wyciągnął ręce w stronę siostry.

Ofiarą zamachu padła nauczycielka, która się zatrzymała, biegnąc za Lukiem. Gdyby Colette postawiła o krok więcej, sztylet Drobaca ją właśnie by ugodził. Ale ponieważ nauczycielka raptownie stanęła w miejscu, ostrze Drobaca przebiło prawe płuco

niewłaściwej kobiety - nieszczęsnej nauczycielki - zamiast lewego płuca zamierzonego celu.

Tłum ludzi na tarasie widokowym nie dostrzegł noża, wszyscy sądzili, że byli świadkami potwornego wypadku. Kolejna grupa zwiedzających, którzy w tym samym momencie wychodzili z windy, wprowadziła dodatkowe zamieszanie. Jednak Younger zauważył nóż w plecach nauczycielki, a teraz zwrócił uwagę na mężczyznę, który utykając, podążał w stronę dębowych drzwi. Za nimi znajdowały się windy. On jedyny postanowił opuścić ogarnięty chaosem taras. Przechodząc przez drzwi, Drobac odwrócił się, dzięki czemu Younger momentalnie rozpoznał jego małe czarne oczy.

Natychmiast puścił się pędem przez taras widokowy. Dobięł do wyjścia. Przez szparę między zamykającymi się drzwiami windy dostrzegł te same czarne oczy zerkające na niego spod kapelusza. Szczelina między zasuwającymi się drzwiami była zbyt wąska, żeby się przez nią prześlizgnął, wystarczyła jednak, by weszło w nią ramię Youngera, który wdarł się do środka, chwytając Drobaca za klapę. Zaskoczony windziarz wyrzucił z siebie jakieś słowa protestu, ale natychmiast otworzył drzwi. Younger wyciągnął Drobaca na zewnątrz i rzucił go na podłogę.

Morderca próbował się bronić, ale nie miał szans. Younger bił go i bił, wymierzając cios za ciosem, aż kompletnie pogruchotał mu kości nosa, szczęki, a nawet oczodoły.

• • •

- Kto to jest O'Neill? - Littlemore zapytał Roederheusena na rogu ulicy koło banku Morgana.

- To tamten człowiek, panie kapitanie. Czeka tu od rana. Twierdzi, że też ostrzeżono go przed bombą.

- Przyrowadź go tutaj. Potem znajdź listonosza, który wybiera listy ze skrzynki na rogu Cedar i Broadwayu. Tylko nie w przyszłym tygodniu. Chcę go mieć w biurze jutro rano, jasne?

- Ale jutro jest sobota - stwierdził Roederheusen.

- I co z tego? - zapytał Littlemore.

- Nic, panie kapitanie.

Roederheusen przeszedł przez ulicę i wrócił z mężczyzną mierzącym niewiele więcej niż metr pięćdziesiąt od stóp do czubka głowy i tyleż w talii. Podczas marszu machał ramionami jak ołowiany żołnierz.

- Przepraszam, że musiał pan czekać, panie O'Neill

- przywitał go Littlemore. - Ma pan dla mnie jakieś informacje?

- Tak, mam. Bo widzi pan, weszły czwartek.... albo może w piątek.... Nie, w czwartek.

- Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło - zachęcił go Littlemore.

- To było tak. Jadę pociągiem z Jersey jak co rano. Ten facet wsiada na stacji Manhattan Transfer i zaczynamy rozmawiać. Taka pogawędka towarzyska.

- Niech pan go opisz.

- Wyglądał na miłego człowieka - zaczął O'Neill. - Około czterdziestki. Może trochę więcej. Nie spotkałem go na tej trasie nigdy wcześniej. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Sportowa sylwetka. Blondyn. Wykształcony. Z rakieta tenisową.

- Z rakieta tenisową?

- Tak, miał ze sobą rakieta tenisową. W każdym razie jesteśmy w tunelu pod

Hudson, a on mnie pyta, gdzie pracuję. Powiedziałem mu, że na Broadwayu pod sześćdziesiątym pierwszym. On mi na to, że pracuje bardzo niedaleko, w jakiejś ambasadzie albo czymś w tym rodzaju. Rozmawiamy dalej o wszystkim i o niczym, no wie pan, a on się nagle pochyla i mówi do mnie szeptem: „Niech się pan trzyma z daleka od Wall Street aż do szesnastego września”.

- Powiedział: szesnastego? - wtrącił Littlemore. - Jest pan pewien?
- Pewnie, że jestem. Powtórzył to kilka razy. Zapytałem go, o co właściwie chodzi.

A on mi na to, że współpracuje ze służbami specjalnymi i że się zajmuje ściganiem anarchistów. A potem powiedział tak: „Mają prawie trzydzieści tysięcy kilogramów materiałów wybuchowych i zamierzają je zdetonować”. Mówił poważnie. Widać było. To on, detektywie, prawda? To był Fischer?

- I co pan zrobił?
- Jak to co? Szesnastego trzymałem się z dala od Wall Street.

•••

Trzech pracowników ochrony Woolworth Building, którzy w końcu się zjawili, oderwało od zakrwawionego mężczyzny Youngera i zakuło go w kajdanki. Nie zrobiło na nich wrażenia tłumaczenie Youngera, że ofiara jego napaści zaatakowała nożem dziewczynę, która właśnie wyleciała z tarasu na spotkanie śmierci. Nikt inny nie potwierdzał wersji o morderstwie, a sam Younger przyznał, że on także nie widział momentu zabójstwa. Mężczyźni pozostali również obojętni na informację, że ofiara napaści poprzedniego dnia usiłowała uprowadzić dziewczynę, która nadal stoi na tarasie widokowym. Sprawiali wrażenie przekonanych, że Younger wszystko to wymyśla.

Przyprowadzono Colette i Luca. Nie pozwalając Youngerowi się odezwać, strażnicy zapytali Colette, czy rozpoznaje nieprzytomnego mężczyznę, którego Younger pobił niemal na śmierć. Powiedziała, że nie. Pokancerowana twarz Drobaca była rzeczywiście nie do rozpoznania.

- Pani mąż twierdzi, że ten mężczyzna porwał panią wczoraj - stwierdził jeden ze strażników.

- On nie jest moim mężem - odparła Colette.
- Kłamiesz, psu bracie! - rzucił strażnik.
- Nie powiedziałem, że jestem jej mężem - odparował Younger.

Luc zwrócił na siebie uwagę Colette, szarpiąc ją gwałtownie za rękaw, po czym wykonał kilka gestów. Zapytała go, czy jest pewien. Kiwnął głową.

- To jest mężczyzna, który nas porwał - oświadczyła.
- Mój brat go poznaje.

Strażnicy podejrzliwie zapytali, po czym chłopiec go poznał.

Luc wykonał kolejny gest.

- Po prostu poznał - przetłumaczyła Colette.

To zapewnienie nie rozwiało wątpliwości strażników. Ostatecznie zabrali zakrwawionego mężczyznę do szpitala, a Youngera do aresztu.

•••

Otwarty dla klientów w niespełna dobę po eksplozji Bank Morgana przypominał raczej izbę chorych niż świątynię światowej finansjery. Obandażowane głowy albo zaklejone oczy mieli urzędnicy przy każdym stanowisku. Pracownicy utykali. Mężczyźni

z temblakami jedną ręką obsługiwali maszyny do liczenia. Twarz strażnika była tak dokładnie obandażowana, że widać mu było tylko oczy i nos.

- Pan Lamont przyjdzie za chwilę - poinformowała Littlemore'a recepcjonistka.

Firma J. P. Morgan Company nie była zwyczajnym bankiem. Bank Morgana kształtował stosunki międzynarodowe, tworzył historię. To Morgan ocalił Stany Zjednoczone od ruiny podczas złotej paniki w 1895 roku, a potem znowu w 1907 roku. To Morgan poprowadził konsorcjum finansistów, które w czasie wielkiej wojny udzieliło państwom sprzymierzonym pożyczki w kwocie pięciuset milionów dolarów, bez których niemal na pewno by jej nie wygrały. Stary magnat J. P. Morgan zmarł w 1913 roku; jego syn Jack junior, który nie spędzał w banku tyle czasu co ojciec, powierzył zarządzanie potężnymi aktywami firmy i prowadzenie jej interesów finansowych na całym świecie jednemu z partnerów. Był nim Thomas Lamont.

Littlemore uchylił kapelusza przed pół tuzinem umundurowanych policjantów wspierających pracowników ochrony. Ukradkiem skinął też głową na powitanie sześciu policjantom po cywilnemu, rozstawionym w różnych miejscach centralnego atrium. Potem spojrzął na unoszącą się wysoko kopułę; na rusztowaniach pod jej zwieńczeniem pracowali robotnicy. Powietrze wypełniało dudniące echo uderzeń młotkami.

Trochę niżej pan Lamont - drobnej budowy, ubrany wytwornie, ale konserwatywnie - zwracał się do grupy mniej więcej dwudziestu mężczyzn, odpowiadając na ich pytania niczym przewodnik wycieczki. Był odpowiednim człowiekiem do prowadzenia Banku Morgana: absolwent Philips Exeter Academy i Harvardu oraz człowiek wybrany przez Waszyngton do reprezentowania Stanów Zjednoczonych na paryskiej konferencji pokojowej w 1919 roku. Miał przerzedzone siwe włosy, duże uszy i płochliwe, szaroniebieskie oczy. Mężczyźni, do których się zwracał, nie byli turystami. Wchodzili w skład komisji przeprowadzającej inspekcję skutków wybuchu. Wskazując na kopułę, w której widoczne były duże pęknięcia gipsu, Lamont wyjaśniał, że zespół inżynierów uznał jej konstrukcję za stabilną i bezpieczną.

- Dodam jeszcze, że jestem dziś bardzo dumny z tej firmy

- zwrócił się do otaczających go członków komisji i dziennikarzy. - Pracownicy J. P. Morgan nie ulegają panice. Otworzyliśmy dziś bank o zwykłej porze i możecie być pewni, że nadal tak będzie.

Lamont uściśnął dłoń przewodniczącego komisji, po czym przekazał opiekę nad jej członkami współpracownikowi. Podszedł do detektywa, przedstawił się i zapytał, czym może służyć.

- Przepraszam, że zabieram pański czas, panie Lamont

- zaczął Littlemore. - Na pewno niełatwo panu teraz.

- Niełatwo? - Zazwyczaj bezbarwna twarz Lamonta wydawała się przytłoczona ciężarem odpowiedzialności. - Pan Morgan przebywa w podróży zagranicznej, obowiązek rozmowy z rodzinami zabitych i rannych spadł więc na mnie. Czuję się odpowiedzialny za każdego z nich. Czy wie pan, że nasza kopuła omal się nie zawaliła? Wczoraj tylko cudem nie ucierpiał budynek giełdy. Byliśmy o włos od katastrofy. Zginęłyby tysiące ludzi. Wall Street obróciłaby się w ruinę. Nie rozumiem, jak to się stało. Będę wdzięczny, jeśli pan się pośpieszy, kapitanie.

- W porządku - zgodził się Littlemore. - Chciałbym się dowiedzieć, kogo zalicza pan do wrogów.

- Słucham?

- Nie pańskich osobistych, tylko firmy
 - Chyba nie rozumiem - stwierdził Lamont. - Dziś rano pan Flynn z BS zapewnił mnie, że wybuch nie był skierowany przeciwko bankowi Morgana.
 - Zostawili bombę tuż przed waszymi drzwiami, panie Lamont. Omal nie obrócili w ruinę waszego budynku.
 - Pan Flynn tak tego nie postrzega.
 - To są fakty, proszę pana.
 - Jeśli się nie mylę, kapitanie, cała ta tragedia może się jeszcze okazać wynikiem wypadku na wozie z dynamitem. W żadnym razie nie przyłożę ręki do spekulacji, że firma J. P. Morgan Company była celem ataku.
 - Kiedy ostatnio słyszał pan o wozie konnym wyładowanym dynamitem i połową tony szrapneli?
 - Tylko kto by atakował w taki sposób bank? - spytał Lamont. - Jakie miałby z tego korzyści? Ta firma przychodzi z pomocą ludziom potrzebującym na całym świecie. Kto miałby interes w tym, by nas zaatakować?
 - Powiem krótko, panie Lamont. Moi ludzie właściwie bez przerwy mają do czynienia z zabójstwami lichwiarzy. A pańska firma niewiele się różni od tych ostatnich, po prostu jest potężniejsza. W podobnych przypadkach zawsze pytam, kogo zamordowany naciskał o spłatę pieniędzy. Albo czy w tych samych wodach nie grasował jakiś inny rekin finansjery, który chciałby zdobyć wyłączność na pływające w niej płotki.
 - Rozumiem - stwierdził Lamont.
 - Proszę mi wybaczyć porównanie - dorzucił Littlemore.
 - Nie mogę - odparł Lamont. - Ta firma nie naciska na wierzycieli, kapitanie.
 - Nie pewno nie. I nie macie żadnych wrogów, prawda?
- Lamont nie odpowiedział.
- Utrzymuje się pan z zabezpieczenia przed ryzykiem - ciągnął Littlemore. - Jak każdy bankier. Proponuję panu takie zabezpieczenie. Nie możemy wykluczyć, że napastnikom chodziło o pańską firmę. Może wysłali panu w ten sposób ostrzeżenie. Może niebawem wysłą następne. Chce pan ryzykować?
- Lamont ściszył głos.
- Nie chcę.
 - Mogę ich złapać, jeśli poświęci mi pan trochę czasu i postara się pomóc. To byłby całkiem spory zysk z małej inwestycji.
 - To prawda - zgodził się Lamont. - Działa pan niezależnie od dyrektora Flynnna?
 - Jestem z policji nowojorskiej. Nie podlegamy panu Flynnowi.
 - Proszę zostawić wizytówkę w recepcji, kapitanie. Ma pan wizytówkę?
 - Mam.
 - Zastanowię się nad tym, co pan powiedział.

• • •

Zapadł zmierzch, kiedy Littlemore pojawił się w celi Youngera.

- Jezu, doktorze, starłeś go na proch - powiedział, otwierając kratę. - Wygląda, jakby przez jego twarz przejechał buldożer.

Younger włożył marynarkę i wyszedł z celi.

- Poręczyłem za ciebie - dodał detektyw. - Zapalisz?
- Dziękuję - rzucił Younger. Kołnierzyk koszuli miał rozerwany, knykcie

posiniaczone. - Uciekł?

- Nie - odparł Littlemore. - Jak się dowiedziałem, posłałem do szpitala kilku chłopaków. Wsadzimy go za kratki, gdy tylko lekarze zrobią swoje. Na razie mam go ja.

Detektyw wręczył przyjacielowi dużą kopertę z brązowego papieru, z której Younger wytrząsnął swój krawat, zegarek, portfel i kilka osobistych drobiazgów.

- Na razie? - zapytał.

- Jak udowodnimy, że to Drobac? Nawet ja nie potrafię zidentyfikować faceta po tym, co zrobiłeś z jego twarzą. Musimy znaleźć znacznie więcej, zanim ruszy proces. Ale zdążymy. Proces zacznie się dopiero za pół roku.

- Ja mogę go zidentyfikować - stwierdził Younger, wkładając zegarek.

- Przykro mi to mówić, ale twoje słowo zaczęło trochę mniej ważyć, odkąd masz zarzut usiłowania morderstwa.

Younger spojrzał na detektywa.

- Tak uznał prokurator okręgowy - wyjaśnił Littlemore. - Napaść z zamiarem zabójstwa. Miałem szczęście, że cię stąd wyciągnąłem. Sędzia nie chciał się zgodzić, dopóki nie wspomniałem, że nie tylko skończyłeś Harvard, ale jesteś tam profesorem, oraz że Roosevelt był twoim kuzynem, a ty spałeś z jego córką... No dobrze, tego ostatniego nie powiedziałem.

- Prawdę mówiąc, naprawdę chciałem go zabić - wyznał Younger, układając krawat pod kołnierzykiem koszuli.

- Nie, nie chciałeś.

- Co on o sobie powiedział?

- Wyobraź sobie, że on nie mówi. Zdaje się, że ktoś złamał mu szczękę w trzech miejscach i ma ją teraz odrutowaną. Lepiej, żebyś się nie pomylił, chłopie!

- To Drobac. Utykał. Miał ślady na twarzy.

- Żaden dowód.

- Możesz pobrać jego odciski palców?

- Już pobrałem. Ale muszą do czegoś pasować. Nie mamy żadnych odcisków na nożach. Żadnych pasujących odcisków w pokoju, w samochodzie ani na skrzynce laboratoryjnej Colette. Kompletnie nic. Wiedział, co robi.

Milczeli przez chwilę.

- Dlaczego za nami szedł? - zapytał w końcu Younger.

- Może chciał się pozbyć ludzi, którzy mogą go rozpoznać?

- Gdzie ona jest? - zapytał Younger, zapinając spinki do mankietów.

- Panienska? Wygłasza wykład.

- Co takiego?

- Nie chciała ustąpić - powiedział Littlemore. - Kazała mi wyciągnąć wszystkie próbki z magazynu dowodów rzeczowych.

• • •

Tamtego wieczoru A. Mitchell Palmer, prokurator generalny Stanów Zjednoczonych, przybył na Manhattan specjalnym pociągiem ze stolicy. Przed Pennsylvania Station czekał na niego długi, czarno-złoty packard twin six imperial, na który mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi. W środku siedział elegancki mężczyzna w cylindrze i koszuli z podniesionymi rogami kołnierzyka.

Samochód zabrał Palmera do budynku delegatury Departamentu Skarbu naprzeciw

Banku Morgana przy Wall Street. Salutujący żołnierze rozstąpili się, kiedy mężczyźni wspinali się po marmurowych schodach i przechodzili przez masywny portal. Pół godziny później Palmer i elegancko ubrany mężczyzna pojawili się ponownie. Ten ostatni poprowadził prokuratora pod kolumnadą do wąskiej alejki oddzielającej budynek skarbowy od sąsiedniego wysokościowca Urzędu Probiecznego. Alejka kończyła się wysoką bramą z kutego żelaza, którą otwarto, żeby przepuścić zwierzchnika prokuratury.

Obydwaj mężczyźni doszli do połowy alejki. Dżentelmen w cylindrze wskazywał do góry na nie całkiem przylegające do siebie budynki. Piętro nad ziemią na obydwu znajdowały się otwory usytuowane naprzeciw siebie i wyglądające jak drzwi do garażu, dziwnie zawieszzone w powietrzu. Prokurator generalny Palmer pokiwał ponuro głową, po czym poinformował swojego towarzysza, że nazajutrz opuszcza Nowy Jork. Śledztwo w sprawie zamachu pozostawia w rękach dyrektora Flynna z Biura Śledczego, by odwiedzić rodzinę w Stroudsburgu w Pensylwanii.

•••

Fundusz Radowy Marii Curie zorganizował wykład połączony z pokazem w kościele Świętego Tomasza przy Piątej Alei 17 września 1920 roku. Pomysł narodził się w głowie pani Williamowej B. Meloney, dobrze sytuowanej kobiety w podeszłym wieku znanej w kręgach filantropijnych i literackich Nowego Jorku. Pani Meloney nie należała do elity, ale dzięki niezmiernemu dostarczaniu materiałów prasowych na temat socjety Manhattanu w końcu sama zajęła w niej poczesne miejsce. Jak wiele Amerykanek pani Maloney namiętnie śledziła - także po to, by o niej pisać - mozolną pracą wielkiej Marii Curie z Francji.

- To oburzające, że madame Curie, najwybitniejszy naukowiec na świecie, odkrywczyni radu, nie może prowadzić dalszych badań wyłącznie z braku niezbędnych do tego funduszy - zadeklarowała wystrojona w muszkę pani Meloney z bogato zdobionego, ale posępnego prezbiterium. - A przecież jej badania już doprowadziły do odkrycia radowego lekarstwa na raka oraz radowych kremów do twarzy i rąk eliminujących skazy skóry. - Wśród rozlicznych zajęć pani Meloney znajdowała czas, by redagować także wiodący magazyn dla kobiet. - Że nie wspomnę o nasycanych radem wodach przywracających siły małżeńskie naszym mężom.

Publiczność, niemal wyłącznie złożona z kobiet, przyjęła jej słowa ciepło, a nawet z aplauzem.

Pani Meloney pogratulowała słuchaczkom hartu ducha, który pozwolił im przybyć na wykład ledwie dzień po potwornej tragedii na Wall Street.

- Przeznaczeniem kobiet zawsze było wytrwać, podczas gdy pasje mężczyzn też zawsze brały nad nimi górę - stwierdziła. - Dlatego musimy trwać. Koszt grama radu jest przerażająco wysoki, sto tysięcy dolarów musimy jednak zebrać tę sumę. W grę wchodzi honor amerykańskich kobiet. Osobiście przyrzekłam to w naszym imieniu madame Curie, goszcząc u niej w Paryżu, teraz więc spoczywa na nas obowiązek hojnego wspierania funduszu. Musimy nakłonić naszych mężów, żeby udzielili tego wsparcia.

Kiedy panie po raz wtóry zgotowały jej rzęsiste oklaski, nagle z piskiem otworzyły się frontowe drzwi kościoła.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła pani Meloney. - Oto przybyła panna Rousseau. Zaczynałyśmy się o panią niepokoić, moja droga.

Złożona z wytwornych dam publiczność odwróciła głowy. Colette przeszła w

milczeniu przez ogromną nawę główną jak uosobienie nieśmiałości, dźwigając oburącz ciężką kasetkę z próbkami rud i materiałów radioaktywnych. Przeprosiła niepewnym głosem, który z trudem się rozszedł po olbrzymim i ciemnym gotyckim kościele z wielkimi kolumnami oraz gwiaździstym sklepieniem krzyżowo-żebrowym. Colette spodziewała się kilku kobiet w małej sali wykładowej, a nie dwustu słuchaczek w obiekcie sakralnym, zgromadzonych przed ponadnaturalnych rozmiarów krucyfiksem na olbrzymim retabulum.

- Ostatnio w weekendy - ciągnęła pani Meloney - razem z panną Rousseau, która studiowała w Paryżu u samej madame Curie i która za chwilę opowie nam o cudownym działaniu radu, zwiedzałyśmy największe amerykańskie fabryki wytwarzające produkty radowe. Chciałyśmy uświadomić właścicielom tych przedsiębiorstw, jak wiele zawdzięczają madame Curie. Nasze wysiłki nie okazały się próżne, o czym niebawem będziecie miały przyjemność się przekonać.

W tym momencie pani Meloney wymieniła spojrzenie z pulchnym, nienagannie ubranym dżentelmenem siedzącym po jej lewej stronie, który szczerze gestykulował, zwracając się do publiczności. Potem ustąpiła miejsce przy pulpicie Colette, która pokrywając uśmiechem olbrzymi wysiłek, wносиła kasetkę z pierwiastkami po schodach prezbiterium.

- Dziękuję, pani Meloney - zaczęła Francuzka. Bładość jej policzków publiczność przypisała europejskiemu pochodzeniu. - To dla mnie wielki zaszczyt i prawdziwe wyróżnienie, że mogę wesprzeć Fundusz Radowy Marii Curie.

Colette przerwała, oczekując, że publiczność zechce wyrazić aplauz dla madame Curie. Zapanowała jednak głęboka cisza.

- Może więc zacznę - podjęła, rozprostowując na pulpicie pogięte kartki, na których starannie spisała swoje wystąpienie. - Dwadzieścia cztery lata temu francuski naukowiec Henri Becquerel umieścił naczynie z kryształkami uranu obok zapakowanej płytki fotograficznej w zamkniętej szufladzie i nie zaglądał tam przez tydzień. Czy przeprowadzał eksperyment? Nie, monsieur Becquerel sprzątał laboratorium i po prostu zapomniał, gdzie schował uran.

Colette czekała na śmiech, ale się nie doczekała.

- Kiedy odwinął płytkę fotograficzną, znalazł na niej obraz, co wydawało się niemożliwe, ponieważ płytka nie była wystawiona na działanie światła. Tak właśnie, czyli przypadkiem, odkryte zostało promieniowanie atomowe. Dwa lata później, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, Maria Curie i jej mąż Pierre rozwiązali tę zagadkę. Madame Curie udowodniła, że atomy uranu emitują niewidoczne promienie i wymyśliła nazwę dla tego zjawiska: radioaktywność.

Pracując niemal w całkowitej izolacji, madame Curie odkryła dwa pierwiastki poprzednio nieznanego ludzkości. Pierwszy nazwała polonem na cześć ojczystej Polski; drugi, o wiele silniejszy, otrzymał nazwę radu. Potencjalna energia radu jest tak wielka, że omal nie da się opisać żadnymi miarami. Wszyscy zapewne znamy konie mechaniczne. Jeden gram radu zawiera energię równą osiemdziesięciu miliardom koni mechanicznych.

Colette znów przerwała, tym razem oczekując, że tak olbrzymia liczba skłoni słuchaczki do wstrzymania oddechu. Usłyszała jednak szelest sukni dam wiercących się na krzesłach.

- Taka siła - kontynuowała Colette, teraz trochę za szybko - wyzwolona w jednej

chwili oznaczałaby potężny wybuch, gotowy zniszczyć dosłownie każdy budynek w Nowym Jorku. Ale nauka znalazła sposób, by okiełznać radioaktywność i wykorzystać ją do ratowania, a nie niszczenia ludzkości. Dziś lekarze aplikują mikrogramy radu w małych szklanych kapsułkach bezpośrednio do organizmu pacjenta chorego na raka. W ciągu kilku tygodni guz znika. Na całym świecie dzięki radowi żyją ludzie, dla których jeszcze kilka lat temu nie było ratunku. - W tym miejscu publiczność wreszcie okazała się skłonna do braw, ale coraz bardziej zdenerwowana Colette nie zrobiła kolejnej pauzy. - Zademonstruję teraz państwu jeden z najniezwykleszych produktów ubocznych radioaktywności: luminescencję.

- Och, moje dziecko - odezwała się pani Meloney. - Chce pani przeprowadzać eksperymenty w kościele? Sądzi pani, że to właściwe?

- To tylko mały pokaz - wyjaśniła Colette.

- Dobrze zatem - zgodziła się pani Meloney - ale niech ta demonstracja nie trwa zbyt długo.

Colette wyjęła z kasetki dwie fiołki, po czym stanęła zakłopotana przy pulpicie. Potrzebowała stołu. Musiała zmieszać dwa składniki. Śmiejąc się nerwowo, uklękła na podłodze i odstawiła swoje materiały. Pozwoliło jej to pracować obydwoma rękami; niestety, sprawiło także, że przestała być widoczna.

Nagle rozległy się oklaski. Colette podniosła wzrok zdziwiona. Uwaga pań na widowni skupiła się na pulchnym dżentelmenie za jej plecami, który z jowialnym uśmiechem unosił zaciśnięte dłonie wysoko nad głową. Z każdej pięści zwisał zegarek na rękę, rzucający zielonkawy fosforyzujący blask.

- Oto i luminescencja, panno Rousseau - wykrzyknął triumfalnie ów dżentelmen. - Oto magia radu.

Jeszcze gorętsze oklaski.

- Dziękuję panu - krzyknęła pani Meloney. - Jest pan rycerzem w lśniącej zbroi. Dziękuję także pani, mademoiselle Rousseau, za bardzo pouczający wykład.

- Ale ja... - zaczęła Colette, która ledwie skończyła wstęp do przygotowanego wykładu.

- A teraz, moi przyjaciele - podjęła pani Meloney - najprzyjemniejsza część naszego spotkania. Tydzień temu w Connecticut miałam przyjemność poznać jednego z tytanów amerykańskiego przemysłu, którego dobroć i zainteresowanie dla spraw publicznych zasługują na renomę nie mniejszą niż ta, którą się cieszy w interesach. Jest jednym z krajowych liderów, gdy idzie o ropę, górnictwo i rad. Powitajmy teraz razem pana Arnolda Brightona.

Pulchny dżentelmen podniósł się i uklonił we wszystkich kierunkach witany długą owacją. Był niemal kompletnie łysy - z wyjątkiem kępki szorstkich brązowych włosów nad każdym uchem; niezwykle starannie ubrany, z lśniącymi wypolerowanymi paznokciami i złotymi spinkami, które błyszcząły, kiedy podniósł ręce, żeby uciszyć siedzące na widowni panie.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Ojej, gdzie ja wsadziłem moje przemówienie? - Brighton poklepał się po kieszeniach dłońmi, połyskując paznokciami. - Czy nie dałem go pani, madame Meloney?

- Mnie, panie Brighton?

- Ojej! Czy Samuels tu jest? On by wiedział, gdzie je włożyłem. No cóż, moi konkurenci zawsze twierdzą, że tracę głowę w towarzystwie kobiet. Nie zatrudniają u

siebie kobiet, podczas gdy moje fabryki zegarków fluorescencyjnych w różnych stanach są pracodawcami przede wszystkim niewiast. Moi konkurenci nie rozumieją, dlaczego zatrudniam dziewczęta w fabryce. Odpowiedź jest prosta. Kobietom płaci się mniej niż mężczyznom, znacznie mniej. Och, wiem, co teraz myślicie. Z tak dużym bezrobociem wśród mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy zasłużyli się na wojnie, czyż nie im właśnie należy oferować miejsca pracy? Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie w tej kwestii. Mężczyźni mają żony i dzieci, które muszą utrzymywać. To kosztuje więcej. Podczas gdy większość moich dziewcząt nie ma mężów. Potrzebują więc mniej, żeby się utrzymać. I spójrzcie na dzieło ich rąk, spójrzcie na te cudowne zegarki! Nakładanie farby radowej na tak niewielkie powierzchnie wymaga kobiecej ręki i precyzji. Pani Meloney, czy przyjmie pani podarunek od dzentelmena? Czy pan Meloney nie będzie miał nic przeciw temu?

Tej uwadze towarzyszył wyraźnie zgorszony śmiech.

- Powinien się pan wstydzić, panie Brighton - stwierdziła pani Meloney z fałszywą skromnością, wyciągając obfite ramię, żeby Brighton mógł zapiąć na przegubie jej dłoni większy z dwóch przyniesionych przezeń zegarków, wysadzany fioletowymi kamieniami szlachetnymi. Podniosła rękę, demonstrując podarunek zebranych paniom, które klaskały z całego serca.

- Pani Meloney od dziś może sprawdzić godzinę w środku najczarniejszej nocy - stwierdził Brighton. - Gdyby policjanci i strażacy w tym mieście nosili moje zegarki, nie przeszkodziłaby im wielka chmura po wczorajszej eksplozji. Mieliby źródło światła, które nie wymaga żadnych baterii, żadnego paliwa, w ogóle żadnego zasilania. Takie cuda potrafi zdziałać rad. Także dla pani, panno Rousseau, wykonaliśmy specjalny egzemplarz. Nasze produkty seryjne nie pasowałyby do pani delikatnych dłoni.

Zegarek, który Brighton wręczył Colette, był otoczony okrągłymi oszlifowanymi diamentami, załamującymi barwy tęczy mimo półmroku panującego w kościele. Zażenowana Colette niezręcznie podniosła rękę. Brighton zapiął swój podarek na przegubie jej dłoni. W jego wypolerowanych paznokciach odbijał się zielony blask fluorescencyjnej tarczy. Wyraził nadzieję, że prezent przypadnie jej do gustu. Colette nie wiedziała, co powiedzieć.

- Pańska hojność odbiera nam mowę, panie Brighton - odezwała się zamiast niej pani Meloney. - Proszę kontynuować.

- Kontynuować?

- Pańska darowizna, panie Brighton.

- Moja darowizna? Ach, oczywiście, moja darowizna. - Brighton ponownie poklepał się po marynarce. Wyjął z kieszeni weksel trasowany, omal nie przewracając pulpitu. Po długim wstępie oświadczył, że z największą przyjemnością przekazuje na Fundusz Radowy Marii Curie sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Przez widownię przebiegły stłumione okrzyki podziwu, a później rozległa się głośnie i długa owacja.

Pani Meloney wylewnie dziękowała darczyńcy, po czym zachęciła publiczność do dyskusji, wyrażając przekonanie, iż ma wiele pytań do panny Rousseau.

- Przepraszam - odezwała się kobieta w trzecim rzędzie ławek. - Używam mydła radowego codziennie od roku, ale nadal mam kurzajki na obydwu łokciach. Bardzo mnie to martwi.

- Niestety, niewiele wiem o przydatności radu w kosmetyce - wyznała Colette.

Pani Meloney przysła jej z pomocą.

- Próbowwała pani kremu na noc Rador, moja droga? Mnie bardzo pomógł. Podniosła się kolejna ręka.
 - Mam pytanie do panny Rousseau. Jaka jest właściwa dawka wody radowej, żeby przywrócić witalność sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie?
 - Nie usłyszałam - stwierdziła Colette. - Przywrócić co?
 - Witalność - powtórzyła kobieta.
- Pani Meloney szepnęła jej coś do ucha i blade policzki Colette poczerwieniały.

• • •

Później, podczas poczęstunku, pani Meloney komplementowała pana Brightona z powodu jego wzrostu.

- Jest pan o wiele wyższy, niż się spodziewałam - kokieteryjnie stwierdziła siwowłosa dama. Była to prawda. Z daleka Brighton wyglądał na niskiego, a sądząc z wyrazu twarzy, można było go wziąć za roztargnionego profesora matematyki. Z bliska okazywał się o wiele wyższy i nie bardzo było wiadomo, skąd to wrażenie. W rezultacie jego roztargnienie i niezdarne ruchy stawały się jeszcze bardziej frapujące.

- I ten pański podarunek - dodała pani Meloney, oglądając swój wysadzany szafirami zegarek. - Nigdy nie dostałam tak urzekającego prezentu.

- Ja natomiast nigdy nie miałem w fabryce tak urzekających gości, jak pani i jej asystentka dwa tygodnie temu.

- Na litość boską! - protestowała pani Meloney. - Co powiedziałby mój małżonek?

- Jak to? - zapytał Brighton zaniepokojony - Czy powiedziałem coś niestosownego?

- Gdyby mężczyźni dopuszczali się tylko takich niestosownych czynów! - uspokoila go pani Meloney. - Nalegam, aby pan uczestniczył w naszej przyszłorocznej ceremonii, panie Brighton, kiedy przekażemy madame Curie rad. Jeśli tylko zdołamy uzbierać resztę pieniędzy. Zamierzam namówić burmistrza, żeby też wziął udział w tej uroczystości.

- Burmistrza? - zdziwił się Brighton. - Dlaczego nie prezydenta? Porozmawiam o tym z Hardingiem. Do tego czasu zasiądzie już w Białym Domu. Panno Rousseau, czy widziała pani naszą stolicę? Jadę tam... o mój Boże, kiedy ja tam jadę? Gdzie jest Samuels? Bez niego nie potrafię sobie nic przypomnieć. O, tam jest mój posępny towarzysz. Co pani mówiła?

- Ja, panie Brighton? - spytała pani Meloney - Jeśli się nie mylę, wspomniał pan o Hardingu.

- Ach, tak! Jadę do Waszyngtonu, żeby się spotkać z Hardingiem. Może panie zechciałyby mi towarzyszyć? Mam własny pociąg. Bardzo wygodny. Pani i panna Rousseau znajdziecie w stolicy wiele organizacji dobroczynnych. To żyła złota dla waszego funduszu.

- Byłybyśmy zachwycone, prawda, moja droga? - pani Meloney zwróciła się do Colette.

- Patrzcie panie tylko na Samuela! - wykrzyknął Brighton poirytowany. - Znowu czegoś ode mnie chce! Jak zwykle. Wybacz mi panie?

- Cóż za ujmujący mężczyzna - stwierdziła pani Meloney, kiedy Brighton odszedł do swojego sekretarza. Ten narzucił płaszcz na ramiona pryncypała i przez chwilę szeptał mu coś do ucha. Większość pań została w kościele, wymieniając informacje o ulubionych produktach radowych. - Wpadła mu pani w oko, moja droga - dodała starsza pani.

- Ja? - zdziwiła się Colette. - Nie, za to pani z pewnością.
 - Skądże - syknęła zniecierpliwiona rozmówczyni. - Kim ja jestem? Starą kobietą!
- Wystarczy spojrzeć na zegarek, który pani podarował. To brylanty! Ma pani pojęcie, ile one są warte?
- Nie mogę go zatrzymać - wyznała Colette.
 - A niby dlaczego, na Boga? - wykrzyknęła wzburzona pani Meloney.
 - Rad na tarczy zegarka, pani Meloney, jest bardzo niebezpieczny. I proszę mi obiecać, że nie będzie pani zachęcała tych kobiet do stosowania kosmetyków zawierających rad.
 - Chyba nie zalicza się pani do radosceptyków, moja droga? Mój mąż owszem, jest radosceptykiem najgorszego sortu, ale zapewniam panią, że krem Radior zdjął mi z twarzy co najmniej dziesięć lat. Ja to widzę, nawet jeśli on nie potrafi dostrzec.
 - Chodzi o koszty - wyjaśniła Colette. - Przedsiębiorstwa takie jak Radiator sprawiają, że naukowców nie stać na rad.
 - Ależ co pani opowiada! Mój krem kosztuje zaledwie dziewięćdziesiąt dziewięć centów!
 - Oczywiście, pani Meloney, ale ponieważ tak wiele kobiet płaci za niego owe dziewięćdziesiąt dziewięć centów, gram radu kosztuje już ponad sto tysięcy dolarów.
 - Obawiam się, że naukowcy mają słabe pojęcie o ekonomii, moja droga. To koszt radu określa cenę kremu Radiator, nie na odwrót.
 - Nie, pani Meloney. Proszę pomyśleć o wszystkich ludziach kupujących kosmetyki radowe i zegarki luminescencyjne. Im więcej tych produktów sprzedajemy, tym mniej radu zostaje na świecie, a więc staje się on coraz droższy.
 - Od pani słów aż mi się kręci w głowie, panno Rousseau. Wiem tylko, że nasz fundusz radowy świetnie wystartował. Skupmy się na tym, dobrze?
 - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest to ważne - nie ustępowała Colette. - Jest tak niewiele radu! Przedsiębiorstwa przemysłowe, jak te pana Brightona, konsumują ponad dziewięćdziesiąt procent, prawie niczego nie zostawiając dla nauki i medycyny. A to co zostawia, staje się zbyt kosztowne. Tysiące ludzi umierających dziś na raka zostanie pozbawionych leczenia radem ze względu na koszty. Te przedsiębiorstwa zabijają ludzi. Próbowalam to wyjaśnić panu Brightonowi, kiedy zwiedzałyśmy jego fabrykę, ale chyba mnie nie słuchał.
 - Mam nadzieję, że nie słuchał - stwierdziła pani Meloney. - Gotów byłby jeszcze wycofać darowiznę. Nie mogłaby pani być dla niego odrobinę miłsza, moja droga? No cóż, śmiem twierdzić, że sam ufundowałby gram radu, gdyby zechciała pani potraktować go nieco przychylniej.
- Dobrodusznie uśmiechnięty pan Brighton wrócił, by się pożegnać, rozdając ukłony na lewo i prawo.
- Samuels twierdzi, że muszę panie opuścić. Proszę nie zapomnieć, panno Rousseau, że obiecała mi pani Waszyngton. - Podał ramię starszej kobiecie. - Odprowadzi mnie pani do drzwi, pani Meloney?
 - Ależ, panie Brighton! - oburzyła się matrona. - Będziemy wyglądali jak para, która właśnie wzięła ślub!
 - W takim razie obydwie panie musicie mnie eskortować - powiedział Brighton.
- Colette próbowała odrzucić jego propozycję, ale pani Meloney nawet nie chciała o tym słyszeć. Cała trójka zeszła więc po niskich schodach z prezbiterium i kierując się do

wyjścia, przeszła przez główną nawę, przy której końcu Samuels, sekretarz Brightona, rozdawał jakieś upominki grupie zachwyconych kobiet opuszczających kościół po spotkaniu.

- Ponieważ wymieniła pani tę nikczemną firmę Radior

- Brighton wyjaśnił pani Meloney - nie mogłem pozwolić, by reklama konkurencji pozostała bez reakcji. Właśnie wypuściliśmy nową linię cieni do powiek. Oczywiście świecących, jak pani widzi.

Kilka kobiet już zdążyło nałożyć cienie na powieki oraz pomalować rzęsy tuszem i teraz ciemny portal kościoła wyglądał jak grotę, z której wycierają nocne ptaki albo bestie. Pani Meloney przeprosiła Brightona: nie miała pojęcia, że on zajął się także produkcją kosmetyków. Oczywiście, wspomni o tym w najbliższym numerze „The Delineator”. Ona i pan Brighton byli tak pogrążeni w rozmowie, a Colette tak nią rozdrażniona, że żadne z nich nie zauważyło samotnej postaci klęczącej między ławkami z opuszczoną głową i pogrążonej w modlitwie.

- Pani Meloney, zostawiłam przy pulpicie moje pierwiastki - powiedziała Colette. - Muszę po nie wrócić.

- Niech pani nie będzie niegrzeczna, moja droga - odparła starsza kobieta, silnie pociągając za ramię Brightona, który z kolei pociągnął Colette.

Klęcząca postać poruszyła się niespokojnie, gdy się zbliżali. Jej głowę zakrywał kaptur.

- Tak, proszę mnie nie zostawiać, panno Rousseau - dodał Brighton. - Każę Samuelsonowi zabrać pani rzeczy.

Colette nie odpowiedziała. Zaszło jej w ustach. Zakapturzona postać stanęła w przejściu między ławkami, zagrządzając im drogę. Była to kobieta. Spod kaptura wystawały rozwichrzone rude włosy. Koścista dłoń dotykała szala wokół szyi, skrywającego jakąś wypukłość.

- Czy możemy ci jakoś pomóc, moja droga? - zapytała pani Meloney.

Colette wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ostrzec ich. Była jednak niczym sparaliżowana. Oczy wychudłej kobiety zdawały się ją przyzywać. Dostrzegła w nich potępienie dla jej komitwy z panem Brightonem i panią Meloney, za której manifestację niewiasta uznała najwyraźniej ich połączone ramiona. Podniosła drugą rękę i wyciągnęła dłoń do Colette; dziewczyna poczuła, że musi się poddać. Z niezrozumiałych dla siebie przyczyn - może po prostu dlatego, że znajdowała się w kościele, a może wstrząsające wydarzenia ostatnich dwóch dni złamały jej opór - Colette wyciągnęła własną dłoń na powitanie, uprzejmie, a nie ze strachu. Bez względu na powody podała rękę zakapturzonej kobiecie. Ich palce się spotkały.

Poczuła obrzydzenie, ponieważ dłoń kobiety była wilgotna, co znamionowało chorobę albo nawet zarazę. Zupełnie jakby ta przerażająca kreatura przed chwilą wynurzyła się z obrzydliwej kałuży, w której za chwilę ponownie się zagłębi. Zakapturzona postać zacisnęła palce na dłoni Colette i postawiła krok do tyłu, pociągając dziewczynę za sobą.

- Przestańcie natychmiast - krzyknęła pani Meloney, jakby napominała rozbrykane dzieci.

- Tak, przestańcie natychmiast - powtórzył jak echo Brighton.

Zakapturzona kobieta zwróciła na niego oczy i wyprostowane ramię wycelowała w jego twarz. Brighton się cofnął, puszczając Colette.

- Samuels? - słabym głosem wezwał na pomoc sekretarza.

Spowita w czern kobieta pociągnęła Colette jeszcze o krok do tyłu, nie odrywając kościstej i pokrytej niebieskimi żyłami dłoni od szala wokół szyi. Colette szła za nią jak zauroczona. Dopiero zegarek - podarunek Brightona, teraz znajdujący się tuż przy zakapturzonej twarzy - sprawił, że czar prysł.

W zielonkawym świetle tarczy zegarka Colette dostrzegła oczy, które na chwilę ją urzekły, ponieważ były piękne jak u łani. A jednak zmienił się ich wyraz. Lśniące brylanty na ręku Colette sprawiły, że w oczach nieznanym pojawiły się błyskawice. Kobieta chwyciła wysadzany drogimi kamieniami pasek, do krwi rysując skórę Colette ostrymi paznokciami. Dziewczyna bezskutecznie próbowała cofnąć rękę.

- To złodziejka! - krzyknęła pani Meloney.

W napadzie furii rudowłosa kobieta drapała Colette, po raz pierwszy wydając z siebie głos:

- Daj mi... Daj mi...

Colette wstrzymała oddech: głos kobiety wydobywał się z głębi gardła, przypominał męski, był jednak niższy niż jakikolwiek, który Colette słyszała w życiu. Podczas szarpaniny kobieta zapomniała o szalu, który spadł, odsłaniając jej szyję. Najpierw ukazały się wąskie bezbarwne usta, potem opadł jeszcze niżej i pani Meloney wydała z siebie okrzyk, podobnie jak wcześniej Betty Littlemore.

- Mój Boże! - westchnęła Colette.

Zakapturzona kobieta wpatrzona w zegarek z brylantami wyjęła spod peleryny kawałek błyszczącego metalu - nóż. Colette nie miała żadnych szans na obronę. Pan Brighton się wycofał, ale odważna pani Meloney zajęła jego miejsce, wierząc widocznie, że pomoże Colette, chwytając ją za drugą rękę i nie puszczając. Rudowłosa kobieta z szalem w oczach podniosła nóż. Colette, za jedną rękę trzymana przez napastniczkę, za drugą zaś przez bezmyślną obrończynię, nie mogła się bronić.

Pani Meloney krzyknęła:

- Ona chce uciąć jej rękę! Ratunku!

Padł strzał. Kula wbiła się w krucyfiks za pulpitem, odrywając ramię wyrzeźbionemu w drewnie Zbawicielowi. Zakapturzona kobieta odwróciła się, trzymając nóż wysoko nad głową. Padł kolejny strzał, potem jeszcze jeden. Błyszczące oczy rudowłosej znieruchomiały. Nóż wypadł z jej dłoni. Nienaturalnie głęboki jęk wypłynął spod warg, a w kącikach ust pojawiła się krew. Ciało, upadając, oparło się o Colette.

Młoda Francuzka poczuła, jak obrzydliwa mięsista szyja napastniczki dotyka jej własnej. Wzdrygnąwszy się, Colette pozwoliła kobiecie osunąć się na podłogę. W przedsionku kościoła sekretarz Brightona Samuels stał z dymiącym pistoletem w dłoni.

Przez długą chwilę nikt się nie poruszył. Potem Arnold Brighton wystawił głowę zza pleców pani Meloney.

- Świetna robota, Samuels! - pochwalił. - Doskonała.
- Panie Brighton! - odezwała się pani Meloney z wyrzutem.
- Tak, pani Meloney?
- Pan się schował za moimi plecami.

- Ależ skąd! Nie chowałem się - stwierdził Brighton. - Przecież wszyscy widzieli, gdzie jestem. Po prostu znalazłem schronienie. Jak najbardziej zadowolające, mógłbym dodać. Wyjątkowo okazałych rozmiarów.

- Trzymał mnie pan, panie Brighton, kiedy padły strzały. Próbowałam biec, ale pan

mnie trzymał z całej siły!

- Chce pani powiedzieć... No cóż, wiem, co pani chce powiedzieć. Skorzystałem z pani dobrodziejstwa bez rekompensaty. Jak mogę się odplacić? Czy tysiąc dolarów wystarczy? Pięć tysięcy?

- Ładne rzeczy! - oburzyła się pani Meloney.

- Samuels, nie stój tam! - rzucił Brighton. - Trzeba tu posprzątać. Nie można przecież zostawić zwłok na podłodze kościoła. Myślisz, że możemy zapłacić śmieciarzom, żeby ją zabrali?

- Ona jeszcze żyje - powiedziała Colette klęcząca przy napastniczce.

- Naprawdę? - zdziwił się Brighton, wyglądając, jakby znów chciał się schronić za plecami pani Meloney.

- Policja! - krzyknął detektyw Littlemore, wpadając przez frontowe drzwi kościoła.
- Rzuć broń!

Kobieta leżała skulona na zimnej kamiennej podłodze. Wypływająca spod niej krew utworzyła ciemną plamę. Younger i Littlemore przybyli na miejsce w samą porę, by usłyszeć okrzyki: „morderca” z ust pań wybiegających w popłochu z kościoła. Podczas gdy pani Meloney wyjaśniała detektywowi, że ta szalona kobieta ich zaatakowała, a Samuels je uratował, Younger szukał pulsu na nadgarstku leżącej kobiety. Znalazł, choć bardzo słaby.

Colette przyklękła obok niego.

- Spójrz na jej szyję - powiedziała.

Niezdrowo sfilcowane rude włosy zakrywały twarz. Zdecydowanym, ale ostrożnym ruchem Younger je odsunął. Zobaczył puste oczy, ładny nos i cienkie rozchylone wargi. Postrzępiony szal wrócił na miejsce, zakrywając szyję. Younger uniósł go.

Kobieta nie miała podbródka. Tam, gdzie powinna się znajdować broda, gdzie powinno być gardło, odstawała od jej szyi obrzęknięta kartoflowata masa, niemal tak wielka jak głowa, pod którą wyrosła. Na jej powierzchni były zmarszczki, dołki, grudki, wgłębienia i dużo, dużo żył.

- Na litość boską, co to jest? - wykrztusił Littlemore.

ROZDZIAŁ

Dziewiąty

Rok przed atakiem na Wall Street prezydent Stanów Zjednoczonych, siedząc na sedesie w Białym Domu, doznał udaru niedokrwiennego mózgu - zakrzep w naczyniu pozbawił część mózgu dopływu krwi. W ciągu kilku chwil dawny wizjoner Woodrow Wilson stał się półślepy inwalidą niezdolnym poruszać lewą częścią swojego ciała, z lewą połową ust włącznie.

Apopleksję Wilsona ukrywano przed narodem, przed jego gabinetem, a nawet przed wiceprezydentem. Trudno było określić, kto ma kierować państwem w związku z chorobą Wilsona. Właściwie trudno było nawet stwierdzić, kto państwem kieruje. Czy sekretarz stanu Robert Lansing, który w tajemnicy zwoływał posiedzenia rządu pod nieobecność prezydenta? A może małżonka Wilsona, Edith, której przodkami byli zarówno Plantageneci, jak i Pocahontas, i ona jedyna miała dostęp do pokoju chorego prezydenta, skąd wносиła polecenia, zgodnie z wersją oficjalną dyktowane przez Wilsona? A może prokurator generalny Palmer, który pozyskał większe fundusze dla swojego biura śledczego i który dziesiątki tysięcy ludzi w całym kraju wsadził do więzienia jako podejrzanych o zdradę narodu?

Przez cały 1920 rok utrzymywało się to dziwne bezhołowie. W styczniu zaczęła obowiązywać prohibicja. W marcu senat odrzucił Ligę Narodów i prezentowaną przez Wilsona wizję Ameryki połączonej sojuszem z państwami opowiadającymi się za światowym pokojem z centralną rolą USA na arenie międzynarodowej. Wilsonowi nie udało się wytłumaczyć hołdującym pragmatyzmowi rodakom, dlaczego Ameryka powinna się angażować w europejskie intryki i zadawnione animozje. Bo co w końcu zyskały Stany Zjednoczone, biorąc udział w ostatniej wojnie, podczas której ponad sto tysięcy młodych obywateli oddało życie, by ocalić skórę Anglikom i Francuzom?

Niepewni, dokąd zmierzają, i pozbawieni alkoholu Amerykanie czekali w 1920 roku, aż burza rozładuje narastające napięcie, aż w listopadzie wybrany zostanie nowy prezydent, aż gospodarka znów stanie na nogi. Wierzyli, że przywrócili światowy pokój, mieli więc teraz pełne prawo, by się zająć problemami wewnętrznymi.

Tylko że na świecie nie zapanował pokój. Latem 1920 roku wielkie armie nadal pustoszyły świat. W sierpniu wojska sowieckie triumfalnie przekroczyły granice Polski i nawet doszły do Warszawy z zamiarem marszu na Niemcy i jeszcze dalej. Lenin miał podstawy do ambitnych planów. Uzbrojeni komuniści przejęli władzę w Monachium i ogłosili Bawarię republiką sowiecką. To samo stało się na Węgrzech. Tuż pod nosem Stanów Zjednoczonych rewolucjoniści meksykańscy obalili wspierany przez Amerykę reżim, obiecując odebrać przedsiębiorcom olbrzymie złoża ropy w Meksyku - zwłaszcza przedsiębiorcom z USA.

Ale większość Amerykanów w 1920 roku ani o tym nie wiedziała, ani nawet nie chciała wiedzieć. Przeważnie mieli dość świata. Ale nie wszyscy

•••

W sobotę rano 18 września, dwa dni po ataku bombowym i dzień po wykładzie Colette w kościele Świętego Tomasza, Younger spotkał się z Littlemore'em przy stacji metra kilka przecznic od szpitala Bellevue.

- Da się jakoś zidentyfikować tę dziewczynę? - zapytał Younger, kiedy wyruszali w kierunku szpitala.

- Tę z dwiema głowami? Zapewne się uda w ciągu dnia lub dwóch - odpowiedział Littlemore. - Gdy idzie o kobiety, to zwykle ktoś zgłasza zaginięcie. Chyba że jest prostytutką. Wtedy żadnego doniesienia nie otrzymamy.

- Mam wrażenie, że ona nie jest dziwką - stwierdził Younger.

Mełczyźni spojrzeli po sobie.

- Sprawdziłeś jej zęby? - zapytał Younger.

- Żeby sprawdzić, czy nie brakuje trzonowego? Też o tym myślałem. Ale nie. Ma wszystkie.

- Dlaczego Colette?

- Pytasz, dlaczego jej dotyczą te wszystkie rzeczy? To dobre pytanie. Ale już ci mówiłem: nie zakładaj, że wszystkie się ze sobą wiążą.

- Czy mam rozumieć, że zakładasz dziwny zbieg okoliczności?

- Niczego nie zakładam. Nigdy tego nie robię. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ktoś bierze Colette za kogoś zupełnie innego. Może nawet cała grupa ludzi uważa, że Colette jest kimś innym, niż jest w rzeczywistości.

Jako finansowany z pieniędzy publicznych szpital Bellevue musiał przyjąć każdego pacjenta, którego dowieziono, a tragedia na Wall Street dostatecznie nadwreżyła jego i tak już mizerne zasoby. Korytarze pełne były przeszkód w postaci pacjentów osuwających się z wycieńczenia na krzesłach albo wyciągniętych na noszach. Na trzecim piętrze Younger i Littlemore znaleźli kobietę z kościoła. Dzieliła salę z dwunastoma innymi pacjentkami. Oddychała, ale była nieprzytomna. Na obrzękniętej narośli wystającej z jej szyi pulsowały żyły. Pielęgniarka powiedziała im, że dziewczyna nie odzyskała przytomności, odkąd została przyjeta do szpitala. Przy sąsiednim łóżku lekarz podawał pacjentce zastrzyk. Littlemore spytał go, czy rudowłosa kobieta przeżyje.

- Bo ja wiem? - odpowiedział lekarz uprzejmym tonem.

- A kto może wiedzieć? - ciągnął Littlemore.

- Ja - stwierdził lekarz. - Opiekuję się pacjentkami leżącymi w tej sali. Ale nie miałem jeszcze czasu jej zbadać.

- Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli ja ją zbadam?

- Jest pan lekarzem? - upewniał się medyk.

- W dodatku z Harvardu - wtrącił się Littlemore.

- Chciałbym sprawdzić, co jest wewnątrz nowotworu na jej szyi - powiedział Younger. - Macie tu aparat rentgenowski?

- Oczywiście, że mamy, ale tylko szpitalny radiolog może go obsługiwać.

- W porządku. Gdzie znajdziemy szpitalnego radiologa?

- zapytał Littlemore.

- Ja jestem szpitalnym radiologiem - wyjaśnił lekarz. Littlemore skrzyżował ramiona.

- Kiedy mógłby pan ją prześwietlić?

- Za dwa tygodnie. Badania rentgenowskie wykonuję w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.
- Dwa tygodnie? - powtórzył Littlemore. - Za dwa tygodnie ona może już nie żyć!
- Podobnie jak pięciuset innych pacjentów tego szpitala
- warknął lekarz. - Teraz muszę panów prosić o wybaczenie. Jestem bardzo zajęty. Kiedy lekarz wyszedł, Littlemore powiedział:
- Może nie powinienem był mówić, że jesteś z Harvardu. Nie wiem dlaczego, ale ludzie mają innym za złe to, co powinni podziwiać. Czym, do diabła, jest to coś na jej szyi?
- Nie mam pojęcia, ale może niedługo się dowiemy
- Younger wskazał cienką, niebieskawą, pionową szczelinę w narośli. Biegła od podbródka do mostka. - Cokolwiek jest w środku, chyba próbuje się wydostać.
- Świetnie - rzekł Littlemore.
- Niewykluczone, że to potworniak.
- Czyli co?
- Najczęściej torbiel zawierająca włosy lub zęby - wyjaśnił Younger.
- Na przykład zęby trzonowe?
- Na przykład. Albo bliźniaka.
- Co?
- Bliźniaka, który nigdy się nie narodził. Nieżywego. W każdym razie nigdy nie odnotowano przypadku, żeby żył.
- Najpierw natrafiamy na kobietę bez głowy na Wall Street, a teraz mamy kobietę z dwiema. To się nazywa... zaraz, zaraz. Tamta też była ruda.
- Kobieta bez głowy? Ruda? - zdziwił się Younger.
- No, miała rude włosy. I przechodziła obok. Jestem pewien, że miała na sobie taką samą sukienkę jak ta. Pójdę do kostnicy. Może tamtej brakuje zęba trzonowego.

• • •

Tego samego ranka gazety w całym kraju podały, że Edwin Fischer - mężczyzna, który wiedział o zamachu na Wall Street - został zatrzymany w Hamilton w stanie Ontario i uznany za niepoczytalnego przez kanadyjski sąd. Fischer został doprowadzony przed wymiar sprawiedliwości przez własnego szwagra, który przeczytał o sławnych już na całym świecie kartkach pocztowych, i w towarzystwie dwóch pracowników Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych pojechał samochodem z Nowego Jorku do Toronto.

• • •

Po wyjściu detektywa Younger rozejrzał się po szpitalu Bellevue. Lekarzowi nie jest trudno podawać się za przedstawiciela władz w dużym przepelnionym szpitalu. W każdym razie z łatwością przyszło to Youngerowi, który na wojnie nauczył się egzekwować posłuszeństwo od podwładnych, zachowując się tak, jakby wykonywanie jego rozkazów nie podlegało najmniejszej dyskusji.

Znalazł gabinet rentgenowski na drugim piętrze. Aparat był taki, jak się spodziewał: nowoczesny, zasilany z transformatora, a nie prądem indukcyjnym, i wyposażony w lampy Coolidge a. Natężenie w miliamperach oznakowano wyraźnie. Wiedział, że potrafi go obsłużyć.

•••

W komendzie policji funkcjonariusz Roederheusen zapukał do drzwi Littlemore'a.

- Mam tego listonosza, panie kapitanie - zameldował.
- Tego, który wyjmuje pocztę na rogu Cedar i Broadwayu.
- Na co czekasz? Dawaj go! - polecił Littlemore.
- Tak, panie kapitanie. Czy ja też mogę mieć ksywę?
- Ksywę?
- Stanky ma. A moje nazwisko jest dla pana zbyt trudne do wymówienia.
- W porządku. Nawet niegłupi pomysł. Będę cię nazywał Spanky.
- Spanky?
- No, w odróżnieniu od Stanky ego. A teraz dawaj mi tego listonosza.
- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję.

Roederheusen wrócił po chwili, prowadząc za sobą listonosza. Littlemore kazał temu ostatniemu usiąść, proponując mu kawę i pączka. Listonosz, który przyjął poczęstunek, kaszlał i pociągał nosem.

- A więc to pan znalazł anonimy - zaczął Littlemore. - Czy zwrócił pan uwagę na mężczyznę, który wrzucił je do skrzynki?

Listonosz pokręcił głową.

- W porządku. Interesuje mnie, kiedy pan zobaczył te anonimy? Obejrzał je pan po otwarciu skrzynki czy dopiero na poczcie?

Listonosz wydmuchał nos w papierową serwetkę.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Skrzynka była pusta.
- Pusta? - powtórzył Littlemore. - Skrzynka na rogu Cedar i Broadwayu? W dniu zamachu? Podczas sprawdzania poczty o jedenastej pięćdziesiąt osiem?

- Jedenasta pięćdziesiąt osiem? Nie odbierałem poczty o jedenastej pięćdziesiąt osiem. Odwiesiłem torbę po porannym obchodzie. Bardzo źle się czułem. Miałem szczęście, no nie?

- Czy ktoś pana zastępował?

- Zastępował mnie? - Mężczyzna się roześmiał, zakrywając usta serwetką. - Marne szanse. A o co w ogóle chodzi?

Littlemore odesłał listonosza.

•••

Sto trzydzieści kilometrów dalej w laboratorium uniwersytetu Yale człekopodobny stwór w hełmie i kombinezonie, które przypominały strój nurka, także pracował w sobotę. Miareczkował kwas fumarowy do sześciu probówek zawierających tor, próbując wytrącić jonon. Nie ukończywszy tego precyzyjnego i męczącego zadania, stwór poczłapał na skąpany w słońcu dziedziniec. Tam podbiegło do niego rozhukane dziecko.

Stwór zdjął rękawice i osłaniający twarz kask ze szczeliną na oczy Rozsypały się długie czarne włosy Colette Rousseau. Usiadła na ławce. Blask słońca oślepił ją po dubeltowej ciemności laboratorium i kasku.

Colette i Luc wrócili do New Haven w sobotę wczesnym rankiem, ponieważ Colette zwolniła się z zajęć w laboratorium tylko na dwa dni. Jej eksperymenty miały potwierdzić istnienie jononu, domniemanego nowego pierwiastka, który ponoć odkrył profesor Bertram Boltwood i o którym odkrywca mówił jako o ojcu radu. Madame Curie

nie wierzyła w to, uważając jonon za odmianę toru. Colette solidarnie także nie wierzyła w jonon. Ustaliła już, że nie da się go wytrącić z toru za pomocą powszechnie stosowanych odczynników, jak tiosiarczan sodu czy kwas m-nitrobenzoesowy. Dziś sprawdzała kwas fumarowy. Ale dłonie zaczęły się jej trząść w ciężkich ołowianych rękawicach, musiała więc przerwać eksperyment.

Zaplotła włosy w długi warkocz, przerzuciła na plecy, po czym obydwoma rękami sięgnęła do karku. Wyciągnęła łańcuszek z medalionem, który stale nosiła na piersi. Obracając zmyślnie zaprojektowaną ramkę najpierw w jedną, potem w drugą stronę rozchyliła dwie płowy medalionu. Na jej dłoń wypadła cienka, pokryta nalotem owalna metalowa blaszka - niczym wydłużona moneta - przez którą przewiercono dwa maleńkie otwory.

Jedna strona metalowego krążka była pusta. Colette odwróciła ją i błędziła wzrokiem po maszynowo wyrytym napisie: *Hans Gruber, Braunau am Inn, 20. 4. 89., 2. Ers. Masch. Gew. K., 3. A K. Nr. 1128.*

• • •

Chociaż była sobota, paliło się światło w gabinecie komendanta. Littlemore zapukał do drzwi i wszedł do środka.

- Kapitan Littlemore! Właśnie o panu myślałem! - stwierdził komendant Enright rozparty w fotelu przy wielkim oknie, odrywając wzrok od raportu, który czytał. Enright był uwielbiany przez podwładnych. Jako jedyny komendant policji w historii Nowego Jorku doszedł do tego stanowiska po kolejnych szczeblach kariery, poczynając od posterunkowego.

- Jestem w kontakcie z Kanadyjczykami. Godzą się na ekstradycję. Niech pan wyśle kogoś do Ontario po tego Edwina Fischera.

- Ludzie są już w drodze, panie Enright - zameldował Littlemore.

- I o to chodzi! Widział się pan wczoraj z dyrektorem Flynnem z BŚ. Jakie wrażenia po spotkaniu?

- Duży Bill niczego nam nie przekazuje, panie komisarzu - stwierdził Littlemore. - Chociażby ten Fischer. Flynn stwierdził, że Fischer został zatrzymany. Nie powiedział gdzie, nie powiedział, skąd o tym wie. A przecież my przekazaliśmy im wszystkie informacje, które zdobyliśmy w tej sprawie!

Enright pokręcił głową z zalem.

- Nie oczekiwałem więcej. Dlatego wybrałem pana jako oficera łącznikowego. Mają więcej możliwości niż my, Littlemore, ale nie mają lepszych ludzi. Niech pan będzie zawsze krok przed nim. Musimy być dobrze zorientowani w sprawie. Flynn znalazł anonim. Następne odkrycie należy do nas.

- Nie podobają mi się te anonimy, panie kapitanie.

- A to dlaczego?

- Nie dałem się nabrać na jego historyjkę. Nie ma siły, żeby zamachowcy dotarli z Wall Street do tej skrzynki pocztowej o jedenastej pięćdziesiąt osiem. Oprócz tego nie pasuje mi treść tych anonimów. Nie ma w nich ani słowa o ataku. Gdybym to ja wysadził w powietrze Wall Street i chciał się tym pochwalić przed wszystkimi, tobym o tym wspomniał. Nie jestem nawet pewien, czy te ulotki zostały wyjęte ze skrzynki pocztowej. Właśnie rozmawiałem z listonoszem, który obsługuje ten rejon. Tamtego ranka skończył pracę wcześniej, bo jest chory.

- Co pan sugeruje, Littlemore?
- Nic, panie komendancie. Wiem tylko, że Flynn robi wszystko, co może, żeby powiązać ten atak z zamachami z osiemnastego i dziewiętnastego roku. Stwierdził nawet, że poczta w Chicago została wysadzona w trzeci czwartek września, a więc szesnasty września przypadał dokładnie w rocznicę tamtego ataku.
- Wiem, w „Timesie” o tym pisano - powiedział Enright.
- Bomba w Chicago wybuchła czwartego września osiemnastego roku, panie Enright. Niewykluczone, że to był czwartek, ale na pewno nie trzeci czwartek miesiąca. Uważam, że powinniśmy dalej szukać.
- Z pewnością - zgodził się Enright. - Dlatego porozmawiamy sobie z panem Fischerem. Ale powiem panu, że w tej kwestii zgadzam się z generałem Palmerem: zamach na Wall Street był dziełem bolszewickich anarchistów. Kto inny zrobiłby coś takiego? Wielka wojna nie skończyła się w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Popełniliśmy błąd, wycofując wojska z Rosji. Pozwoliliśmy im przenieść wojnę na naszą ziemię. Wilson jest bezużyteczny, ale wszystko się zmieni po wyborach. Harding zanieśie Leninowi wojnę pod próg, bo tam jej miejsce. Jest pan wolny, kapitanie.

• • •

Younger wrócił do Bellevue wczesnym rankiem następnego dnia. Szpital był o tej porze znacznie spokojniejszy: tłum pacjentów się nie przerzedził, ale w niedzielę personel szpitalny był znacznie mniej liczny, niewiele więc się działo.

W łazience na drugim piętrze Younger wciągnął na garnitur biały kitel. Pewnym krokiem wszedł do pomieszczenia, w którym znajdował się aparat rentgenowski, wypchnął go stamtąd, przejechał do windy, z której wysiadł na trzecim piętrze, i władczym głosem wezwał pielęgniarkę. Przybiegła natychmiast.

Rudowłosa dziewczyna leżała w tej samej sali i w tym samym stanie - żywa, ale w śpiączce. Z pomocą pielęgniarki Younger ułożył ciało dziewczyny na drewnianym stole aparatu rentgenowskiego twarzą do dołu i przekręcił jej głowę na bok. Miałyby zadziwiająco piękny profil, gdyby nie to wystające z podbródka i szyi okropieństwo, które w elektrycznym świetle sali szpitalnej wydawało się jeszcze bardziej rozdęte i nienaturalne niż w półmroku kościoła. Younger nacisnął narośl dwoma chronionymi rękawiczką palcami, co wywołało w nim zupełnie niegodne medyka poczucie obrzydzenia. Wnętrze narośli było miękkie, ale grudkowate.

Younger odkrył, że prześwietlanie osoby pozbawionej przytomności jest o wiele łatwiejsze niż prześwietlanie osoby świadomej. Przede wszystkim nie ma obawy, że pacjent się poruszy w trakcie badania. Lampa rentgenowska, umieszczona w pudełku poruszającym się na rolkach pod stołem, bez trudu przejechała dokładnie pod policzek dziewczyny. Chroniąc się ołowianą płytką, Younger włączył promieniowanie i ustawiał przesłonę, dopóki narośl rzuciła cień na ekranie testowym nad głową. Następnie zastąpił ekran testowy nienaświetloną płytką fotograficzną. Przepuszczał promieniowanie przez ciało dziewczyny przez dokładnie osiem sekund, powtarzając ten proces kilka razy pod różnymi kątami, ciągle wymieniając płytkę na nową.

• • •

Tego samego ranka klan Littlemore'ów wysypał się z kamienicy przy Czternastej, by się udać do kościoła. Wyszorowane świątecznie dzieci aż lśniły. Littlemore niósł

najmłodszą pociechę na ramionach. Lily zawsze traktowana była wyjątkowo; pozostałe dzieci nie protestowały ze względu na jej stan.

Matka Betty, sporo niższa od córki, przyszła do nich rano, jak każdej niedzieli, w odświętnym kapeluszu. Jak zwykle też zachowywała się z dystansem wobec zięcia. Z szacunku dla głębokiej religijności żony Littlemore zgodził się uczęszczać w niedzielę do katolickiego kościoła i wychować dzieci w tej wierze, nigdy jednak nie dał się przekonać do wykonania znaku krzyża ani do klękania. Do spowiedzi też nie. Schylał głowę, ale po prostu nie mógł się przeżegnać. W rezultacie matka Betty w każdą niedzielę demonstrowała swoją pobożność, udając, że nie zna męża własnej córki.

Któryś z małych Littlemore'ów krzyknął, że w skrzynce jest list. Po chwili wręczył ojcu małą, kwadratową i ozdobną kopertę. Littlemore, zdejmując Lily z ramion, wyjaśnił synowi, że ta koperta na pewno nie zawiera listu, ponieważ listy nie są dostarczane w niedzielę.

- Czy to bomba? - zapytał wyraźnie podekscytowany chłopiec.
- Nie, to nie jest bomba, na litość boską - odparł Littlemore, próbując wyrazić tonem głosu, że ta sugestia jest absurdalna. Wymienił spojrzenia z Betty. - Bomby są większe.

Koperta zawierała zapisane starannym pismem zaproszenie do klubu bankierów i maklerów na siódmą wieczorem. Wystosował je Thomas Lamont.

Detektyw z rodziną nie zdążyli dojść do końca przecznicy, kiedy podszedł do nich krepny mężczyzna w ciemnym garniturze i poklepał Littlemore'a po ramieniu. Był to jeden z asystentów dyrektora Flynna.

- Mam dla pana wiadomość - oświadczył.
- Naprawdę? To niech ją pan z siebie wyrzuci - odparł Littlemore.
- Szef wie, że przesłuchiwał pan doręczycieli Poczty Stanów Zjednoczonych.
- Co z tego?
- Nie podoba się mu, że przesłuchuje pan doręczycieli.
- Nie może być! No cóż, ja także mam wiadomość dla Dużego Billa - stwierdził Littlemore. - Niech pan mu przekaże, że istnieje słowo listonosz. Po prostu listonosz. Idzie pan dziś do kościoła?

- Dziękuję. Bystry z pana chłop, prawda? - rzucił człowiek Flynna. Spojrzał na dzieci detektywa i ich matkę ubraną w odświętną sukienkę. - Sympatyczne stadko. Szef wie wszystko o pańskiej rodzinie. Włoska krew.

Littlemore zbliżył się do mężczyzny.

- Chyba nie chce mnie pan straszyć, prawda?
- Zastanawialiśmy się tylko, dlaczego syn Irlandczyka ożenił się z Włoszką.
- Grunt to dobrze zbadać sprawę - zadrwił Littlemore.
- Mój ojciec nie jest Irlandczykiem.
- Czyżby?
- Owszem.
- To dlaczego pije, jakby był? - Człowiek Flynna, dwa razy większy od Littlemore'a, zaśmiał się hałaśliwie z własnego dowcipu, wydając serię charczących dźwięków. - Po dobno pański papa ani razu nie był trzeźwy, odkąd go wykopali z policji.

Littlemore roześmiał się dobrodusznie, pokręcił głową i odwrócił się.

- W porządku. Wygrał pan pierwszą rundę - oświadczył, po czym zamachnął się z półobrotu i powalił asystenta na ziemię, wymierzając mu cios w brzuch, a zaraz potem w

okrągłą twarz. Asystent usiłował się podnieść, ale ogłuszony upadł z powrotem na chodnik. - Służę drugą rundą następnym razem, jeśli pan zechce.

Po czym Littlemore i jego rodzina poszli do kościoła.

• • •

Po wywołaniu i utrwaleniu naświetlonych płytek Younger uznał, że musiał się grubo pomylić, oceniając natężenie aparatu. Na zdjęciach nie było żadnego obrazu - tylko amorficzna chmura wypełniona plamkami z kotłujących się cieni, jakich Younger nie widział nigdy wcześniej. Ale górna część mostka była widoczna wyraźnie, co sugerowało, że płytka nie została nadmiernie naświetlona. Wyglądało to tak, jakby promienie rentgenowskie nie zdołały przejść przez owo coś, co rozwijało się w szyi dziewczyny.

Younger wykonał kolejne zdjęcia. Tym razem zróżnicował długość ekspozycji, stosując dłuższe i krótsze interwały. Po wywołaniu drugiego zestawu płytek uznał rezultaty albo za bezużyteczne, albo takie same jak poprzednio.

W zasadzie fakt, że jakaś część ludzkiego ciała nie przepuszcza promieniowania rentgenowskiego, nie był zdumiewający. Na przykład kości są nieprzepuszczalne dla promieni Roentgena. Niewykluczone też, że narośl wystająca ze szczęki dziewczyny powstała z kości. Choćby w zaawansowanym reumatoidalnym zapaleniu stawów wyrostki kostne, rozrastając się, przybierają różne groteskowe kształty w ciele chorego. Jednakże tkanka kostna wewnątrz brody i szyi dziewczyny dawałaby idealnie biały obraz na naświetlonych płytkach.

Z tą teorią wiązały się trzy problemy. Po pierwsze, gdyby to miała być kość, zobaczyłby jej ostre kontury, a tymczasem na radiogramach dziewczyny pojawiała się biała ameba bez wyraźnych granic. Po drugie, kość nie dawałaby zacienionego skłębionego wzorca w środku bezkształtnej bieli - wzorca, który wydawał się trochę inny na każdej płycie, jakby jego źródło, czymkolwiek było, nieustannie zmieniało położenie. Po trzecie wreszcie, Younger badał narośl palcami, naciskając po obydwu stronach cienkiej niebieskiej szczeliny. Cokolwiek znajdowało się w środku, na pewno nie była to kość: owa narośl sprężynowała i przesuwiała się, jakby uchylając się pod dotykiem jego palców.

Przełykając ślinę, Younger zaczął rozważać, czy w szyi tej dziewczyny nie znajduje się coś żywego, co nie przepuszcza promieni rentgenowskich.

• • •

Klub Bankierów i Brokerów zajmował grecko-rzymską willę w centrum miasta. Kwadrans po siódmej tamtego wieczoru na jej trzecim piętrze Littlemore zobaczył Thomasa Lamonta siedzącego samotnie w rogu wypełnionego gośćmi, komfortowo wyposażonego pomieszczenia, najwyraźniej służącego do gry w wista oraz za palarnię cygar. W pokoju znajdowali się wyłącznie mężczyźni. Littlemore był zaskoczony atmosferą - nie dymem z cygar, lecz przyjacielskim gwarem i rozbawieniem gości. Widocznie interesy nadal szły dobrze

- mimo zamachu bombowego.

W odróżnieniu od reszty obecnych Lamont był niespokojny. Wyglądał, jakby chciał się znaleźć zupełnie gdzie indziej.

- Drinka, kapitanie? - zaproponował. - Zgodnie z prawem, jak pan wie. To

prywatny klub.

- Nie, dziękuję - odmówił Littlemore.
- Służba, rozumiem - Lamont gestem odprawił kelnera.
- Myślałem nad tym, co pan powiedział w piątek. Jest pan pewien, że kryminaliści zaatakowali moją firmę?

- Nie powiedziałem, że jestem pewien, panie Lamont - sprostował Littlemore. - Stwierdziłem tylko, że na pańskim miejscu chciałbym się tego dowiedzieć.

- Pytał pan, czy firma ma wrogów. Otóż jest ktoś, kto przyszedł mi do głowy już po pańskim wyjściu. Ale to, że go wskazałem, musi zostać między nami. Czy dobrze się rozumiemy?

Littlemore skinął głową. Ściszony głos Lamonta w połączeniu z hałasem, który towarzyszył grze w karty, gwarantowały, że nikt ich nie podsłucha. Gęsty dym wirował wokół foteli, unosząc się do sufitu.

- To bankowiec - ciągnął Lamont niemal szeptem. - Obcokrajowiec. Przed wojną był drugi na liście najbogatszych finansistów w Nowym Jorku. Pierwszy był oczywiście J. P. Morgan senior. Jakże on za to nienawidził Morgana! Teraz jego interesy podupadły i za niepowodzenie obwinia nas. To niedorzeczne! On jest Niemcem, osobistym przyjacielem kajzera. Jego bank finansował cesarską armię. Oczywiście jego linie kredytowe wyschły, kiedy wypowiedzieliśmy wojnę jego krajowi. Czego się spodziewał? Ale najwyraźniej uważa, że nawet teraz jakiś spisek uniemożliwia mu dostęp do pieniędzy, a my stoimy za tym spiskiem. Groził mi.

Lamont sprawiał wrażenie naprawdę przestraszonego.

- Co to była za groźba? - zapytał Littlemore.

- To się stało podczas obiadu wydanego na rzecz demokratów. Chociaż nie, to chyba był obiad republikanów, na cześć Hardinga. Naturalnie fetujemy i jednych, i drugich. W każdym razie wziął mnie na bok i powiedział, żebym uważał. To cytat, kapitanie. Kazał mi uważać, ponieważ są ludzie, którym się nie podoba, że niektóre banki łączą się z innymi, żeby nie dopuszczają ludzi do kapitału.

- Mówi pan, że ten człowiek finansował niemiecką armię?

- Ponad wszelką wątpliwość tak - odpowiedział Lamont.

- Oczywiście nieoficjalnie. Nie znajdzie pan jego nazwiska w żadnych dokumentach. Jeśli go pan spyta, zapewni pana, że kocha ten kraj. Ale nie poczuwa się do lojalności. Wątpię, czy jest lojalny wobec jakiegokolwiek kraju, nawet własnego. To tkwi w ich naturze. Wie pan, jacy są bolszewicy.

- Zaraz, zaraz. Mówi pan, że ten człowiek jest bankierem i przyjacielem kajzera...

- Oczywiście, że jest! - zapewnił Lamont. - Cesarz nadał mu tytuł szlachecki.

Dostał od niego Order Czerwonego Orła.

- I bolszewikiem? - dziwił się Littlemore.

- To Żyd - wyjaśnił Lamont.

Przez salę przetoczyła się fala śmiechów. Podszedł kamerdyner.

- Ach, Żyd - powtórzył Littlemore. - Teraz rozumiem. Jak on się nazywa?

Kamerdyner nachylił się w stronę Lamonta i powiedział:

- Ten dżentelmen wrócił, proszę pana.

- Na litość boską, powiedz mu, że mnie nie ma - rzucił Lamont, widocznie poirytowany.

- Obawiam się, że on wie, iż pan tutaj jest, proszę pana

- stwierdził kamerdyner.
- W takim razie powiedz mu, żeby sobie poszedł. Nie przychodzę do klubu po to, żeby załatwiać interesy. Niech przyjdzie do biura. - Zwracając się do Littlemore'a, dodał:
- Nowy agent finansowy Meksyku. Nie przyjmuje do wiadomości odmowy.
- Miał pan mi podać nazwisko tego człowieka, panie Lamont - przypomniał Littlemore.
- To chyba señor Pesqueira. A po co panu to wiedzieć?
- Nie jego. Tego, który panu groził.
- Ach, tak! Speyer. James Speyer.
- Wie pan, gdzie go znaleźć?
- Właśnie dlatego pana zaprosiłem. Może pan porozmawiać z panem Speyerem jeszcze dziś wieczorem.
- Czyli jest członkiem klubu - domyślił się Littlemore.
- Bankierów i Brokerów? - Lamont jakby nie dowierzał.
- Oczywiście, nie! Pan Speyer lubi jadać w Delmonico, a to miejsce ogólnodostępne. Ponoć jest tam dziś wieczorem. To może być pańska ostatnia szansa.
- Dlaczego?
- Słyszałem, że jutro zamierza wyjechać z kraju.

• • •

W New Haven w stanie Connecticut Colette i Luc Rousseau także wybrali się tamtej niedzieli do kościoła usytuowanego obok okazałych rezydencji przy Hillhouse Avenue. Kiedy wracali do domu obok starego cmentarza, olbrzymie chmury zawisły bezmyślnie na jarmarcznym błękitnie nieba. Colette próbowała trzymać brata za rękę, ale on nie chciał.

Po powrocie do małego pokoju w domu akademickim, gdy już zaszło słońce, Colette napisała list:

19 września 1920 r.

Drogi Strathamie!

Kiedy zasiadłam do pisania tych słów, Luc udawał, że jest Tobą, wykonując zamach wyimaginowanym kijem bejsbolowym. Potem udawał tego potwornego człowieka, który oślepiony podskakiwał z włosami w ogniu.

Wydaje mi się, że Luc nie przejął się zbytnio naszym porwaniem. Wcale się nie bał. Prawdę mówiąc, jest zły, że chcę wyjechać z Ameryki. Powiedziałabym, że się do mnie nie odzywa, gdyby zρέcznie było coś takiego powiedzieć o chłopcu, który nie mówi.

Czy odkryłeś, kim jest ta dziewczyna, i czy zbadaleś jej szyję? Mam dziwne uczucie, ilekroć o niej myślę. Żałuję, że po prostu nie zdjęłam tego zegarka i nie uciekłam.

Nie uwierzysz mi, Strathamie, kiedy Ci napiszę, jak bardzo nie chcę wyjeżdżać. Opowiedziałam dziewczynie, która mieszka na górze, o mojej podróży do Nowego Jorku: zamach bombowy, porwanie, nożownik, szalona kobieta w kościele. Stwierdziła, że ona umarłaby ze strachu i że na pewno chcę opuścić ten kraj najszybciej, jak się da. Ale nie: chcę zostać.

Tylko że złożyłam ślubowanie i muszę jechać. Wiem, że Ci to nie w smak, ale nikt inny nie budzi we mnie takich uczuć jak Hans. To dla mnie ważniejsze niż wszystko, żeby go zobaczyć, nawet jeśli to będzie tylko ten jeden raz. Przepraszam. Ale może jest Ci wszystko jedno - z Tobą nigdy nie wiadomo.

*Jeśli jednak nie jest Ci wszystko jedno, chcę Cię poprosić
o coś bardzo głupiego - przysługę, którą z trudnością przychodzi mi sformułować.
Jestem najniewdzięczniejszą kobietą na świecie! Proszę, jedź ze mną do Wiednia.
Naprawdę chcę tylko zobaczyć Hansa, jeden raz i nigdy więcej. Cokolwiek się stanie,
będę nosiła w sercu nadzieję, że się tam ze mną wybierzesz. Powiedz, proszę, że tak.*

Łączę wyrazy sympatii

Colette.

W restauracji Delmonico powietrze było jeszcze bardziej gęste od dymu, ale panował mniejszy tłok i nastrój niezbyt szampański. W głównej sali, z widokiem na Piątą Aleję, Littlemore nie zauważył zwykłej tam obfitości brylantowych kolczyków i lśniących kryształów. Tematem rozmów nadal był zamach bombowy, ale u niektórych dyskutantów odbierający mowę szok i przerażenie z 16 września ustąpiły już miejsca jadowej wściekłości.

- Wiecie, co powinniśmy zrobić? - spytał mężczyzna siedzący przy czteroosobowym stoliku. - Strzelać do Włochów, jednego po drugim, dopóki nam nie powiedzą, kto to zrobił.

- Na pewno nie do wszystkich. Henry!

- Dlaczego nie? - ripostował Henry. - Oni nam podkładają bombę, to my ich zabijamy Proste! To jedyny sposób, żeby powstrzymać terrorystę. Uderzyć tam, gdzie zaboli go najbardziej.

- Dlaczego oni tak bardzo nas nienawidzą? - zapytała kobieta stojąca obok Henry'ego.

- Co za różnica?

- Trzeba ich deportować - oświadczył drugi mężczyzna.

- Deportować wszystkich Włochów i skończą się te potworne bomby! Przecież oni i tak niewiele mają do zaoferowania naszemu społeczeństwu.

- A rodzina Delmonico? - zapytała druga kobieta. - Czy oni też nie mają nam niczego do zaoferowania?

- Deportować wszystkich oprócz Delmonico! - krzyknął mężczyzna, podnosząc kieliszek w szyderczym toaście.

- Nie! Mój stek jest przesmażony. Rodzinę Delmonico też trzeba deportować! - krzyknął Henry.

Biesiadnicy wybuchnęli śmiechem. Najwidoczniej nie mieli pojęcia, że restauracja dawno już nie należy do rodziny Delmonico.

Do Littlemore'a podszedł kierownik sali. Detektyw zapytał o pana Jamesa Speyera i został zaprowadzony do wewnętrznego ogrodu, gdzie od sufitu do podłogi rozciągały się witraże. Przy stoliku w rogu siedział samotny mężczyzna około sześćdziesiątki z wciąż czarnymi włosami i smętnymi oczami basseta. Littlemore podszedł do stolika.

- Nazywam się Littlemore - powiedział. - Policja nowojorska. Mogę się przysiąść?

- Nareszcie prawo zaczęło mieć ludzką twarz! - stwierdził Speyer. - Pewnie, proszę siadać. Nikt nie lubi jeść sam

- Speyer mówił z wyraźnym niemieckim akcentem; na stole przed nim stały puste już szklanki i talerze. - Wie pan, co zrobiliście? Zniszczyliście ten lokal!

Pan Speyer był wyraźnie pod wpływem alkoholu.

- Odbylem zabawną rozmowę z kelnerem - ciągnął. - Pytam go, czy mają żółwie. Za nic nie zjadłbym czegoś takiego, ale pytam. Kelner mówi, że nie ma, bo nie da się

ugotować żółwia bez wina. Zamawiam więc befsztyk z polędwicy w sosie bordelaise. A on znowu, że nie ma, bo jest nielegalny I tak jeszcze przez chwilę, aż w końcu go pytam, co jest. To on mi poleca stek Delmonico.

Littlemore milczał.

- Stek! Rozbratel z okiem, wyobraża pan sobie? Zawsze o niego było tu najtrudniej, a teraz tylko to można zamówić, bo cała reszta zniknęła z menu z powodu prohibicji.

- Wie pan, to nie my tworzymy prawo - rzekł Littlemore.

- Chcę panu zadać kilka pytań.

- Dobrze, ale nie tutaj - zgodził się Speyer. - Jeśli pan musi, to chodźmy do mojego auta.

Speyer zapłacił rachunek i wyprowadził detektywa na Czterdziestą Czwartą. Przed wejściem stał zaparkowany srebrny czteroosobowy samochód.

- Ładny, prawda? - spytał Speyer, otwierając tylne drzwi; kierowca włączył silnik. - Pan pierwszy, detektywie.

Littlemore wsiadł do środka. W lusterku wstecznym dostrzegł zdziwione oczy szofera, który się odwrócił i zapytał go, kim jest.

- W porządku. Pan Speyer mnie zaprosił.

- Speyer? A kto to taki? - zdziwił się szofer.

Drzwi, które Speyer uprzejmie otworzył detektywowi, wciąż były otwarte.

- To chyba jakiś żart - powiedział Littlemore nie wiadomo do kogo. Wsiadł z samochodu. James Speyer ulotnił się bez śladu. Zły na siebie Littlemore wrócił do restauracji, żeby wezwać swoich ludzi, Stankiewicza i Roederheusena.

• • •

W poniedziałek rano 20 września Edwin Fischer wysiadł z pociągu na stacji Grand Central eskortowany przez dwóch nowojorskich policjantów. Reporterzy dosłownie wszystkich gazet w mieście czekali na peronie wraz ze sporym tłumem gapiów.

Przystojny jasny blondyn nie zawiódł oczekiwania. Odpowiadał na pytania ze swadą, przypominając członkom tego komitetu powitalnego, że zakazano mu poruszać temat zamachu bombowego. Wyraźnie rozgrzany Fischer zdjął kremową marynarkę, złożył ją starannie i wręczył kompletnie zaskoczonemu policjantowi. Pod spodem nosił drugą - granatową.

- Dlaczego nosi pan dwie marynarki jednocześnie? - krzyknął jeden z reporterów. - Aż tak zimno w Kanadzie?

- Zawsze noszę dwie - odpowiedział Fischer pogodnie i pokazał zgromadzonym pasek granatowych spodni, które nosił pod kremowymi. - Nie tylko marynarki, spodnie też. Dwa garnitury. Zawsze i wszędzie.

Dziennikarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia: wszyscy słyszeli, że Fischer jest wariatem. Jeden z nich zapytał, po co mu dwa garnitury. Ten wyjaśnił, że jako Amerykanin lubi niezobowiązujący strój, lecz jako członek francuskiej służby konsularnej musi być przygotowany na bardziej oficjalne okazje. Następnie z iskrą w oku pokazał wszystkim, że pod tymi dwoma ma jeszcze trzeci strój - z białej bawełny, odpowiedni do uprawiania sportu. Zapytany o powód wyjaśnił, że krótko po tym, jak wygrał otwarte zawody, pewien arogancki typ wyzwał go na pojedynek, ale nie mógł się z nim zmierzyć na korcie, ponieważ nie posiadał odpowiedniego stroju. Wtedy postanowił, że będzie gotowy do gry w każdej chwili.

- Otwarty turniej? - zapytał ktoś z tłumu. - A który?
 - Jak to który? Oczywiście U.S. Open! - odparł Fischer.
- Jego odpowiedź wzbudziła rozbawienie.
- Wygrał pan U.S. Open? - krzyknął ktoś z tłumu.
 - Owszem - odpowiedział Fischer z szerokim uśmiechem. Miał wspaniałe zęby. -

Wielokrotnie.

Śmiechy zrobiły się głośniejsze.

- Ile razy?
- Przestałem liczyć po trzecim - odpowiedział rozradowany.
- Idziemy! - rozkazał jeden z policjantów, wciskając kremową marynarkę z

powrotem w ręce Fischera.

• • •

Ze stacji Grand Central Fischer został zabrany do komendy policji, gdzie mieli go przesłuchać komendant Enright, nadinspektor Lahey oraz zastępca prokuratora okręgowego Talley. Kapitanowie z brygady antyterrorystycznej i wydziału zabójstw, w tym Littlemore, siedzieli na krzesłach pod ścianą. Fischer rzucił każdemu jakieś miłe słowo. Wyjątkowo wylewny był wobec prokuratora: nie tylko powitał go uprzejmie, ale zapytał o zdrowie małżonki.

- Znacie się? - zainteresował się komendant Enright.
- Jesteśmy starymi znajomymi - odpowiedział Fischer.
- Czyż nie, Talley?
- Nigdy nie spotkałem tego człowieka, panie komendancie - stwierdził Talley.
- No proszę - rzucił Fischer, uśmiechając się szeroko i klepiąc Talleya po ramieniu.

- Jak zwykle zartowniś!

Komendant Enright pokręcił głową i rozpoczął przesłuchanie.

- Proszę nam powiedzieć, panie Fischer, skąd pan wiedział, że na Wall Street dojdzie do zamachu bombowego szesnastego września - poprosił.

- Przecież ja tego nie wiedziałem - odparł Fischer. - Wiedziałem tylko, że zamach nastąpi po piętnastym.

- Ale skąd? Skąd pan o tym wiedział?

- Z powietrza.

- Z powietrza?

- Tak. W powietrzu słyszałem głos - skwapliwie wyjaśnił Fischer.

- Czyj głos? - spytał go inspektor Lahey.

- Nie wiem. Może to był jakiś kolega ze służb specjalnych. Bo widzi pan, ja jestem agentem. Tajnym.

- Chwileczkę! - wtrącił prokurator Talley. - Czy my się nie spotkaliśmy rok temu na przyjęciu po przyznaniu nagród nowojorskich?

- Czy się spotkaliśmy? - powtórzył Fischer. - Siedzieliśmy obok siebie przez całą wieczór! Był pan duszą towarzystwa.

- Na litość boską, proszę kontynuować - upomniał ich Enright.

- Kto jest pańskim łącznikiem w służbach specjalnych? - zapytał Lahey.

- Pyta pan o nazwisko? - upewnił się Fischer.

- Tak, proszę podać jego nazwisko.

Fischer rzucił Talleyowi porozumiewawcze spojrzenie, jakby sugerując, że inspektor

Lahey jest albo nie za bardzo zorientowany, albo trochę przygłupi, ale nie wypada tego powiedzieć głośno.

- Na Boga, panie inspektorze! On nie podał mi swojego nazwiska. Jakież byłby z niego pracownik tajnych służb?

- Skąd pan wiedział o zamachu? - ponowił pytanie Talley.

Fischer westchnął.

- Dowiedziałem się o nim z powietrza.

- Może ma pan na myśli komunikację bezprzewodową?

- wtrącił Lahey.

- Chodzi panu o radio? Nie wydaje mi się. Mam bliski kontakt z Bogiem. Ale nie wszystkim się to podoba.

Po dwóch i pół godziny komendant Enright zakończył przesłuchanie, które nie wniosło do sprawy niczego nowego. Fischer został odwieziony do zakładu dla obłąkanych.

• • •

Littlemore dorwał prokuratora Talleya, zanim ten opuścił gmach policji, i zapytał, czy jest zgodne z prawem stacjonowanie jednostek armii Stanów Zjednoczonych na ulicach Manhattanu.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Talley.

- Nigdy wcześniej nie widziałem w mieście piechoty - stwierdził Littlemore. - Wydawało mi się, że gwardię narodową i wojsko można wezwać tylko za zgodą gubernatora.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Talley. - To kwestia prawa federalnego. Niech pan spyta ludzi Flynn'a. Na pewno będą wiedzieli.

Littlemore wrócił do siebie. Zirytowany chodził po gabinecie tam i z powrotem. Po chwili zakręcił korbką telefonu.

- Połącz mnie ze Stołecznym Związkiem Tenisa, Rosie

- polecił telefonistce.

Jak tylko Littlemore odłożył słuchawkę, do gabinetu wsunął głowę Stankiewicz ze stosem papierów w garści.

- Ostateczna lista ofiar, panie kapitanie - powiedział Stankiewicz. - Chce pan obejrzeć, zanim opublikujemy?

Littlemore przekartkował nierówno wystukany na maszynie dokument, w którym widniały nazwiska, adresy, wiek zabitych oraz rannych w zamachu z szesnastego września, każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka. Jeśli ofiara była zatrudniona, uwzględniono także miejsce pracy. Kartka po kartce - setki nazwisk. Littlemore zamknął oczy. Otworzył je, usłyszawszy pukanie do drzwi. Pokazał się w nich Roederheusen.

- Znalazłem statek Speyera, panie kapitanie - zameldował Roederheusen, nieogolony i z czerwonymi oczami. - James Speyer zarezerwował miejsce na Imperatorze wypływającym do Niemiec jutro o dziewiątej trzydzieści rano. Na własne oczy widziałem jego nazwisko na liście pasażerów.

- Dobra robota, Spanky.

Stankiewicz spojrzał pytająco na Roederheusena.

- Teraz jestem Spanky - wyjaśnił mu z dumą Roederheusen.

Littlemore potarł oczy i zwrócił listę ofiar Stankiewiczowi, pokazując mu gestem, że może już iść.

- Co kombinuje Speyer? - zapytał Roederheusena.

- Nic, panie kapitanie - odparł policjant. - Nie wychodził z domu przez całą noc. Rano o ósmej trzydzieści poszedł do pracy. Spędził tam cały dzień.

- Kto go teraz pilnuje? - Littlemore podszedł do drzwi i krzyknął: - Hej, Stanky! Wracaj tutaj! Chcę jeszcze raz zerknąć na tę listę.

Zadzwonił telefon.

- Dwaj policjanci z tamtego rewiru - odpowiedział Roederheusen, kiedy Stankiewicz ponownie wchodził do gabinetu. - Mam ich zdjąć?

Littlemore odebrał telefon. Rosie poinformowała, że na linii jest wiceprzewodniczący Stołecznego Związku Tenisa.

- Połącz - Littlemore wziął od Stankiewicza listę. Do Roederheusena powiedział: - Nie. Dopilnuj, żeby przez cały dzień ktoś miał oko na Speyera. Chcę znać każdy jego krok.

A jeśli nigdzie się nie ruszy, to masz na mnie czekać jutro o piątej rano przed jego domem. Słyszysz? O piątej. A teraz idź do domu i trochę się prześpij. - Littlemore wetknął słuchawkę między policzek a ramię, żeby swobodnie przeglądać przeznaczoną dla urzędników rządowych listę ofiar. - Gdzie jest ten facet z Departamentu Skarbu, Stanky? W budynku znalazłem zwłoki agenta.

- Halo? - zaskrzeczał w słuchawce męski głos.

- Jak go nie ma na liście, to nie zginął, panie kapitanie - stwierdził Stankiewicz.

- Proszę się nie rozłączać - rzucił do słuchawki Littlemore. - Wiesz co, Stanky? Lepiej dzisiaj ze mną nie dyskutuj. Idź i sprawdź na odręcznej liście.

- Na odręcznej?

- Halo? - dobiegł zniecierpliwiony głos ze słuchawki.

- Proszę się nie rozłączać - powtórzył Littlemore, po czym zwrócił się do Stankiewicza: - Mam przeliterować? Ty i Spanky robiliście fiszki każdej ofiary. Kazałem ci przygotować na ich podstawie listę. Napisałeś tę listę, a ja ją widziałem. Potem dałem ci to wszystko do przepisania. Ta lista została napisana na maszynie, a ja każę ci sprawdzić na wykonanej odręcznej liście. Zrozumiałeś? Nazwisko tego mężczyzny z budynku skarbowego zaczynało się na „r”. Widziałem je na jego odznace. Sprawdź przy okazji, czy oprócz niego nie pominąłeś jeszcze kogoś.

- Ktoś tam jest? - padło pytanie ze słuchawki.

- Tylko że tej listy już nie ma, panie kapitanie - stwierdził Stankiewicz.

- Niech pan zostanie na linii, do cholery! - wrzasnął Littlemore do telefonu.

Spojrzał na Stankiewicza. - Jak to nie ma?

Stankiewicz nie odpowiedział.

- Świetnie, Stanky, wyrzuciłeś listę odręczną! Doskonała robota! A fiszki? Tylko mi nie mów, że wyrzuciłeś także fiszki.

- Chyba nie, panie kapitanie.

- Lepiej, żebyś je miał, bo inaczej od poniedziałku lądujesz z powrotem na ulicach. Przejrzyj każdą fiszkę po kolei. Chcę mieć pewność, że na liście są wszyscy!

Dopiero kiedy został sam w gabinecie, Littlemore przedstawił się wiceprezesowi związku tenisowego i zapytał go, czy Edwin Fischer kiedykolwiek wygrał turniej U.S. Open.

- Edwin Fischer? Ten, o którym piszą dzisiaj wszystkie gazety? - upewniał się skrzeczący głos.

- Ten sam - potwierdził Littlemore.

- Czy kiedyś wygrał United States Open?

- O to właśnie pytam.

- Oczywiście, że wygrał - stwierdził wiceprzewodniczący.

- Ile razy?

- Ile razy?

- Dobrze, to ja odpowiem - powiedział detektyw. - Więcej niż trzy.

- O tak, co najmniej cztery razy. Debel mieszany To chyba rekord. Był wtedy dziewiąty w kraju. Nadal ma najlepsze uderzenie znad głowy. Skąd on właściwie wiedział o zamachu?

Littlemore odłożył słuchawkę. Do jego gabinetu wszedł posłaniec i wręczył mu paczkę z odręcznym raportem oraz kopertą. W kopercie znajdował się mały biały ząb, przełamany równo na dwie części.

• • •

Po południu Littlemore spotkał się z Youngerem na obiedzie. Przy kwaśnej kawie poinformował go, że rudowłosa dziewczyna w szpitalu Bellevue nadal nie odzyskała przytomności.

- Powinna już się wybudzić - stwierdził Younger. - Nie została postrzelona w głowę. Czaszka nie jest uszkodzona.

- Co z jej głosem? - zapytał Littlemore. - Colette twierdzi, że przypominał głos mężczyzny.

- Guz na szyi zapewne naruszył struny głosowe. Wczoraj zrobiłem jej prześwietlenie.

- Jakim cudem ci się udało?

Na to pytanie Younger nie odpowiedział.

- Promienie nie prześwietliły guza - ciągnął. - Szczerze mówiąc, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jadę jutro do New Haven, żeby zapytać Colette, co sądzi o tych zdjęciach.

- Do New Haven? - zapytał Littlemore. - Nie wolno ci opuszczać stanu, doktorze. Korzystasz z wolności za kaucją. Postawiono ci zarzut ciężkiego przestępstwa. Czyżbyś zapomniał?

Younger skinął głową, najwyraźniej jednak niewzruszony tym argumentem.

- To poważna sprawa - dodał Littlemore. - Mogą cię wsadzić za złamanie warunków zwolnienia za kaucją.

- Będę to miał na uwadze.

- Powiem tak: jeśli pojedziesz, to nie chcę o tym wiedzieć. I cokolwiek zdecydujesz, masz się za kilka miesięcy stawić w sądzie na wyznaczonej rozprawie.

- Dlaczego?

- Ponieważ to ja podpisałem zobowiązanie, na litość boską! Jeśli się nie stawisz, zajmą mi konto w banku i wszystko, co posiadam, żeby ściągnąć kaucję. Na dodatek zapewne wylecę z pracy, ponieważ policjant nie powinien wyciągać swojego koleżki z pudła, a co dopiero, jeśli koleżka daje dyla. Jasne? Swoją drogą, od kiedy to przestałeś przestrzegać prawa?

- Przypuśćmy, że masz za chwilę zginąć podczas burzy i widzisz stodołę, w której możesz się schronić - odparł Younger. - Czy zostajesz na dworze i umierasz, czy włamujesz się do środka, choć to wbrew prawu?
- Oczywiście, że się włamuję - stwierdził Littlemore. - Jeśli jestem na odludziu.
- Odludzie jest wszędzie.
- Nic dziwnego, że panienka chce wracać do Europy. Jesteś taki radosny! A właśnie, mam dla ciebie wiadomość. Pamiętasz dziewczynę bez głowy z Wall Street? Nie zidentyfikowali jej. Zniknęła z kostnicy. Ciało, głowa, wszystko.
- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi.
- Ale przynajmniej zdążyli zrobić autopsję. Wyobraź sobie, że nie miała zęba trzonowego. Ściślej rzecz biorąc, kilku zębów trzonowych. To żaden dowód, ale powiedziałbym, że znaleźliśmy twoją Amelię. A właściwie znaleźliśmy i zaraz zgubiliśmy. - Detektyw wyjął lupę i dwie małe połówki zęba w chusteczce, którą rozłożył na stole. Pozwolił Youngerowi obejrzeć je przez szkło powiększające. - To ząb, który Amelia zostawiła dla panienki w hotelu. Widzisz te dziury?

W miejscu, gdzie ząb przepiłowany został na dwoje, wewnętrzną stroną emalii i zębinę pokrywały małe pęcherzyki albo pory przypominające blizny.

- Próchnica? - spytał Younger.
- Co to jest?
- Choroba zębów.
- Nie. Dentyści orzekli, że to nie może być zmiana chorobowa, ponieważ od zewnątrz ząb jest nienaruszony. Nie ma nawet przebarwień. Wygląda na to, że ząb został wyżarty od środka.

• • •

List Colette dotarł do pokoju hotelowego Youngera następnego ranka. Przeczytał go, leżąc w łóżku. Jej słowa wywołały w nim falę sprzecznych uczuć. Chciał jechać z Colette do Wiednia, a jednocześnie gardził sobą z tego powodu.

Jaki mężczyzna towarzyszyłby dziewczynie na drugi koniec świata, żeby pomóc jej odnaleźć dawnego kochanka? Wyobraził sobie, jak się uśmiecha, kiedy jest przedstawiany Hansowi Gruberowi. Poczul do siebie odrazę. Co właściwie miałby robić w Wiedniu? I dlaczego chciała, żeby tam pojechał?

Przyszło mu na myśl, że ona wcale nie jego tam potrzebuje: prawdziwy powód zaproszenia jest zwyczajnie taki, że Colette nie ma pieniędzy na podróż. Długo gapił się w sufit. Nie, na pewno nie. Colette nigdy by się nie posunęła do tego, żeby go wykorzystać dla pieniędzy. To niemożliwe.

Zadał sobie jednak pytanie, jak sama zdołałaby pokryć koszty tej podróży. Odpowiedź była oczywista, bo przecież Colette nie miała żadnych środków.

ROZDZIAŁ

Dziesiąty

Na rogu Piątej Alei i ulicy Osiemdziesiątej Szóstej, o rzut kamieniem od Metropolitan Museum of Art, stała wspaniała rezydencja w stylu klasycznym. We wtorek rano przed wschodem słońca Littlemore polecił Roederheusenowi obstawić tyły budynku, podczas gdy sam podszedł do drzwi frontowych.

W domu nic się nie działo. O tej porze na Piątej Alei panował spokój; turkotał tylko samotny omnibus. Przecznice dalej, bliżej parku, stała limuzyna z włączonym silnikiem. Littlemore zastanawiał się, czy to nie samochód Speyera czekający, by go zawieźć do portu.

Littlemore zadzwonił do drzwi frontowych. Potem jeszcze raz, ponieważ nikt nie zareagował. W końcu usłyszał czyjeś kroki wewnątrz. Zapaliło się światło w przedsionku.

- Kto tam? - krzyknął zza drzwi męski głos z niemieckim akcentem, który Littlemore słyszał w restauracji Delmonico.

Najlepszym cockneyem, na jaki było go stać (a miejską gwarą Londynu władał całkiem nieźle), Littlemore spytał:

- Czy jest w domu pan Speyer? Który płynie dziś Imperatorem? Mam wiadomość od kapitana.

Imperator był statkiem brytyjskim i miał angielską załogę.

- Od kapitana? - Speyer otworzył drzwi.

- Tak - Littlemore wtargnął do środka. - Kapitana policji, którego łatwowierność wykorzystał pan w niedzielę.

Speyer, w bordowym płaszczu kąpielowym z atłasu związanym paskiem w talii, cofnął się o krok.

- Źle pana potraktowałem. Proszę o wybaczenie.

- Odwrócić się! - rozkazał Littlemore.

Speyer zastosował się do polecenia.

- Proszę, żeby mi pan wybaczył.

Littlemore brzęknął kajdankami za plecami Speyera.

- Niech mi pan poda jeden powód, żebym pana nie zawiózł na komendę za ucieczkę przed funkcjonariuszem policji.

- Oszukałem pana. Proszę mi wybaczyć.

- Skończ pan z tym przeproszaniem, dobrze? - Littlemore skuł Speyera.

- Przepraszam - powiedział Speyer. - Prosiłem aż trzy razy. Ile pan chce? Dam panu wszystko.

- A teraz jeszcze próba przekupienia funkcjonariusza. To kolejnych pięć lat w pudle.

- Proszę mi wybaczyć. Przypuszczałem, że chce pan coś ode mnie wyciągnąć.

Żeby się opłacił.

- Wyciągnąć, powiada pan. Jak na Niemca całkiem niezłe zna pan potoczny język. Co takiego pan zbroił, za co mógłbym coś od pana wyciągnąć?

- Nie jestem Niemcem - zaprzeczył Speyer z twardym niemieckim akcentem. - Urodziłem się w tym mieście. Jestem Amerykaninem, tak samo jak pan.

- Oczywiście - stwierdził detektyw - Dlatego finansował pan armię niemiecką mimo to, że przystąpiliśmy do wojny.

- Nie ja, tylko moi krewni, którzy mieszkają we Frankfurcie. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Dlaczego w takim razie pański kolega kajzer odznaczył pana Orderem Czerwonego Orła?

- To było w tysiąc dziewięćset dwunastym - zaprotestował Speyer. - A jeśli ten order czyni z człowieka zdrajcę, to niech pan aresztuje też J. P. Morgana. On także został odznaczony.

Po raz pierwszy Littlemore był zaskoczony.

- Morgan?

- Tak. Dostał order rok wcześniej niż ja.

- Skoro jest pan takim patriotą, to dlaczego wymyka się pan z kraju?

- Wymykam się? Jadę do Hamburga, żeby podpisać kilka ważnych umów. Będę z powrotem ósmego października.

- Proszę mi pokazać te kontrakty - zażądał Littlemore.

- I bilet powrotny.

- Wszystko jest w walizce. Na stole w jadalni.

Popychając Speyera przed sobą, Littlemore wszedł do jadalni przeładowanej ozdobami, z freskiem w stylu Michała Anioła na suficie. Obrazy olejne, duże i małe, zdobiły ściany. Detektyw zatrzymał się przed małym portretem, tak ciemnym, że najpierw nie potrafił określić, co przedstawia; dopiero po chwili dostrzegł starca, który miał rumianą twarz i wory pod oczami.

- Ten musi być wart niezłe pieniądze, skoro nawet go nie widać. Po ile chodzi takie małe coś?

- Wie pan, czym jest to małe coś, kapitanie? - zapytał Speyer.

- To Rembrandt.

Teraz Speyer był zaskoczony.

- Widziałem taki sam w muzeum - dodał Littlemore.

- Zapłaciłem za niego ćwierć miliona dolarów.

Littlemore gwizdnął. Na prostokątnym stole, dość długim, by zasiadło przy nim dwadzieścia osób, leżała otwarta walizka. Wewnątrz znajdowała się sarta obligacji i poręczeń po angielsku, hiszpańsku i niemiecku. Littlemore przejrzał wszystkie.

- Kto namalował ten wielki obraz za mną? - zapytał, nie odrywając wzroku od dokumentów. - Ten portret Jamesa Speyera?

- Chłopiec z Lower East Side. Studiuje w Eldridge University Settlement. To jedna ze szkół, które finansuje.

Kontrakty opiewały na gigantyczną sumę pieniędzy, która chyba miała przepłynąć do meksykańskiego banku, zapewne należącego do Jamesa Speyera. Littlemore znalazł także amerykański paszport i bilet linii Cunarda na statek White Star wypływający z Hamburga do Nowego Jorku pierwszego października.

- Nie sądzi pan, że to trochę zbyt wiele, jak na konsekwencje jednej butelki wina, kapitanie? - rzucił Speyer.
- Jakiej butelki wina?
- Tej, którą wypłem w Delmonico. Czy nie dlatego podszedł pan do mojego stolika? Nie z tego powodu jest pan teraz tutaj?
- Przestrzeganiem prohibicji zajmuje się inny wydział - odparł detektyw. - Niech się upewnię: chce mi pan powiedzieć, że w Delmonico uciekł pan przede mną, żebym nie aresztował pana za picie alkoholu?
- Tak.
- I co, myślał pan, że tak po prostu odpuściłem?
- Nie miałem pojęcia, że pan wie, kim jestem - wyjaśnił Speyer. - Ale skoro pan wie, to należy się też panu ostrzeżenie. Jestem bogaty, a bogaci ludzie mogą uprzykrzyć życie policjantowi, który im sprawia kłopoty.
- Niech pan mi tu nie wciska głodnych kawałków. Jest pan bankrutem, Speyer. Musiał pan niedawno sprzedać dwa duże obrazy. Odprawił pan nawet długoletnich służących.
- Speyer patrzył na detektywa ze zdziwieniem.
- Skąd pan wie?
- Po prostu korzystam z oczu - Littlemore wskazał ręką dwa miejsca na ścianie, gdzie jaśniejsze prostokąty tapety sugerowały, że niedawno wisiały tam dwa większe obrazy. - Nie otworzyłby mi pan drzwi sam, gdyby nadal była tu służba, którą człowiek mieszkający w takim domu powinien trzymać. Powiedziałbym, że próbuje pan zachować pozory, Speyer. Sytuacja staje się rozpaczliwa. Dlaczego nie sprzeda pan tego Rembrandta?
- Nastąpiła długa cisza.
- Nie mógłbym się go pozbyć - wyznał w końcu Speyer.
- Czego pan ode mnie chce?
- Policja zabezpiecza imprezy z udziałem kandydatów na prezydenta - skłamał Littlemore. - Mamy swoich ludzi po cywilnemu na każdym spotkaniu. Podczas obiadu słyszano, jak groził pan J. P. Morganowi.
- Absurd!
- Czyli nie mówił pan partnerowi Morgana, żeby się miał na baczności, skoro jego firma zmagania się z innymi, żeby odmówić panu kredytu?
- Co takiego? Nie groziłem Lamontowi. Ja go ostrzegałem.
- Może się pan zdziwi, panie Speyer, ale w prawie nie istnieje precyzyjne rozróżnienie groźby od ostrzeżenia.
- Nie rozumie pan. Ostrzegałem Lamonta przed Meksykanami. Mimo tego wszystkiego, co Morgan mi zrobił. Interesy finansowe Meksyku reprezentuje nowy człowiek, i to on straszyl. Składał najdziwniejsze deklaracje na temat tego, co się stanie z Bankiem Morgana i z samym Morganem, jeśli nie zniosą embarga.
- Jakiego embarga?
- Morgan nałożył embargo na Meksyk. Na pewno wie pan o zaległych płatnościach?
- Nie.
- Speyer pokręcił głową.
- Od czego mam zacząć? Dwadzieścia lat temu stary J. P. Morgan przejął całe

zadłużenie Meksyku. Wielkie ryzyko, niebywałe w historii amerykańskich banków. To było odważne posunięcie. Ale wszystko szło dobrze przez długi czas. Morgan zbił na tym fortunę. Potem jednak w Meksyku wybuchła rewolucja i w tysiąc dziewięćset cztertnastym roku Meksykanie odmówili spłaty. Od tamtej pory nie zapłacili im ani centa. Dziś są winni setki milionów dolarów samych odsetek. Morgan naciskał na wszystkie banki, żeby nie pożyczaly pieniędzy Meksykowi, dopóki to państwo nie spłaci starych długów.

- Co w tym niewłaściwego? - zdziwił się Littlemore.

- Niewłaściwego? W bankowości nie ma rzeczy ani właściwych, ani niewłaściwych. Są tylko transakcje: dobre i złe. Morgan nie dostrzegł nadchodzącej rewolucji. Właśnie dlatego jego ludzie są tak stuknięci na moim punkcie.

- Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć.

Speyer wziął głęboki oddech.

- Ja stawiam na rewolucjonistów. Łamię embargo. Jedynie ja. Lamont wie, że mam zorganizowane fundusze, ale nie wie, skąd wziąłem pieniądze. Właśnie dlatego uciekłem panu w niedzielę. Nie mogłem ryzykować, że mnie pan zamknie. Nie mogę sobie pozwolić na opóźnienie. Na rozgłos też nie. - Speyer usiadł niezgrabnie, wciąż ze skutymi z tyłu rękami. - Lamont wie, że dostanę te pieniądze i natychmiast pożyczę je Meksykanom. Zrobiłby wszystko, żeby mnie powstrzymać.

Littlemore się zastanawiał:

- Skoro Meksykanów nie stać na spłacenie Morgana, to dlaczego chce pan pożyczać im pieniądze?

- Oczywiście, że ich stać! Mają koleje. Mają srebro. Ale przede wszystkim mają ropę. Więcej ropy niż ktokolwiek na ziemi. Muszę odbyć tę podróż, kapitanie. To moja ostatnia szansa. Moja żona jest bardzo chora. Jeśli nie wsiądę na pokład Imperatora, to stracę wszystko. Daję panu słowo, że wrócę ósmego. Mogę też dać jakieś dodatkowe zabezpieczenie.

- Na przykład jakie?

- Każde. Pan decyduje.

Littlemore zdecydował. Speyer z trudem przełknął ślinę.

Tego samego ranka Younger wysłał Colette odpowiedź na jej prośbę o wspólną podróż do Wiednia. Jego listu nie dałoby się uznać za przesadnie wylewny:

21 września 1920 roku

Nie.

Stratham.

• • •

Gdy znów znalazł się na Piątej Alei, Littlemore pozwolił Roederhausenowi usiąść za kierownicą: ręce miał zajęte prostokątnym przedmiotem owiniętym w gruby koc. Kiedy Roederhausen zapytał, co to takiego, Littlemore odparł krótko, że to gwarancja na ćwierć miliona dolarów.

Kiedy odjeżdżali, detektyw zauważył, że limuzyna sprzed parku także rusza, ale w przeciwnym kierunku.

• • •

Ponieważ było jeszcze wcześnie, Littlemore postanowił poświęcić godzinę na

poszukiwania w bibliotece prawniczej. Bibliotekarka z chęcią zaoferowała mu pomoc, ale o meandrach prawa wiedziała mniej niż detektyw. Nie znaleźli niczego.

Telefon dzwonił, kiedy Littlemore wchodził do swojego gabinetu. Rosie poinformowała go, że na linii jest pan Lamont i że wydzwania od samego rana.

- Rozmawiał pan ze Speyerem? - zapytał Lamont, kiedy telefonistka go połączyła.
- Przecież pan wie, że tak, Lamont. Pański człowiek obserwował jego dom.
- No cóż, musimy dogłądać własnych spraw. Dowiedział się pan czegoś?
- Owszem. Dowiedziałem się, że firma J. P. Morgan mnie wykorzystała. Miał pan nadzieję, że zamknę Speyera albo przynajmniej zatrzymam go na kilka dni, dzięki czemu

nie zdobędzie za granicą pieniędzy, które chce pożyczyć Meksykanom.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Speyer powiedział panu o Meksyku? - spytał Lamont.
- Tak.
- Co dokładnie powiedział?
- Wystarczająco dużo - odparł Littlemore.

- Próbujemy pomóc Meksykowi, kapitanie. Kraj nie może tak po prostu odmówić spłaty długu. Zaprzepaści swoje szanse na przyszłość, jeśli będzie działał tak krótkowzrocznie. Dług jest świętym zobowiązaniem. Speyer i jemu podobni nie potrafią tego zrozumieć. Dla niego dług to tylko pieniądze.

- Gdy tymczasem dla pana to religia - rzekł Littlemore.
- Zaoferowałem panu pomoc, Lamont, a pan postanowił się mną posłużyć.
- Przysięgam panu, kapitanie, że nie takie miałem intencje. Interesuje mnie wyłącznie to, czy moja firma została zaatakowana, a jeśli tak - to przez kogo.
- Nie wierzę w to, że Speyer miał coś wspólnego z zamachem. Pan też w to nie wierzy.

- Ale ten człowiek mi groził. Właściwie mnie ostrzegł, że gotów jest się odwołać do przemocy. Czy pytał pan go o to?

- To nie była groźba. Próbował pana ostrzec przed nowym szefem finansów Meksyku, zapewne tym właśnie, który szukał pana w klubie tamtego wieczoru.

- Przed Pesqueirą? Co on knuje?
- Nie wiem, panie Lamont. To pańska sprawa, nie moja.
- Nie może pan pozwolić, żeby Speyer wyjechał z kraju, kapitanie. Co będzie, jeśli nie wróci?

W tym momencie w drzwiach pojawiła się głowa Stankiewicza.

- Kapitanie - wydyszał. - Biuro...

Littlemore uciszył go gestem dłoni.

- Wróci - powiedział do Lamonta i rozłączył się. - Co jest, Stanky?
- Federalni znaleźli faceta, który podkuwał konia zaprzęgniętego do wozu

zamachowców - zameldował Stankiewicz.

- Podobno woźnicą był Carl Tresca. Flynn ma zamiar ogłosić to dziennikarzom za dziesięć minut.

- Gdzie? - Littlemore chwycił słomkowy kapelusz i marynarkę.
- Przed Departamentem Skarbu.
- Idź po tę podkowę - polecił Littlemore, wychodząc z gabinetu. - I przynieś mi ją

tam.

•••

Na schodach budynku delegatury Departamentu Skarbu, mając za plecami pomnik Jerzego Waszyngtona i zastęp żołnierzy po bokach, Duży Bill Flynn z Biura Śledczego obejmował ramieniem siwego robotnika w poplamionym olejem fartuchu. Zwracając się do grupki reporterów i fotografów, Flynn złożył następujące oświadczenie:

- Osiągnęliśmy istotny przełom w śledztwie. Ten oto uczciwy Amerykanin to pan John Haggerty, stajenny od ponad czterdziestu lat, który zajmuje się podkuwaniem koni, odnaleziony przez agentów Biura Śledczego pod moim osobistym dowództwem. Szykujcie pióra, chłopcy, bo zaraz dostaniecie całą tę historię. Mniej więcej pierwszego tego miesiąca w stajni pana Haggerty'ego przy New Chambers Street pojawił się mężczyzna z wozem ciągniętym przez konia. Konia trzeba było podkuć, a koła wozu wymagały wymiany obręczy. Wóz miał nietypowe mosiężne pierścienie, takie same jak te, które znaleźliśmy tu na placu po wybuchu. Pan Haggerty podkuł konia podkawkami numer cztery, używając do tego haceli z główką w kształcie koniczyny oraz podkładek firmy Niagara. Wszystko to zgadza się z dowodami rzeczowymi, które znaleźliśmy na miejscu wybuchu.

- Oni tego nie znaleźli, panie kapitanie - szepnął Stankiewicz. - Dostali od nas. Littlemore gestem nakazał mu milczenie.

- Innymi słowy, koń i wóz, które obsługiwał pan Haggerty trzy tygodnie temu, to ten sam koń i wóz, które anarchiści wykorzystali do transportu materiałów wybuchowych szesnastego września. Osobnik, który przyprowadził tego konia do stajni pana Haggerty'ego, miał mniej więcej metr siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, był drobnej budowy, nieogolony i brudny. Wyglądał niechlujnie. Czy tak, panie Haggerty?

Stajenny z powagą skinął głową.

- A oto prawdziwa sensacja, chłopcy - zwrócił się do dziennikarzy Flynn. - Ten osobnik był Włochem, który się przedstawił, podając nazwisko brzmiące podobnie do Trescati albo Trescare. Tak było, panie Haggerty?

- Niewykluczone.

- Niewykluczone? - powtórzył szeptem Stankiewicz.

- Ćś - syknął Littlemore.

- Inaczej mówiąc - ciągnął Flynn - z opisu wynika, że ten osobnik to Carl Tresca albo ktoś podobny do niego jak dwie krople wody, dokładnie tak, jak mówiłem od samego początku. A teraz, chłopcy, możecie nas fotografować.

Flynn uścisnął dłoń Haggerty'ego. Pstryknęły aparaty fotograficzne. Dziennikarze pytali stajennego o wiek (sześćdziesiąt cztery lata), co jeszcze ma do powiedzenia o zleceniodawcy (bardzo niewiele) i tak dalej. Odpowiadał monosylabami, do każdego dziennikarza zwracając się „proszę pana”. Po chwili Flynn zakończył konferencję i zamierzał odejść razem ze stajennym.

- Panie Haggerty - krzyknął Littlemore. - Należy pan do związku zawodowego?

- Konferencja zakończona - wrzasnął Flynn, rozpoznając detektywa. - Żadnych więcej pytań.

- Ależ, panie dyrektorze, pan Haggerty na pewno należy do cechu kowali i stajennych - Littlemore zrobił niewinną minę. - Wszyscy wiedzą, że na podkawkach tego konia były symbole związkowe. Podawały to sobotnie gazety, prawda, panowie?

Reporterzy potakiwali, że tak w istocie było.

Flynn odchrząknął.

- No proszę, detektyw z nowojorskiej policji sprawdza Biuro Śledcze? To coś nowego. Jak idzie badanie wątku Fischera, panie policjancie? Czy słyszał ostatnio jakieś głosy z powietrza?

Kilku reporterów się roześmiało.

- Panie Haggerty, ten policjant chce wiedzieć, czy pański warsztat należy do cechu - powiedział Flynn. - Należy?

- Tak, proszę pana, do cechu kowali i stajennych - odpowiedział Haggerty.

- Czyli znakuje pan swoje podkowy symbolem cechu? - kontynuował Flynn.

- Tak, proszę pana. Każdą.

Flynn uśmiechnął się szeroko.

- Czy Policja Nowego Jorku przygotowała jeszcze jakieś inne błyskotliwe pytania?

- Tylko jedno - Littlemore wystąpił przed tłum ze związaną szpagatem numerowaną płócienną torbą na dowody rzeczowe. - Chciałbym pokazać panu Haggerty'emu podkowę, którą wyjęliśmy z krateru po bombie. Powie nam, czy oznakowanie tej podkowy pasuje do używanego w jego stajni.

Reporterzy ucichli. Flynn się wahał. Wyraźnie chciał odprowadzić już Haggerty'ego, nie zamierzał jednak wzbudzać podejrzeń, że boi się o zeznania własnego świadka, i to kazało mu zostać na miejscu.

Littlemore rozwiązał torbę i wręczył podkowę stajennemu.

- Widzi pan znak cechu na podkowie, prawda, panie Haggerty? - zapytał detektyw.

- Tak, proszę pana. Takiego samego używam w warsztacie.

- Sami widzicie! - wykrzyknął triumfalnie Flynn, biorąc podkowę z rąk stajennego.

- Rekwiruję to jako dowód Biura Śledczego. A teraz idziemy Zgłodniałem.

- To oznacza, panie Haggerty, że podkowa, którą trzyma teraz dyrektor Flynn, ta znaleziona w miejscu wybuchu bomby, nie jest tą, którą podkuł pan konia trzy tygodnie temu - ciągnął Littlemore głośno, tak by wszyscy go słyszeli. - Mam rację?

- Tak, proszę pana. Ma pan rację - przytaknął Haggerty.

Wśród reporterów zapanował chaos. Flynn krzyknął:

- Co on wygaduje? Przecież symbol jest taki sam!

- Znak cechu na podkowach - wyjaśnił Littlemore - ściera się błyskawicznie.

Dosłownie po kilku godzinach ledwie go widać. Tymczasem na tej podkowie jest bardzo wyraźny. Koń, który przyciągnął wóz z bombą na Wall Street, został podkuty w dniu zamachu, najwyżej dzień wcześniej. A nie trzy tygodnie temu. Mam rację, panie Haggerty?

- Tak, proszę pana.

• • •

Następnego wieczoru Younger spotkał się z Littlemore'em w obskurnym portowym barze na zrujnowanym nabrzeżu, gdzie szczury grzebały w stertach śmieci bez ograniczeń, ale detektyw musiał oddać paszport, żeby go wpuszczono. Wewnątrz dym był tak gęsty, a oświetlenie tak słabe, że Younger z ledwością dostrzegł bar.

- Mają zapadnię na zapleczu - powiedział Littlemore, gdy zajmowali mały stolik w ciemnym kącie sali. - Otwiera się prosto na wodę. W razie policyjnego nalotu zrzucają cały alkohol prosto do łodzi, po czym łajba znika. Gliniarze nigdy niczego tu nie znajdują. Kiedy jest przyływ, zrzucają towar prosto do wody. Potem wyjmują go nurkowie.

- Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, żebyś łamał prawo - stwierdził Younger.

- Teraz też nie łamię - stwierdził Littlemore. - Piję ziółka.
- Dlaczego więc tu jesteśmy?
- Żebyś ty mógł się napić - wyjaśnił detektyw. - Wygląda na to, że kropelka ci nie zaszkodzi.

Younger przemyślał jego propozycję i uznał ją za trafną. Od samego rana sprawdzał w recepcji, czy nie przyszedł list albo depesza od Colette. Za każdym razem odpowiadano, że nie ma dla niego żadnych wiadomości, a on wściekał się na siebie, że zależy mu na tej dziewczynie.

Littlemore zamówił napój bez alkoholu, a Younger whisky. Kelner przyniósł mu nieotwartą butelkę pojemności trzy czwarte litra z dodatkami - kawałkami lodu w naczyniu i wodą sodową.

- Nalej sobie, a potem włóż butelkę do kieszeni płaszcza - poinstruował go Littlemore. - Jeśli pojawią się przedstawiciele prawa, właściciele lokalu stwierdzą, że podali tylko sodę i nic nie poradzą na to, że klienci przynoszą ze sobą alkohol.

Younger nalał sobie podwójną. On i Littlemore wznieśli szklanki w milczącym toaście. Younger czuł się niezręcznie z butelką whisky w kieszeni - jeśli rzeczywiście była to whisky, w co wątpił, ponieważ smakiem przypominała samogon. Opróżnił szklankę i nalał sobie ponownie.

- Podejrzana buda, ale podoba mi się ta atmosfera - powiedział.

Przy barze zgarbieni nad drinkami mężczyźni rozmawiali przyciszonym głosem. Nawet barman był małomówny. Samotna kobieta w boa powoli sączyła koktajl przy końcu bufetu; nikt do niej nie podchodził. Mężczyzna pilnujący drzwi bawił się kartami, tasując je wciąż od nowa na blacie stolika.

- To samo w całym mieście - stwierdził Littlemore. - Ludzie nie otrząsnęli się jeszcze po zamachu. Nie boją się tylko w jednym miejscu: w Klubie Bankierów i Brokerów. Świetnie się bawili, kiedy tam zaszedłem kilka dni temu. Mam wrażenie, że odetchnęli z ulgą, że nie im się dostało. Nie zgadniesz! Dzisiaj do Bellevue przyszedł doktor po dwugłową. Słyszał o strzelaninie w kościele i rozpoznał ją po opisie. Nazywa się Quinta McDonald. Dowiedziałem się, co jej dolega. Co prawda doktor się upierał, że to tajemnica, ale jakoś ją z niego wyciągnąłem. Ona cierpi na syfilis. Czy syfilis może wywoływać narośle na ciele?

- W trzecim stadium owszem - zgodził się Younger. Zastanowił się nad tym. - Mógł też spowodować demencję.

- Tak właśnie twierdził ten doktor. Że syfilis opanował jej mózg, powodując urojenia.

- Kilka lat temu prowadziłem badania nad demencją syfilityczną. Jeśli rzeczywiście to jej dolega, nie ma szans na wyjście z tego, bo nie odkryto jeszcze lekarstwa.

- Wiesz, o czym myślę? - zapytał Littlemore. - Może panienska Colette nie ma się już czego obawiać.

- Jak to?

- Zacznijmy od Amelii, tej, która zostawiła ząb w recepcji hotelu. Przypuśćmy, że Amelia ma jakieś kłopoty i postanawia przekazać ząb komuś, kogo zna, żeby nakłonić go do pomocy. Ale recepcjonista pomyłkowo daje ząb Colette. Tymczasem Drobac śledzi Amelię. Poluje na osobę, której Amelia przekazuje ząb. Kiedy wyszedł, że ząb otrzymała Colette, Drobac sądził, że jego celem jest właśnie ona. On i jego pomocnicy porywają Colette. Potem Amelia ginie w wybuchu bomby, dwaj pomocnicy Drobaca

zostają zabici, kiedy odbijamy Colette, a on sam trafia za kratki. Zostaje więc tylko ta dwugłowa kobieta. Nie wiemy, dlaczego chodziła za Colette. Prawdopodobnie dostała pomieszania zmysłów od syfilisu, ale to i tak nieważne, bo teraz znajduje się w stanie śpiączki. Wszyscy bohaterowie są więc albo martwi, albo ubezwłasnowolnieni, czyli wyłączeni z gry z innych powodów. Sprawa zamknięta.

- A ta druga ruda? - zapytał Younger. - Przed komendą policji były dwie.
- Koleżanka tej dwugłowej. Może siostra. Nie ma się czym martwić.
- Myślałem, że nie uznajesz żadnych przypuszczeń.
- Bo nie uznaję. Chciałem tylko sprawdzić, jak to zabrzmiało.
- I jak zabrzmiało?
- Nie miało najmniejszego sensu - odparł Littlemore.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Younger czuł, że tani alkohol zaczyna działać.

- A więc panienka wraca do Europy? - zapytał Littlemore.
- Nie powiesz mi, że małżeństwo uszczęśliwia mężczyzn - stwierdził zamiast odpowiedzi Younger. - Znasz choćby jednego żonatego faceta, który jest naprawdę szczęśliwy?

- Na przykład ja.
- Oprócz ciebie.

Littlemore się zastanowił.

- Nie. A ty znasz szczęśliwych nieżonatych?
- Nie.
- Tu cię mam! - wykrzyknął Littlemore.

Zamilkli.

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku spróbował wstać, nie udało mu się jednak i upadł na podłogę, przewracając także krzesło. Przez chwilę Younger myślał, że ten huk to wystrzał z karabinu. Później usłyszał kolejne wystrzały, wiedział jednak, że rozbrzmiewają tylko w jego głowie. Powracający od chwili zamachu na Wall Street obraz, którego nie mógł ani zapamiętać, ani zinterpretować, znowu się pojawił, tym razem bardziej klarowny.

- Wiem, co widziałem szesnastego - stwierdził. - To nie była tablica. To był ktoś z karabinem. Kiedy wokół szalała panika, w tumanach dymu i kurzu ktoś strzelał z karabinu maszynowego.

- Do czego?
- Do ściany. Zostawiając na niej ślady
- Z karabinu maszynowego walił w ścianę? - zdziwił się Littlemore. - Podczas zamachu bombowego?

- Czy wspominałem ci, że widziałem także rozerwany szrapnel? Leciał w powietrzu tak wolno, że odróżniałem poszczególne jego kawałki.

- Nie wspominałeś. I nigdy więcej nie wspominaj, bo cię zamkną z Eddiem Fischerem.

• • •

Detektyw Littlemore był niespokojny, choć pewnym krokiem przemierzał ciasne pomieszczenia użytkowane wspólnie przez wydział zabójstw i wydział specjalny. Zatłoczone biurka rywalizowały o miejsce z przepełnionymi szafkami, w których

składano akta. Stukały maszyny do pisania. Mężczyźni pohukiwali na siebie, najczęściej żartobliwie. Ich rubaszne dowcipy złościły Littlemore'a. Minął tydzień od zamachu bombowego na Wall Street, a oni nie posunęli się ani trochę naprzód. Mieli tylko prowadzące donikąd niepowiązane tropy.

Był Fischer, teraz zamknięty w zakładzie dla obłąkanych, którego prorocze ostrzeżenia nie znalazły racjonalnego wytłumaczenia. Był Duży Bill Flynn, który starał się za wszelką cenę przypisać zamach włoskim anarchistom, chociaż przedstawiał dowody cieniutkie jak kartki papieru maszynowego - i tyle samo warte. Był wreszcie prokurator generalny Palmer, a raczej go nie było. Cała wiedza, jaką Littlemore miał na temat prokuratora generalnego, kazała mu sądzić, że Palmer zechce osobiście nadzorować śledztwo, organizując konferencje prasowe, na których pojawi się w świetle jupiterów. On tymczasem wpadł do miasta tylko na chwilę, po drodze na wakacje z rodziną. Dlaczego? I w dodatku Littlemore nie znajdował żadnego motywu tego zamachu. Jeśli napastnikowi przyświecał jakiś cel, to chodziło mu chyba o bank Morgana; ale komu albo jakiej organizacji mogłoby na tym zależeć, aby zaatakować tę instytucję, skąd pochodziły środki i dlaczego przeprowadzono akcję w sposób, który przypominał wpuszczenie słonia do składu porcelany?

- Hej, Spanky! - krzyknął Littlemore.
- Tak, kapitanie? - Stankiewicz siedział za biurkiem.
- Znalazłem te kartki.
- Jakie kartki?

- Te fiszki, które wypełnialiśmy na Wall Street - Stankiewicz trzymał w dłoni stos kartoników, które sporządzili na miejscu zamachu, po jednym na każdego zmarłego. - Pamięta pan? Doszedł pan do wniosku, że jednego z zabitych nie było na liście, choć powinien się tam znaleźć, i kazał mi pan znaleźć te kartki.

- Daj mi je - zażądał rozdrażniony Littlemore. Przejrzał fiszki. - Ten mężczyzna był strażnikiem Departamentu Skarbu. Nazwisko zaczynało się na literę r. - Littlemore znalazł, czego szukał. - Jest: Riggs. Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych. Gdzie masz listę ofiar?

Stankiewicz zaczął przewracać papiery na biurku.

- Jeszcze przed chwilą ją tu widziałem.
- Tylko mi nie mów, że zgubiłeś listę ofiar - warknął Littlemore.

Stankiewicz wręczył detektywowi wielostronicowy spięty dokument.

Littlemore przekartkował listę, sprawdzając zarówno alfabetyczny spis ofiar, jak i wykaz funkcjonariuszy państwowych poległych wskutek eksplozji.

- Nie ma Riggsa - powiedział. - Dlaczego nie ma Riggsa z Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych?

- Pewnie go pominęli.
- Oni? Jacy oni? - zdziwił się Littlemore. - Nie przepisywałeś tej listy na maszynie sam?

- Nie.
- Kto to zrobił?

- Eee... Federalni, panie kapitanie. Dwóch agentów pojawiło się dzień po wybuchu z pytaniem, czy mamy listę zabitych i rannych. Odparłem, że mamy, i dałem im do wglądu. No, wie pan, pokazałem odręczną listę, którą zrobiliśmy na podstawie fiszek. Sami zaproponowali, że przepiszą ją dla nas na maszynie w czasie weekendu. Mówili, że

mają maszynistkę, która zrobi to fachowo. No to...

- Dałeś federalnym nasze listy? - zapytał Littlemore z niedowierzaniem.
- Nie jestem za dobry w pisaniu na maszynie, panie kapitanie. Doszedłem do wniosku, że oni zrobią to lepiej.
- Doszedłeś do wniosku, że ci się nie chce - odpalił Littlemore. - Co to byli za agenci? Chłopcy od Flynna?
- Nie, kapitanie. To byli skarbowi - odpowiedział Stankiewicz, określając tym skrótem agentów Departamentu Skarbu.

• • •

List od Colette dotarł w czwartek, ale najwyraźniej wysłała go, zanim jeszcze dotarła do niej odpowiedź na poprzedni. Teraz wyjęty z koperty leżał na łóżku w pokoju Youngera.

21 września 1920

Najdroższy Strathamie!

Skończyłam z Twoim profesorem Boltwoodem. On zamierza uniemożliwić Uniwersytetowi Yale przyznanie madame Curie tytułu doktora honoris causa, kiedy przyjedzie tu z wizytą. Twierdzi, że Madame jest niegodna tego z powodów akademickich i moralnych. Tymczasem to on nie jest godny wiązać jej butów. Jediną pociechę w mojej pracy w tym laboratorium czerpię stąd, że obalam jego teorie. Nie zostanę tutaj, żeby nie wiem co.

Mam też jednak cudowne wiadomości! Ośmieliłam się wysłać depezę do doktora Freuda w Wiedniu. Odpisał mi, że ponownie zbada Luca. Dodał, że z niecierpliwością czeka na spotkanie z Tobą. Mówi, że ma Ci wiele do powiedzenia.

Proszę, jedź tam ze mną. Bardzo proszę! Potrzebuję Cię przy sobie.

Kochająca

Colette.

Tamtego wieczoru Younger wrócił do portowej spelunki, tym razem bez Littlemore'a. Kiedy pił obrzydliwą whisky, podeszła doń kobieta w pomarańczowej sukience z ustami umalowanymi na czerwono.

- Może się zabawimy, przystojniaku? - zaproponowała.
- Nie, dziękuję - odparł.

ROZDZIAŁ

Jedenasty

Dobroduszny i sympatyczny komendant policji Enright zwykle sam wpadał do podwładnych, z którymi chciał porozmawiać. Pisemne wezwania kazał wysyłać tylko w przypadkach najwyższego niezadowolenia, wywoływały więc zawsze panikę u adresatów. W piątek rano Littlemore otrzymał takie wezwanie w komendzie policji.

- Czy chodzi o Rembrandta w depozycie dowodowym, panie komendancie? - zapytał Littlemore, wchodząc do gabinetu przełożonego. - Wszystko wyjaśnię.

Siedzący za mahoniowym biurkiem Enright uniósł brwi.

- Masz Rembrandta w depozycie?

- To może o tę podkowę, panie Enright? Nie mogłem pozwolić, żeby ta historyjka z Haggertym uszła Flynnowi na sucho.

- Nie wezwałem pana tutaj, żeby się bawić podkowami, Littlemore, ani dyskutować o mistrzach portretu. - Enright wstał z miejsca. Na jego obszernej talii połyskiwała złota dewizka od zegarka; siwe włosy bujnie okalały pełną, dobroduszną twarz. Ten zamiłowany czytelnik, elokwentny mówca i w gruncie rzeczy samouk wyglądał na człowieka, który uwielbia recytować z pamięci wiersze. - Pamięta pan z pewnością burmistrza Hylana i pana McAdoo, doradcę prezydenta?

Littlemore odwrócił się i dostrzegł obydwu ważnych dżentelmenów w drugim końcu gabinetu. McAdoo siedział w fotelu z nogą założoną na nogę, wpatrując się uważnie w detektywa taksującym wzrokiem. Hylan stał, bawiąc się jakimś szklanym przedmiotem, który zdjął z półki na książki, i starał się unikać kontaktu wzrokowego.

- Pana burmistrza odwiedził wczoraj adwokat - ciągnął Enright. - Pan był powodem tej wizyty, Littlemore.

- Ja, panie komendancie?

- Chcę, żeby go pan zwolnił, Enright! - oświadczył burmistrz Hylan.

- Ten adwokat ma bardzo dobrą reputację i liczne powiązania z wpływowymi kręgami politycznymi w mieście - kontynuował Enright niewzruszony. - Jego klient jest obecnie gościem w jednym z aresztów tymczasowych.

- Już mówiłem: chcę, żeby go zwolnić - powtórzył burmistrz, którego stosunek do życia było zdecydowanie mniej nasączony poezją niż komendanta policji. Hylan był niski, tłuste włosy spadające nieustannie na jego czoło domagały się grzebienia, a oczy biegały we wszystkich kierunkach jak u spłoszonej wiewiórki. Ulubionym zajęciem burmistrza Hylana było pomstowanie na innych z podium, co czynił równie często, jak nieudolnie. Zdawał się ciągle z kimś walczyć, jakby miał mnóstwo wrogów, którzy nieustannie rzucali nań oszczerstwa i szkalowali jego dobre imię. Zanim objął urząd burmistrza Nowego Jorku, był inżynierem w firmie Brooklyn Elevated Railroad Company, która zwolniła go, gdy omal nie rozjechał przełożonego lokomotywą. Na to wysokie stanowisko wyniesiony został znikąd, politycznie rzecz biorąc, wsparty przez

organizację Tammany Hall; jej nestorzy słusznie uznali go za człowieka, który okaże im wdzięczność i odpłaci bezwzględną lojalnością. - Ten człowiek ma być zwolniony jeszcze dzisiaj!

- Niestety, panie burmistrzu, nawet gdybym chciał wykonywać pańskie polecenia bez słowa sprzeciwu, muszę też służyć innemu panu, a mianowicie prawu - odparł komendant.

- Niech mi pan tu nie wyjeżdża z prawem - odparował Hylan. - Znam prawo. Niech pan nie zapomina, z kim pan rozmawia, Enright. Pana też mogę zwolnić.

- Ma pan takie prawo - odparł Enright.

- Poskromcie, panowie, swój temperament i porozmawiajmy o faktach, dobrze? - wtrącił McAdoo łagodnym głosem.

- Waszyngtonowi nic do tego - warknął burmistrz Hylan. - To sprawa miasta.

- Szesnastego września sprawy Nowego Jorku stały się sprawami Waszyngtonu - stwierdził McAdoo tym samym tonem. - Dzisiaj nie udało mi się skontaktować z prezydentem, ale moja żona sądzi, że Wilsona niezbyt ucieszy wiadomość o zwolnieniu pana kapitana.

- Jego żona? - spytał burmistrz z niedowierzaniem. - Jego żona? A co z pańską, Enright? Czy pańska żona też wyraziła swoją opinię? Panowie wybaczą, pójdę chyba zapytać moją żonę, czego sobie życzy pan prezydent.

- Na litość boską, Hylan! - krzyknął komendant. - Żona McAdoo jest córką prezydenta!

Na chwilę zapanowała cisza.

- Córką - wymamrotał burmistrz Hylan i wytarł czoło brudną chusteczką.

Littlemore odkaszlnął.

- Czy to ja jestem kapitanem, o którego wyrzuceniu panowie rozmawiacie?

Odpowiedział mu komendant Enright:

- Czy to prawda, Littlemore, że w zeszłym tygodniu kazał pan wywieźć ze szpitala i wsadzić do aresztu człowieka zaraz po poważnej operacji wielokrotnych złamań kości twarzy i twarzoczaszki?

- Ach, o niego chodzi - zrozumiał wreszcie Littlemore.

- Ten facet ma renomowanego adwokata?

- Owszem. Podobno nazywa się John Smith. Podobno też został napadnięty przez pańskiego bliskiego przyjaciela. I ponoć osobiście zadbał pan o to, by pański przyjaciel został zwolniony za kaucją.

- Jak ten prawnik uzyskał te informacje?

- Rozumiem, że to wszystko prawda.

- Tak, panie komendancie. Sądzę, że ten mężczyzna naprawdę nazywa się Drobac, i mam podstawy przypuszczać, że może być zabójcą z tarasu widokowego na Woolworth Building.

- Może być zabójcą? - powtórzył Hylan pogardliwie. - Każdy może być zabójcą.

- Nie, panie burmistrzu. Tylko około pięćdziesięciu ludzi mogło popełnić zabójstwo na dachu wysokościowca Woolworth. Tylu było na tarasie obserwacyjnym w chwili morderstwa, z czego ponad tuzin to dzieci. Ten człowiek tam był i został rozpoznany przez naocznego świadka jako ścigany przez policję porywacz.

- Rzekomo rozpoznany, kapitanie - sprostował Enright - przez człowieka, który go następnie poturbował i którego pan zwolnił z aresztu. Pańskiego przyjaciela. Który

obecnie stoi pod zarzutem usiłowania morderstwa.

- Doktor Younger już wcześniej pomagał policji, panie komendancie - dodał Littlemore. - Jest pracownikiem Harvardu. I walczył na wojnie.

- Na wojnie - powtórzył Enright ponuro. - Wie pan równie dobrze jak ja, Littlemore, że wielu z tych, którzy wojowali, zachowuje się niezrozumiale i popełnia przestępstwa przeciw prawu po powrocie do domu.

- Ale nie on, panie komendancie.

- Enright, niech pan spyta swojego kapitana, jakie ma dowody, że Smith popełnił morderstwo na dachu Woolworth - wtrącił się Hylan. - O ile mi wiadomo, nie ma żadnych.

- Littlemore? - zapytał Enright.

Detektyw przestępował z nogi na nogę wyraźnie zażenowany

- To prawda, nie mam żadnych dowodów. Na razie. Ale doktor Younger nie miał wątpliwości, że to Drobak, który poprzedniej nocy dopuścił się porwania i innego morderstwa.

- Bzdura! Porwana dziewczyna nie rozpoznała tego mężczyzny - wtrącił Hylan. - Że już nie wspomnę o tym, iż wyjechała z naszego stanu.

- Zaledwie do Connecticut - uzupełnił Littlemore.

- Tak, wiem. Jest w New Haven - stwierdził komendant.

- Czy to prawda, że nie rozpoznała aresztowanego?

- Prawda, panie komendancie.

- Czy pan może go zidentyfikować, Littlemore? - zapytał Enright. - Uwolnił pan porwaną dziewczynę. Czy może pan zeznać, że mężczyzna w areszcie był jednym z jej porywaczy?

- Nie, panie komendancie - przyznał Littlemore. - On jest trochę... jak by to ująć... pokiereszowany.

- Widzi pan, Enright? Nawet pański funkcjonariusz nie może go zidentyfikować.

- Czy w tej sytuacji uważa pan, że zarzut utrzyma się w sądzie, Littlemore? - zapytał komendant.

- Utrzyma się w sądzie? Chyba nie chce go pan zwolnić, panie komendancie! Ten człowiek jest niebezpieczny. Już dwukrotnie dopuścił się zamachu na tę Francuzkę. Może ją zabić, jeśli go wypuścimy.

Enright westchnął.

- Nie można domniemywać winy, Littlemore. I nie wolno zatrzymywać człowieka bez choćby prawdopodobieństwa, że popełnił przestępstwo. Wie pan o tym.

- Wielu ludzi zamykaliśmy na podstawie prawdopodobieństwa mniejszego niż w tym wypadku, panie komendancie

- zaoponował Littlemore. - Trzymaliśmy ich miesiącami.

- Tak, ale w tamtych przypadkach zatrzymani ludzie... no cóż - Enright nie skończył zdania.

Zrobił to Littlemore:

- Nie mieli prawnika tak ustosunkowanego, by mógł interweniować u burmistrza?

- Takie jest życie - stwierdził komendant.

- Proszę mi dać kilka tygodni, panie komendancie. Znajdę dowody.

- Kilka tygodni? - wtrącił się Hylan. - Oburzające! Nie mam zamiaru tolerować czegoś takiego. Zawsze stawałem w obronie zwykłego człowieka przeciwko różnym

grupom interesów. Jest tylko jedno prawdziwe zagrożenie dla tego państwa: międzynarodowi bankierzy, finansisci jak gigantyczna ośmiornica oplatający śliskimi mackami nasze miasta. Dopóki jestem burmistrzem, interesy nie będą rządziły tym miastem, a zwykli ludzie zachowają swoje prawa.

Odwrócony plecami do Hylana komendant Enright przewrócił oczami.

- Przykro mi to mówić, Littlemore, ale pańskie postępowanie zasługuje na natychmiastowe zawieszenie - stwierdził. - Uwolnienie z aresztu przyjaciela zatrzymanego za usiłowanie morderstwa. Aresztowanie jego ofiary bez prawdopodobieństwa popełnienia przestępstwa. Nie powinien był pan tego robić, naprawdę. - Komisarz należał do ludzi, którzy stojąc z rękami do tyłu, lubią podnosić się i opadać z palców na pięty. - Jednakże pan McAdoo znalazł się w moim gabinecie akurat wtedy, kiedy przyszedł burmistrz Hylan. I los chciał, że pan McAdoo przyszedł porozmawiać ze mną o panu, Littlemore. Dał mi to. - Komisarz wziął z biurka kilka kartek zapisanego na maszynie papieru. - To kopia listu dostarczonego dziś prezydentowi Wilsonowi i każdemu członkowi jego gabinetu w Waszyngtonie. Listu senatora Falla z Nowego Meksyku. Zna pan senatora Falla?

- Nie, panie komendancie.

- Potężny człowiek - powiedział Enright. - Zasiada w senackiej komisji spraw zagranicznych i według wszelkiego prawdopodobieństwa niebawem zostanie sekretarzem stanu w gabinecie pana Hardinga.

- Co to ma wspólnego ze mną, panie komendancie? - zapytał Littlemore.

- Może pan oświecić kapitana Littlemore'a, panie McAdoo? - poprosił Enright.

- Oczywiście - McAdoo złączył opuszki palców obydwu dłoni. Jego spokój, starannie zaczesane do tyłu włosy, delikatne rysy oraz pociągła piękna twarz były zupełnym przeciwieństwem potarganego, zachmurzonego, znerwicowanego burmistrza. McAdoo mówił z wyraźnym akcentem wykształconego Amerykanina ze Wschodniego Wybrzeża i tylko od czasu do czasu w jego wypowiedziach pojawiała się nutka zdradzająca, że pochodzi z Tennessee.

- Otóż Fall potrafi wzniecić niezły pożar. Jest w tym całkiem dobry. Otwarcie oskarża nas, to znaczy administrację Wilsona, o niedostateczną reakcję na zbrodnię, której dokonano przy Wall Street. Fall twierdzi, że zamach na taką skalę mógł być zaplanowany i przeprowadzony jedynie przez jakieś wrogie siły zmierzające do unicestwienia naszego kraju. Jak rozumiem, to aluzja do Lenina i bolszewików. Uważa ponadto, że zamach był aktem agresji wymierzonym przeciwko jednej z najważniejszych instytucji finansowych Ameryki, gdy tymczasem nasza administracja, jak najdalsza od wplątywania się w nową wojnę, uważa zamach za dzieło kilku niezorganizowanych włoskich malkontentów. Następnie, kapitanie Littlemore, senator Fall wspomina o panu.

- O mnie?

- Owszem. Senator twierdzi, że kapitan policji nowojorskiej blisko związany ze śledztwem, nazywając pana z imienia i nazwiska, w prywatnej rozmowie ujawnił panu Thomasowi Lamontowi z firmy J. P. Morgan and Company, że dowody obalają teorię Flynna na temat autorów zamachu, wskazując na celowy atak wymierzony w bank Morgana.

- Nie mówiłem, że wskazują. Stwierdziłem tylko, że jest to możliwe.

- Senator Fall gratuluje panu, kapitanie Littlemore.

- Naprawdę?

- Tak. A ja dzielam jego opinie w każdym calu.
- Proszę mi wybaczyć, panie McAdoo, ale nie bardzo rozumiem - powiedział Littlemore. - Jak mi się wydaje, senator Fall krytykował prezydenta Wilsona, a pan jest przecież jego człowiekiem.
- Nie wiem, czy jestem jego człowiekiem, kapitanie - odrzekł McAdoo - ale z pewnością jestem w jego ekipie. Prezydent życzy sobie, żeby sprawa zamachu została rozwiązana. Tego właśnie chce, ale prawdę mówiąc, nie ma pełnego zaufania do dyrektora Flynna. Flynn pracuje dla prokuratora generalnego Palmera; obydwaj węszą wszędzie klikę włoskich i żydowskich anarchistów, a przynajmniej chcą, żeby tak sądzili nasi obywatele. Jeśli pan, kapitanie Littlemore, chce podążać tropem, którego nie widzi albo nie chce widzieć Flynn, to prezydent całkowicie pana popiera. Wielu z nas się zgadza z senatorem Fallem, że ten zamach był zbyt potężny jak na możliwości garstki cierpiących nędzę anarchistów.
- Ktokolwiek to zrobił, na pewno nie był biedny, tego jestem zupełnie pewien - oświadczył Littlemore.
- Dlaczego? - zainteresował się komendant Enright.
- Podkowa, panie komendancie. Była nowiuteńka. Można to stwierdzić, analizując jej oznakowanie. Podkucie konia nie jest tanie. Żaden biedak nie zafundowałby nowych podków koniowi, który za chwilę zostanie rozerwany na kawałki. Powiedziałbym, że sprawcy dysponowali solidną gotówką.
- Świetnie, kapitanie - pochwalił Enright. - Rozumuje pan jak rasowy detektyw.
- W tej sytuacji jest bardzo prawdopodobne, że za zamachem stoi jakieś obce państwo. Jeśli to prawda, musimy dojść, które, i dać mu odczuć z całą siłą amerykańską potęgę. Kapitan nie może zostać zwolniony ani zawieszony, panie komendancie. Wyglądałoby na to, że unikamy wojny i boimy się prawdy. Powiedziano by, że celowo wyeliminowaliśmy jedyne go człowieka zdolnego głośno zapytać, który z wrogów naszej ojczyzny zmasakrował jej obywateli i zaatakował centrum finansowe. Fall niewątpliwie przedstawiłby to w takim świetle, a jego opinię wydrukowałaby każda gazeta w tym kraju.
- Ja podejmuję decyzje w tym mieście - rzucił burmistrz.
- Oczywiście, Hylan, oczywiście - odparł McAdoo. - Do głowy by mi nie przyszło, żeby się wtrącać. Ale też nie zawahałbym się ponaglić prokuratora generalnego, żeby przeanalizował pańskie wypowiedzi sprzeciwiające się ostatniej wojnie. Jeśli dobrze pamiętam, ustawa penalizująca podburzanie do buntu obowiązuje nadal.
- Mina burmistrza świadczyła, że strzał był celny.
- Nie interesuje mnie ten pański Littlemore. Niech sobie zostanie w policji. Chcę tylko Smitha.
- A mnie nie interesuje ten pański Smith - odparował McAdoo. - Niech sobie wychodzi na wolność.
- Nie wiem, co jest ze mną nie tak - wtrącił Enright
- ale chyba tylko mnie w tym towarzystwie interesuje zarówno kapitan Littlemore, jak i pan Smith. Nie zawieszę Littlemore'a...
- Doskonale - ucieszył się McAdoo.
- ...ale też nie zwolnię pana Smitha - dokończył komendant.
- Co takiego? - oburzył się Hylan.
- Daję panu czas do poniedziałku, kapitanie Littlemore

- powiedział na to Enright.
- Słucham? - zapytał Littlemore.
- Ma pan uzyskać dowody, które uprawdopodobnią popełnienie przestępstwa przez pana Smitha, jeśli faktycznie tak się nazywa.
- Ale dziś jest piątek, panie komendancie - zaproponował Littlemore.
- A pan trzyma Smitha w areszcie od ubiegłego piątku, choć powinien on przebywać w szpitalu. W poniedziałek upłynie dziesięć dni, które uważam za czas wystarczający na zebranie dowodów przeciwko niemu, Littlemore. To nawet więcej niż dostatecznie dużo czasu. Albo przedstawi pan twarde dowody do poniedziałku, albo go pan wypuści. Czy to wystarczy, Hylan?
- Wystarczy - zgodził się dość niechętnie burmistrz.
- Może pan odejść, kapitanie - zakończył Enright.

• • •

Younger próbował napisać list do Colette, siedząc za biurkiem w hotelowym pokoju. Jak ona mogła kochać kryminalistę, tak oddanego sprawie Niemiec, że na ochotnika zaciągnął się do armii? Miłość nie może być zupełnie ślepa - tego był pewien. Jeśli dziewczyna kocha mężczyznę, który nie jest tym, za kogo ona go uważa, to chyba nie jest naprawdę zakochana.

Ale może Hans Gruber nie był mężczyzną, za jakiego uważał go Younger. Dlaczego nie miałby być miłym, pobożnym i chorowitym wrażliwcem, takim, jakiego zapamiętała Colette? Owszem, siedzi w więzieniu za napaść na niewinną ofiarę, ale przecież mógł trafić za kratki przez pomyłkę. Sam Younger został uwięziony za napaść nie dalej jak w zeszłym tygodniu. Gorzej, o wiele gorzej nawet: czy Gruber nie zasługiwał na Colette bardziej niż Younger? Przecież natychmiast się zorientował - a Younger zrozumiał dopiero po latach - że bez niej jego życie byłoby puste, nudne, bezcelowe i bezbarwne.

List, w którym zamierzał przedstawić Colette powody, dla których nie powinna się wybierać do Europy, niełatwo mu przychodziło. Zaczynał pisać, przestawał i znów zaczynał, mnąc kolejne kartki hotelowej papeterii i wrzucając je do kosza. W końcu wyjął je stamtąd wszystkie i spalił, jedną po drugiej, w popielniczce. Dotarło do niego, że skoro Freud zgodził się ponownie zbadać Luca, Colette nie da się odwieść od podróży do Wiednia.

Younger spakował walizki.

• • •

Littlemore ponownie przeanalizował dowody zebrane w związku z porwaniem Colette i Luca. Przejrzał każdy po kolei, wywrócił na lewą stronę każdą sztukę odzieży. Szukał oznaczeń z pralni, włosów - czegokolwiek, co powiązałoby uwięzionego Drobaca z porwaniem. Na próżno.

Następnie udał się do policyjnego garażu i osobiście sprawdził samochód kryminalistów w poszukiwaniu śladów linii papilarnych zarówno w kabinie, jak i na zewnątrz auta - od rury wydechowej po kierownicę oraz popielniczki. Mrówcza praca zajęła mu wiele godzin. Okazała się równie bezowocna, ponieważ żadne ze znalezionych odcisków palców nie pasowały do pobranych od mężczyzny, którego zaatakował Younger. Sfrustrowany, ale bynajmniej nie zrezygnowany Littlemore wrócił do domu nocą.

• • •

Nawet kiedy konduktor ogłosił, że następny przystanek to New Haven, Younger nie był zdecydowany, czy ma wysiąść, czy jechać dalej do Bostonu, który przez większą część życia traktował jak swoje miasto.

Krajobraz za oknem pociągu stawał się coraz bardziej typowy dla Nowej Anglii. Drzewa płonęły kolorami. Każdy most nad każdą rzeką, każdy łuk linii wybrzeża dobrze znał. Wiele razy podróżował koleją Shore Line na Manhattan i z powrotem.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację w New Haven, Younger wyszedł na peron. W powietrzu czuć było jesień. Wrzucił do skrzynki pocztowej list do Colette z bostońskim adresem zwrotnym na kopercie:

*24 września 1920 roku Pojadę do Wiednia, ale tylko pod jednym warunkiem:
zrezygnujesz z zamiaru spotkania z Hansem Gruberem.*

Stratham.

Rozległ się gwizd i konduktor ogłosił odjazd pociągu. Younger wrócił do przedziału.

• • •

Littlemore spędził następny dzień - sobotę - tropiąc, a następnie przesłuchując lokatorów budynku, w którym przemieszkivali przestępcy. Żaden nie miał mu do powiedzenia niczego ważnego dla sprawy. Odnalazł właściciela, ale on także okazał się bezużyteczny. Złamał policyjne plomby i ponownie znalazł się w pokoju, w którym przetrzymywano Colette i Luca. Przemierzając się na czworakach, obejrzał każdy fragment pomieszczenia przez szkło powiększające. Także to nie przyniosło oczekiwanego rezultatu.

• • •

W sobotę rano Younger obudził się w sypialni swojego starego domu w Back Bay. Nie był to dom rodziców, w którym się wychowywał: kupił go w 1911 roku, kiedy rozpadło się jego małżeństwo. Okazały budynek miał przestronne i wysokie pokoje, w których stały piękne stare meble. Nie zaglądając do stosu zgromadzonej poczty, Younger wyszedł do miasta.

Podobał mu się Boston, ponieważ był taki mały. Ale tego samego w nim nie lubił. Udał się do ogrodu miejskiego, mijając po drodze rzędy domów mniej więcej przypominających jego własny. Usiadł na ławce nad jeziorem. Było takie spokojne, że w jego tafli widział do góry nogami każdego łabędzia i każdy statek kołowy prujący wodę. Włożył do ust papierosa, odkrył jednak, że nie ma zapalek. Fakt, że jest w Bostonie bez żadnego powodu, irytował go.

Po rozwodzie Younger rzucił się w wir pracy naukowej, spędzając dnie i noce w laboratorium harwardzkiego wydziału medycznego. W tamtym czasie zajmował się mikroskopijnymi czynnikami infekcyjnymi. Wśród naukowców zasłynął w 1913 roku, kiedy odkrył krętki blade w mózgach pacjentów zmarłych na ogólny niedowład, wcześniej uznawany za dolegliwość o podłożu psychiatrycznym. Z nikim się nie widywał. Nie prowadził też życia towarzyskiego.

Potem stało się coś nieoczekiwanego. Younger sądził, że będzie pariasem po rozwodzie, który nie wykluczał wprawdzie z kręgów bostońskiej socjety, ale też niezbyt dobrze był w nich widziany. Tymczasem jego reputacja najwyraźniej się polepszyła. Czy

to ze względu na poważanie, jakim cieszył się na Harvardzie, czy też z powodu złej sławy, którą zawdzięczał rzekomemu romansowi w Nowym Jorku, albo - co najbardziej prawdopodobne - w związku ze spadkiem po Schermerhornach, z którymi był spokrewniony przez matkę, Younger stał się mile widzianym gościem zarówno w Bostonie, jak i w Nowym Jorku. Najpierw odrzucał wszystkie zaproszenia. Ale po dwóch latach znudziła mu się rola naukowca samotnika i zaczął bywać. Z zaskoczeniem stwierdził, że sprawia mu to przyjemność.

Służył ramieniem młodym kobietom podczas imprez towarzyskich. Całował ich dłonie i tańczył z nimi, jakby smalił do nich cholewki. W rzeczywistości ich jednak nie adorował: kobiety z towarzystwa go nudziły. Wolał aktorki i widywano go z nimi w Nowym Jorku, co przysparzało mu tej złej sławy. Przez wszystkie te lata spał tylko z trzema kobietami, ale nawet ich nie potrafił znieść przez dłuższy czas. W końcu Younger stał się najlepszą partią, a jednocześnie najgorszym kandydatem na męża w obydwu miastach. Nawet aktorki doprowadzała do wściekłości. Co rok oczekiwał, że socjeta się przeciw niemu zbuntuje i zakaze mu wstępu na salony. Ale dziwnym trafem liczba matek, które uważały, że to właśnie ich córka w końcu go usidli, nieustannie rosła. W 1917 roku na przyjęciu w hotelu Waldorf z okazji debiutu towarzyskiego matka pięknej panny Denby tak wytrwale naciskała na niego, żeby zatańczył z debutantką, że postanowił demonstracyjnie poprosić do tańca wszystkie panny oprócz tej właśnie. Wypił bardzo dużo i nie pamiętał, kiedy opuścił przyjęcie, a następnego ranka obudził się w hotelowym łóżku z nieznaną kobietą. Okazała się nią panna Denby.

Kilka tygodni później Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Od razu się zaciągnął.

• • •

Kiedy Younger wrócił do domu, przyszła popołudniowa poczta, a w niej list od Colette. Otworzył go od razu w holu:

25 września 1920 roku

Najdroższy Strathamie!

Nie mogę zrobić tego, o co prosisz. Rozumiem teraz, że wszystko, co mi się przytrafiło w Ameryce, było znakiem, że muszę wracać do Europy. Najwidoczniej Bóg chce, żebym się tam znalazła. Przysięgi są święte. Muszę dotrzymać mojej, nawet jeśli złożyłam ją pochopnie, a może nie powinnam była składać. Może, gdy się tam znajdę, zobaczę, że on nie jest tym jedynym. Ale przecież to Bóg napelnia nasze serca uczuciami: tego jestem pewna. Błagam, żebyś zrozumiał

- i pojechał ze mną. Potrzebuję Cię.

Twoja Colette.

Nie rozumiał. Dlaczego pisała, że go potrzebuje, skoro ewidentnie go nie potrzebowała? Jeśli chodziło jej o pieniądze, to powinna była poprosić o nie wprost.

Grzebiąc w stercie listów, Younger odnalazł wyciąg bankowy. Chłodnym okiem stwierdził, że saldo na jego rachunku, kiedyś sześciocyfrowe - zanim kupił dom - skurczyło się do czterocyfrowego, a pierwsza z cyfr była jedynką. Odkąd Younger odziedziczył spadek, przekazywał profesorską pensję, a później oficerskie uposażenie tej czy innej nienasyconej organizacji charytatywnej z Bostonu. Przez całe życie nie myślał o pieniądzach. Kiedy wpadł mu w ręce spadek, postanowił nigdy nie dopuścić do tego, by z powodu pieniędzy dać się zakotwiczyć.

Wiedział, że dałby Colette pieniądze na podróż, choć przez to zrobiłby z siebie głupca. Gdyby tylko poprosiła. Przebrał się w wieczorowy garnitur i wyszedł z domu. Na poczcie wrzucił do skrzynki skreśloną ręcznie odpowiedź:

25 września 1920 roku

Skoro to kwestia woli Bożej, to jedź z Bogiem.

Stratham.

• • •

Littlemore wrócił do domu sfrustrowany w sobotni wieczór. Zastał zrozpaczoną żonę. Jej matka - silna, choć drobna kobieta, która mówiła tylko po włosku - stała obok.

- Zabrali Joeya - krzyknęła Betty. Joey był jej młodszym bratem.
- Kto go zabrał? - zapytał Littlemore.
- Wy, to znaczy policja - odparła Betty.

Okazało się, że w mieszkaniu matki Betty przy Lower East Side zjawiała się policja. Joey, robotnik portowy, nadal mieszkał z matką. Pani Longobardi powiedziała funkcjonariuszom, że syna nie ma w domu, co było prawdą. Policjanci przetrzasnęli mieszkanie, zabierając gazety, czasopisma oraz listy z Włoch.

- Mówili, że go aresztują - zakończyła relację Betty. - Aresztują i deportują.
- Co to byli za policjanci? - spytał Littlemore. - Jakie nosili mundury?

Betty przetłumaczyła jego pytanie. Policjanci, jak powiedziała pani Longobardi, mieli na sobie ciemne marynarki i krawaty.

- Flynn - stwierdził Littlemore.

• • •

W niedzielę rano Younger nie wstał wypoczęty. Prawdę mówiąc, wcale nie wstał, ponieważ się nie kładł. Kiedy wrócił do domu nieogolony, z przekrzywionym krawatem, było dobrze po świcie. Robiąc sobie kawę, doszedł do wniosku, że najwyższy czas powrócić do pracy.

Nie opublikował żadnej pracy naukowej od 1917 roku. Nie skontaktował się nawet z Harvardem w sprawie ponownego objęcia profesury. Miał jednak notatki z eksperymentów, które przeprowadzał podczas wojny - zamierzał napisać studium o medycznym zastosowaniu larw muchy plujki. Miał też całą rzeszę dawnych pacjentów, którzy prawdopodobnie z radością powitaliby w nim znów swojego lekarza. Nadszedł czas, by stanąć twardo na ziemi.

Poszedł do gabinetu; chciał dokładnie przejrzeć notatki i finanse.

O zmroku się obudził, bo zasnął przy biurku, z bijącym sercem. Wciąż miał przed oczami ten sen. Colette wróciła z austriackich wojaży prosto do Ameryki. Wysłała mu depeszę: nie zależało jej na Hansie Gruberze; kochała jego, Youngera. Czekał na nią w porcie bostońskim. Zbiegła z trapu, zanim jednak dotarła do niego, zamarła, a jej zielone oczy patrzyły na niego przerażone. Dokuśtykał do lustra. Zobaczył w nim to, co widziała ona. Podczas jej pięcioletniej nieobecności postarzał się o pięćdziesiąt lat.

• • •

Rezygnując z wizyty w kościele oraz cotygodniowej wyprawy do ojca na Staten Island, Littlemore wrócił w niedzielę do policyjnego garażu. Wszedł do samochodu porywaczy i raz jeszcze go przeszukał, centymetr po centymetrze, choć pojazd został już

dokładnie obejrzały przez innych policjantów. Jego trud został nagrodzony dosłownie jednym odkryciem. W szczelinie między oparciem a siedzeniem fotela Littlemore znalazł kawałek formularza Western Union. Nie był to telegram, lecz pokwitowanie; dowodziło jedynie, że jakaś wiadomość została wysłana w jakieś miejsce przez jakiegoś klienta.

Mając kilka tygodni i tuzin ludzi przemierzających chodniki, Littlemore mógłby ustalić ekspozyturę, która wystawiła to pokwitowanie. Ale nie miał ani ludzi, ani czasu, a wysłanie telegramu nie stanowiło dowodu przestępstwa.

• • •

W niedzielę wieczorem zadzwonił telefon w mieszkaniu Youngera. Podniósł słuchawkę, besztając siebie w duchu za nadzieję, że to Colette.

- Co ty robisz w Bostonie? - zapytał głos Littlemore'a.
- Mieszkam - odpowiedział Younger.
- Przez cały weekend zostawiałem ci wiadomości w hotelu Commodore. Nie mówiłeś mi, że zamierzasz jechać do Bostonu.
- Sam chciałeś, żebym cię nie informował, jeśli zdecyduję się wyjechać z miasta.
- Racja - przyznał Littlemore. Detektyw pokrótce opisał niefortunny rozwój wydarzeń. - Drobacz wychodzi z więzienia jutro po południu. Przykro mi, doktorze. I martwię się. Wygląda na to, że prawnik Drobacza sporo wie o Colette, w tym także to, że jest w New Haven. Od kogo mógł się dowiedzieć? Wydaje mi się, że ktoś śledzi panią. A może ktoś z New Haven im donosi, kimkolwiek są oni. W każdym razie Drobacz będzie na wolności i nie jestem pewien, czy ona jest w tej sytuacji bezpieczna. Moim zdaniem panią i jej brata powinni gdzieś się ukryć.

Younger odłożył słuchawkę, chwycił płaszcz i wyszedł pośpiesznie na miasto. Kiedy wszystko załatwił, wysłał do Colette depeszę:

TY I LUC MUSICIE WYJECHAC NATYCHMIAST STOP DROBAC
ZWOLNIONY Z WIEZIENIA JUTRO STOP PRAWDZIWE
NIEBEZPIECZEŃSTWO STOP ON WIE GDZIE JESTES STOP
ZAREZERWOWAŁEM CI KABINĘ NA THESS WELSHMAN STOP
WYPŁYWA DO HAMBURGA Z NOWEGO JORKU JUTRO O PIĄTEJ
TRZYDZIEŚCI PO POŁUDNIU STOP LITTLEMORE BEDZIE CZEKAŁ
Z BILETAMI STOP NIKOMU O TYM NIE MOW

Ponieważ był niedzielny wieczór, Younger musiał zapłacić bajorńską sumę, żeby telegram został wysłany i dostarczony przez kuriera. Niestety, chłopiec na posyłki wynajęty pośpiesznie przez firmę Western Union pomylił domy akademickie w kampusie Uniwersytetu Harvarda i telegram został wsunięty pod niewłaściwe drzwi.

• • •

W niedzielę po powrocie z laboratorium, gdzie pracowała do późna, Colette stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Zaniepokoiło ją to. Tyle razy powtarzała bratu, żeby zawsze o tym pamiętał, chłopiec jednak stał się nieposłuszny. Colette wkroczyła w milczącą ciemność pokoju w akademiku. Nie powinno być tak ciemno ani tak cicho. Czyżby Luc już spał? Nigdy nie kładł się do łóżka, dopóki mu nie kazała.

Powietrze wewnątrz wydało się jej wilgotne, ciężkie, niebezpieczne. Po omacku spróbowała zaświecić lampę, nie mogła jednak znaleźć włącznika. Wtedy usłyszała kapanie - jakby padał deszcz - ale gdzieś w środku. Dźwięk dochodził z sypialni.

- Luc? - krzyknęła. Żadnej odpowiedzi. Doszła po ciemku do sypialni, znalazła kontakt i zapaliła światło.

Sypialnia była pusta. Wąskie łóżko chłopca zaścielone. Z sufitu kropelki wody spadały do kałuży na podłodze. Piętro wyżej mieszkał doktorant teologii z żoną, która często opiekowała się Lukiem, kiedy Colette była w pracy. Właściwie Luc zawsze był u nich mile widzianym gościem, sąsiadka pozwalała mu wpadać na mleko i ciastka, kiedy tylko chciał - skorzystał z zaproszenia kilka razy. Woda niewątpliwie kapiała z ich mieszkania. Colette pomyślała, że Luc na pewno tam poszedł.

Wyszła na nieoświetlony korytarz, wyciągając ręce w ciemności, znalazła poręcz i wspięła się na górę. Spod drzwi jej przyjaciół sączyło się światło. Zapukała i nacisnęła na klamkę. Drzwi się otworzyły. Małe mieszkanie było jasne, ciche i spokojne. W otwartym oknie salonu powiewała zasłona. Colette zawołała sąsiadów po imieniu. Nie usłyszała odpowiedzi.

Serce zaczęło jej bić szybciej. Absolwent teologii i jego żona wieczory zawsze spędzali w domu. Colette poszła do kuchni, która była pusta, ale drzwi lodówki stały otworem, co zwróciło jej uwagę: przecież na ogół odruchowo zamyka się lodówkę. Wtedy usłyszała, że leje się woda. Z kuchni przechodziło się do łazienki. Colette spojrzała na podłogę. Pod drzwiami woda przelewała się do kuchni. Colette otworzyła je.

W środku nie było nikogo. Z pozostawionego bez kontroli kranu leciała woda, która z wypełnionej wanny wylewała się na kafelki podłogi. Colette nie zakręciła kranu. Z niezrozumiałych dla siebie powodów popędziła z powrotem do salonu, rozsunęła zasłonę i wyjrzała na podwórze. Zobaczyła Luca.

Stał pod drzewem koło słupa latarni ze szklanką mleka w jednej ręce i ciastkiem w drugiej, gapiąc się na kobietę, która klęczała przed nim, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Jej cienkie i rozwichrzone włosy połyskiwały rudo w świetle lampy, a twarz była napięta. Może nawet byłaby ładna, gdyby nie przerażające oczy - oczy, które widziały coś niewyobrażalnego albo chciały wyrazić coś niewysłowionego. Rozpięła sukienkę, po czym ją rozchyliła, odsłaniając przed chłopcem szyję i nagie piersi. Choć jej twarz szpeciło szaleństwo, szyja i piersi pozostawały niezszpecone: białe i jędrne wprost promieniały. Szklanka wysunęła się z dłoni Luca. Upadła na trawę, nie rozbiła się więc, ale przez chwilę w ciemności obok jego stóp połyskiwał biały krąg mleka. Kobieta rozchyliła ramiona, jakby go do siebie przywoływała.

Colette krzyknęła. Wybiegła do holu i pędem pokonała schody. Kiedy z wysiłkiem otwierała ciężkie frontowe drzwi, na podwórzu podniosły larum także inne głosy - ale te wykrzykiwały jej imię, a nie Luca. Kobieta spod drzewa zniknęła.

Owe głosy należały do sąsiadów Colette z góry, doktoranta teologii oraz jego żony, którzy zadyszczanym głosem poinformowali ją, że mają telegram, który Colette musi natychmiast przeczytać. Siedzieli w domu, kiedy do ich drzwi zastukał student, któremu kurier z Western Union omyłkowo dostarczył telegram. Jak tylko przeczytali depeşe, wybiegli z domu w takim pośpiechu, że sąsiad nie zakręcił wody w wannie. Gdy jednak dotarli do laboratorium, Colette już tam nie było.

Colette z Lukiem wróciła do mieszkania. Kiedy przeczytała telegram, a sąsiedzi poszli do siebie na górę, spojrzała wreszcie na brata.

- Czy ona cię dotykała? - zapytała.

Chłopiec pokręcił głową. Dotknął szyi i wykonał kilka gestów, które Colette zrozumiała bez trudu.

- Tak, wiem. Też widziałam - odparła. - Aura.

•••

Detektyw Littlemore wrócił do biblioteki prawniczej w poniedziałek wczesnym rankiem. Zajęło mu to kilka godzin, w końcu jednak znalazł, czego szukał. Uzbrojony w tę wiedzę wyruszył do hotelu Astor, gdzie dyrektor Flynn urządził sobie stanowisko dowodzenia. Po drodze kupił kilka hot dogów.

W hotelu, ignorując protesty sekretarki, Littlemore spacerowym krokiem poszedł wprost do zamkniętych drzwi pokoju Flynn'a, przed którymi na warcie stali dwaj znani mu asystenci. Jeden z nich na widok detektywa zaczął odruchowo masować szczękę.

- Duży Bill u siebie? - zapytał ich Littlemore. Nie uzyskawszy odpowiedzi, dodał: - Zapukam, jeśli nie macie nic przeciw temu.

Obydwaj asystenci położyli rękę na piersi Littlemore'a.

- Mamy - oświadczył ten, który zaczepił detektywa pod jego domem.

- Żaden problem - Littlemore ugryzł kawałek hot doga.

- Wrócę za kilka godzin. I tak muszę iść do sądu. Po nakaz aresztowania. Wiecie, że Duży Bill postawił wojsko wokół Departamentu Skarbu? Pytam z powodu ustawy Posse Comitatus. Chcecie hot doga? Mam jeszcze dwa.

Asystenci gapili się na Littlemore'a zaskoczeni.

- Posse Comitatus to ustawa federalna - wyjaśnił Littlemore. - Według niej każdy, kto rozmieści żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych na terenie kraju, by zapewnić przestrzeganie prawa... no cóż, jest przestępcą. Ścisłej rzecz biorąc, każdy oprócz prezydenta. Wyświadczyć mi więc przysługę. Przekażcie Dużemu Billowi, że kapitan Littlemore z Policji Miejskiej Nowego Jorku wróci tu o piątej z tabunem dziennikarzy i nakazem jego aresztowania. Powiedzcie mu też, że reporterzy na pewno będą się chcieli dowiedzieć, co ukrywa w Departamencie Skarbu.

•••

Na piątym piętrze potężnego, przypominającego francuski chateau budynku więzienia znanego jako Tombs, o czternastej trzydzieści w poniedziałek wydano polecenie, żeby otworzyć celę, w której zgromadzono tymczasowo aresztowanych. Górna część twarzy Drobaca nadal była spuchnięta i sina. Miał zadrutowane usta, a na jego szczękach i policzkach zaciśnięto metalowe szyny.

Doskonale ubrany prawnik, w najwyższym stopniu zadowolony z przebiegu procedury, wszedł do celi w towarzystwie chirurga. Obydwaj położyli ręce na ramionach mordercy, by mu pomóc podnieść się z pryczy. Drobac jednak strząsnął z siebie ich dłonie i wstał sam.

Littlemore trzymał się z daleka. Stał w korytarzu oddzielony kratą od celi, jak zwykle żując wykałaczkę. Wokół niego kręciło się kilku strażników i funkcjonariuszy policji, w tym Roederhausen i Stankiewicz, oraz Younger, który rano przyjechał z Bostonu.

- Jesteś pewien, że chcesz to oglądać? - spytał go Littlemore.

Younger skinął głową.

Na drugim końcu korytarza Drobac wyłonił się z celi, idąc z trudem, ale bez pomocy. Ostentacyjnie wysoko trzymał zadrutowaną brodę. Prawnik i chirurg szli za nim, gawędząc.

- W takim razie oddasz mi swoją broń, doktorze - stwierdził Littlemore cichym

głosem.

- Jaką broń? - odpowiedział Younger równie cicho.
- Natychmiast! - zażądał Littlemore.

Younger nie wykonał żadnego ruchu. Padające ukosem promienie oświetlały zbliżającego się Drobaca i jego świtę.

- Chłopcy - polecił Littlemore, trochę tylko podnosząc głos - trzeba zatrzymać doktora Youngera.

Roederheusen i Stankiewicz stanęli za Youngerem i chwycili go za ramiona.

Littlemore sięgnął do kieszeni Youngera, wyjął rewolwer i dał go na przechowanie strażnikowi więziennemu.

- Przykro mi, doktorze - powiedział. - Skujcie go!

Podchodzący do kraty Drobac zobaczył, jak zakładają Youngerowi kajdanki. Ich oczy się spotkały. Jeśli człowiek z drucianą szyną na ustach w ogóle mógł się uśmiechnąć, to Drobac to zrobił.

- Otworzyć kratę - rozkazał Littlemore.
- Nie wypuszczaj go! - krzyknął Younger. Choć miał skute za plecami dłonie, Stankiewicz i Roederheusem nadal go trzymali.

- Otworzyć! - powtórzył Littlemore.

Strażnik otworzył zamek. Odezwał się prawnik Drobaca.

- Dziękuję panu, kapitanie. Cieszę się, że moja krótka rozmowa z burmistrzem przyniosła tak doskonały rezultat, ale przechodzi mnie dreszcz na myśl o tych wszystkich biednych ludziach, których trzymacie tutaj niezgodnie z konstytucją. Lubi pan chyba łamać prawo, kapitanie? Proszę podpisać nakaz zwolnienia.

Sekretarz wręczył Littlemore'owi podkładkę.

- Skoro pański klient jest biedny - zaczął Littlemore - to kto płaci pańskie honorarium, panie...

- Gleason - odparł prawnik. - Za takie przypadki nie pobieram honorarium, kapitanie. To praca *pro bono publico*.

- Niewątpliwie - zadrwił Littlemore.

- Nie wypuszczaj go - powtórzył Younger.

- Nie mam wyboru - stwierdził Littlemore, podpisując nakaz zwolnienia. - Takie jest prawo.

Pan Gleason z ulgą odebrał jeden egzemplarz nakazu. Zwrócił się do Youngera:

- Więc to pan pobił mojego klienta prawie na śmierć! Wie pan, że wniosliśmy oskarżenie?

Younger nie odpowiedział.

- Jakież to musi być bolesne dla tych, którzy wierzą w pańskie urojenia - ciągnął Gleason. - Że mój klient jest profesjonalnym zabójcą. Że ma zamiar ścigać tę piękną Francuzkę, gdziekolwiek się uda, od New Haven i Hamburga po najdalsze krańce Ziemi. Że pewnego dnia znajdzie ją, wślizgnie się do jej sypialni i poderżnie jej gardło.

Younger szarpnął się, jakby chciał zerwać kajdanki. Zyskał tylko tyle, że Stankiewicz i Roederheusen chwycili go jeszcze silniej.

- Chyba że ja dopadnę go wcześniej - powiedział.

- Słyszał pan, kapitanie! - triumfował Gleason. - On groził mojemu klientowi.

Żądam, żeby pan natychmiast wycofał z sądu poręczenie! Ten człowiek powinien się znaleźć za kratkami, tam jest jego miejsce. Straci pan odznakę, jeśli pan tego nie uczyni,

kapitanie.

- Wynoście się - warknął Littlemore.
- Świetnie, jeśli pan nalega - odciął się prawnik. Znów zwrócił się do Youngera: - Mój klient spędził za kratkami dziesięć dni. Pan posiedzi dwadzieścia lat.

Younger zamarł, słysząc te słowa. Nie dlatego jednak, że przestraszył się groźby. Jego uwagę przykuł liczebnik dziesięć.

- Littlemore! - krzyknął, kiedy Gleason prowadził Drobaca do klatki schodowej prowadzącej na wolność. - Każ mu zdjąć koszulę.
- Koszulę? - zdziwił się detektyw.
- Porywacz ma plamę na torsie - wyjaśnił Younger. - Czerwoną plamę w kształcie próbówki.

Strażnik stojący przy drzwiach do klatki schodowej spojrzał niepewnie na Littlemore'a, czekając na decyzję, czy ma przepuścić Drobaca.

- To absurd! - stwierdził Gleason.

Odezwał się chirurg:

- Czy plama jest widoczna gołym okiem?
- Tak - odpowiedział Younger.
- Operowałem pana Smitha - ciągnął chirurg, wskazując Drobaca. - Mogę więc zapewnić, że nie ma żadnych znamion na torsie.
- Tak więc bez obaw powinien zdjąć koszulę - konkludował Younger.
- Niech pan nie będzie śmieszny - Gleason precyzyjnie przesunął się obok strażnika i sam otworzył drzwi do klatki schodowej.
- Wszyscy słyszeli, co powiedział pan doktor. Mój klient został zwolniony A teraz, panowie wybaczą...

- Littlemore - syknął Younger.

Drobac zaczął przechodzić przez drzwi z pomocą prawnika.

- Stop! - polecił detektyw. - Zdejmijcie mu koszulę!

Sześciu strażników wciągnęło Drobaca z powrotem na korytarz i otoczyło okręgiem.

- Nie ma pan prawa! - zaprotestował Gleason.

Po raz pierwszy odezwał się Drobac.

- W porządku - powiedział ze wschodnioeuropejskim akcentem, połyskując srebrem szyn na szczęcie. - Sam to zrobię. Dlaczego nie? Nie mam nic do ukrycia.

Littlemore spojrzał na Youngera, który uniósł brew.

Drobac spokojnie zdjął marynarkę, zsunął z ramion szelki i zaczął rozpinać białą koszulę, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Youngera. Kiedy odsłonił pierś, zobaczyli ją wszyscy: z lewej strony pod żebrami, poniżej linii gęstych włosów na klatce piersiowej, lekko odchylona od pionu znajdowała się żywoczerwona plama idealnie odwzorowująca kształtem próbówkę laboratoryjną.

- No, proszę! I co pan na to? - odezwał się Littlemore.

Drobac patrzył, nic nie rozumiejąc.

- Co... co to jest?

- Poparzenie radem - wyjaśnił mu Younger. - Pojawia się po dziesięciu dniach.

Przyczyną twojego jest próbówka, którą ukradłeś z pokoju w hotelu Commodore i schowałeś do kieszeni marynarki.

- To oburzające! - oświadczył Gleason. - Burmistrz dowie się o wszystkim.
- Wsadźcie pana Smitha z powrotem do jego klatki! - rozkazał Littlemore

strażnikom.

Drobac, wciąż wpatrzony w czerwoną plamę na swoim torsie, wydobyl z siebie parsknięcie, które miało być wyrazem niechętnego, protekcjonalnego uznania.

- Sam pójdę - oświadczył, zapinając koszulę. - To wasze więzienie bardziej przypomina hotel.

- To dobrze, że się panu podoba - odparł Littlemore.

- Spędzi pan tu wiele czasu.

W odpowiedzi Drobac próbował się uśmiechnąć przez lśniące stalowe szyny.

• • •

Gdy wyszli z gmachu Tombs, Littlemore zwrócił Youngerowi pistolet, zapraszając go jednocześnie do hotelu Astor, gdzie miał się spotkać z reporterami i dyrektorem Flynnem.

- Powinno być wesoło - stwierdził detektyw. - Dopóki mnie w końcu nie zwolnią.

Younger odmówił, twierdząc, że ma spotkanie, którego nie może odwołać.

- Powiedz, doktorze, wierzysz w przecucia? - spytał Littlemore.

- Nie.

- Zastanawiam się nad tym Eddiem Fischerem. Wszyscy traktują go, jakby był nienormalny, a jeśli on jest paranormalny?

- Masz na myśli: medium?

- Przecież niektórzy ludzie wierzą w przecucia. Naukowcy także. A ty? Przecież na Wall Street wcześniej niż inni wiedziałeś, że wybuchnie bomba. Jak to wyjaśnisz?

- Było coś w powietrzu - odparł Younger.

- Tak właśnie mówi Fischer. Że wiedział o zamachu z powietrza.

- Jeśli chcesz pogadać z kimś, kto się na tym zna, udaj się do Amerykańskiego

Stowarzyszenia Parapsychologicznego

- poradził Younger. - Oni są w tym najlepsi. Zapytaj o doktora Waltera Prince'a.

- Dzięki. Tak zrobię.

Stali przez chwilę, nic nie mówiąc.

- Przepraszam za te kajdanki - odezwał się Littlemore.

- Protokół. Wiem, że nie zamierzałeś zastrzelić tego typa.

- Zabiłbym go!

- Na miłość boską, doktorze! Nie wolno ci tego robić. Wojna się skończyła.

Younger skinął głową.

- Może wojna toczy się zawsze. Może tylko niektórzy po prostu nie walczą.

- Aha - mruknął Littlemore. - A może zwyczajnie chciałeś kogoś zabić.

- Może.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym się rozeszli. Kiedy odjechała taksówka Youngera, obok detektywa zatrzymało się kolejne auto - czarno-złoty packard. W tej samej chwili dwóch barczystych mężczyzn w garniturach zbiegło ze schodów Tombs i stanęło za Littlemore'em. Okno z tyłu od strony pasażera zjeżdżało na dół.

- Wejdzie pan, kapitanie? - zaprosił ktoś ze środka.

- Zależy, kto prosi - odparł Littlemore.

Jeden z mężczyzn położył dłoń między łopatkami detektywa, popychając go w stronę samochodu. Jednocześnie lekko odchylił marynarkę, by pokazać kolbę pistoletu tkwiącego w kaburze.

- To ma mnie wystraszyć? - zapytał Littlemore, sięgając z zaskakującą szybkością

pod marynarkę mężczyzny, wyszarpując pistolet z kabury i przykładając lufę do jego policzka. W tym samym czasie drugą ręką wyciągnął zza paska własny pistolet i wycelował go w drugiego mężczyznę. - Swoją drogą, ciekaw jestem, kto szkoli agentów federalnych.

- Proszę, niech pan odłoży broń - odezwał się głos z samochodu. - Zapewniam, że nie będzie panu potrzebna. Ci panowie nie są z Biura Śledczego. Pracują dla mnie.

- A kim pan jest? - spytał Littlemore.

- Jestem ministrem.

- Ministrem czego? - nie ustępował detektyw.

- Ministrem skarbu. Nazywam się David Houston. Niech pan wejdzie, kapitanie.

Musimy o czymś porozmawiać.

Littlemore wszedł do samochodu.

•••

W porcie Younger odnalazł Colette i Luca na nabrzeżu, niedaleko miejsca, gdzie cumował statek parowy Welshman. Obok nich stały trzy żałośnie powycierane na krawędziach skórzane torby podróżne. Robiło się chłodno. Na pokład już wchodzili pierwsi pasażerowie.

Kiedy się przywitani, Colette opisała wydarzenia poprzedniego wieczoru.

- To dziwne - zakończyła. - Kiedy ją zobaczyłam, przeraziłam się, potem jednak poczułam, że nie ma się czego obawiać.

W powietrzu zawisła cisza.

- Nie spodziewałam się ciebie - wyznała Colette, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. - Telegram zapowiadał Jimmygo.

Younger skinął głową. Wręczył jej bilety.

- Wypuścili go z więzienia? - spytała. - Mordercę?

- Nie. Wrócił za kratki - odpowiedział Littlemore. - I długo tam posiedzi.

Nieważne. I tak chcesz wsiąść na ten statek.

Opuściła wzrok na swoje dłonie.

- Ty... - zaczęła pytająco.

- Między nami przestało się układać już dawno temu - odparł. - Z mojej winy. Tak będzie lepiej. Wątpię, czy ten żołnierz na ciebie zasługuje, ale na pewno ty zasługujesz, żeby się o tym przekonać.

Jej wzrok padł na bilety.

- Są do Bremy, nie do Hamburga - stwierdziła.

Younger przyjechał do portu godzinę wcześniej i kupił drugi zestaw biletów na inny statek, George Washington. Prawnik Drobaca, jak mu się wydawało, wiedział, że Colette ma zamiar popłynąć do Hamburga. Jeśli tak, to prześladowcy będą jej bezskutecznie szukali na Welshmanie.

- Kabina pierwszej klasy - dodała Colette, wciąż patrząc na bilety. - Nie potrzebujemy takich luksusów.

Younger wręczył jej dwie białe koperty.

- W tej są pieniądze na podróż. W drugiej znajdziesz weksel trasowany na mój rachunek w Anglii, który możesz zrealizować w każdym banku w Wiedniu. Nie odmawiaj, weź. Musisz mieć jakieś pieniądze.

Pokręciła głową i próbowała oddać mu koperty, Younger jednak nie chciał ich

przyjąc z powrotem. Kucnął i wyciągnął dłoń do Luca. Chłopiec wahał się przez chwilę, po czym wyciągnął swoją.

- Udało mu się - powiedział Younger. - Ruth zdobył pięćdziesiąty home run. I pięćdziesiąty pierwszy.

Luc skinął głową. Wiedział o tym.

- Opiekuj się siostrą - dodał Younger, puszczając oko. - Każda dziewczyna musi mieć przy sobie mężczyznę, który się nią opiekuje.

•••

Minister Houston poprowadził Littlemore'a w górę po marmurowych schodach wzdłuż szpalery stojących na baczność żołnierzy do wnętrza budynku Departamentu Skarbu. Był uprzejmym, przystojnym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. Zmarszczki wokół oczu świadczyły o życzliwym usposobieniu, choć przeczyły temu pozostałe jego cechy, zwłaszcza zimny i miękki akcent inteligenta z południa. Detektyw przeszedł za Houstonem w cylindrze przez rotundę, potem kilkoma wąskimi klatkami schodowymi w dół. W każdym przejściu i przy każdych drzwiach stali żołnierze.

Zeszli poniżej poziomu piwnic, by w końcu dojść do wąskich kamiennych drzwi, tak niskich, że przechodząc przez nie musieli się obaj schylić. Po drugiej stronie Houston włączył kontakt. Rozbłysnęło słabe światło elektryczne. Znajdowali się w olbrzymiej komnacie z nisko sklepionym sufitem wypełnionym niekończącymi się stertami starannie poukładanych na krzyż cegieł, połyskujących ciemną żółcią.

Houston poprowadził Littlemore'a wzdłuż tych stosów cegieł, które - jak półki w przepelnionej bibliotece - poustawiane były tak blisko siebie, że mógł się między nimi przecisnąć tylko jeden człowiek. Korytarze ciągnęły się kilometrami.

Jak daleko sięgał wzrokiem, leżało złoto.

- Niech pan weźmie jedną sztabkę, kapitanie - zaproponował Houston.

Littlemore wziął sztabkę z najbliższego stosu. Niespodziewanie dla niego okazała się niezmiernie ciężka.

- Dziewięć kilogramów - stwierdził Houston. - Nigdzie na Ziemi nie ma większego składu złota. I nigdy nie było.

Ani w Banku Anglii, ani w pałacach tureckich paszów, ani w grobowcach Inków. Patrzy pan na rezerwę kruszcu Stanów Zjednoczonych Ameryki, od której zależy wiarygodność rządu, wartość dziesięciu dolarów w pańskiej kieszeni i wreszcie płynność finansowa każdego banku w tym kraju. Czy ma pan pojęcie, ile złota się tutaj znajduje, panie kapitanie?

- Mniej niż rankiem szesnastego września.

- Cóż za przenikliwość! Od jak dawna pan wie?

- Widziałem jednego z pańskich strażników martwego poza skarbcem z kawałkiem złota w ręku - odpowiedział Littlemore. - Upewniłem się, że zostaliście obrabowani, kiedy odkryłem, że próbowaliście usunąć jego nazwisko z listy ofiar wybuchu.

- Tak, to było trochę niezręczne - stwierdził Houston. Wziął głęboki wdech. - Złoto pod tym sklepieniem warte jest mniej więcej dziewięćset milionów dolarów. Niech pan tylko pomyśli. Bomba, zabici, nieobliczalne straty, a wszystko po to, żeby napaść na bank.

- To dlatego Flynn wezwał wojsko.

- Jaki Flynn! - zaprzeczył Houston lekceważąco. - Ten człowiek to zwykły

mitoman. To ja kazałem sprowadzić żołnierzy i jestem w pełni świadom, że to niezgodne z prawem. Ale przestępstwem byłoby ich tu nie postawić. Staralem się o zgodę Wilsona, ale prezydent, jak pan wie, jest... nie jest w pełni sprawny.

- Dlaczego pan mnie tutaj przyprowadził, panie Houston?

- Nie mogliśmy pozwolić, aby powiedział pan prasie, że okradziony został skarbiec Stanów Zjednoczonych.

- Ile wzięli?

- Och, nie chodzi o wartość w dolarach. Złoto nie ma wartości dlatego, że ktoś da za nie dolary, panie kapitanie. To dolary mają wartość dlatego, że Stany Zjednoczone dadzą panu za nie złoto. Prawdziwa wartość złota ma naturę psychologiczną. Złoto jest cenne, ponieważ ludzie wierzą, że tak jest. A ponieważ w to wierzą, dzięki złotu wierzą także w rząd, który je posiada, a przynajmniej oni uważają, że je posiada. Moglibyśmy stracić całe złoto w tych piwnicach, co do uncji, ale gdyby ludzie o się o tym nie dowiedzieli, nadal inwestowaliby w nasze obligacje, handlowali naszymi dolarami, składali pieniądze w naszych bankach et cetera, et cetera. I na odwrót: moglibyśmy zachować wszystkie te sztabki, gdyby jednak ludzie się dowiedzieli, że rezerwy złota tego kraju nie są bezpieczne, wybuchnęłaby panika, wobec której ta z tysiąc dziewięćset siódmego to dziecięce igraszki.

- Jak to zrobili?

- Widział pan nowy budynek sąsiadujący z tym, prawda, kapitanie? Budynek Urzędu Probierzczego. Głęboko pod nim zbudowaliśmy nowe skarbcie, bezpieczniejsze i o wiele bardziej odpowiednie od tych zatęchłych starych piwnic. Złoto jest właśnie przenoszone do nowego skarbcza. Opracowaliśmy metodę, która pozwala przeprowadzić te przenosiny tak, by nawet uncja złota nie wyszła poza nasz teren.

- Tunel?

- Nie, most. Przenosimy je górą.

Littlemore skinął głową.

- Nad alejką między dwoma budynkami. Widziałem drzwi.

- Otóż to. Pomost łączy pierwsze piętra budynków. Został zbudowany specjalnie, by przenieść to złoto. Potrójnie wzmocniony, żeby wytrzymał wagę. Przeniesienie takiej ilości metalu ma umożliwić ruchoma taśma. A wszystko to bez wynoszenia na zewnątrz choćby jednej sztabki. Świat na zewnątrz nie miał o tym nic wiedzieć. Tak nam się przynajmniej wydawało.

- Przenosiliście złoto szesnastego? - zapytał Littlemore.

- Przenosiliśmy. To był pilnie strzeżony sekret. Albo miał być. Najwyraźniej ktoś się jednak dowiedział. Po wybuchu ludzie pracujący w budynku zareagowali prawidłowo, tak jak ich uczono: zatrzasnęli drzwi po obydwu stronach. Straciliśmy tylko złoto, akurat znajdujące się na pomoście, który następnie spłonął i się zawalił.

Ciążarówka złodziei musiała czekać na dole w alejce.

- Ile straciliście?

- Nie wiemy jeszcze dokładnie - odpadł Houston. - Potrzeba czasu, żeby przeliczyć sto trzydzieści osiem tysięcy sztabek. Oprócz złota na pomoście straciłem także człowieka. Tego, którego nazwisko chcieliśmy usunąć z pańskiej listy. Możliwe, że wszedł na pomost, próbując ratować złoto.

- Riggs - powiedział Littlemore. - Jeśli więc atak był napadem na bank, dlaczego Duży Bill Flynn ściga anarchistów?

- Niemal nikt nie wie o tym napadzie, kapitanie - stwierdził Houston. - Na przykład senator Fall nie ma o nim pojęcia. Dyrektor Flynn też nie.

Littlemore zastanawiał się przez chwilę.

- Boi się pan, że przeciek poszedł z Biura Śledczego?

- Ledwie garstka ludzi znała datę przenoszenia złota. Wśród nich byli też przedstawiciele Biura Śledczego. Ktoś nas zdradził.

- Mógł to być również ktoś z Departamentu Skarbu - stwierdził Littlemore. - Choćby Riggs.

- Nie mogę tego wykluczyć.

- Musi pan mniej więcej wiedzieć, ile wywieźli.

- W przybliżeniu, oczywiście, wiem. Śmiesznie mało. Praktycznie tego nie zauważymy, nawet jeśli to złoto nigdy do nas nie wróci. Pięćset, może sześćset sztabek. Plus minus.

- Co się sprowadza do...? - pytał dalej detektyw.

- W dolarach. Może cztery

- Cztery tysiące?

- Cztery miliony - sprostował Houston.

Liczba wisiała przez chwilę w powietrzu, odbijana przez echo.

- Czego pan ode mnie chce, panie ministrze? - spytał Littlemore.

- No cóż, żeby się pan powstrzymał od informowania prasy o napadzie. Nie przysłużyłaby się społeczeństwu wiadomość, że skarbiec Stanów Zjednoczonych został naruszony, a już na pewno nie wniosek, że w rządzie tego kraju są ludzie mający wolę i środki, żeby kraść narodowe złoto. Z pewnością by się nie przysłużyła.

- Za późno - odparł Littlemore. - Już powiedziałem kilku reporterom, że mogą znaleźć coś interesującego w Departamencie Skarbu. Coś związanego ze złotem.

- Wiem - stwierdził Houston. - Mieliliśmy już pytania w związku z tym. Ale to jeszcze nie tragedia. Nie mam nic przeciw ujawnieniu, że złoto jest tutaj. Świat finansistów i tak o tym wie. Nie chcę nawet ukrywać, że przenosimy złoto do skarbcza w Urzędzie Probierczym. Chcę po prostu puścić wiadomość, że moi ludzie akurat mieli przerwę obiadową, kiedy bomba eksplodowała: usłyszeli wybuch, i to wszystko. Zwyczajny zbieg okoliczności. Najważniejsza jest informacja, że nie doszło do rabunku, nikt nie naruszył tajemnicy, nie straciliśmy ani grama złota. Przerwa na lunch.

- Myśli pan, że ktoś to kupi?

- Naiwność zwykłego obywatela niezmiennie mnie zaskakuje, kapitanie. Jeśli wszyscy powiedzą dziennikarzom to samo, moim zdaniem powinno się udać. Zwłaszcza jeśli pan im to powie. Przysłuży się pan krajowi.

Littlemore rozważał prośbę ministra skarbu.

- W zamian chcę mieć dostęp do waszego śledztwa: kto wiedział o przenoszeniu złota, wszystko, co dotyczy Riggsa, kto sprzedaje kruszec na czarnym rynku.

- Dlaczego nie? - odparł Houston. - Może pan nam pomóc. W odróżnieniu od moich funkcjonariuszy nie zaliczam pana do grona podejrzanych.

- Jeszcze jedno. Niech pan mi zdejmie z głowy Flynnna. Niech choćby jeden człowiek Flynnna zbliży się na splunięcie do rodziny mojej żony, a powiem prasie o wszystkim, co wiem.

- To będzie trudniejsze. Biuro Śledcze nie podlega mojej kontroli.

- W takim razie nici z umowy - Littlemore włożył kapelusz i dotknął dwoma

palcami rónda.

Teraz Houston musiał rozważyć mo¿liwoœci.

- Proszę to uznać za załatwione - powiedział. - Dziś wieczorem porozmawiam z generałem Palmerem.

• • •

Colette nie powiedziała ani słowa. Odwróciła się i machnęła na bagażowego, który szybko załadował zszargane walizki na ręczny wózek. Bagażowy ruszył. Colette, a za nią Luc wolnym krokiem wmieszali się w tłum.

Younger, zapalając papierosa, wpatrywał się w stojący za Welshmanem wielki czarny statek George Washington. Naszły go wspomnienia. Kiedyś był to wspaniały statek. Przywiózł do Ameryki Freuda. Zabrał Woodrowa Wilsona do Europy. Gościł na pokładzie królów, królowe i głowy państw. Teraz został zdegradowany do roli komercyjnego statku pasażerskiego. Każda wielkość przemija.

Colette przystanąła. Odwróciła się, wyszła z tłumy i podbiegła do niego.

- Jaka ja jestem głupia - wyznała. - Nie jadę!

- Wsiadaj na pokład - powiedział Younger. - Będziesz tego żałowała, będziesz miała sobie za złe do końca życia, jeśli nie wsiądziesz.

Syrena ryknęła przeraźliwie. Mewy poderwały się do lotu. Rozległo się wezwanie dla pasażerów.

- Idź - ponaglał Younger. - Nie będzie tak źle. Wypłaczesz się na moim ramieniu, kiedy dotrzemy do Wiednia.

Spojrzała na niego. Odwzajemnił spojrzenie.

- Nie mówisz poważnie! - powiedziała.

- Dlaczego miałbym nie popłynąć? - spytał. - Kochasz mnie, a nie Heinricha.

Nie zaprzeczyła.

Younger mówił dalej:

- Gdybym pozwolił ci jechać samej, mogłabyś na przykład wyjść za tego skazańca.

Nie myśl jednak, że jadę tam dla ciebie. Martwię się o Heinricha. Żadna to przysługa wyjść za mężczyznę, kiedy się kocha innego. Zabiłabyś go, powoli, ale niechybnie.

Ponadto - wyjął z kieszeni jeszcze jeden bilet na statek George Washington - moje bagaże są już na pokładzie.

Całe ciało Colette odprężyło się, a na twarzy zagościł najbardziej czarujący z jej uśmiechów. Kiedy statek wychodził na pełne morze, otworzyli butelkę szampana. Nawet Lucowi dostało się trochę na spróbowanie.

CZĘŚĆ

Trzecia

ROZDZIAŁ

Dwunasty

Jesienią 1920 roku Stany Zjednoczone powinny rozbrzmiewać fanfarami maszerujących orkiestr dętych podczas objazdów organizowanych w kampanii wyborczej. Amerykanie oczekiwali nowego prezydenta, z gorączką może nawet dwukrotnie większą, ponieważ w 1920 roku po raz pierwszy prawo wyborcze objęło także płęć piękną. Niewykluczone nawet, że jeden z głównych kandydatów, republikański senator Warren G. Harding, został nominowany właśnie z myślą o kobiecym elektoracie.

Powodzenie Hardinga u kobiet nie było spekulacją, lecz faktem. Miał on wierną żonę, liczącą sześćdziesiąt jeden lat, długoletnią kochankę w wieku czterdziestu siedmiu lat, jeszcze jedną trzydziestoletnią oraz dwudziestoczworoletnią flamię, podobno wciąż zakochaną w nim po uszy. „Dobrze, że nie jestem kobietą - żartował często Harding. - Nie potrafię odmawiać”. Polityczny dorobek senatora był raczej niewielki, ale ze srebrnymi włosami i pewnym siebie uśmiechem, z ciemnymi brwiami, władczym spojrzeniem i silnym podbródkiem niewątpliwie godnie reprezentowałby kraj, pełniąc urząd prezydenta.

Mimo to jednak wyborcza lokomotywa nie miała pary. Ilekroć zbierał się tłum, w powietrzu wręcz wyczuwało się niepokój. Areszty i deportacje trwały, ale terrorystyczny zamach pozostawał niewyjaśniony. Ludzie u władzy - bogacze, gubernatorzy i senatorowie - żądali ponownej mobilizacji. W gazetach domagano się wojny. Chmura dymu, ognia i kurzu, która szesnastego września zakryła słońce na Wall Street, nie zniknęła. Kłębiła się nad całym krajem.

27 września, w dniu, w którym Younger i Colette wyruszyli do Europy, w gazetach na całym świecie podano do wiadomości, że sowiecki dyktator W. I. Lenin rozmieścił w Stanach Zjednoczonych tajnych agentów, którzy podsycają niepokój wśród robotników, sieją terror i chcą doprowadzić do rewolucji. W Bostonie zastrajkowali kierowcy taksówek i nastąpił niezwykły run na banki. W Alabamie żołnierze z karabinami maszynowymi nie dopuścili do strajku górników. Trzeci wśród najpopularniejszych kandydatów na prezydenta, Eugene Debs, był zdeklarowanym socjalistą, ale siedział w więzieniu, ponieważ w 1918 roku odważył się zakwestionować konieczność przystąpienia do wojny. Na dodatek prohibicja wysuszyła gardła robotników, a wciąż rozbrzmiewające echa szesnastego września sprawiły, że ludzie w wielkich miastach chodzili po ulicach znacznie szybciej. Kraj wstrzymał oddech - przyszłość wydawała się wielką niewiadomą.

• • •

Na ulicy Czternastej, między alejami Piętnastą a Szesnastą na Manhattanie, państwo Littlemore'owie wdali się wieczorem w kłótnię. Zaczęła się w kuchni, a skończyła na

ulicy. Warunki na zewnątrz bardziej odpowiadały panu Littlemore'owi - wewnątrz z trudem uchylał się przed przedmiotami leżącymi w jego kierunku, w większości niezbyt ciężkimi i rzuconymi przez małżonkę niezbyt celnie.

Betty nie podzielała entuzjazmu męża w związku z perspektywą przeprowadzki do Waszyngtonu, gdzie zgodził się podjąć pracę w Departamencie Skarbu. Dzieci chodzą do szkoły, przypominała. Całą rodzinę mają w Nowym Jorku. Jej matka i brat mieszkają w Nowym Jorku. Wszyscy ich przyjaciele też. Jak mogliby tak po prostu spakować się i wyjechać?

Littlemore przestał po jakimś czasie odpowiadać na takie pytania. Stukał czubkiem buta o chodnik, dopóki żona nie zamilkła.

- Przepraszam cię, Betty - powiedział w końcu. - Powinienem był najpierw porozmawiać z tobą.

- Naprawdę tego chcesz, czy tak? - zapytała.

- Na taką okazję czekałem całe życie - wyznał.

Wręczyła mu złożony kawałek papieru, który wyjęła z kieszeni.

- To przyszło dzisiaj - wyjaśniła. - Piszą, ile musielibyśmy zapłacić za operację Lily.

Lily, półtoraroczna córka Littlemore'ów, urodziła się z niewielką, ale całkowitą atrezią zewnętrznych kanałów słuchowych. Innymi słowy, w środku jej małych, pozornie zdrowych uszu, tam, gdzie powinien być prześwit, znajdowała się membrana, a pod nią prawdopodobnie kość. Dziewczynka reagowała na dźwięk, ale jeśli miała w przyszłości słyszeć i mówić bez przeszkód, musiała przejść operację, i to szybko. Mógł ją przeprowadzić tylko specjalista. A specjalista żądał dużo pieniędzy.

- Dwa tysiące dolarów? - zdziwił się Littlemore. - Żeby zrobić niewielkie otworki?

- Dwa tysiące za jedno ucho - sprecyzowała Betty.

Littlemore ponownie przeczytał list: jego żona miała rację, jak zwykle.

- To rozstrzyga sprawę - stwierdził. - Muszę podjąć tę pracę w Departamencie Skarbu. Płacą prawie dwa razy tyle, ile zarabiam obecnie.

- Wręcz przeciwnie, Jimmy - zaproponowała Betty. - Nigdy nie odłożymy czterech tysięcy, gdziekolwiek będziesz pracował. Będziemy musieli oddać ją do szkoły specjalnej. Podobno już teraz musi się zacząć uczyć języka migowego.

Na Dziesiątej jest specjalna szkoła. Za darmo. Jedyna w całym kraju.

Littlemore zmarszczył brwi. Spojrzał w górę i w dół Czternastej, na piękne wielkie gmachy przy skrzyżowaniach z alejami i mniej wyszukane budynki bez wind między nimi; w jednym z nich właśnie mieszkali.

- Dobrze - ustąpił. - Nie zmienię pracy.

Wygrany spór niezmiennie wpływał łagodząco na Betty Littlemore, która niemal natychmiast przyjęła punkt widzenia męża.

- Może nie musielibyśmy się przeprowadzać - stwierdziła.

- Racja! - odparł Littlemore z nadzieją. - Przecież i tak większość dochodzeń prowadzi się tutaj, w Nowym Jorku.

W końcu postanowili, że Littlemore oświadczy ministrowi Houstonowi, że będzie dojeżdżał do Waszyngtonu z Nowego Jorku. Houston okazał się wyjątkowo wyrozumiały. W Waszyngtonie Littlemore miał objąć gabinet w głównej siedzibie Departamentu Skarbu. Na Manhattanie natomiast jego urząd mieściłby się w budynku nowojorskiej delegatury przy Wall Street. Rząd federalny zobowiązał się pokrywać

koszty służbowych przejazdów pociągiem.

• • •

Mężczyzna opuszczający w niedzielny wieczór w październiku 1920 roku budynek Union Station w Dystrykcie Kolumbii - w chwili otwarcia największego na świecie dworca kolejowego, z marmurowymi podłogami i złotymi liśćmi, zwisającymi z beczkowego sklepienia ponad trzydzieści metrów nad ziemią - znalazł się na olbrzymim niezagospodarowanym placu z fontanną pośrodku, wokół której kręciło się kilka samochodów, wzniesając kurz na drodze pozbawionej pasów ruchu, gdzie nie obowiązywał nawet kierunek jazdy. Na zachwaszczonym sąsiednim polu mężczyźni grali w bejsbol. Po drugiej stronie placu przycupnęło kilkanaście tymczasowych domów sypialnych wzniesionych pośpiesznie podczas wojny.

Wychodząc z dworca, trudno się było oprzeć wrażeniu, że z cywilizacji przechodzi się w dzicz. Trzy przecznice dalej stał Kapitol, w którego kopule odbijały się pasowe połyski zachodzącego słońca - kolejna monumentalna struktura otoczona olbrzymim niezagospodarowanym terenem.

Jimmy Littlemore patrzył na Kapitol z szacunkiem i podziwem, trzymając walizkę w jednej, a teczkę w drugiej ręce. Nigdy wcześniej nie był w Waszyngtonie. Jako nowojorczyk oczekiwał, że tuż przed drzwiami dworca ujrzy stado taksówek, których szoferzy będą rywalizowali o pasażera. Nie zobaczył ani jednej.

Zastanawiał się, jak dotrze do hotelu, gdy zauważył zaparkowane niedaleko czarne auto, o które opierała się wysoka blondynka paląca papierosa w długiej cygarnicze. Mniej więcej trzydziestoletnia kobieta ubrana w żakiet i obcisłą spódnicę wydała mu się wyjątkowo atrakcyjna. Gdy tylko zauważyła detektywa, ruszyła w jego kierunku, po drodze przyciągając uwagę każdego przechodzącego mężczyzny.

- James Littlemore, prawda? - odezwała się. - Z Nowego Jorku?
- To ja - odparł Littlemore.
- Wygląda pan dokładnie tak, jak mi pana opisano - stwierdziła blondynka.
- Co dokładnie mówiono?
- Że ma pan mleko pod nosem. Spóźnił się pan. Musiałam czekać prawie godzinę.
- Kim pani jest?
- Pracuję dla senatora Falla. Pan senator chciałby spotkać się z panem jutro w swoim biurze. Punktualnie o szesnastej.
- Ach tak?
- Owszem. Witamy serdecznie, Nowy Jorku.

W czasie tej rozmowy samochód podjechał do nich. Szofer wysiadł i podbiegł do drzwi, żeby je otworzyć. Wsiadła do środka, przez chwilę eksponując długie nogi, zanim przeniosła je do środka.

- Czy może mnie pani podzucić do hotelu? - zwrócił się do niej Littlemore przez otwarte okno.
 - Gdzie się pan zatrzyma? - spytała.
 - Hotel Willard.
 - Bardzo miły
 - Minister Houston płaci za mój pobyt.
 - Bardzo miło.
- Dała znak kierowcy, który uruchomił silnik.

- Więc jak z tym podwiezieniem, proszę pani?
- Przykro mi. To nie leży w zakresie moich obowiązków.

Samochód odjechał, zostawiając za sobą chmurę pomarańczowego pyłu, który opadł na garnitur Littlemore'a. Detektyw pokręcił głową i zapytał kilku stojących niedaleko dżentelmenów, jak ma znaleźć hotel Willard. Jeden z nich wskazał na zachód. Littlemore wyruszył w stronę zachodzącego słońca, które prowadziło za nim długi cień.

Następnego ranka minister skarbu Houston osobiście przypiął mu odznakę i przyjął przysięgę, po której ogłoszeniu Littlemore stał się agentem specjalnym Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych. Znajdowali się w najbardziej luksusowym gabinecie, jaki Littlemore widział w życiu - należał do Houstona i znajdował się w Departamencie Skarbu. Oprawne w złoto lustro wieńczyły kominki z polerowanego marmuru. W oknach wisiały aksamitne, udrapowane kotary. Na suficie widniało malowidło przedstawiające niebo.

- W tym miejscu stał Lincoln, kiedy się konsultował ze swoim ministrem skarbu, Salmonem P Chase'em - stwierdził Houston.

Kiedy miał przysiąc, że będzie przestrzegał prawa Stanów Zjednoczonych, Littlemore zapytał, czy może uczynić wyjątek dla ustawy Volsteada nakazującej prohibicję, czego minister Houston nie uznał za zabawne. Słowa, że będzie przestrzegał i bronił konstytucji Stanów Zjednoczonych, Littlemore wypowiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. Żałował, że ojciec nie może go teraz widzieć.

- Oprowadzę pana po urządzie, agencie specjalny Littlemore - zaproponował Houston.

• • •

Biura Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych okazały się zaskakująco rozległe. Houston z dumą mówił o gigantycznym urzędzie podatkowym, jednostce do walki z fałszerstwem banknotów, biurze nadzorującym bicie monet oraz druk pieniędzy i znaczków pocztowych, biurze do spraw sprzedaży alkoholu, aż w końcu weszli do wielkiej marmurowej sali z rzędem okienek kasowych na jednej ze ścian chronionych kratami z kutego żelaza.

- Tutaj na żądanie wypłacamy pieniądze każdemu, kto przyniesie ważny banknot. Nazywamy to salą gotówkową. Proszę mi pokazać pieniądze, które ma pan w kieszeniach, Littlemore.

- Zobaczmy. Mam trzycentówkę, kilka dziesiątek i piątkę.
- Tylko monety są pieniędzmi. Banknot pięciodolarowy nie jest.
- Jest fałszywy?

- Nie, ale to tylko obietnica. Jej treść widnieje w nocie napisanej małym drukiem na odwrotnej stronie, między Kolumbem a pielgrzymami. Niech pan przeczyta. Tam, gdzie mowa o wykupie.

- Ten banknot podlega wykupowi za złoto na żądanie w Departamencie Skarbu Stanów Zjednoczonych w mieście Waszyngton i Dystrykcie Kolumbii albo za złoto lub zgodne z prawem pieniądze w każdym Banku Rezerwy Federalnej.

- Bez tych słów banknot byłby bezwartościowy - wyjaśnił Houston. - Nie przyjąłby go żaden właściciel sklepu. Żaden bank by nie kredytował. Pięciodolarowy banknot jest obietnicą, że Stany Zjednoczone wypłacą pięć dolarów w złocie każdemu, kto go przedstawi tutaj, w siedzibie Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych w

Waszyngtonie. Stąd nazwa sali gotówkowej.

- Niezbyt wielu ludzi odbiera gotówkę - zauważył Littlemore. Tylko dwóch klientów stało przy okienkach kasowych.

- Tak właśnie być powinno. - Houston znów zaczął iść, prowadząc Littlemore'a do długiego korytarza. - Nikt nie ma powodu żądać kruszcu dopóty, dopóki człowiek wierzy, że w każdej chwili może to zrobić. Niech pan sobie jednak wyobrazi, co się stanie, jeśli ludzie zaczną się obawiać, że nie mamy dość złota, by wykupić banknoty. Czy mamy go dosyć, jak pan sądzi?

- A nie mamy?

- Gdyby wszystkie zobowiązania monetarne Stanów Zjednoczonych zostały przedstawione do realizacji jednocześnie, rząd byłby tak samo bezradny i zrujnowany, jak każdy bank podczas paniki na giełdzie. System opiera się na zaufaniu. Proszę sobie wyobrazić kolejkę zaniepokojonych ludzi, którzy przychodzą tutaj, żeby żądać złota za banknoty. Przypuśćmy dalej, że kolejka zamienia się w tłum, który rośnie, by objąć wszystkich obywateli, pędzący tutaj w szalonym biegu, by zdążyć, zanim się wyczerpie rezerwa kruszcu. Rząd musiałby ogłosić bankructwo. Ustałyby pożyczki. Zamknięto by fabryki. Przestałyby funkcjonować cała gospodarka. Nikt nie wie, co nastąpiłoby potem. Prawdopodobnie poszczególne stany odzyskałyby autonomię.

- Już rozumiem, dlaczego nie chce pan ujawniać wiadomości o kradzieży, panie Houston.

- O to właśnie mi chodziło. Ale jesteśmy na miejscu. To będzie pański gabinet, Littlemore. Mały, ale ma pan własny telefon i oczywiście dostęp do wszystkich akt. Oto klucz do pańskiego biurka. Znajdzie pan w nim dokumenty dotyczące przeniesienia złota z delegatury na Manhattanie do skarbcza w sąsiednim budynku Assay, siedzibie Urzędu Probierczego: jak zbudowano pomost, kto był wykonawcą, kto projektował i tak dalej. Do pańskiej wyłącznej wiadomości, oczywiście.

- Tak jest, panie ministrze.

Houston ściszył głos.

- Chcę pełnego raportu na temat pańskiego popołudniowego spotkania z senatorem Fallem. Proszę pamiętać, Littlemore, że w Waszyngtonie jest pan moim człowiekiem, nie jego.

Po drodze do budynku senackiego Littlemore nie odmówił sobie przyjemności, żeby obejrzeć pomnik Waszyngtona. Pod tym wielkim i pełnym powagi monumentem miasto, jak stwierdził, ukryło łaźnię publiczną. Stamtąd ruszył przez National Mall - prostą, szeroką promenadę, wzdłuż której stały majestatyczne budowle - do Kapitolu. Wyobrażał sobie lordów i damy spacerujących tam bez pośpiechu z małymi pieskami, biegnącymi za nimi truchtem na smyczach. Naprawdę jednak rozległa aleja była pusta.

Na rogu ulic Pierwszej i B - pod adresem senackich kancelarii - Littlemore zobaczył tylko mały, pozbawiony wyrazu hotelik na zarośniętych zielskim obrzeżach terenu wokół Kapitolu. Nie przejął się jednak. Wiedział, że paradoksalny układ stołecznych ulic sprawił, że istnieją dokładnie cztery miejsca, w których te dwie ulice się krzyżują - każde po innej stronie Kapitolu. Littlemore ruszył więc na południe i niebawem dotarł do kolejnego rogu Pierwszej i B. Znalazł na nim tylko kilka wałących się drewnianych domów, jeden przylegający do drugiego, przed którymi przebiegała brudna droga. Na ulicy poniewierały się śmiecie, po śmieciach wędrowały muchy, a w nozdrza uderzał smród ścieków. Na werandach tych domów siedzieli Murzyni. Oprócz Littlemore'a nie

było tam ani jednego białego człowieka. Za to latało mnóstwo komarów. Littlemore zabił jednego, klaszcząc przy twarzy. Kiedy rozdzielił dłonie, zobaczył między nimi wielki budynek Kapitolu Stanów Zjednoczonych.

Dobrze, że wyszedł z Departamentu Skarbu o trzeciej. Gdy w końcu dotarł do rotundy budynku mieszczącego biura senatorskie - wysokiej na trzy piętra, otoczonej korynckimi kolumnami, ze lśniącym białym marmurem i wapieniem na każdej ścianie, wypełnionej naturalnym światłem wpadającym przez oculus w zwieńczeniu bogato zdobionej kasetonami kopuły - zegar wskazywał dwie minuty przed szesnastą. Przybył akurat na czas.

• • •

Albert B. Fall, senator Stanów Zjednoczonych z Nowego Meksyku, był krzepkim i wysokim sześćdziesięciolatkiem ze zwisającymi, posiwiałymi z racji wieku wąsami. Nie miał zwyczaju wylewać za kołnierz. Na zewnątrz paradował zwykle w kowbojskim kapeluszu, modnym w zachodniej części kraju, który zupełnie nie pasował do trzyczęściowego garnituru z muszką, zgodnego z kanonami mody w części wschodniej. W jego biurze kipiało przepychem. Kiedy wprowadzono Littlemore'a, senator pracował nad ruchem kija, chcąc wcelować piłką golfową w butelkę po mleku ustawioną na podłodze jakieś dziesięć metrów od niego. Pudłował raz po raz.

- Agent specjalny James Littlemore - stwierdził senator Fall, nie przerywając ćwiczenia. Miał silny głos - z tych, które dobrze się niosą z ustawionej pod gołym niebem mównicy albo bez reszty wypełniają salę posiedzeń izby. - Cieszę się z tego spotkania, mój synu. Wiele o panu słyszałem. Co pan sądzi o Waszyngtonie?

- Wielkie gabinety, panie senatorze.

- Wielkie gabinety wielkich ludzi. Tak to działa. Co pana trapi?

Littlemore miał już wspomnieć, że przecież to senator poprosił go o spotkanie, a nie odwrotnie, ale pytanie okazało się retoryczne.

- Powiem panu co - stwierdził senator Fall. - Zastanawia się pan, po co ten senator zaprosił pana do swojego wielkiego gabinetu.

- Mniej więcej.

- Powiem panu po co. Chcę, żeby mnie pan informował o postępach w dochodzeniu.

Littlemore już otworzył usta.

- Nic nie mów, synu - przerwał Fall. - Jeszcze nie skończyłem. Zresztą i tak wiem, co by mi pan odpowiedział. Powiedziałby pan: „Przykro mi, panie senatorze, ale dochodzenie jest tajne. Będzie pan musiał rozmawiać o tym z ministrem maminsynkiem... to jest Houstonem”.

W gabinecie zaległa cisza. Senator przymierzał się do kolejnego uderzenia.

- Mam rację? - spytał Fall.

- Czy tym razem mam odpowiedzieć? - spytał Littlemore.

- Mam rację. - Fall wcelował w półkę z książkami, trzydzieści centymetrów od butelki po mleku. - Cholera jasna! Wystarczy tego dobrego. Mam dosyć tej głupiej gry. Nie gram w golfa, ale Harding gra. Doszedłem więc do wniosku, że poćwiczę. Cóż, będzie musiał grać sam. Pani Cross? Proszę się tu zjawić we własnej, jakże ślicznej osobie.

Otworzyły się drzwi w przeciwnym końcu gabinetu. Weszła przez nie wysoka

blondynka - ta sama, która czekała na Littlemore'a przed budynkiem stacji kolejowej poprzedniego dnia.

- Proszę zabrać to cholerstwo - polecił senator, wręczając kobiecie putter. - I przygotować nam drinki.

- Tak, panie senatorze - odrzekła, nie patrząc nawet na Littlemore'a.

- A więc jak to jest być agentem specjalnym, agencie specjalny Littlemore? - zapytał Fall, siadając za biurkiem. - To na pewno szczególne uczucie.

Littlemore nie potrafił określić, ile ironii kryje się w tej uwadze.

- Wszystko jest w porządku - odparł.

- A nie powinno być. - Fall oparł się o odchylane oparcie skórzanego fotela. - Mężczyzna w pana wieku i z pańskimi zdolnościami nie powinien się zadowalać stanowiskiem agenta. Musi pan mierzyć wysoko. Weźmy na przykład tego osła Flynna. Jest pan równie dobry jak on. Dlaczego nie miałby pan zostać dyrektorem Biura Śledczego?

- Whisky, panie Littlemore? - zaproponowała pani Cross.

- Nie, dziękuję pani.

Fall uniósł brwi.

- Chyba nie jest pan abstynentem?

- Nie jestem, panie senatorze.

- Miło to słyszeć. Pani Cross, niech pani da trochę whisky mojemu gościowi.

Muszę panu powiedzieć, Littlemore, że pozycja agenta Departamentu Skarbu nie jest właściwa, żeby prowadzić śledztwo w sprawie aktu agresji.

- Nie uważam, żeby ten zamach był aktem agresji, panie senatorze.

Fall pokręcił głową.

- Może dlatego, że pan ustępuje, daje za wygraną. Może właśnie dlatego nie zaszedł pan wyżej. Ludzie, którzy ustępują, nie pną się w górę. Prosta reguła. Nie ma wyjątków. Jako jedyny powiedział pan prawdę o tym zamachu. Powiedział pan Tomowi Lamontowi, że bank Morgana stanowił cel ataku terrorystów. Nie chciał o tym słyszeć, ale pan mu to uświadomił. Lamont był pod wrażeniem, kiedy mi to powtarzał. A Lamontowi niełatwo zaimponować. Nagle jednak stał się pan bigotem. Rzucił pan Lamonta i zaciągnął się pan do ministra maminsynka. Zastanawiam się, dlaczego nagle zmienił pan taktykę.

Pani Cross postawiła szklaneczkę whisky przed senatorem Fallem, po czym na srebrnej tacy podała drugą Littlemore'owi. Nie wziął. Do szklanki senatora wlała kapkę mleka prosto z butelki.

- Na żołądek - wyjaśnił senator Fall. - Nie znoszę patrzeć, jak dobry człowiek ustępuje. Poddaje się naciskom z góry. Przez całe życie walczyłem. Niech pan usiądzie, na litość boską!

Littlemore nadal stał.

- Czy każdy senator trzyma w swoim gabinecie broń palną, panie Fall?

- Skąd to pytanie?

- Ma pan pistolet w drugiej szufladzie.

Fall skrzyżował ramiona, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Skąd pan wie? Pani Cross, powiedziała pani agentowi Littlemore'owi o moim pistolecie?

- Skądże! Czyż mogłabym zrobić coś takiego, panie senatorze? - oburzyła się pani

Cross.

- Oczywiście, że by pani mogła.
- W każdym razie nie zrobiłam tego.
- Skąd więc pan o tym wie, mój synu?
- Obok kosza leży papier z opakowania na naboje, panie senatorze, stąd wniosek,

że niedawno ładował pan broń. Na prawym kciuku ma pan plamę oleju, czyli pan ją czyścił. Nie ma jej pan przy pasie, musi więc być gdzieś w gabinecie.

Najprawdopodobniej w biurku. Druga szuflada jest lekko wysunięta.

- Niech mnie kule biją! Doskonale, Littlemore! Co jeszcze pan wie?
- Wiem, że nie przepadam za politykami, którzy wszystkim w kraju zabraniają pić, podczas gdy sami trzymają na półkach świeżutkie butelki alkoholu. Wiem też, że nie ustępuję. Wezmę tę whisky, proszę pani.

Littlemore opróżnił szklanekę i zwrócił ją sekretarce.

- No cóż. Wygląda na to, że jednak mamy tu prawdziwego mężczyznę, pani Cross. Dobrze, agencie Littlemore, wyłożę karty na stół. Houston przekonał pana, że wybuch ma związek z kradzieżą. Czy tak?

Littlemore nie odpowiedział.

- Och, wiem wszystko o tym złocie - ciągnął Fall. - Generał Palmer poinformował mnie o tym. Chcę tylko wiedzieć, czy dobrze rozumię. Zamach był kradzieżą, kraj nie jest więc w stanie wojny. Tak pan uważa? Wie pan co? My, ludzie z Zachodu, jesteśmy chyba zbyt prości, bo nie kupuję tej waszyngtońskiej logiki. Dokonano napadu na krajowy skarbiec, oprócz tego napadnięto na nasz największy bank, oprócz tego dokonano masakry amerykańskich obywateli.

I to znaczy, że nie jesteśmy w stanie wojny?

- Ta kradzież wygląda na działanie idące z wewnątrz, panie senatorze - stwierdził Littlemore. - Odpowiedź brzmi więc: nie. Nie wygląda na to, żebyśmy zostali zaatakowani.

- Coś panu powiem, agencie Littlemore - odparł Fall. - Jedyną dobrą rzeczą, która spotyka człowieka w Waszyngtonie, oczywiście oprócz chwilowego urlopu od własnej starej, jest to, że Waszyngton czyni z nas Amerykanów. Tutaj nie jestem obywatelem stanu Nowy Meksyk, a pan nie jest nowojorczykiem. Jesteśmy Amerykanami. Może pan teraz otworzyć oczy, Littlemore, dostrzec obraz całości, zrobić coś dla swojego kraju.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli, senatorze.

- Niech się pan rozejrzy po dzisiejszym świecie. Bolszewicy terroryści są wszędzie. Obalili cara. Przejeli Niemcy. Węgry, Austrię. Rozlewają się po całej Francji, po Hiszpanii i po Włoszech. Lenin twierdzi, że nas dorwie. Nikt nie słucha. Opanowali Meksyk tuż pod naszym nosem. Jak działają bolszewicy? Stają do otwartej walki? Nie. Przedstawiają rozsądne argumenty? Nie. Oni infiltrują. Podkładają bomby i przekupują. To ich środki. To właśnie zrobili w Rosji z niezaprzeczalnym skutkiem. To samo robią tutaj.

- Chce pan powiedzieć, że zamachowcy są obcokrajowcami, ale zapłacili komuś w naszym rządzie, żeby im pomógł?

- Nie wierzy pan, że można przekupić federalnych?

- Żeby pomogli obcokrajowcom wysadzić nas w powietrze? To byłaby zdrada, panie Fall.

- Nie ma pan pojęcia, jakie jest to miasto, agencie Littlemore. Kolorowe i godne

męża stanu na zewnątrz, zgniłe do szpiku kości od środka. Za dziesięć kawałków kupi pan kongresmana. My, senatorzy, jesteście trochę drożsi. Każdy w tym mieście czerpie na boku jakieś korzyści. Każdy musi jakoś sobie radzić w życiu. Nawet obecna tu pani Cross chciałaby sobie w życiu poradzić, prawda, kochanie?

Fall wyciągnął pustą szklankę w kierunku pani Cross. Napełniła ją, po czym dołała odrobinę mleka. Fall wypił alkohol, krzywiąc się.

- To jest wojna, Littlemore. Zostaliśmy zaatakowani. Szesnastego września posłali nas do diabła. W sam środek piekła! - Fall walnął pięścią w biurko. Dźwięk odbijał się echem między półkami na książki. Zniżył głos. - I zrobią to ponownie. Dlaczego nie?

- Uważa pan, że za tym zamachem kryje się Rosja, panie senatorze?

- Pewnie, że tak! Kto inny odważyłby się wypowiedzieć wojnę Stanom

Zjednoczonym Ameryki? Wiedzą, że w zeszłym roku posłaliśmy swoją armię na Syberię. Praktycznie mają prawo odpowiedzieć atakiem. Czy jakiś inny kraj ma motyw? Który kraj chciałby nas zniszczyć?

- Nie wiem, panie Fall.

- Ale ja wiem - stwierdził Fall. - Niech pan posłucha. Powiem panu, jak powinna się potoczyć historia. Historia do końca tego wieku, mój synu. Mamy armię liczącą ponad milion żołnierzy, dobrze wyszkolonych, gotowych do mobilizacji w każdej chwili. Moglibyśmy obalić tę sowiecką dyktaturę. Teraz nadszedł odpowiedni moment. Jedyny moment. Właśnie dostali baty w Polsce. Mają u siebie wojnę domową. Rosjanie nie chcą dyktatury Lenin osadził w więzieniach pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt tysięcy ludzi tylko za to, że otwarcie krytykowali bolszewizm. Rosjanie chcą wolności. Możemy im pomóc. Jeśli my tego nie zrobimy, mój synu, nikt inny nie powstrzyma czerwonej zarazy. Otworzyły się przed nami drzwi, ale zaraz znów się zamkną. Bolszewicy to wredne, paskudne i złośliwe skurwysyny, niech pan dobrze zapamięta moje słowa. Oni chcą rządzić światem. Właśnie tak: chcą rządzić światem! Nienawidzą wolności. Nienawidzą Chrystusa. Pograżą świat w ciemnościach na setki lat. A w tym cholernym rządzie nie ma nikogo, kto chciałby coś z tym zrobić. Wilson to kaleka. Zależało mu tylko na tej Lidze Narodów. Palmer jest na wylocie. Bill Flynn to idiota. Houston tylko by wymieniał pieniądze. Kto broni tego kraju, do jasnej cholery? Kto broni świata?

Senator znów był pobudzony. Wymachiwał pięścią w powietrzu. Odgłos aplauzu - powolne klaskanie jednej pary dłoni - zaskoczył Littlemore'a. To była pani Cross.

- Niech pani przestanie - zwrócił się do niej Fall, nagle przytomniejąc. - Ona myśli, że traktuję się zbyt poważnie. Może i tak jest. W tym rzecz. Chce pan daleko zajechać w tym mieście? Niech pan zaprzęgnie do wozu właściwego konia. Za trzy tygodnie Warren Harding zostanie wybrany na prezydenta. Houston za cholere nie będzie ministrem. Ja będę. Chce pan coś zrobić dla swojego kraju? Houstonowi zależy tylko na złocie. Mnie chodzi o wolność. Zależy mi na tym, by nasi obywatele mogli spokojnie spacerować po ulicach, a nie wylatywać w powietrze od bomb naszych wrogów. Ten dureń Flynn ze swoimi włoskimi anarchistami! To byli Rosjanie, niech ich szlag trafi. I jeśli zdołamy to udowodnić, kraj wypowie im wojnę. Właśnie dlatego pana potrzebuję, Littlemore. Jeśli pokaże pan Houstonowi dowody, i to twarde dowody, że za zamachem stoją Rosjanie, wie pan, co on zrobi? Nic. Schowa je głęboko do szuflady. Dlatego chcę, żeby mi pan te dowody przekazał, jeśli je pan znajdzie. Tylko o to proszę. Zrobi pan to?

Littlemore już miał odpowiedzieć, kiedy zapukano do drzwi gabinetu senatora Falla. Pojawili się w nich udęczona sekretarka i dobrze ubrany mężczyzna, który próbował

prześlizgnąć się obok niej. Kobieta zdążyła tylko krzyknąć:

- Przepraszam, panie senatorze. Mówiłam mu, że jest pan zajęty!

Mężczyzna, zupełnie łysy z wyjątkiem małego kosmyka włosów za każdym uchem, omijając ją tyleż bezczelnie, co niezgrabnie, wtargnął do środka.

Był to pan Arnold Brighton, właściciel fabryk, szybów naftowych i kopalń, który ofiarował dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na Fundusz Radowy Marii Curie.

- Moich ludzi wyrzuca się z Meksyku - oświadczył Brighton bez żadnych wstępów.

- To są Amerykanie, Cali. Grozi im niebezpieczeństwo.

- Trafieś jak kulą w płot, Brighton - stwierdził Fall.

- Umów się na spotkanie. Przyjdzie na ciebie kolej.

- Próbowałem się umówić, ale mi powiedzieli, że jesteś zajęty - zalił się Brighton, sprawiając wrażenie, że naprawdę czuje się pokrzywdzony.

- Bo jestem zajęty - krzyknął Fall. - Trwają wybory prezydenckie, gdybyś nie zauważył.

- Chyba na mnie już pora - wtrącił Littlemore.

- Chwileczkę, Littlemore - powstrzymał go Fall. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Czy to detektyw Littlemore? - zapytał Brighton. - Chciałem panu podziękować, detektywie. Bez pańskiej pomocy na pewno bym... na pewno... Ojej! Zapomniałem. Za co to ja miałem podziękować detektywowi Littlemore'owi?

- Skąd, do diabła, miałibyśmy wiedzieć, za co miałeś mu dziękować? - ryknął Fall.

- Gdzie jest Samuels? - zapytał płaczący. - Samuels to mój sekretarz. On by pamiętał. Czy ktoś wie, gdzie jest Samuels?

Fall sprawiał wrażenie, jakby tylko dzięki nadludzkiemu wysiłkowi udało mu się powstrzymać ryk.

- Jestem w trakcie ważnej rozmowy, Brighton. Wyjdź i porozmawiaj z moją sekretarką.

- Ale ten cały Obregón przejmuje moje kopalnie w Meksyku - odparł Brighton. - Szyby naftowe będą następne. Wszystko! Wysła żołnierzy, uzbrojonych żołnierzy, na litość boską! Przecież to są amerykańscy robotnicy. Były już przypadki pobicia. Grozili im śmiercią. Musisz coś zrobić. Wiem, że nie dałem pieniędzy na Hardinga. To nie moja wina. Wszyscy wokół mówili, że wygra ten drugi, no wiesz, Cox. Dam teraz. Wpłacę każdą kwotę, której zażadasz. Powiedz mi tylko, gdzie przesłać pieniądze. Zrzuć tylko parę bomb na Meksyk, najlepiej w stolicy, na parlament i kilka ładniejszych dzielnic. Jestem pewien, że od razu zmądrzeją.

Fall odpowiedział mu dopiero po dłuższej chwili.

- Niedobrze mi się robi na twój widok, Brighton. Wiesz o tym? Nie jestem na sprzedaż. Republikanie nie są na sprzedaż. Armia Stanów Zjednoczonych nie jest na sprzedaż. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby Harding ugrzązł w Meksyku, i nie mam zamiaru używać armii w obronie twoich interesów.

- Nie pomożesz Amerykanom w Meksyku? - spytał Brighton.

- To twoi pracownicy, ty im pomóż - odpalił Fall.

Brighton wydawał się dezorientowany, zagubiony.

- To wszystko?

- Owszem. A teraz się wynoś.

Fall wziął Brightona za ramię i wyprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie Brighton znów pytał, czy ktoś może wie, gdzie jest Samuels.

- Ja też już pójdę - stwierdził Littlemore, gdy senator wrócił do gabinetu.
- Zadałem panu pytanie, Littlemore - odparł Fall. - Przekaze mi pan dowody, jeśli zdoła pan powiązać zamach z Rosjanami?
- Nie mogę panu tego obiecać, panie senatorze. Ale zastanowię się nad tym, co pan powiedział.

• • •

Na schodach budynku biurowego Senatu pani Cross, widząc wychodzącego Littlemore'a, powiedziała:

- Oczarował pan senatora.
 - Naprawdę?
 - Naprawdę. Stawił mu pan czoło, a on to lubi. Mógłby pan daleko zajść w tym mieście. Gdyby się pan nauczył lepiej ubierać.
 - Coś nie tak z moim wyglądem?
- Wyciągnęła rękę i poprawiła jeden róg kołnierzyka jego koszuli, który sterczał, zamiast leżeć płasko.
- Do jakiej partii pan należy, agencie Littlemore? - spytała. - Jest pan demokratą jak minister Houston? A może republikaninem jak senator Fall?
 - Nie należę do żadnej partii.
 - Nie? W takim razie kogo pan woli, Coxa czy Hardinga?
 - Jeszcze nie wybrałem. Moja żona lubi Debsa.
 - Interesujące - stwierdziła pani Cross. - Na pańskim miejscu nie przyznawałabym się do tego.
 - Do tego, że mam żonę, czy do tego, że żona lubi Debsa?
 - To zależy od tego, czy rozmawia pan z mężczyzną czy z kobietą. Do widzenia, Nowy Jorku.

Wytworna pani Cross chodziła wolnym statecznym krokiem, jednak płynność jej ruchów, zwłaszcza oglądanych z tyłu, prowokowała wielu mężczyzn, także żonatych, by się za nią odwracali. Littlemore przyglądał się, jak kołysała rytmicznie biodrami.

Ledwie pani Cross zniknęła za drzwiami, kiedy usłyszał męski głos.

- Detektywie Littlemore, czy to pan? Proszę sobie wyobrazić, że Samuels czekał tu na mnie przez cały czas.
- Brighton stał obok luksusowego samochodu z zamkniętą kabiną dla pasażerów i przykrytym tylko daszkiem miejscem dla kierowcy. Najwyraźniej uważał, że miejsce pobytu jego osobistego sekretarza jest przedmiotem powszechnej troski.
- Dlaczego on mi to zrobił?
- Zgaduję, że sam pan mu tak kazał, panie Brighton - odparł Littlemore, schodząc ze schodów.
- Naprawdę? - Brighton wsunął głowę pod wystający daszek. Kiedy znów ją wysunął, powiedział: - Na Boga! Ma pan rację! Rzeczywiście tak mu powiedziałem. Skąd pan wiedział?
- Po prostu zgadłem.
- Dobrze, że pana znów spotkałem. Samuels przypomniał mi, za co chciałem panu podziękować. Otóż za samego Samuela. Pański raport oczyścił go z zarzutu dokonania przestępstwa po tym, jak strzelił do tej nieszczęsnej obłąkanej kobiety. Oszczędził mi pan niekończących się problemów. Bo widzi pan, nie poradziłbym sobie bez Samuela, nawet

przez jeden dzień.

- Wykonywałem tylko swoje obowiązki, panie Brighton
- stwierdził Littlemore. - Ta kobieta miała nóż. Świadkowie stwierdzili, że zaatakowała pierwsza. Pański człowiek nie złamał prawa.
- Jak ona się czuje?
- Nadal jest w szpitalu. Leży tam, odkąd została postrzelona.
- Nie ona - powiedział Brighton. - Chodziło mi o pannę Rousseau. To piękna dziewczyna. Omal nie zemdlałem, kiedy ta wariatka na nią napadła.
- Panna Colette czuje się świetnie, jeśli się nie mylę.
- Czy ona jest biedna?
- Biedna? - powtórzył Littlemore.
- Nie jestem taki jak pan, detektywie. Żadna kobieta nie zakocha się we mnie ze względu na moje osobiste przynioty. Ojciec powiedział mi to wiele lat temu, kiedy przejmowałem po nim interesy. Szukam kobiety, która za mnie wyjdzie dla pieniędzy.
- Znam kilkaset takich kobiet.
- Naprawdę? - Brighton mrugał oczami, jakby nie mógł uwierzyć, że detektyw ma takie szczęście. - Mógłby mnie pan im przedstawić, prawda?
- Oczywiście. Moja żona uwielbia swatać.
- To dziwne - zastanawiał się głośno Brighton. - Jediną kobietą, o której potrafię obecnie myśleć, jest właśnie panna Rousseau. Taka urodziwa! Wie pan, dokąd pojechała? Obiecała pojechać ze mną do Waszyngtonu, ale pani Meloney twierdzi, że Colette Rousseau po prostu zniknęła.
- Tego panu nie powiem. - Była to po dwakroć prawda, ponieważ Littlemore ani nie miał pojęcia, gdzie jest panna Rousseau, ani nie powiedziałby o tym Brightonowi, nawet gdyby wiedział.
- A tamta druga, nieszczęsne stworzenie! - Brighton się wzdrygnął. - Nigdy nie widziałem czegoś tak szkaradnego! Czy powiedziała może, co jej dolega?
- Nie. Jest nieprzytomna od tamtego zajścia.
- Jak mogę panu podziękować za Samuela? Co pan powie na pięć tysięcy dolarów?
- Słucham?
- Jego wolność jest dla mnie warta o wiele więcej, daję słowo.
- Nie może pan dawać mi pieniędzy za wykonanie obowiązków służbowych.
- Nie widzę w tym żadnej logiki - odparł Brighton, wyjmując z kieszeni na piersi gruby portfel i wyciągając banknot, na którym widniała niebieska pieczęć i portret Jamesa Madisonsa. - Co ma być bodźcem do dobrej pracy, skoro nie wysokie wynagrodzenie? Z pewnością przyda się panu pięć tysięcy dolarów.
- Littlemore odetchnął głęboko przez nos, myśląc o swojej Lily
- Nie mogę tego wziąć, panie Brighton. Nie wolno mi przyjąć nawet centa.
- Ależ to absurd! Może chociaż pana gdzieś podwiezie? Jadę na stację kolejową. Trzeba pana gdzieś zawieźć?
- Littlemore, który właśnie jechał na stację, odczocho przyjął zaproszenie. Kiedy Brighton odkrył, że Littlemore udaje się także do Nowego Jorku, rozpromienił się i nalegał, żeby odbyli tę podróż razem.

•••

Samuels podjechał limuzyną pod rampę załadunkową z tyłu budynku stacji. Brighton wyjaśnił, że to jedyny sposób, żeby załadować auto do pociągu.

- Pozwalają panu zabierać auto do pociągu? - zdziwił się Littlemore, kiedy wychodzili z kabiny.

- Mogę zabierać, co mi się podoba - odparł Brighton.

- To mój pociąg. W jednym wagonie mam salon, w drugim sypialnię, w trzecim stół do bilardu, w czwartym kuchnię, a w piątym jedzie moje auto. Auto jedzie pociągiem, to dobre, prawda? Będziemy mieli świetną zabawę, detektywie. Nikt ze mną nigdy nie jeździ.

- Obawiam się, że nie mogę, panie Brighton.

- Co? Dlaczego nie?

- Skoro podróżuje pan własnym pociągiem, to przyjąłbym od pana korzyść finansową. Niezwykłą, ale jednak. To tak, jakby mi pan coś kupił.

- Ile byłyby warte moje pieniądze, gdybym nie mógł za nie czegoś kupić?

- Niektórych rzeczy nie może pan kupić.

- To niedorzeczne! - zachnął się Brighton. - Komendant policji pan Enright jechał tym pociągiem. Prokurator generalny także. Senator Harding wsiadł do niego trzy tygodnie temu.

- To inna sprawa.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - zaczął Littlemore. - Prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego. Ale tak jest.

- Mam pomysł. Może pan wykonać dla mnie jakąś dodatkową pracę. Kiedy nie jest pan na służbie. To chyba nie będzie sprzeczne z prawem, prawda?

- Nie będzie - przyznał Littlemore niechętnie. - Wielu ludzi dorabia na boku.

- A widzi pan! Zrobi pan dla mnie coś pożytecznego, a ja panu za to zapłacę pięć tysięcy dolarów. I co pan na to? Podróż do Nowego Jorku uznamy za rozmowę kwalifikacyjną. Ustalimy, jaką przysługę może mi pan wyświadczyć. Ja nie wiem co. Ale Samuels zna się na wszystkim. Kiedyś pracował dla Pinkertona. W każdym razie na pewno znajdziemy coś, co może pan dla mnie zrobić po pracy.

Littlemore patrzył, jak Samuels wprowadza samochód na rampę.

- Wydaje mi się, że tak - powiedział.

- A co z moimi ludźmi w Meksyku? - spytał Brighton.

- Wie pan, to była prawda, co powiedziałem senatorowi Fallowi. Posiadam setki tysięcy bardzo wydajnych akrów ziemi w Meksyku, a ich rząd próbuje mi je odebrać.

- Nie wątpię, że to prawda.

- Jeśli się nie mylę, senator Fall mówił, że pracuje pan teraz dla rządu federalnego. Może więc zdoła mi pan pomóc w Meksyku. Konfiskata to kradzież, jawna kradzież!

Wyśle pan tam kilku funkcjonariuszy federalnych?

- Proszę posłuchać, panie Brighton. Po pierwsze, moje kompetencje nie sięgają aż do Meksyku. Po drugie, ewentualne zajęcie u pana nie może mieć nic wspólnego z moją służbą dla rządu. Po trzecie, nie wezmę dziś od pana żadnych pieniędzy. Po prostu pojedę z panem do Nowego Jorku i ustalimy, czy jest jakieś zajęcie, którego mógłbym się dla pana podjąć. Dobrze?

- Już wiem: zagramy w bilard! - oświadczył Brighton.

- Chodźmy, bo można grać tylko wtedy, kiedy pociąg stoi. Samuels nie zna się na

bilardzie. Mogę panu zapłacić za to, że pan ze mną zagra.

• • •

Po torach kolei nadziemnej na Szóstej Alei, ledwie pół przecznicy dalej, przetoczył się pociąg, wprawiając w drżenie podłogę sypialni i łóżko, w którym leżeli Littlemore i jego żona.

- Co się stało? - spytała Betty, widząc szeroko otwarte oczy męża.
- Nic.
- Jest po drugiej, Jimmy.
- Czuję się, jakbym wziął pierwszą łapówkę w życiu.
- Chodzi ci o to, że pojechałeś pociągiem pana Brightona? Jesteś jedynym

policjantem w Nowym Jorku, któremu mogło przyjść do głowy, że jest w tym coś niestosownego.

- Zaproponował mi pięć tysięcy dolarów. Więcej niż potrzeba dla Lily. Włożył mi banknot do ręki.

- Wziąłeś?
- Nie.

Hałas pociągu zniknął w oddali. W sypialni zapanowała cisza.

- Co chciał w zamian? - spytała w końcu Betty.
- Nic. Chciał mi zapłacić za coś, co już zrobiłem.
- Zaproponował ci pięć tysięcy za nic?
- Chodziło o obowiązki służbowe - wyjaśnił Littlemore.
- Przykro mi, Betty. Nie mogłem wziąć tych pieniędzy.
- Posłuchaj mnie, panie Littlemore - Betty usiadła na łóżku. - Nie wolno ci

przyjmować łapówek. Ani dla mnie, ani dla Lily.

Littlemore zamknął oczy.

- Dziękuję - powiedział.

Betty położyła się z powrotem. Minęła długa chwila.

- Czy ja wystarczająco dużo z siebie daję? - odezwał się Littlemore.
- Wystarczająco? Nikt nie pracuje ciężiej od ciebie. Zarabiasz na nasze jedzenie.

Zarobiłeś na mieszkanie przy Czternastej.

- Burmistrz Mitchell objął swój urząd w Nowym Jorku w wieku trzydziestu czterech lat - odparł Littlemore. - Teddy Roosevelt był komisarzem policji, zanim skończył trzydzieści osiem. Mnie nie stać nawet na to, żeby przywrócić słuch własnej córce.

- Oni mieli sławnych ojców, Jimmy. Twój ojciec... - Betty zawahała się. - Musiałeś dojść do wszystkiego sam.

Littlemore się nie odezwał.

- I ciągle odnosisz sukcesy - ciągnęła Betty. - Chociażby twoja nowa praca. Żadna z dziewczyn nie ma takiego męża jak ja. Żałuj, że nie widzisz, jak na ciebie patrzą. Jesteś jak Bóg. Kapitan Littlemore z Policji Miasta Nowy Jork. Agent specjalny Littlemore z Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych.

- Jak Bóg - Littlemore uśmiechnął się w ciemności, przecierając oczy. - To cały ja.

• • •

Poranne gazety potwierdziły obawy Brightona. Prezydent elekt Meksyku generał

Alvaro Obregón obsadził wojskiem należące do Amerykanów kopalnie srebra. Zagroził, że tak samo potraktuje o wiele bardziej lukratywne tereny roponośne, ponieważ Amerykanie weszli w posiadanie złóż wskutek bezprawnych umów podpisanych ze skorumpowanym przedrewolucyjnym reżimem.

•••

Amerykańskie Towarzystwo Parapsychologiczne mieściło się w całkowicie pozbawionym nadprzyrodzonej atmosfery biurze przy Dwudziestej Trzeciej Wschodniej na Manhattanie. Choć zgromadzono w nim pełno naukowych publikacji, w większości własnych, nie dało się tam dostrzec żadnych śladów wiedzy tajemnej. Doktor Walter Franklin Prince, prezes stowarzyszenia, też wyglądał na człowieka stąpającego twardo po ziemi. Miał życzliwą twarz, około sześćdziesięciu lat i palił fajkę z niezwykle dużym cybuchem.

- Jestem wdzięczny, że znalazł pan dla mnie czas, doktorze - zaczął Littlemore, ściskając dłoń Prince a następnego ranka. - Jeden z przyjaciół zapewnił mnie, że jest pan prawdziwym autorytetem, gdy mowa o rzeczach nadnaturalnych.
- Bardzo się cieszę, że mogę pomóc - odparł Prince. - Moja sekretarka panna Tubby mówiła mi, że ma pan wątpliwości, czy pan Edwin Fischer mógł przewidzieć przyszłość.
- Właśnie tak. Ale słucham.
- Z pewnością mógł. Przeczenie katastrofy zdarza się bardzo często. W tysiąc dziewięćset drugim roku mnie na przykład przyśniła się w najdrobniejszych szczegółach katastrofa kolejowa na cztery godziny przedtem, zanim do niej doszło. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku pan J. C. Middleton po nabyciu biletów na dziewiczy rejs Titanica przez dwie noce z rzędu śnił o idącym na dno statku i jego pasażerach tonących w zimnych wodach. Nie wsiadł na pokład i ocalał życie.
- Nie mówił nikomu o swoich snach, zanim statek zatonął, prawda?
- Wtedy bym o tym nie wspominał. Nie mam nic wspólnego z jasnowidzami po fakcie! Pan Middleton był tak przerażony tymi snami, że natychmiast opowiedział o nich żonie i kilku przyjaciołom. Ich pisemne świadectwa trzymam w szufladzie. Przypadkiem Fischera zajmowałem się, zanim się pan pojawił, i na podstawie dowodów jestem przekonany, że było to autentyczne przeczenie.
- Fischer twierdzi, że przyszło do niego z powietrza - powiedział Littlemore. - Czy pańskim zdaniem to ma sens?
- Nie mógłby tego wyrazić trafniej. Co widzimy, kapitanie, obserwując migotanie na nocnym niebie?
- Eee... Powiedziałbym, że gwiazdę.
- Widzimy przeszłość. Wszechświat, jakim był wieki temu. Przeszłość otacza nas w każdym momencie, choć rzadko ją widzimy. Tak samo przyszłość. Jest wokół nas w postaci fal albo perturbacji niewidocznych gołym okiem, zupełnie jak fale radiowe. Wielu z nas przelotnie odbiera te prądy, choćby we włosach na karku. Z czasem naukowcy odkryją ich strukturę molekularną, nie ma jednak większych wątpliwości co do ich źródła.
- Co nim jest?
- Śmierć, kapitanie - odrzekł doktor Prince. - Śmierć uwalnia tę energię do atmosfery. Kiedy nadciąga prawdziwa katastrofa, zakłócenia są tak silne, że działają na wrażliwe jednostki. Mogą one mieć świadomość, kiedy i gdzie dokładnie coś się

wydarzy. Mogą widzieć aurę wokół ludzi, którzy niebawem umrą. Albo obrazy z tej katastrofy znacznie wcześniej, jak pan Middleton. To właśnie się przytrafiło Edwinowi Fischerowi.

Littlemore skinął głową. Nie wierzył w to, ale też nie chciał osądzać.

- Czy tacy ludzie mogą wiedzieć więcej? - spytał. - Na przykład: kto się za tym kryje?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Istnieją dowody, że dusze zamordowanych podczas seansów spirytystycznych mogą powiedzieć, kto je zabił, nie znam jednak przypadku, żeby taką wiedzę posiadali żyjący. Jest pan zainteresowany kontaktem z medium? Znam bardzo utalentowaną osobę.

- Chętnie skorzystam przy okazji, doktorze Prince.

- Czy przydatna będzie informacja, kiedy przygotowano ten zamach?

- Owszem, nawet bardzo - odparł Littlemore. - Sądzi pan, że Fischer może to wiedzieć?

- W przypadku celowego zabójstwa przecucie niemal nigdy się nie pojawia, dopóki morderca nie poweźmie zamiaru, żeby zabić. Często po raz pierwszy pojawia się dokładnie w tym momencie. Proszę zapytać pana Fischera, kiedy pierwszy raz się to zdarzyło.

- Dziękuję, doktorze Prince. Możliwe, że tak zrobię.

• • •

W połowie października 1920 roku coraz bardziej wojowniczo nastawiony dyrektor Biura Śledczego Flynn zorganizował w hotelu Astor kolejną konferencję prasową. Powtarzane po wielokroć przechwałki o rychłym postawieniu sprawców przed sądem nie przysparzały mu popularności. Śledztwo w sprawie zamachu nie posuwało się do przodu. Nikogo nie oskarżono. Nastrój sceptycyzmu i zawiedzionych nadziei nurtował przedstawicieli prasy.

Flynn nie poczuwał się do winy za ten stan rzeczy. Obarczał nią dziennikarzy, którzy informowali o jego niepowodzeniach. Za każdym razem kiedy kolejny wątek jego śledztwa doprowadzał donikąd, w prasie podnoszono larum, choć zupełnie nie takiej reakcji spodziewał się dyrektor Flynn po lojalnych Amerykanach. Zawstydzenie rządu federalnego za daremne wysiłki zmierzające do pokonania wrogów kraju jego zdaniem zasługiwało na kryminał. Dlatego Eugene Debs wyładował w więzieniu. Flynn mógłby wsadzić do aresztu każdego z tych dziennikarzy. Wiedział, o czym rozmawiają przez telefon, bo jego agenci podsłuchiwali. Fakt, że wciąż cieszyli się niezasłużoną wolnością, zawdzięczali wyłącznie jego wspaniałomyślności.

- Każdy z was, chłopcy, powinien mi dziękować na klęczkach - stwierdził Flynn. - Ale nie będę się dziś w to wdawał. Zajmę się tylko zwiększeniem nakładu waszych gazet. Wszystko już zapięliśmy na ostatni guzik. Oto co dla was mam. Wczoraj po południu odebraliśmy w biurze telefon precyzujący tożsamość i miejsce pobytu więźniów politycznych, o których istnieniu wy, matole, nie mieliście pojęcia, bo zajmowaliście się pisaniem o szaleńcach.

Pióra zawisły w gotowości nad kartkami, choć rozumy na próżno próbowały się przebić przez tę deklarację.

- Niczego nie pamiętacie, durnie? - zapytał Flynn uprzejmie. - Uwolnić więźniów politycznych! Tego żądali anarchiści w ulotce. A kim dokładnie są ci więźniowie

polityczni? Wystarczy to ustalić, a cała sprawa będzie rozwiązana.

- Ostatnim razem mówił pan, że to Tresca - rzucił jeden z reporterów. - Potem Tresca wystąpił publicznie na Brooklynie, a pan nawet go nie tknął. Co naprawdę jest grane?

- Chyba powinienem wam pokazać, co jest grane - rzucił w odpowiedzi Flynn, odciągając zapięty kołnierzyk swojej białej koszuli. - Nigdy nie mówiłem, że Tresca to zrobił. Powiedziałem tylko, że jest podejrzany. Widzicie różnicę?

- Dyrektorze Flynn - zaczął inny dziennikarz, nieco bardziej schludny od pozostałych. - Moi czytelnicy zobowiązali mnie, bym przekazał, że uważają pana za prawdziwego Amerykanina.

- Dziękuję, Tommy. I doceniam. Jest pan prawdziwym Amerykaninem.

- Moi czytelnicy - podjął Tommy - czują się o wiele bezpieczniejsi, odkąd zaczął pan zgarniać obcokrajowców, którzy próbują przejąć nasz kraj.

- Oto jaki powinien być dobry dziennikarz prasowy! A teraz słuchajcie uważnie! Jak tylko dorwiemy tych więźniów politycznych, których już zidentyfikowaliśmy, sprawę zamachu bombowego będziemy mieli zamkniętą i zapakowaną jak prezent na Boże Narodzenie. Oto wasza historia: sprawa będzie podpisana, zamknięta i dostarczona. Wydrukujcie to!

• • •

W piątek 15 października Littlemore pojawił się w komendzie policji przy Centre Street po kilka rzeczy. Jego ludzie, Roederheusen i Stankiewicz, stali w gabinecie z czapkami w rękę, jak na pogrzebie.

- Spanky - Littlemore uścisnął im dłonie. - Stanky.

- Będzie nam pana brakowało, kapitanie.

- Przestań! - rzucił Littlemore. - Pamiętajcie, kluczem do sprawy jest alejka. Wąska uliczka między budynkiem skarbowym a biurowcem Assay. Szukajcie ludzi, którzy tamtędy przechodzili albo wyjrzeli przez okno i dostrzegli obładowaną ciężarówkę wyjeżdżającą stamtąd na Pine Street. Tamtędy uciekli zamachowcy.

- Dlaczego zamachowcy jechali ciężarówką? - spytał Stankiewicz.

- Jaki mieli ładunek? - spytał Roederheusen.

- Na razie nie mogę wam tego powiedzieć, chłopcy - stwierdził Littlemore. - Ale zdobądźcie opis tej ciężarówki i dowiedzcie się, dokąd pojechała, a rozwiążecie tę sprawę. Wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Obydwaj policjanci entuzjastycznie założyli czapki.

- Właśnie, panie kapitanie - rzucił Roederheusen, wychodząc. - Kazał mi pan odnaleźć tego Meksykanina, Pesqueirę. Konsulat twierdzi, że już go tu nie ma. W zeszłym tygodniu wyjechał do Waszyngtonu.

- Przestał mnie już interesować, ale dziękuję.

Littlemore ruszył sprężystym krokiem do gabinetu komendanta Enrighta, wiedząc, że idzie tam prawdopodobnie po raz ostatni. Zapukał do drzwi, a kiedy głos ze środka wydał pozwolenie, otworzył je.

- Kapitan Littlemore - odezwał się Enright zza biurka.

- Już nie kapitan, tak?

- Zostałem zaprzysiężony w Waszyngtonie, panie Enright. Przyszedłem tylko po rzeczy.

Komendant Enright skinął głową.

- Znałem pańskiego ojca, Littlemore.
- Tak, panie komendancie.
- Dobry człowiek. Niedoskonały, jak my wszyscy. Ale dobry.
- Dziękuję, panie komendancie.
- Pańska odznaka, kapitanie. I broń.

Littlemore położył odznakę na biurku Enrighta. Bolało go to tak bardzo, że ledwie się zmusił, żeby ją tam zostawić.

- Broń jest moja - powiedział.
- Nie cieszy mnie fakt, że muszę dokonać tych formalności - stwierdził Enright. - Jako szef Departamentu Policji Miejskiej Nowego Jorku zwalniam pana ze służby. Nie jest pan już policjantem.

Littlemore nie powiedział ani słowa.

- Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni, mój chłopcze - dodał Enright.

ROZDZIAŁ

Trzynasty

Po dniu spędzonym na morzu liniowiec opuszczający port nowojorski staje się jedynym punktem odniesienia. Żadne inne jednostki nie przemierzają bezkresu wód. W zachmurzony poranek Colette i Younger przechadzali się po górnym pokładzie. Fale były tak wysokie, że dziewczyna ochoczo przyjęła jego ramię. Za ich plecami tępo pomrukiwały wirujące silniki.

- Dlaczego akurat ja stałam się obiektem ich ataku? - spytała.
- Rudowłosych kobiet czy porywaczy?
- Jednych i drugich.
- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym częściej dochodzę do wniosku, że notka, którą dostaliśmy w hotelu, ta od Amelii, była pułapką. Myśleliśmy, że Amelia nie przyszła do hotelu następnego ranka, ale być może jednak wróciła z porywaczami.

- Po co?

- Może robią to zawodowo? Porywają kobiety, a potem je sprzedają.

- Sprzedają?
- Funkcjonuje nawet specjalne określenie: białe niewolnictwo. Może chcieli cię dokądś zwabić. Amelia zerowałaby na twoim współczuciu, wmawiając ci, że potrzebuje pomocy. Spodziewali się, że będziesz sama, ale pojawiłem się ja.

Dlatego zmienili plan. Poszli za nami na Wall Street. Amelia padła ofiarą zamachu. Ale jej kompani obserwowali nas dalej. Porwali cię, kiedy wróciłaś do hotelu.

- Dlaczego ja?
- Ponieważ jesteś cudzoziemką. Nie masz w Ameryce rodziny ani żadnych

koneksji. Dodatkowymi atutami są młodość i uroda.

- Nie jestem piękna. Skąd mieliby wiedzieć, że jestem cudzoziemką bez żadnej rodziny?

- Skąd wiedzieli, że mieszkasz w New Haven? Albo że jedziesz do Hamburga?

Jedno jest pewne: mają pieniądze. Wystarczająco dużo, by śledzić ludzi.

Niespodziewanie oparła głowę na jego ramieniu.

- Przynajmniej na tym statku jesteśmy bezpieczni. Czuję to. Żałuję, że musimy w końcu zawinąć do Europy.

Younger dowiedział się od załogi, że kupił bilety ostatni. Wydawało się więc, że Colette miała rację. Statek był bezpieczny: nikt na pokładzie ich nie śledził.

- Nie musimy schodzić na ląd, kiedy statek dotrze do Bremy - zaproponował. -

Możemy zostać na pokładzie i ruszyć w drogę powrotną. To samo zrobimy później w Nowym Jorku i będziemy tak pływać tam i z powrotem bez końca.

- Nic nie mów. - Zamknęła oczy. - Będę o tym marzyła.

Spojrzał na jej piękną twarz.

- Tak, gdybym kierował siatką białego niewolnictwa porywającą kobiety,

znalazłabyś się na pierwszym miejscu mojej listy.

• • •

Nieco później tamtego ranka Younger wyrzucił zawartość dużego worka, który wniósł na pokład razem z walizkami. Wypadły z niego piłka do bejsbola, kij, kilkanaście drewnianych kołków i metalowych płytek oraz instrukcja montażu. Pół godziny później skonstruował podpórkę - wolno stojący podest do ustawiania piłki, mniej więcej do wysokości pasa, pozwalający trenować odbijanie. Następnie owinął piłkę siatką, do której przywiązał długą linę pożyczoną od marynarzy. Drugi koniec liny przymocował do wyciągarki. Położył siatkę z piłką na podpórce i pokazał Lucowi, jak uderzać. Po każdym uderzeniu odzyskiwali ociekającą wodą piłkę, wyciągając linę.

Niebawem całkiem spora liczba podróżujących na statku mężczyźni postanowiła się do nich przyłączyć; przed uderzeniem zdejmowali kapelusze i rozbierali się do koszuli. Naturalnie wszyscy chłopcy znajdujący się na pokładzie także chcieli spróbować. Younger kazał im zwracać się o pozwolenie Luca, który udzielał go z poważną miną, mimo niemoty stając się niezastąpionym członkiem małej chłopięcej bandy.

Pośród wszystkich mężczyzn i chłopców zgromadzonych pierwszego dnia przy podpórce, Younger uderzał najlepiej. Następnego ranka jednak dołączyło do nich kilku członków załogi. Jeden z nich, muskularny marynarz, który podczas wojny grał w drużynie Brooklyn Robins, obnażył się do pasa i przywalił tak mocno, że lina okazała się za krótka. Zupełnie jak Babe Ruth. Siatka pękła i stracili piłkę. Younger próbował kilku substytutów: pomarańczy, drewnianej kuli wystruganej przez cieślę okrętowego, piłki golfowej pożyczonej od jednego z pasażerów - nic jednak nie mogło zastąpić piłki do gry w bejsbol i nauka odbijania się skończyła.

Z każdym dniem na oceanie Younger dochodził do przekonania, że nie zdoła się posunąć dalej w swoich relacjach z Colette. Traktowała go serdecznie, ale po przyjacielsku. Pozwalała sobie na nieco intymności, ale utrzymywała go na dystans. Ten robił się coraz większy, im mniejsza odległość dzieliła ich od Europy. Czasem zdarzało mu się przyłapać ją na tym, że ze wzrokiem wbitym w horyzont próbuje zobaczyć przyszłość, której on nie potrafił przeniknąć. A może zwracała się ku przeszłości - do wspomnienia o gorącym uczuciu chorego żołnierza w Paryżu, któremu oddała serce i którego nie widziała od ponad dwóch lat?

- Jesteś jego bohaterem - powiedziała mu któregoś dnia, wychodząc ze zwykłej zadumy.

- Czyim?

- Luca.

- Naprawdę? A kto jest twoim? - zapytał Younger.

- Dwie osoby: madame Curie i mój ojciec. Miałam szczęście. Niemcy zabili ojca, kiedy jeszcze był dla mnie bohaterem: nieustraszony, silny, szlachetny w każdym calu. Nawet Niemcy nie zdołali mi tego odebrać. Ale Luc prawie go nie pamięta. Dawniej przypominałam mu o matce i ojcu, opowiadałam historie o odwadze i sile ojca. Ale nie chciał słuchać. Nie jest nawet ciekawy. Choć naprawdę potrzebuje ojca.

- A ty robisz wszystko, żeby mu go znaleźć?

Nie odpowiedziała.

- Naprawdę myślisz, że on cię kocha? - podjął Younger.

- To znaczy Heinrich.

- Hans.
- Heinrich nie napisał do ciebie ani jednego listu przez dwa lata. Nie wygląda mi to na miłość.
- Nieważne, czy do mnie pisał.
- Chcesz powiedzieć, że i tak go kochasz? Nie kochasz go. Przykro mi, ale go nie kochasz! Gdybyś darzyła go uczuciem, myślałabyś tylko o jednym: jak zareaguje na twój widok. Umierałabyś ze strachu, czy jeszcze mu na tobie zależy. Przeglądałabyś się w lustrze. Nie przyznałabyś też, że do ciebie nie pisał. Wmawiałaś sobie, że pisał do szpitala w Paryżu, ale listy nie dochodziły. Tymczasem ty mówisz, że to nieważne.

Nie odpowiedziała.

- Czy jest aż tak przystojny? - spytał Younger. - Czy może mu się oddałaś i teraz sądzisz, że z tego powodu musisz się za niego wydać?

Colette odwróciła wzrok.

- Nie mów o nim więcej. Proszę.
- Co jesteś mu winna? Pielęgnowałaś go, kiedy chorował, ale zachowujesz się tak, jakby to on ocalił ciebie, jakbyś zawdzięczała mu życie.
- Nie zrozumiesz tego, co mu zawdzięczam. - Spojrzała na niego. - Czy chcesz, żebym powiedziała, że Kocham cię bardziej niż jego? Że zrezygnuję z odszukania go i wyjdę za ciebie? Przykro mi, ale nie! Nie powinienes mnie kochać! Powinienes po prostu... zostawić mnie w spokoju.

Podniosła się, poszła do swojej kabiny i już nie wróciła.

• • •

Ostatniej nocy ich podróży, zastanawiając się nad niepojętą siłą, która kazała Colette przemierzać dla jej żołnierza tysiące mil, Younger próbował rozstrzygnąć, co jest większą iluzją: fałszywy ruch gwiazd, które z upływem nocy wydawały się przesuwac na niebie coraz dalej, czy pozorny bezruch Ziemi, w rzeczywistości wirującej wokół Słońca z niewyobrażalną prędkością.

Jak to możliwe, że ten młody mężczyzna, którego Colette znała zaledwie przez kilka miesięcy, wywarł na nią tak ogromny wpływ, miał nad nią tak wielką władzę? Jak to możliwe, że ta francuska dziewczyna miała tak wielką władzę nad nim, Youngerem, wbrew jego woli i na przekór rozumowi? Miał wrażenie, że krąży po jej orbicie, przybliżając się do niej i oddalając, choć dystans między nimi pozostawał zawsze taki sam i wydawał się nie do pokonania. Czy krążenie po orbicie Słońca jest dla Ziemi niekończącą się torturą?

• • •

Sanatorium w Amityville na Long Island było nieskazitelnie czyste, białe i zdrowe, ale nowy rezydent Edwin Fischer najwyraźniej nie był usatysfakcjonowany. Ulotniły się gdzieś towarzyski charakter i dobry nastrój, które emanowały z niego w Nowym Jorku miesiąc wcześniej, kiedy został zatrzymany.

- Jak pana tu traktują, Fischer? - spytał Littlemore w sali odwiedzin.
- Papież zawsze był przeciwko mnie - odparł Fischer. - Czy jest pan rzymskim katolikiem, panie funkcjonariuszu?
- Moja żona jest katoliczką.
- Papież nigdy nie był prawdziwym katolikiem. Udawał, oczywiście, ale to zawsze

było kłamstwo. Używa swojej władzy przeciwko mnie. Po co pan przyszedł?

- Zabawne, ale teraz zadaję sobie to samo pytanie.
- Mam panu podać powód, dla którego on chce, żebym pozostawał w zamknięciu?
- Bo jest pan szalony?
- Nie wierzy, że jestem agentem Stanów Zjednoczonych.
- Bo pan nie jest.
- Dlaczego pan tak mówi? - Fischer był głęboko dotknięty. - Mam to panu za złe.

Jest pan w szeregach służb specjalnych?

- Nie.
- Jest pan ministrem skarbu?
- Dlaczego pan pyta? - zdziwił się Littlemore.
- Gdyby pan był, kierowałby pan służbami specjalnymi.
- Nie sądzę.
- Nie sądzi pan, że jest pan ministrem skarbu? - odpalił Fischer. - Większość ludzi ma tę pewność - albo w jedną, albo w drugą stronę.

- Tak się składa, że pracuję dla ministra skarbu; nie wydaje mi się, żeby kierował służbami specjalnymi.

- W takim razie to oszust. Wiem, po co pan tu przyszedł.
- Czyżby?
- Przyszedł pan, żeby mnie stąd wydostać.
- Nie.

- Tak, właśnie po to pan przyszedł. I żeby się dowiedzieć, kiedy po raz pierwszy miałem przecucie na temat zamachu bombowego przy Wall Street.

Littlemore się wyprostował.

- To skurczybyk! Skąd pan o tym wie?
- Czy był pan na stacji kolejowej, kiedy policja przywiozła mnie z Kanady, panie kapitanie?

- Nie. Kiedy więc miał pan pierwsze przecucie?
- Uwielbiam stacje kolejowe. Ilekroć podróżuję do jakiegoś miasta po raz pierwszy, kręcę się po stacji godzinami. Czuję się dzięki temu jak w domu. Bo stacja Grand Central jest moim drugim domem.

- Świetnie. Kiedy miał pan pierwsze przecucie?
- Papież... Zrobi pan coś z nim?
- Zrobię, co w mojej mocy.

- Chyba pod koniec lipca. Przed meczami Wschód-Zachód. To było zaraz po tym, jak postanowiłem nie jechać do Waszyngtonu. Zapewne pan wie, że jestem doradcą pana Wilsona?

- Zgaduję, że chodzi o prezydenta Wilsona.
- W tysiąc dziewięćset szesnastym roku powiedziałem panu Wilsonowi, że jeśli nie powstrzyma wojny, to zginie wielu ludzi. Właśnie w ten sposób zostałem agentem tajnych służb. Chciał się ze mną spotkać, ale nie pozwolili na to jego współpracownicy. Niewątpliwie gorzko żałuje do dzisiaj tej decyzji.

- Na pewno tak. Kto pańskim zdaniem kryje się za tym zamachem, Fischer? Kto go dokonał?

- Oczywiście anarchiści. Bolszewicy.
- Jest pan pewien?

- Absolutnie.
- Skąd pan wie?
- Przeczytałem w gazetach.

Przerwała im pielęgniarka, która przyszła, żeby zabrać Fischera z powrotem do pokoju.

• • •

Pociąg wtoczył się na wiedeński dworzec Westbahnhof z pełnym satysfakcji piskiem w późny październikowy wieczór. Austriackie koleje, kiedyś duma imperium, zachowały ledwie resztki dawnej świetności. Zmniejszyły się o połowę zasoby węgla, którymi przedsiębiorstwo dysponowało, ponieważ drugą połowę sprzedawali skorumpowani urzędnicy i biedni konduktorzy. Żyrandole i ozdobne panele zostały zerwane, najprawdopodobniej rozkradzione.

Przed budynkiem stacji oświetlona jasnym półksiężycem stała jedna taksówka - elegancki dwukonny powóz. Chociaż Younger usiadł obok Colette, nie zmniejszył się dystans między nimi: zwrócona do niego plecami obserwowała Wiedeń. Luc siedział naprzeciw nich, mając jedną walizkę pod nogami, a drugą obok na siedzeniu. Stary kontynent czarował ich pięknem nocy. W oddali nad dachami pięknych budynków elektryczne światła Riesenradu, olbrzymiej karuzeli w słynnym wiedeńskim Praterze, powoli rysowały w powietrzu wielki łuk. Wiatr niósł strzępki odległego walca i radosnego śmiechu.

- Wiedeń jest taki radosny - powiedziała Colette. Younger usłyszał w jej głosie smutek.

Colette mówiła po francusku. Woźnica odpowiedział w tym samym języku:

- To prawda, jesteśmy radośni, mademoiselle. To leży w naszej naturze. Nawet podczas wojny tacy byliśmy. I nie zjadamy już własnych psów jak wówczas, gdy byliście tu państwo ostatnio.

Woźnica znów podarował im wizytówkę. Był to ten sam arystokrata - Oktavian Ferdinand Graf Kinsky von Wchinitz und Tettau - który wiozł ich do hotelu pierwszego dnia pobytu w Wiedniu. Ale na tej wizytówce słowa „Graf” oraz „von” zamazano.

- Tytuły arystokratyczne zostały zakazane - wyjaśnił.
- Nie wolno nam ich umieszczać nawet na wizytówkach. Tak, sytuacja się polepsza.

Zdecydowanie się polepsza.

Usłyszeli za plecami odległy piskliwy dźwięk, po którym nastąpił ogłuszający huk.

- Co to było? - Colette aż podskoczyła na siedzeniu.

- Nic takiego, mademoiselle - odparł woźnica. - To odgłosy z Wienerwaldu, wiedeńskich lasów, najpiękniejszych lasów na świecie. Ścinają drzewa.

- O tej porze? - zdziwił się Younger. - Kto?

- Wszyscy, monsieur. To nielegalne, ale ludzie nie mają wyboru. Skończył się węgiel. Można palić tylko drewnem. Wyrabują nocami, żeby uniknąć aresztu. Kiedy nadejdzie zima, wielu ludzi nie będzie miało czym palić. Przyjechaliście państwo z Paryża?

- Z Nowego Jorku - odpowiedział Younger.
- Jest pan Amerykaninem?

Younger przytaknął.

- Proszę o wybaczenie. Brałem pana za Francuza. Skoro tak, to musi pan przyjąć tę

przejażdżkę wraz z moimi gratulacjami. Austria winna jest wam głęboką wdzięczność.

Youngera zaskoczyło to wyznanie, czemu dał wyraz.

- Pokonany kraj zazwyczaj nie dziękuje wrogowi, prawda? - zapytał woźnica. - Dziękuję panu w imieniu naszych dzieci. Paczki z pomocą nadal są ich głównym źródłem pożywienia. Zna pan zapewne pana Stocktona, waszego charge d'affaires? Wiozłem go na stację w ubiegłym miesiącu. Właśnie otrzymał list od prezesa naszego sądu najwyższego z zapytaniem, czy sędziowie także mogliby otrzymywać paczki rozdzielane przez pracowników pomocy społecznej.

- Co się stanie z dziećmi, jeśli tej zimy nie będzie ogrzewania? - zainteresowała się Colette.

- Umrą, jak sądzę. Przynajmniej większość z nich. Jesteśmy na miejscu: Berggasse dziewiętnaście. Mam nadzieję, że doktor Freud czuje się dobrze.

Wysiadając z powozu i podając rękę Colette, Younger uniósł brwi, dziwiąc się nadzwyczajnemu rozeznaniu ich woźnicy.

- Kiedy obcokrajowiec jedzie na Berggasse, może mu chodzić wyłącznie o ten adres - wyjaśnił mężczyzna na koźle.

Younger spytał, czy woźnica zechce zaczekać na miejscu, aż wyjdą od Freudów. Oktavian odparł, że zrobi to z przyjemnością.

• • •

Drzwi mieszkania na pierwszym piętrze otworzyła siostra żony Freuda, Minna Bernays. Choć zapowiedzieli wizytę, nie wpuściła ich do środka, wyjaśniając, że doktor Freud i jego małżonka dziś wcześniej udali się na spoczynek. Właśnie pytała, czy mogą wrócić następnego dnia, kiedy silny męski głos przerwał jej oświadczeniem, że informacja, jakoby się udał na spoczynek, jest znacznie przesadzona.

Powitali się serdecznie, szeroko się rozwodząc nad tym, że Luc jest teraz o głowę wyższy.

- Cóż, Minno, przepowiednia Marthy się nie sprawdziła, zresztą zgodnie z moimi przewidywaniami - zauważył Freud, po czym zwrócił się do Colette z wyjaśnieniem:

- Moja żona była pewna, że wy dwoje pobierzecie się przed końcem roku.

- Rok się jeszcze nie skończył - stwierdził Younger.

- Miała na myśli dziewięćset dziewiętnasty - odparł Freud oschle.

- Niech jej więc pan powie, że wciąż jest nadzieja na koniec dwudziestego - powiedział Younger.

- Nie dałam ci żadnych powodów, żebyś żywił taką nadzieję, Stratham - zganiała go Colette. - Ani w tym roku, ani w żadnym innym.

Choć dotknięty, Younger postanowił obrócić wszystko w żart.

- W takim razie zaplanuję ceremonię ślubną na trzydziesty pierwszy grudnia o północy, bo ta data nie należy do żadnego roku - rzucił.

Colette zwróciła się do Minny Bernays:

- On jest beznadziejny!

- Najpierw beszta pana za to, że pan ma nadzieję, a zaraz potem za to, że jest pan beznadziejny - odezwał się Freud do Youngera. - Ach, te kobiety! Czego one od nas chcą?

• • •

Zatopiony w fotelu w swoim gabinecie Zygmunt Freud wyglądał na swój wiek. Zmarszczone w skupieniu siwe brwi nadały jego twarzy chmurny wyraz. Zwykle rozbiegany chow-chow Jofi leżał spokojnie u stóp pana. Rozmawiali o zamachu na Wall Street, porwaniu i złej sytuacji finansowej towarzystwa psychoanalitycznego. Syn Freuda Martin wrócił w końcu z niewoli.

- Pierwsze, co zrobił po odzyskaniu wolności, to się jej rzekł - żartował Freud. - Ożenił się.

Colette podziękowała Freudowi za to, że zgodził się leczyć jej brata.

- Jeszcze nie wyraziłem zgody, *Fräulein* - odparł Freud.

- Listownie przedstawiłem pani mój jedyny warunek. Nie dostałem odpowiedzi.

Colette nie reagowała.

- Jestem zbyt stary i zbyt zajęty, żeby sięgać po półśrodki - ciągnął Freud. -

Przyjmuję obecnie niewielu nowych pacjentów. Większość czasu rezerwuję na to, by szkolić w tym zakresie innych. Każda zajęta godzina to szkoda dla mojej własnej pracy. Psychoanaliza, panno Rousseau, nie jest kwestią kilku dni. Musi pani pozostać w Wiedniu przez dłuższy czas.

- Ale ja... - zawahała się. - Nie mam na to środków. Ani pracy.

- To pani problem - stwierdził Freud z bezwzględnością, która zaskoczyła Youngera. - Jeśli mam leczyć pani brata, muszę mieć pani słowo, że tym razem zostanie pani w Wiedniu tak długo, jak się to okaże konieczne.

- Przykro mi - odparła Colette. - Nie wiem.

Freud podniósł się powoli i podszedł do okna, żeby je otworzyć. Powiew chłodnego wieczornego powietrza potargał jego siwe włosy. Z niewielkiego podwórza za budynkiem, gdzie czekał na nich powóz hrabiego Oktaviana, dobiegł stukot końskich kopyt i rzenie. Freud wziął głęboki oddech.

- Więc dobrze - rzekł, nadal zwrócony plecami do Youngera i Colette. - Czy kiedykolwiek śniła pani o bitych dzieciach, *Fräulein*?

- Słucham pana? - powiedziała Colette.

- Czy miała pani takie sny?

Colette się zawahała.

- Skąd pan wie?

- Czasem nie widziała pani we śnie, kto je bije?

- Tak - potwierdziła Colette.

- To zaskakująco częsty sen u kobiet, które czują, że powinny być za coś ukarane - wyjaśnił Freud. - Nie mam wątpliwości, że nie przyjechała pani do Wiednia po to, żebym się zajął pani bratem. Najwyraźniej ma tu pani inną sprawę. Opierając się na uwadze, którą rzuciła pani do Youngera przy drzwiach, mogę wnioskować, że przyjechała pani tutaj, by odnaleźć i poślubić narzeczonego, tego, który siedział w więzieniu podczas pani poprzedniej wizyty. Nie wie pani, gdzie on jest teraz. Niewykluczone, że wyjechał z Austrii. Czy tak?

Colette patrzyła zdumiona.

- Nie dziw się - powiedział do niej Younger. - Doktor cały czas robi takie rzeczy.

- Prawdziwą tajemnicą pozostaje fakt, jak się pani udało przekonać Youngera, który jest przecież rywalem pani narzeczonego, żeby jej w tej podróży towarzyszył - zakończył Freud. - Muszę przyznać, że to imponujący wyczyn. I zagadkowy.

- Nie pan jeden się temu dziwi - wtrącił Younger.

- W każdym razie nie zmienia to mojego stanowiska - oświadczył Freud. - Jeśli postanowi pani szukać tu pracy, skieruję panią do Wiedeńskiego Instytutu Radowego. Ponoć jest wspaniały i nie żywią tam uprzedzeń wobec kobiet. Zapiszę pani także nazwisko i adres mojego starego przyjaciela. Jest neurologiem. - Po twarzy Freuda przebiegł uśmiech, nieznaczny i raczej gorzki. - Odkrył metodę leczenia neuroz wojennych szybszą niż moja. Nie mogę ręczyć za to, co robi, wiele osób jednak mu wierzy, a ponieważ najwyraźniej chce pani wyleczyć brata w jak najkrótszym czasie, byłbym nieuczciwy, gdybym was do niego nie skierował. Co do pana, Younger, najwyższy czas, żebyśmy się zabrali za niedokończone sprawy. Mam jutro wolną godzinę od jedenastej rano. Spotkam się wtedy z panem.

•••

- Uprzedzałem, że bywa opryskliwy - powiedział Younger, kiedy powóz ruszył z turkotem po bruku Berggasse w kierunku Kanału Dunajskiego.
- Jest taki smutny - powiedziała Colette.
- Freud? Chyba raczej zmęczony - odparł Younger. - I zły. Nie jestem pewien dlaczego.
- Powiedziałbym raczej, że stał się pragmatyczny - wtrącił z kozła Oktavian. - Jest profesjonalistą.
- Nigdy nie widziałam takich smutnych oczu - upierała się Colette.
- Moim zdaniem wcale nie były smutne - ripostował Younger.
- Więc to tak! Ja tej sprawy nie rozstrzygnę - oznajmił Oktavian. - Słyszałem go przez okno, nie widziałem jednak oczu.
- To dlatego, że ty nigdy nie wiesz, co czują inni ludzie
- Colette zwróciła się do Youngera. - Dobrze, że porzuciłeś psychologię. Jesteś jak ślepiec.

ROZDZIAŁ

Czternasty

Wśród okazałych gmachów przy wiedeńskiej Ringstrasse znajdowała się pięciokondygnacyjna biało-różowa kamienica, a na parterze elegancka Café Landtmann. W głównej sali kawiarni pod zwisającym bulwarem kryształowych żyrandoli Younger spotkał się z Freudem o jedenastej następnego dnia. Kierownik sali przywitał Freuda niczym starego przyjaciela i poprowadził ich do stolika przy oknie z wymyślnymi firanami; roztaczał się stamtąd widok na wspaniały budynek teatru narodowego.

- A więc wie pan, o czym chcę porozmawiać? - spytał Freud, siadając przy stoliku.
- O kompleksie Edypa? - zgađł Younger.
- O panie Rousseau.
- Dlaczego?
- Niech mi pan najpierw opowie swoje wrażenia z konsultacji neurologicznej u mojego starego znajomego Jauregga - poprosił Freud.

Tego ranka Younger, Colette i Luc odwiedzili doktora Juliusa Wagnera-Jauregga w jego uniwersyteckim gabinecie.

- Leczy neurozy wojenne za pomocą elektrowstrząsów - odparł Younger.
- Tak. Jego zespół przechwala się sukcesami. Czy był zaskoczony, że was przysłałem?
- Bardzo. Stwierdził, że zeznawał pan przeciw niemu podczas jakiegoś procesu w ubiegłym tygodniu.
- Przeciwnie. Zeznawałem na jego korzyść. Zarzucano mu, że torturował naszych żołnierzy, zmuszając ich, by wracali na front. Rząd powierzył mi zbadanie sprawy. Uznałem, że używał elektroterapii w sposób całkowicie zgodny z etyką zawodową. Oczywiście wyjaśniłem, że tylko psychoanaliza może odkryć przyczynę nerwicy frontowej i wyleczyć chorobę, nie wiedziano o tym jednak w dziewięćset czternastym roku. Mój znajomy i jego poplecznicy poświęcili resztę przesłuchania na próbę zszargania reputacji każdego psychoanalityka w Wiedniu. - Kelner przyniósł dwie małe ozdobione złotą obwódką filiżanki z kawą i koszyk ciastek.
- Stary głupiec ze mnie, zapomniałem, jak silną wrogość nadal wzbudzamy. Ale nieważne. Czy namówił was na poddanie chłopca elektrowstrząsom?
- Zaproponował jeden zabieg pod niskim napięciem. Uważa, że nerwica frontowa jest czymś w rodzaju zwarcia wewnątrz mózgu i że krótki wstrząs elektryczny może to zwarcie zlikwidować.
- Wiem. Skoro nie dowierza pan psychologii, zapewne przychylniej traktuje pan takie koncepcje.

Younger przywołał w myśli zdezorientowane i umęczone twarze cierpiących na nerwicę frontową żołnierzy, które kiedyś widział. Naukowy umysł kazał mu sądzić, że przyczyną ich cierpienia rzeczywiście mogło być jakieś zwarcie w układzie nerwowym.

Coś w nim jednak sprzeciwiało się takiej diagnozie, a przynajmniej tej metodzie leczenia. W końcu powiedział:

- Nie sądzę, aby mózg chłopca funkcjonował nieprawidłowo.
- A więc uważa pan, że problem tkwi w krtani?
- Wątpię - odparł Younger.
- Przynajmniej tu ma pan rację. Co postanowiła panna Rousseau? Chociaż nie, niech pan nie mówi. Zgadnę. Była strapiona i nie mogła się zdecydować. Chciała to zrzucić na pana.

- Skąd pan wie?
- Powiedziałby pan, że ona ma skłonność do autodestrukcji?
- Zdecydowanie nie.
- Naprawdę? Mam wrażenie, że gustuje pan w takich właśnie kobietach.
- Robię wyjątki - stwierdził Younger.
- Czy pociągają ją agresywni i grubiańscy mężczyźni?
- Jeśli ma pan na myśli mnie, to jej pociąg do takich mężczyzn jest niestety słaby.
- Nie idzie mi o pana - zaproponował Freud.
- O jej narzeczonego? Grubera?
- Jest przecież kryminalistą.

Younger spojrział za okno.

- Ona pamięta uroczego, rannego i pobożnego żołnierza, którego poznała w szpitalu.

- Matczyne uczucia? Mało prawdopodobne. - Freud zamieszał kawę. Na jego i tak już pochmurnej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. - Czy byłem dla niej zbyt surowy wczoraj wieczorem?

- To jej nie zaszkodzi. Dlaczego postąpił pan tak surowo?

Freud zdjął okulary. Starannie wyczyścił chusteczką najpierw jedno, potem drugie szkło.

- Przypomina mi moją Sophie, drugą z córek - powiedział. - Piękna, uparta. Sophie zaręczyła się w wieku dziewiętnastu lat. Z trzydziestoletnim fotografem. Jakby nie mogła się doczekać, aż wyrwie się z domu rodzinnego. Sądzę, że na pannie Rousseau wyładowałem gniew, który wzbudza we mnie Sophie.

- Sophie to ta, która mieszka w Niemczech?
- To ta, która nie żyje.
- Nie wiedziałem.

- To się stało rok temu w styczniu. Grypa. Mieszkała w Berlinie razem z dwoma synami i mężem, którego nigdy nie traktowałem tak dobrze, jak na to zasługiwał. Kiedy otrzymałem wiadomość o jej chorobie, nie kursowały żadne pociągi, nawet specjalne. Z następnej wiadomości dowiedziałem się, że odeszła. - Wziął głęboki oddech. - Potem dosłownie wszystko straciło dla mnie sens. Człowiek niewierzący, jak ja, nie może zracjonalizować takiej sytuacji. Nie znajdzie wyjaśnienia. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko podporządkowanie się w milczeniu. Nie mam wyjścia. Przez kilka miesięcy moje własne dzieci, te żyjące, i ich dzieci... - Freud przerwał i przez chwilę zbierał się na wyznanie: - Nie mogłem znieść ich widoku.

Za oknem wrzało życie na Ringu. Przetaczały się auta i tramwaje konne. Przejechał piękny powóz. Niania pchała wózek z niemowlęciem.

- No cóż, człowiek nie został stworzony po to, aby był szczęśliwy - powiedział

Freud. - Powie pan, że to przesąd, ale mam złe przeczucia, jeśli idzie o pannę Rousseau. Jaki jest cel jej przyjazdu do Wiednia?

- Odgadł pan wczoraj wieczorem. Gruber, czyli typ, którego niedawno zwolniono z więzienia.

- Ależ, Younger, nie mógł pan przecież zapomnieć wszystkiego z psychologii! Co panna Rousseau chce osiągnąć?

- Zapewne chce się przekonać, czy nadal ją kocha. A może raczej, czy ona nadal go kocha. Złożyła obietnicę. Osoba jej pokroju dotrzymuje obietnic.

- Nonsens! Nie wierzę w jej motywację. Pan też nie powinien. Wie pan, za co dokładnie został uwięziony ten żołnierz?

- Nie.

- A ja wiem. Sama mi to powiedziała, tonąc we łzach, dzień po tym, jak w zeszłym roku wyjechał pan z Wiednia. Otóż pobił starszego mężczyznę. Tak przynajmniej twierdzi policja. Powiedziałem jej, że zbior, który uczestniczy w marszach Ligi Antysemitycznej, nie nadaje się na jej męża. Doradziłem, żeby więcej się z nim nie spotykała. Sądziłem, że posłuchała mojej rady.

- Najwyraźniej zmieniła zdanie - rzucił Younger.

- W podobny stan popada wiele młodych kobiet: przywiązują się do brutalnych mężczyzn. Wybaczą im niewłaściwe traktowanie. Sądzą, że to jest miłość, a nie jest. W rzeczywistości kobiety te chcą zostać ukarane za własne grzechy, prawdziwe czy wymagane. Albo za grzechy innych ludzi. Jest coś niewłaściwego w przywiązaniu panny Rousseau do tego Grubera. Czuję to. Radzę więc, by nie spuszczał jej pan z oka. Ona się rzuca w ramiona kryminalisty!

- Może ją pobije, a wtedy sama pójdzie po rozum do głowy.

Freud uniósł brew. Younger zaczął się zastanawiać, czy on sam przejął nawyk podnoszenia jednej brwi właśnie od Freuda.

- Ma pan wrażenie, że pościeliła sobie łóżko z tym mężczyzną, i korci pana, żeby jej pozwolić się w nim przespać?

- Nie kontroluję, gdzie sypia panna Rousseau.

- Chciałby pan ją zobaczyć ukaraną za to, że wybrała innego mężczyznę. Bierz pan odwet, pozwalając jej odejść.

- Pozwalając jej odejść? Przepląnąłem przez ocean, chcąc ją namówić, by zmieniła zdanie.

- Nie zdoła jej pan namówić, by zmieniła zdanie. Ale może uda się panu ją obronić.

- Przed czym?

- Przed tym Gruberem. Przed decyzją, której będzie żałować przez resztę życia.

•••

Po powrocie do Hotelu Bristol Younger zastał czekającą na niego wiadomość:

Drogi Strathamie!

Pędzę właśnie na pociąg. Nie poszłam do Instytutu Radowego. Wybrałam się do więzienia, gdzie mi powiedziano, że Hans opuścił Wiedeń i pojechał do Braunau am Inn. To jego rodzinne miasto, jak sądzę. Do Braunau kursuje tylko jeden pociąg dziennie, który odjeżdża za godzinę. Spodziewam się, że wrócę jutro. Luc jest w moim pokoju. Proszę, zaopiekuj się nim. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz.

Twoja

Colette.

Younger długo się wpatrywał w te słowa. Przeczesał włosy palcami, a następnie posłał po Oktaviana Kinskyego, arystokratycznego woźnicę.

•••

Godzinę później Younger i Luc czekali w recepcji. Oktavian pojawił się elegancko ubrany w skórzaną kurtkę i czapkę szoferską.

- Wiem, że chciał pan samochód, ale niczego lepszego nie udało mi się zorganizować w tak krótkim czasie - powiedział. - Ale wystarczy. Dowiozę pana do Braunau w ciągu sześciu godzin.

Wskazał ręką na zewnątrz; przed wejściem do hotelu stał motocykl z lśniącymi, wypolerowanymi chromowanymi elementami i doczepionym z boku wózkiem wykładanym drewnem.

- Za mało - stwierdził Younger.

Oktavian się zorientował, w czym problem: Luc także miał na sobie strój podróżny, a kosz przeznaczony był tylko na jedną osobę.

- Kawaler także jedzie? Nie wiedziałem.

Younger wyszedł na zewnątrz. Oktavian i Luc podążyli za nim.

- Pojadę sam z chłopcem - zdecydował Younger.

- Ale motocykl nie jest mój - odparł Oktavian. - Nie sądzę...

- Dostanie pan go z powrotem jutro. Gwarantuję. Wezmę także to, jeśli pan pozwoli. - Younger sięgnął po kurtkę Oktaviana. - I czapkę.

- O Boże! - jęknął Oktavian.

Góra bocznej przyczepy miała dziurę na tors pasażera. Rozchylane na dwie strony klapy odkrywały miękko obite siedzenie i mały schowek na bagaż. Younger ubrał Luca w kurtkę skórzaną, naciągnął mu na uszy czapkę, po czym posadził chłopca na siedzenie i złożył klapy, zabezpieczając zamek. Niedługo potem wyjechali z miasta na drogę.

Younger nauczył Luca, jak się pochylać na zakrętach, żeby nie musiał zwalniać. Kurtka i czapka były na chłopca za duże, wyglądał w nich komicznie; zapewniały mu jednak ciepło. Younger nie poinformował chłopca o celu wyprawy, Luc też go o nic nie spytał. Ogólnie rzecz biorąc, jechało się dobrze - dopóki nie zaczęło padać.

Pierwsza błyskawica rozdarła niebo przed nimi bez żadnego ostrzeżenia. Zaraz po niej rozległ się huk, jakby tuż nad ich głowami wystrzeliła haubica. Przerażony Luc chwycił Youngera za ramię. Younger na chwilę stracił panowanie nad kierownicą, motocykl gwałtownie skręcił, omal nie wyrzucając go z siodełka. Younger zdołał wyprostować maszynę i ostro zgromił chłopca.

- Kiedy ogarnia cię strach, działaj wolniej, a nie szybciej - zakończył reprimendę.

•••

Otoczone murem miasteczko nad rzeką Inn było przytulne i typowo niemieckie, usytuowane o rzut kamieniem od Bawarii. Kolorowe pochyle dachy sąsiadowały ze sobą wokół malowniczych placów, nadzorowane przez wysoką wieżę kościoła. Nie było stacji kolejowej - tylko platforma i budka, w której sprzedawano bilety.

W gęstniejącym mroku Younger wjechał motocyklem na tę platformę. Otarł kurz z oczu i wodę z czoła, żałując, że nie ma gogli. Podróż nie zajęła im sześciu godzin. Trwała dziesięć - deszcz zmuszał go do wolniejszej jazdy, trzeba było nakarmić Luca i

trzykrotnie obrali złą drogę. Younger otworzył górę kosza i wyjął z niego Luca. W środku stała woda, chłopiec też nią ociekał.

Younger spytał sprzedawcę biletów, czy ma jakieś koce. Miał. Younger rzucił je Lucowi, polecając mu, żeby zdjął mokre ubranie i się osuszył.

- Pociąg z Wiednia już przyjechał? - zwrócił się do kolejarza.
- Tak. Dwie godziny temu.
- Może widział pan, jak wysiadła z niego dziewczyna? Ciemnowłosa, podróżowała sama.

- Francuzka? - spytał mężczyzna.
- Tak.
- Bardzo piękna?
- To ona.
- *Nein*.

Younger czekał, ale nie padło żadne wyjaśnienie.

- Co ma pan na myśli, mówiąc *nein*?
- Nie było mnie tutaj, kiedy przyjechał pociąg z Wiednia, Mein Herr - wyjaśnił kolejarz. - Ale pańska *Fräulein* musiała się w nim znajdować. Sprzedałem jej bilet.
- Dokąd?
- Kupiła bilet do Pragi. W jedną stronę. Nie miała bagażu. Niewiele brakowało, a by ją pan spotkał. Pociąg odjechał niecałą godzinę temu. Cóż niezwykłego się wydarzyło, że taka dziewczyna podróżowała sama po nocy?

Younger przejechał palcami po włosach.

- Szukam Hansa Grubera. Wie pan, gdzie on mieszka? Albo jego rodzina?

• • •

Younger znalazł dom, który opisał mu kolejarz - mały, z płotem, rustykalny, czysty, ale w opłakanym stanie. Dach wyglądał tak, jakby łąda chwila miał się zawalić. Drzwi otworzyła korpulentna kobieta o twardym spojrzeniu.

- Frau Gruber? - spytał Younger.
- Tak. Czego pan chce?
- Jestem przyjacielem Hansa.
- Kłamca! - Głos starszej pani był zrzedliwy i przebiegły zarazem. Widok owiniętego w koce chłopca u boku Youngera najwyraźniej jej nie zmiękczył. - Proszę odejść. Nie ma go tutaj. Jest w Wiedniu.

Chciała zamknąć drzwi, ale Younger ją powstrzymał.

- Nie to powiedziała pani dziewczynie - stwierdził. - Jej mówiła pani o Pradze.

Zmrużyła oczy podejrzliwie. Wybuchając paskudnym śmiechem, odsłoniła stare żółte zęby.

- Myśli pan, że nie wiem, co z nią zrobi? Znam jego sztuczki! Zedrze jej z pleców kieckę, zrobi z niej swoją dziwkę, a potem wyrzuci na śmietnik, kiedy mu się znudzi. Jak wszystkie pozostałe.

Younger zareagował na tę informację zaskakująco ambiwalentnie. Z jednej strony czuł, że Colette może się znaleźć w prawdziwym niebezpieczeństwie, jeśli poślubi Grubera. Z drugiej jednak nabrał przekonania, że szanse, by go poślubiła, wyraźnie zmalały.

- Niech mi pani powie, gdzie w Pradze go znajdzie.

- Wiem, po co pan przyjechał - stwierdziła kobieta. - On jest panu winien pieniądze. Widzę to po pańskich oczach. Cóż, najpierw musi spłacić dług, który zaciągnął u mnie. - Z goryczą pokiwała głową. - Przez długie lata brał zasiłek rodzinny tylko dlatego, że rząd adresował kopertę do niego. A potem jeszcze miał czelność przyjechać tutaj i spać pod moim dachem! Niech pan się wynosi albo wezwę policję.

Oczekuje pan, że pomogę komukolwiek wyciągnąć pieniądze od Hansa? Wszystko, co ma, i tak jest moje.

- Ile? - spytał Younger.
- Co takiego?
- Ile jest pani winien?

Starucha z wielką satysfakcją wymieniła kwotę; była duża. Mimo to Younger wyciągnął z portfela jeszcze więcej koron. Oczy jej się zaświeciły.

• • •

Younger opuszczał dom pani Gruber nie tylko z praskim adresem, ale też Lukiem ubranym w suche i czyste, choć stare chłopięce ubranie z brązowej wełny. Wcześniej kolejarz powiedział mu, jak dojechać Pragi.

- Prześpij się trochę - powiedział do Luca, kiedy chłopiec wchodził do kosza motocyklowego. - Mamy przed sobą długą drogę.

Luc utkwiał w Youngerze badawcze spojrzenie.

- Wszystko w porządku, nie ma w tym żadnej tajemnicy - stwierdził Younger. - Twoja siostra szuka mężczyzny, którego poznała podczas wojny. Mieli się pobrać. Jedziemy za nią.

Luc nadal patrzył na Youngera.

- Nie, nie wiem, co zrobię, kiedy ją znajdziemy - odpowiedział Younger. - To zresztą i tak chyba bezcelowe. Zanim dotrzemy do Pragi, oni już dawno będą w kościele i rozdzwonią się weselne dzwony. A ja wyjdę na ostatniego głupca.

Chłopiec klepnął Youngera w rękę. W schowku zaczął szukać czegoś do pisania. Znalazł wizytówki Oktaviana. Na odwrocie jednej z nich napisał coś, po czym wręczył kartonik Youngerowi. Ten przeczytał: „Moja siostra chce wyjść za ciebie”.

- To oczywista nieprawda - odpowiedział Younger. Wsiadł na motor i kopnął nogą rozrusznik.

Luc klepnął go w rękaw i wręczył mu kolejną wizytówkę. Na tej napisał: „Nie lubię mojej siostry”.

- Lubisz, lubisz - nie zgodził się z nim Younger.

• • •

Była dziewiąta rano, kiedy w lekkim deszczu toczyli się po brukowanych ulicach praskiego Nowego Miasta. Przymiotnik w nazwie odnosi się do czasów świetności w połowie czternastego wieku. Nové Město osobiwie mieszało style i epoki. Gotyckie kościoły rozpychały się między ozdobnymi neoklasycznymi kopułami; barokowe pałace wypełniały przestrzeń między średniowiecznymi wieżami wyglądającymi jak pudełka; na ulicach stały liczne dziewiętnastowieczne pomniki osiemnastowiecznych generałów z szabłą w ręku, na stojących dęba koniach; nawet złote iglice na wieżach kościołów i łososioworóżowe domy wydawały się szare.

Younger miał przekrwione oczy. Jechał całą noc. Obok niego skulony w koszu spał

Luc.

Na szerokiej alei biegnącej nad powolną i mętną Wełtawą Younger zaparkował przed kawiarnią, w której dostrzegł oznaki życia. Zsiadł z motoru, zapalił papierosa i przeszedł przez ulicę do balustrady, z której mógł patrzeć na rzekę. W dole łódzie przepływały pod przypominającym tunel sklepieniem średniowiecznego kamiennego mostu. Ziewając, dołączył do niego Luc, który właśnie się obudził, czując, że motor już nie jedzie. Po drugiej stronie rzeki grunt znacznie się podnosił, a na wysokim brzegu, odbijając jasne promienie porannego słońca, rozciągał się Prażsky Hrad - zamek praski.

- To największy zamek na świecie - tłumaczył Younger Lucowi. - Przed wojną był siedzibą cesarzy i królów. Teraz stoi pusty. Ponoć go przebudowują. Odnawiają na użytek rządu. Czujesz? Coś smacznego pieką w tej kawiarni. Chodźmy sprawdzić.

•••

Potrzebowali kolejnej godziny, żeby znaleźć ulicę, której nazwę zapisała Youngerowi Frau Gruber. Czeski był dla niego kompletnie niezrozumiały, nawet jednak kiedy znajdował kogoś, z kim mógł się porozumieć po niemiecku, ludzie nie rozpoznawali tej nazwy. Może dlatego, że uliczka mieściła się w najstarszej dzielnicy, będącej labiryntem alejek, a może dlatego, że Younger nie potrafił w sposób dla nich zrozumiały wypowiedzieć jej nazwy.

W końcu znaleźli ją w pobliżu starej kamiennej wieży strzelniczej. Z otaczających dachów patrzył na nich trybunał świętych naturalnej wielkości, wyrzeźbionych z pociemniałego przez wieki marmuru, powykrzywianych albo ze szczęścia, albo w męczarniach. Po bokach stały dwu- i trzykondygnacyjne domy, każdy liczący kilkaset lat, z balkonami tak blisko jeden drugiego, że stojąc na nich, mieszkańcy mogliby chyba uścisnąć sobie dłonie.

Younger zastukał do drzwi domu oznaczonego numerem, którego szukał. Nie był pewien, co zrobi, jeśli ktoś otworzy, nikt jednak nie otworzył. Nacisnął klamkę; drzwi były zamknięte. Próbował pytać przychodniów o Hansa Grubera. Nie mieli pojęcia, co mówi, a jeśli nawet rozumieli, że chodzi o nazwisko, nic im ono nie mówiło.

- Będziemy musieli poczekać - powiedział do Luca. Zaparkował motocykl kawałek dalej, między dwoma starymi budynkami, i zapalił papierosa.

•••

Minęło południe, a Colette się nie pojawiła. Ani nikt, kogo mógłby uznać za znanego mu z opisu Hansa Grubera. Younger zaczął się zastanawiać, czy stara Frau Gruber go nie okłamała, podając byle jaki adres. Nie wydało mu się to prawdopodobne. Może kobieta po prostu się pomyliła, ale w takim razie Colette też miałaby zły adres i w końcu tu przyjdzie - chyba że zdążyła przed nimi. To jednak Younger uważał za wręcz niemożliwe, zważywszy, jak często austriackie pociągi się psują, potrafiąc się spóźnić nawet o dwadzieścia cztery godziny.

W pobliskim sklepie kupił bochenek chleba i kilka grubych plastrów szynki. Kiedy wrócił z zakupami, chłopiec wręczył mu kolejną karteczkę: „Czy jestem tchórzem?”

Younger zrobił po kanapce dla Luca i dla siebie.

- Powiem ci banał na pocieszenie - stwierdził. - Frazes albo komunał, jak wolisz, w każdym razie coś, co wszyscy wiedzą. To, że się boisz, nie oznacza wcale, że jesteś tchórzem. To wyświechtana prawda, ale jednak prawda.

Luc napisał na kartce: „Ty nigdy się nie boisz”.

- Oczywiście, że się boję! - odrzekł Younger. - Powiem ci jeszcze coś w tajemnicy. Odwaga polega na tym, żeby nie pokazywać absolutnie nikomu, jak bardzo się boisz. Przykro mi, że muszę ci to mówić, ale niektórzy chłopcy już w twoim wieku udowadniali, że są bohaterami. Możesz więc równie dobrze poznać prawdę. Kiedyś pewien chłopiec, nawet trochę młodszy niż ty teraz, dokonał najodważniejszego czynu, jaki widziałem w życiu. Został porwany. Leżał związany, a mimo to zachował przytomność umysłu i zwrócił moją uwagę na probówkę z dwutlenkiem uranu, która akurat w tym momencie staczała się ze stołu. Ocalił nas obydwu przed śmiercią z rąk pewnego potwornego typu. Prawdę mówiąc, wyjątkowo potwornego. Tak wstrętnego, że wyglądał lepiej, gdy jego broda i wąsy zajęły się ogniem.

• • •

Zapadła noc, kiedy Luc go obudził. Ulica była teraz pełna świateł i hałasów dobiegających z kilku gwarnych tawern. Zrobiło się chłodno. Younger miał sucho w ustach i był zeszywniały. Chłopiec z przejęciem wskazywał przed siebie: szczupła kobieca sylwetka w lekkim płaszczu zdecydowanym krokiem zbliżała się do budynku, który obserwowali. Była to Colette. Zapukała do drzwi. Tym razem ktoś otworzył i Colette zniknęła w środku. Younger czekał, obserwując, czy w którymś z okien nie pojawi się światło.

Zastanawiał się, co ma zrobić, kiedy ponownie zobaczył Colette w drzwiach; ruszyła w dół uliczką, po której drugiej stronie przyczaili się Younger i Luc. Kilka kroków dalej skręciła, znikając pod kamiennym łukiem.

Ostrożnie ruszyli za nią. Kamienny łuk prowadził do zaskakująco dużej pijalni piwa na wolnym powietrzu, zorganizowanej na podwórzu czegoś, co kilka wieków wcześniej mogło być klasztorem. Mała orkiestra zachęcała do tańca. Lampiony wisały na gałęziach. Mężczyźni śpiewali, nieprzyjemnie głośno i fałszywie. Było wiele kobiet, żadna jednak nie przyszła, jak Colette, bez towarzystwa. Na parkiecie z płyt chodnikowych tańczono. Colette najwyraźniej szukała wśród gości Grubera.

Younger odczuwał silną pokusę, żeby się ujawnić. Podejrzewał jednak, że gdyby to zrobił, zanim Colette znajdzie swojego Heinricha, dziewczyna się wścieknie i nie będzie chciała go słuchać. Jego ingerencja mogłaby ją nawet skłonić do jeszcze intensywniejszych poszukiwań. Uznał więc za korzystniejsze rozwiązanie poczekać, aż Gruber sam zatopi własny statek. Jeśli Frau Gruber mówiła prawdę, Heinrich okaże się łajdakiem i dziwkarzem. Taki typ mógł oglupić Colette, będąc ranny, na pewno jednak wzbudzi w niej odrazę w pełni sił. Gdyby jednak nie poczuła odrazy, Younger będzie miał czas później, by stanąć z nią oko w oko i zaapelować po raz ostatni. Ponadto musiał przyznać, że zżera go ciekawość; chciał zobaczyć, jak spotkają się Colette i Gruber i jak wzajemnie zareagują na swój widok.

Younger zajął więc miejsce w najciemniejszym kącie zatłoczonego ogrodu, jak najdalej od Colette. Zbyt dużą czapkę Oktaviana naciągnął głęboko na czoło Luca, choć w ciemności i przy takim tłoku niewielkie było prawdopodobieństwo, że Colette ich zauważy. Zresztą wydawała się bardzo zaabsorbowana własnymi sprawami. Usiadła na ławce przy jednym z długich drewnianych stołów pod wiszącą lampą. Niemal ostentacyjnie, tak przynajmniej pomyślał Younger, zdjęła płaszcz, ukazując sukienkę niepodobną do niczego, w czym ją wcześniej widywał.

Miała gołe ramiona i odkryte plecy. Rąbek sukienki ledwie sięgał jej kolan - nie, tak naprawdę je odkrywał, kiedy usiadła, krzyżując nogi w butach na wysokim obcasie; wędrowało ku nim oko każdego chyba mężczyzny w ogródku piwiarni. Plecy nigdy chyba tak śmiało nie dawały do zrozumienia, że są po to, by na nie patrzeć. Mężczyźni przy stoliku za nią najwyraźniej byli o tym przekonani. Poklepywali się po ramionach, wskazywali nowo przybyłą i wykonywali przy tym typowo samcze gesty, pokrzykując.

Wśród tych mężczyzn, choć nigdy wcześniej go nie widział, Younger natychmiast rozpoznał Hansa Grubera. Nie miał żadnych wątpliwości: jedyny w całym ogródku wysoki postawny blondyn z niebieskimi oczami. Był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną: przed trzydziestką, zawiadający w stroju i pewny siebie, hojnie zamawiający alkohol nie tylko dla siebie, ale też dla całej koterii znajomych.

Z przeciwnej strony niepewnym krokiem podszedł do stolika Colette mężczyzna z tłustymi węsami, najwyraźniej zamierzając ją wciągnąć w rozmowę; z pośpiechu potknął się jednak o ławę, na której siedziała. Colette zręcznie odsunęła się na bok i mężczyzna zamiast na jej kolanach wylądował na stole, wyjąc z bólu po uderzeniu w gołe i rozbijając całą kolekcję szklanek i butelek. Colette nie wykazała najmniejszego zainteresowania rozgardiaszem, jaki nastąpił później, wyjmując z torebki cygarniczkę. Younger nigdy wcześniej nie widział jej z papierosem.

Przed jej twarzą pojawiła się para męskich dłoni, chroniących ogień zapalanej zapalki. Były to oczywiście dłonie Hansa Grubera. Colette przyjęła ogień. Podniosła wzrok i odezwała się, ale w ogródku panował tak wielki hałas, że Younger mógł się tylko pokusić o odczytanie słów z ruchu jej warg. Wcale nie było oczywiste, że Gruber ją rozpoznał. A może zaczął sobie zdawać sprawę, kim ona jest, gdy jego ręce zawisły przed jej ustami, a ich twarze znalazły się blisko siebie.

Przez chwilę rozmawiali - ona pałac, on od czasu do czasu odpychając mężczyzn, którzy usiłowali włączyć się do rozmowy. Gruber zamówił dla niej drinka; przyniesiono, on zapłacił, ona wypła. Następnie poprowadził ją na parkiet. Kiedy tańczyli, prawą dłonią Hans pieścił okolice talii Colette.

Younger skrzywił się w duchu z niesmakiem.

• • •

Taniec trwał godzinę albo dłużej, przerywany hałaśliwą konsumpcją alkoholu w dużych ilościach. Pił nie Gruber, lecz Colette i jego dwaj niscy atletyczni kompani, którzy pozbawieni damskiego towarzystwa, zdawali się kibicować zalotom Grubera. W pewnej chwili Gruber zaczął opróżniać potrójny kufel spienionego piwa, a towarzysze głośno skandowali jego imię. Gdy orkiestra zrobiła sobie przerwę, Gruber podał Colette płaszcz i z rozradowaną miną wyprowadził ją z ogródka. Dwaj kompani ruszyli za nimi, śmiejąc się na całe gardło.

Younger pozwolił im dotrzeć do wyjścia, zanim z Lukiem ruszył ich śladem. Wyszli na ulicę akurat w chwili, gdy Colette wsiadała do czteroosobowego kabrioletu. Gruber usiadł obok niej i auto ruszyło. Gruber głośno - i nawet niezłe, musiał przyznać Younger - śpiewał, trzymając rękę na ramieniu Colette. Younger pośpieszył do motocykla.

Sześcioramienne gwiazdy i hebrajskie napisy na sklepach wskazywały, że wjechali do dzielnicy żydowskiej. Younger nie potrafiłby powiedzieć, po co ukradkiem podąża za Colette i jej amantem przez Pragę, ale to robił, Jechał za autem Grubera, którego pijany kierowca nie trzymał się prostej. Kilka razy samochód wtoczył się na chodnik, po czym

znów wracał na jezdnię.

Znajdowali się na bulwarze o nazwie Mikulańska, obrzeżonym drzewami i fasadami kamienic w stylu art nouveau, oświetlanymi kapryśnym płomieniem lamp gazowych. Starsza kobieta niosąca coś ciężkiego pośpiesznie przeszła przez ulicę, jakby gwałtownie poszukiwała bezpiecznego schronienia.

- Co ona robi na mieście o tej godzinie? - Younger głośno zadał sobie pytanie.

Zza domów dobiegły krzyki. W bocznych uliczkach biegali grupami chłopcy. Zrobiło się jakieś zamieszanie. Samochód Grubera zatrzymał się tuż obok zajścia. Younger także przystanął przy grupie kilkunastu młodych mężczyzn, stojących w kręgu na dużym chodniku. Pośrodku znajdował się mężczyzna w stroju wieczorowym, drobnej budowy, w okularach i o lasce, którego popychali, szydząc. Ktoś wyrwał mu laskę i rzucił nią w okno wystawowe, wybijając szybę.

- Świetna zabawa - mruknął Younger. Gruber wyskoczył z samochodu i podbiegł do tłumu. Odsuwał z drogi jednego po drugim, by w końcu znaleźć się w środku, gdzie stał nękany przez tłum mężczyzna w wieczorowym stroju.

- *Jüdisch?* - spytał go Gruber.

Wystraszony mężczyzna nie odpowiedział. Gapię zdawali się traktować Grubera z podejrzliwością równą wrogości, jaką okazywali starszemu człowiekowi.

- *Jüdisch?* - powtórzył Gruber uprzejmie, jakby chciał uzyskać ważną informację.

Luc spojrzął na Youngera, który wyjaśnił po cichu:

- Pyta, czy ten mężczyzna jest Żydem.

Noszący okulary starszy pan najwidoczniej zrozumiał to niemieckie słowo. Odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Być może żywił nadzieję, że ten nieznamy blondyn przyjdzie mu z pomocą. Potwierdzenie narodowości okazało się jednak bardzo kosztowne. Gruber zdjął mu z nosa okulary, upuścił je na chodnik i rozgniół butem. Z tłumu podniosły się pełne aprobaty okrzyki. Starszy pan chciał się wycofać, ale Gruber złapał go za kłapę i uderzył w twarz. Cios przewrócił go do tyłu na rozbite okno wystawowe. Tłum wiwatował jeszcze głośniejsze. Hans, otrzepując ręce, precyzyjnie przeszedł przez krąg gapiów i wrócił do samochodu.

Younger chciał ruszyć na pomoc napadniętemu mężczyźnie, ale Gruber zajmował już miejsce w aucie. Prawdopodobnie Colette nie miała pojęcia, co właśnie zrobił. Younger widział, że znów pozwoliła Gruberowi oprzeć rękę na swoim ramieniu. Silnik obudził się do życia i samochód ruszył. Younger zostawił pobitego mężczyznę własnemu losowi.

Samochód Grubera toczył się powoli w górę bulwaru. Younger jechał za nim, utrzymując odpowiednią odległość. Minąwszy kilka przecznic, wjechali na stary plac, pośrodku którego płonęło ognisko. Wokół niego klaskali i śpiewali ludzie. Inni, obciążeni ciężkimi tomami, wychodzili ze starego wielkiego budynku po przeciwległej stronie placu. Kiedy dotarli do środka, wrzucili niesione książki do ognia.

- To pogrom w starym stylu - rzekł Younger.

Samochód Grubera przeciął plac, objeżdżając rozbawionych ludzi, i kilkaset metrów dalej zaparkował przy bramie małego trawiastego skwerku. Younger zatrzymał się mniej więcej przecznicę za nim. Skwer upstrzony był słupami lamp z kutego żelaza i nielicznymi drzewami, których rudobrunatne liście lśniły w srebrnym świetle księżyca. Gruber i Colette wysiedli. Jego dwaj kumple zostali w aucie, pijąc i pokrzykując.

- Zaczekaj tutaj - rzucił Younger do Luca.

Sam zsiadł z motocykla i przemknął przez mrok w kierunku obrzeży skwerku, gdzie

natrafił na wysoki płot z kutego żelaza. Przez pręty widział, jak Gruber i Colette spacerują pod rękę. Younger przesunął się wzdłuż płotu, obserwując, jak tamci dwoje dochodzą do środka. Gruber mówił coś szybko po niemiecku; Colette śmiała się zalotnie, choć Younger ledwie mógł uwierzyć, że ona rozumie słowa mężczyzny. Ku obrzydzeniu Youngera Gruber obracał Colette wokół siebie od czasu do czasu, jakby nadal tańczyli na parkiecie w ogródku piwiarni.

Zatrzymali się w miękkim świetle lampy gazowej. Gruber zsunął jej płaszcz i pozwolił mu upaść na ziemię. Odwrócił Colette, stając za nią. Położył jej dłonie na brzuchu i lekko ukąsił w ucho, po czym zdecydowanym gestem obrócił ją ponownie. Stanęli twarzą w twarz. Przejechał kciukiem dłoni po jej wargach. Torebka Colette upadła na trawę. Gruber przyciągnął ją do siebie, pochylił się, żeby pocałować - po czym nagle zatoczył się do tyłu z rękami podniesionymi do góry.

Colette trzymała mały pistolet. Nie słyszał żadnego huku, nie strzeliła więc do niego. Ale mierzyła prosto w serce, trzymając rękojeść obydwoma rękami. Mówiła do niego coś po niemiecku. Z tonu i rytmu słów Younger wnioskował, że recytuje wyuczony na pamięć tekst, mówiła jednak zbyt cicho, żeby cokolwiek do niego dotarło. Gruber upadł na kolana, powtarzając błagalne słowa. Colette oddychała ciężko, jej ramiona podnosiły się i opadały. Potem znieruchomiała z lufą pistoletu utkwioną między oczami Grubera tuż przy jego głowie.

Ale się zawahała. Wahanie trwało pełne trzydzieści sekund. Gruber przez cały czas nie przestawał mówić błagalnym tonem. W końcu postawiła krok w tył, potem kolejny i jeszcze jeden, wreszcie się odwróciła i uciekła w mrok.

Younger usłyszał odgłos zderzenia i stłumiony krzyk. Chwilę później mocno zbudowani koledzy Hansa pojawili się w snopie światła padającym z wysokiej latarni. Między nimi szarpała się Colette, próbując dotknąć nogami ziemi. Zapewne wpadła prosto na nich. Jeden z pulchną dłonią zatykał jej usta, drugi wbijał w żebra lufę jej własnego pistoletu.

Gruber wstał z klęczek. Splunął, wytarł nos rękawem i przejął pistolet z rąk kolegi. Uderzył Colette w twarz, zelżył ją po niemiecku, po czym wsadził lufę pistoletu do jej ust.

- Ej tam, Gruber! - wrzasnął Younger, szarpiąc za pręty płotu. - Puść ją!

Jego głos zaskoczył mężczyzn. Słyszeli Youngera, nie widzieli go jednak. Gruber się odwrócił, na ślepo kierując pistolet w stronę, skąd doszedł go głos Youngera.

- Dorwiemy cię, Gruber! - krzyczał Younger. - Wyrwiemy ci serce, wetkniemy do gęby i każemy połknąć!

Younger oczywiście kłamał. Nie było żadnych „nas”. Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie pojawiła się obok niego mała postać, która precyzyjnie się między prętami ogrodzenia, rozstawionymi zbyt gęsto dla mężczyzny, ale nie dla chłopca. Younger zdążył chwycić za skórzaną kurtkę, gdy tylko Luc przeszedł na drugą stronę. Nogi chłopca przebierały jak koło zamachowe, uderzając o ziemię, nigdzie go jednak nie zaniósł.

Odgłos tych kroków wywołał natychmiastowy skutek. Najwyraźniej wierząc, że jest ścigany, Gruber rzucił się do bramy wejściowej, nakazując kolegom, by wzięli dziewczynę. Mężczyźni posłuchali natychmiast, ciągnąc opierającą się Colette z sobą. Younger z kolei przeciągnął Luca z powrotem między prętami i puścił się pędem, trzymając chłopca pod pachą. Chociaż musiał pokonać dłuższą drogę, dobiegł do

motocykla niemal w tym samym momencie, kiedy Gruber i jego kompani z Colette dotarli do auta.

- Następnym razem zostań tam, gdzie ci każe, odważniaku! - rozkazał Younger, sadzając Luca w koszu i tym razem zamykając także jego ręce i ramiona, żeby nie mógł się wyślizgnąć.

Sam wskoczył na siodełko, uruchomił silnik i ruszył w pościg.

•••

Tym razem Gruber usiadł za kierownicą. Jechał jak szalony wąskimi uliczkami. Nie zwalniał, mijając zaparkowany przy krawężniku samochód ani nawet na widok pieszych uciekających mu z drogi. Odwrotnie, raz nawet przyśpieszył, kiedy stojący pośrodku drogi mężczyzna nie miał gdzie się schować. Uderzony, upadł bezwładnie na ulicę. Na tylnej kanapie Colette siedziała wciśnięta między dwóch osiłków, którzy trzymali ją mocno.

Younger pędził, nie mógł jednak zmniejszyć dzielącej ich odległości. Nagle wyjechali na ulicę prowadzącą wzdłuż rzeki; Younger dodał gazu i zdołał dogonić samochód. Gruber skręcił pod gotycki łuk, wjechał na średniowieczny most między powykręcanymi barokowymi rzeźbami, ponownie przeganiając pieszych na boki. Kiedy dotarli na drugą stronę rzeki, Younger jechał tuż za nimi.

Ale Gruber skręcił ostro zaraz za mostem i choć Younger próbował zrobić to samo, motocykl wpadł w poślizg, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i uderzył w drewniany stragan. Po chwili znów jechał dalej, ale strata była spora. Na końcu ulicy Gruber znów skręcił z piskiem opon i ruszył pod górę. Znaleźli się w okolicy pełnej krętych uliczek, które stawały się coraz bardziej strome. Na chwilę Younger całkowicie stracił z oczu samochód Grubera. Potem zobaczył go, jak bierze ostry zakręt o sto osiemdziesiąt stopni i znika na stromej alejce.

Younger pomknął za nim. Ulica zamieniła się w brukowaną rampę z domami po jednej i kamiennym murem po drugiej stronie. Wjeżdżali na znaczną wysokość. Co jakies piętnaście metrów mijali niski stopień. Younger wyskakiwał w powietrze za każdym razem, kiedy je pokonywali, a kosz, w którym siedział Luc, odrywał się od ziemi. Minęli złamany szlaban, najwyraźniej staranowany przez samochód Grubera chwilę wcześniej.

Na szczycie Younger wjechał na wielki ciemny plac. Zatrzymał motocykl. Olbrzymia gotycka katedra Świętego Wita majaczyła po jednej stronie, a potężny praski zamek w ciemnościach po drugiej.

Plac był pusty, zawałony gruzem i materiałami budowlanymi. W niektórych miejscach wykopano głębokie dziury. W innych piętrzyły się kilkumetrowe sterty ziemi. Panowała całkowita cisza. Nigdzie ani śladu Grubera.

Youngerowi to się nie podobało. Samochód Grubera mógł się ukrywać wszędzie, gdy tymczasem on i Luc stanowiliby łatwy cel, gdyby wjechał motocyklem na środek placu. Na odległym końcu stado ptaków z krzykiem podniosło się w powietrze i zniknęło, nigdzie jednak nie było widać ani słyhać silnika.

- Może ich tu nie ma - stwierdził Younger cicho, sam w to nie wierząc.

Wyłączył reflektor. Na delikatnym gazie powoli prowadził motocykl wokół rozkopanego terenu, omijając sprzęt budowlany i groźne dziury. Samochodu nadal nigdzie nie widział. Dotarli do dwóch stert ziemi, usypanych jedna za drugą. Younger wtoczył motocykl między nie.

Przed sobą miał panoramę Pragi - rzekę, mosty i liczne dzielnice mrugające światłami. Na skraju urwiska stała kiedyś ściana, teraz jednak ją zburzono. Younger zaczął się obawiać, że naprawdę zgubił zwierzynę.

Odpowiedzią na tę obawę był głośny ryk silnika za plecami i silne uderzenie. Samochód Grubera wałnął w nich od tyłu, przesuwając kilka metrów w kierunku urwiska. Gruber cofnął i ponownie ich staranował. Younger nie miał dokąd uciec, uwięziony między dwiema stertami ziemi po bokach i urwiskiem z przodu. Hamulce motocykla nie dawały rady. Wrzucił wsteczny bieg i piłował silnik. Spowolniło to ich ruch do przodu, ale go nie powstrzymało. Dojechali na samą krawędź urwiska i zatrzymali się z szarpnięciem. Uratowały ich pozostałości po zburzonym murze, nie wyższe niż kilka centymetrów.

Gruber cofnął samochód jeszcze raz, tym razem już ostatni. Younger próbował wyszarpnąć Luca z kosza, ciągnąc za kołnierz skórzanej kurtki, chłopiec jednak był zbyt szczelnie zamknięty. Nie sposób było go stamtąd wyrwać. Usłyszał ryk silnika samochodu Grubera i zgrzyt przekładni skrzyni biegów. Wskoczył na kosz, chwycił chłopca pod pachy, pociągnął go i obrócił dokładnie w chwili, kiedy nastąpiło ostateczne uderzenie, które przepchnęło motocykl przez przeszkodę. Youngera wyrzuciło w powietrze z chłopcem w ramionach. Motocykl przeleciał przez krawędź, spadając, odbił się kilka razy od stromej skały, by wreszcie uderzyć o kamienny mur u stóp wzgórza, wybuchnąć i stanąć w płomieniach.

Younger patrzył na eksplozję z miejsca odległego o kilka metrów od krawędzi zbocza, z którego on i Luc staczali się po upadku, dopóki Younger zmyślnym manewrem nie wycelował w drzewo, na którym wyhamowali. Eksplozja wyrzuciła kawałki motocykla wysoko w górę. Kilka z nich wylądowało obok nich. Chłopiec nie oddychał. Miał szeroko otwarte oczy, nie mógł jednak wciągnąć powietrza do płuc. Younger zamarł na krótką chwilę. Po chwili Luc zaczął łapczywie chwytąć powietrze.

- Nic ci nie będzie - powiedział do niego Younger. - Po prostu dech ci zapało. Nie ruszaj się stąd!

Podbiegł z powrotem na szczyt. Kiedy wspiął się na plac, zobaczył samochód Grubera, który właśnie zamierzał opuścić plac po tej samej brukowanej drodze, którą tam dojechał. Younger włożył palce do ust i gwizdnął głośno.

Samochód Grubera się zatrzymał. Younger zagwizdał ponownie. Samochód się cofnął i zawrócił. Reflektory oświetlały stojącą postać. Dzieliło ich najwyżej trzydzieści metrów.

Przez chwilę na placu nic się nie poruszało, z wyjątkiem pół długiego płaszcza Youngera trzepoczących na wietrze. Wysokie wieże zamku kryły się w mroku. Księżyc rzucał słabe światło na płyty chodnikowe. Younger otworzył ramiona, zapraszając Grubera, żeby się do niego zbliżył.

Silnik samochodu zawył. Younger ruszył przed siebie. Samochód z szarpnięciem potoczył się do przodu. Younger ruszył truchtem. Gruber też przyśpieszył. Younger zaczął biec. Pośrodku placu, kiedy zderzenie było nieuniknione, Younger wyskoczył wysoko w powietrze. Maskę samochodu przejechała pod nim. Uderzył w przednią szybę ramieniem, zasłaniając łokciem twarz.

Szkló ustąpiło. Ostre jak szpilki odłamki szkła uderzyły w twarz Grubera i samochód wymknął mu się spod kontroli. Kiedy Younger wpadł na fotel pasażera, ten wysunął się z szyn, wbijając jednego z osiłeków w tylną kanapę. Mężczyzna wrzasnął z bólu, bo tył

fotela przygwoździł mu nogi, może nawet je łamiąc.

Obok tego rannego i nieuzbrojonego mężczyzny na środku tylnej kanapy siedziała Colette.

- Stratham! - krzyknęła.
- Nie ruszaj się! - rozkazał Younger.

Kompan Grubera siedzący po drugiej stronie Colette trzymał w ręku jej pistolet i próbował wymierzyć go w Youngera, kiedy samochód gwałtownie się zatrzymał. Younger chwycił jego dłoń, przyciskając kciukiem palec, który mężczyzna trzymał na spuście. Pierwsze dwa strzały wypalił nieszkodliwie w powietrze. Potem przycisnął ramię mężczyzny do piersi Colette, tak że lufa celowała między żebra jego kolegi przygniecionego fotelem. Younger strzelił trzykrotnie, a następnie zgiał rękę mężczyzny trzymającego pistolet tak, że celował w jego skroń. Ostatnim wyrazem na twarzy bandyty było zdziwienie: najwidoczniej nie rozumiał, jak to możliwe, że przystawia pistolet do własnej głowy. Younger nacisnął jego palec.

Na przednim siedzeniu Gruber rozpaczliwie wyjmował kawałki szkła z zakrwawionej twarzy i oczu. Słyszac strzały, rzucił się desperacko do drzwi, nie mógł jednak znaleźć klamki. W końcu zaczął się wspinać na drzwi, których nie udało mu się otworzyć.

Younger chwycił go za kostki i stanął na fotelu kierowcy z Gruberem wiszącym głową w dół. Palce młodego Austriaka drapały o płyty chodnikowe jak łapy gryzonia próbującego zagrzebać się w ziemi. Younger podniósł go jeszcze kilka centymetrów do góry i upuścił. Mężczyzna uderzył twarzą o kamienie.

Przeciwnik został ogłuszony, ale nie stracił przytomności. Younger zobaczył na desce rozdzielczej metalowy pręt, który rozdzieliał dwa panele przedniej szyby. Chwycił go, przeskoczył przez drzwi i podniósł Grubera z ziemi, przyciskając do samochodu. Gruber miał zakrwawioną twarz i przerażone oczy. Colette wygrzebała się jakoś spomiędzy ciał dwóch mężczyzn i także wyszła z auta.

- Domyślam się, że zaręczyny zerwane - rzekł Younger do Colette, nie patrząc na nią.
- On nie był moim narzeczoną - odparła. - On jest...
- Wiem, kim on jest - stwierdził Younger.
- Nie - powiedziała Colette. - On...
- Wiem - powtórzył Younger.
- Luc! - krzyknęła Colette. Chłopiec stał ledwie kilka metrów od niej oświetlony reflektorami auta.

Younger spojrzał na kulącego się ze strachu Grubera.

- Próbuję znaleźć powód, żeby pozwolić ci żyć - przemówił do niego cichym głosem, który składał się głównie z oddechu.
- To nie byłem ja - pisał Gruber. - My wszyscy to zrobiliśmy.
- To nie jest dobry powód - stwierdził Younger tak samo bezgłośnie.
- Kazali nam to zrobić - dodał Gruber błagalnie.
- Nie wierzę ci - rzucił Younger.
- Stratham... - zaczęła Colette.
- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to twoje tchórzostwo - zauważył Younger, wpatrując się w pokorną teraz twarz Grubera. Zastanowił się chwilę, po czym dodał: - Ale to także nie jest powód.

Younger przystawił stalowy pręt do podbródka Grubera i silnym pchnięciem wbił go aż do mózgu. Niebieskie oczy stężały. Younger patrzył w te oczy przez długą chwilę, po czym upuścił ciało na ziemię.

- Weźmiemy ich samochód - zarządził Younger.

Wyciągnął z samochodu zwłoki dwóch mężczyzn, układając trzy ciała jedno na drugim. Luc wpatrywał się w martwych mężczyzn, po czym chwycił siostrę za rękę i wsiadł z nią do samochodu.

Kiedy pozbawiony przedniej szyby samochód przekraczał most nad Weltawą, zaczęły wyc syreny

• • •

Kilka godzin później Younger otworzył drzwi przedziału sypialnego w pędzącym pociągu. Jedyna świeczka rzucała niepewne światło. Na dolnym łóżku leżeli Colette i Luc. Chłopiec spał.

- To ty? - szepnęła Colette w ciemności.

- Tak. - Younger poluzował krawat, podszedł do umywalki i skropił twarz wodą. Właśnie wjechali na terytorium Austrii. Czekał w korytarzu, żeby sprawdzić, czy nie wsiadają policjanci. Nie wsiadli.

- Potrafisz zabijać - powiedziała nieoczekiwanie.

Podniósł Luca i położył go na górnym łóżku. Chłopiec się poruszył, ale nie obudził. Colette usiadła zaskoczona, obronnym gestem podciągając kódrę pod szyję. Najwyraźniej się bała, że Younger zamierza spocząć obok niej.

On tymczasem chciał jej właśnie powiedzieć, że znalazł dla siebie inny przedział, żeby ona i Luc nie musieli się gnieść w jednym łóżku. Słowa te jednak nie zdążyły wyjść z jego ust, gdyż ogarnęła go wściekłość. Zerwał z niej kódrę. Odziana tylko w halkę podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Jej zielone oczy błyszczały zaniepokojone w świetle świecy.

Pokręcił głową.

- Co mężczyzna musi zrobić, żebyś mu zaufała? - spytał. - Umrzeć?

- Ufam ci.

- Zapewne dlatego zachowujesz się tak, jakbym miał cię za chwilę zgwałcić?

Cofnęła się do schowanego w cieniu rogu łóżka, chwytając srebrny łańcuszek, który zawsze nosiła na szyi.

Nie potrafiliby wyjaśnić gwałtowności swojej reakcji. Wpadł we wściekłość, jaką wcześniej zdarzało mu się odczuć kilka razy podczas wojny. Chwycił ją za nadgarstki i wyciągnął z łóżka, obracając twarzą do siebie, po czym zerwał łańcuszek z szyi. Nie odezwała się. On zaczął mówić tak cicho, że jego słowa ledwie się przebijały przez turkot pociągu.

- Podziwiam cię, naprawdę! Okłamywałaś mnie przez tyle lat. Robiłaś to wyjątkowo dobrze, udając wielce zasmuconą tym, jak wiele ja przed tobą ukrywam. Teraz też zaczynasz odgrywać bogobojną dziewicę z krzyżem w dłoni i wiarą, że on cię obroni. Czy ktoś ci powiedział, że chrześcijańskie dziewczęta nie ścigają mężczyzny przez sześć lat, żeby go zabić?

- To nie jest krzyż - stwierdziła.

Younger otworzył dłoń: na końcu srebrnego łańcuszka znajdował się medalion.

- Dzięki temu poznałam jego nazwisko. - Colette wzięła od niego medalion,

przekreśliła obydwie jego połowy wzdłuż maleńkiego zawiasu i wyjęła ze środka krążek cienkiego metalu. - Znaleźliśmy to przy mamie. Miała zaciśniętą pięść. Otwierałam ją palec po palcu. Znalazłam to w środku. Mama zerwała go z szyi mężczyzny który ją zabił.

Younger obejrzał metalowy krążek. Był to identyfikator, jaki zwykle noszą żołnierze. Ustawiając go pod kątem, odczytał wygrawerowane słowa: Hans Gruber.

- Nosilałam go dzień w dzień od tysiąc dziewięćset czterdnastego roku. Gdybym powiedziała ci prawdę, czy pozwoliłbyś mi jechać do Wiednia, żeby go odnaleźć?

Nic nie odpowiedział.

- Czy nie próbowałbyś mnie powstrzymać? - nalegała.

- Próbowałbym.

Odwróciła się do okna i pociągnęła za klamkę. Nie chciało się otworzyć. Zawisła na niej obydwiema rękami. W końcu górna połowa okna opadła i dziki pęd zimnego powietrza wtargnął do przedziału. Wpadła w jego ramiona. Jej długie włosy fruwały dookoła ich głów, wchodząc w oczy jej i jemu. Dostrzegł delikatną linię jej policzków i niepokój w utkwionych w nim dwojgu zielonych oczu. Trzymał ją blisko, tak blisko, że jej piersi przyciskały się do niego. Dotknął wargami jej ust. Przez chwilę poddała mu się całkowicie; potem odsunęła się do tyłu, wzięła identyfikator i wyrzuciła go przez otwarte okno. Zniknął w ciemności, nie wydając dźwięku i nie pozostawiając żadnego śladu.

Odwróciła się twarzą do niego, drżąc od zimnego wiatru wirującego w przedziale, z falującymi włosami i nagimi ramionami oświetlonymi blaskiem świecy. Wiedział, że może z nią zrobić, co chce. Gdyby położył na niej dłonie, pozwoliłaby mu na wszystko. Czy uważała, że jest mu to winna? Że musi spłacić dług, który u niego zaciągnęła? Spojrzał na śpiącego chłopca i zasunął okno.

Luc, który wbrew pozorom nie spał, czekał na niemiłe dla ucha odgłosy pocałunków i innych rzeczy, które robią dorośli. Ale na próżno. Usłyszał tylko, jak otwierają się i zamykają drzwi, kiedy Younger wychodził z przedziału.

ROZDZIAŁ

Piętnasty

Bardzo często Amerykanie, a przede wszystkim mieszkańcy stolicy, zastanawiają się, czy miasto Waszyngton leży w Dystrykcie Kolumbii, czy też jest całym dystryktem. W roku 1920 odpowiedź na tak postawione pytanie brzmiała negatywnie w obu przypadkach. Nie było miasta Waszyngton.

Kiedy Stany Zjednoczone umieściły stolicę nad rzeką Potomac między stanami Maryland i Wirginia pod koniec osiemnastego wieku, przeznaczono na to przedsięwzięcie połączyć ziemię w kształcie kwadratu, a właściwie rombu, którego każdy bok mierzył szesnaście kilometrów. Cały ten obszar stanowił terytorium Kolumbii. Na nim znalazły się trzy obszary miejskie: wczesna kolonia Georgetown, poprzednio należąca do Wirginii miasto Aleksandria i nowe miasto stołeczne Waszyngton.

Ponad pół wieku później, kiedy Stany Zjednoczone zawierały wiele nieudanych kompromisów między Północą a Południem, jeden z tych układów dotyczył terytorium Kolumbii. Aleksandria, biedna i ciągle popierająca niewolnictwo, została ponownie włączona do stanu Wirginia, podczas gdy w pozostałej części terytorium zostało ono zakazane. W rezultacie stolica straciła geometryczną doskonałość oraz mniej więcej jedną trzecią z dwustu pięćdziesięciu sześciu kilometrów kwadratowych. Tymczasem miasta Georgetown i Waszyngton się rozrastały i w końcu zaczęły łączyć. Uznając ten stan rzeczy, w latach siedemdziesiątych XIX wieku Kongres uchylił prawa miejskie obydwu, czyniąc z nich i pozostałej części terytorium Dystryktu Kolumbii.

Od tamtego czasu formalnie nie było miasta Waszyngton. Nikt jednak się tym drobiazgiem nie przejął; nadal wszyscy mówią o Waszyngtonie i wierzą, że jest prawdziwym miastem.

• • •

- Chcę raportu o postępach w śledztwie, Littlemore - zażądał minister skarbu Houston jak zwykle miłym głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwał akcent z Karoliny Północnej. Późnym popołudniowym przedpołudniem wezwał detektywa do ociekającego przepychem gabinetu, większego od wielu mieszkań, które Littlemore widział w Nowym Jorku. - Bardzo chciałbym usłyszeć o postępach właśnie teraz.

- Akurat na wybory? - spytał Littlemore.

- Owszem.

- Chciałbym mieć dla pana więcej, panie Houston - Littlemore był sfrustrowany; żaden z podjętych przez niego tropów nie doprowadził do niczego konkretnego. - Moi chłopcy nadal nie znaleźli nikogo, kto by widział ciężarówkę wyjeżdżającą z alejki po zamachu. Ale znajdą. Ktoś musiał ją zauważyć. W tym czasie rozmawiałem z każdym, kto miał jakikolwiek związek z akcją przenoszenia złota. Wyróżnia się tylko ten Riggs, ale on już nic nie powie.

- Riggs? - zdziwił się Houston. - Kto to taki?
 - Pański funkcjonariusz, który zginął szesnastego września.
 - Ach tak. Co z nim?
 - W lipcu Riggs złożył podanie o paszport. Planował małą wycieczkę zagraniczną.
 - A więc był w gronie tych kryminalistów! - zawyrokował Houston.
 - Na to wygląda - zgodził się Littlemore. - Niestety, nie mogę odnaleźć nikogo, kto by go znał. Żadnej żony. Żadnej rodziny. Został zatrudniony przez Departament Skarbu w Waszyngtonie w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Kto go przeniósł, panie ministrze?
 - Nie mam pojęcia. Objąłem stanowisko dopiero w tym roku.
 - Może się pan tego dowiedzieć?
 - Dlaczego nie?
- Littlemore potarł podbródek.
- Zastanawiam się, czy zaplanowali wywiezienie złota drogą morską. Port znajduje się przecież niedaleko od Wall Street. Czy sprawdzamy statki wypływające z Nowego Jorku, panie ministrze?
 - Czy sprawdzamy? Celnicy kontrolują każdy kontener ładowany na statki opuszczające Nowy Jork. Złoto jest bardzo ciężkie, Littlemore. Nie zdołano by dostarczyć ponad pięciu tysięcy kilogramów złota na pokład jakiegokolwiek statku bez naszej wiedzy.
 - Dobrze, powiedzmy, że nie wywieźli go statkiem. Ukradli je i transportowali tą ciężarówką. Tylko dokąd? Jest pan ekspertem, panie ministrze. Co by pan zrobił z taką ilością kruszcu, gdyby wszedł pan w jej posiadanie?
 - Przetopiłbym na mniejsze sztabki.
 - Dlaczego?
 - Każda sztabka skarbu państwa jest oznakowana. Żeby sprzedać to złoto, złodzieje muszą się pozbyć oznakowania, a jedynym sposobem jest przetopienie. W nowych sztabach tego złota nie da się wykryć. To właśnie zrobili z sowieckim kruszczem.
 - Rosjanie mieli złoto?
 - Olbrzymie ilości ze skarbców cara. To kontrabanda. Nie można go sprzedać nigdzie w cywilizowanym świecie. Nawet mnie nie wolno go kupować. Rosjanie szmuglują je tutaj statkami, przetapiają sztabki, a potem sprzedają nam.
 - Nam? Ma pan na myśli Departament Skarbu?
 - Oczywiście. Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych kupuje każde zaoferowane złoto, bez względu na ilość. I płacimy najlepiej na świecie. Ale nie dotyczy to złota rosyjskiego, którego nie tkniemy, oczywiście pod warunkiem, że zidentyfikujemy je jako rosyjskie. Przechwyciliśmy niedawno przesyłkę morską. Nie czytał pan o tym? Złoto warte ponad dwa miliony dolarów ukryte na szwedzkim liniowcu oceanicznym. Odkryli je celnicy. Szwedów odprawiłem. Statek wypłynął z powrotem w morze z rosyjskim złotem na pokładzie.
 - Powinien pan zawrócić ten statek, panie ministrze.
 - Po co?
 - Przecież to klasyczna przynęta - odparł Littlemore. - Ten szwedzki statek wywiózł złoto z Nowego Jorku z pańskim pozwoleniem. Ale może rosyjskie sztabki były tylko na wierzchu, a reszta wcale nie pochodziła z Rosji. To mogło być pańskie złoto, to skradzione.
 - Nie wierzę.

- Proszę zawrócić ten statek, panie ministrze. Wtedy będzie pan miał pewność.
- Nie mogę przechwycić statku znajdującego się na pełnym morzu i zaholować go z powrotem do Nowego Jorku.
- Dlaczego nie? Niech pan wyśle kilka krążowników. Robiliśmy to bez przerwy podczas wojny
- Nie jesteśmy teraz w stanie wojny. Obecnie to bardzo delikatna kwestia. Panuje poważne napięcie w stosunkach międzynarodowych. Nie chcemy żadnych incydentów, na litość boską!
- W takim razie pozostaje wejście na pokład. Skrzynie ze złotem można otworzyć na miejscu, a następnie sprawdzić, czy wszystkie sztabki są rosyjskie. I po wszystkim.
- Niech mi pan nie mówi, jak mam wykonywać moją pracę - powiedział Houston. - Mówimy o statku pasażerskim. Z tysiącem ludzi na pokładzie. Gdybym nie miał racji, sprawę opisałyby gazety na całym świecie. I co bym powiedział? Że szukałem złota skradzionego ze skarbcza Departamentu Skarbu? Wszyscy dowiedzieliby się o kradzieży!
- Nie musi pan niczego wyjaśniać. Ludzie pomyśleliby, że szuka pan broni albo czegoś podobnego.
- To czysta spekulacja. Nie zamierzam narażać floty Stanów Zjednoczonych na szukanie wiatru w polu. - Bębnił palcami o biurko. - Czego chciał od pana Fall?
- Żebym dał mu znać, jeśli znajdę jakiegokolwiek dowody wiążące zamach z Rosją.
- Bardzo chciałby je dostać, prawda? - mruknął pogardliwie Houston. - Podżegacz wojenny!

• • •

Urzednicy federalni mieli pierwszeństwo przed cywilami w zamiejscowych połączeniach telefonicznych. Na przykład agent telefonujący do Nowego Jorku z Departamentu Skarbu czekał na rozmowę najdłużej kwadrans. Co ważniejsze, odkąd rząd federalny przejął kontrolę nad krajowymi firmami telekomunikacyjnymi w 1918 roku, takie połączenia były bezpłatne.

Littlemore skorzystał z tego przywileju, zamawiając rozmowę z Amerykańskim Stowarzyszeniem Parapsychologicznym. Chwilę później telefonistka oddzwoniła, a na linii czekał już doktor Walter Prince.

- Mam pytanie, doktorze - rzucił do słuchawki Littlemore.
- Czy przypadkiem nie rozmawiał pan z Edem Fischerem po mojej wizycie u pana?
- Oczywiście. - Głos doktora Prince a przerywały trzaski elektryczności statycznej wzdłuż ponad trzystu kilometrów kabla telefonicznego. - Odwiedziłem go w sanatorium jeszcze tego samego dnia.
- Czy poinformował go pan, że zamierzam go zapytać, kiedy po raz pierwszy zwietrzył zamach?
- Wspomniałem w rozmowie z nim, że pewien policjant interesuje się tą informacją, owszem.
- Powinienem być się domyślić - stwierdził Littlemore.
- A ja pomyślałem, że zastosował jedną ze swoich magicznych sztuczek. Dziękuję, panie doktorze. To wszystko, co chciałem wiedzieć.
- Czuję, że sceptycznie podchodzi pan do daru pana Fischera, kapitanie.
- Dlaczego miałbym być sceptyczny wobec człowieka, który ma się za agenta służb specjalnych i uważa, że polują na niego kolejni papieże?

- Osoby obdarzone tym darem często czują się prześladowane, kapitanie. Zwykle są niestabilne. To nie umniejsza wagi ich przeczuć.
- Przykro mi, doktorze Prince. Nie kupuję tego.
- Jak więc pan wyjaśni fakt, że wiedział wcześniej o zamachu bombowym? Littlemore odpowiedział z rozdrażnieniem, które jego samego zaskoczyło:
- Nie potrafię tego wyjaśnić - warknął. - Ale wie pan co? Równie dobrze mógłby być Duchem przyszłych świąt Bożego Narodzenia. Mnie i tak się do niczego nie przyda.

• • •

Hotel Willard przy Pennsylvania Avenue kawałek za Białym Domem był oazą prezydenta Ulyssesa S. Granta, kiedy po dniu spędzonym w gabinecie miał ochotę na brandy. Biznesmeni albo ich ludzie czekali na prezydenta w okazałym hotelowym lobby, rzucając się na Granta, żeby przedłożyć mu swoją sprawę, uraczyć alkoholem albo wyjaśnić, jak wiele mogliby zdziałać w administracji, jeśli wyda im jakieś ważne pozwolenie lub podpisze lukratywny kontrakt. Grant nazywał ich lobbystami.

Littlemore przechodził przez to wysokie lobby, kiedy podeszła do niego znajoma kobieta ubrana w damską wersję męskiego garnituru.

- Podoba się panu w Waszyngtonie, agencie Littlemore?
- spytała pod lśniącym zyrandolem.
- Brywieczór, pani Cross - przywitał ją Littlemore.
- Nowy krawat?

Littlemore spojrział w dół. Zazwyczaj nosił muszkę, ale w pierwszych tygodniach pracy nie widział w muszce ani jednego agenta w Departamencie Skarbu. Wspomnił o tym Betty, która podarowała mu krawat.

- Pewnie powie pani, że jest źle zawiązany? - spytał.
- Jest dobrze zawiązany. Może trochę zbyt ciasno. - Poluzowała mu krawat.

Littlemore mógł wreszcie odetchnąć.

- Tak jest lepiej. Senator Fall chce pana widzieć. Mam pana do niego zabrać.

Nie czekając na odpowiedź, pani Cross odwróciła się i poszła w kierunku wejścia hotelowego. Littlemore podążył za jej rozkołysaną sylwetką najpierw wzrokiem, potem ciałem. Na zewnątrz usiadła za kierownicą zaparkowanego samochodu.

- Jest pani kierowcą? - spytał Littlemore, sadowiac się obok niej.
- Jestem. - Uruchomiła silnik. - Czy to pana niepokoi?
- Nie czuję się zaniepokojony.

Pani Cross jechała przez Mail. Tuż przed Kapitołem skręciła w okolice przypominającą tę, do której Littlemore trafił przez pomyłkę pierwszego dnia w Waszyngtonie. Zaparkowała za innym samochodem na małej nieoświetlonej ulicy, wciśniętej klaustrofobicznie między dwa rzędy szeregowych domów z cegły. W kilku oknach paliły się światła, zasłony jednak nie pozwalały ciekawskim zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

- Maine Avenue - powiedziała pani Cross. - Kiedyś nazywana Armory Place, znana także jako Parszywa Aleja. Powodzenia.

Z samochodu przed nimi wyłonił się kierowca i otworzył drzwi pasażera, pozwalając senatorowi Fallowi rozprostować kości. Nad opadającymi wąsami rozpościła się rondo białego kowbojskiego kapelusza. Littlemore wyszedł na ulicę, dołączając do niego. Pani Cross została w samochodzie, którego silnik łagodnie mruczał.

- Lubi pan kolorowe, Littlemore? - spytał Cali. - Najlepsze kolorowe dziewczyny w mieście znajdzie pan na tej ulicy. To dlatego kocham to miasto. Za ledwie trzy przecznice od Kapitolu.

- Dlaczego spotykamy się tutaj, panie senatorze?

- Najwyraźniej pański szef, minister maminsynek, poskarżył się dziś prezydentowi Wilsonowi, że ingeruję w jego śledztwo. Uznałem, że powinniśmy odbyć naradę wojenną w bardziej ustronnym miejscu. - Fall ruszył w górę ulicy. Littlemore szedł z boku, a samochód senatora powoli toczył się za nimi. - Co pan wie o tych dwóch chłopcach, których ściga Flynn?

- Jakich dwóch chłopcach? - spytał Littlemore.

- Dwóch Włochów w Bostonie. Jak oni się nazywają, do jasnej cholery? Kojarzy mi się jakoś jak ssaki i spaghetti.

- Sacco i Vanzetti?

- O, właśnie - przytaknął Fall.

- Zostali aresztowani za zamordowanie kasjera wiozącego wypłatę - odparł Littlemore. - Co Flynn ma z nimi wspólnego?

- Uważa, że są więźniami politycznymi i anarchistami.

- To idiotyzm! - stwierdził Littlemore. - Kiedy czerwoni mówią o więźniach politycznych, chodzi im o Debsa i innych przeciwników wojny, których Palmer i Duży Bill wsadzili za kratki. Wszyscy o tym wiedzą. Tylko jakiś zakuty łeb, a na pewno nie anarchista, powiedziałby: „Uwolnić więźniów politycznych”, mając na myśli tych dwóch typów aresztowanych za zamordowanie kasjera w Bostonie. Bo nikt by się nie domyślił, że to o nich chodzi.

- No cóż, Flynn ma coś na nich - odparł Fall. - Umieścił w ich celi informatora.

- Skąd on bierze te pomysły? Nie jest dość bystry, by samemu wpaść na coś tak głupiego.

- Miałem nadzieję, że pan będzie wiedział. A ten dom był tutaj. - Fall wskazał na róg podupadłego budynku. - Należał do niewiasty nazwiskiem Hall. Serwowała szampana Piper w kryształowych kieliszkach. Bogata jak my, senatorowie. Do dzisiaj krążą legendy o jej dziewczętach. Cóż, wszystko przebiega zgodnie z moim scenariuszem, prawda? Odkrył pan, że Rosjanie są zamieszani w zamach, a minister maminsynek to zataił.

- Nie odkryłem żadnych rosyjskich powiązań, panie senatorze.

- Jeśli zamachowcy użyli choćby kilku kawałków rosyjskiego kruszcu, żeby wykiwać celników, to mamy rosyjskie powiązania. Jak pan sądzi, skąd zamachowcy wzięli sowieckie złoto? Założę się, że cała załoga tego szwedzkiego statku okaże się rosyjska.

- Czy jest pan informowany o wszystkim, o czym rozmawiam z panem Houstonem?

- Prawie. W tym mieście ściany mają uszy, Littlemore. Trzeba wiedzieć, co mówią inni, jeśli się chce być przed nimi.

- Nie mamy pewności, czy na szwedzkim statku znajduje się skradzione złoto - stwierdził Littlemore.

- A Houston nie ma zamiaru kiwnąć palcem, żeby się dowiedzieć? W takim razie ja to sprawdzę. Już rozmawiałem z Bakerem, ministrem wojny. Obiecał pogadać ze starym przyjacielem Danielsem, ministrem marynarki wojennej. W ciągu czterdziestu ośmiu

godzin pośle na ten szwedzki statek kilka naszych okrętów wojennych. Szybko się dowiemy, co przewozi.

Littlemore jak zwykle żuł wykałaczkę.

- To imponujące, panie senatorze.

- Jesteśmy Stanami Zjednoczonymi Ameryki, do diaska! Co mamy robić, kiedy detonują u nas te swoje cholerne bomby? Załamywać ręce? Nadstawiać drugi policzek? Mieć nadzieję, że zamachowcy tak po prostu odejdą? - Cali skinął na kierowcę i splunął na chodnik, po czym wytarł usta chusteczką. - Sytuacja w tym przeklętym Meksyku się zaognia. Czy oni chcą przejąć całą naszą ropę? Potrzebne będzie sporo dyplomacji, żeby utrzymać Hardinga z dala od kłopotów.

- Co Harding będzie chciał zrobić, panie senatorze?

- Zrobi to, co mu powiem. - Senator wszedł do samochodu. - Dam panu znać, co znaleźliśmy na tym szwedzkim statku. Pani Cross odwiezie pana z powrotem. Powinien pan ją lepiej poznać. Nie jest taka twarda, jaką udaje.

• • •

- Jak długo pracuje pani dla senatora Falla? - spytał Littlemore, kiedy przejeżdżali obok rzędu przypominających betonowe bunkry budynków wojska i marynarki, ponoć tymczasowych, niedaleko Pennsylvania Avenue; tymczasowych formalnie, stałych - sądząc z wyglądu.

- Kilka lat. Pracuję dla kilku senatorów. Na przykład dla pana Hardinga.

- Dla Hardinga? Proszę, proszę.

- Całkiem sporo robię dla pana Hardinga. Oczywiście oddelegowana przez senatora Falla.

- W końcu wylądowała pani w Białym Domu.

- Ładowałam w Białym Domu wiele razy Littlemore zastanowił się nad tym.

- Czy ma pani jakieś imię?

- Grace.

- Ładne imię, oznacza łaskę.

- To stan, który utraciłam dawno temu. Każdy traci swój stan, przyjeżdżając do Waszyngtonu. Jesteśmy na miejscu. Hotel Willard. Dobrej nocy, Nowy Jorku.

• • •

Następnego ranka Littlemore odebrał telefon w swoim minigabinie w Departamencie Skarbu. Telefonistka poinformowała, że telefonuje ktoś z Nowego Jorku. Po drugiej stronie odezwał się funkcjonariusz Stankiewicz z komendy policji.

- Co się dzieje, Stanky? - spytał Littlemore.

- Chodzi o Fischera, panie kapitanie - odrzekł Stankiewicz. - Ciągłe wydzwania i wysyła do pana depesze. Twierdzi, że miał pan go wy dostać z tego sanatorium.

- Na litość boską! - jęknął Littlemore.

- Twierdzi też, że miał pan porozmawiać z jego szwagrem, facetem o nazwisku... zaraz, jak to brzmiało? Chyba Bishop albo coś podobnego do biskupa. Życzy pan sobie, żebym coś zrobił?

- Po prostu go ignoruj. W końcu się odczepi.

- W porządku. Co słyhać w Waszyngtonie?

- Chwileczkę! Bishop albo coś podobnego do biskupa? Czy nazwisko rzeczywiście

brzmiało Bishop, czy tylko skojarzyło ci się z duchownym? - upewniał się Littlemore.

- Z duchownym.
- Nie, ja cię pytam, czy... Wyświadczyć mi przysługę i pójść po teczkę Fischera.

Poczekam przy telefonie.

Kilka minut później Stankiewicz był znów na linii.

- Mam teczkę.
- Znajdź mi nazwisko szwagra Fischera - polecił Littlemore. - To ten facet, który pojechał do Kanady i kazał zamknąć Fischera u czubków. Jego nazwisko powinieneś znaleźć na papierach z Kanady.

- Już mam. Pope. Robert Pope. Dlatego mi się skojarzyło z biskupem.
- I co ty na to? Papież się wyjaśnił.

• • •

Dział personalny Departamentu Skarbu mieścił się na pierwszym piętrze. Littlemore już go znał: ślęczał nad aktami osobowymi od trzech tygodni.

- Powiedz mi, Molly, czy Departament Skarbu odpowiada za Tajną Służbę? - zapytał jedną z dziewcząt w kadrach.
- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - A dlaczego?
- Kilka tygodni temu pewien facet twierdził, że był agentem służb specjalnych, a ja mu nie uwierzyłem - wyjaśnił Littlemore. - Chociaż, jak udało mi się ustalić, w innych kwestiach nie kłamał.

Kilka minut później Littlemore siedział piętro wyżej w archiwum, przeglądając akta personalne Tajnej Służby Stanów Zjednoczonych z kilkadziesiąt lat. Z góry wiedział, że w końcu znajdzie nazwisko, którego szukał, choć wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. I znalazł.

Teczka była dosłownie pusta. Zawierała tylko adnotację o roku zwerbowania oraz miejscu służby: 1916, Nowy Jork. Potem wpisano jeszcze kilka innych dat - ostatnią pod koniec 1917 roku.

• • •

Littlemore rzucił szarą teczkę na biurko ministra Houstona.

- To mogłoby mi pomóc, gdyby pan wspomniał choć słówkiem w rozmowie ze mną, że jedyny człowiek, który próbował ostrzec ludzi przed zamachem, był naszym pracownikiem, panie ministrze - oświadczył.

Houston zareagował zdziwieniem.

- Nie wiedział pan, że Ed Fischer był agentem?
- Nie miałem pojęcia. Mówiłem panu przecież, że zostałem ministrem w lutym tego roku.

- Jak zostaje się takim agentem?
- Zatrudnia ich dyrektor Tajnej Służby.
- Kto jest dyrektorem?
- Bill Moran.
- Mogę z nim porozmawiać?

Houston wezwał sekretarza i kazał mu znaleźć pana Morana. W ciszy, która zapadła w gabinecie, Houston stanął przy oknie z rękami założonymi do tyłu, obserwując otoczenie Białego Domu.

- Nie będę tęsknił za tym stanowiskiem, Littlemore. Jak mam zbilansować budżet ośmiu miliardów dolarów dochodami nieprzekraczającymi czterech miliardów? Żyjemy ponad stan. Mój ojciec zawsze mi powtarzał, żebym nie pożyczął: od nikogo ani nikomu. Teraz robię tylko to: pożyczam od innych i innym.

- Nie będzie panu brakowało stanowiska w rządzie? Jest pan na szczycie świata!

- Czego ma mi brakować? Tego, że wczoraj wieczorem gościłem na kolacji brytyjskiego ambasadora? Moja żona lubi takie spotkania. Ja ich nie znoszę. Każde słowo padające z ust dyplomatów jest kłamstwem. Ale za pięć miesięcy, kiedy Harding obejmie urząd, będzie po wszystkim. Możliwe, że zrezygnuję wcześniej. Wyjadę za granicę. Tak, chyba tak właśnie zrobię.

Sekretarz Houstona wrócił z Williamem Moranem, dyrektorem Tajnej Służby Stanów Zjednoczonych. Pan Moran z całą pewnością stwierdził, że nie zatrudniał Edwina Fischera.

- Z tego, jak sam pan widzi - Moran wskazał na teczkę - wynika, że Fischer został zwerbowany w tysiąc dziewięćset szesnastym. Ja przejąłem kontrolę dopiero rok później.

- Kto był dyrektorem przed panem? - spytał Houston.

- Flynn.

- Flynn? - powtórzył Littlemore. - Chyba nie Duży Bill Flynn?

- Ten sam - odparł Moran. - Zanim został szefem Biura Śledczego, Bill Flynn kierował Tajną Służbą.

2 listopada 1920 roku Littlemore biegł co sił w nogach przez olbrzymi rozbrzmiewający echem budynek Union Station, żeby zdążyć na pociąg. Ciężko dysząc, usiadł na swoim miejscu i uprzytomnił sobie, że to dzień wyborów. Zaraz potem przyszła myśl, że nie zagłosuje, ponieważ pociąg dotrze na Manhattan długo po zamknięciu lokali wyborczych. Myśl ta wywołała w nim zaskakująco silne rozczarowanie.

Kiedy pociąg mijał jedno małe miasteczko za drugim, Littlemore poczuł niewytłumaczalną solidarność: z małymi drewnianymi domkami, z unoszącym się z kominów dymem, z niewielkimi stertami drewna ułożonymi na zewnątrz; wszystko to świadczyło o wykonanej przez kogoś pracy - odczuwał silną więź z niezliczonymi cichymi i twardymi ludźmi, o których życiu nigdy nie powstaną książki. Później Littlemore wyobrażał sobie, jak mieszkańcy wszystkich tych miasteczek stoją w kolejce, żeby zagłosować na przywódcę swojego kraju. Napełniło go to dumą - i poczuciem wyobcowania, ponieważ sam po raz pierwszy nie weźmie udziału w głosowaniu. A przecież Littlemore nie był nawet pewien, czy ma prawo głosu. Formalnie rzecz biorąc, mógł zostać uznany za rezydenta Waszyngtonu, a waszyngtończycy nie głosowali w wyborach prezydenckich.

Nie miał złudzeń, że jego głos będzie się liczył. To paradoks demokracji: nic nie jest ważniejsze od głosowania, choć głosowanie nie ma znaczenia. W każdym razie republikanin Warren Harding był pewnym zwycięzcą. Kandydat demokratów James Cox miał mniej więcej takie same szanse jak Eugene Debs, socjalista, który wciąż przebywał w więzieniu. Znaczyło to, że minister Houston, członek Partii Demokratycznej, straci posadę ministra, a republikański senator Fall zostanie niebawem sekretarzem stanu.

• • •

Kobiety w całej Ameryce świętowały w ten listopadowy czwartek, ponieważ pierwszy raz mogły zagłosować. W wielu komisjach wyborczych mężczyźni kurtuazyjnie

przepuszczali kobiety, one jednak rezygnowały z ich uprzejmości, czekając w kolejce tak samo wytrwale jak mężczyźni. Później zbierały się małymi grupkami w kuchniach i salonach, by świętować przy musującym cydrze, dozwolonym zamienniku zakazanego szampana.

Murzynów nie traktowano przy urnach z podobną galanterią ani też hulanki, które urządzali później, nie były eleganckie. Kiedy na przykład dwóch czarnoskórych mężczyzn miało czelność skorzystać z prawa wyborczego w miasteczku Ocoee na Florydzie, członkowie Ku-Klux-Klanu postanawiali dać im nauczkę. Obrabowano dwa kościoły czarnych, doszczętnie spalono ich dzielnicę oraz zabito od trzydziestu do sześćdziesięciu Murzynów; jednemu z nich założono stryczek na szyję, po czym powieszono go na słupie telefonicznym.

Ale kraj wybierał nowego prezydenta, wszędzie panował więc świąteczny nastrój i kipiała nowa energia.

•••

Następnego dnia w Nowym Jorku Littlemore po raz kolejny odwiedził tymczasową siedzibę Biura Śledczego w hotelu Astor.

- Patrzcie, kogo nam tu przywiało! - wykrzyknął Bill Flynn, szef BŚ. - Przecież to Littleboy

- Muszę zadać panu kilka pytań, Flynn. Na temat Eda Fischera.

Flynn zwrócił się do dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy jak zwykle stali po obydwu stronach jego biurka.

- Nowojorski gliniarz chce mi zadawać pytania? Czy ten palant się przypadkiem nie prosi, żeby mu przyłożyć?

- Ej, palancie! - odezwał się jeden z asystentów Flyna.

- Chcesz, żeby ci przyłożył?

Littlemore pokazał odznakę agenta Departamentu Stanu.

- Niech no się przyjrzę - Flynn obejrzał odznakę. - Świat spływa do rynsztoka, tyle mogę ci powiedzieć. - Rzucił odznakę pod nogi Littlemore'a. - Szkoda, że nie rozmawiam z agentami skarbowymi.

- Odpowiesz na moje pytania, Flynn. - Littlemore wręczył mu list podpisany przez ministra Davida Houstona z Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych, nakazujący Flynnowi, by wyczerpująco odpowiedział na pytania agenta specjalnego Littlemore'a dotyczące okresu, w którym Flynn pełnił funkcję dyrektora Tajnej Służby USA. Flynn przeczytał list, po czym również rzucił go na podłogę.

- Mam dla ciebie złe wiadomości, mądralo - powiedział.

- Nie przyjmuję poleceń także od ministra Houstona. Moim przełożonym jest generał Palmer. Wyoś się stąd!

Littlemore wyjął z kieszeni kolejny list. Ten podpisany był przez prokuratora generalnego, generała A. Mitchella Palmera.

- Sukinsyn! - mruknął Flynn, po czym zwrócił się do swoich asystentów. -

Zostawcie nas, chłopcy.

- Każ najpierw jednemu z nich podnieść moją odznakę

- zażądał Littlemore.

- Co tak stoicie, matoly? - wrzasnął Flynn. - Podnieście odznakę tego człowieka!

•••

- No dobrze, zatrudniłem go - przyznał Flynn kilka minut później. - I co z tego?
Temu facetowi brakowało piątej klepki!

- Jak go poznałeś?

Bill Flynn, którego potężny tors i wielki brzuch z pewnością nie domagały się kalorycznego wzmocnienia, sięgnął do salaterki na biurku i rozwinął cukierek w czerwono--białe paski.

- Fischer zaczyna wysyłać listy do Wilsona w dziewięćset szesnastym, jasne? Standardowe antywojenne śmiecie. Ale jest w nich coś zabawnego, jakby znał prezydenta osobiście. Wysyłam więc dwóch moich chłopców, żeby go sprawdzili i oznajmili, że ma sobie darować, jeśli nie chce skończyć w więzieniu. Rozumiesz?

- Jasne.

- Moi chłopcy twierdzą, że on ma nierówno pod sufitem, ale pracuje dla Francuzów w jakiejś placówce.

- W urzędzie Wysokiego Komisarza.

- Właśnie. Niech sobie zabójcy zatrudniają gościa bez piątej klepki! - Tors Flynna podniósł się i opadł z zadowoleniem; najwyraźniej uznał to za dowcipną uwagę.

- Tylko dureń zatrudniłby faceta bez piątej klepki - zgodził się Littlemore.

- Tak, to dobre! Tylko dureń... - Flynn przerwał, bo dotarła do niego aluzja Littlemore'a. - Dlaczego miałbym...

- Skąd twoje zaangażowanie?

Flynn mruknął niechętnie, ale kontynuował:

- Kiedy usłyszałem, gdzie Fischer pracuje, uznałem, że nie byłoby źle mieć kogoś we francuskich kręgach rządowych. Spotkałem się więc z nim, kadziłem mu przez chwilę, po czym stwierdziłem, że mógłby zostać tajnym agentem. Powiedziałem mu, że jest szpiegiem. No wiesz, procedura przyjęcia. Kiedy przejąłem BŚ, trzymałem go na sznurku. Ale ten facet był stuknięty. Nigdy nie dostarczył mi żadnej istotnej informacji. Spotkałem się z nim nie więcej niż sześć razy. Szkoda było wysiłku.

- Gdzie się z nim spotykałeś? - spytał Littlemore.

- Bo co?

- Odpowiedz na pytanie, Flynn.

- Tutaj, w Nowym Jorku. Na stacji kolejowej.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Latem tego roku. W lipcu albo w sierpniu. Po konwencji wyborczej. Generał Palmer wysłał McAdoo na spotkanie z republikanami na stacji kolejowej Grand Central, żeby się z nimi naradził. Poszedłem z nim. Fischer gadał od rzeczy. Nigdy potem go już nie widziałem.

- Czy Fischer wspominał coś o Wall Street?

- Żartujesz?

- Nie żartuję - stwierdził Littlemore.

- Nie, nie wspominał o Wall Street. Uważasz, że pozwoliłbym gliniarzom z Nowego Jorku go zatrzymać, gdyby coś wiedział? Powiem ci teraz coś śmiesznego. Po zamachu szwagier Fischera, facet nazwiskiem Pope, zadzwonił do BŚ. Poinformował, że Fischer twierdzi, że jest zakamuflowanym agentem federalnym. Chciał wiedzieć, czy to prawda. Podszedłem do telefonu i powiedziałem mu, że to pieprzone bzdury. Pope mi podziękował, stwierdził, że chciał się tylko upewnić, i następnego dnia oddał szwagra do

wariatkowa. Fischer siedzi tam do dzisiaj. Czy to nie zabawne?

•••

Kiedy Littlemore wrócił do swojego gabinetu w delegaturze Departamentu Skarbu przy Wall Street, czekała na niego wiadomość, że telefonował senator Fall z Waszyngtonu. Littlemore połączył się z centralą międzymiastową.

- To pan, Littlemore? - spytał kilka minut później Fall głosem trzeszczącym od zakłóceń na linii.
- Tak, panie senatorze.
- Przejęliśmy szwedzki statek. Żadnego złota.
- Ma pan na myśli złoto federalne?
- Ani federalne, ani rosyjskie, ani żadne inne - odparł Fall.
- Na statku nie było złota. Kapitan stwierdził, że władze portowe w Nowym Jorku kazały mu zostawić je na brzegu.
- Kłamie. Minister Houston kazał im zabrać złoto z powrotem. Czy marynarze zrewidowali statek?
- Oczywiście, że zrewidowali! Szukali wszędzie.
- Ale...
- Jestem zbyt zajęty, Littlemore - uciął Fall. - Pan ma to rozwiązać. Niech mi pan da znać, jak tylko pan to wyjaśni.

Fall odłożył słuchawkę. Littlemore pomyślał, że to nie ma sensu. Dlaczego mieliby zostawiać złoto na brzegu, skądkolwiek ono pochodziło? Czy któryś z celników mógł współpracować ze złodziejami? Kiedy wychodził, jego telefon znów zadzwonił. Otrzymał informację, że niejaki pan James Speyer czeka na niego na dole.

•••

- Czym mogę służyć, panie Speyer? - spytał Littlemore na dole w rotundzie.
- Może pan już oddać mój obraz - odparł Speyer ze swoim niemieckim akcentem. - Na policji nie mieli pojęcia, o czym mówię. Powiedzieli mi, że pracuje pan teraz dla Departamentu Skarbu.

Littlemore przeprosił, wyjaśniając, że dla bezpieczeństwa umieścił Rembrandta w specjalnym sejfie.

- Jeśli pan chce, możemy pojechać po niego teraz - zaproponował.
 - Wspaniale. Zabierze nas mój kierowca.
- W samochodzie Speyera Littlemore zapytał:
- Jak się czuje żona?
 - Lepiej, dziękuję.
 - A interesy w Hamburgu się udały?
 - Kapitalnie! - odparł Speyer. - Fundusze są już w Meksyku, mimo nadludzkich wysiłków ludzi Morgana.
 - Podobno w Meksyku robi się gorąco?
 - Owszem, nawet bardzo - zgodził się Speyer. - Źle dla Arnolda Brightona, dobrze dla mnie.
 - Zna pan Brightona?
 - Wiem, że jego pola naftowe w Meksyku są warte setki milionów. Właśnie stamtąd wróciłem, skoro o tym mowa. Dziwnie czułem się w miejscu, gdzie Ameryka jest tak

znenawidzona. Bardziej nawet niż w Niemczech. Przypuszczam, że czulibyśmy do nich to samo, gdyby okupowali naszą stolicę i zabrali nam połowę kraju.

- Zrobiliśmy coś takiego w Meksyku? - zdziwił się Littlemore.

- Wojna meksykańsko-amerykańska, detektywie. Albo inwazja amerykańska, jak mówią za południową granicą. Mam nadzieję, że mój Rembrandt nie doznał uszczerbku.

W komendzie policji przy Centre Street Littlemore poprowadził Speyera do specjalnie zabezpieczonego pomieszczenia w magazynie depozytowym. Po usunięciu opakowania obraz wydał się mu mały i delikatny

- Nienaruszony, panie Speyer?

- Nienaruszony - potwierdził finansista.

Mężczyźni wpatrywali się w autoportret. Stworzony w późnym wieku artysty: pomarszczone, czerwone policzki i wory pod modrymi zamglonymi oczami.

- Jak on to zrobił? - spytał Littlemore.

- Co?

- Wygląda, jakby wiedział, że wkrótce umrze - wyjaśnił Littlemore. - Jakby... jakby...

- .. się z tym pogodził?

- Tak, ale zarazem nie jest jeszcze gotów, by odejść. Jeśli tak nienawidzą Amerykanów, dlaczego nie kierują tej nienawiści przeciwko panu, Speyer?

- Bo myślą, że jestem Niemcem - odparł Speyer z uśmiechem i z wyraźnym niemieckim akcentem.

• • •

W porcie Littlemore rozmawiał z urzędnikiem celnym, który zaprzeczył, że szwedzki statek zostawił złotą kontrabandę na brzegu.

- Jest pan pewien - spytał Littlemore - że Szwedzi wypłynęli z portu z całym złotem na pokładzie?

- Tego nie wiemy - odparł celnik. - Kiedy znajdujemy trefny towar, alarmujemy departament. Towar może być skonfiskowany, zniszczony albo zwrócony na pokład. To zależy od departamentu.

- Którego departamentu?

- Jeśli to broń, to zawiadamiamy Departament Wojny Jeśli alkohol, podatkowy. Hiszpan przewoził złoto, czyli Departament Skarbu.

- Kogo powiadamiacie w Departamencie Skarbu?

- Ja tylko wysyłam kawałek papieru, proszę pana. I wszystko. Chce pan więcej, niech pan pyta w Skarbie.

• • •

Tego samego popołudnia, kiedy Littlemore wspinał się na schody przed grecką fasadą delegatury Departamentu Skarbu przy Wall Street, klepnął go w ramię goniec z banku Morgana.

- Detektyw Littlemore? - spytał chłopak.

- Tak, bo co?

- Pan Lamont chce się z panem natychmiast spotkać. Czeka w swoim gabinecie.

- To świetnie! - rzucił Littlemore, idąc w górę po schodach.

- Ale on chce się z panem widzieć teraz - powtórzył chłopak. - Ma pan iść ze mną.

- Powiedz Lamontowi, że może przyjść do mojego gabinetu - odparł Littlemore. Telefon już dzwonił, kiedy wszedł do siebie.
- Niech zgadnę, Lamont - powiedział do słuchawki Littlemore. - Pański człowiek, który śledzi Speyera, doniósł panu, że się z nim dziś spotkałem.
- Czy pan ma świadomość, że James Speyer zbija majątek na meksykańskich konfiskatach amerykańskiej własności w Meksyku? - spytał Lamont.
- To nie mój problem - odparł Littlemore.
- Ale ten człowiek nie lubi Ameryki! Teraz już na pewno pan to widzi. Dlaczego nie aresztował go pan w związku z zamachem bombowym?
- Niech pan się od niego odczepi. Nie poślę nikogo za kratki tylko dlatego, że robi panu konkurencję w Meksyku.
- Tyle razy już to przerabialiśmy, Littlemore. Speyer mi groził. Groził, że się zemści na Banku Morgana. Dwa tygodnie przed zamachem.
- To nie był Speyer - stwierdził Littlemore. - Mówiłem panu: to był człowiek nazwiskiem Pesqueira i nie miało to żadnego związku z zamachem.
- To był Speyer - upierał się Lamont. - Rozmawiał pan z Pesqueirą? Niech pan to zrobi. Przekona się pan, że Speyer kłamie. James Speyer to zdrajca. Tylko on nie dbałby o to, ilu Amerykanów zginie. W połowie września tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku Speyer przebywał w Meksyku podczas obchodów tamtejszego dnia niepodległości i namawiał meksykański rząd do przejmowania amerykańskich kopalń i szybów naftowych, obiecując, że dostarczy fundusze na ich eksploatację.
- Panie Lamont! - powiedział Littlemore. - Powtórzę po raz ostatni: to nie jest mój problem. Zegnam pana.

ROZDZIAŁ

Szesnasty

Z powodu awarii pociąg zatrzymał się w środku lasu na północ od Wiednia. Mijały godziny. W końcu nadjechał inny pociąg, w którym wszystkie miejsca były już zajęte; resztę drogi do stolicy przebyli na stojąco w straszliwym ścisku. Kiedy wreszcie dotarli do celu, zapadał wieczór. Spod dworca wzięli taksówkę, Younger kazał jednak kierowcy zatrzymać auto przed gmachem opery, mniej więcej przecznicę przed hotelem Bristol.

- Co się stało? - spytała Colette, zaraz jednak zrozumiała. Grupka policjantów zebrana przed wejściem do hotelu przyglądała się każdemu, kto wchodził i wychodził z budynku. Younger kazał kierowcy wyjść i sprawdzić, co się dzieje, wyjaśniając mu - zgodnie z prawdą zresztą - że nie chce nocować w hotelu, w którym mogą narazić się na nieprzyjemności.

- Niemożliwe, żeby nas szukali - stwierdziła Colette.
- Nie? - rzucił Younger.

Taksówkarz wskazywał właśnie oskarżycielskim gestem własny automobil. Oficer patrzył w ich kierunku, próbując przeszyć wzrokiem ciemność. Po chwili on i kolega ruszyli ku nim powoli.

- Oddamy się w ręce policji? - zapytał Younger.

- Przecież nie zrobiliśmy niczego złego - odparła Colette.

- Ależ skąd! - zadrwił Younger. - Zostawiliśmy tylko stertę trupów obok zamku praskiego, po czym uciekliśmy z kraju. Możemy wszystko wyjaśnić. Jeśli nam nie uwierzą, pokażemy im identyfikator Hansa Grubera jako dowód.

Dłoń Colette powędrowała do szyi, na której przez sześć lat wisiał wojskowy identyfikator Hansa Grubera. Policjanci podchodzili coraz bliżej.

- Nie wyłączył silnika - zauważyła.

Younger przeskoczył na przednie siedzenie, wrzucił wsteczny bieg i wcisnął gaz do dechy. Policjanci pobiegli za nimi.

- Dokąd pojedziemy? - spytała Colette, przytulając Luca na tylnym siedzeniu.

- Na razie skończmy z jedną katastrofą - odpowiedział Younger, zawracając auto. Z piskiem opon ruszyli po Ringstrasse. Zdyszani policjanci zrezygnowali z pościgu.

•••

Zygmunt Freud, otworzywszy im drzwi mieszkania przy Berggasse dziewiętnaście, zaciągnął się cygarem, zanim przemówił. Twarz Youngera była podrapana w kilku miejscach, a jego płaszcz wyglądał tak, jakby się w nim stoczył ze zbocza, a potem na dokładkę przeleciał przez przednią szybę samochodu. Colette miała siniaka na policzku. Tylko Luc, starannie umyty i uczesany przez siostrę w pociągu, nie był obszarpany, chociaż miał podrapane kolana, a w brązowym wełnianym ubranku wyglądał dość osobliwie.

Freud zwrócił się do Youngera:

- Zakładam, że nie poraniłście się nawzajem z panną Rousseau?
 - Policja... - zaczął Younger.
 - Szukają pana, wiem o tym - wpadł mu w słowo Freud.
 - Wasz przyjaciel hrabia Kinsky zaszedł do mnie, żeby pana ostrzec. Ponoć policja podejrzewa, że zamordował pan jakiegoś mężczyznę w Pradze.
 - Trzech mężczyzn - sprostował Younger.
 - Słucham? - zdziwił się Freud.
 - Zabiłem trzech mężczyzn.
 - Ach tak - stwierdził Freud. - Panno Rousseau, niech mi pani powie, że Younger nie zabił pani narzeczonego w napadzie zazdrości.
 - On nie był moim narzeczoną - odparła Colette.
- Tym razem Freud uniósł obydwie brwi.
- Younger zabił niewłaściwego człowieka?
 - Nie - zaprzeczyła. - Zabił właściwego.
 - Ach tak! - powtórzył Freud.
 - Doktorze Freud - zaczął Younger. - Powinienem pana ostrzec, że wpuszczając nas do domu, postąpi pan nierozważnie. Nie wiem, jak rzecz ma się tutaj, ale w Ameryce popełnia się przestępstwo, przyjmując mordercę pod swój dach.
 - Czy popełnił pan morderstwo? - spytał Freud.
 - W świetle prawa jest to niewykłuczone. W każdym razie ja tak uważam.
 - To nie było morderstwo - zaprzeczyła ostro Colette.
 - A jeśli było, to wypada mi tylko żałować, że nie mogłeś go zamordować tysiąckrotnie.
 - Och, nie stójmy tutaj! Wejźmy do środka - zaprosił Freud.

• • •

W starym kaflowym piecu w salonie Freuda trzaskał ogień. Younger i Freud pili brandy. Colette podano tylko herbatę, ale i tak popijała alkohol z kieliszka Youngera. Opowiedzieli Freudowi całą historię, po czym zapadła cisza.

- Jaki piękny obrus! - zachwyciła się Colette.
- Naprawdę się pani podoba? - spytał Freud.
- Co za koronka! Jest cudowna.
- Powtórzę Minnie, że się pani podobał - stwierdził Freud. - Okryje się pani kocem, moja droga?

Colette oplótła się ramionami, jakby było jej zimno.

- Dlaczego ja go nie zabiłam? - powiedziała z nagłym ożywieniem. - Dlaczego okazałam się słabeuszem?
- Nie wie pani? - zapytał Freud.
- Nie.

Freud zaczął obcinać cygaro, zerkając na Colette kątem oka. Zaproponował też cygaro Youngerowi, ale ten odmówił.

- Konwencjonalna odpowiedź brzmiałaby, że pani sumienie zbuntowało się w ostatniej chwili, przekonując panią, iż popełniłaby grzech - zaczął Freud.
- Bo zemsta jest grzechem - stwierdziła.
- Wszyscy pragną zemsty - odparł Freud. - Problem tylko w tym, że zwykle

chcemy jej dokonać na niewłaściwej osobie. Pani przynajmniej poprzysięgła ją, komu trzeba. Ale to nie etyczne skrupuły powstrzymały panią od zabójstwa.

- Wiem - zgodziła się. - Całym sercem wierzyłam, że postępuję właściwie. Nadal tak myślę. Nie powinnam, ale myślę. Dlaczego więc nie pociągnęłam za spust?

- Jak podejrzewam, z tego samego powodu, z którego pani brat nie mówi.

Colette spojrzała na Freuda ze zdumieniem.

- Ma nam pani coś jeszcze do powiedzenia, moja droga? - spytał Freud.

- Co pan ma na myśli?

- Pani brat ma coś do powiedzenia i dlatego właśnie nie mówi nic - stwierdził Freud.

- Ja... Wie pan, co dolega mojemu bratu?

- Wiem dokładnie, co mu dolega - oświadczył Freud, zaciągając się cygarem. - Ale wszystko we właściwym czasie. Moim zdaniem macie tylko dwa wyjścia: oddać się w ręce policji albo wyjechać z kraju.

- Nie możemy się zgłosić na policję - odparł Younger. - Deportowaliby nas do Pragi, a tam wsadziliby nas do więzienia, Bóg jeden wie na jak długo. Dotrą w końcu do matki Grubera, dowiedzą się, że obydwoje go szukaliśmy. Zapytają dlaczego. Jeśli im powiemy prawdę, dojdą do słusznego skądinąd wniosku, że Colette zaplanowała morderstwo z zemsty, a to oznacza oskarżenie o morderstwo z premedytacją, nawet gdybyśmy potrafili udowodnić, co Gruber zrobił podczas wojny, a tego udowodnić nie możemy. Jeśli z kolei nie powiemy im, dlaczego szukaliśmy Grubera, to będą wiedzieli, że coś ukrywamy i najprawdopodobniej w nic nam nie uwierzą. W jednym i w drugim wypadku skończymy za kratkami.

- Musicie więc wyjechać - zawyrokował Freud. W tej samej chwili lampy w pokoju przygasły. - Niech to szlag! Znow odetną prąd. Robią to co najmniej raz w tygodniu.

Freud czekał z cygarem w powietrzu. Migotanie ustało. Żarówki paliły się dalej.

- Może nie wyłączą - podjął.

- Doktorze Freud, czy może mi pan zdradzić, co dolega mojemu bratu? - poprosiła Colette.

- Powiem pani, co wiem, *Fräulein*, ale będą to dla pani pojęcia nowe i dziwne. Jeszcze brandy? - Nie śpiesząc się, Freud napełnił kieliszek swój i Youngera.

• • •

- Od czego mam zacząć? - Freud znow siedział z nogą założoną na nogę, w jednej ręce trzymając cygaro, a w drugiej brandy - Dwadzieścia pięć lat temu odkryłem ścieżkę prowadzącą do nieznanymi obszarów naszego życia umysłowego, gdzie zawitałem najprawdopodobniej jako pierwszy śmiertelnik. Znalazłem tam przerażająco wiele niewysłownych lęków i tęsknot, za których ujawnienie w dawnych wiekach kobiety i mężczyźni palono na stosie. Takie odkrycie zdarza się raz w życiu. Ale w zeszłym roku dokonałem kolejnego odkrycia, o którym w chwilach próżności myślę, że przewyższa tamto pierwsze. Nikt mi nie uwierzy, ale to nic nowego. A dokonałem go, badając nerwicę frontową, a także, mówiąc szczerze, zastanawiając się nad pani bratem, panno Rousseau. Nie chcę przez to powiedzieć, że brat cierpi na nerwicę frontową w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale jest to schorzenie podobnej natury. Jedno chcę powiedzieć jasno: Luc wymaga leczenia. Dokądkolwiek pani się teraz uda, nie może pani po prostu zostawić go w tym stanie. Jego przypadek jest wystarczająco oczywisty. Ja sam mógłbym

go wyleczyć w ciągu, powiedzmy, ośmiu tygodni.

- Wyleczyć go? - powtórzyła Colette. - Całkowicie?
- Tak sędzę.

Colette nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Skierował nas pan do Jauregga - odezwał się Younger.
- Dlaczego?
- Wielu ludzi chce leczyć swoje dolegliwości psychiczne w sposób mechaniczny.

Panna Rousseau musi zatem podjąć decyzję, czy naprawdę chce poddać brata analizie. A wcale nie jestem pewien, że tego chce. Już drugi raz przywozi chłopca do Wiednia, nie zostaje tu jednak wystarczająco długo, by przeprowadzić psychoanalizę. I zapewne ma rację: w końcu może się to okazać niezbyt dla niej przyjemne.

- Dla mnie? - zdziwiła się Colette. - Dlaczego?

- Mówiłem pani o tym już w zeszłym roku. Prawdy, które odkrywa psychoanaliza, nigdy nie są obojętne dla członków rodziny. Wie pani, *Fräulein*, co znaczy pragnąć zemsty. Pani brat, nie mówiąc, także dokonuje aktu zemsty

- Na kim? - zapytała Colette.
- Prawdopodobnie na pani.
- Za co miały się na mnie mścić?
- Pani nam tego nie wyjaśni? - zachęcił Freud.
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - zapewniła Colette.
- Ja tylko spekuluję, moja droga. Nie znam odpowiedzi.
- Ale przecież pan wie, co mu dolega. Tak pan stwierdził - odparła Colette.
- Wiem. Zrozumiałem to latem zeszłego roku, dwa miesiące po waszym wyjeździe.

Prawdę mówiąc, pomogła mi dziecięca zabawa. Younger, jaki jest najbardziej charakterystyczny syndrom u chłopca?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Younger.
- Niechże się pan zastanowi! Właśnie to wyjawilem.

Youngera zirytował fakt, że Freud nęci go analitycznymi zagadkami, zwłaszcza w takiej sytuacji, mimo to jednak przynęta chwyciła. Dziecięca zabawa?

- To ma coś wspólnego z kołowrotkiem wędkarskim, którym Luc ciągle się bawi - stwierdził.

- Otóż to! - potwierdził Freud. - Panna Rousseau mówiła mi, że babka bawiła się z jej bratem w chowanego, kiedy był malutki. Luc powtarza „fort” i „da”, kiedy odwija i nawija kołowrotek. „Jest” i „nie ma”. Co to znaczy?

Younger przez chwilę się zastanawiał.

- Kiedy zaczął?
- W tysiąc dziewięćset czternastym - odrzekł Freud.
- Wraca do śmierci rodziców - zawyrokował Younger.
- To oczywiste. Wciąż od nowa. Ale po co?
- Żeby się pozbyć poczucia straty?
- Nie. On nie chce się niczego pozbyć. Wciąż od nowa przeżywa najgorszy

moment w swoim życiu.

Dym z cygara wypełnił oświetlony świecami pokój ciężkim, uderzającym do głowy zapachem.

- To klucz do zagadki - podjął Freud. - Nerwica frontowa zawsze się wiąże z powtarzaniem. Pacjenci odczuwają wewnętrzny przymus powtarzania, potrzebę

odtworzenia albo ponownego doświadczenia traumy, która wywołała ich chorobę. I wszyscy powracają do tego samego: widoku śmierci albo momentu, w którym zbliżyli się do niej najbardziej. Normalnie dysponujemy systemem obronnym, fizjologicznymi oraz psychologicznymi fortyfikacjami, które trzymają naszą śmiertelność z dala od nas, poza świadomością. Jeśli te fortyfikacje zostaną zburzone, jeśli w chwili nieoczekiwanej traumy świadomość śmiertelności przedrze się przez zapory, ogarnia nas panika, wywołując coś w rodzaju umysłowego pożaru, bardzo trudnego do ugaszenia. Jest to też jednak ogień, do którego człowiek nieustannie powraca. Pacjent cierpiący na nerwicę frontową będzie przeżywał traumę w snach albo w biały dzień usłyszy eksplozję bombową w trzasku zamykanych drzwi. Może nawet odgrywać traumatyczne doznanie w fizjologicznych symptomach choroby.

- Dlaczego? - spytał Younger. - Żeby rozładować strach?

- Przez długi czas próbowałem wyjaśniać to w ten właśnie sposób - mówił Freud. - Wyrzucenie strachu byłoby przyjemne. A przynajmniej zmniejszałoby niezadowolenie. Każde zjawisko psychologiczne, tak wówczas myślałem, jest w gruncie rzeczy motywowane dążeniem do uzyskania przyjemności albo zmniejszenia nieprzyjemności. Zrozumiałem jednak, że naginałem fakty do teorii, podczas gdy powinienem był zweryfikować teorię zgodnie z faktami. Właśnie zaczynałem to rozumieć, kiedy tu przybyliście poprzednio. Wojna nauczyła mnie czegoś, co powinienem był dostrzec wiele lat temu: za zasadą przyjemności kryje się jeszcze jedno dążenie. Kolejny instynkt równie fundamentalny jak głód. I nieodparty jak miłość.

- Co to za instynkt? - zacięła się Colette.

- Instynkt śmierci. Jeszcze herbaty, panno Rousseau?

- Nie, dziękuję.

- Ma pan na myśli żądzę zabijania? - spytał Younger.

- To jedna strona tego zjawiska - odpowiedział Freud.

- Przede wszystkim jednak jest to tęsknota za śmiercią. Za zniszczeniem. Nie tylko za zniszczeniem innych ludzi, także za samozniszczeniem.

- Uważa pan, że ludzie chcą umrzeć? - zdziwiła się Colette.

- Tak - potwierdził Freud. - To pragnienie jest wbudowane w ludzkie komórki; w atomy, z których się składamy. Wszelkimi rządzą dwie elementarne siły. Jedna przyciąga materię do materii. W ten sposób powstaje i jest przekazywane życie. W fizyce ta siła nosi nazwę ciężenia, a w psychologii - miłości. Druga siła rozczłonkuje materię. To siła podziału, dezintegracji, zniszczenia. Jeśli się nie mylę, każda planeta i każda gwiazda w kosmosie jest nie tylko przyciągana przez pozostałe, ale też odsuwana od nich przez siłę odpychania, której nie widzimy. W żywym organizmie siła ta zmusza zwierzę, by szukało śmierci, by leciało na przykład jak ćma do płomienia.

- Potrafi pan jednak wyleczyć ten instynkt śmierci? - spytała Colette.

- Nie da się wyleczyć instynktu, panno Rousseau - odpowiedział Freud. - Nie można go wyeliminować. Można natomiast oswoić z nim świadomością i w ten sposób zlikwidować patologiczne skutki. Kiedy instynkt daje nam impuls, za którym nie podążamy, ten impuls nie znika. Może się utrzymywać bez zmiany. Może się nasilić, może zostać skierowany na inne obiekty, dobre lub złe. Może też wywołać objawy patologiczne. Takie objawy da się wyleczyć.

- Nigdy bym nie pomyślał, że niemota Luca wynika z podświadomego pragnienia śmierci - stwierdził Younger.

- Nie. Jego niemota pełni inną funkcję. Taki właśnie byłby cel jego analizy: odkryć rolę, jaką pełni. Niewątpliwie jest to związane ze śmiercią rodziców, prawdopodobnie jednak kryje się w tym coś więcej. Niewykluczone, że ich śmierć przypomniła mu o czymś, czego doświadczył wcześniej. Czy ojciec maltretował panią, panno Rousseau?

- Maltretował mnie? W jaki sposób?
- W dowolny.
- Z pewnością nie - powiedziała Colette.
- Nie? A czy panią faworyzował?
- Luc był jego faworytem - stwierdziła Colette. - Ja byłam dziewczynką.

Freud skinął głową.

- Cóż, szkoda, że nie możecie zostać w Wiedniu, ale naprawdę nie widzę takiej możliwości. Wiedeń jest o wiele mniejszy od Nowego Jorku. Z pewnością zostalibyście zauważeni. Policja ogłosi, że was szuka, i ktoś w końcu na was doniesie.

- Czy mogę zadać panu pytanie, doktorze Freud? - odezwała się Colette.
- Oczywiście, że tak.
- Te dwie siły, które pan opisał, to dobro i zło, prawda? Instynkt miłości jest dobry, a instynkt śmierci zły, czy tak?

Freud się uśmiechnął.

- W nauce, moja droga, nie ma czegoś takiego jak dobro i zło. Instynkt śmierci jest częścią naszej biologii. Słyszała pani o chromatolizie? Naturalnym procesie, w którym obumierają komórki? Każda z naszych komórek ulega samozniszczeniu w wyznaczonym czasie. To właśnie instynkt śmierci w działaniu. Co się stanie, jeśli komórka nie obumrze? Nadal się dzieli, reprodukuje bez końca, niezgodnie z naturą. Wtedy staje się rakiem. Tym przecież jest rak: zespół komórek zostaje dotknięty utratą woli, by umrzeć. Instynkt śmierci nie jest zły, panno Rousseau. Na właściwym miejscu jest tak samo niezbędny dla naszego prawidłowego rozwoju, jak jego przeciwieństwo.

•••

Tamtej nocy, kiedy Freud poszedł do siebie, a Colette z Lukiem rozgościli się w jednym z dawnych pokoi dziecięcych i mieszkanie pogrążyło się w ciszy, Younger palił papierosa na balkonie. Wewnątrz czuł się jak w klatce, ale na małym balkoniku wychodzącym na podwórze wcale nie odczuł ulgi.

W domu otworzyły się drzwi. Younger pomyślał, że Colette zamierza do niego dołączyć.

- Nie, to tylko ja - odezwał się za nim głos Freuda. Stary doktor wyszedł na balkon.
- Więc co myślisz o moim instynkcie śmierci?

- Jestem za - odparł Younger.

Freud się uśmiechnął.

- Wciąż jesteś na wojnie, mój chłopcze. Nie zdemobilizowałeś się. Dziesięć lat temu nie przewidziałbym, że ulegnie pan instynktowi. Był pan bardziej niepohamowany.

- Przeczytałem gdzieś, że zahamowania są niezdrowe. Udowodnił to sławny na cały świat psycholog.
- Którego teorii nie akceptujesz.
- Dziesięć lat temu postrzegałem pańską teorię jako moralną anarchię - stwierdził Younger w zamyśleniu. - Zniszczenie przyzwoitości. Ale miał pan rację. Chyba nie wierzę już w moralność.

- O tak, to właśnie powtarzają moi krytycy: Freud jest libertynem, Freud jest niemoralny. - Wciągnął do płuc nocne powietrze: głębokie westchnienie wieku i autorytetu. - To prawda, nie wierzę w moralność rodem ze szkółki niedzielnej. Kochaj bliźniego jak siebie samego - to niedorzeczność. Nie da się tej zasady wprowadzić w życie, chyba że się ma obok niezwykłego bliźniego. Gdy jednak chodzi o poczucie sprawiedliwości, to mogę się mierzyć z najlepszymi, jakich poznałem. Przez całe życie starałem się postępować honorowo, nie szkodzić i nie wykorzystywać, choć doskonale wiedziałem, że w ten sposób zamieniam siebie samego w kowadło dla cudzej brutalności, nielojalności i ambicji.

- A więc dlaczego? - spytał Younger. - Po co pan to robi?

- Mógłbym dać panu jakieś przekonujące psychologiczne wytłumaczenie, ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia. Nie potrafię pojąć, dlaczego ja i moje dzieci musimy być do cna przyzwoitymi ludźmi. To po prostu fakt. Fundament.

Nastąpiła krótka cisza, zanim Younger znów się odezwał:

- Sądzi pan, że potrzebuję fundamentu?

- Nie, już go pan ma.

- Ma pan na myśli poczucie sprawiedliwości?

- Miałem na myśli miłość - stwierdził Freud. - Właśnie dlatego martwi mnie ten zamach.

- Na Wall Street?

- Tak. To może być zwiastun czegoś nowego. Nie chodzi o użycie siły i gwałtowność. Tego należy oczekiwać. Czytałem któregoś dnia opis jednego z tych szczęśliwych zakątków Ziemi, gdzie społeczeństwa prymitywne rozwijają się w pokoju i zadowoleniu, nie znając agresji. Nie wierzyłem w ani jedno słowo. Tam, gdzie są ludzie, musi być przemoc i brutalność. Na szczęście instynkt śmierci niemal nigdy nie działa w pojedynkę. Nasze dwa instynkty niemal zawsze występują razem, dlatego nasza seksualność przyjmuje brutalne formy, ale też osłabia dążenie do śmierci. Właśnie dlatego ten zamach bombowy jest tak zastanawiający.

- Bo zabrakło współwystępowania?

- Otóż to! Niepohamowany instynkt śmierci. Uwolniony od instynktu życia, nieskrępowany idealami, za których pomocą *ego* ocenia swoje działania, a więc wyzuty z sumienia. Prawdopodobnie wyzwoliła go wojna albo ideologia. Ludzie zawsze czcili śmierć. W każdej starożytnej religii występował bóg śmierci. Albo bogini, czasem bardzo piękna, jak Atropos przecinająca nożycami nić ludzkiego życia. Przy okazji - to kolejny dowód na dążenie mężczyzn do śmierci. Nie złapano sprawców, prawda?

- Zamachu? - spytał Younger. - Jeszcze nie.

- Może dlatego, że nie żyją.

Dopiero po chwili Younger zrozumiał:

- Sądzi pan, że zginęli podczas wybuchu? Że zrobili to celowo?

- Może tak, może nie - odparł Freud. - Może podsunęli tę myśl innym. Ale właśnie to mnie martwi.

• • •

Wczesnie rano, kiedy Freud odbywał codzienną przechadzkę, przyszedł Oktavian Kinsky.

- Chcę pani zaoferować swoje usługi, mademoiselle - powiedział do Colette w

salonie Freuda. - Słyszałem, co się stało wczoraj wieczorem przed hotelem Bristol. Przyszło mi do głowy, że potrzebuje pani dyskretnego transportu na stację kolejową i pomyślałem, że zastanę panią tutaj.

- Jest pan bardzo uprzejmy, hrabio Oktavianie - odparła Colette. - Nie wiem, jak panu dziękować.

- Nie ma za co, mademoiselle - odparł. - Obowiązkiem arystokraty jest służyć nie policji, lecz pięknej kobiecie, którą policja ściga.

- Zwłaszcza arystokraty, który doniósł policji na tę kobietę - wtrącił Younger.

- Strathamie! - W głosie Colette zabrzmiała nagana. - Dlaczego mówisz takie rzeczy?

Oktavian był speszony.

- Niestety, on ma rację.

- Znaleźli pańskie wizytówki - dodał Younger.

- Właśnie tak - potwierdził zdeprymowany Oktavian. - Kilka moich wizytówek odkryto niedaleko miejsca, w którym państwo... W którym zdarzyła się ta niefortunna przygoda. Władze czeskie wysłały telegram do policji wiedeńskiej, która wsadziła mnie do celi, jakbym popełnił przestępstwo. Powiedzieli mi, że w Pradze został zabity mężczyzna nazwiskiem Hans Gruber. Zapytali, czy go znam. Cóż miałem zrobić? Naturalnie wyjaśniłem im, że panna Rousseau podróżowała do Braunau wiedzona miłością do Hansa Grubera i że doktor Younger, wiedziony miłością do pani, pojechał tam z pani bratem motocyklem, który mu pożyczyłem. Jestem pewien, że policja coś pomieszała, jak to zwykle oni. Przekonywałem ich, że żadne z was na pewno nie mogłoby być zamieszane w zabójstwo. Przepraszam, to moja wina.

- Nie - zaprzeczyła Colette. - To z naszej winy policja pana nękała.

- Czy mówił im pan, że znamy się z Freudami? - spytał Younger.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Oktavian. - Nie należy się zwierzać policji. A przy okazji, gdzie jest mój motocykl, jeśli wolno spytać? Rozumiem, że wczoraj wieczorem przyjechaliście państwo do hotelu taksówką. Czy zostawił pan motocykl na stacji?

- Nie powiedzieli panu na policji? - zdziwił się Younger.

- O czym?

Younger skinął na Luca.

- Hrabia Kinsky chce wiedzieć, gdzie jest jego motocykl - powiedział do chłopca.

Luc wyjął z kieszeni małe okrągłe lusterko z kawałkiem ułamanego metalu z jednej strony. Oktavian wziął je, mrugając powiekami. Z drugiej kieszeni Luc wyjął pogiętą szprychę.

- O mój Boże! - wyszeptał.

- Ogromnie nam się przysłużył - stwierdził Younger. - Mały zwinny pojazd.

- O mój Boże! - powtórzył Oktavian, któremu zaschło w ustach.

- Chwileczkę, mam tu jeszcze coś! - Younger wyjął z kieszeni czek, który wręczył arystokracie.

Oktavian Kinsky spojrział na czek.

- To nie jest równowartość motocykla, doktorze - stwierdził. - To suma wystarczająca na motocykl i trzy nowe automobile.

- Wiem - odrzekł Younger. - I tak za mało, by się panu odwdziżyć.

• • •

Nie było czego pakować. Wszystkie ich rzeczy zostały w hotelu i nie mogli ich odzyskać. Zegnali się z Minną na podwórzu, kiedy Freud wrócił z porannego spaceru w towarzystwie żony.

- Już jedziecie? - spytał Freud.

- Tak - odpowiedział Younger. - Oktavian zabiera nas na stację. Przebywając tutaj, z każdą chwilą narażamy państwa na większe niebezpieczeństwo.

- Pani Freud i ja uzgodniliśmy coś właśnie, panno Rousseau - rzekł Freud. - Niech pani zostawi chłopca. Z nami.

- Nie mogłabym - odparła Colette.

- Dlaczego nie? Byłaby to łaska dla Marthy. W naszym domu od dłuższego czasu nie było dzieci.

- Ale nie mogłabym - powtórzyła Colette.

- Ułatwiłoby to wam ucieczkę - wtrącił Oktavian. - Policja szuka pary z chłopcem.

Na pewno będą obserwowali dworce kolejowe.

- Nigdy się nie rozstawałam z Lukiem.

- Nigdy? - powtórzył Freud. - Dopiero co zostawiła go pani, żeby wyjechać do Braunau. Nie mając pewności, że kiedykolwiek zdoła po niego wrócić.

Colette się nachmurzyła.

- Była tylko jedna rzecz na świecie, dla której mogłam to zrobić. A teraz...

- *Fräulein* - zaczął Freud łagodnie, ale znacząco. - Opiekuje się pani bratem od sześciu lat i przez ten czas nie zapewniła mu leczenia. Prawdopodobnie było to rozsądne z pani strony, rozsądne ponad wiek, ponieważ terapia, którą by otrzymał niemal wszędzie na świecie, byłaby bezużyteczna, jeśli nie szkodliwa. Teraz jednak wyrządzi mu pani niedźwiedzią przysługę, odmawiając terapii, której potrzebuje. Luc znajduje się w niebezpiecznym wieku. Jeśli jego stan utrzyma się dłużej, niemal na pewno trwale wpłynie na dorosłe życie. - Freud zrobił pauzę. - Mam dodatkowo medyczny powód przemawiający na rzecz mojej propozycji. Otóż pani brat zyska większe szanse, by wyzdrowieć, jeśli będzie leczony pod pani nieobecność.

- Pod moją nieobecność? - powtórzyła Colette. - Dlaczego?

- Z dala od pani jego zachowanie się poprawia - wyjaśnił Freud. - Younger, czy chłopiec komunikował się z panem, kiedy razem podróżowaliście?

- Tak. Pisał na kartce, gdy miał mi coś do powiedzenia.

- Nie wspomniałeś mi o tym - z wyrzutem powiedziała Colette do Youngera.

- To naturalne, panno Rousseau, że chłopiec lepiej sobie radzi, gdy nie ma w pobliżu najbliższych. I naturalnie pani się to nie podoba.

- Nieprawda, że mi się nie podoba.

- Nie? Cóż, w tej chwili nie potrafię powiedzieć wiele więcej, ale niemal na pewno ma pani jakiś związek z jego chorobą. Pani opieka przez ostatnie sześć lat i jego zachowanie są jakoś ze sobą powiązane. Może nawet pani jest przyczyną jego stanu.

Younger widział, że Colette jest zrozpaczona.

- Czy mogę chwilę porozmawiać ze Strathamem? - poprosiła.

- Oczywiście - zgodził się Freud.

Cofnęli się do klatki schodowej.

- Powiedz mi, że nie jestem przyczyną jego choroby - wyszeptwała rozpaczliwie. - Czy to przeze mnie?

- Nie wiem.

- Co powinnam zrobić?
- Zostawić go tutaj, bez wątpienia - odparł Younger. - Niewykluczone, że nie uda nam się wyjechać z Austrii. Jeśli nas złapią, a Luc będzie z nami, umieszczą go w jakimś czeskim sierocińcu albo jeszcze czymś gorszym. Może tam spędzić długie lata.

- Ale jak go odbierzemy?

- Jeśli zdołamy stąd uciec? Z łatwością. Po prostu kogoś po niego przyślemy.

Colette opanowała się, po czym wrócili na podwórze. Po chwili wahania zapytała brata, czego on by chciał. Chłopiec spojrzał na Youngera.

- Chcesz znać moje zdanie? - spytał Younger.

Luc skinął głową.

- Zostań tutaj. - Younger postanowił odwołać się do odwagi, która będzie chłopcu potrzebna. - Będzie ci ciężko, ale pomożesz siostrze i mnie także. Kiedy dotrzemy w bezpieczne miejsce, dołączysz do nas.

Luc zastanawiał się nad tym przez chwilę. Spojrzał Youngerowi głęboko w oczy - wystarczająco głęboko, jak podejrzewał Younger, by zrozumieć jego intencje. Potem chłopiec postawił kilka kroków i zajął miejsce między Freudem a jego żoną. Spojrzał na Colette, kamienną twarzą dając jej do zrozumienia, że podjął decyzję.

- Wyślijcie nam depeszę, jak tylko będzie to możliwe - poprosił Freud.

• • •

Stacji kolejowej Westbahnhof pilnowali policjanci, którzy żądali dokumentów od każdego wchodzącego do budynku.

- Jest gorzej, niż myślałem - powiedział Oktavian. - Nie wyobrażam sobie, żebyście mogli tędy przejść.

- Czesi organizują antysemickie zamieszki, a oni chcą aresztować nas - stwierdził Younger zniesmaczony Nadal siedzieli w powozie Oktaviana. - Czy jest tu jakaś inna stacja?

- Nawet kilka, ale z pewnością policja rozstawiła posterunki także tam. Mam jednak pewien pomysł, jeśli się pan zgodzi, doktorze. Aeroplan. Francuska kompania uruchomiła połączenie dopiero w zeszłym miesiącu. Pas startowy jest mały i niemal zawsze pusty. Policjanci mogli o tym nie pomyśleć. Ponoć aeroplany są całkiem bezpieczne, ale bardzo kosztowne.

- Co powiesz na przelot? - Younger spytał Colette.

- Luc sprawiał wrażenie zadowolonego, że zostaje - odparła, ignorując jego pytanie. - Jakby się naprawdę cieszył, że będzie z dała ode mnie.

• • •

Lotnisko wiedeńskie, jedyne w Austrii, ograniczało się do zakurzonego pasa startowego, na którym stał tylko jednopłat z największym śmigłem na dziobie, jakie Younger widział w życiu. Oktavian miał rację: nie było policji. Ale nie było też nikogo innego, przynajmniej oni nikogo nie widzieli. Ani pasażerów, ani kas biletowych, ani obsługi. Budynek świecił pustkami.

Na jego tyłach znaleźli dwóch mężczyzn nad kawą i sznapssem. Jeden z nich okazał się pilotem. Francuz usłużnie podniósł się z krzesła, kiedy Oktavian zapytał o możliwość przetransportowania dwóch pasażerów do najbliższego portu.

- Powinniśmy latać do Paryża, ale nie bądźmy drobiazgowi - stwierdził pilot z

typowym dla Francuzów wzruszeniem ramion. - Mogę zabrać was do Bremy.

- Brema będzie w sam raz - odparł Younger.

Uzgodnili cenę. Pilot wypił sznapsa i klasnął w dłonie.

- No to startujemy! - powiedział.

W samolocie znajdowało się osiem siedzeń dla pasażerów. Pilot usadowił się w kokpicie, pociągnął jeszcze łyk z piersiówki, po czym podniesionym kciukiem dał sygnał partnerowi, który mocnym szarpnięciem puścił śmigło w ruch. Silnik obudził się do życia. Oktavian, teraz znacznie mniej entuzjastycznie nastawiony do własnego pomysłu, pożegnał się z Youngerem i Colette przy małej drabince prowadzącej do wejścia dla pasażerów.

- To dziwne, mademoiselle, ale przez cały czas mam wrażenie, że skądś panią znam - powiedział. - Ze się spotkaliśmy dawno temu. Nie ma pani krewnych w Austrii?

- Być może znał pan moją babkę - odparła Colette. - Była wiedenką.

- Otóż to! - wykrzyknął Oktavian. - Musiałem ją spotkać. Wydaje mi się nawet, że pamiętam, gdzie i kiedy. Wiedziałem, że gdzieś już widziałem tę twarz! Czy pani babka pochodziła ze szlacheckiego rodu?

- Och, nie. Była bardzo biedna.

- Przysiągłbym, że poznałem ją na jakimś wspaniałym balu i że była z jakimś wytwornym dżentelmenem.

- To nie mogła być moja babka, panie hrabio.

- No cóż, w końcu sobie przypomnę. Proszę jednak nie nazywać mnie panem hrabią. Teraz nie ma już hrabiów.

• • •

Startując, samolot zatrzęsł się niepokojąco, po chwili jednak uzyskał coś w rodzaju stabilności na wysokości lotu. Zerkali na rozciągający się pod nimi śnieżny dywan, utkany jednak nie ze śniegu, lecz z chmur.

- Nigdy nie widziałam chmur z góry - stwierdziła Colette.

- Sądzisz, że to może się nie podobać panu Bogu?

- Nie wydaje mi się, żeby nam zazdrościł widoku własnego dzieła - odparł Younger. - Bardziej bym się przejmował tym, że igrasz z jego atomami.

- Dlaczego tak nieufnie podchodzisz do radu? - spytała. - Upierałeś się, żebym zakładała ten absurdalny kombinezon w laboratorium profesora Boltwooda. Wszyscy twierdzili, że wyglądam w nim jak nurek.

- Wszyscy inni też powinni nosić kombinezony ochronne - stwierdził Younger.

- Zastanawiam się, czy to mogłoby wyjaśnić radioaktywność. Mam na myśli instynkt śmierci doktora Freuda. Nie mamy pojęcia, dlaczego atomy radu się dzielą, ale w gruncie rzeczy nie wiemy też, dlaczego pozostałe atomy nie ulegają podziałowi - rozgadała się Colette. - Prawdopodobnie jedna siła trzyma cząsteczki razem, a inna odpycha je od siebie. Można by więc uznać, że mamy do czynienia z tym, co opisywał doktor Freud: dwiema fundamentalnymi siłami: jedna to przyciąganie, a druga odpychanie.

- Która jest silniejsza? - spytał Younger.

- Powiedziałabym, że ta, która je trzyma razem. To by wyjaśniało, dlaczego radioaktywność wyzwala tak wiele energii. - Zaświtała jej kolejna myśl. - Ale ta uwolniona energia może też być siłą śmierci. Może rozszczepienie atomu to śmierć w

czystej postaci. Może przekazuje siłę śmierci innym atomom, powodując, że i one się rozpadają.

- I zastanawiasz się, dlaczego podchodzę do tego nieufnie? - zapytał Younger.

- To wyjaśniałoby też wpływ radu na komórki rakowe - ciągnęła Colette z rosnącym podnieceniem. - Nikt jeszcze nie odkrył, jak rad leczy raka. Nawet Madame tego nie wie. Ale doktor Freud miał rację: rakowacieją komórki, które przestały umierać. Może więc rad wyzwala siłę śmierci, kiedy się go umieszcza wewnątrz guza, przekazując ją do komórek raka, które dzięki temu znów zaczynają umierać. Co robisz?

Younger pochłonięty innymi myślami podniósł się z miejsca.

- Hej! - krzyknął do pilota. - Mówił pan, że ten samolot ma lecieć do Paryża?

- *Oui, monsieur* - odpowiedział mężczyzna.

- Niech więc pan tam leci.

- Do Paryża? - zdziwiła się Colette. - Po co?

- Zobaczyć jednego z twoich bohaterów.

ROZDZIAŁ

Siedemnasty

Pod nagłówkiem *Zaproszony do Meksyku* na pierwszej stronie Littlemore przeczytał następujący tekst:

Zaproszenie do Meksyku prezydenta elekta Hardinga zostało przekazane wczoraj wieczorem podczas spotkania senatora A. B. Falla z Nowego Meksyku i pana Eliasa L. Torresa, wysłannika nowo wybranego prezydenta elekta Meksyku Obregóna. Zaproszenie dotyczyło także udziału senatora Hardinga w uroczystościach z okazji objęcia urzędu przez prezydenta elekta Obregóna w Meksyku dwudziestego piątego bieżącego miesiąca. Nie wiadomo, czy zaproszenie zostanie przyjęte, jest to jednak mało prawdopodobne. Dziś wieczorem prezydent elekt nie wydał żadnego oświadczenia w tej sprawie. Senator Harding jest wielkim zwolennikiem przywrócenia przyjaznych kontaktów między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi, jego bliscy doradcy jednak nie uważają, by w tej chwili stosowna była wizyta prezydenta elekta na obcej ziemi.

Littlemore jechał pociągiem z powrotem do Waszyngtonu. Długo wpatrywał się w okno.

Na stacji w Waszyngtonie Littlemore złapał taksówkę i pojechał prosto do Biblioteki Kongresu tuż obok budynku Kapitolu. Tam poprosił o kilka podstawowych danych na temat historii Meksyku. Bibliotekarka przyniosła mu *World Book of Organized Knowledge*. Pół godziny później szybkim krokiem Littlemore podążył do budynku biurowego Senatu.

- O co chodzi? - spytał Fall, kiedy Littlemore wkroczył do jego gabinetu.
 - Czytałem w gazecie o Meksyku, panie senatorze.
 - Naprawdę jestem z tego dumny! - Mówiąc to, senator rozprostował ramiona i oparł się wygodnie w fotelu. - Dwaj prezydenci elekci dwóch największych demokracji na świecie. To będzie coś nowego. Harding nie chce jechać, ale go przekonam. Obregón wycofa swoje wojska z kopalni i pozwoli nam zatrzymać szyby naftowe. Wszystko na świecie wróci do normy.
 - Nie podzielam zdania, że pan Harding powinien tam jechać, panie senatorze.
 - Udziela mi pan rad na temat polityki zagranicznej? Mnie?
 - A jeśli to był Meksyk, panie Fall?
 - Jak to Meksyk?
 - No, jeśli to był Meksyk, a nie Rosja?
- Nastąpiła długa pauza.
- Nie mówi pan chyba o zamachu bombowym, prawda, mój synu?
 - Pamięta pan, o co pan pytał podczas naszego pierwszego spotkania? Który kraj zyskałby coś na tym zamachu, który kraj miał motyw i który uważałby za rozsądne nas zaatakować.
 - Oczywiście, że pamiętam.

- Nikt nie miał większego motywu, żeby zniszczyć J. P. Morgana, niż Meksykanie - stwierdził Littlemore. - Morgan chce ich wykrwawić, od sześciu lat nie dopuszczając, aby jakkolwiek bankier na świecie pożyczyl im pieniądze.

Ale to nie jedyny motyw. Z tego co słyszałem, szczerze nas tam nienawidzą, panie senatorze. Od dawna szukają okazji do rewanzu.

- Za co?
- Za wojnę meksykańsko-amerykańską.
- Co to za... To stara historia, mój chłopcze. Nikt już nawet nie pamięta tej wojny.
- Oni ją pamiętają, panie senatorze. Zabraliśmy im prawie połowę kraju.

Najechaliśmy ich terytorium. Okupowaliśmy stolicę. Zabiliśmy wielu ludzi. Nie obyło się bez wojennego okrucieństwa z naszej strony. Meksykanie uważają, że traktujemy ich z góry, senatorze Fall. A w dodatku sądzą, że się bogacimy na ich srebrze i ropy, podczas gdy oni klepią biedę.

Fall zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Miałem zamiar powiedzieć, że to największy absurd, jaki w życiu słyszałem, ale może jednak nie. Ten nowy poseł, Torres, prawdę mówiąc, jakoś mi się nie podoba. Jakby miał coś do ukrycia.

- Powiedzmy, że Meksyk planował nacjonalizację naszych szybów naftowych - ciągnął Littlemore. - Chcieli przez to pokazać, że nawet jeśli nasza armia bez problemu sprawi im łomot, to oni mogą nas zranić w inny sposób, całkowicie nowy, któremu siły zbrojne nie zdołają zapobiec. Zranić na tyle boleśnie, że uznamy inwazję za nieopłacalną.

- Chce pan powiedzieć, że zamach miał nam pokazać, z jaką determinacją będą walczyli, jeśli dokonamy inwazji?

- Chcę powiedzieć, że gdy na to spojrzymy z punktu widzenia Meksyku, zamach nabiera sensu. Jest atakiem na Morgana, zemstą za naszą inwazję i ostrzeżeniem, jak wielkie zniszczenia nam grożą, jeśli użyjemy wojska, by z powrotem przywrócić naszą kontrolę nad ropą. Trzy w jednym.

- W takim razie musielibyśmy ich uznać za beznadziejnych idiotów, bo zapomnieli powiedzieć, gdzie mieszka ten, który to zrobił - stwierdził Fall.

- Nie chcieli nam tego powiedzieć od razu - odparł Littlemore - bo wtedy musielibyśmy wyekspediować do nich naszą armię, czego z pewnością nie chcą. Zostawili nam więc wskazówkę, że to oni, jednocześnie nie dostarczając żadnych dowodów.

- Ale przecież nie zostawili wskazówki.

- Owszem - zaprotestował Littlemore. - Czy wie pan, kiedy Meksyk obchodzi święto niepodległości?

- Nie.
- Szesnastego września.

Cali milczał przez kilkanaście sekund.

- Jest pan tego pewien? Nie piętnastego? Ani siedemnastego?

- Szesnastego września, panie senatorze. I jest to u nich wielkie święto, podobnie jak Święto Niepodległości u nas.

- Nieczęsto używam tego słowa, ale czy nie jest to właśnie ironia? Próbowali pokazać nam, że nie są miernotami, a myśmy się nawet nie zorientowali!

- Jest jeszcze coś, panie Fall. Dwa tygodnie przed zamachem panu Lamontowi z banku Morgana grożono. Myślał, że autorem groźby jest bankier nazwiskiem Speyer, ale

to nie był on. Groził mu konsul meksykański nazwiskiem Pesqueira, który powiedział, że jeśli Morgan nie zacznie znów pożyczać pieniędzy Meksykowi, to ciężko za to zapłaci.

Fall wyraźnie starał się coś sobie przypomnieć.

- Przecież ten cały poseł Torres mógł zrobić ze mnie idiotę. Zresztą chyba się zachowałem jak idiota. Oni wysadzają nas w powietrze, a ja namawiam prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby zawarł z nimi pokój, w dodatku po tym, jak przechwycili nasze kopalnie. Może oni rzeczywiście planują sięgnąć także po ropę? Niech diabli wezmą moje zaślepienie!

- Nie mamy żadnych dowodów, panie Fall. Jeszcze nie. I brakującym ogniwem wciąż jest to złoto.

- Racja! Co ze złotem? - Oczy senatora biegały we wszystkie strony - To niemożliwe, Littlemore. Chce mi pan powiedzieć, że nasze złoto zostało przewiezione do Meksyku w dniu niepodległości tego kraju przypadkiem?

- Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności, panie senatorze. Jak pan powiedział, może Meksykanie przekupili kogoś w naszym rządzie, kogoś, kto miał wpływ na datę przeniesienia złota do nowego skarbcza. Jadę do ambasady meksykańskiej, panie Fall. Mam zamiar porozmawiać z Torresem. I z Pesqueirą.

- Na Boga, mój synu, jeśli pan to rozwikła, dostanie pan ode mnie własną ambasadę! W którym kraju chciałby pan zostać ambasadorem?

- To nie moja specjalność, panie Fall.

- Co więc pan powie na stanowisko dyrektora Biura Śledczego?

• • •

W holu ambasady Meksyku, okazałego czterokondygnacyjnego budynku przy ulicy Pierwszej, panowało wilgotne niezdrowe powietrze. Na ścianach widoczne były zacieki.

- Wdał się tu grzyb - powiedział Littlemore do recepcjonistki.

- Wiem - odparła. - Wszyscy wiedzą. W czym mogę pomóc?

Detektyw się dowiedział, że Elias Torres, nowy poseł, nie przedstawił jeszcze oficjalnych dokumentów w ambasadzie, ale ma to zrobić nazajutrz. Za to señor Pesqueira urzędował na górze.

• • •

Roberto Pesqueira był niedużym mężczyzną z dobrze natłuszczonymi włosami, jasną skórą, czarnymi jak smoła wąsami i perfekcyjnie białym uzębieniem. Nie okazał niepokoju, kiedy Littlemore przedstawił się jako agent Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych. Jeśli coś dało się po nim poznać, to sprawiał wrażenie człowieka, który się spodziewał tej wizyty.

- Mam powody sądzić, że dwa miesiące temu groził pan pewnemu człowiekowi w Nowym Jorku, panie Pesqueira

- zaczął Littlemore.

- Jakiemu człowiekowi?

- Thomasowi Lamontowi. Dwa tygodnie przed zamachem bombowym na Wall Street.

W rogu biurka Pesqueiry leżały starannie złożone białe chusteczki. Sięgnął po jedną z nich i przyłożył do ust.

- Waszemu cesarzowi - powiedział.

- Słucham pana?
- Señor Lamont to król na waszym tronie. Wszyscy pozostali są jego pachółkami. Wilson, wasz tak zwany prezydent, także jest jego pachółkiem.
- Nie zaprzecza pan, że mu groził?
- Bank Morgana tłamsił moich rodaków przez sześć lat
- odparł Pesqueira. - Pański rząd wspierał w moim kraju skorumpowanego dyktatora przez dwadzieścia lat. Okupujecie mój kraj. Ukradliście nam Kalifornię. Ostrzegacie, że wytoczycie nam kolejną wojnę, jeśli nie zmienimy konstytucji. I pan mi mówi, że ja komuś groziłem?
- Wykonuję tylko swoją pracę, panie Pesqueira.
- Czyżby? Chyba jednak pan zapomniał o dwóch najważniejszych słowach prawa międzynarodowego.
- Cóż to za słowa?
- Immunitet dyplomatyczny. Pańskie prawo mnie nie obejmuje. Nie może mnie pan aresztować. Nie może pan przeszukać mojego domu. Nie może pan nawet mnie przesłuchać.
- Nieprawda. Jest pan pracownikiem konsularnym, tak samo jak Juan Burns - odparł Littlemore, przywołując nazwisko meksykańskiego konsula uwięzionego w Nowym Jorku za nielegalny zakup broni w 1917 roku. - Nie chroni pana immunitet dyplomatyczny.
- Proszę mi wybaczyć, ale nie jest pan takim ignorantem, jak myślałem. W przypadku Amerykanów szybko można się do tego przyzwyczaić. Jednak nie jestem już pracownikiem konsularnym. Jak pan sam widzi, mój gabinet mieści się w ambasadzie, a wszystkich pracowników ambasady, o czym pan doskonale wie, obejmuje immunitet dyplomatyczny. Nie może pan nawet przebywać tu bez mojej zgody. Czy mam wezwać policję, agencje Littlemore?

•••

Littlemore wbiegł do biura senatora Falla i nie zważając na protesty jednego z asystentów parlamentarzysty, zapukał do drzwi i wszedł.

- Niech pan mi nie robi nalotów, chłopcze - pouczył go Fall z za biurka. Jego białe wąsy kontrastowały ostro z rumianą twarzą.
- Przepraszam, senatorze. Muszę wiedzieć, gdzie znajdę meksykańskiego posła, o którym mi pan mówił. Tego Torresa. Muszę go dopaść natychmiast.
- Dlaczego?
- Zanim zostanie pracownikiem ambasady. Nie może się zasłaniać immunitetem dyplomatycznym. Czy możemy sprawdzić, gdzie się zatrzymał?
- W takich sprawach jestem dobry - pochwalił się Fall.
- Niech pan usiądzie w poczekalni. To chwilę potrwa.

Littlemore przeszedł do poczekalni, nie usiadł jednak. Chodził tam i z powrotem. Patrzył na zegarek. Wypił filiżankę kawy. W końcu dwie godziny później rzeczowa, ale nadzwyczaj dobrze wyglądająca pani Cross przyniosła mu kartkę z adresem.

- Pan Torres wynajął apartament przy Creseent Place - oznajmiła. - Senator Fall mówi, że może pan wziąć jeden z jego samochodów, jeśli pan sobie życzy. Pokażę panu, gdzie jest zaparkowany.

•••

Podziemia budynku biurowego Senatu mieściły stację elektrycznej kolejki jednotorowej, kursującej na Kapitol i z powrotem. Pani Cross zaprowadziła Littlemore'a do garażu i usiadła za kierownicą sedana z odkrytym dachem.

- Przepraszam panią, ale chyba powinienem tam pojechać sam - stwierdził Littlemore.

- Bo może być niebezpiecznie?
- Właśnie tak.
- Lubię niebezpieczeństwo - odparła. - Poza tym pan się śpieszy. Ma pan przynajmniej pojęcie, gdzie jest Crescent Place?

- Nie.
- Straci więc pan mnóstwo czasu. Proszę wsiadać.

•••

Pani Cross zwolniła, kiedy dojechali do wąskiej alejki w modnej dzielnicy. Jechali Szesnastą. W lusterku wstecznym widać było światła Białego Domu migoczące daleko za nimi. Pani Cross skręciła w biegnącą łukiem alejkę i zaparkowała przed małym domem mieszkalnym. Zapadał zmierzch.

Littlemore znalazł nazwisko Torresa, dopisane chyba niedawno, bo atrament był świeży, na skrzynce pocztowej apartamentu 3b. Wszedł na trzecie piętro i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Pani Cross stała za nim.

- Kto tam? - zapytał głos z hiszpańskim akcentem.
- Agent federalny James Littlemore. Czy pan Elias Torres?
- Jace.
- Co pan powiedział?
- Jestem Elias Torres.
- Chcę zadać panu kilka pytań, panie Torres.
- W jakiej sprawie?
- W sprawie zamachu na Wall Street - odpowiedział Littlemore.

Nastąpiła pauza.

- Dobrze. Za chwilę. Muszę włożyć koszulę.
- Daję panu trzydzieści sekund - krzyknął Littlemore i przyłożył ucho do drzwi.

Usłyszał szybkie kroki i odgłos otwieranego okna.

- On ucieka - skonstatowała pani Cross.
- Wiem - odparł Littlemore.
- Niczego pan z tym nie zrobi? - spytała.
- Owszem. Poczekam, żeby się upewnić, że go nie ma.
- Littlemore walnął w drzwi. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wyjął z kieszeni

wytrych i mały pilnik, po czym zaczął pracować nad zamkiem. - Nie potrzebujemy pana Torresa, pani Cross.

- Dlaczego?

- Właśnie przybył z Meksyku - odpowiedział Littlemore, wsuwając pilnik między framugę a rygiel. - Jeszcze się nie wprowadził do biura w ambasadzie, czyli nie chroni go immunitet. Możemy przejrzeć wszystkie rządowe kufry i dokumenty, które ze sobą przywiózł. I o to właśnie nam chodzi. Problem w tym, że bez nakazu nie można wejść do czyjegoś mieszkania i przeszukać jego rzeczy. Oczywiście wyjątkiem jest sytuacja, kiedy

podejrzany próbuje uciec.

Littlemore podważył rygiel.

- Gra pan zgodnie z regułami, Nowy Jorku - zauważyła pani Cross.

- Ktoś musi. - Wiatr szarpał zasłonami w oknie salonu. Littlemore wyrzwał na zewnątrz. Okno wychodziło na schody przeciwpożarowe. - Tędy wyszedł.

W niedawno urządzonym mieszkaniu stały tanie meble. Jediną dekoracją były wiszące na ścianie akwarele przedstawiające kłownów i byki, oraz wazon z kwiatami stojący na tandetnym stole. Littlemore sprawdził pokoje, szafy, półki. Niczego nie znalazł oprócz kilku ubrań i rzeczy osobistych. Pani Cross stała w salonie, paląc papierosa.

- Sprytnie posunięcie z tą ucieczką - stwierdziła.

- Nie postąpiłem zbyt mądrze, prawda?

- Porządny Meksykanin mógłby staranniej zamiatać podłogę - odparła pani Cross, korzystając z czystej popielniczki na stole.

Littlemore podążył wzrokiem za jej oczami. Pod ścianą zobaczył małą kupkę pyłu. Półtora metra nad nią wisiała na ścianie akwarela przedstawiająca byka.

- Mamy go - rzucił Littlemore.

Zdjął obrazek z gwoźdźcia. Za nim wywiercono dziurę wystarczająco dużą, by człowiek mógł do niej wsunąć rękę. To właśnie uczynił Littlemore, wyjmując ze ściany kartonowy cylinder. Z obydwu końców tuby wystawały zwinięte dokumenty Littlemore wyciągnął kartki ze środka, rozłożył je na stole i trzymał tak, by z powrotem się nie zwinięły.

Wśród papierów znajdowały się fotografie. Był też list napisany po hiszpańsku na papierze firmowym meksykańskiego ministerstwa i opatrzony pieczęcią urzędową. Na jednej z kartek naszkicowano plan.

- O cholera! - szepnął Littlemore. - O jasna cholera!

• • •

- Dlaczego korzystamy ze schodków przeciwpożarowych?

- spytała pani Cross, stąpając po metalowych schodach kilka stopni za Littlemore'em.

- Ponieważ jeśli ktokolwiek na nas czeka, to przed frontowym wejściem.

- Kto miałby na nas czekać?

- Gdybym był Eliasem Torresem i zostawił w domu te dokumenty, wróciłbym po nie. Z przyjaciółmi i z bronią. Niech pani to trzyma.

Littlemore wręczył towarzysze kartonową tubę z dokumentami, zszedł do końca po małej metalowej drabince, po czym zeskoczył na ziemię. Znalazł się na podwórzu za budynkiem; wydawało się puste.

- Niech mi pani rzuci tubę i zejdzie - polecił cicho.

Posłuchała, kiedy jednak dotarła do ostatniego szczebla drabinki, przeszło półtora metra nad ziemią, spojrzała na niego pytająco.

- Co teraz?

- Proszę skakać. Złapię panią - odpowiedział.

Zawahała się.

- Niech pani skacze, na miłość boską! - szepnął.

Skoczyła. Złapał ją. Oparła rękę na jego piersi.

- Nie wygląda pan na aż tak silnego - stwierdziła.

- To komplement? - spytał. - Proszę nie odpowiadać. Niech pani będzie cicho.

Poprowadził panią Cross dookoła budynku, osłaniając własnym ciałem; przywarli do ściany, kiedy doszli do ulicy. Wyrzawszy zza rogu, Littlemore dostrzegł przed głównym wejściem do budynku czterech mężczyzn w kapeluszach nasuniętych na oczy. Jeden z nich siedział na masce sedana, którym przyjechali z panią Cross. Sprawiał wrażenie pochłoniętego polerowaniem buta. Littlemore wyciągnął broń.

- Zaraz - szepnęła pani Cross. - Pójdę. Nie wiedzą, że jest pan z kobietą. Wsiądzie pan do auta na rogu alei Prezydenta.

- Gdzie to jest?

- To jest Szesnasta. - Wskazała kierunek, po czym pewnym krokiem wyszła na ulicę, nie przejawiając ani odrobiny niepokoju. Kiedy dochodziła do auta, mężczyźni zaczęli się poszturchiwać łokciami. Jeden gwizdnął, inny zadał jej pytanie natury dość osobistej, które pani Cross zlekceważyła. Kiedy wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik, głowa mężczyzny siedzącego na masce pojawiła się nad przednią szybą.

- Dokąd się wybierasz, kochanie? - spytał. Zapewne uważał, że pani Cross nie ruszy z mężczyzną na masce wozu. Pomylił się.

- Jeśli zdołasz się tam utrzymać, to się dowiesz - odpowiedziała. Włączyła bieg i wystrzeliła spod krawężnika, zrzucając mężczyznę na chodnik. Nie odwracając się, pomachała wszystkim czterem na pożegnanie i zniknęła za pierwszym rogiem.

Tymczasem Littlemore wykorzystał zmieszanie, by niezauważenie odejść w przeciwnym kierunku.

• • •

Pani Cross i Littlemore z przeciwnych stron dotarli do ulicy Szesnastej, którą ambitni mieszkańcy przemianowali na aleję Prezydenta. Littlemore obejrzał się przez ramię, zanim wsiadł do auta: nikt za nimi nie jechał.

- Dokąd? - zapytała.

- Do senatora. Gdzie on może teraz być?

- Pan Fall? W domu, czyli w hotelu Wardman Park. To niedaleko stąd.

- Jedźmy - polecił Littlemore. Raz jeszcze obejrzał się za siebie. - Całkiem niezłe, pani Cross.

- Po co pytał pan o moje imię, skoro nie ma pan zamiaru go używać?

• • •

Główne wejście do liczącego tysiąc pokoi hotelu Wardman Park przy Connecticut Avenue, rozciągającego się w kilku skrzydłach na ponad sześciu tysiącach metrów kwadratowych sielankowego wzgórza, było jasno oświetlone i obstawione nowymi samochodami, wokół których mimo późnej pory zebrał się tłum gapiów.

- Wystawa motoryzacyjna - rzucił Littlemore lekceważąco. - Cały świat spływa do rynsztoka, a ci ludzie potrafią myśleć tylko o nowych samochodach.

- Ależ, agencie Littlemore! - zdziwiła się pani Cross. - Te mroczne tony są u pana całkiem nowe. Sądziłam, że patrzy pan na świat optymistycznie.

- Mają tu ze sto wind. W którą stronę?

- Proszę iść za mną.

Na ósmym piętrze senator Fall sam otworzył im drzwi swojego apartamentu, ubrany w ciemnoczerwoną bonżurkę. Pani Cross weszła od razu do środka, czując się jak u

siebie w domu. Littlemore stał w drzwiach.

- Znalazł pan coś?
- Littlemore skinął głową.
- Pokazywał pan to Houstonowi?
- Nie mogę - odparł Littlemore.

• • •

Kiedy Littlemore rozłożył dokumenty na stole w salonie senatora Falla, pani Cross postawiła przed mężczyznami dwie szklaneczki whisky. Nalała też sobie.

- Co przedstawiają te fotografie? - zapytała.
- Wygląda to na wojskowy obóz szkoleniowy gdzieś w Meksyku - stwierdził Littlemore. - To jest strzelnica. Tutaj ma pani karabiny maszynowe. Na tym zdjęciu widać ludzi pracujących z zapalnikami i detonatorami.
- Co to za lista nazwisk? - spytał Fall.
- Powiedziałbym, że to ludzie szkoleni w tym obozie. Proszę, tu mamy informacje, ile czasu tam spędzili, a tu kiedy i do jakiej formacji ich szkolono. Są z całego świata. Mają Włochów, Rosjan, kogo tylko pan chce.
- To jakiś cholerny terrorystyczny obóz dla rekrutów. W dodatku tuż pod naszym nosem! - oburzył się Fall.
- Widzi pan te dwa nazwiska, senatorze? - zapytał Littlemore.
- Sacco i Vanzetti - przeczytał senator.
- Wygląda na to, że Flynn jednak na coś trafił - stwierdził Littlemore. Potem umieścił jeszcze jeden, trochę grubszy kawałek papieru na pozostałych. Ten przedstawiał naszkicowany tuszem, starannie wykonany plan ze strzałkami i podpisami po hiszpańsku.
- Mój Boże! - jęknął Fall.
- Co to jest? - zainteresowała się pani Cross, pociągając whisky.
- Schemat rozmieszczenia szrapneli wokół ładunku wybuchowego umieszczonego w wozie. Konnym wozie.

Żadne z nich się nie odezwało.

- Ale to jeszcze nie koniec, panie senatorze. Niech pan spojrzysz na to.

Littlemore wskazał dokument sporządzony na papierze firmowym Ministerstwa Skarbu Meksyku z podpisem ministra na dole. Treść zawierała się w dwóch akapitach kwiecistej hiszpańszczyzny. Senator Fall przeczytał list.

- Rozumie pan, co tu jest napisane, mój synu?
- Tak, panie senatorze. To polecenie przelania miliona stu piętnastu tysięcy dolarów na rachunki bankowe trzech senatorów Stanów Zjednoczonych oraz jednego członka amerykańskiego rządu.

- Jest pan jednym z tych trzech, drogi senatorze? - zapytała pani Cross niewinnym głosem.

Fall szturchnął panią Cross w bok.

- Nie jestem. To Borah, Cotton Tom Heflin i Norris, w Kongresie trzej najwięksi sprzymierzeńcy bandytów, którzy rządzą teraz Meksykiem.
- Senator Borah? Ten, który miał romans z Alice Roosevelt?
- Czy to jedyna rzecz, o której kobiety potrafią myśleć? - ironizował Fall.
- To może wyjaśniać, dlaczego Borah potrzebował dodatkowych pieniędzy - odparowała. - Który z rządowych urzędników stał się bogatszy?

- Minister Skarbu Houston - odparł Littlemore.

• • •

Przed północą do apartamentu senatora Falla w hotelu Wardman Park zaczęli przybywać ważni dygnitarze. W prywatnym gabinecie rozpoczęli dyskusję, z której Littlemore został wykluczony, choć kilka razy proszono go do środka, żeby powtórzył, w jakich okolicznościach zdobył dokumenty. Spotkanie ciągnęło się godzinami. Sądząc po podniesionych głosach, rozmowa była ostra, czasem nawet jadowita. W którymś momencie Littlemore usłyszał, jak senator Fall argumentował, że prezydent Taft zrobił nie mniej dla Wilsona w tysiąc dziewięćset dwunastym.

Pani Cross powiedziała Littlemore'owi, kim jest kilku z obecnych mężczyzn: pan Colby, sekretarz stanu; pan Baker, minister wojny; pan Daniels, minister marynarki wojennej; pan McAdoo, którego Littlemore poznał w gabinecie komendanta Enrighta, kiedy odwiedził go burmistrz; pan Daygherty przewidywany na stanowisko prokuratora generalnego w ekipie Hardinga.

- Sam senator Harding uczestniczyłby w tym spotkaniu, ale przebywa na wakacjach, szczęśliwiec - stwierdziła pani Cross. - Ale i tak nie podejmowałby żadnych decyzji. Decydują ci, którzy tu przyszli.

- Więc McAdoo jest zięciem prezydenta? Jest chyba tak stary, jak sam Wilson.

- W tym mieście kobiety gustują w starszych mężczyznach - odparła pani Cross. - Eleanor miała jakieś dwadzieścia lat, kiedy się z nim zaręczyła. On był wtedy mężczyzną po pięćdziesiątce. Ale bardzo przystojnym. Nie podoba się panu, kiedy młoda kobieta interesuje się starszym mężczyzną?

- Zastanawiam się, co sądził o tym prezydent - odparł Littlemore z myślą o własnych córkach.

- Mówią, że to złamało mu serce. Pan McAdoo był wtedy członkiem gabinetu prezydenta Wilsona. Ale pan Wilson go zwolnił, a następnie, w czerwcu ubiegłego roku, nie dopuścił, by otrzymał nominację Partii Demokratycznej. Gdyby nie to, pan McAdoo mógłby zostać kolejnym prezydentem. Biedna Eleanor! Ciekawe, co teraz czuje.

- Wilson usunął męża własnej córki z gabinetu?

- Och, pan McAdoo świetnie na tym wyszedł. Jest wybitnym prawnikiem.

Zaproszono go tutaj, ponieważ zna rozmieszczenie największych szybów naftowych w Meksyku, które należą do jednego z jego klientów. Wydaje mi się, że zna pan Brightona? Jechał pan jego pociągiem do Nowego Jorku. Całkiem miło w tym pociągu, prawda?

- Skąd wszyscy wiedzą, co robię? - zdziwił się Littlemore.

- Czy w pociągu pana Brightona były jakieś kobiety?

- Nie, nie było.

- Szkoda. Były, kiedy ja zostałam tam zaproszona. Chyba już pójde odpocząć. - Było po drugiej. U stóp schodów się odwróciła. - Mógłby pan pójść ze mną na górę, agencie Littlemore? Muszę pana o coś spytać.

Apartament senatora Falla mieścił się na dwóch piętrach. Na górze najwyraźniej znajdowały się sypialnie. Littlemore podążył za nią. Od ciała pani Cross, kiedy wchodziła po schodach, jeszcze trudniej mu było oderwać wzrok niż wtedy, kiedy szła po płaskim terenie. Po chwili także on wszedł na górę. Znalazł ją w sypialni gościnnej zdejmującą kolczyki.

- Niech pan zamknie drzwi.

- Dlaczego? - spytał Littlemore.
 - Już mówiłam. Muszę pana o coś spytać.
- Zamknął drzwi. Rozpuściła blond włosy i wstrząsnęła głową.
- Jak brzmi pytanie, pani Cross?
- Podeszła do niego bardzo blisko. Na obcasach była prawie tak samo wysoka jak on.
- Czy pani Littlemore wie, jak ważny będzie jej mąż?
 - Czy pan Cross wie, jak jego żona spędza noc?
 - Nie ma już pana Crossa. Zginął na wojnie.
 - Przykro mi z tego powodu, Grace. Pochlebia mi, że tu jestem, ale nie mogę. Są zasady, których skrupulatnie staram się przestrzegać.
 - Zasady? - Zsunęła pantofle, jeden po drugim, po czym spojrzała na niego, opierając dłonie na jego piersiach. - To jest Waszyngton, agencie Littlemore. Tu nie obowiązują zasady
 - Może nie obowiązują - zgodził się, zdejmując jej dłonie z siebie. - Ale i tak będę ich przestrzegał.

• • •

O piątej trzydzieści nad ranem spotkanie się zakończyło i wytworni panowie wyszli. Niewiele padało słów, za to widać było troskę na twarzach, kiedy postaci w długich ciemnych płaszczach opuszczaly apartament senatora Falla.

- Jestem na to za stary - powiedział Cali do Littlemore'a, gdy wszyscy już wyszli, nalewając sobie kolejnego drinka i opadając na fotel. - Rozkazy wojenne wyjdą jutro. Trzeba trochę czasu, żeby przerzucić oddziały nad granicę. Powiedziałem im, że potrzebujemy pół miliona żołnierzy.

- Pół miliona? - powtórzył Littlemore.

- Baker uważa, że poradzilibyśmy sobie z jedną piątą tego, ponieważ nie myśli o tym, co zrobimy, kiedy wygramy wojnę. Będziemy mieli cały ten kraj na głowie! Chryste Panie! - Cali wypił łyk, krzywiąc się. - Gdzie jest Grace? Potrzebuję mleka. Ludzie Wilsona nie chcą jeszcze ujawniać, że za zamachem na Wall Street stoi Meksyk. O to właśnie się z nimi spierałem. Boją się, że wybuchnie panika, gdy ludzie się dowiedzą, że wróg może wysadzać w powietrze nasze miasta. Powiedziałem im, że Amerykanie nie są bandą cykorów i zażądają wojny, kiedy prawda wyjdzie na jaw. W każdym razie Baker nie ma zamiaru wspominać jeszcze o zamachu. W prasie rozegrają to jako reakcję na odebranie nam kopalni przez Obregóna.

- Co zrobią z panem Houstonem i tymi trzema senatorami?

- Na razie nic.

- Tak myślałem. Mamy tylko zgodę Meksykanów na transfer funduszy. Nie wynika z tego, że pieniądze przeszły z ręki do ręki. To nie jest dowód przestępstwa.

Potrzebujemy mocniejszego.

- Wyświadczył pan wielką przysługę krajowi, mój synu.

- Dziękuję, panie senatorze - powiedział Littlemore.

Słońce wschodziło, kiedy Littlemore wyszedł od senatora. Listopadowe powietrze było ostre i czyste; wszędzie unosił się zapach palonych liści. Littlemore przeszedł piechotą trzy kilometry do swojego hotelu. Kiedy tam dotarł, wziął prysznic, zastanawiając się, jak ma się zachować wobec ministra Houstona i co będzie musiał zrobić w Departamencie Skarbu. Długo stał pod strumieniem parującej wody.

ROZDZIAŁ

Osiemnasty

- Ty chyba lubisz utrzymywać mnie w niepewności - Colette starała się przekrzyczeć warkot śmigła w szarpiącym samolocie, żeby Younger ją usłyszał.

Younger nie wyjaśnił jej zmiany celu podróży - z Bremy na Paryż. Wspomnił tylko, że ma pytania, na które może odpowiedzieć jedynie Maria Curie. Daleko w dole wił się pod nimi Dunaj, którego nurtu pilot najwyraźniej się trzymał.

- Tak, to niewątpliwie musi być frustrujące dla kogoś, kogo, jak ciebie, można by uznać za wzór przejrzystości

- stwierdził.

Kiedy w końcu dotarli do Paryża, przelecieli tak nisko nad wieżą Eiffla, że niemal o nią zahaczyli. Na lotnisku kilka innych samolotów grzało się w popołudniowym słońcu, poustawianych na chybił trafił; działała nawet kasa biletowa, ale poza tym było zupełnie pusto. Pilot, paryżanin, jak się okazało, podwiózł ich do centrum rozklekotanym samochodem.

Colette pokazywała mu swoje ulubione zakątki, kiedy za mostem wjechali do Trocadero z przepięknym pałacem w kształcie kraba. Panowie w cylindrach i panie z parasolkami przechadzali się wokół lśniących sadzawek. Wy tłumaczyła kierowcy, gdzie się znajduje Instytut Radowy.

- Musisz pamiętać, że Madame jest schorowana i zawodzi ją wzrok - powiedziała do Youngera. - Kilka lat temu omal nie doprowadzili plotkami do jej śmierci. Dziś jest bożyszczem Paryża i wszyscy udają, że nie mieli z tym nic wspólnego.

* * *

Od strony rue Pierre Curie Instytut Radowy wyglądał raczej jak komfortowy dom burżuazji niż laboratorium naukowe.

- Kiedy pierwszy raz przeszłam przez te drzwi i zobaczyłam sprzęt Madame w środku, pomyślałam, że to musi być największe i najwspanialsze laboratorium na świecie - powiedziała Colette. - Potem zobaczyłam marmurowe pałace nauki w Ameryce. Na tobie to miejsce na pewno nie wywrze wrażenia.

Wyposażenie wewnątrz rzeczywiście było wysokiej klasy: rzędy elektrometrów, palniki gazowe, szklane zlewki z powykrecanymi szyjkami, wszystko błyszczące, najwidoczniej skrupulatnie utrzymywane w czystości. Colette, przywitawszy się ze starymi znajomymi, w końcu zaprowadziła Youngera do drzwi pokoju z wysokim sufitem, wielkim oknem i biurkiem zamiast stołu laboratoryjnego. W środku stała siwa kobieta instruująca asystenta, który starannie pakował sprzęt do pudełka.

Colette zapukała, choć drzwi były otwarte.

- Madame? - powiedziała.

Maria Curie odwróciła się i wpatrywała w nich.

- Kto to? - zapytała.

- Colette, Madame.
- Moje dziecko! - krzyknęła madame Curie, promieniejąc radością. - Chodź tutaj. Chodź tu natychmiast!

Pięćdziesięciodwuletnia madame Curie wyglądała na starszą. Miała pionowe bruzdy na górnej wardze, plamy na rękach i czerwone opuszki palców. Siwe włosy spinała w ciasny kok. Prosta czarna sukienka zakrywała ją całkowicie, od ciasnego kołnierzyka przez długie rękawy, po kończącą się tuż nad podłogą spódnicą. Nosiła się jednak prosto i dumnie, a jej czoło, myślące i piękne, wyrażało spokój na przekór wszelkim nieszczęściom.

- Ta okropna katarakta! - ciągnęła madame Curie. - W przyszłym miesiącu zaplanowano operację. Lekarze obiecują mi całkowite wyzdrowienie. Niech ci się przyjrzę z bliska... Ależ jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek!

Colette przedstawiła Youngera i wyjaśniła madame Curie, że ten pragnie zadać jej kilka pytań, jeśli zechce poświęcić mu czas.

- Doktor Stratham Younger - madame Curie uściśliła mu dłoń. - Znam to nazwisko. Był pan w grupie żołnierzy, którzy szkolili się u nas w zeszłym roku?

- Nie, Madame, ale pomogłem wielu pacjentom dzięki pani aparatom rentgenowskim we Francji. Ameryka nigdy nie spłaci długu wdzięczności wobec pani.

- Ach, już sobie przypominam. To pan zainicjował cały program. Widziałam pańskie nazwisko w korespondencji. Nie mam słów, żeby panu podziękować. Wasza armia pozwoliła nam utrzymać się na powierzchni, kiedy nie mieliśmy innych źródeł finansowania.

Colette spojrzała na Youngera ze zdziwieniem.

- To myśmy na tym skorzystali - odparł Younger. - Pani przenośny aparat radiologiczny jest o wiele lepszy od pozostałych. O czym się dowiedziałem tylko dlatego, że panna Rousseau zechciała zaoferować pomoc naszym ludziom.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że pracowałaś z Amerykanami - madame Curie zwróciła się do Colette. - Wszyscy mamy jakieś sekrety, prawda? Przygotuję herbatę. Jak ci się podobało w Ameryce, moje dziecko?

- Wszystko jest tam możliwe, najlepsze i najgorsze - stwierdziła Colette. - Takie się ma wrażenie. Powinna pani zobaczyć ich wytwórnię radu! Czarny dym buchający z czarnych kominów. Ciężarówki podjeżdżają jedna za drugą, wyrzucając przywożoną pociągami rudę z kopalń w Kolorado, odległych o ponad trzy tysiące kilometrów. Fabryka działa w dzień i w nocy, wykorzystując pani proces izolowania, madame. Używają karnotyту, a nie blendy uranowej. Podobno w Ameryce znalazłoby się dość karnotyту, by wyizolować dziewięćset gramów radu.

Madame Curie zamilkła na dłuższą chwilę.

- Dziewięćset gramów - powiedziała w końcu. - Co mogłabym zrobić z dziesięcioma! Wybacz, nie jestem zgorzkniała, ale wiesz, że Pierre i ja mogliśmy opatentować nasze odkrycia już dawno temu, kiedy nikt na Ziemi nie słyszał jeszcze o radzie ani nawet nie śnił o radioaktywności. Wszyscy nam mówili, żebyśmy zażądali patentów na proces izolowania, ale odmówiliśmy. Nie o to chodzi w nauce. Rad należy do całej ludzkości. A przecież gdybyśmy się zachowali trochę bardziej samolubnie, nie brakowałoby mi dziś radu. Jego odrobina pozwoliłaby nam zrobić wiele wspaniałych rzeczy, uzdrowić wielu ludzi, ocalić dziecko, które mogłoby wyrosnąć na następcę Newtona. Nie zostało mi dosłownie nic. Tylko opary radonu. Tyle eksperymentów czeka

na przeprowadzenie! Musimy odsyłać dziesiątki pacjentów.

Nikt się nie odezwał.

- A jak się ma niespożytej energii pani Meloney? - madame Curie mówiła teraz ożywionym radosnym głosem. - Ona z pewnością należy do tych Amerykanów, dla których wszystko jest możliwe, Jest szansa, że zdobędzie pieniądze, żeby kupić dla nas gram radu?

- Niestety, dotychczas fundusz zgromadził mało pieniędzy - odpowiedziała Colette ze smutkiem. - Bardzo mało.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyłam, że to się uda - stwierdziła madame Curie. - Pani Meloney ma dobre serce, ale obce jej jest myślenie naukowe. Nie martw się, moje dziecko. Nie będę nieszczęśliwa, jeśli Ameryka nie zbierze dla nas na gram radu. Nie będę musiała podróżować za ocean, żeby tam dawać wykłady. Jestem już zmęczona. Ale przecież nie o tym mieliśmy rozmawiać. Co mogę dla pana zrobić, doktorze Younger?

- Żywię nadzieję, że pozwoli mi pani, żebym przedstawił jej pewien rysunek. Niedawno wykonałem prześwietlenie szyi pewnej młodej kobiety. Na kliszy odwzorowało się coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej. Mogę to narysować, jeśli się pani zgodzi, i zobaczymy, czy pani to rozpozna.

- Ależ, Strathamie, Madame nie jest rentgenologiem - zganiała go Colette. - Pracuje z radem, a nie z promieniami Roentgena.

- Ależ to nie szkodzi - odparła madame Curie. - Pozwól mu wykonać ten rysunek. Jestem bardzo ciekawa.

Younger dostał papier, pióro i zaczął rysować. Zappełnił kartkę dziwnymi, falującymi cieniami, starając się odwzorować to, co widział na kliszy po prześwietleniu kobiety nazwiskiem McDonald. Kiedy skończył, madame Curie przysunęła kartkę blisko oczu, następnie odsunęła ją daleko, a potem znów zbliżyła.

- Promieniowanie nie przeszło przez szyję tej kobiety - orzekła.

- Istotnie - potwierdził Younger. - Coś je zatrzymało.

- Albo raczej zakłóciło - odparła madame Curie. - Jest pan pewien, że to było prześwietlenie człowieka, a nie jakiegoś przedmiotu?

- Sam je robiłem. Młoda kobieta miała narośl na szyi i szczęce. Ziarnistą. Znacznie większą od tego typu zmian, które widziałem wcześniej.

- Znam ten wzór. Całkiem dobrze.

- To rad, prawda? - upewniał się Younger.

- Bez wątplenia - odpowiedziała madame Curie.

- Ale jak... - wtrąciła Colette.

- Rad nie przepuszcza promieniowania rentgenowskiego - wyjaśniła madame Curie. - Co więcej, promieniowanie gamma emitowane przez atomy radu ma właściwości fizyczne identyczne z promieniowaniem X. W rezultacie dwa fronty fal zakłócają się nawzajem. Jeśli prześwietlimy przedmiot zawierający rad, zobaczymy taki właśnie obraz interferencji.

- Co się stanie z człowiekiem, który przez dłuższy czas nosi w ciele rad? - zapytał Younger.

Madame Curie odłożyła rysunek.

- Musi pan zrozumieć jedną rzecz dotyczącą radu: bardzo niewiele o nim wiemy - powiedziała. - Natura ukrywała go przed nami przez długi czas. W atomach radu mieści się istne kłębowisko sił, których nie widzimy, a które są źródłem niemal niezmierzonej

mocy. Uwolnienie tych atomowych sił poważnie wpływa na istoty żywe. Na nieożywiony ołów radioaktywność właściwie nie wpływa. Na kawałek pozbawionego życia papieru także. Ale na żywe organizmy ma wpływ poważny i nieprzewidywalny. Właściwie dawkowane promieniowanie radioaktywne niesie nieznaną dotychczas potencjał medyczny. Ja sama odkryłam radową terapię raka. We Francji wprowadzenie igły z radem do komórek nowotworowych nazywa się curieterapią.

- W Ameryce także, Madame - wtrąciła Colette.
- Niektórzy sądzą, że radioaktywność jest długo poszukiwanym źródłem wiecznej młodości - podjęła madame Curie.
- Niewątpliwie ma właściwości lecznicze. Ale rad jest także jednym z najbardziej niebezpiecznych pierwiastków na Ziemi. Jego promieniowanie w jakiś nieznaną sposób oddziałuje na molekularną strukturę organizmów żywych. Jest przerażającą trucizną. Kiedy rad dostanie się do ludzkiego ciała, nie ma sposobu, aby go stamtąd usunąć.

•••

Przed Instytutem Radowym Colette spytała:

- Jakim sposobem rad znalazł się w organizmie pani McDonald?
- Gdzie byłaś szesnastego września, zanim się spotkaliśmy z Littlemore'em na Wall Street? - odpowiedział pytaniem Younger.
- Odwiedziłam klinikę radioterapii w szpitalu klinicznym - powiedziała.
- Gdzie stosują curieterapię. Mówiłaś o tym mnie i Littlemore'owi tamtego ranka. Wiedziałem, że ta dziewczyna nie choruje na syfilis!

- Co ty mówisz?

- Ona ma raka. Szyi albo szczęki.

- Chwileczkę... Sądziś, że była pacjentką kliniki radowej?

- Powiedzmy, że panna McDonald miała raka. Jeśli jej doktorzy wiedzieli, co robią, to wysłali ją na leczenie do szpitala klinicznego, ponieważ mają tam najlepszą klinikę radową w mieście. Ale coś mogło się tam nie powieść. Może spartaczyli leczenie i nie wyjęli igły z radem, którą umieścili w jej ciele. Chyba czytałem ostatnio w prasie o tym, że szpital kliniczny stracił rad wart dziesiątki tysięcy dolarów? Może zgubili go w szyi tej właśnie kobiety. Jeśli tak, po kilku tygodniach cierpiałaby katusze. Przypuśćmy, że wraca do kliniki i błaga ich o pomoc. Oni nie chcą przyznać się do błędu i utrzymują, że zrobili wszystko jak trzeba. Nagle pojawia się ty Cierpiąca kobieta jakimś cudem wbija sobie do głowy, że możesz jej pomóc. Postanawia więc, że będzie cię śledzić.

- Jak mogłabym jej pomóc?
- Nie wiem, ale czy znasz inne wytłumaczenie?

Colette przyszła do głowy pewna myśl:

- Przecież poprzedniego wieczoru Amelia zostawiła nam wiadomość w hotelu, według ciebie przeznaczoną dla porywaczy. Mówisz, że panna McDonald nie ma żadnego związku z Amelią?

- Nie wiem. Ale ktoś musi usunąć rad z szyi panny McDonald. Bóg jeden wie, jak on na nią wpłynie. Wyślę depezę do Littlemore'a.

•••

Najbliższy urząd, w którym przyjmowano depeze zagraniczne, znaleźli przy placu Zgody. Younger skreślił telegram do Littlemore'a:

PANI MCDONALD MA IGLE RADU W SZYI STOP SPRAWDZ
W SZPITALU KLINICZNYM PRZY ULICY DWUDZIESTEJ CZY BYŁA
ICH PACJENTKA MOGA WIEDZIEC GDZIE ZOSTAŁA WKLUTA
IGLA STOP RAD TRZEBA USUNAC NATYCHMIAST POWTARZAM
NATYCHMIAST

- Promieniowanie wypali jej gardło - stwierdził Younger, kiedy czekali w kolejce przed okienkiem, w którym przyjmowano telegramy. - Możliwe, że dotarło już do mózgu. Prawdopodobnie dlatego nie odzyskuje przytomności.

- Nie ma żadnych dowodów, że rad wpływa w jakikolwiek sposób na mózg - zaprotestowała Colette. - Przesadzasz z tym zagrożeniem powodowanym przez rad. Madame jest narażona na większe promieniowanie niż ktokolwiek inny, i nie nosi tego twojego stroju jak dla nurka.

- Madame Curie nie wygląda zdrowo. Jest biała jak kreda. Zmęczona. Wspominałaś, że ma niskie ciśnienie krwi.

- Jest naukowcem. Całymi dniami siedzi w pomieszczeniu.

- Albo choruje na anemię - odparł Younger. - Prawdopodobnie po tylu latach badań naukowych jest napromieniowana.

- Za chwilę powiesz, że rad spowodował u niej kataraktę.

- Skąd wiesz, że nie?

Younger wysłał depeszę. Na zewnątrz Colette wskazała hotel po drugiej stronie placu Zgody.

- Możemy się tam zatrzymać? - zapytała.

- W hotelu Crillon? - Younger zadrżał w duchu. - Dlaczego nie?

Na zaproszenie Marii Curie uczestniczyli w tłumnym przyjęciu tamtego wieczoru: obchodach odzyskania niepodległości przez Polskę i cudownego zwycięstwa nad bolszewikami. Przyjęcie odbyło się w małym mieszkaniu (Younger nigdy się nie dowiedział, do kogo należało); goście jedli na stojąco. Wznoszono toasty, mówiono przeważnie po polsku i wypito mnóstwo smacznej polskiej wódki.

Madame Curie przez cały wieczór nie puszczała od siebie Colette, jakby była jej matką. Dziewczyna wciąż miała na sobie suknię z wyciętymi plecami, którą nosiła w Pradze. To prawda, że nie mieli ze sobą innych strojów, ale mimo wszystko Younger uważał tę kreację za zbyt wyzywającą. Wyelegantowani i wypomadowani mężczyźni tłoczyli się wokół madame Curie, niewątpliwie korzystając z okazji, by zamienić kilka słów z jednym z najwybitniejszych naukowców na świecie. Przedstawiani Colette, kłaniali się nisko, podkręcali wąsy i całowali jej dłoń. Za każdym razem rzucała spojrzenie na Youngera, jakby wiedziała, że ją bez przerwy ob serwuje, co zresztą robił.

•••

Po północy Younger leżał na łóżku z baldachimem w hotelu Crillon, paląc papierosa. Kurtkę rzucił na podłogę, ale pozostał w ubraniu. Nie zdjął nawet butów.

Odprowadził Colette do pokoju. W korytarzu była niespokojna. Ze zdenerwowania nie mogła poradzić sobie z kluczem w drzwiach. Uznał, że uderzył jej do głowy mocny alkohol, choć widział, że za każdym razem upijała tylko łyczek. Kiedy w końcu wziął od niej klucz i otworzył zamek, dosłownie uciekła do środka, zostawiając Youngera przed otwartymi drzwiami. Zamknął je za nią i poszedł do siebie.

Teraz wpatrywał się w połączany sufit i tańczące smużki dymu oświetlone blaskiem

lampy. Podniósł się, zgasił papierosa i wyszedł na korytarz.

Otworzył drzwi pokoju Colette. Salon był pusty. Przeszedł obok surowych i oficjalnych empirów. W progu sypialni dostrzegł, że drzwi do łazienki są uchylone. Przez chwilę mignęła mu, przechodząc tam i z powrotem owinięta w dwa białe ręczniki - jeden na głowie, drugi wokół torsu. Najwyraźniej podczas kąpieli nie usłyszała, jak wchodził.

Otworzyła drzwi łazienki i na jego widok zamarła. Jej długa szyja była naga, długie nogi i ręce także. Miała mokrą skórę.

Podszedł do niej. Cofnęła się do łazienki, oparła o ścianę i ze strachem podniosła ramiona. Powietrze było wilgotne od gorącej wody, lustro pokryło się parą. Nie miała dokąd uciec. Chwycił ją za ręce. Stawiała opór. Musiał użyć więcej siły, niż się spodziewał, był jednak zdeterminowany i zrobił to. Pocałunek trwał długo. Kiedy się zakończył, jej ciało się odprężyło, oczy zamknęły, a ręcznik, którym owinięta włosy, spadł na podłogę. Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i położył w świeżej pościeli.

Ciemne włosy Colette rozsypały się na poduszce. Wpadające przez okno światło księżycza posrebrzyło jej ręce i nogi, wciąż lśniące od wilgoci. Jedną dłoń trzymała na piersiach, drugą na talii, przytrzymując ręcznik kąpielowy. Pocałował ją w szyję. Usłyszał, jak szepnęła:

- Proszę, nie.
- Chcesz, żebym przestał? - spytał Younger.

Odpowiedziała szeptem:

- Nie chcę, żebyś pytał.

Przejechał dłonią po jej długich włosach. Przekreślił jej podbródek i pocałował ją w usta. Później, prz gryzając wargi, by nie krzyknąć, wzywała Boga tyle razy, że stracił rachubę.

Kiedy leżeli obok siebie w świetle księżycza, opierała policzek na jego piersi.

- Czy można zapomnieć? - zapytała.
- Zapomnieć co?
- To. Czy ta chwila odejdzie w zapomnienie?

Jej głowa unosiła się i opadała wraz z jego oddechem.

- Pamiętałem ją, jeszcze zanim się wydarzyła - odpowiedział. - Widziałem ją już wcześniej.

- Ja także - uśmiechnęła się Colette. - Wiele razy.

• • •

Następnego ranka znalazła Youngera na dole jedzącego śniadanie przy nakrytym białym obrusem stole w wielkim salonie z rokokowymi kolumnami i podłogą w szachownicę z czarnego i białego marmuru. Wdzięcznie odziane cherubiny hasały po suficie. Colette wyglądała na szczęśliwą i zaniepokojoną zarazem.

- Widziałeś tych policjantów? - spytała cicho. - Są wszędzie!

- Nie ma się czym martwić - odparł Younger. - Kolejny Amerykanin poszukiwany za morderstwo. Podobno gwiazdor filmowy. Jego żona, także gwiazda kina, została znaleziona martwa na setce etoli w ich łóżku. Byli w podróży poślubnej. Zjesz coś?

- Madame żaliła mi się wczoraj, zanim wyszliśmy - powiedziała Colette zmartwionym głosem, siadając naprzeciwko niego. - Nigdy jej takiej nie widziałam. Zwykle nie okazuje swoich uczuć.

- Co się stało?

- Bardzo płakała. Powiedziała, że monsieur Langevin już jej nie kocha, ponieważ jest stara. Że poświęciła dla niego swoje dobre imię. Że pozwoliła całemu światu się potępić. Teraz pragnie tylko nauki. Chce prowadzić eksperymenty, ale bez radu nie znaczy nic. Powiedziała mi, że jest gotowa umrzeć.

Pojawił się kelner, postawił talerz przed Colette i teatralnym gestem rozwinął jej lnianą serwetkę. Ledwie zwróciła na niego uwagę. Potem zobaczyła kawałek papieru leżący obok talerza Youngera.

- Otrzymałeś depeszę? - spytała. - Doktor Freud napisał?

- Nie. Littlemore. Byłem dziś rano w urzędzie telegraficznym, żeby sprawdzić, czy odpisał. - Younger pokazał jej depeszę:

GDZIE DO DIABLA SIE PODZIEWASZ STOP MASZ ROZPRAWĘ
W SĄDZIE DWUDZIESTEGO DRUGIEGO STOP O CZTERNASTEJ
STOP LEPIEJ ZEBYS SIE STAWIL

- Rozprawę w sądzie? - spytała Colette. - Za co?

- Za napaść na Drobaca.

- Napaść na niego? - oburzyła się. - Przecież on mnie porwał. I zabił kobietę na dachu tamtego budynku.

- Tak, ale nie został jeszcze osądzony i skazany W oczach prawa jest niewinnym człowiekiem.

- Chcesz powiedzieć, że możesz pójść do więzienia?

- Littlemore twierdzi, że to mało prawdopodobne - odpowiedział.

- Co zamierzasz robić?

- Wracać. Muszę.

- Dlaczego? - spytała. - Możesz nie wracać do kraju, dopóki Drobac nie stanie przed sądem.

- Littlemore wyciągnął mnie wtedy z aresztu. Jeśli się nie stawię w sądzie, on będzie miał kłopoty. Poważne kłopoty. Muszę jechać.

- Jadę z tobą.

- Nie. Tam nadal może być dla ciebie niebezpiecznie.

- Niby jak? Nawet gdyby ktoś mnie szukał, jak miałby się dowiedzieć, że wróciłam do kraju.

- Ktoś cię obserwował w New Haven. Ktokolwiek to był, może wciąż tam na ciebie czekać.

- Nie pojedę do New Haven. - Colette siedziała cicho przez długi czas. W końcu powiedziała: - Muszę jechać z tobą. Będę zbierała pieniądze na fundusz Madame. Pani Meloney powiedziała, że na pewno mi się uda. Stwierdziła, że powinnam tylko być miłsza dla pewnego bogatego mężczyzny, a szybko zdobędziemy brakującą sumę. Poza tym Luc zostanie u doktora Freuda co najmniej przez dwa miesiące. Nie mogę siedzieć tu sama i martwić się o niego.

Tamtego popołudnia złapali pociąg do Rouen ze stacji Saint-Lazare. Następnego dnia pojechali do Hawru, by stamtąd udać się statkiem do Nowego Jorku.

• • •

Uwieszona na ramieniu Youngera Colette pozwoliła mu oprowadzić się po luksusowym liniowcu. Przechadzali się pod szklaną kopułą rotundy, obserwowali damy i dżentelmenów grających w belotkę w sali Ludwika XIV, po czym wypili herbatę w

wykładanym niebieskimi płytkami salonie mauretańskim. W pustej palarni pocałowali się pod lekko rozkołysanym kryształowym żyrandolem. Wiele poziomów niżej, kiedy silny deszcz zmusił pasażerów, by pobiegli pod dach, widzieli tysiąc ludzkich istot podróżujących w pomieszczeniach wypełnionych nie przepychem, lecz odorem.

- Zbyttnio mnie rozpieszczasz - powiedziała Colette, kiedy wchodzili z powrotem na górny pokład z kajutami pierwszej klasy. Steward wpuścił ich znów do sali Ludwika XIV

- Podoba ci się to.

- Czuję się jak Dante - stwierdziła. - Wyszłam właśnie z piekła, a ty jesteś moim Wergiliuszem.

- Nie, ty jesteś Beatrycze i wzniesiesz się do nieba, podczas gdy ja skończę w piekle. - Zawahał się. - Ale zapłaciłbym tę cenę jeszcze raz. Jeszcze wiele razy.

- Jaką cenę?

- Wiecznego potępienia - odpowiedział. - Za noc w twoich ramionach.

- Tylko jedną noc?

• • •

Tamtego wieczoru mimo gwałtownej burzy liniowiec rozbrzmiewał radością, toastami i piskiem papierowych gwizdków. We wszystkich jadalniach, we wszystkich salach w każdej klasie zespoły i orkiestry grały amerykańską muzykę w takt deszczu walącego w iluminatory.

- Co się dzieje? - spytała Colette. Schodzili po przykrytych czerwonym dywanem schodach do edwardiańskiej sali balowej. Tancerze wirowali na parkiecie.

- Stany Zjednoczone wybrały nowego prezydenta - wyjaśnił Younger.

- Kto wygrał?

- Człowiek nazwiskiem Harding.

Usiedli przy stoliku w milczeniu.

- Co się dzieje? - zapytała go.

- Nic.

- W takim razie zaproś mnie do tańca - powiedziała.

Zaprosił.

• • •

Dobrze po północy wrócili do luksusowej prywatnej kabiny.

- Tylko jedna kabina dla nas dwojga? - spytała, czerwieniąc się. - Jest pan bardzo pewny siebie, monsieur. Czy to rozpieszczanie nigdy się nie skończy?

• • •

Następnego ranka obudziła się szczęśliwsza, niż widział ją kiedykolwiek przedtem. Kiedy leżeli na plecach w łóżku, zmusiła go, żeby unioś w powietrze nogę, po czym umieściła swoją obok. Próbowwała go przekonać, że mimo różnicy wagi całego ciała jej noga jest niemal tak samo długa jak jego. Niewątpliwie była gładsza i bardziej podniecająca.

Po południu jednak, kiedy się przechadzali wśród egzotycznych roślin w palmiarni dostępnej tylko dla pasażerów pierwszej klasy, wpadła w bardziej refleksyjny nastrój.

- Co doktor Freud miał na myśli, kiedy powiedział, że to ja mogę być przyczyną

choroby Luca? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedział Younger zgodnie z prawdą.
 - Zawsze sądziłam, że dobrze się nim opiekuję.
 - Bo się opiekowałaś.
 - A jeśli postąpiłam niewłaściwie, trzymając go przy sobie przez wszystkie te lata?
- zapytała. - Jeśli chciałam, żeby był inny? Co, jeśli chciałam, żeby został niemową?
- Dlaczego?
 - Żeby nie została w końcu sama.
 - Och, przestań - odparł Younger. - Przebierasz miarę!
 - Sam przecież mi powiedziałeś, że go nie kocham.
 - Nigdy czegoś takiego nie mówiłem - zaprzeczył Younger.
 - Widziałam to w twoich oczach - stwierdziła. - Dlatego, że zostawiłam Luca i sama pojechałam pociągiem do Braunau. Pomyślałam, że zemsta na Hansie Gruberze była dla mnie ważniejsza niż opieka nad bratem.

Younger nie odpowiedział. Nie pomyślał niczego takiego, ale ona najwyraźniej robiła sobie z tego powodu wyrzuty.

- Gdybym umarła, wychowałbyś go, prawda? - dodała.
 - To dlatego chciałaś, żebym jechał z tobą do Wiednia!
- Silniej ścisnęła jego ramię.
- Zrobiłbyś to, prawda? Wychowałbyś Luca?
 - Gdybyś zginęła w pogoni za Heinrichem?
 - Tak.
 - Oddałbym go do domu dla głuchoniemych, gdzie jego miejsce. Żeby nie przypominał mi o tobie. Ale nie mógłby mi o tobie przypominać, ponieważ też bym się zabił. Poza tym nie chciałabyś, żebym go wychowywał, bo jestem nędzarzem. Czy wspomniałem ci, ile pieniędzy mi zostało?
- Nie.
 - Nie zostało mi nic. Nasza prywatna kabina pochłonęła resztkę fortuny. Na szczęście w cenę wliczone są posiłki dla dwojga, nie grozi nam więc głód, dopóki nie dotrzemy do Ameryki. - Zatrzymał się, zdjął jej dłoń ze swojego ramienia i włożył ręce do kieszeni. - Mówię poważnie. Wstydzę się swojego ubóstwa. Powinienem być ci o tym powiedzieć. Nie jestem całkiem bez grosza. Mam jeszcze dom w Bostonie, a Harvard przyjmie mnie z powrotem na stanowisko profesora. Ale uwiodłem cię fałszywym wrażeniem. Nie zaprzeczaj, tak było. Najgorszy łajdak nie mógłby postąpić bardziej nikiemnie. Cały ten luksus, kabiny w pierwszej klasie, wielkie sale balowe... Nigdy więcej go nie zobaczysz. Teraz, kiedy poznałaś prawdziwy stan moich finansów, masz pełne prawo mnie zostawić.
- Cóż za długa przemowa - stwierdziła, biorąc go z powrotem pod rękę. - A jaka głupia! O wiele bardziej podobasz mi się jako biedak.

CZĘŚĆ

Czwarta

ROZDZIAŁ

Dziewiętnasty

Rozkazy wędrowały od jednej stacji telegraficznej do drugiej, ze wschodu na zachód, przez całe Stany Zjednoczone, rankiem 18 listopada 1920 roku - dzień po tym, kiedy Littlemore odkrył skrytkę z meksykańskimi dokumentami. Wszystkie wydał Departament Wojny w Waszyngtonie, a najważniejsza z nich powędrowała do Fortu Houston w San Antonio w Teksasie. Nakazywała generałowi majorowi Jamesowi G. Harbordowi, dowódcy Drugiej Dywizji Armii Stanów Zjednoczonych, przygotowanie do natychmiastowego przemarszu nad granicę Meksyku.

• • •

Tego samego ranka Colette Rousseau trzymała Youngera za rękę przy relingu na pokładzie liniowca wpływającego do portu w Nowym Jorku. Pasażerowie wokół nich zachwycali się sylwetkami drapaczy chmur na Manhattanie w promieniach wschodzącego słońca.

- Tym razem nawet ja przyznaję, że wasze wysokościowce są piękne.

Podczas podróży odkryli przed sobą intymne sekrety Colette co wieczór nalegała, żeby wyłączył wszystkie lampy i pogasił świece, zanim wyszła z garderoby w halce przed wejściem do łóżka, i natychmiast przykrywała się aż po brodę. Miała też inne skrupuły: nie pozwalała mu chodzić nago w jej obecności. Lubiła, kiedy zdejmował koszulę, ale najwidoczniej nie była gotowa oglądać go rozebranego poniżej pasa.

- Dziwne - odparł Younger. - Właśnie chciałem powiedzieć, że tym razem nawet ja gotów jestem przyznać, że wydają się niepokojące.

• • •

Poranne gazety w całym kraju pełne były dziwnych materiałów na temat Meksyku. Krążyły pogłoski, których nie przypisywano żadnym oficjalnym źródłom, o mobilizacji armii i niebezpieczeństwie upaństwowienia szybów naftowych pozostających w rękach Amerykanów. Z Waszyngtonu donoszono:

Ambasada Meksykańska wydała wczoraj wieczorem oświadczenie, że prezydent elekt generał Obregón zdementował oficjalnie wszelkie przypuszczenia, jakoby Elias L. Torres, który w ubiegły czwartek zaprosił senatora Hardinga do odwiedzenia swojego kraju, działał w imieniu władz. „Ambasada Meksyku otrzymała telegram od generała Obregóna, w którym kategorycznie zaprzecza on, że Elias Torres jest jego przedstawicielem” - głosi oświadczenie.

Nie podano żadnych szczegółów wyjaśniających tę informację.

• • •

Także tamtego ranka w Nowym Jorku, w sterylnym pokoju z idealnie białymi

ścianami i jedynym szpitalnym łóżkiem pośrodku, kobieta z długimi rudymi włosami otworzyła oczy. Próbowała się odezwać, ale coś w ustach nie pozwalało jej mówić. Chciała usunąć tę przeszkodę, ale nadgarstki miała przywiązane skórzanymi paskami do poręczy łóżka.

- Czy będzie czysta? - spytał męski głos. Ktokolwiek to powiedział, stał tak, że go nie widziała. Próbowała odwrócić głowę, ale nie mogła.

- Tak - odparł mężczyzna ubrany w lekarski fartuch, którego widziała.

- Ostatnia nie była.

- To kwas. Wyczyści wszystko.

- Będzie bolało? - usłyszała męski głos należący do osoby pozostającej poza zasięgiem jej wzroku.

- Prawdopodobnie - stwierdził mężczyzna w kitlu.

- Może pan jej coś dać?

- Przeciwbólowego? Teraz?

- Tak, proszę.

Mężczyzna w fartuchu lekarskim podszedł do łóżka. Poczula jego dłonie na swoim ramieniu, a potem ukłucie igły. Ciepło rozeszło się po jej ciele. Było przyjemne, przynosiło ulgę. Chciała więcej.

Mężczyzna, którego dotąd nie widziała, podszedł bliżej, teraz też jednak nie mogła mu się przyjrzeć, ponieważ pokój zaczął jej wirować przed oczami. Delikatnie rozszerzył jej wargi. Między nimi tkwił mocno naciągnięty knebel, który uwierał ją w policzki.

Mężczyzna wsunął jej do ust coś kłującego. To była szczoteczka do zębów. Szorował jej zęby nad i pod kneblem. Robił to metodycznie, dokładnie i starannie. Małymi okrężnymi ruchami oczyścił najpierw siekacze, potem kły i zęby trzonowe, od frontu i od tyłu, najpierw górne, potem dolne.

Lekarz się pomylił: wcale nie bolało. Nie było nawet nieprzyjemne. Przynajmniej nie na początku. Potem jednak poczula pieczenie na języku i w gardle. Knebel sprawił, że zaczęła się dusić. Po policzkach spływały łzy. Mężczyzna delikatnie otarł jej oczy, rozsunął szpitalny szlafrok i oglądał białe miękkie gardło i piersi.

- Ta mi się podoba - stwierdził. - Żadnych defektów. Możesz dać jej więcej tego leku?

- Straci przytomność - odparł mężczyzna w białym kitlu.

- Nie chcę, żeby była nieprzytomna. Możesz zrobić tak, żeby zachowała przytomność?

Poczula kolejne ukłucie w ramię. Niebawem mężczyzna ze szczoteczka do zębów znów zabrał się do pracy, docierając do każdej szczeliny między zębami, czyszcząc je i czyszcząc bez końca. Pasta straszliwie piekła, ale już jej to nie przeszkadzało. Przyjemne uczucie ciepła rozeszło się po jej kończynach, klatce piersiowej, ogarnęło całe ciało. Potem wszystko zaczęło się mieszać i plątać. Nie rozumiała, co się dzieje. Targały nią dwa sprzeczne pragnienia: tą samą szczypiącą pastą ktoś szorował jej teraz szyję i ramiona, co bolało, chciała więc, żeby to się skończyło, ale też w całym ciele odczuwała to cudowne ciepło, które chciałaby zachować na zawsze.

• • •

Littlemore poszedł od razu do gabinetu ministra Houstona. Nie pozwolono mu wejść, siedział więc w poczekalni, czytając gazety, dopóki godzinę później nie pojawił się

Houston.

- Nie widzi pan, Littlemore, że jestem zajęty? - Houston szybkim krokiem przemierzał korytarz. Littlemore poszedł za nim.

- Jakież sprawy w związku z Meksykiem, panie ministrze?

- Sprawy w związku z Meksykiem? - Houston się zatrzymał. - Co pan o tym wie?

- Czytałem w gazetach.

Minister skarbu ruszył, Littlemore za nim.

- Po co pan przyszedł? - spytał Houston.

- Zastanawiałem się, kto wybrał datę przeniesienia złota.

- Co? Niby dlaczego?

- Sądzę, że to może stanowić rozwiązanie zagadki, panie ministrze.

- Wyznaczenie daty? Nie rozumiem, dlaczego - zdziwił się Houston. - Wszyscy w departamencie wiedzieli, kiedy ma być przenoszone złoto. W każdym razie datę wybrano, jeszcze zanim tu nastąpiłem. Operację planowano od lat. Nowy biurowiec Urzędu Probierzczego został zaprojektowany specjalnie do tego celu. Na długo przedtem, zanim objąłem stanowisko.

- Nikt nie doradzał panu w sprawie daty, panie Houston? Nie robił sugestii, nie kontrolował?

- W sprawie daty? Mnie? Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

• • •

Natychmiast po przybyciu do hotelu Younger kazał się połączyć z komendą policji. Poinformowano go, że kapitan Littlemore już tam nie pracuje i podano mu waszyngtoński numer telefonu. Kilka minut później dodzwonił się do pokoju Littlemore'a w Departamencie Skarbu.

- Co ty robisz w Waszyngtonie? - zapytał Younger.

- Długa historia - odparł Littlemore. - Co robiłeś we Francji?

- Długa historia. Czy wyjęli rad z szyi pani McDonald?

- Niezupełnie. Powiedziałem jej doktorowi to, co mi przekazałeś. Spojrzał na mnie, jakbym był niespełna rozumu. Stwierdził, że ona ma syfilis, a nie rad w szyi.

Sprawdziłem w szpitalu klinicznym. Nie mają jej dokumentów.

- Ona nie ma syfilisu. Jak się nazywa ten lekarz?

- Lyme - odpowiedział Littlemore. - Doktor Frederick Lyme ze szpitala kobiecego w Sloane. Posłuchaj, doktorze. Drobac wyszedł z więzienia.

W słuchawce zatrzeszczało. Younger się nie odezwał.

- Halo? Jesteś tam?

- Jestem - potwierdził Younger. - Co to jest? Kiepski film z serii zabili go i uciekł? Jakim cudem go wypuścili?

- Ponieważ ty złamałeś warunki zwolnienia za kaucją, na litość boską, i zabrałeś ze sobą panienkę i chłopca. Jego prawnik oświadczył sądowi, że uciekłeś z kraju i nie wiadomo, gdzie przebywasz. Paniątka była powódką. Nie wiesz może, jak mieliśmy oskarżyć go o porwanie, skoro ofiary opuściły granice jurysdykcji? Zapewniałem, że wrócisz, ale sędzia kazał go wypuścić.

- Czyli morderca jest na wolności, a ja mam się stawić na rozprawę?

- To nie jest rozprawa, tylko przesłuchanie w sprawie uchYLENIA kaucji. Sędzia zarządził je, kiedy usłyszał, że wyjechałeś z kraju. Jeśli się nie stawisz, kaucja zostanie

cofnięta, sąd wystawi za tobą list gończy, a ja będę musiał zapłacić kwotę poręczenia. Lepiej więc, żebyś się stawił, doktorze.

- Będę.
- Wiesz co? Wracam do domu popołudniowym pociągiem. Może wpadlibyście z panną Colette do nas na kolację?

•••

Boy hotelowy dostarczył Youngerowi i Colette pakiet telegramów, które przyszły w ciągu ostatniego tygodnia.

- Od Freuda - ucieszył się Younger. - Dałem mu znać, gdzie się zatrzymamy.
- Otwórz - poleciła Colette niecierpliwie.

Pierwszy telegram został wysłany zaledwie kilka dni po tym, jak wsiedli na pokład statku do Nowego Jorku.

7 listopada 1920

CHŁOPIEC ZDROWY STOP POLUBIŁO GO DWOCH ANGIELSKICH
UCZNIOW STOP BYŁ W ZOO STOP POWAZNIE PODEJRZEWAM
ROLE OJCA W SYMPTOMACH U CHŁOPCA STOP PROSZE SPYTAJ
PONOWNIE PANNE ROUSSEAU CZY PRZYPOMINA SOBIE BY OJCIEC
ZNECAŁ SIE NAD NIA ALBO NAD CHŁOPCEM STOP
FREUD

- Czy ojciec się nade mną znęcał? - zdziwiła się Colette.
- Freud pyta o to już drugi raz. O co mu chodzi?

Younger, choć wiedział doskonale, o co Freudowi chodzi, pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

- A Luc? Czy twój ojciec kiedykolwiek... nie wiem... bił go?
- Ojciec świata poza Lukiem nie widział. Był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Co jest w kolejnym telegramie?

Younger otworzył drugi telegram.

11 listopada 1920

ZIGNORUJ POPRZEDNIA DEPESE STOP CHŁOPIEC ZACZĄŁ MOWIC STOP
NA RAZIE TYLKO SZEPTEM ALE OCZEKUJE CAŁKOWITEGO WYLECZENIA
STOP KWESTIA TYGODNI RACZEJ NIZ MIESIECY STOP WIECEJ NIEBAWEM.
FREUD

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła Colette z podnieceniem. - Otwórz następny!

Younger otworzył:

13 listopada 1920

CHŁOPIEC MA POWRACAJACY SEN STOP JEST ZNOW W SYPIALNI DOMU
GDZIE SIE URODZIŁ STOP W SRODKU NOCY STOP PODCHODZI DO OKNA
STOP WIDZI CZAJACE SIE WILKI KTORE SIE W NIEGO WPATRUJA STOP
OJCIEC NIEWATPLIWIE ZAMIESZANY ALE NIEMAL NA PEWNO TAKZE
SIOSTRA STOP

FREUD

Colette była skonsternowana.

- Dlaczego ja jestem zamieszana w chorobę brata? - spytała.
- Jest jeszcze jeden - stwierdził Younger zamiast odpowiedzieć. Przeczytał tekst:

17 listopada 1920

POGORSZENIE STOP LUC PRZESTAL MOWIC STOP NIE CHCE SIE
KOMUNIKOWAC Z NIKIM ANI SZEPTEM ANI ZA POMOCĄ KARTKI
ANI NAWET GESTEM STOP PRZEKAZ PANNIE ROUSSEAU ZEBY SIE
NIE MARTWIŁA STOP CZASOWY REGRES JEST CZESTY W ANALIZIE
STOP MOZE NAWET BYC DOBRYM ZNAKIEM STOP
FREUD

- W jaki sposób pogorszenie może być dobrym znakiem? - dziwiła się Colette.
- Jeśli doszło do niego, ponieważ dotarli blisko źródła problemu.
- Co to oznacza?

Younger przeczesał włosy palcami.

- Nie wierzę w psychoanalizę. Już ci mówiłem.
- Ale gdybyś wierzył, co by to oznaczało?
- Freud powiedziałby, że Luc ma wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Zobaczył wtedy coś zakazanego albo pragnął czegoś tak złego, że musiał to wyrzucić ze świadomości. Wspomnienie nie chce pozostawać w ukryciu. Próbuje ominąć przeszkody, wyrwać się do świadomości. To właśnie powoduje symptomy chorobowe.

- W co nie wierzysz? - spytała.

- Nie wierzę w pragnienia, które Freud przypisuje dzieciom. I nie wierzę, że tłumione wspomnienia z dzieciństwa wychodzą na światło dzienne wiele lat później. To jak... jak zbyt zgrabnie napisane zakończenie powieści.

Colette myślała przez chwilę, po czym oznajmiła, że ufa doktorowi Freudowi.

• • •

Reporterzy tak tłumnie przybyli do biura senatora Alberta Falla, że Littlemore ledwie zdołał się wcisnąć do środka. Pytali przede wszystkim o to, czy senator może potwierdzić, że oddziały Stanów Zjednoczonych są rozmieszczane wzdłuż granicy z Meksykiem.

- To prawda, panowie - odparł Cali. - Druga dywizja jest w drodze.

- Jakich mają rozkazy, panie senatorze?

- Tego nie mogę zdradzić - powiedział Fall. - Ale proszę się nie smucić. Osobiście jadę do Meksyku. Zamierzam uczestniczyć w inauguracji urzędowania señora Obregóna. Jestem pewien, że obydwie strony pragną pokojowego rozwiązania tego sporu.

- Co powie pan generałowi Obregónowi, senatorze?

- Powiem mu, żeby trzymał łapy z daleka od naszej ropy. I że o wiele rozsądniej jest mieć w Ameryce przyjaciela niż wroga.

Po konferencji Littlemore wyraził zaskoczenie planowaną podróżą senatora Falla do Meksyku.

- Nie sądzi pan, że to może być niebezpieczne, panie Fall?

- Dla kogoś na pewno - odparł senator.

• • •

W ekspresie do Nowego Jorku Littlemore przeczytał stertę popołudniowych gazet; ponieważ wiedział więcej niż dziennikarze, ich doniesienia wydały mu się wysane z palca, ale też napelniły go złymi przeczuciami - jakby nagła zdolność jasnowidzenia dała mu wiedzę o nadchodzącej katastrofie, której nie da się zapobiec. W Waszyngtonie, donoszono w gazetach, tajny agent meksykańskiej ambasady Roberto Pesqueira musiał

być powstrzymywany siłą podczas spotkania z amerykańskim przedsiębiorcą, kiedy zaczął podkreślać prawo swego kraju do zasobów naturalnych. W Los Angeles Meksykanie kupowali niebezpiecznie dużo amunicji. Amerykańscy obywatele natomiast masowo uciekali z Meksyku.

Następnie Littlemore wyjął z teczki plany architektoniczne biurowca Urzędu Probierczego na dolnym Manhattanie. Nowe piwnice budynku Urzędu Probierczego były bezpieczniejsze od sejfów najlepszych banków. Znajdowały się dwadzieścia sześć metrów pod ziemią wzmocnione trzema odrębnymi warstwami betonu i stali; otoczone systemami alarmowymi, składami broni, a nawet gromadzące zapasy wody i żywności na wypadek oblężenia piwnice miały tylko jedno wejście na końcu tunelu o szerokości metr dwadzieścia. Plany zostały aprobowane przez ówczesnego ministra skarbu Williama G. McAdoo. Podpis innego ministra skarbu widniał pod dokumentem, który Littlemore trzymał na kolanach.

Było to polecenie przeniesienia krajowych rezerw złota z budynku delegatury Departamentu Skarbu w Nowym Jorku do sąsiedniego Urzędu Probierczego przez pomost łączący obydwie siedziby. Operacja miała się rozpocząć w nocy 15 września 1920 roku. Detektyw znalazł ten dokument na dnie szafki na dokumenty. Nosił podpis - zgodnie z przewidywaniem Littlemore'a - ministra Davida Houstona.

• • •

Wieczorem Younger i Colette przyszli do Littlemore'ów na kolację.

- Co pan robi w Waszyngtonie? - spytała Littlemore'a Colette. - To musi być ważne zadanie.

- Niezbyt. Tylko wywołuję wojny - odparł. Oczekiwali, że powie coś więcej, ale tego nie zrobił.

Po kolacji, kiedy kobiety zmywały naczynia, Younger i Littlemore siedzieli bez słowa przy stole. Detektyw zdrapywał widelcem resztki z talerzyka deserowego.

- Littlemore - zagadnął Younger.

- Aha?

- Zrobiłeś się bardziej lakoniczny niż ja.

- Wojna nie zawsze przebiega zgodnie z planem, prawda? - odparł Littlemore.

- Nigdy nie toczy się tak, jak zaplanujemy - stwierdził Younger.

- Pamiętasz, jak powiedziałeś, że wybuch na Wall Street był atakiem na naród?

Jakie są zwykle żądania zamachowców? Powiedzmy, ci Serbowie, którzy zaatakowali austriackiego księcia w tysiąc dziewięćset czternastym, czego oni chcieli?

- Wojny.

- Spełniły się ich oczekiwania, prawda?

- Owszem, wybuchła wojna, która przerosła ich najśmielsze marzenia.

• • •

Następnego ranka gazety podały, że senator Fall, który poprzedniego dnia ogłosił zamiar uczestniczenia w ceremonii inauguracji urzędowania generała Obregóna, nie otrzymał wizy pozwalającej mu wjechać na terytorium Meksyku. W imieniu ambasady Meksyku odmówił mu jej tajny agent Roberto Pesqueira, który na zapytania dziennikarzy odpowiedział jedynie, że senator jest wrogiem narodu meksykańskiego.

Tymczasem oddziały armii Stanów Zjednoczonych gromadziły się nad granicą z

Meksykiem. W depeszach ze stolicy kraju podano, że prezydent elekt Obregón zapadł na nagłą i niespodziewaną chorobę, która uniemożliwia mu udział w uroczystościach zaplanowanych w związku z inauguracją przez niego urzędu.

•••

Tamtego ranka Colette umówiła spotkanie z panią Williamową B. Meloney, przewodniczącą Funduszu Radowego Marii Curie. Zanim wyszła z hotelu, Younger kazał jej się spakować.

- Dlaczego? - spytała Colette.
- Zmieniamy hotel.

Po części było to spowodowane ostrożnością. Younger tylko Freuda poinformował, gdzie się zatrzymają z Colette, ale jeśli ktoś pilnował portu, to niewykluczone, że ich zauważył. Ktoś mógł też monitorować depesze z Europy. Najważniejszy motyw Youngera stanowiły jednak finanse. Musieli zmienić hotel na tańszy.

Pojechali metrem do domu pani Meloney przy Zachodniej Dwunastej. Younger nalegał, że będzie towarzyszył Colette w drodze do niej. Później wyjechał z centrum, kazał Colette przysiąc, że się stamtąd nie ruszy, dopóki po nią nie wróci.

•••

Kiedy rankiem tamtego dnia Littlemore jechał do pracy koleją nadziemną, był tak pogrążony w myślach, że przez pomyłkę wysiadł, jak zwykle do niedawna jeszcze, na stacji Grand Street. Był w połowie drogi do komendy policji, kiedy uświadomił sobie pomyłkę. Coś mu nie dawało spokoju, nie wiedział jednak, co to jest.

•••

W Szpitalu Kobięcym w Sloane przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Younger przedstawił się i zapytał o doktora Fredericka Lyme'a. Chwilę później witał się z mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, przedwcześnie posiwiiałym, z okularami w grubych oprawkach oraz stetoskopem na szyi, trzymającego podkładkę z klipsem.

- Co mogę dla pana zrobić, doktorze Younger? - Lyme zdjął okulary i wsunął je do kieszeni białego kitla.

- Przychodzę w sprawie panny McDonald. Rozmawiał pan z policjantem o nazwisku Littlemore; to ja go do pana przysłałem. Ta kobieta ma rad w szyi. Wymaga natychmiastowej operacji.

- Rad - powtórzył Lyme beztrąsko. - Skąd niby w ciele panny McDonald miałby się wziąć rad? Mówiłem temu policjantowi, że to absurd. Nie mam nic więcej do dodania. Miłego dnia.

- Najbardziej prawdopodobną przyczyną narośli na jej szyi jest rak - ciągnął Younger. - Jeśli zdiagnozowano u niej raka, zapewne poddano ją terapii radowej. Jestem przekonany, że w jej szyi nadal znajduje się igła z radem.

Lyme przyłożył podkładkę do piersi.

- Panna McDonald nigdy nie przeszła terapii radowej, bo to nie rak spowodował narośl na jej szyi, tylko syfilis. Z pewnością pan wie, że trzecie stadium syfilisu wywołuje rozrosty o charakterze kilaków i ziarniaków, które mogą się pojawić na całym ciele. Także syfilis spowodował jej demencję. Zaczynała już majaczyć. Miała urojenia prześladowcze. Czy coś panu powiedziała?

- Nie.
- Już w tysiąc dziewięćset trzynastym roku odkryto, że syfilis powoduje paręzę - stwierdził Lyme. - Czyżby pan nie śledził literatury fachowej?
- Znam to odkrycie - zapewnił Younger. - Doktorze Lyme, wykonałem zdjęcie rentgenowskie szyi tej kobiety.
- Jak? Kiedy?
- Kiedy leżała w Bellevue. Wynik wyraźnie sugerował obecność radu.
- Niedorzeczność! Pański aparat rentgenowski musiał źle działać. Chyba że nie potrafił pan go właściwie obsłużyć.
- Potwierdziłem tę diagnozę u samej madame Curie w Paryżu. Nie ma mowy o wadliwym działaniu. Rad wywołuje taki właśnie fluoroskopowy obraz, jaki stwierdziłem u niej. Niech pan przynajmniej otworzy guz i sprawdzi. To z pewnością nie zaszkodzi pacjentce.
- Ale też nie pomoże - stwierdził Lyme. - Ona nie żyje. Wybacz pan, ale się śpieszę.

• • •

Kiedy Littlemore dotarł w końcu do swojego gabinetu przy Wall Street, kazał się połączyć z biurem senatora Falla w Waszyngtonie. Minęła godzina, zanim udało mu się porozmawiać.

- A jeśli to nie rząd Meksyku nakazał zorganizowanie tego zamachu, panie Cali? Jeśli to była garstka działających na własną rękę meksykańskich urzędników?
- Chyba nie dostał pan cykora, mój synu? Ta wojna to będzie zwykła przechadzka. Łatwizna. Nasi chłopcy wrócą do domu na Boże Narodzenie.
- Obregón twierdzi, że Torres nie ma nic wspólnego z meksykańskim rządem - przypomniał Littlemore.
- A co pańskim zdaniem miał powiedzieć po tym, co pan znalazł w mieszkaniu Torresa? - ripostował senator.
- Nie mamy dowodów, panie Fall
- Takie gadki są dobre w sądzie. A wojen nie toczy się na sali sądowej. Niech pan się skupi na faktach, synu. Mamy podpis ministra finansów Meksyku na papierze firmowym ministerstwa i obóz terrorystyczny prowadzony pod egidą wojska, do cholery! To więcej dowodów, niż nam trzeba.
- A jeśli on jest zakałą rządu?
- Będę z panem szczery - zaczął Fall. - Wszystko mi jedno, czy zamach zlecił El Presidente de la Republico czy El Ministerio de la Financio. Co to za różnica? I tak zamierzamy wyruszyć na stolicę. Co do jednego wyłapiemy sukinsynów, którzy nas zaatakowali. Zrównamy z ziemią ten obóz terrorystyczny. Jeśli nie stał za tym Obregón, to znaczy, że nie umie poskromić tych, którzy są zakałą jego kraju, musimy więc postawić tam kogoś, kto to potrafi, zanim zaraza ogarnie wszystkich.
- W słuchawce słychać było trzaski.
- Powiem panu coś, mój synu. W sobotę jadę do Nowego Jorku, żeby się spotkać z Billem McAdoo. Musimy się zastanowić, co zrobić z Houstonem. Finansowanie wojny to śliska sprawa, skoro minister skarbu jest opłacany przez naszych wrogów. Zawsze jemy kolację w Oyster Bar. Może pan tam do nas dołączy?
- Oyster Bar? - powtórzył Littlemore.

- Ta restauracja w hali dworca, zna ją pan?
 - Oczywiście, że znam. To świetna propozycja, panie Fall.
- Chwilę później Littlemore znów podniósł słuchawkę telefonu.

• • •

Younger zapukał do drzwi rezydencji pani Williamowej Meloney przy Dwunastej Zachodniej, wypełnionej mručeniami kotów oraz wyrazami wdzięczności i uznania dla Marii Curie.

- To listy od pacjentów chorych na raka, których uleczono dzięki terapii radowej - wyjaśniła mu pani Meloney, wskazując pełne półki. - Wręczę je madame Curie, kiedy do nas przyjedzie. Jeden jest od botanika, który chce wręczyć Madame całą szklarnię kwiatów. Musimy zdobyć resztę pieniędzy. Po prostu musimy!

- Wszystko już ustalone! - ekscytowała się Colette. - Jutro odwiedzimy fabryki pana Brightona, w których używa farby luminescencyjnej: jedna jest w New Jersey, a druga na Manhattanie. Pani Meloney zapewnia, że mamy szansę na bardzo dużą darowiznę.

- Pan Brighton jest bliski przekazania na rzecz naszej fundacji kwoty jeszcze większej niż poprzednio - stwierdziła pani Meloney znacząco. - Nawet siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Sam mi to powiedział. Trzeba tylko lekkiego popchnięcia ze strony kobiety.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów! Wyobrażasz sobie, Stratham? - cieszyła się Colette. - To więcej niż potrzebujemy. Będziemy mogli kupić cały gram radu.

W drodze powrotnej Younger opowiedział Colette o wizycie w szpitalu w Sloane.

- Lyme się upiera, że to był syfilis - mruknął. - Powinienem być zapytać o wynik testu Wassermana. Nigdy nie słyszałem o trzecim stadium kiły w tak młodym wieku.

• • •

Littlemore zszedł po schodach delegatury Departamentu Skarbu przy Wall Street. Żołnierze nadal stacjonowali przed sąsiednim budynkiem Urzędu Probiernego, gdzie głęboko pod ziemią zgromadzono państwowe rezerwy złota. Przeszedł przez ulicę do Banku Morgana.

Wall Street była jak zawsze zatłoczona. Nie bacząc na to, że przeszkadza zagonionym przechodniom, Littlemore przeszedł powoli tam i z powrotem po chodniku wzdłuż budynku banku, żeby dokładnie obejrzyć miejsca, gdzie na ścianach pozostały odpryski i wgłębienia po wrześnieowym zamachu.

Wszyscy zakładali, że to ślady po wybuchu bomby Littlemore dokładnie je obejrzał. Zdziwiło go, że wszystkie znalazły się wokół jednego okna na pierwszym piętrze. Część nierównych wgłębień, zwłaszcza te większe, mogła powstać od odłamków, ale większość stanowiły małe i okrągłe ślady, jakby w beton uderzały kule z karabinu wycelowanego akurat w tamto miejsce.

Littlemore poszedł do ratusza. W piwnicy archiwum przeszukiwał plany instalacji gazowej, wodnej i ściekowej oraz metra na dolnym Manhattanie. Zajęło mu to długie godziny. Był raczej pewien, że niczego nie znajdzie; tak też się stało. Pod Wall Street przebiegały wyłącznie ciągi wodne, przewody elektryczne i gazowe. Na odcinku od Wall Street do Pine nie było żadnych kanałów ściekowych. W 1913 roku ogłoszono budowę linii metra do Nassau Street, ze stacją na skrzyżowaniu ulic Broad i Wall, niedaleko

miejsca, gdzie eksplodował ładunek terrorystów. Ale w odróżnieniu od osiemdziesięciu innych tras metra zapowiadanych w 1913 roku linii Nassau nigdy nie wybudowano.

•••

Hotel, do którego przenieśli się Younger i Colette, należał do tych, które oferują gościom stare naczynia z wytłuczonych częściowo serwisów i elektryczną kuchenkę do podgrzewania potraw. Widząc te utensylia, Colette oświadczyła, że będzie gotować. Zabrała Youngera na zakupy - do sklepu warzywnego, do rzeźnika i do piekarza. Powiedziała, że czuje się zupełnie jak w Paryżu. Albo poczułaby się tak samo, gdyby tylko mogli pozwolić sobie na butelkę wina.

•••

Littlemore'owie jedli obiad w mieszkaniu przy Czternastej całą rodziną - rodzice, dziadkowie i niezliczone dzieci. Jimmy Littlemore był jednak myślami zupełnie gdzie indziej. Dwukrotnie nazwał Jamesa juniora Samuelem, które to imię nosił jego najmłodszy syn, a Samuela przemianował na Petera, choć ten ostatni wcale nie wyglądał tak samo i był dwa razy starszy. Betty, karmiąca Lily na wysokim krześle, nigdy nie widziała męża aż tak roztargnionego.

•••

- Wiesz co? - powiedział Younger do Colette, kiedy jedli, siedząc naprzeciw siebie przy oświetlonym świecami małym stole. - Jest jeszcze jedna możliwość.

- Czego?

- Tego, jak rad leczy raka. - Odciał kawałek kotleta, który mu przyrządziła. - Przypuśćmy, że w każdej naszej komórce znajduje się przełącznik, który włącza albo wyłącza proces umierania komórki. Może radioaktywność go uruchamia? W komórkach rakowych przełącznik jest wyłączony: komórki nie umierają i replikują się bez końca. Kiedy dociera do nich radioaktywność, zmienia się pozycja przełącznika i komórki znów zaczynają umierać. To leczy raka.

- Ale wtedy w dobrych komórkach radioaktywność musiałyby...

- Wyłączać przełącznik - dokończył za nią Younger. - Sprawiać, że komórki przestawałyby umierać. Powodować raka.

- Rad nie powoduje raka!

- Skąd wiesz?

- Lekarstwo nie może jednocześnie leczyć choroby i być jej przyczyną. To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Wiesz, dlaczego odnosisz się tak podejrzliwie do radioaktywności? - odpowiedziała pytaniem Colette. - Ponieważ sam jej nie odkryłeś. Gdybyś ty pierwszy pomyślał o Bogu, w niego także byś uwierzył.

•••

Leżąca pośrodku szpitalnej sali dziewczyna z długimi rudymi włosami wiedziała, czego się spodziewać, kiedy wszedł mężczyzna w białym kitlu. Szarpnęła skórzane paski; próbowała krzyknąć, ale knebel nie pozwalał.

Obecność tego mężczyzny oznaczała, że zaraz poczuje ukłucie igły w ramię, po

czym po kończynach rozplynie się przyjemne ciepło przynoszące ukojenie.

Zaraz potem drugi mężczyzna znów zacznie szcztokować jej zęby - górne i dolne, z przodu i z tyłu - powoli i starannie.

Dobrze po północy przez szparę pod drzwiami pokoju hotelowego Youngera ktoś wsunął złożoną kartkę. Younger przeczytał ją, włożył ubranie i zszedł na dół.

- Długo pracujesz - powiedział.
- Zastanawiam się, jaki jest najsilniejszy kwas na świecie - oświadczył Jimmy Littlemore, żując jak zwykle wykałaczkę.
- Najsilniejszy pod jakim względem? - spytał Younger.
- Do cięcia metalu.
- Woda królewska. To mieszanka kwasu solnego i azotowego.
- Można ją przewozić? No wiesz, czy można ją nosić przy sobie? - dopytywał się Littlemore.

- W szkle jest wystarczająco bezpieczna. Bo co?
- Mogę potrzebować pomocy - oświadczył Littlemore. - Możliwe, że wyprawa okaże się trochę niebezpieczna. Znajdziesz chwilę jutro w nocy?

Younger spojrzał na niego.

- To ważne, doktorze.
- Dla kogo? - spytał Younger.
- Dla kraju. Właściwie dla dwóch krajów.

Younger wciąż nie odpowiadał.

- Chodzi o wojnę - dodał Littlemore.
- To nie będzie starcie równych przeciwników - odezwał się w końcu Younger. - Jedna nasza dywizja jest większa od całej armii Meksyku. Nasi generałowie mogliby tam jechać z zawiązanymi oczami, a i tak by wygrali tę wojnę.

- Ja nie próbuję jej wygrać - stwierdził Littlemore. - Usiłuję do niej nie dopuścić.

•••

Następnego ranka pierwsze strony gazet pełne były doniesień o eskalacji kryzysu w Meksyku. Prezydent elekt Obregón nie pokazywał się publicznie od dwóch dni. Druga dywizja armii amerykańskiej stanęła w ryszunku bojowym wzdłuż granicy państwa. Amerykańskie samoloty bojowe kontrolowały przestrzeń powietrzną nad Meksykiem, patrolując obszar na południe aż do stolicy.

W „Wall Street Journal” domagano się natychmiastowej inwazji w celu ochrony amerykańskich interesów. Takie samo stanowisko zaprezentował gubernator wielkiego stanu Teksas. W Waszyngtonie najwyżsi rangą członkowie administracji Wilsona wspólnie z dżentelmenami, których czekały równie wysokie urzędy w gabinecie prezydenta Hardinga, wystosowali oświadczenie adresowane do generała Obregóna, prezydenta elekta Meksyku.

Oświadczenie precyzowało warunki pokojowego rozwiązania kryzysu, włącznie z żądaniem wprowadzenia do meksykańskiej konstytucji poprawki zabraniającej konfiskaty posiadanych przez Amerykanów złóż mineralnych.

Według plotek po obydwu stronach granicy amerykańska wojna miała się rozpocząć następnego dnia, a wojskowym postawiono zadanie zajęcia stolicy kraju do 25 listopada, kiedy generał Obregón miał objąć urząd prezydenta. Powszechnie twierdzono, że Amerykanie pozwolą na inaugurację pod warunkiem, że prezydentem zostanie wskazany

przez nich polityk.

• • •

Younger raz jeszcze towarzyszył Colette do domu pani Meloney przy Dwunastej Zachodniej, gdzie czekał na nie samochód pana Brightona. Miały się nim udać do jego fabryki w Orange w stanie New Jersey, gdzie produkowano farbę luminescencyjną. Za kierownicą siedział wzbudzający respekt Samuels. Younger się pożegnał, po czym czekał przy krawężniku, dopóki się nie upewnił, że nikt ich nie śledził. Dzień był rześki i pochmurny.

Mijając składy handlowe i rzeźnie. Younger przeszedł na Dziesiątą Aleję i wszedł do budynku Wydziału Lekarskiego i Chirurgii Columbia University, uczelni medycznej związanej ze Szpitalem Kobięcym w Sloane. Younger znał dwóch badaczy zatrudnionych na tym wydziale. Jednego z nich, nazwiskiem Joseph Johanson, znalazł w laboratorium. Poprosił go, żeby zadzwonił do Sloane i zażądał przesłania mu karty pani McDonald, prowadzonej przez doktora Fredericka Lyme'a.

- W Sloane nie pracuje żaden doktor Lyme - odparł Johanson.
- Wczoraj pracował - stwierdził Younger. - Rozmawiałem z nim.

Johanson miał wątpliwości, ale zadzwonił. Szybko się dowiedział, że w szpitalu rzeczywiście znajdowała się karta chorobowa pacjentki Quiny McDonald, ale na wniosek najbliższych krewnych została przekazana rodzinie. Zatrzymano jedynie akt zgonu, z którego wynikało, że pacjentka zmarła przed pięcioma dniami na syfilis.

- Kto podpisał akt zgonu? - zapytał Younger.

Johanson powtórzył jego pytanie pielęgniarki, która sprawdziła, że na dokumencie widnieje podpis prawnika nazwiskiem Gleason. Także ona nigdy nie słyszała, by w szpitalu pracował doktor Lyme.

- Zaraz, zaraz... Frederick Lyme... Znam to nazwisko!
- powiedział Johanson, odkładając słuchawkę. Zdjął z półki duży segregator zawierający listę pracowników Columbia University. - Zaraz sprawdzę... o, tutaj. On nie jest lekarzem. Pracuje na fizjologii. Nie ma nawet doktoratu.
- Dlaczego fizjolog leczy pacjentkę w waszym szpitalu?
- zdziwił się Littlemore.

• • •

Colette i pani Meloney zostały przyjęte isticie po królewsku przez pana Arnolda Brightona w jego zakładzie produkującym farbę luminescencyjną - każda z nich otrzymała od niego szpilkę do kapelusza z brylantem jako wyraz uznania, o którym je zapewniał. Pani Meloney była zachwycona. Colette usiłowała na taką wyglądać.

Fabryka, którą Brighton pokazywał im z dumą, działała pod skrupulatnym nadzorem naukowców. W swoich laboratoriach dbali o to, by precyzyjnie odmierzone mikrogramy radu zostały w odpowiednich proporcjach dodane do bębnow z żółtą i zieloną farbą, które później zamykano i wprawiano w ruch wirowy, by zapewnić jednolitą barwę i rozcieńczenie. Ołowiane ekrany oddzielały zmieszana z radem farbę od pozostałej części fabryki. Czujniki radioaktywności ulokowano w różnych miejscach, dzięki czemu w razie wycieku materiału promieniotwórczego można było natychmiast podnieść alarm.

Pani Meloney wspomniała o Funduszu Radowym Marii Curie.

- Och, tak, Maria Curie - powiedział Brighton z szacunkiem. - Nie sposób ocenić,

jak wiele świat zawdzięcza tej kobiecie. Nawet Samuels miałby problem, żeby wyliczyć wszystkie jej zasługi. A mój Samuels jest utalentowanym księgowym. Nie widać tego po nim. Co tylko świadczy, że nie należy oceniać książki po okładce. Czyż nie, moje panie?

Colette i pani Meloney zgodziły się, że nie należy.

- O czym to ja mówiłem? - spytał Brighton.

- O naszym długu wobec madame Curie - podpowiedziała pani Meloney

- Ach, oczywiście. Zysk z moich kopalń radu w Kolorado, zysk z moich fabryk farby luminescencyjnej... wszystko to zasługa Marii Curie. Oczywiście kilka drobniaków zawdzięczam także innym osobom.

- Pan Brighton jest jednym z największych producentów ropy naftowej w naszym kraju - wyjaśniła pani Meloney.

- Dzięki temu właśnie odkryliśmy rad w Kolorado - powiedział Brighton radośnie.

- Prowadziliśmy prace kopalne w poszukiwaniu ropy.

Pani Meloney delikatnie przypomniała Brightonowi o funduszu.

- Fundusz? - zdziwił się. - Jaki fundusz?

- Fundusz radowy, panie Brighton.

- Ach, fundusz, fundusz. Oczywiście. To wspaniały pomysł - stwierdził. - Nie mogę się doczekać spotkania z madame Curie. I nie mogę się też doczekać, kiedy pokaże paniom fabrykę na Manhattanie, gdzie nakładamy farbę na cyferblaty zegarków. Jestem jednym z największych pracodawców zatrudniających kobiety w Nowym Jorku, panno Rousseau. Czy pani o tym wiedziała?

Colette zaprzeczyła, starając się to zrobić jak najuprzejmiej. Z teatralnym westchnieniem pani Meloney rzekła:

- Cóż za szkoda, że madame Curie mimo wszystko nie przyjedzie do Ameryki.

Fundusz jest nadal żałośnie niski w porównaniu z potrzebami. Brakuje nam sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów mimo jakże hojnej darowizny, którą otrzymałyśmy od pana, rozpoczynając naszą działalność, panie Brighton.

- Brakuje sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów - powtórzył Brighton z dziwną radością w głosie. - Zapewne z wielką ulgą przyjęłaby pani wiadomość, że przekażę funduszowi kolejną darowiznę, prawda?

- Z niecierpliwością na nią czekamy, panie Brighton - odparła pani Meloney.

- Nie większą niż moja, pani Meloney - stwierdził Brighton. - Nie większą niż moja.

Colette i pani Meloney wymienili spojrzenia po tej dziwnej uwadze.

•••

Younger wybrał się następnie na wydział fizjologiczny Columbia University, mieszczący się na terenie nowego wielkiego kampusu oddalonego od centrum miasta. Jeden z gmachów nazwano tam panieńskim nazwiskiem jego matki. Sekretarka w małym budynku potwierdziła, że Frederick Lyme jest pracownikiem naukowym wydziału.

- Jaka jest jego specjalność? - spytał Younger.

- Toksykologia - odpowiedziała sekretarka. - Toksykologia przemysłowa.

- Czy jest teraz u siebie?

- Pan Lyme spędza dziś cały dzień z klientami.

- Z klientami? - powtórzył Younger.

- Tak. Korzystają z jego konsultacji.

- Kim są?
- Przykro mi, ale o tym będzie pan musiał porozmawiać z panem Lyneem - stwierdziła sekretarka.

• • •

W delegaturze Departamentu Skarbu przy Wall Street Littlemore przywitał w swoim gabinecie wysokiego blondyna o zaraźliwym uśmiechu. Mężczyzna najwyraźniej miał świetne samopoczucie; podziękował Littlemore'owi za załatwienie sprawy z Pope'em i doprowadzenie do zwolnienia go z Amityville.

- Co mogę zrobić dla pana w zamian, detektywie? - spytał Fischer.
- Spotkać się ze mną w centrum dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ

Dwudziesty

W listopadowe wieczory powietrze na dolnym Manhattanie się zmienia. Przenikliwie zimne fronty znad Atlantyku wlewają się do portu na południowym krańcu wyspy. Tam masywne ściany drapaczy chmur funkcjonują jak tunele powietrzne, kanalizując i sprężając powiewy wiatru, którego siła bywa tak wielka, że potrafi zatrzymać albo nawet przewrócić dorosłego mężczyznę, jeśli się nie zaprze.

Littlemore, mijający gmach delegatury skarbowej po zaciętej stronie Wall Street, był do tego wiatru przyzwyczajony. Pochylił się pod kątem sześćdziesięciu stopni i nawet na chwilę nie odrywał dłoni od kapelusza, chroniąc go przed wiatrem, który wiał z naprzeciwka. Minister Houston, przybyły samochodem do sąsiedniego, jasno oświetlonego budynku Urzędu Probierczego, bezustannie chronionego przez wojsko, do powiewów wiatru przyzwyczajony nie był. Dlatego też stracił cylinder, gdy tylko wysiadł ze swojego złoto-czarnego packarda.

Z samochodu wynurzył się jeszcze jeden elegancko ubrany mężczyzna. Choć rozmawiali niemal szeptem, wiatr przyniósł strzępy zdań do Littlemore'a. Usłyszał, jak minister Houston zapewnia mężczyznę, że płatność zostanie zrealizowana. Mężczyzna uściśnął dłoń Houstona, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy do Banku Morgana.

Houston rzucił okiem na żołnierzy stojących rzędem w świetle wojskowych reflektorów. Jego cylinder leżał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od stopy jednego z wartowników, ten jednak stał na baczność, nie kwapiąc się z udzieleniem ministrowi pomocy. Houston ruszył w stronę schodów budynku, żeby odzyskać nakrycie głowy, ale - zupełnie jak w wodewilu - dokładnie w momencie, kiedy się schylił, żeby go podnieść z ziemi, złośliwy wiatr porwał cylinder i poniósł na nieoświetloną część ulicy. Upadł wprost pod nogi detektywa; ten podniósł go, otrząpął i wchodząc w krąg światła, podał urzędnikowi.

- Agent Littlemore! Nagabywanie mnie zniechęca staje się chyba pańskim nawykiem. Nie bardzo mi się to podoba. Skąd pan wiedział, że tu będę?
- Z pańskiego kalendarza - odpowiedział Littlemore.
- Przeglądał pan mój prywatny kalendarz?
- Pański sekretarz zostawił otwarty na biurku. Czy to był pan Lamont, panie ministrze?
- Tak. Bankierzy zbierają się dzisiaj tłumnie. To nigdy nie wróży niczego dobrego.
- Wojna z Meksykiem?
- Oczywiście.
- Przejmuje się pan nią, panie Houston?
- Do diabła! Dlaczego każdy mnie o to pyta? Martwię się tą wojną tylko o tyle, o ile wiąże się ona z wydatkami skarbu państwa. Co pan wie w związku z sytuacją w Meksyku? Wydaje mi się, że więcej, niż można przeczytać w gazetach. Skąd czerpie pan

informacje, Littlemore? I co pan tutaj robi?

- Chciałem się rozejrzeć po siedzibie Urzędu Probierczego, panie Houston.
- Po co?
- Możliwe, że schowano tam skradzione złoto. To by wyjaśniało, dlaczego nikt nie widział żadnej ciężarówki. Skoro jej nie było, to nikt nie mógł jej zauważyć.

- Bzdura! Byłem w Urzędzie Probierczym dziesiątki razy od wrześniowego zamachu. Nie ma tam złota.

Detektyw podrapał się w tył głowy.

- W tym budynku znajduje się niemal miliard dolarów w złocie, a pan powiada, że nie ma tam czterech milionów, których szukamy, panie ministrze?

- Owszem, tak powiadam. I mogę też stwierdzić, że dobiegł końca okres, kiedy był pan dla mnie użyteczny. Ale to chyba nie będzie panu przeszkadzało, ponieważ od dłuższego czasu nie pracuje pan dla mnie. Jest pan człowiekiem senatora Falla, prawda? Co panu obiecał?

- Czy może szukał pan skradzionego złota w tajnym sejfie na drugim piętrze, panie Houston? Tym za ścianą gabinetu naczelnika?

Przez twarz Houstona przebiegł przez chwilę dziwny grymas. Wprawne oko Littlemore'a rozpoznało symptom od razu: był winny. Houston szepnął ze złością:

- Skąd pan wie o tym pomieszczeniu?
- Z planów architektonicznych, panie ministrze. Pan mi je dał. Znalazłem też podpisane przez pana rozporządzenie, w którym nakazuje pan Riggsowi i reszcie pańskich chłopców rozpocząć przenoszenie złota w nocy szesnastego września.

- Czego to niby dowodzi?
- Niczego. Czy mogę wejść z panem do środka?

Houston odwrócił się plecami do Littlemore'a i walcząc z wiatrem, zaczął się wspinać po schodach. Jednocześnie krzyknął do dwóch żołnierzy stojących najbliżej imponujących drzwi wejściowych:

- Nikomu nie wolno wejść do tego budynku! Rozumiecie? Nikomu.

Głos ministra brzmiał dziwnie w rozdieranym wiatrem powietrzu. Żołnierze wymienili spojrzenia. Kiedy Houston zbliżał się do drzwi, zastawili mu drogę.

- Co to ma być? Jakiś żart? - oburzył się Houston. - Chodziło mi o to, że do budynku nie może wejść nikt inny. Odsuńcie się!

Żołnierze ani drgnęli.

- Powiedziałem: odsuńcie się - powtórzył Houston.
- Przykro mi, panie ministrze - odezwał się jeden z żołnierzy - Otrzymaliśmy

rozkazy.

- Czyje rozkazy?
- Pana Bakera, panie ministrze.

Nawet z tyłu i mimo płaszcza Littlemore zobaczył, jak ciało Houstona się prostuje.

- Pana Bakera, ministra wojny?
- Tak jest.
- Musieliście się pomylić.
- Nie, panie ministrze.

- To skandal! Ten budynek jest mój. Minister wojny nie ma władzy, która pozwoliłaby mu nie wpuścić ministra skarbu do Urzędu Probierczego Stanów Zjednoczonych!

- Ale ma władzę nad nami, panie ministrze.

Houston postawił krok naprzód, jakby chcąc sprawdzić, czy żołnierze odważą się go zatrzymać. Odważyli się. Houston mimo wszystko parł do przodu. Żołnierze odepchnęli go do tyłu, nie używając rąk - dwóch młodych ludzi w mundurach natarło ciałami na sześćdziesięcioletniego ministra ubranego we frak. Houston upadł na ziemię. Spadł mu z głowy cylinder, potoczył się po cemencie i znowu odfrunął w cień. Kiedy minister się podniósł, jego twarz była purpurowa. Kierowca pośpiesznie otworzył przed nim tylne drzwi. Houston bez słowa wszedł do auta. Littlemore położył rękę na drzwiach, kiedy kierowca miał je zamknąć.

- Znam pańskie przewinienia, panie Houston - powiedział detektyw.
- Zwalniam pana! - powiedział minister skarbu. - Proszę mi oddać odznakę. To jest rozkaz.

Littlemore wręczył mu odznakę. Rozstawał się z nią ze znacznie mniejszym żalem niż z policyjną.

- Teraz proszę się odsunąć od mojego pojazdu! - rozkazał Houston.
- Wiem także, w czym pan nie zawinił - dokończył Littlemore, wciskając w dłoń Houstona złożoną kartkę papieru.
- Proszę tam być, panie ministrze. I niech pan przyprowadzi ze sobą kilku ludzi.

• • •

Kiedy samochód Houstona zniknął z pola widzenia, Littlemore odszedł od budynku na rogu ulic Broad i Wall. Zatrzymał się, kiedy dostrzegł Youngera opartego o narożnik Equitable Building, bez kapelusza, z papierosem żarzącym się w porywach gwałtownego wiatru.

- Co to było? - spytał Younger. Trzymał dwa przykryte papierowe kubki z kawą, które wręczył detektywowi.
- Nic takiego. Właśnie straciłem pracę - wyjaśnił Littlemore. - Ale tak chyba będzie lepiej. Przynajmniej nie przyniosę wstydu władzom federalnym, jeśli zostaniemy aresztowani.
- Zamierzamy popełnić przestępstwo?
- Chcesz się wycofać? Masz prawo.
- Jedno pytanie - odparł Younger. - Czy będziemy zjeżdżali windą do podwodnego kesonu, który lada moment zaleje woda, odcinając nam drogę ucieczki, chyba że się zamienimy w ludzkie gejzery?
- Nie.
- To możesz na mnie liczyć.
- Dziękuję. - Mężczyźni ruszyli w kierunku delegatury Departamentu Skarbu, pochylając się na wietrze. - Muszę powiedzieć, że lubię to miasto.
- Co dokładnie mamy robić? - zapytał Younger.
- Widzisz tę małą alejkę między budynkiem Departamentu Skarbu a Urzędem Probierczym? Tam właśnie idziemy.
- Przepuszczą nas żołnierze?
- Nie ma mowy - powiedział Littlemore. - Nie przepuszczają nikogo. Alejka jest zamknięta czteropółmetrowym płotem z kutego żelaza. Druga taka sama brama jest na przeciwnym końcu, od strony Pine Street. Tamtej też pilnują żołnierze.
- Jak więc chcesz się tam dostać?

- Żeby zejść na dół, trzeba się najpierw wspiąć.

Littlemore poprowadził Youngera do góry po schodach budynku Departamentu Skarbu. Nie pełnili tam straży żołnierze. Budynek został opróżniony ze złota i wkrótce miał zostać zamknięty. Ale przed drzwiami wejściowymi czuwał nocny stróż, którego Littlemore przywitał po imieniu, wręczając mu kubek kawy. Dziękując, dozorca zastukał w drzwi; po kilku minutach otworzył je kolejny samotny strażnik, któremu Littlemore wręczył drugi kubek z kawą. Potem detektyw poprowadził Youngera przez rotundę do klatki schodowej na tyłach.

- Dlaczego ci mężczyźni cię tu wpuszczają? - zapytał Younger.

- Ja tu pracuję - odparł Littlemore. - Jestem agentem Departamentu Skarbu, pamiętasz? A przynajmniej byłem jeszcze kilka minut temu.

Pokonawszy cztery i pół piętra, Younger i Littlemore wyszli na płaski dach. Wiatr był tak silny, że kołysał nimi na boki. Podeszli do gzymsu od strony gmachu Urzędu Probierczego, odległego o niespełna trzy metry. Pod stopami mieli kilka zwojów liny przymocowanej do kamiennych krenelaży zdobiących gzyms. Obok liny leżała sterta różnych narzędzi: łomy, bloczki i karabinki zostawione tam przez Littlemore'a poprzedniej nocy.

Pod nimi w dole znajdowała się alejka między Urzędami Skarbowym i Probierczym. Po prawej i po lewej stronie na każdym końcu alejki żołnierze pilnowali bram z kutego żelaza. Stali twarzą do ulicy, czyli tyłem do alejki. Wskazując na bloczki i karabinki, Littlemore spytał po cichu:

- Umiesz się tym posługiwać, doktorze?

Younger skinął głową.

- Zatem wszystko w porządku - stwierdził Littlemore.

Mężczyźni przykleknęli i przelożyli końcówkę liny przez bloczek. Zjazd po linie nie sprawia trudności nawet bez specjalnego wyposażenia; z rolką zjazdową, która pozwala rozwijać linę według potrzeby, jest wręcz łatwy. Younger, który opanował tę umiejętność w wojsku, zrobił pętlę na krótszym końcu liny i postawił w niej stopę.

Littlemore podniósł łomy i poszedł w jego ślady.

W ciemności mężczyźni zjeżdżali na linie z dachu, odbijając się nogami od ściany mniej więcej co trzy metry. Dobrze naoliwione krążki nie wydawały prawie żadnego dźwięku, kiedy przechodziła przez nie lina, ale było to bez znaczenia, ponieważ wycie wiatru i tak zagłuszyłoby hałas.

- Tam - szepnął Littlemore, kiedy stanęli na bruku. Poprowadził Youngera do pokrywy dużej studzienki wjazdowej, którą pierwszy raz zauważył w dniu zamachu. - Spróbujmy łomami.

Na pokrywie znajdował się znajomy logotyp nowojorskiego przedsiębiorstwa kanalizacyjnego.

- Schodzimy do kanałów? - zapytał Younger.

- To nie jest kanał - odpowiedział szeptem Littlemore. - Wczoraj sprawdziłem plan terenu. Tędy wynieśli złoto, przez ten otwór. Dlatego nie było żadnej ciężarówki.

Pokrywa miała dwa małe otwory, w które Younger i Littlemore wsunęli zakrzywione końce łomów. Próbowali ją podnieść, ale żeliwny okrąg ani drgnął.

- Wiedziałem, że tak nie da rady - stwierdził Littlemore.
- Jest zabezpieczone od wewnątrz. Z zewnątrz nie da się otworzyć.
- Po to ci był kwas - odparł Younger.

- Tak, po to - przytaknął Littlemore.

Younger wyciągnął z kieszeni płaszcz trzy płaskie pudełka. Pierwsze zawierało pustą szklaną zlewkę, również szklaną rurkę grubości ołówka i rękawice laboratoryjne. Wewnątrz każdego z dwóch pozostałych, wyłożonych miękkim niebieskim welurem, znajdowała się zatkana probówka z przezroczystym płynem. W rękawiczkach Younger otworzył probówki i wlał część ich zawartości do zlewki, wytwarzając kwas, o którym mówił Littlemore'owi. Nie nastąpiła żadna reakcja chemiczna - zmiana koloru, wytrącenie czy dym. Teraz Younger zakrył wylot zlewki pokrywką i przez wystającą z niej cienką rurkę zaczął skrapiać żeliwną pokrywę wokół krawędzi. Kwas natychmiast zaczął się silnie pienić, a nad metalową powierzchnią pojawił się czerwony gryzący dym.

- Uważaj na oczy! - ostrzegł Younger.

Mniej więcej w połowie obwodu pokrywy Younger zużył płyn znajdujący się w zlewce. Musiał zmieszać kolejną porcję wody królewskiej, wręczył więc Littlemore'owi dwie odkryte probówki, żeby zdjąć przykrycie ze zlewki. W tej samej chwili wyjątkowo silny powiew wiatru przetoczył się przez alejkę.

- A niech to! - szepnął Littlemore. Younger podniósł wzrok. Białe bańki pieniły się na czubku buta detektywa. Powstrzymując się, by nie podnieść głosu, Littlemore wydyszał: - Zaraz mi przepali but! Zrób coś, doktorze. Mam to na stopie! Wyżre mi ciało do kości!

- To nie jest mój kwas - stwierdził Younger.

Dyszenie Littlemore'a gwałtownie ucichło.

- Co to jest? - zapytał Younger. - Soda oczyszczona?

- Każdy inny dałby się na to nabrać! - stwierdził Littlemore autentycznie poirytowany. - Każdy! Skąd ty wiesz, że to była soda oczyszczona?

Younger patrzył na Littlemore'a przez długą chwilę.

- Daj mi to - powiedział, wyjmując szklane probówki z rąk detektywa. Niebawem żeliwna pokrywa korodowała na całym obwodzie. - Teraz musimy czekać.

Kilka minut później Younger podniósł łom, wręczając go Littlemore'owi. Z całych sił próbowali odsłonić właz, ale bezskutecznie.

- Może kwas nie jest wystarczająco silny? - zapytał Littlemore.

Mężczyźni stali nad pokrywą. Littlemore tupnął w nią jedną nogą. Kiedy miał zamiar zrobić to ponownie, Younger powiedział:

- Ja bym tego...

But Littlemore'a wypchnął przezartą kwasem pokrywę. Usłyszeli, jak się od nich oddala, niczym wciągana w próżnię. Przez moment Littlemore zawisł z uniesioną w górę nogą nad odkrytym już włazem, kołysząc się i chwiejąc, żeby utrzymać równowagę. Potem syknął: „A niech to!” - i wpadł do środka.

Kiedy zniknął w studziencie, jego machająca na osłep ręką zaczęła o kostkę Youngera. Przez chwilę Younger powstrzymywał ich obu przed upadkiem, potem jednak nie zdierżył obciążenia i także on zapadł się pod ziemię, zostawiając łom oparty o krawędź włazu.

Younger zsuwał się w dół szybu z zatrważającą prędkością. Kompletnie nic nie widział, za to słyszał dźwięki: jego ciało obijało się hałaśliwie o ściany szybu i Littlemore pokrzykiwał gdzieś niżej. Pokonując ostre zakręty i uderzając o wybrzuszenia, spadali w otchłań nieprzeniknionych ciemności.

•••

Przez cały dzień pan Brighton trzymał je w niepewności co do swoich planów względem Funduszu Radowego. Chociaż pani Meloney kilkakrotnie nawiązywała do tematu, pan Brighton za każdym razem puszczał to mimo uszu; Colette nie potrafiła określić - z przebiegłości czy z roztargnienia.

Zjedli obiad w restauracji Garret, wysoko nad południowym krańcem Manhattanu, podziwiając krwistoczerwony zachód słońca nad rzeką Hudson. Kiedy zjeżdżali windą, pani Meloney oznajmiła, że spożywanie posiłku na takiej wysokości nadwerżyło jej nerwy, w związku z czym musi się natychmiast udać do domu. Colette stwierdziła, że ona też powinna iść.

- Niechże pani nie będzie niemądra, moja droga! - odparła pani Meloney. - Musi pani odwiedzić fabrykę cyferblatów pana Brightona. Jest z niej szczególnie dumny, i słusznie.

- Proszę przyrzec, że pani tam ze mną pojedzie - dodał Brighton.

- Czy wystarczy nam czasu? - spytała Colette. - Doktor Younger będzie na mnie czekał przed kościołem Świętej Trójcy o dziewiątej trzydzieści.

- Czekał przed kościołem? - powtórzył Brighton. - Czy pani... chyba nie bierze pani ślubu, panno Rousseau?

- Ślub dziś wieczorem? - roześmiała się pani Meloney.

- Ależ, panie Brighton! Dziewczęta nie wychodzą za mąż wieczorem. A już z pewnością nie odwiedzałyby fabryk farby w dniu ślubu. Że nie wspomnę o tym, iż kościół Świętej Trójcy będzie o tej porze zamknięty.

- Jej! - wykrzyknął Brighton. - Iluż ja rzeczy nie wiem! Ale mam klucze do kościoła Świętej Trójcy. Jestem w radzie parafialnej. Chciałaby pani obejrzeć wnętrze, panno Rousseau? Jest bardzo piękne.

- Już je widziałam, panie Brighton - odparła Colette, która spędziła kilka godzin w kościele szesnastego września.

- Panna Rousseau nie chce zwiedzać kościoła, panie Brighton. Chce obejrzeć pańską fabrykę. - Pani Meloney zwróciła się do Colette: - Jest mnóstwo czasu, moja droga. Fabryka znajduje się bardzo blisko. A droga z fabryki do kościoła to zaledwie kilka kroków. Niech go pani nie zawiedzie. Ani mnie. Proszę.

Pani Meloney odjechała taksówką.

- Lubi pani spacerować, panno Rousseau? - zapytał Brighton.

Colette nie mogła wykrztusić słowa. W obecności pani Meloney nie do końca zdawała sobie sprawę, że towarzyszy mężczyźnie tylko po to, żeby wydobyć od niego pieniądze. Teraz to odczuła i ta świadomość skaziła wszystko, co mówiła - i czego nie powiedziała - hipokryzją i fałszem.

- Bardzo lubię spacerować - odparła.

Brighton podał jej ramię. Colette udawała, że tego nie zauważa, ale Brighton nie zrezygnował i trzymał łokieć w powietrzu tak długo, aż Colette w końcu się na nim wsparła. Przemysłowiec wydał jej się dziwnie wysoki, kiedy szedł obok. Jakoś nie mogli zsynchronizować kroku. Samuels utrzymywał pełen szacunku dystans.

- Dojdziemy akurat na czas - stwierdził Brighton radośnie. - Dziewczęta z drugiej zmiany niedługo kończą pracę. Chcę, żeby pani zobaczyła je w działaniu, panno Rousseau. - Dopadł ich przejmująco zimny podmuch wiatru. Colette nie była ubrana

odpowiednio do takiej pogody. - Proszę, mam dla pani kolejny drobiazg w prezencie. W nich będzie pani cieplej.

Brighton wyjął z kieszeni płaszcz eleganckie pudełko. Wewnątrz leżał podwójny naszyjnik w formie obroży z brylantów, tworzący komplet ze szpilką, którą podarował jej wcześniej.

- Ojej! - zmartwił się Brighton. - To naszyjnik. Chodziło mi o rękawiczki. Ale nieważne. Czy mogę?

Zapiął klejnoty na szyi Colette, która żałowała, że pan Brighton nie przeznaczył tych pieniędzy na Fundusz Radowy, ale wydusiła z siebie podziękowanie. Z konsternacją doszła do wniosku, że jeśli nie przyjmie jego podarunków, pan Brighton nie przekaże kolejnej darowizny na rzecz Funduszu. Po raz pierwszy w życiu nosiła brylanty; czuła na szyi ich chłodny dotyk. Być może później je spienięży i przeznaczy pieniądze na wsparcie Madame, wskazując jego jako darczyńcę.

Brighton wręczył jej drugie pudełko. To zawierało parę długich rękawiczek koloru kremowego, zrobionych ze skórki tak cienkiej i miękkiej, jakiej nigdy wcześniej nie dotykała.

- Proszę je przymierzyć - powiedział.

- Nie mogę, panie Brighton. Są o wiele za...

- Za długie, żeby je założyć bez zdejmowania płaszcza? Oczywiście, że tak. Proszę mi pozwolić.

Pomógł jej zdjąć płaszcz. Nie chcąc go obrazić, naciągnęła rękawiczki, które sięgały powyżej łokcia.

- Mój płaszcz, panie Brighton - powiedziała.

- Tak?

- Czy zechce pan mi go podać? Marznę.

- Marznie pani, oczywiście. Cóż za absurd! Proszę. Czy się pani podobają?

Spojrzała na swoje dłonie przykryte elegancką skórą, która wyglądała jak kość słoniowa.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam panią. Teraz pomówmy szczerze, panno Rousseau. Wiem, czego pani chce najbardziej na świecie. Pani Meloney mnie oświeciła w tej mierze. Chce pani, żebym pomógł zakupić rad dla madame Curie, prawda?

- Jeśli pan się zgodzi, panie Brighton.

- Ależ oczywiście, że się zgodzę! - krzyknął. - Kupię cały gram.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana.

- Jeśli tylko pani zechce - odpowiedział.

- Jeśli co zechcę? - Ekscytacja Colette ustąpiła miejsca konsternacji.

- Wyjść za mnie - powiedział.

Colette nie wiedziała, czy ma wybuchnąć śmiechem czy łzami.

- Wiem, że nie należę do mężczyzn, których kobiety uważają za przystojnych - ciągnął Brighton. - Ale jestem bardzo bogaty. Mogę pani dać wszystko, spełnić każde pragnienie. Proszę o tym pomyśleć. Wszystko, a to wcale niemało.

- Przecież nawet się nie znamy, panie Brighton.

- Nieprawda! Znam panią doskonale, ponieważ jest pani samą doskonałością. Nie proszę, żeby mnie pani kochała. To się w ogóle nie liczy. Niech mi pani pozwoli się

wielbić. Niech pani powie tak, a w tej chwili wysyłam telegraficznie na fundusz pani Meloney sto tysięcy dolarów.

Oszałamiająca obietnica wisiała przez chwilę w powietrzu.

- Ale rozważy pan możliwość darowizny, nawet gdy powiem: nie? - spytała.

- Nie rozważę - odparł Brighton szczerze. - Przekazałem już dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i zrobiłem to tylko po to, by być na pani wykładzie. Dlaczego miałbym dawać pieniądze Francuzce, której nawet nie znam? Nie mam powodu tego robić. Jeśli jednak pani za mnie wyjdzie, droga panno Rousseau, pani życzenie stanie się dla mnie rozkazem. Jeśli pani zechce, kupię dwa gramy radu. Albo dziesięć.

- Dziesięć gramów radu? - powtórzyła, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

- Z moich własnych kopalni. Dlaczego nie? Wartość rynkowa wyniosłaby milion dolarów, ale mnie kosztowałyby znacznie mniej. - Kiedy Colette nie odpowiedziała, Brighton dodał: - Ojej, czy to jest niemoralne? Czy ja się niemoralnie zachowuję?

Colette pokręciła głową, ze zmarszczonymi surowo czarnymi brwiami.

- Bogu dzięki! Nigdy nie wiem, co może zostać uznane za niemoralne. Mówią, że ludzie powinni się pobierać z miłości. Nie wiem, co by to miało znaczyć. Chcę z panią dzielić mój dom. Podróżować z panią moim pociągiem. Mieć panią przy boku, kiedy jem obiad z prezydentem. Czy to nierozsądne, że chcę, aby najpiękniejsza, najbardziej inteligentna i najbardziej niewinna kobieta na świecie została moją żoną? Albo że chcę zapewnić jej wszystko, czego zapagnie, żeby oddała mi rękę? Jesteśmy na miejscu. Oto moja fabryka. - Samuels otworzył im drzwi. - Zapraszam do środka. Niech pani spojrzy na te dziewczęta pochylone nad pracą. Czyż to nie piękny widok? Ale o czym to mówiłem? Ach, tak. Dziesięć gramów radu, który wykorzysta pani wedle własnej woli. Samuels! Przygotuj natychmiast przekaz telegraficzny na rachunek pani Williamowej Meloney! W biurze mam telegraf. Niech pani powie, że mnie pani poślubi, a w tej chwili przesyłam sto tysięcy. Prawdę mówiąc, Samuels miał na początku błędną opinię na pani temat, panno Rousseau. Nie będę pani teraz opowiadał, co pomyślał. Ale wiem, że jeśli przyrzeknie mi pani małżeństwo, to dotrzyma pani słowa. Co to... pani płacze? Czy mogę mieć nadzieję, że to łzy radości?

Colette poprosiła Brightona, by na chwilę zostawił ją samą.

- Ależ oczywiście, moja droga panno Rousseau - zgodził się Brighton. - Samuels będzie potrzebował kilku minut, żeby przygotować depeszę.

• • •

Cztery piętra pod Wall Street w olbrzymiej, nieoświetlonej sali z brudną podłogą dwaj mężczyźni pracowali przy wielkim piecu. Twarze mieli poczerniałe od sadzy; obaj nosili długie fartuchy z grubej i ciężkiej skóry. Jeden wrzucał do pieca masywne sztaby złota. Drugi obsługiwał kilka żeliwnych form, do których wlewał się strumień stopionego żółtego metalu spływający z góry pieca rynną. Kiedy świeżo uformowana sztabka złota była gotowa, mężczyzna przekładał ją za pomocą szczypiec na stos takich samych, które wypełniały podziemną komnatę po drugiej stronie pieca. Obydwaj mężczyźni pracowali w okularach ochronnych; oświetlone iskrami i nienaturalnym światłem wydobywającym się z pieca ich ramiona i czoła błyszcząły od potu.

Niespełna pięć metrów za nimi znajdowała się ściana, a w niej idealnie okrągły otwór. Z tego otworu zaczął dolatywać metaliczny dźwięk, który zaintrygował pracujących.

Było to rozbrzmiewające odległym echem dudnienie. Stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu osiągnęło potworne natężenie i z otworu wystrzelił wielki, żelazny dysk. Była to pokrywa wjazdu z postrzępionymi brzegami, która upadła na podłogę z niebezpieczną prędkością, przetoczyła się tuż obok nóg zaskoczonych wytapiaczy, zniknęła na chwilę pod warsztatem, wtoczyła się niemal na szczyt sztabek złota, po czym zawirowała i turlając się, z brzękiem upadła pod nogi pracujących ludzi.

Wytapiacze zdjęli gogle. Gapili się w osłupieniu na tajemniczy okrągły obiekt, po czym spojrzeli na siebie: z otworu w ścianie zaczął się wydobywać nowy dźwięk. Ten nie był metaliczny. Przypominał raczej łoskot przerywany ludzkim głosem. Z początku cichy i odległy, stawał się coraz głośniejszy i bliższy, aż w końcu z otworu w ścianie wyskoczył nogami do przodu Jimmy Littlemore, a zaraz po nim Stratham Younger. Obydwaj upadli na ziemię i toczyli się w płataninie rąk i nóg, aż w końcu, w ślad za pokrywą, wylądowali pod nogami wytapiaczy.

Littlemore spojrział w górę na dwóch mężczyzn w skórzanych fartuchach, wypluł resztkę wykałaczki wraz z pyłem i powiedział:

- Jesteście aresztowani.

Younger, leżąc na brzuchu, nie widział, do kogo detektyw skierował te słowa, dopowiedział jednak bez wahania:

- W imieniu prawa.

Littlemore wyciągnął pistolet z kabury pod pachą i rozkazał:

- Rzuć to - wskazał na rozżarzone do czerwoności szczypce - i obydwaj ręce do góry!

Oniemiali wytapiacze natychmiast wykonali rozkaz.

Littlemore się podniósł, wyjął z tylnej kieszeni kajdanki i rzucił je Youngerowi.

- Skuj jednego - polecił.

- Którego? - spytał Younger.

- Wszystko jedno. Tego większego.

Mężczyzna, który wrzucał złoto do pieca, był potężniejszy od kolegi. Younger skuł mu ręce za plecami. Littlemore obrócił drugiego robotnika i popchnął go do przodu.

- Idziemy, panowie - zarządził, prowadząc ich dookoła pieca w kierunku góry złotych sztabek. - Zobaczymy, czy to miejsce prowadzi tam, gdzie myślę... - Urwał w pół zdania.

- Słyszałeś to, doktorze?

- Co?

Littlemore patrzył na stertę złota, która miała mniej więcej cztery i pół metra wysokości. Nagle nad nią pojawiły się głowy trzech mężczyzn, a obok każdej lufa pistoletu. Twarz tego pośrodku nosiła blizny od kącików ust do kącików oczu, jakby niedawno przeszedł operację.

- Strzelać! Zastrzelić ich! - wrzeszczał z silnym wschodnioeuropejskim akcentem.

- Padnij! - krzyknął Littlemore.

Bandyci nie mieli prostego zadania - i Younger, i Littlemore prowadzili przed sobą wytapiaczy, każdy jednego - ale najwyraźniej się tym nie przejęli. Wszyscy trzej wystrzelili, pakując kule w kolegów, którzy Youngerowi i Littlemoreowi posłużyli za tarcze. Younger przewrócił ciężki drewniany warsztat i ukrył się za nim. Littlemore przykucnął za piecem.

- Strzelanina - powiedział Younger, kiedy kule waliły w blat jego stołu i odbijały

się od pieca. - Biorę udział w strzelaninie i nie mam broni!

Littlemore wychylił się zza pieca i wystrzelił dwie kule, które utrzymały napastników z daleka, ale nie załatwiły sprawy.

- Tamten facet jest tym, kim myślę? - spytał.
- Tak - potwierdził Younger. - Powiedz mi, że masz drugi pistolet.
- Nie - odparł krótko Littlemore. Kule oderwały kilka elementów na dole pieca, powodując, że trochę się przekrzywił, wydając przy tym przeraźliwy pisk uchodzącej pary.

- Jakies pomysły, doktorze? Możemy wyciąć Drobacowi jakiś numer?

Masywny piec wspierał się na trzech nogach. Jedna z nich ustąpiła z głośnym trzaskiem. Konstrukcja przekrzywiła się z hukiem, stając pod dziwnym kątem.

- Zaproponujemy mu zmniejszenie kaucji? - zasugerował Younger.
- Dobrze radzisz - odparł Littlemore, oddając kolejny strzał w kierunku sterty złota.
- Nie czuję się zbyt bezpiecznie, gdy ich kule trafiają w ten piec - krzyknął

Younger.

- Bardzo mi pomogłeś - odkrzyknął Littlemore, wystawiając rękę zza pieca, żeby wystrzelić ostatnie dwie kule.

Detektyw musiał ponownie załadować pistolet. Drobac wiedział o tym albo to wyczuł.

- Na piec! - ryknął.

Trzej bandyci zaczęli schodzić ze sterty złota. W tej samej chwili druga noga w podstawie pieca nie wytrzymała ciężaru i kolos przewracał się prosto na Youngera z niesamowitym piskiem gnącego się i łamiącego metalu.

Littlemore i Younger mieli za chwilę zginąć. Younger leżał dokładnie w miejscu, na które zwał się wielki, rozgrzany do czerwoności i plujący stopionym złotem piec. Littlemore nadal ładował pistolet, kiedy wszyscy trzej bandyci ruszyli na niego, zbiegając ze sterty złota, a piec, stanowiący dlań osłonę, zaczął się wywracać.

Younger zobaczył pokrywę wjazdu u swoich stóp.

- Tarcza! - krzyknął, podnosząc żeliwny okrąg i ciskając nim w stronę detektywa, po czym odskoczył na bok, zanim kilka ton żelaza walnęło o brudną podłogę, a śmiertelny prysznic złota o włos mijał jego stopy i łydki.

Niemal jednocześnie Littlemore wsunął nowy magazynek do pistoletu, złapał pokrywę i odwrócił się twarzą do nacierających bandytów, a zavalony piec przestał go zasłaniać. Wszyscy trzej bandyci strzelali do niego raz za razem, ale kule odbijały się od pokrywy wjazdu. Littlemore odpowiedział ogniem, zabijając jednego, potem drugiego, ale nie Drobaca, który rzucił się na detektywa, uderzając ramieniem. Littlemore przewrócił się na plecy, ciężka pokrywa spoczęła na jego piersiach, a na niej wylądował napastnik.

Littlemore miał unieruchomione ręce. Drobac przytrzymał żeliwną pokrywę kolanem, dociskając z całych sił. Jednocześnie przystawił lufę do skroni swojej ofiary, uśmiechnął się i pociągnął za spust. Ale pistolet nie wystrzelił: także jemu skończyły się naboje. Przeklinając, odrzucił pistolet na bok.

- Nie szkodzi - stwierdził. - Mam drugi.

Drobac wyciągnął broń z kieszeni marynarki.

- Żegnaj, policjancie - powiedział.

- Hej, Drobac! - zawołał Younger, stając obok przewróconego pieca i kopiąc żelazną rynnę, która wystawała z urządzenia.

Usłyszawszy jego krzyk, Drobac się odwrócił. Mało prawdopodobne, by zrozumiał, co widzi: jeden koniec żeliwnej rynny wystawał z konstrukcji pieca, a drugi, ociekający złotem, pędził w jego kierunku. Rynna trafiła prosto w jego czoło. Cios najwyżej by go zdezorientował, ale płynne złoto o temperaturze ponad tysiąca stopni zalało mu czoło, nos, policzki i szyję. Drobac próbował wrzeszczeć, ale z gardła nie wydobył nic, co choćby przypominało ludzki głos: strumień żółtego metalu wypalił mu policzki i wlał się do ust. Podniósł ręce do bulgoczącej twarzy, raz jeszcze spróbował krzyknąć, upadł do tyłu i leżał na brudnej podłodze, a z jego głowy unosił się czarny dym.

Littlemore wygrzebał się spod pokrywy wjazdu i z trudem stanął na nogi, patrząc na wstrząsane drgawkami ciało Drobaca.

- Myślisz, że powinienem go aresztować? - spytał Littlemore.

- Myślę, że powinniśmy jak najszybciej się stąd wydostać - odparł Younger, wskazując przewrócony piec. Był cały rozżarzony i z każdą sekundą robił się bardziej czerwony. W pomieszczeniu panował niewyobrażalny skwar.

- Jezu, ten piec zaraz wybuchnie! - rzucił Littlemore. - Muszą tu być jakieś drzwi. Po drugiej stronie tej kupy złota.

Obiegli stertę złotych sztabek, minęli stół zastawiony kartami do gry oraz szklankami z whisky i po drugiej stronie podziemnej komnaty zobaczyli stalowe drzwi. Nie miały klamki ani gałki. Pchnęli je, uderzając obaj całym ciałem, ale nie puściły.

Z pieca zaczął się wydobywać niski dźwięk, tak głęboki, że przypominał akord kościelnych organów. Potem zrobił się jeszcze bardziej przejmujący. Poza zasięgiem wzroku obydwu mężczyzn tłące się ciało pozbawione policzków i warg wyciągnęło rękę i chwyciło leżący obok na podłodze pistolet.

- To źle wróży - stwierdził Younger, odnosząc się do organowego dźwięku przeszywającego powietrze. - Wydaje mi się, że nawet bardzo źle.

- Zaraz! - krzyknął Littlemore. Pędem pobiegł do stolika karcianego, chwycił jedno z krzeseł i równie szybko wrócił do drzwi. - Wszystko będzie dobrze. Powiedziałem Houstonowi, żeby tu przyszedł.

Z całej siły wałnął krzesłem w drzwi, potem jeszcze raz i jeszcze. Krzesło rozpadło się na kawałki, ale drzwi nie puściły.

Pozbawiony twarzy stwór wolno podniósł się na nogi, w pulsującym szkarłatnie świetle przegrzanego pieca pokazując kilka zębów i fragment szczęki.

Niski dźwięk przypominający organy stał się tak głęboki, że nie odtworzyłyby go żaden instrument zbudowany przez człowieka. I ciągle narastał. Littlemore rzucił resztką krzesła o drzwi.

Drobac dotarł do sterty złota. Ryk pieca stał się tak głośny, że podłoga wpadła w wibrację, a Littlemore'em wstrząsnął dreszcz. Oparty o złote sztabki Drobac zauważył Youngera przy drzwiach. Ujął pistolet obydwoma dłońmi i podniósł niepewnie drżące ręce.

Nie mogąc dłużej znieść narastającego hałasu, Littlemore zakrył uszy dłońmi. Drzwi nadal były zamknięte. On i Younger spojrzeli na siebie.

Pistolet w drżących dłoniach Drobaca znieruchomiał. Bandyta pociągnął za spust.

W jednej chwili piec eksplodował, pistolet wystrzelił i drzwi stanęły otworem. Siła wybuchu przerzuciła Youngera i Littlemore'a do pełnego ludzi korytarza, kiedy kula przelatowała gdzieś nad ich głowami. Drobac uderzył w stertę sztabek i jego ciało zajęło się ogniem. Podobnie jak drewniane belki podpierające ściany oraz sufit podziemnej

komnaty. Gdy belki pękły, sufit natychmiast się zawalił. Komnata zamieniła się w piekło.

- Zamknąć te cholerne drzwi! - rozkazał minister Houston najgłośniejszym głosem, jak potrafił, kiedy języki ognia zaczęły wypełzać na korytarz.

Stalowe drzwi zostały zamknięte i zaryglowane, nagle tłumiąc ogłuszający huk rozszalałego ognia. W korytarzu zrobiło się cicho. Younger i Littlemore, podnosząc się, odkryli, że patrzy na nich pół tuzina agentów Tajnej Służby i drugie tyle elegancko ubranych bankierów z Thomasem Lamontem włącznie.

- Co tam jest, Littlemore? - zapytał Houston.

Odpowiedział mu nie Littlemore, lecz Lamont:

- To tylko stare porzucone fundamenty. Odcięliśmy je dawno temu. Nikogo tam nie było od dziesięcioleci. Nie wiem nawet, skąd pan wiedział, że tam są, Houston.

- Nie wiedziałem. Ale mój człowiek Littlemore powiedział mi, gdzie mam czekać - odparł minister skarbu. - Poradził mi też, żebym zabrał kilku agentów Tajnej Służby na wypadek, gdyby pan chciał mnie powstrzymać, Lamont. Co pan tam znalazł, Littlemore?

- Trochę złota. Na moje oko sztabki warte jakieś cztery miliony dolarów.

- To nie jest złoto Banku Morgana - zastrzegł pośpiesznie Lamont. - Zaręczam. Firma J. P. Morgan nie ma z tym nic wspólnego.

- Złoto warte cztery miliony leży pod ziemią tuż obok piwnic Banku Morgana, a pan chce mi wmówić, że wasza firma nic o tym nie wie?

- To były stare fundamenty pod Wall Street - odparł Lamont. - Nie posiadamy planów tej działki. Nie mamy z tym nic wspólnego. Każdy mógł się tam dowiercić.

Jeden z bankierów się odezwał:

- Może to pańskie złoto, Houston? Krążą pogłoski, że szesnastego września obrabowano skarbiec państwa.

- Złoto Departamentu Skarbu? - zapytał Houston z udawanym oburzeniem. - Niech pan nie będzie śmieszny! Mogę się rozliczyć z każdej uncji złota od dnia, w którym objąłem urząd. Z każdej sztabki i każdej monety. Departament Skarbu nigdy nie został okradziony. Dwaj z was, panowie - Houston zwrócił się do agentów Tajnej Służby - zostaną tutaj i będą pilnowali tych drzwi. Nie wolno ich otwierać pod żadnym pretekstem! Jutro, kiedy ogień się wypali, zdecydujemy, co dalej. Podejrzewam, Lamont, że to kolejna nielegalna dostawa rosyjskiego złota.

- Mówiłem przecież, że firma Morgana nie ma z tym nic wspólnego - stwierdził Lamont.

•••

Gdy tylko wyszli z powrotem na Wall Street, opuszczając okazałą siedzibę Banku Morgana, Houston zapytał Littlemore'a zaniepokojonym szeptem:

- Czy złoto ma jeszcze nasze próby, czy już je przetopili?

- Przetopili niemal wszystko - odpowiedział Littlemore.

- Chwała Bogu! - odetchnął Houston.

- Jeśli pan nie chce, żeby ludzie się dowiedzieli, że to złoto pochodzące ze skarbcza, to niech pan, panie Houston, zatka dziurę w swojej alejce.

- Jaką dziurę? - zdziwił się Houston.

Littlemore wskazał po drugiej stronie ulicy alejkę między budynkami Departamentu Skarbu i Urzędu Probierczego: brama stała otworem, a oddział żołnierzy pochylił się nad włazem, z którego swobodnie buchał teraz dym. Houston natychmiast ruszył w tamtym

kierunku wraz z pozostałymi do jego dyspozycji funkcjonariuszami, ale nagle się zatrzymał i wyjął z kieszeni odznakę.

- Przepraszam, że w pana zwątpiłem, Littlemore. Proszę przyjąć z powrotem odznakę. Przywracam pana na stanowisko.

- Nie, dziękuję, panie Houston - odparł Littlemore. - Mam dość Departamentu Skarbu, przynajmniej na jakiś czas. Zresztą nagromadziło się trochę spraw i muszę teraz wrócić do policyjnej roboty Houston odszedł, zostawiając Youngera i Littlemore'a samych. Younger zapalił papierosa. Obydwaj mieli brudne twarze, rozczochrane włosy i podarte poczerńiałe ubrania.

- A przynajmniej byłaby to robota policyjna, gdybym nadal pracował w policji - mruknął Littlemore.

ROZDZIAŁ

Dwudziesty Pierwszy

Zagubiona w myślach Colette spacerowała po dużej, wysokiej hali fabrycznej; stały w niej zgarbione nad długimi stołami młode kobiety, które cienko zakończonymi pędzelkami nanosiły plamki farby luminescencyjnej na wąskie jak ostrze brzytwy wskazówki modnych zegarków. Między każdą parą dziewcząt na długim kablu zwisała z sufitu elektryczna lampa, rzucająca ostre światło na ich mozolną pracę. Ale cisza panująca w tej sali wynikała nie tyle z koncentracji, ile z pojawienia się przed kilkoma minutami pracodawcy.

Obecność Colette także się przyczyniła do milczenia pracownic. Młoda kobieta w brylantowym naszyjniku i białych rękawiczkach po łokcie, która przyszła z właścicielem fabryki, nie była dla nich codziennym widokiem. Zerkały na nią nieufnie, kiedy przechadzała się po hali.

Colette nie zauważała ich spojrzeń. Miała w głowie tylko jedną myśl: dziesięć gramów radu. To odmieniłoby życie madame Curie. Ocaliłoby przed śmiercią niezliczone zastępy istnień ludzkich. Przeznaczony na badania naukowe zamiast na tarcze zegarków czy kosmetyki rad mógł doprowadzić do odkryć dotyczących natury atomu i energii, o których nikomu się nawet nie śniło.

Oczywiście, propozycja pana Brightona była niedorzeczna, bo złożył ją po trzech zaledwie spotkaniach. A może nie? Przecież ona też wiedziała, że chce poślubić Youngera już pierwszego dnia, kiedy przyprowadził z pola bitwy starego francuskiego kaprała.

Naturalnie nie zdecyduje się poślubić pana Brightona. Nikt nie może od niej tego wymagać, nawet madame Curie. A może jednak jest jej to winna? Zawdzięczała tej kobiecie wszystko: madame Curie przyjęła ją na Sorbonę, dała jej szansę, uratowała ją, kiedy nie miała co jeść. Ale czy to oznaczało, że Colette musi poświęcić dla niej swoje życie i szczęście?

Prawda, nie czuła wstrętu do pana Brightona. Zaskarbił sobie nawet jej sympatię swoją bezradnością i chłopcym entuzjazmem. I niewątpliwie był szczodry. Gdyby go jednak poślubiła, czułaby się potwornie nieszczęśliwa. Umarłaby z rozpacz. Nie, nie umarłaby. Ale jakie znaczenie miało jej szczęście wobec liczby ludzkich istnień, które mogłyby ocalić postępy w nauce dzięki temu, że powiedziałyby: tak? Czy miała prawo odrzucić jego awanse, żeby żyć dla siebie, skoro podczas wojny miliony młodych mężczyzn poświęciły nie tylko własne szczęście, lecz także życie?

- Nie, panienko - odezwała się jedna z pracownic gdzieś blisko niej.

- Słucham? - spytała Colette.

- Proszę się o to nie opierać - wyjaśniła dziewczyna. - To oświetlenie całej fabryki.

Musimy skończyć robotę. Chce pani, żebyśmy pracowały po ciemku?

Colette się obejrzała. Pośrodku ściany znajdował się metalowy pręt z czerwoną

drewnianą rączką - najwyraźniej główny wyłącznik prądu, którego przed chwilą omal nie przesunęła. Kiedy znów się odwróciła, dostrzegła, że wszystkie kobiety wpatrują się w nią niezbyt przychylnie. Kilka z nich żuło gumę. Jedna czy dwie odgarnęły włosy z twarzy zaplamioną dłonią, żeby lepiej widzieć smukłe ramiona Colette i jej piękną szyję, na której połyskiwały brylanty. Dziewczyna, która ją ostrzegła, wydawała się najmniej zainteresowana jej osobą. Wróciła do pracy, odcinając zakrzywionymi nożyczkami odstający włos z pędzla; następnie zanurzyła go w naczyniu z zieloną farbą, umieściła włosie między wargami i wyjęła stamtąd ładnie zaostrome.

- Nie rób tego! - krzyknęła Colette.
- Kto... ja? - zapytała dziewczyna.
- Nie możesz tego wkładać do ust! - wyjaśniła z przejęciem Colette.
- Tak nas tu uczą, kochanie - odparła dziewczyna.
- Pędzel się spłaszcza ustami. Przykro mi, jeśli to niezbyt wytworne.

Wszystkie kobiety, Colette zauważyła dopiero teraz, posługiwały się pędzlami w taki sam sposób - formowały włosie ustami.

- Gdzie macie rękawiczki? - zapytała. - Nie nosicie rękawiczek ochronnych?
- Tylko jedna z nas w tej hali dostała rękawiczki - stwierdziła dziewczyna.

Rozległ się głośny dźwięk dzwonka. Kobiety poderwały się z krzesel. Wśród wybuchów babskiego szczebiotu i śmiechów sprzątały stanowiska pracy, odkładając farbę, pędzle oraz niedokończone tarcze zegarków. Kiedy pędziły do wieszaka po płaszcze, a stamtąd do drzwi wyjściowych, jedna z nich zatrzymała się obok Colette. Rozejrzała się ukradkiem i powiedziała:

- Niektóre dziewczęta się boją, proszę pani. Kilka z nas zachorowało. Lekarz z fabryki mówi, że złapały francę, ale to nie były puszczalskie. To naprawdę nie były puszczalskie.

- Słucham? - spytała Colette, nie rozumiejąc tego potocznego wyrażenia. Ale dziewczyna pośpiesznie odeszła. Colette próbowała zdjąć skórzane rękawiczki, ale okazały się zbyt obcisłe. Chciała też odpiąć naszyjnik, ale nie mogła znaleźć zapięcia. Podała się sfrustrowana, a kiedy wszystkie kobiety opuściły fabrykę, pobiegła szukać biura Brightona, głośno wykrzykując jego nazwisko.

- Tak, panno Rousseau? - odpowiedział skwapliwie Brighton, kiedy się do niego zbliżyła. - Czy zechce pani uczynić mnie najszcześliwszym mężczyzną na Ziemi?

- Dziewczęta wkładają włosie pędzli do ust! - powiedziała Colette.
- Oczywiście, że wkładają. To sekret naszej techniki.
- Połykają farbę.
- Cóż za marnotrawstwo! - oburzył się Brighton. - Zapamiętała pani, które?

Samuels sporządzi notatkę.

- Nie... To je zatruje - stwierdziła Colette.

- Ma pani na myśli farbę? - wykrzyknął Brighton. - Wcale nie! Niech pani nie będzie niemądra, [ak mógłbym sprzedawać ludziom produkt, którego wytworzenie byłoby niebezpieczne dla dziewcząt?

- Czy monitoruje pan tutaj poziom promieniowania, tak jak w fabryce farby? - spytała Colette.

- Nie ma takiej potrzeby, moja droga.

- Ale nie może pan pozwalać, żeby wkładały pędzle do ust! Rad przeniknie do ich szczęk. Przedostanie się do ich zębów. Może nawet... - Urwała w połowie zdania. Aż

wstrzymała oddech, ponieważ przez głowę przebiegła seria obrazów: owinięty w watę ząb przeżarty od środka: kobieta z guzem na szczęcie; kolejna kobieta w New Haven z zielonkawą aurą wokół szyi. Pociemniało jej w oczach. Ze wszystkich sił próbowała tego po sobie nie pokazać. - Och... W tym przypadku jednak to chyba nie ma znaczenia. Skoro ilości radu są tak niewielkie, przyniesie on więcej złego niż dobrego... To znaczy więcej dobrego niż złego. Późno już, prawda? Moi przyjaciele będą się zastanawiali, gdzie jestem. Pani Meloney musi umierać z zazdrości.

- Z zazdrości? - zdziwił się Brighton.
- O ten rad, którym dziewczęta w pańskiej fabryce mogą leczyć skórę.
- Ach, tak! - roześmiał się głośno. - Byłaby zielona
- Ona wie, proszę pana - przerwał mu Samuels, wyciągając pistolet.

Zapadło milczenie.

- Ojej! - westchnął pan Brighton. - Co ona wie, Samuels?
- Wszystko.
- Jesteś całkiem pewien? - upewniał się Brighton. - Powiedziała, że pani Meloney zazdrościłaby naszym dziewczętom.

- Kłamała - stwierdził Samuels z pistoletem wycelowanym w Colette.

Brighton pokręcił głową z rozczarowaniem.

- Kłamstwo ma krótkie nogi, panno Rousseau. Samuels zawsze je rozpoznaje. Jak on to robi, pozostaje dla mnie zagadką. Ja nigdy nie potrafię się zorientować. Samuels, przystaw, proszę, lufę pistoletu bliżej panny Rousseau.

Samuels podszedł do Colette od tyłu i umieścił lufę między jej łopatkami. Brighton zastawił jej drogę z przodu. Jego ciało wydało się Colette dziwnie wielkie i złożone z kiepsko zrosniętych kawałków. Lśniącym paznokciem małego palca dotknął jej policzka i delikatnym pchnięciem obrócił jej twarz tak, by lepiej widzieć ozdobioną brylantami szyję. Colette postanowiła nie reagować.

- Spójrz! - powiedział Brighton z uznaniem. - Jest bez skazy.

Poglądził podbródek Colette i przejechał paznokciem w dół aż do mostka. Przyłożył kciuk do kciuka i przykrył dłońmi jej piersi. Przerazona Colette stała nieruchomo.

- Jak myślisz, Samuels, podoba się jej to? - spytał Brighton. - Wydaje mi się, że jest zdenerwowana. Szkoda, że nie umiem lepiej czytać z wyrazu twarzy, panno Rousseau. Kłopoty to mój prawdziwy kłopot. Ach, gdyby był tu Lyme! Ma środek, który sprawia, że kobiety stają się dla mnie bardziej przychylne. Czy ktoś panią kiedyś całował, panno Rousseau? W usta?

Colette nie odpowiedziała.

- Czy możesz ją zmusić do odpowiedzi? - Brighton zwrócił się do Samuela.

Ten w odpowiedzi mocniej wbił lufę między jej łopatki.

- Tak. Całowano mnie w usta - wyznała.
- Ale jeszcze nigdy nie posunęła się pani dalej?

Colette milczała.

- Nie, proszę nie odpowiadać - rzekł Brighton. - Ma pani rację, tak jest lepiej.

Odpowiedź skalałaby pani usta. Jestem pewien, że nigdy pani tego nie robiła. Jest pani ucieleśnieniem czystości. A ja, panno Rousseau, wyznam, że mam zamiar być pierwszy, i nie sądzę już, że w tym celu powinniśmy się pobrać. Mam nadzieję, że obecność Samuela nie będzie pani przeszkadzać. Po prostu niech pani nie zawraca sobie nim głowy. Proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Samuels mógłby strzelić.

Brighton pochylił się, najwyraźniej zamierzając ją pocałować. Colette czekała aż do granic wytrzymałości, nawet kiedy wargi Brightona właściwie dotknęły jej ust, po czym wbiła łokieć w brzuch Samuela, z całej siły odepchnęła Brightona, który przewrócił się na podłogę, i wybiegła z biura. Hala produkcyjna była pusta. Pobiegła do drzwi wyjściowych. Ale gałka nie chciała się przekręcić: były zamknięte. Colette rozglądała się rozpaczliwie dookoła i zobaczyła coś, co nasunęło jej pewien pomysł. Gdyby puściła się pędem, dobiegłaby na miejsce w samą porę. Ale głos Brightona osadził ją w miejscu.

- Proszę się nie ruszać, panno Rousseau - rozkazał. - Niech pani nie zmusza Samuela, żeby do pani strzelał.

Colette się odwróciła.

- Panna McDonald pracowała tutaj, prawda? - spytała.

- Chodzi pani o kobietę z tym... czymś na szyi? - odparł Brighton. - Owszem, pracowała. Cudowna dziewczyna. Przez chwilę, zanim wyrosło jej na szyi to szkaradztwo, myślałem nawet, że mogłaby zostać moją żoną.

Kiedy Brighton i Samuels podchodzili bliżej, Colette cofała się przed nimi wzdłuż ściany, co tłumaczył strach.

- Rad przedostał się do jej szczęki - powiedziała. - Wiedział pan o tym. Trzymał pan to w sekrecie, żeby nadal sprzedawać swoje zegarki.

- Nie, moja droga - odrzekł Brighton szczerze. - Nie dbam o zegarki. Chodzi o rad. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że rad może spowodować takie narośle na szyi, jak u tej kobiety, nikt nie chciałby żadnych produktów radowych. Cena radu spadłaby o dziewięćdziesiąt procent i znów kosztowałby tyle co kiedyś. Dla kogoś, kto jak ja posiada kopalnię, byłaby to poważna strata. Bardzo poważna.

- Amelia też tu pracowała - ciągnęła Colette, stawiając kolejny krok do tyłu. - Wypadła jej zęby.

- Tak. To było wyjątkowo odrażające. Byłem na nią zły. Omal nie doprowadziła do pani zguby. Samuels był pewien, że Amelia wyjawiała pani wszystkie sekrety. Dlatego musieliśmy... musieliśmy podjąć pewne działania skierowane przeciwko pani.

- Kazał mnie pan porwać - mówiła, cały czas się cofając.

- To była najbardziej racjonalna rzecz na świecie. Wynajęliśmy akurat kilku obcokrajowców do zupełnie innego zadania. To byli Serbowie, prawda, Samuels? Świetnie się nadawali do tej misji.

- Próbował mnie pan zabić, a potem mi się pan oświadczył?

- Na tym właśnie polega moja siła, panno Rousseau. Przyznaję się do popełnianych błędów. I uczę się na nich. To wielkie nieporozumienie. Wie pani, dlaczego Amelia chciała się z panią spotkać w hotelu? Kilka dziewcząt z fabryki w Connecticut usłyszało, jak pani mówiła, że moja firma jest zabójcza dla ludzi. Ale nie chodziło pani o to, że moja farba wyrządza jakieś szkody, tylko o to, że zegarki luminescencyjne zmniejszają zasoby radu, tak potrzebnego na cele medyczne. To śmieszne, że za takie nieporozumienie omal nie zapłaciła pani życiem. To ja przyszedłem pani z pomocą. Zawdzięcza mi pani życie, panno Rousseau. Kiedy usłyszałem panią w kościele, natychmiast spostrzegłem pomyłkę Samuela. Dlatego kazałem mu odwołać ataki na panią. - Brighton pokręcił głową z żalem. - I proszę zobaczyć, jak się to skończyło! Wielka szkoda! Samuels, czy możemy ją umieścić w naszym szpitalu? Jeśli się z nią nie ożenię, to przynajmniej tyle chciałbym dla niej zrobić.

- Przyjdą po nią - powiedział Samuels.

Brighton westchnął.

- Jak zawsze masz rację. - Podczas gdy Samuels trzymał wycelowany w Colette pistolet, Brighton podszedł do metalowej puszkę stojącej na jednym z długich stołów. Odkręcając kranik u jej podstawy, napełnił szklaną miarkę zielonkawą farbą. - Skoro nie jest mi pani przychylna, proszę otworzyć usta i stać nieruchomo. Niech się pani zgodzi przynajmniej na to. To nam wszystko znacznie ułatwi.

Colette nie odpowiedziała. Dotykała ściany za plecami, szukając po omacku. Gdzie to było?

- Czy pani milczenie oznacza zgodę? - zapytał Brighton.

- Imponuje mi pani. Dziewczęta są zwykle bardzo nierozsądne. Jak zresztą większość ludzi. Pamiętam, że jako chłopiec oczekiwałem czegoś zgodnego z rozsądkiem, podczas gdy moi rodzice twierdzili, że to niewłaściwe. Przybierali wtedy oboje okropny wyraz twarzy! Co to znaczy „niewłaściwe”? Jakby nagle zaczęli mówić obcym językiem. To czyste brednie! Czasem obserwuję ludzi, panno Rousseau, i szczerze mówiąc, myślę, że wszyscy są jak stado bydła. Możliwe, że tylko ja dysponuję niezależnym umysłem. Samuels, otwórz pannie Rousseau usta.

- Zamierza mnie pan zmusić, żebym wypila tę farbę? - zapytała przerażona Colette, przesuwając się o jeszcze jeden krok.

- Niech się pani przestanie niepokoić - odparł Brighton.

- Robiliśmy to już wcześniej. Wspaniale działa. Farba wywoła wymioty i skierujemy panią do szpitala Sloane, gdzie zajmie się panią specjalista nazwiskiem Lyme. Poda pani coś, co powstrzyma panią od mówienia. Będzie się pani robiła coraz słabsza i prawdopodobnie wypadną pani włosy. Wprawdzie przestanie pani być atrakcyjna, ale nie szkodzi. Nie będę pani odwiedzał. Przypuszczam, że stwierdzą u pani syfilis. Potem pani umrze. Wszystko pójdzie gładko. Obiecuję! A teraz zechce pani otworzyć usta? Wyświadczy mi pani wielką przysługę.

- Panie Brighton, błagam pana - jęknęła, odwracając się do niego tyłem. - Proszę mnie zastrzelić. Niech pan już z tym skończy!

- Ależ nie mogę - stwierdził Brighton. - Jeśli panią zastrzelimy, panno Rousseau, to albo będziemy musieli pozbyć się ciała, a pani zniknięcie wzbudzi całe mnóstwo pytań i wątpliwości, albo oddamy je policji z kulami w ciele, a wtedy wątpliwości zrodzi się jeszcze więcej. Zapewniam panią, że farba jest o wiele...

Brighton nigdy nie skończył zdania. Colette, odwrócona tyłem do obydwu mężczyzn, napotkała wreszcie drewnianą rączkę - główny wyłącznik prądu, przed którym ostrzegła ją wcześniej jedna z robotnic - i pociągnęła do dołu, pograżając fabrykę w kompletnych ciemnościach. Natychmiast przyklęknęła, opierając się na rękach; padły strzały, ale kule odbijały się rykoszetem o metalową blachę nad jej głową.

- Przestań strzelać! - rozkazał Brighton. - Ona nie ma dokąd uciec. Zapal światła.

W ciemności Colette widziała jedynie luminescencyjną farbę w szklanej miarce, którą trzymał w ręku pan Brighton i która rzucała upiorne światło na jego nos i podbródek. Popędziła w tamtą stronę, chwyciła miarkę obydwiema rękami i chlusnęła farbą w jego twarz.

- Zetrzyj to ze mnie! - wrzeszczał Brighton. - Zetrzyj natychmiast!

Colette pobiegła do przeciwległej ściany z czterema wielkimi oknami. Na podłodze pod nimi pełgała szara plama światła. Samuels podniósł już główny wyłącznik, ale grube żarniki zwisających z sufitu lamp budziły się do życia powoli. Samuels stał obok

Brightona z chusteczką, bez skutku próbując zetrzeć farbę z twarzy pracodawcy.

- Nieważne! - powiedział Brighton. - Gdzie ona jest?

Colette podniosła jedno z krzesel i rzuciła nim w szybę, wybijając wielką dziurę. Samuels strzelił, ale w półmroku chybił. Wysunęła się na zewnątrz, dzięki skórzanym rękawiczkom nie kalecząc się zbytnio, i zeskoczyła na ulicę. Nie zważając na kierunek, z bijącym sercem Colette biegła jak najdalej od fabryki. Nie słyszała, żeby ktoś ją gonił, ale biegła nadal.

Za rogiem znalazła się na krótkiej, wąskiej i pustej ulicy bez latarni. Dotarła do małego parku. Przebiegła pod kilkoma drzewami i zatrzymała się pod starym, masywnym kamiennym budynkiem z drewnianymi drzwiami. Był to kościół Świętej Trójcy. Boczne wejście okazało się zamknięte. Ciężko dysząc po biegu, waliła do drzwi z całych sił, nikt jednak nie odpowiedział. Znow pobięła w noc.

•••

- Muszę jechać na Grand Central - powiedział Littlemore do Youngera, kiedy szli w stronę stacji metra przy rogu Broadwayu; dokładnie naprzeciw nich, na końcu Wall Street, ciemne gotyckie wieże kościoła Świętej Trójcy majaczyły na nocnym niebie. - Jedziesz ze mną?

- Umówiłem się z Colette. Tu, przy kościele - odparł Younger.

- Mam nadzieję, że nie planujesz jej zabrać do wytwornej restauracji - powiedział Littlemore, patrząc na poszarpane ubranie przyjaciela.

- Dziwne. Gdzie ona jest? Powinna już tu być. - Byli pół przecznicy od kościoła, ale przed głównym wejściem, gdzie stała latarnia, Younger spodziewał się zobaczyć Colette.

- A co u panienki? - spytał Littlemore. - Czy nie miała się dziś spotkać z jakąś grubą rybą?

- Z Arnoldem Brightonem.

- Żartujesz! Wiesz, zastanawiam się, czy...

Littlemore nie zdążył skończyć zdania, kiedy zza rogu kościoła wybiegła oszalała ze strachu Colette. Zatrzymała się pod żelaznym słupem latarni, z trudem łapiąc oddech. Younger zawołał jej imię.

- Stratham? - zawołała. W jej krzyku usłyszał przerażenie. Choć oni ją widzieli, dla niej pozostawali niewidoczni w ciemnościach. Ruszyła w kierunku, skąd dobiegł ją głos Youngera. - Bogu dzięki!

Podwójne drzwi kościoła Świętej Trójcy otworzyły się z hukiem, ukazując łukowaty portal zalany światłem z wnętrza świątyni. Pod tym łukiem stał Arnold Brighton; jego twarz była bladożółtozieloną kulą, na której powierzchni odznaczały się białka oczu. Przy nim stał Samuels.

- To ona! - krzyknął Brighton, wskazując postać biegnącą wzdłuż Wall Street. - Strzelaj!

Samuels wystrzelił. Colette wymknęła się z kręgu światła pod jedną lampą, by za chwilę pojawić się w następnym. Nie została zraniona. Younger ruszył w jej stronę, starając się osłaniać ją własnym ciałem, bo Samuels wystrzelił jeszcze dwukrotnie. Colette wpadła z rozpędem w jego ramie na. Porwał ją i zaniósł do ciemnej niszy przed wystawą jakiegoś sklepu.

Littlemore schował się za skrzynką pocztową, szukając we wszystkich kieszeniach

broni. Nie znalazł. Pistolet zostawił w podziemnej komnacie. Po chwili podkrał się do Youngera na czworakach, nie zważając na świszczące w powietrzu pociski.

- Nic jej nie jest? - zapytał.

- Teraz już nic - odpowiedziała Colette, nadal przytulona do Youngera. Samuels strzelał na oślep i kula nie dosięgła Colette.

- Ty z dziewczyną, puść ją! - odezwał się obcy głos tuż za nimi, chłopięcy, ale wyraźnie próbujący brzmieć władczo.

Younger się odwrócił. Żołnierz z młodzieńczą twarzą przybiegł sprawdzić, kto strzela. Nerwowo wycelował karabin w Youngera, trzymając bagnet znacznie bliżej, niż doktor by sobie tego życzył.

- Jest pani tam, panno Rousseau? - krzyczał Brighton spod jaskrawo oświetlonego łuku. - Samuels, widzisz ją?

- Tego mi potrzeba - mruknął Younger do żołnierza. Jednym ruchem postawił Colette na ziemię, chwycił karabin chłopca, przyklęknął, wycelował w drzwi kościoła Świętej Trójcy i wypalił. Trafił Samuela w staw barkowy, niemal amputując mu rękę.

- Dostał, doktorze! - krzyknął Littlemore.

- Naprawdę? - Younger nieznacznie przesunął lufę.

Samuels upadł na kolana, krwawiąc obficie z tętnicy pod-
obojczykowej.

- Co się z tobą dzieje? - krzyczał Brighton, patrząc na sekretarza oburzony i skonsternowany zarazem. - To tylko jedna ręka. Strzelaj drugą!

Younger strzelił ponownie.

Brighton szeroko otworzył oczy. Ciemnoczerwona plama pojawiła się pośrodku jego zielonego czoła.

- Ojoj! - jęknął, zanim upadł.

Younger rzucił karabin pod nogi żołnierza.

- Jak szybko możesz sprowadzić ambulans? - zapytał Littlemore'a. - Colette jest ranna.

Rzeczywiście, dotkliwie pokaleczyła nogi, a przez dziury w długich rękawiczkach widać było skaleczenia na dłoniach i przedramionach.

- Przyprawdę samochód - obiecał Littlemore, odbiegając. W ciągu minuty kilkunastu żołnierzy biegło po Wall Street w kierunku wejścia do kościoła Świętej Trójcy, gdzie leżeli w kałużach krwi Brighton i Samuels, a Littlemore wrócił autem ministra Houstona. Younger kazał Colette wejść do środka.

- Przecież to tylko zadrapania - protestowała.

- Jedziemy do szpitala - polecił Younger, siadając obok niej z tyłu auta.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Dobrze, skoro tak uważasz.

- Który szpital, doktorze?

- Washington Square. Zaraz, zaraz, chyba miałeś dzisiaj powstrzymać wojnę, prawda?

- Jeszcze nie.

- Zatrzymaj auto. Niech kierowca poprowadzi. Nic jej nie będzie. Idź!

- Dziękuję - powiedział Littlemore i przekonał kierowcę Houstona, żeby usiadł za kierownicą.

Kiedy ruszyli, Colette oparła głowę na ramieniu Youngera. Nie zauważyła, że się

skrzywił.

- Wreszcie się skończyło, prawda? - zapytała.
- Tak, sędzę, że tak - odpowiedział.

Dopiero kiedy Younger nie zareagował na kilka następnych zdań, które wypowiedziała, spostrzegła, że ma zamknięte oczy; dotknęła jego pleców i poczuła, że koszula jest mokra od krwi. Poleciała kierowcy, żeby się pośpieszył.

•••

Na stacji kolejowej Grand Central, pod niebiańskim sklepieniem głównej hali, Littlemore zobaczył funkcjonariusza Stankiewicza po cywilnemu, czekającego nań z Edwinem Fischerem przy głównym stanowisku informacyjnym - budce przykrytej złotą kulą z czterema zegarami zwróconymi w cztery strony świata. Littlemore wymienił uścisk dłoni ze Stankiewiczem, dziękując mu za pomoc po godzinach służby.

- Wszystko w porządku? - spytał Littlemore.
- Na razie tak - odpowiedział Stankiewicz.
- Ktoś cię rozpoznał?
- Trudno powiedzieć, panie kapitanie. Za dużo ludzi.

Littlemore skinął głową. Na stacji roilo się od ludzi odwiedzających Nowy Jork w niedzielny wieczór oraz opuszczających miasto. Trzeszczące głośniki wypełniały halę ogłoszeniami o pociągach, stacjach docelowych i numerach peronów.

- Dobrze, Stanky. Udasz się teraz do domu komendanta Enrighta. Czeka na ciebie. Tu masz adres. Tylko migiem. Nie ma czasu do stracenia. Kiedy wrócisz, dołączysz do mnie na dole, dokładnie tam, gdzie ci pokazywałem. Fischer, pan idzie ze mną.

Littlemore rozejrzał się po hali, po czym zastukał w ladę stanowiska informacji. Pracownik, którego Littlemore przywitał imieniem, podeszedł do wejścia i otworzył drzwi, wpuszczając detektywa i Fischera do środka.

- Dlaczego wchodzimy do informacji? Chcemy się czegoś dowiedzieć? - zapytał Fischer.

- Schodzimy na niższy poziom. Jeśli ustawili ludzi obserwujących schody i perony, to nas nie zobaczą.

Pośrodku budki znajdował się złoty filar z drzwiami przesuwными, które Littlemore otworzył. Detektyw odsunął na bok pudełko ze starymi rozkładami jazdy, odsłaniając wąską, spiralną klatkę schodową.

- Ukryte przejście - powiedział Fischer. - Nie wiedziałem, że tu jest.
- Czeka pana dziś wieczorem jeszcze niejedna niespodzianka - odparł Littlemore.

Spiralne schody prowadziły obok podestu zaśmieconego pustymi butelkami po napojach. Kiedy zeszli na dół, stanęli w kolejnym, mniejszym stanowisku informacyjnym. Littlemore otworzył drzwiczki i wmieszał się w tłum pasażerów na niższym poziomie dworca Grand Central. Poprowadził Fischera do skrzyżowania dwóch dużych zatłoczonych korytarzy, gdzie pod wyłożonym kafelkami łukiem czekał funkcjonariusz Roederheusen, także w cywilnym ubraniu, nie zwracając na siebie uwagi. Po przeciwnej stronie galerii znajdowała się restauracja Oyster Bar.

- Nadal tam są? - spytał Littlemore.
- Tak, panie kapitanie - odpowiedział Roederheusen. - Ciągle jedzą.
- Ktoś cię widział?
- Nie, panie kapitanie.

- Dobra robota - pochwalił Littlemore. - Fischer, będziemy tu czekać, dopóki nie przyjdzie komendant. Spanky, ty pojedziesz do szpitala Washington Square na Dziewiątej i sprawdzisz, jak się czuje panna Rousseau. Zostaniesz tam; gdyby doktor Younger czegoś potrzebował, to masz mu pomóc.

• • •

Dwadzieścia minut później Stankiewicz wrócił z komendantem Enrightem.

- Lepiej, żeby to było coś poważnego, Littlemore - powiedział Enright.
- Będzie, panie komendancie - odrzekł Littlemore. - Niech pan stanie w tym miejscu i trzyma ucho blisko ściany, panie komendancie. Pan także, Fischer, tak jak rozmawialiśmy. Nie ruszajcie się z miejsca.

- Z uchem przy ścianie? - powtórzył Enright oburzony.

- Tak, panie komendancie. Niech pan trzyma ucho przy samej ścianie.

Detektyw przeszedł przez dolną halę, przeciskając się przez tłum pasażerów, z których wielu rozmawiało głośno, jak na nowojorkczyków przystało. Kiedy stanął przed wejściem do Oyster Bar, odwrócił się, żeby się upewnić, że z tego miejsca nie widać Enrighta, Roederheusena ani Fischera, którzy zostali po przeciwległej stronie szerokiej i tłocznej galerii, dobre trzydzieści metrów dalej; potem szybko wszedł do restauracji.

• • •

Siedzieli przy stoliku zastawionym pozostałościami po małżach i skorupiakach: senator Fall, pani Cross i William McAdoo, były minister skarbu, a obecnie prawnik. Littlemore nie dostrzegł żadnych butelek, ale wylewność senatora świadczyła wyraźnie, że posiłek był zakrapiany alkoholem.

- Agent Littlemore! - wykrzyknął Cali. - Zbawca naszego kraju! Demaskator korupcji! Spóźnił się pan na obiad. I na ciekawe wieści. Chyba... Wygląda pan śmiesznie, mój synu. Co pan robił, zwiedzał jaskinie?

- Musimy porozmawiać, panie Fall - oznajmił Littlemore.

- Niech pan mówi. Wydaje mi się, że zaczyna pan mieć stracha, chłopcze.

Naprawdę tak mi się wydaje.

- W cztery oczy, panie senatorze - odparł Littlemore, wciąż stojąc.

- Cokolwiek chce pan powiedzieć mnie, mogą też usłyszeć moi przyjaciele.

- Ale nie to.

Fall, choć poirytowany, wstał od stołu.

- W porządku. Idę. Ale najpierw daj mi jeszcze dawkę tego ciemnego lekarstwa, kobieto.

Pani Cross dyskretnie wyjęła z torebki piersiówkę i naląła trochę do szklanki senatora Falla. Uraczyła też pana McAdoo.

- Whisky, agencie Littlemore? - zapytała.

Detektyw pokręcił głową i gdy tylko Fall opróżnił szklankę, wyprowadził go z tłocznej restauracji Oyster Bar.

- Wiem, kto ukradł złoto, panie Fall.

- Meksykanie. Odkrył to pan już wcześniej - stwierdził Fall.

- Nie, to nie Meksykanie, panie senatorze.

- Houston?

- Lamont z firmy J. P. Morgan.

- Niemożliwe!
- Widziałem złoto dziś wieczorem. W podziemiach Banku Morgana.
- Niech pan mówi ciszej - szepnął Fall - Powiadomił pan o tym kogoś?
- Tak, panie senatorze - odpowiedział Littlemore cicho.
- Kogo?
- Pana.
- Oprócz mnie, do diabła - obruszył się Fall.
- Ma pan na myśli Houstona?
- Tak. Rozmawiał pan z Houstonem?
- Przyszedłem prosto tutaj, panie Fall.
- To dobrze. Utrzymamy to w tajemnicy, Littlemore. Nie chcę wywoływać paniki.

Wie pan co? Niech pan to zostawi mnie. Dopilnuję, żeby właściwi ludzie o wszystkim się dowiedzieli.

- Rozumiem, panie senatorze. Trzeba zachować tajemnicę. Ale ktoś powinien szybko porozmawiać z panem Lamontem.

- Niech się pan nie martwi, mój synu. Ja z nim pogadam.
- Co mu pan powie? - spytał Littlemore.
- Powiem mu, że... Powiem mu... - Fall nie mógł dokończyć zdania. - Do diabła, przecież to pan mi powiedział, że powinienem z nim porozmawiać.
- Pomyślałem, że zechce pan dać mu cynk - stwierdził Littlemore.

Fall zachował kamienną twarz.

- Co pan powiedział?

- Wie pan, kiedy to odkryłem? Gdy mi pan powiedział, że z McAdoo zawsze jadacie kolację w Oyster Bar. Zrozumiałem, że Ed Fischer był na stacji Grand Central, kiedy się spotkaliście kilka miesięcy temu po konwencji Partii Demokratycznej. Wielu ludzi uważa, że Fischer jest szalony, ale wszystko, co od niego usłyszałem, okazało się prawdą.

- Pan się upił, Littlemore?

- Spadły mi z oczu łuski. Znalezienie tych meksykańskich dokumentów było takie proste. Mieszkanie Torresa to podpucha, prawda? Pułapka. Dlatego właśnie pani Cross pojechała ze mną, na wypadek, gdybym nie znalazł dziury w ścianie, gdzie ukryto te papiery. Okazałem się beznadziejnym frajerem! Oczywiście, że meksykański wysłannik przywiezie ze sobą obciążające Amerykanów dokumenty w kartonowej tubie. ... i nic oprócz nich: żadnych akt, żadnych walizek, ledwie kilka ubrań. Tylko dokumenty, które zostawi w niezamkniętym schowku, gdy tylko pojawię się u jego drzwi. Torres nie był meksykańskim posłem. Nie mógł być, bo pan go wymyślił. Dlatego Obregón zdementował jego istnienie.

Cali wyjął cygaro.

- To dość pokrętna logika, synu. Nie myśli pan rozsądnie.

- Od samego początku Lamont próbował skierować śledztwo na trop meksykański. Ilekroć z nim rozmawiałem, pojawiała się coś, co miało związek z Meksykiem. Po prostu tego nie skojarzyłem. Pan robił to samo, panie Cali. Udawał pan, że pańskim zdaniem za zamachem stoją Rosjanie, ale przez cały czas naprowadzał mnie pan na Meksyk. Brighton też w tym uczestniczył, prawda? Ukartowaliście ze względu na mnie sytuację, podczas której się żalił, że Meksykanie zajmują jego szyby. Potem Lamont w rozmowie telefonicznej niby przypadkiem wspomniął, że meksykański dzień niepodległości

przypada w połowie września. Tak samo postępował pan z Flynnem, uświadamiając mu, że istnieją Sacco i Vanzetti. Miał pan nadzieję, że wpadnie na ich meksykańskie powiązania, ale nie wpadł. Musiał więc pan jakoś podrzucić mi dowód, czyli dokumenty ukryte w ścianie przez Torresa. Ale one zostały sfalszowane. Wszystkie.

Fall nieśpiesznie zapalił cygaro. Rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym powiedział prawie niesłyszalnie:

- Meksykanie zorganizowali zamach na naszym terytorium. Zmasakrowali ludzi. Pan odkrył tę prawdę. Przypuśćmy na chwilę, że te dokumenty są fałszywe. Powiedzmy, że są. Jeśli tego właśnie potrzebowali Wilson i jego minister wojny, żeby przejrzeć na oczy i wysłać tam wojsko, to właśnie tak musiało być.

- Tylko że Meksykanie nie stali za tym zamachem - odparł Littlemore.
- Co pan wygaduje?
- Pan za nim stał.

Fall wypuścił chmurę dymu nad głową Littlemore'a.

- Uważa pan, że to ja zdetonowałem ładunek na Wall Street i zabiłem wszystkich tych ludzi, żeby ukraść złoto Departamentu Skarbu? Postradał pan zmysły, chłopcze. Nikt panu w to nie uwierzy!

- Złoto było dodatkiem - powiedział Littlemore. - Chodziło o wojnę. Inwazję na Meksyk, usunięcie Obregóna, zainstalowanie pańskiego człowieka na fotelu prezydenta, przejęcie pól naftowych. To byłoby warte jakieś pół miliarda dolarów dla pańskiego koleżki Brightona. I dodatkowo kilka milionów dla Lamonta. Kto wie, ile przyniosłoby panu?

- To szalona teoria, chłopcze. Może pan napytać sobie biedy, głosząc tak niedorzeczne oskarżenia.

- Chce pan stoczyć wojnę o ich ropę.

- Ich?! Ich ropę? - syknął Fall. - Mówi pan o naszej ropie, Littlemore. Kupiliśmy ją, zapłaciliśmy za nią, a teraz banda komunistów próbuje ją ukraść. Myśli pan, że naród meksykański chce być kierowany przez bandę nienawidzących Boga bandytów, którzy wymachują bronią? Meksykanie jeszcze nam za to podziękują. Okrzykami radości przywitają naszych chłopców w swojej stolicy.

- Niewątpliwie tak uczynią. Oni kochają Stany Zjednoczone tak samo jak pan - odparł Fall.

W tej samej chwili z restauracji wyszli McAdoo i pani Fall, która niosła płaszcz senatora Falla.

- Co się dzieje, Fall? - spytał McAdoo. - Jest jakiś problem, Littlemore?

- Nie ma żadnych problemów. Senator Fall i ja rozmawialiśmy o tym, jak pan i on zaplanowaliście zamach na Wall Street.

- Co takiego? - zapytał McAdoo.

- To pan wiedział o złocie - Littlemore zwracał się teraz do McAdoo. - Był pan ministrem skarbu w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, zanim zaczął pan pracować dla Brightona. Dokładnie pan wiedział, jak złoto będzie przenoszone. Znał pan Riggsa. Prawdopodobnie to pan przeniósł go z Waszyngtonu do Nowego Jorku.

- Nie odpowiadaj mu, Mac - ostrzegł Fall. - On blefuje, nic więcej.

- Odpowiadać mu? - oburzył się McAdoo. - Pozwałbym go za oszczerstwo, gdyby ten wywód nie był po prostu śmieszny.

- Ile panu obiecali? - Littlemore zapytał McAdoo. - Czy może mścić się pan na

Wilsonie?

McAdoo się najeżył.

- Dlaczego niby miałbym się mścić, jak pan powiada, na własnym teściu?

- Może dlatego, że pozbawił pana nominacji? - odrzekł Littlemore. - Miał pan zostać kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Prezydentura była już tak blisko, że na pewno czuł pan jej smak. Ale Wilson ją panu odebrał. A przecież poślubił pan tę dziewczynę, myśląc, że będzie pańską przepustką do Białego Domu. To posunięcie okazało się chybione. Wilson ciągle był o krok przed panem, prawda?

- Nic nie mów - Fall ponownie ostrzegł McAdoo. - On cię podpuszcza.

- Woodrow Wilson przejdzie do historii jako prezydent tak przejęty pokojem w Europie, że nie dostrzegł, iż nasi południowi sąsiedzi prowadzą z nami wojnę - stwierdził McAdoo. - To pierwszy prezydent od tysiąc osiemset dwunastego roku, który dopuścił do ataku na amerykańskie terytorium.

- Gdyby naprawdę doszło do ataku - odparł Littlemore.

- A przecież nie doszło. To wy zadbaliście, aby zamach wyglądał na atak z zewnątrz. Wpadliście na pomysł, że wynajmiecie kilku ludzi, którzy zdetonują bombę na Wall Street, skierujecie podejrzenia na Meksyk, zmontujecie naprędce małą wojnę i zakończycie ją o miliard dolarów bogatsi. Lamont władał terenem naprzeciw delegatury Departamentu Skarbu. Wykopał więc tunel do jedyne miejsce, gdzie złoto nie było całkowicie bezpieczne podczas transportu między budynkami, czyli do wysokości krytego pomostu nad alejką. Szesnastego września, w święto niepodległości Meksyku, pociągnęliście za spust. Dobrze też zatarliście wszystkie ślady. Nikt o tym nie wiedział. Ale popełniliście jeden błąd. Podśluchał was Ed Fischer.

Fall się zaśmiał. Potem znów ściszył głos.

- To jest pański dowód? Zostaliśmy podsłuchani przez faceta, którego zamknięto w domu wariatów? Z przykrością muszę panu oświadczyć, mój synu, że nigdy nie rozmawiam w miejscach, w których mogę zostać podsłuchany.

- Rozmawialiście tu wcześniej, na tym rogu. Przy wyjściu z Oyster Bar.

- Niby skąd pan to wie? - zapytał senator. - A jeśli nawet rozmawialiśmy, to co? Nikt nie mógł nas usłyszeć.

- Z wyjątkiem Eda Fischera - odparł Littlemore. Zniżając głos do najcichszego szeptu, dodał: - Niech się pan ujawni, Fischer. I powie panu Fallowi, czy go pan słyszy czy nie.

- Oczywiście, że słyszę! - rozległ się krzyk Edwina Fischera z przeciwległego końca galerii. Niebawem zobaczyli, jak Fischer w podskokach przedziera się przez tłum. - Zupełnie jak wtedy - powiedział rozradowany, kiedy do nich dotarł. - Te same głosy z powietrza!

- Co jest, do diabła? - zdziwił się McAdoo. - Co tu się wyprawia?

Fall popatrzył na Fischera, jakby był gatunkiem egzotycznego ptaka, który dawno temu powinien wyginać.

- Czy tak pan sobie wyobraża żarty, Littlemore?

- Nie sądzę, żeby komendant Enright uznał to za śmieszne, panie senatorze - odparł Littlemore, kiedy do Fischera dołączyli Enright i Stankiewicz. - Panie komendancie, czy słyszał pan, co przed chwilą powiedzieli senator Fall i pan McAdoo?

- Każde słowo.

- Stanky, słyszałeś ich?

- Tak, panie kapitanie.
- Eddie?
- Z przykrością muszę panu oświadczyć, mój synu - zacytował Fischer, naśladowując nosowe brzmienie głosu Falla - że nigdy nie rozmawiam w miejscach, w których mogę zostać podsłuchany.
- Wielki Boże! Oni naprawdę słyszeli - zdziwiła się pani Cross.
- To sztuczka - zawyrokował Fall, patrząc najpierw na sufit, a potem na podłogę. - Macie tu jakieś przewody. To policyjna sztuczka.
- Żadnych przewodów, panie senatorze - zaprzeczył Littlemore. - Ale sztuczka jest istotnie sprytna. Detektywi odkryli ją kilka lat temu, krótko po otwarciu stacji. Jeśli pan stoi tutaj, tuż przy drzwiach Oyster Bar, po przeciwnej stronie hali słysząc wszystko, co pan powie, głośno czy cicho, nawet jeśli pan szepcze, a w hali panuje tumult. Zapytałem dziś Fischera, czy to właśnie tutaj dotarły do niego głosy z powietrza.
- To moje ulubione miejsce - oświadczył Fischer. - Słyszałem tu wiele głosów z powietrza.
- W lipcu, razem z panem McAdoo, jedliście tu kolację. Był też z wami Duży Bill. Flynn spotkał się tamtej nocy z Fischerem, też na stacji. Później Fischer stanął w swoim ulubionym miejscu i słuchał. Panowie wychodziliście zapewne z restauracji. Zatrzymaliście się na chwilę. Rozmawialiście szeptem przekonani, że nikt was nie usłyszy. Ale to było błędne założenie.
- Departament Skarbu zawdzięczał mi miliony! - zaprotestował McAdoo. - Nic więcej nie powiedziałem. To było czysto hipotetyczne...
- Zamknij się, Mac - przerwał mu Fall ze złością. Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Panie Fischer, chyba nie miałem przyjemności pana poznać. Nazywam się Albert Fall. Był mi pan kiedyś przedstawiony? Albo panu McAdoo?
- Nigdy - odparł Fischer, wyciągając dłoń. - Miło mi pana poznać. Senator nie uścisnął dłoni Fischera.
- W takim razie nie może pan być pewien, że to nasze głosy pan słyszał tutaj w lipcu. Zwłaszcza gdy rozmawiano wówczas szeptem.
- Nie powiedziałem, że jestem pewien. Ale wasze głosy wydają mi się znajome. Fall znów się roześmiał.
- Gratulacje! - zwrócił się do Littlemore'a. - Pański świadek to wariat, który nigdy nas nie widział, ale sądzi, że latem zeszłego roku być może słyszał głosy podobne do naszych. Pchły by pan nie oskarżył na podstawie takich dowodów! Mac, pani Cross, czas na nas!
- Gdybym próbował pana oskarżyć, panie Fall, czekałbym, aż zdobędę coś więcej i dopiero pana aresztował. A ja powiedziałem panu wszystko, odbierając sobie szansę na zdobycie nowych dowodów.
- Kiedy pani Cross poprawiała na nim płaszcz. Fall zapytał:
- A dlaczego właśnie tak pan postąpił?
- Ponieważ czegoś od pana potrzebuję.
- Senator zachichotał.
- Mój chłopcze, wszystko się panu myli. Na przyszłość, jeśli będzie pan czegoś ode mnie chciał, proszę zastosować inną taktykę.
- Naprawdę? - zapytał Littlemore. - Mam tu dwóch świadków, z których jeden jest

komendantem policji w Nowym Jorku. Potwierdzą, że Fischer mógł usłyszeć pańską rozmowę z McAdoo, stojąc po drugiej stronie hali, i że rozpoznał wasze głosy jako należące do mężczyzn, którzy rozmawiali o zamachu na Wall Street, zanim się wydarzył. Owszem, to nie dość dla sądu, ale wystarczająco dużo dla prasy. Zwłaszcza gdy ludzie zaczną się przyglądać tym meksykańskim dokumentom. Potrwa chwilę, zanim udowodnimy fałszerstwo, ale na pewno to zrobimy. Stwierdzi pan, że uznał dokumenty za prawdziwe, ale moi świadkowie słyszeli, jak dziś pan mówił, że to nieważne, czy dokumenty są prawdziwe czy nie. Jak pańskim zdaniem będą wyglądały nagłówki gazet? Senator Fall prowadzi kraj do wojny z powodu steku kłamstw?

Fall nie odpowiedział.

- Taki artykuł mógłby też się stać poważną przeszkodą w karierze prawnika, panie McAdoo - ciągnął Littlemore. - Że nie wspomnę już o powrocie tego prawnika do polityki.

- Przekonajmy się, czego detektyw chce - zaproponował McAdoo.

- Zastanawiam się też, czy trzej senatorowie i pan Houston, którzy według pańskich sfalszowanych dokumentów brali łapówki, tak łatwo panu odpuszczają, senatorze. Kiedy się dowiedzą, co pan zrobił, będą się domagać przesłuchań w Kongresie albo czegoś podobnego, prawda? Nie wyobrażam sobie, żeby w takiej atmosferze prezydent Harding powołał pana do swojej administracji. A czy pani potrafi to sobie wyobrazić? - zwrócił się w końcu do pani Cross.

- Nie potrafię - przyznała.

Fall zaciągnął się głęboko dymem z cygara.

- Czego pan ode mnie chce? - spytał.

- Niech pan powstrzyma armię.

- Nie ja podejmuję takie decyzje, mój synu - odparł Fall szorstko. - A Harding nie jest jeszcze prezydentem.

- Lepiej niech pan znajdzie jakiś sposób, senatorze. Inaczej może się pan pożegnać z fotelem ministra.

Kawałek tytoniu utknął między przednimi zębami Falla. Wciągnął go do ust i wypluł na podłogę stacji kolejowej Grand Central. Spojrzał na McAdoo, który skinął głową.

- Nie będzie wojny - oświadczył. - Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny, chłopcze.

- Jednego tylko nie rozumiem - stwierdził Littlemore. - Jak mógł pan zabić tylu rodaków? Nie musiał pan uderzać w samo południe. Mógł pan zarządzić wybuch o każdej porze, choćby nocą. Jest pan nie tylko zdrajcą, Fall. Jest pan zwykłym zwyrodnialcem.

Senator zwrócił twarz do detektywa.

- Skąd pan wie, że bomba miała wybuchnąć w południe? - zapytał. - Na wojnie pomyłki się zdarzają, prawda, McAdoo?

- Mnie nie pytaj - odparł prawnik. - To nie była moja decyzja.

- A jeśli zamachowcy mieli zdetonować bombę minutę po północy szesnastego września, kiedy Meksykanie zaczęli obchodzić dzień niepodległości? - podjął Fall. - Może zaplanowano atak tak, żeby nikt nie zginął? Przypuśćmy, że zamachowcom kazano uderzyć o dwunastej zero jeden, a tam, skąd pochodzą, nie oznacza to minuty po północy?

Littlemore zagwizdał.

- Wasi chłopcy wysadzili ładunek o dwanaście godzin za późno! To dlatego Fischer nie trafił z datą. Usłyszał, że bomba wybuchnie w nocy piętnastego.

- Nasi chłopcy? - syknął Fall. - Sam pan nie wie, co wygaduje, Littlemore. Ja tylko spekulowałem. Ale powiem panu coś, co nie jest spekulacją: daje pan czerwonym odnieść największe zwycięstwo w ich dziejach. Ropa jest jak mleko matki, mój synu. Państwa, które ją mają, będą wielkie i silne. Pozbawione jej zmarnieją i wyginą. Czy wie pan, ile ropy amerykańskie firmy wyprodukowały wczoraj? Milion dwieście tysięcy baryłek. A wie pan, ile ropy zużyliśmy w Ameryce? Milion sześćset tysięcy baryłek. Właśnie tak, codziennie brakuje nam czterystu tysięcy baryłek ropy. Skąd ją bierzemy? Z Meksyku. Zdobędziemy naszą ropę, może mi pan wierzyć. W ten czy inny sposób ją zdobędziemy. Ten kraj ma wrogów, Littlemore. Ja nie jestem jednym z nich. Dobranoc, komendancie.

Enright pożegnał się z senatorem.

Niezauważalnie dla pozostałych pani Cross puściła oko do Littlemore'a.

- Dobranoc, Nowy Jorku - powiedziała. - Naprawdę stosuje się pan do wszystkich zasad.

• • •

- Czy rzeczywiście nie może pan ich powiązać z wrześnieowym zamachem? - spytał Littlemore'a komendant Enright kilka minut później.

- Nic na nich nie mamy - powiedział Littlemore. - Jedynym świadkiem, który mógłby obciążyć Falla związkami z wybuchem, jest Fischer, a żaden sędzia nie pozwoli mu przecież zeznawać.

- A co ze złotem? - zapytał Enright. - Czy nie możemy ich oskarżyć o kradzież?

- Nie ma kradzieży, jeśli właściciel nie przyzna, że zginęła jego własność - odparł Littlemore. - Minister Houston z pewnością zaprzeczy, że Departament Skarbu został obrabowany. Sam byłem świadkiem, jak to zrobił dziś wieczorem.

- Wiem, co zrobić! - wtrącił się Fischer. - Powiem Wilsonowi. Będzie bardzo niezadowolony z senatora Falla. Chyba wiecie, że jestem jednym z prezydenckich doradców, prawda?

- Doskonale się pan dzisiaj spisał, Eddie - pochwalił Littlemore. - Dziękuję.

- Proszę bardzo. A właśnie, Pope znów się na mnie szykuje.

- Pope? W sensie papież? - zdziwił się Enright.

- Wiem, o co mu chodzi, panie komendancie - wyjaśnił Littlemore. - W porządku, Eddie. Pomogę panu.

- No cóż, być może cała ta historia posłuży kiedyś za kanwę dobrego kryminału - zauważył Enright. - Niewykluczone, że sam coś z tym zrobię. Pan Flynn publikuje moje prace.

- Słucham? - spytał Littlemore. - Duży Bill Flynn?

- Wygrali republikanie, jego dni na stanowisku szefa Biura Śledczego są policzone - odparł Enright. - Otwiera czasopismo literackie. Zamierza je nazwać „Flynn's”. Będę jego sztandarowym autorem. Mam w szufladzie kilka opowieści kryminalnych. Wszystkie się dzieją w Nowym Jorku.

Littlemore zrazu milczał, po czym rzekł:

- Tej historii proszę nie umieszczać w swoich opowieściach.

- Której? - chciał się upewnić Enright.

- O tym, że komendant nowojorskiej policji ma zamiar pisać kryminały dla durnego szefa Biura Śledczego, który otwiera czasopismo i nazywa je swoim nazwiskiem zaraz po tym, jak schrzanił największe śledztwo w historii tego kraju. Nikt panu w to nie uwierzy.

• • •

Prywatny szpital przy Washington Square był małym wygodnym ośrodkiem, zajmującym dwie kondygnacje połączone biegnącą pośrodku szeroką klatką schodową wyłożoną marmurem. Littlemore wbiegał po nich, przeskakując po dwa stopnie. Na półpiętrze natknął się na Colette, która wyglądała przez duże okno. Zauważyła jego odbicie w szybie i odwróciła się. Brylantowy naszyjnik, nadal wiszący na jej szyi, połyskiwał jasno.

- Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu - powiedział, zanim dostrzegł wyraz jej twarzy. - Coś złego się wydarzyło?

- Nic - odparła. - Wszystko w porządku. Wyzdrowieje.

- Kto?

W tej samej chwili na schodach pojawił się chirurg. Schodził, wycierając dłonie w długą moką ścierekę.

- Panna Rousseau? - zapytał lekarz. - Bardzo mi przykro, ale...

- Nie chcę tego słyszeć! On wyzdrowieje. Nic mu nie będzie! - krzyknęła Colette, wbiegając na górę.

Chirurg zaś pokręcił głową i schodził na dół, zostawiając w połowie schodów osłupiałego Littlemore'a, który starał się nie uwierzyć we wniosek wysnuty na podstawie ich krótkiej wymiany zdań. Odgłos kroków Colette się oddalał, aż w końcu utonął w korytarzu na piętrze.

- Chwileczkę! - krzyknął Littlemore pół minuty później, niepewny, czy zwraca się do Colette czy do chirurga, po czym zbiegł na dół. - Niech pan poczeka jedną chwilę, co diabła!

Chirurg zatrzymał się w połowie drogi do głównego holu.

- Jest pan znajomym doktora Youngera? - spytał.

- Tak, jestem jego przyjacielem. Co z nim?

- Został postrzelony.

Littlemore przypomniał sobie moment, gdy Younger stanął na linii strzału Samuela, by zasłonić Colette.

- W plecy - powiedział.

- Dwukrotnie - dodał chirurg. - Nic nie mogę dla niego zrobić. Przykro mi. Czy ma rodzinę?

- Jak to nic pan nie może zrobić? Niech go pan operuje.

- Już to zrobiłem - odparł mężczyzna, ocierając czoło. - Kule przeszły przez żebra i utknęły w jamie klatki piersiowej. Nie mogę ich usunąć, ponieważ nie wiem, gdzie są. Zanim je znajdę, rozerwę na kawałki jego serce i płuca.

- Nie może go pan prześwietlić? Albo jakoś inaczej...

- Promienie rentgenowskie są w tym wypadku bezużyteczne - wyjaśnił chirurg. - Kule nie zatrzymały się w jednym miejscu. Przesuwają się z każdym jego oddechem. Zanim wywołamy klisze, będą zupełnie gdzie indziej. Nie ustabilizują się przynajmniej przez siedemdziesiąt dwie godziny.

- To nie brzmi aż tak źle - powiedział Littlemore, nie chcąc dopuścić do świadomości ponurych przepowiedni chirurga. - Roosevelt miał kulę w klatce piersiowej przez prawie dziesięć lat.

- Przypadek doktora Youngera rzeczywiście przypomina historię Roosevelta - zgodził się po namyśle chirurg. - Gdyby nie stan zapalny. Neutrofile w badaniach utrzymują się na poziomie około osiemdziesięciu procent. Rana Roosevelta zagoiła się bez infekcji. To właśnie było niezwykle w przypadku prezydenta.

- Co to oznacza, panie doktorze? Niech mi pan wyjaśni.

- Oznacza to, że pański przyjaciel musi sam pokonać infekcję - stwierdził chirurg. - Jesteśmy bezsilni w takich przypadkach. Nasze instrumenty, cała nauka i wszystkie leki nie zdadzą się na nic. Powinien przeżyć noc. Jutro rano znów zrobimy badanie krwi. Jeśli poziom neutrofilów się obniży, wszystko może się dobrze skończyć.

• • •

Littlemore zastukał w drzwi i wszedł do cichej szpitalnej sali. Colette stała przy łóżku, przykładając do czoła Youngera zimny kompres. Younger leżał na brzuchu z zamkniętymi oczami. Policzkiem dotykał materaca; poduszka leżała obok. Oddychał płytko, miał nienaturalnie siną twarz i cały dygotał.

- Jak on się czuje? - zapytał Littlemore.

- Dobrze - odparła Colette. - Bardzo dobrze. Śpi.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Co to są neutrofile, panienko? Doktor mi mówił, że...

- Doktorzy to głupcy - przerwała mu Colette.

Znowu cisza.

- Neutrofile to białe komórki krwi, najzwyklejsze krwinki - odezwała się Colette. - Kiedy dochodzi do infekcji organizmu, wzrasta ich liczba, żeby ją zwalczać. Zwykle stanowią około sześćdziesięciu pięciu procent białych krwinek.

- Osiemdziesiąt procent to bardzo źle?

- Przeciwnie, bardzo dobrze. To znaczy, że Stratham walczy z infekcją. Jutro jego poziom neutrofilów spadnie poniżej osiemdziesięciu. Zobacz pan. Potem ich poziom będzie się obniżał coraz bardziej, aż osiągną normę. Czy pan Brighton przeżył?

- Nie. Samuels też nie. - Littlemore patrzył na dygoczące ciało Youngera. - Czy lekarze mówili coś o rodzaju kul, które go ugodziły, panienko?

- To ważne?

- Rodzaj kuli wiele zmienia. Najgorsze są pociski z wydrążonym czubkiem.

Szybko grzybkują, czyli się rozplaszczają. Są naprawdę groźne. Tak bardzo, że nie wolno ich używać na wojnie. To nielegalne. Kula, która trafiła Teddy'ego Roosevelta, nie była wydrążona, nie spłaszczyła się więc od uderzenia. Kiedy powiedziano o tym policjantom, wszyscy wiedzieli, że dojdzie do siebie.

Colette milczała dłużej niż poprzednio.

- Tego właśnie słowa użyli lekarze - powiedziała w końcu. - Mówili, że kule grzybkowały.

• • •

Przed świtem na ulice trafiły powiązane sznurkiem sterty gazet, odważnie ogłaszając tytułami pojednanie między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem.

Amerykańska armia nad granicą przestała posuwać się naprzód. Meksykański tajny agent Roberto Pesqueira złożył jednoznaczne oświadczenie, że amerykańskie inwestycje na terenie jego kraju nie zostaną znacjonalizowane. Donoszono też, że amerykańskie siły policyjne udaremniły nikczemny spisek zmierzający do obalenia generała Obregóna, choć szczegółów tego spisku nie ujawniono.

• • •

Rano Youngerowi od razu pobrano krew. Nadal był nieprzytomny, ale temperatura się ustabilizowała, choć organizm wydawał się udreżony i osłabiony. Colette czuwała w szpitalu. Littlemore wrócił do domu, do swojej rodziny.

Pół godziny później pojawił się chirurg, który dyżurował poprzedniego wieczoru.

- Osiemdziesiąt sześć procent - poinformował.
- To jakaś pomyłka - powiedziała Colette.
- Nie ma pomyłki. Przykro mi.
- Nieważne - oznajmiła Colette. - Wynik spadnie do wieczora. On czuje się lepiej. O wiele lepiej. Wiem to.

• • •

Littlemore i Betty wrócili do szpitala o zachodzie słońca. Przez cały dzień pojawiali się tam na zmianę. Twarz Littlemore'a była blada i zmartwiona. W drzwiach frontowych wpadli na Colette.

- Idę kupić papierosy - uśmiechnęła się Francuzka. - Prosił o nie.
- Odzyskał przytomność?
- Całkowicie! Czuję się o wiele lepiej - odparła Colette.
- Ja kupię papierosy, panienko - zaoferował się Littlemore, czując, że spadł mu z serca olbrzymi ciężar. - Niech pani wraca na górę.
- Nie, pójdę. Stratham chciał z panem porozmawiać.
- Ze mną? - zdziwił się Littlemore.
- Tak.
- Doktor nie będzie rozmawiał ze mną. Nie będzie rozmawiał z nikim innym.

Neutrofile się obniżyły?

- Wynik jest bardzo wysoki - odpowiedziała Colette.
- Dziewięćdziesiąt pięć procent.
- Dziewięćdziesiąt pięć? - powtórzył Littlemore w osłupieniu. - Myślałem, że...
- Ten wynik świadczy, jak zażarcie jego organizm walczy z infekcją. To dobry znak. Ale wydaje mi się, że... że powinien pan tam iść jak najszybciej, Jimmy. - Colette odwróciła głowę, ukrywając przed nimi twarz. Ale nie płakała. - Czy jest tu w okolicy trafika?

- Znam jedno miejsce niedaleko - stwierdziła Betty, rozumiejąc, o co chodzi Colette. - Pójdziemy razem.

• • •

Kiedy Littlemore wszedł do sali, pielęgniarka napełniała strzykawkę.

- To pozwoli panu lepiej się poczuć - powiedziała do Youngera.

Younger nadal leżał na brzuchu. Jego głowa, oparta na policzku, zwrócona była w stronę drzwi. Zauważył przybycie Littlemore'a. Na jego plecach, odkrytych od pasa w

górze, znajdowały się w dwóch miejscach grube opatrunki. Lśniące od potu czoło było tak blade, że zlewało się z kolorem pościeli. Cały drżał.

- Nie - powiedział. Mówił silnym głosem, ale się nie poruszył. - Żadnych zastrzyków.

- Boi się pan małego zastrzyku? Taki duży mężczyzna? - zdziwiła się pielęgniarka.

- Niech się pan nie boi. Wkrótce poczuje się pan lepiej.

Younger spróbował się podnieść. Jego ramiona wyglądały na silne, ale najwyraźniej sprawiło mu to ból.

- Żadnych zastrzyków! - Tym razem zwrócił się do Littlemore'a.

- On nie chce tego zastrzyku, proszę pani - powiedział detektyw.

- To środek przeciwbólowy - odparła pielęgniarka, nie zwracając na niego uwagi.

Younger pokręcił głową.

- Przepraszam, ale nie mogę pani na to pozwolić - zaprotestował Littlemore.

- Polecenie lekarza - odparła, jakby te magiczne słowa wykluczały jakąkolwiek dalszą dyskusję. Uderzyła palcem w strzykawkę, wycisnęła kroplę płynu z igły i już miała ukłuć Youngera, kiedy Littlemore chwycił ją za przegub dłoni i mimo protestów wprowadził z sali.

- Dziękuję - powiedział Younger.

Littlemore zauważył zapalki i paczkę papierosów na stoliku.

- Myślałem, że papierosy się skończyły.

- Został jeden - odparł Younger.

- Chcesz go?

- Pewnie, wykonamy wszystkie oklepane sztuczki: ja od mawiam morfiny, a ty wkładasz mi do ust papierosa.

- To znaczy tak czy nie?

- Nie - wyjaśnił Younger.

- Nie masz zamiaru nam umrzeć, doktorze, prawda?

Zapadło milczenie. Zęby Youngera zaczęły szczekać.

Z wysiłkiem je powstrzymał.

- Jak w pracy? - zapytał.

- Jak to w pracy - zapewnił Littlemore. - To znaczy, nie mam pracy, ale wszystko w porządku.

- Rodzina?

- Jak to rodzina.

Z kroplówki stojącej po drugiej stronie łóżka regularnie kapały krople jakiegoś płynu. Zza okna dobiegały odgłosy ruchu ulicznego.

- To świetnie - skwitował Younger.

- Chciałeś ze mną porozmawiać? - spytał Littlemore.

- Kto ci tak powiedział?

- Panienska.

- Absurd! - zachnął się Younger. Znow zaczął szczekać zębami.

- Podpalam ci tego papierosa - oświadczył Littlemore. Jego palce nie były tak zdecydowane jak zazwyczaj. - Proszę.

- Dziękuję. - Younger zaciągnął się, co uciszyło szczekanie zębów. - Wiesz, że nie ma tego złego?

- Oczywiście. A co?

- Jeśli umrę wystarczająco szybko, będziesz miał spokój z moim jutrzejszym przesłuchaniem. Nie mogą ci kazać płacić kaucji za nieżyjącego.

- Rozmawiałem już z prokuratorem okręgowym - odparł Littlemore. - Odstąpił od zarzutów wobec ciebie.

- Ach tak? Doskonale. W tej sytuacji moja śmierć będzie kompletnie bezcelowa. Nastąpiła długa pauza.

- Dobrze, że jestem niewierzący - powiedział Younger. Dym drażnił mu oczy. Kolejna pauza.

- Nawet dla mojej rodziny - stwierdził Younger.

- Co takiego? - spytał Littlemore.

- Nic - odparł Younger. - Popiół.

Littlemore wyjął mu z ust papierosa, strzepnął nad popielniczką i umieścił z powrotem między wargami Youngera.

- Nie byłem dobry, Jim - oświadczył Younger cicho.

- O czym ty mówisz?

- Nigdy nie byłem dobry. Dla nikogo. Nawet dla własnej rodziny

- Oczywiście, że byłeś - zaprotestował Littlemore.

- Zaopiekowałeś się moją matką, kiedy zaczęła chorować. Pamiętam.

- Nie - zaprzeczył Younger. - No i mój ojciec. Wymagał ode mnie tylko tego, żebym mu okazywał szacunek. Tylko tyle. Nigdy mu go nie okazywałem. - Zaśmiał się, wypuszczając dym. - Zabawne, ale w gruncie rzeczy go szanowałem. Nie byłem taki jak ty. Ty odwiedzasz ojca co tydzień. On jest częścią twojego życia. Opowiadacie sobie o Waszyngtonie.

- Mój tato? - spytał Littlemore.

- Tak.

- Mój tato?

Younger spojrzał na niego.

- Mój tato jest pijakiem - stwierdził Littlemore. - Był pijakiem przez całe życie. Kłamał. I był nieuczciwy. Wyleciał z policji za łapówki. Zabrali mu odznakę i broń. Wszystko, co o nim opowiadałem, było kłamstwem.

- Wiem.

- Wiem, że wiesz - rzekł Littlemore. - Ale pozwalałeś mi kłamać.

Younger się nie odezwał.

- To było miłe - dokończył Littlemore.

Younger wykrzywił twarz. Szarpnął głową do tyłu i zacisnął zęby. Papieros się złamał i zapalony koniec wystrzelił w powietrze jak miniaturowa rakietka, odbił się od prześcieradła obok jego policzka, a potem upadł na podłogę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi.

- Ja podniosę - Colette pośpieszyła strzepnąć żarzący się węgielek z prześcieradła i sprzątnąć podłogę. Bez słowa podstawiła rękę pod twarz Youngera, który wypuścił spomiędzy warg resztkę papierosa. Niedopałek upadł na jej dłoń. Younger znów zaczął dygotać i pocić się jednocześnie.

Nikt się nie odzywał.

W końcu Littlemore zapytał:

- Bardzo boli, doktorze?

- Nigdy tego nie rozumiałem - stwierdził Younger.

- Czego? - zapytał Littlemore.
- Dlaczego żyję. Dlaczego wszyscy żyjemy.
- Teraz rozumiesz? - zaciekała się Colette.

Younger skinął głową.

- Nie chodzi o szczęście. Ani o sens. Tylko... - nie dokończył.

- O co? - spytała Colette.

- O wojnę.

- Przecież niektórzy ludzie nie walczą - stwierdził Littlemore, przypominając sobie, co kiedyś powiedział mu Younger.

- Nieprawda. Wszyscy walczymy A ja znam tę wojnę na wylot. - Spojrzał na Colette.

- Powiedz - nalegał Littlemore.

- Za późno - odparł Younger. Stracił kontrolę nad ciałem, którym zaczęły wstrząsać dreszcze. Przez opatrunki przesiąkała świeża krew. Littlemore nie potrafił powiedzieć, czy na twarzy Youngera zagościł uśmiech czy kolejny grymas bólu.

Colette patrzyła na niego. Betty wezwała pielęgniarkę.

• • •

W środku nocy Colette klęczała samotnie przy łóżku Youngera. Na stole paliła się świeczka.

- Słyszysz mnie? - szepnęła.

Oczy miał zamknięte. Nadal leżał na brzuchu, a plecy podnosiły się i opadały tak nieznacznie, jakby wcale nie oddychał. Zapadnięte policzki płonęły.

- Jeśli umrzesz, nigdy ci nie daruję - dodała cicho.

Younger nie reagował.

Wstała gwałtownie, puszczając jego dłoń.

- Proszę bardzo, umieraj sobie, jeśli jesteś taki słaby - krzyknęła. - Sądziłam, że jesteś silny. A nie cherlawy. Jesteś po prostu słabeuszem!

- Niewiele w tym życzliwości i współczucia - szepnął, nie otwierając oczu.

Stłumiła okrzyk, zakrywając usta dłonią. Ponownie chwyciła go za rękę i wyszeptwała mu do ucha:

- Jeśli przeżyjesz, zrobię wszystko, co chcesz. Będę twoją niewolnicą.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam - wyszeptwała.

Otworzył na chwilę oczy i znów je zamknął.

- Motywacja. To dobrze. Ale i tak umieram. Musisz iść.

- Nigdzie stąd nie pójde!

- Pójdiesz. - Mówienie kosztowało go wiele wysiłku. - Muszę ci powiedzieć, co zrobisz. Potem będę nieprzytomny. Sprowadź. Littlemore'a. Powiedz mu, żeby cię zabrał do sklepu wędkarskiego.

- Co?

- Włam się, jeśli będzie trzeba. Oni mają larwy, na przynętę. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć. Tylko żeby to były muchy plujki. Wszystko inne zje mnie żywcem. Powiedz chirurgowi, żeby mnie naciął przy ranach wlotowych. Jak najgłębiej. Potem niech wrzuci do środka larwy. Nacięcia muszą zostać otwarte. Zaciski. Potrzeba dużo powietrza. Niech drenuje rany co kilka godzin, a po trzech dniach niech usunie

larwy.

Naczelnym chirurg szpitala przy Washington Square, doktor Salvini, początkowo kategorięcznie się sprzeciwiał umieszczeniu larw muchy plujki w okolicy serca pacjenta. Wiedział jednak, że Younger umiera, ponadto Colette nie pozostawiła mu wyboru.

- A jeśli one złożą tam jajeczka? - zapytał Littlemore Colette wczesnym rankiem następnego dnia, przyglądając się badawczo kłębowisku w głębokich rozcięciach na plecach Youngera.

- Przede wszystkim musimy mieć nadzieję, że oczyszczą zainfekowaną tkankę - odparła cicho.

- Wiem - stwierdził Littlemore. - Ale jeśli jajeczka się wyklują po tym, jak już go zaszyją?

- To larwy. One nie składają jajeczek. Wyłącznie jedzą - wyjaśniła.

- Ach tak! Brzmi niby lepiej - Littlemore przełknął ślinę.

Nie wiadomo, jak Younger przetrzymał kolejne czterdzieści osiem godzin. Gorączkował powyżej czterdziestu stopni. Nie jadł, prawie nie pił. Trzeba go było przywiązać do łóżka, żeby nie spadł - tak silne wstrząsały nim drgawki.

Trzeciego dnia temperatura spadła. Po usunięciu nabrzmiałych larw doktor Salvini ze zdziwieniem zobaczył czystą, różową, zdrową tkankę. Martwicze zmiany i wysięk zniknęły.

Zrobiono kolejne zdjęcie rentgenowskie. Tym razem sama Colette wyliczyła głębokość i rozmieszczenie kul z dokładnością do milimetra. Rzeczywiście się spłaszczyły, przybierając kształt grzyba, poza tym jednak były niemal zupełnie nienaruszone i przestały się przemieszczać. Salvini nie musiał łamać kolejnych żeber, żeby je usunąć.

• • •

Następnego ranka przez otwarte okno szpitalnej sali, w której leżał Younger, wpadło świeże powietrze wraz z cętkami światła słonecznego. Przez rozsunięte zasłony widać było jesienne drzewa w parku przy Washington Square. Younger leżał wsparty na poduszkach. Schudł, ale jego skóra odzyskała naturalny kolor i mógł się poruszać.

Colette weszła rozpromieniona, niosąc bagietkę i papierową torbę z zakupami.

- Znalazłam francuską piekarnię i przyniosłam ci croissanty. Czy możemy gdzieś tu zamieszkać?

- Skąd masz te brylanty? - zapytał, patrząc na jej kolię.

Colette pokręciła głową, przełamując bagietkę.

- Są ohydne! Ale nie potrafię ich zdjąć. Nawet kąpię się w nich.

- Podobasz mi się w nich - odparł Younger. - Rozkazuję, żebyś je nosiła. W dzień i w nocy.

- Ale ja nie chcę - zaprotestowała.

- Podejdz do mnie, niewolnico - polecił.

Pochyliła się nad nim. Younger sięgnął i jednym ruchem - z irytującą męską zręcznością - rozpiął naszyjnik. Pocałowała go w usta. Wręczył jej telegram, przyniesiony z hotelu Commodore przez Roederhausena. Colette przeczytała na głos:

26 listopada 1920

CHŁOPIEC WYLECZONY STOP ZAREZERWOWALEM KABINE NA
S.S. SUSQUEHANNA STOP PRZYPLYNIE DO NOWEGO JORKU 23

GRUDNIA W TOWARZYSTWIE WASZEGO ZNAJOMEGO OKTAVIANA
KINSKY'EGO STOP PROSZE O WIADOMOSC CZY TERMIN WAM
ODPOWIADA STOP
FREUD

ROZDZIAŁ

Dwudziesty Drugi

W mroźny poranek dwudziestego trzeciego grudnia pod zachmurzonym niebem Younger z Colette oraz Jimmy i Betty Littlemore'owie tupali dla rozgrzewki w porcie, oczekując na parowiec Susquehanna. Nadeszła już zima. Pod warstewką śniegu Nowy Jork nabrał bajkowej aury, niepasującej zupełnie do ciężkich wzburzonych wód portu, upstrzonych skórkami owoców i innymi śmieciami.

Mężczyźni stali na nabrzeżu, a Colette i Betty rozmawiały przy budynkach portowych, które chroniły je przed ostrym wiatrem. Younger, obandażowany wokół klatki piersiowej, co było widać spod marynarki, zapytał detektywa o godzinę.

- Za kwadrans ósma. - Littlemore pocierał dłonią o dłoń, żeby się rozgrzać. - Gdzie masz zegarek?

- Sprzedałem.

- Dlaczego?

- Żeby zapłacić za szpital. I zwrócić Freudowi za bilet Luca.

- Powiedziałaś Colette?

- Wie, że jestem splukany.

- Mogę cię przebić, doktorze. Betty i ja właśnie się wynosimy z mieszkania.

Musiałem wybrać między czynszem a jedzeniem dla dzieci. Ja byłem za czynszem, ale znasz kobiety. Ty przynajmniej możesz zarobić trochę szmalu jako lekarz.

Younger zapalił papierosa.

- Wrócisz do policji. Jesteś kapitanem w wydziale zabójstw.

Littlemore pokręcił głową.

- W policji są zamrożone etaty. Ewentualnie na wiosnę.

- Może moglibyśmy obrabować jakiś bank - stwierdził Younger. - Jak się czuje ta dziewczyna, którą przetrzymywał Brighton?

- Albina? Lepiej. Odwiedziny Colette bardzo jej pomogły. Chcesz wiedzieć, jak to się zaczęło?

- Pewnie.

- Były trzy siostry: Amelia, Albina i Quinta. Wszystkie trzy rozpoczęły pracę u Brightona w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Po kilku latach dziewczęta z jego fabryki zaczynają zapadać na zdrowiu: wypadają im zęby, mają problemy z chodzeniem i coś złego dzieje się z ich krwią.

- Anemia - wtrącił Younger.

- Brighton wiedział, że winny jest rad, urządził więc coś w rodzaju sali szpitalnej na górze w swojej fabryce. Zatrudniony przez niego lekarz badał pracownice. Naprawdę to nie był lekarz, lecz Lyme. Kiedy na szyi Quinty pojawiła się narośl, Lyme stwierdził u niej syfilis. Brighton wspaniałomyślnie zadeklarował, że zapłaci za leczenie szpitalne, ale Lyme zamiast leczyć, tylko ją ogłupiał. Amelia była następna. Zaczęły jej wypadać zęby.

Mimo to się nie poddała. Kiedy Lyme powiedział, że także ona choruje na syfilis, zrozumiała, że to kłamstwo. Poszła do Albiny i podzieliła się z nią swoimi podejrzeniami. Wykradły Quintę z izby chorych i uciekły z fabryki. Brighton wynajął ludzi, którzy ich wszędzie szukali. Kobiety wiedziały o tym, były więc przerażone. Ukrywały się. Amelia zabrała z fabryki kilka par nożyczek, które nosiły przy sobie na wszelki wypadek. Potem dowiedziały się, że Colette twierdzi, iż fabryki radu zabijają ludzi, doszły więc do wniosku, że ona może im pomóc. Resztę znasz.

- Po co Albina obnażyła się przed Lukiem?

- Wtedy, gdy pojechała za panienką do Connecticut? Chodziło jej o skórę. Chciała pokazać, że świeci w ciemności, ale nie zastała panienki, pokazała więc piersi Lucowi niejako w zastępstwie. Bała się, że Brighton ma w New Haven ludzi, którzy ją obserwują, dlatego uciekła. Jej obawy były słuszne. Złapali ją i zawieźli z powrotem do Nowego Jorku. Diabli by to wzięli! Powiniennem być się domyślić, że ząb Amelii jest napromieniowany radem.

- Dlaczego? - spytał Younger.

- Pamiętasz, jak to twoje ustrojstwo do wykrywania radu zaświeciło, kiedy skierowałeś je na mnie? Wtedy, przed hotelem?

Younger zrozumiał:

- Wcześniej dałem ci ten ząb - powiedział.

- Miałem go w kieszeni na piersi - dodał Littlemore.

Przez chwilę mężczyźni stali w milczeniu.

- A co z twoim senatorem? - odezwał się Younger.

- Pytasz o Falla? On świetnie sobie radzi. Będzie w rządzie Hardinga. Nie sekretarzem stanu, ale jednak. Dadzą mu jakieś mniej eksponowane stanowisko.

- Kto powiedział, że przestępstwo nie popłaca?

- Nie wszystko ujdzie mu na sucho. Przejrzałem księgi Samuela. Znalazłem wpis, że Brighton przekazał Fallowi sto tysięcy gotówką. Prędzej czy później go zdemaskuję. Na razie jednak jest nietykalny. Ma haka na Hardinga.

- Jakiego?

Littlemore upewnił się, że nikt ich nie słyszy.

- Harding ma problem z kobietami - wyjaśnił. - Partia Republikańska niedawno zapłaciła pewnej dziewczynie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za milczenie. Teraz Harding sypia z inną i Cali o niej wie.

- Skąd?

- Bo ona u niego pracuje. Atrakcyjna. Mimo że przestałem pracować w Departamencie Skarbu, zdradza mi różne waszyngtońskie sekrety. Mówi, że Houston ma nam coś do powiedzenia.

- Nam?

- Tak. Tobie i mnie.

Mężczyźni znów milczeli przez chwilę.

- Miałeś rację z tym karabinem maszynowym - stwierdził Littlemore.

- Jak to?

- Okazuje się, że zamachowcy zdetonowali bombę na Wall Street dwanaście godzin później, niż zaplanowano. Mieli więc pewien problem: właz został zamknięty. Byli w alejce z całą kupą złota i nie mieli gdzie go ukryć. Jeden z nich przebiegł przez ulicę i wypalił serię z karabini maszynowego w ścianę banku Morgana, dając im w ten sposób

sygnał, że muszą otworzyć włącz. Najwyraźniej mu się udało. Powiedziałem o tym komendantowi Enrightowi, który wysłał do Lamonta list z poleceniem, żeby nie naprawiał dziur po tych kulach. Pozwolił też Morganowi mówić wszystkim, że to na pamiątkę, ale jeśli budynek zostanie otynkowany, pójdzie siedzieć za niszczenie dowodów w sprawie. - Littlemore spojrział na morze. - Gdzie ten statek?

- Spóźnia się.

- Zabawne, ale ludzie zaczynają już zapominać o szesnastym września - stwierdził Littlemore. Kiedy doszło do zamachu, wydawało się, że nic już nie będzie takie samo. Kraj zamarł. Życie miało się potoczyć innym torem.

- Przynajmniej nie poszliśmy na wojnę - odparł Younger. - Sfabrykowaną wojnę z państwem, które nie miało nic wspólnego z tym zamachem. Bóg jeden wie, jaką cenę byśmy zapłacili, gdybyś jej nie powstrzymał.

- Tak, powinienem być sławny - przyznał Littlemore. - Tymczasem jestem bankrutem.

- Możemy pojechać do Indii.

- Dlaczego akurat tam?

- W Indiach bieda jest świętością - Younger przydusił papierosa obcasem. - Czyli nikt nie poniesie kary za zamach?

- Tego nie wiem. Gdzie po raz pierwszy zobaczyliśmy Drobaca?

- W hotelu Commodore, kiedy porwali Colette - odpowiedział Younger.

- Pudło.

Younger pokręcił głową.

- To gdzie?

- Wóz konny minął ciebie, panienkę i mnie, kiedy rankiem szesnastego września szliśmy po Nassau Street. Pamiętasz? Jakies trzy minuty przed wybuchem bomby. Z ładunkiem tak ciężkim, że kobyła ledwie mogła go uciągnąć. Drobac siedział na koźle.

•••

- *Bonjour* - powiedział Luc, patrząc siostrze prosto w oczy.

Statek zawinął do portu z dwunastogodzinnym opóźnieniem. Chłopiec, wypielegnowany i czysty, jakiego Younger nigdy go jeszcze nie widział, właśnie zszedł z trapu, ramię w ramię z Oktavianem Kinskim, prosto w krąg latami elektrycznych na nabrzeżu. Na niebie nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc. Pokrywa chmur była zbyt gruba.

Przez chwilę Colette stała jak sparaliżowana. Po raz pierwszy od wielu lat usłyszała głos brata. Nie pasował ten głos do Luca. Był zbyt dojrzały, zbyt opanowany, jakby ciałem brata zawładnął ktoś obcy i przemawiał jego ustami. Potem opanowany głos, poważna twarz i spokojne oczy się połączyły: to był on. Otworzyła szeroko ramiona i uściskała go.

- *Bonjour*? - powtórzyła, trzymając go w objęciach. - Jak może być *bonjour* w środku nocy, głuptasie? A gdzie twoje włosy?! Pozwoliłeś je obciąć?

Luc skinął poważnie głową.

Oktavian przywitał Youngera i Colette (Littlemore'owie wyszli z portu wiele godzin wcześniej) jak długo niewidzianych przyjaciół.

- Przyjechałem, żeby tu stworzyć flotę wynajmowanych samochodów - oświadczył Oktavian. - Podobno tego typu usługi nie są w Ameryce źle widziane.

- Oczywiście, że nie są - zgodził się Younger. - I będzie się pan musiał opędać od Amerykanek, panie hrabio, przynajmniej od tych, które panu przedstawię. Uwielbiają arystokratów.

- Ale przecież znieśliście tytuły arystokratyczne ponad sto lat temu! - zdziwił się Oktavian.

- Ludzie zawsze pożądamy tego, czego nie mogą mieć - stwierdził Younger.

- Nie ja - oznajmiła Colette.

•••

Tamtej nocy zatrzymali się u pani Meloney, która wspaniałomyślnie zaprosiła ich do siebie. Wcześniej Colette ją przekonała, żeby pomogła pracownikom malującym tarcze zegarków farbą luminescencyjną - i przedsiębiorcza kobieta zabrała się do tego z typowym dla niej zapałem.

U wszystkich pracowników z fabryki zegarków na Manhattanie zbadano poziom napromieniowania. Ponad połowa dziewcząt Brightona była napromieniowana, zwłaszcza ich zęby i szczęki; kilka świeciło w ciemności. Wprowadzono obowiązek noszenia rękawic ochronnych. Zakazano temperowania pędzli ustami. Zainstalowano detektory promieniowania. Rachunki bankowe Brightona zostały przejęte. Wraz z pozostałymi aktywami miały stać się funduszem na rzecz kobiet, które zachorowały wskutek pracy w jego fabrykach.

Younger i Colette położyli Luca spać.

- Mam ci coś do powiedzenia - poinformował siostrę chłopiec.

- Wiem - odparła. - Doktor Freud nam mówił.

- Powiedział?

- Tylko tyle, że masz coś do powiedzenia. Nie poinformował nas, czego to dotyczy.

- Ale teraz, kiedy tu jestem, nie chcę już tego mówić - dodał Luc.

- Teraz śpij. Powiesz nam to jutro - stwierdziła Colette.

•••

Następnego dnia jednak chłopiec był jeszcze mniej skłonny do mówienia. Oktavian wynajął pokój w skromnym, ale przyzwoitym hotelu na Manhattanie i zaczął analizować możliwości kupna samochodów pod wynajem z kierowcą. Pożegnali się z nim i wieczorem zajęli miejsca w pociągu do Bostonu.

Kiedy wagony turkotały miarowo, jadąc na północ, za oknem pojawił się lekki śnieg.

- Teraz jest dobry moment, Luc - powiedziała Colette.

Chłopiec pokręcił głową.

- Możesz powiedzieć mi to szeptem na ucho - zaproponowała Colette.

- Bzdura! - obruszył się Younger. - Nie będzie niczego szeptał. Nie jest dzieckiem.

Przeżył wojnę. Ocalił nam życie. Jesteś mężczyzną, Luc, a nie małą dziewczynką.

Przestań się wygłupiać i mów!

Luc zmarszczył brwi. Sprawiał wrażenie zaskoczonego i niepewnego.

Younger wyjął z kieszeni marynarki list.

- To od Freuda - powiedział. - Ufasz doktorowi Freudowi, prawda?

Luc skinął głową.

- Ostrzega nas, że możesz znów zamilknąć w Ameryce - ciągnął Younger. -

Przypuszcza, że będziesz się obawiał, iż twoja siostra nie chce usłyszeć tego, co masz jej

do powiedzenia.

Luc patrzył spokojnie na Youngera.

- Dalej doktor Freud radzi, byśmy ci przypomnieli, że on poświęcił trzydzieści lat życia na mówienie ludziom tego, czego nie chcą słyszeć. Mówi też, że fakt, iż ktoś nie chce usłyszeć prawdy, bardzo rzadko jest wystarczającym powodem do milczenia. Zapewnia też, że twoja siostra naprawdę chętnie wysłucha, co masz do powiedzenia.

Luc przeniósł wzrok na Colette.

- Chcesz? - zapytał cicho.
- Bardzo - zapewniła go Colette.
- Nie wiesz, co to takiego.
- Cokolwiek to jest, chcę to usłyszeć.
- Nie chcesz!
- Chcę.
- Na pewno nie!
- Owszem, tak.

- Cudownie! - przerwał im Younger. - Chłopiec mówi po raz pierwszy od lat, a kłócicie się jak dwójka uczniów.

- Ojciec był tchórzem - Luc powiedział krótko, ale zdecydowanie.

Colette drgnęła.

- Ojciec? Tchórzem?

Chłopiec wpatrywał się w płatki śniegu topniejące na szybie.

- Byłem w domu, kiedy przyszli Niemcy - oznajmił.

Twarz jego siostry zachmurzyła się. Zaczęła pytanie:

- Chcesz powiedzieć, że...
- Tak - uciał Luc.
- Ale przecież byliśmy razem...
- W piwnicy u stolarza - dokończył za nią. - Wszedłem stamtąd w środku nocy.

Nie słyszałaś. Wróciłem do domu i zajrzałem do środka przez okno od strony stodoły.

Colette zastygła w bezruchu. Nawet wstrzymała oddech.

- Z ojcem byli wewnątrz niemieccy żołnierze. Trzej. Jeden wysoki z jasnymi włosami. Pamiętasz, gdzie się ukrywały mama i babcia?

- Tak.

- Ojciec mówił do nich: „Błagam, nie zabijajcie mnie. Proszę, nie zabijajcie mnie!”. Potem zaczął płakać.

- To nie czyni z niego tchórza - odpowiedziała.

- Ojciec wskazał na szafkę. Pewnie chciał pokazać Niemcom, gdzie trzyma srebro.

Otworzyli szafkę, ale chyba nie chodziło im o srebro. Odwrócili się i znów zaczęli na niego wrzeszczeć. Ten wysoki celował w ojca z karabinu. Ojciec błagał go, żeby nie strzelał. - Pociąg zaturkotał na zakręcie.

- W końcu wskazał im dywan.

- Widziałeś, jak pokazuje?

- Pokazał im dywan, potem się podniósł i odsunął go na bok, żeby Niemcy zobaczyli skrytkę.

Colette się nie odezwała.

- Otworzyli. Znaleźli mamę. I babcie. Uderzyli mamę w twarz. Potem ten wysoki strzelił do ojca. Drugi zastrzelił babcie.

- Co zrobiłeś? - zapytała cicho.
- Wbiegłem do domu. Trzymali mamę na podłodze i zdierali z niej sukienkę. Jeden z Niemców chyba mnie uderzył. Nie pamiętam niczego więcej. Następnego ranka...

- Nie mów! - Colette objęła brata ramionami i zamknęła oczy. - Wiem.
- Nie chciałem nic powiedzieć - dokończył Luc.

• • •

Rzadko się odzywali przez resztę podróży. Colette prawie wcale. W kieszeni marynarki Youngera znajdował się list od Freuda, którego jej nie pokazał. Nie widziała więc także małej złożonej notki, którą Freud dołączył do listu, ani nie czytała ostatniego akapitu:

Także panna Rousseau ukrywa coś przed bratem. Chyba wiem, co to za sekret, ale nie mnie go wyjawiać. Powie Panu w odpowiednim czasie. Kiedy to nastąpi, proszę jej przekazać załączoną notkę.

*jak zawsze oddany
Freud.*

• • •

Kiedy dotarli do domu Youngera w Bostonie i ułożyli Luca do snu w jego sypialni, oni oboje też poszli do swojej. Pozwoliła mu się rozebrać, co tak bardzo lubił robić. Później sam zdjął koszulę, odsłaniając bandaż, owinięty kilkakrotnie wokół torsu.

- Boli cię? - zapytała.
- Tylko kiedy oddycham - odrzekł. - Żartuję! Zupełnie nic nie czuję.
- Czy możesz? - wyszeptała.

Mógł. Zakrywała usta jego ręką, żeby nie obudzić Luca. Wpijała mu paznokcie w ramiona. Pomyślał, że sprawia jej ból, ale błagała, żeby nie przestawał.

Długą chwilę później odezwała się spokojnym głosem w ciemności:

- Ja też nie chciałam czegoś powiedzieć.
- Wiedziałaś? - spytał Younger. - Wiedziałaś, co zrobił twój ojciec?

Skinęła głową.

- Też wszystko wiedziałaś?
- Nie - zaprzeczyła. - Ojciec sam mi powiedział. Następnego ranka. Jeszcze żył, kiedy go znaleźliśmy. Wyznał mi prawdę. Błagał, żebym mu wybaczyła.

Zegar tykał.

- Nie wybaczyłam - wyznała. - Nie mogłam. Potem odszedł.

Płakała bezgłośnie. Younger czuł jej łzy na piersi.

- Niech mi Bóg dopomoże - wyszeptała. - Nie wybaczyłam własnemu ojcu.
- Najstarszy zniósł najwięcej ciosów - zacytował Younger.
- Teraz już wiesz - powiedziała, wycierając oczy. - Poznałeś mój ostatni sekret.

• • •

Wiele godzin później, o świcie, zapinał koszulę gdy Colette, nie wstając jeszcze z łóżka, zadała mu pytanie:

- Czy postąpiłam źle?
- Mam coś dla ciebie - odparł. - Od Freuda.

Wręczył jej notkę. Usiadła, zasłaniając piersi pościelą, i przeczytała. Potem długo wpatrywała się w tekst, zanim mu go oddała.

Droga Panno Rousseau!

Skoro Pani to czyta, to zakładam, że wyznała Pani Youngerowi, iż wiedziała o niefortunnym zachowaniu ojca, zanim wyjawił to brat. Proszę nie potępiać ojca. Nie wolno oceniać człowieka, który robi coś niewłaściwego trzymany na muszce.

Nie powinna też Pani potępiać siebie. Owszem, gdyby powiedziała Pani o wszystkim bratu, jego niemota ustąpiłaby może wcześniej. Albo przeciwnie, mogłaby się pogłębić. Prawda jest taka, że obydwójce próbowaliście chronić się nawzajem przed prawdą, którą każde z Was znało. To ironia, nie tragedia.

Mogła Pani czasem odczuwać, że brat żywi do Niej niechęć. To naturalne. Niewykluczone, że Pani nie lubił, albo sądził, że nie lubi, za to, że nie posiadała Pani (jak uważał) jego wiedzy, co zmuszało go do utrzymywania jej przed Panią w sekrecie. Dzieci oczekują, że dorośli wiedzą to, co one; kiedy się rozczarują, myślą o nas jak najgorzej. Ale przecież nawet my, dorośli, gardzimy tymi, przed którymi ukrywamy prawdę, i żywimy urazę do tych, dla których się poświęcaliśmy, ponosząc największe ofiary. Dlatego właśnie, jeśli nie zdecydowała Pani jeszcze, czy powiedzieć bratu, że od początku znała jego sekret, wie Pani już, jaka byłaby moja rada.

Chcę Pani powiedzieć jeszcze jedno. Zastanawiała się Pani w mojej obecności, dlaczego nie zabiła człowieka, który zamordował rodziców. Właśnie na podstawie tego wydedukowałem, że coś Pani ukrywa. Przyczyna jest prosta. Czula Pani, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, że byłoby ujmą dla ojca, gdyby zrobiła Pani to, na co jemu zabrakło odwagi. Pani motywem była więc czułość wobec ojca, a nie pobłażanie dla mordercy. (To także każe mi wierzyć, że we własnym przekonaniu wyrządziła Pani ojcu krzywdę kiedyś w przeszłości, choć nie potrafię, oczywiście, odgadnąć rodzaju tej krzywdy.) Na całe szczęście była Pani w tamtej chwili z człowiekiem, który nie przejął się Pani wyrzutami sumienia. Jeśli jest Pani choć w połowie tak mądra, jak sądzę, nie odrzuci Pani afektu tego człowieka po raz wtóry.

Freud.

• • •

25 grudnia 1920 roku połączono rozmowę międzymiastową między prywatnym domem w Waszyngtonie a prywatnym domem w Bostonie. Była prawie północ.

- To pan, Jimmy? - zapytała Colette. Blisko słuchawki trzymał też ucho Younger. Przed nimi stała choinka ozdobiona żołnierzami i lśniącymi, ręcznie malowanymi papierowymi kulami.

- To ja, panienko - odrzekł Littlemore, przekrzykując trzaski. - I Betty. Czy jest gdzieś obok mój przyjaciel doktor?

- Jestem - odparł Younger. - Co się dzieje?

- Nie uwierzysz, z kim spędzamy święta! Gospodarz jest właścicielem „Washington Post”. Jego żona ma diament Hope! To wielkie przyjęcie bożonarodzeniowe. Zaprosił nas minister Houston. Jest tu Harding i wielu senatorów. Można by pomyśleć, że świętujemy na Kapitolu. Jest też Lamont. Dość ponury, jakby stracił miliony na wyścigach. Ale wiesz co? Sprawy mają się lepiej. To znaczy sprawy krajowe. Sprowadzili tancerki z Nowego Jorku. Grają nowy rodzaj muzyki. Coś się czuje w powietrzu. Lata dwudzieste mogą się jeszcze okazać nie takie złe, jak myślałem.

- Wróciłeś do pracy w Departamencie Skarbu? - zapytał Younger.
- Nie. Jesteśmy tylko gośćmi. Betty polubiła Waszyngton. Prawdopodobnie dlatego, że Harding jej nadskakuje przez cały wieczór.
- A ty i ta twoja pani Cross? - odgryzła się Betty.
- Nie jestem zainteresowany - stwierdził Jimmy.
- Za to ona jest - odparowała jego żona. - To ładaczka.
- Dzwonisz w jakiejś konkretnej sprawie? - zapytał Younger.
- Są święta, doktorze.
- Wesołych świąt!
- Wszyscy tutaj dają sobie prezenty - dodał Littlemore.
- Nie tylko u was - odrzekł Younger, zerkając na dłoń Colette. Pierścionek z brylantem na jej palcu należał kiedyś do jego matki.
- Ale wiesz co? Ty też dostałeś prezent - oznajmił Littlemore.
- Naprawdę? Od kogo?
- Od Houstona. Zapytał mnie, czy znalazłeś złoto razem ze mną. Powiedziałem, że tak. Wtedy zapytał, czy jesteś policjantem.
- Dlaczego?
- No cóż. W końcu wydobyli złoto z tamtej piwnicy. Lamont się zarzeka, że to nie jego, a Houston przysięga, że nie należy do Departamentu Skarbu. Oficjalnie więc nikt się po nie zgłasza. Mają na to specjalny przepis. Według prawa znalezione złoto, jeśli nikt się do niego nie przyznaje, należy się znalazcy, pod warunkiem jednak, że nie jest stróżem prawa. Uświadomiłem Houstonowi, że ty na pewno stróżem prawa nie jesteś. Najwyżej je łamiesz.

W słuchawce zapadła cisza.

- Halo? Słyszałeś mnie, doktorze?
- Całe złoto należy się znalazcy?
- Pod warunkiem, że nie jest stróżem prawa.
- Ile tego było?
- Trochę ponad cztery miliony.
- Nie mogę tego przyjąć - oświadczył Younger. - To złoto należy do Stanów Zjednoczonych. Powiedz mu, że oddaję je z powrotem Departamentowi Skarbu.
- Już powiedziałem.
- Powiedziałeś? - powtórzył Younger.
- Wiedziałem, że nie przyjmiesz tego złota.
- Tak, ale mogłeś mi pozwolić okazać wspaniałomyślność.
- fest coś, o czym nie wiesz, doktorze - podjął Littlemore.
- Jeszcze w listopadzie Lamont z Banku Morgana próbował przemycić do kraju rosyjskie złoto warte dwa miliony dolarów. Złapali go celnicy, ale Houston postanowił po cichu zrekompensować to Lamontowi. Nie chciał, żeby Bank Morgana poniósł dwumilionową stratę, uznając, że nie byłoby to dobre dla kraju. Zamierzał przekazać ze skarbu państwa dwa miliony na rzecz Banku Morgana, potem jednak się dowiedział, że Lamont stał za wrześnieowym zamachem.
- Co ty wygadujesz, Littlemore?
- Jeszcze chwilę cierpliwości. Teraz Houston nie zamierza zapłacić Lamontowi ani centa za rosyjskie złoto. Departament Skarbu zatrzyma je dla siebie. Lamont nie może protestować, ponieważ wwiózł złoto do kraju nielegalnie. Houston potrzebuje więc tylko

dwóch milionów, żeby zbilansować rachunek skarbu państwa.

- Chyba zaczynam rozumieć - stwierdził Younger. - Departamentowi Skarbu brakuje dwóch milionów. Do czego zmierzasz?

- Już ci mówię. Kiedy zapewniłem go, że nie przyjmiesz złota, które znaleźliśmy, Houston odparł, że skoro Departamentowi Skarbu brakuje tylko dwóch milionów, to może powinniśmy zastosować europejską regułę.

- Która brzmi...?

- Znalazca dostaje połowę.

Znów zapanowała cisza.

- Należy się nie tylko mnie - stwierdził Younger. - Przecież nie byłeś agentem Departamentu Skarbu, kiedy znaleźliśmy to złoto. Houston wyrzucił cię z pracy chwilę wcześniej.

- Też mu o tym przypomniałem.

- I co on na to? - zapytał Younger.

- Ty i ja mamy do podziału dwa miliony dolarów w złocie. Wesołych świąt!

POSŁOWIE

Atak bombowy na Wall Street z 16 września 1920 roku miał pozostać najbardziej niszczycielskim aktem terrorystycznym w Stanach Zjednoczonych aż do zamachu w Oklahomie z 1995 roku. W odróżnieniu od niego jednak, i w odróżnieniu od zamachu z 11 września 2001 roku, tragedii na Wall Street nigdy nie wyjaśniono. Jej sprawcy nie zostali schwytani. Nikogo nie postawiono przed sądem. W 1944 roku Federalne Biuro Śledcze stwierdziło, że wybuch „wydaje się dziełem włoskich anarchistów lub włoskich terrorystów”, ale była to tylko spekulacja, a tożsamość osób odpowiedzialnych za tragedię do dziś pozostaje nieznana.

Pragnę podkreślić, że moje, nazwijmy to, rozwiązanie tej zagadki jest fikcją literacką. Nie ma absolutnie żadnych dowodów historycznych, które pozwoliłyby stwierdzić, że za zamachem bombowym na Wall Street stali senator Albert Bacon Fall, Thomas W Lamont z J. P. Morgan & Co. albo były minister skarbu William G. McAdoo. Wszyscy trzej są prawdziwymi postaciami historycznymi; dwaj ostatni zasłużyli na uznanie za wybitną służbę publiczną oraz znaczące osiągnięcia. Prawdziwe są te fakty z ich życia, które nie należą do głównego wątku powieści. Chcę jednak wyraźnie podkreślić, że ich odpowiedzialność za zamach terrorystyczny na Wall Street jest wyłącznie konfabulacją.

Co więc jest prawdziwe, a co zmyślane w *Instynkcie śmierci*? Zasada, którą przyjąłem, wydaje się prosta: akcja powieści - perypetie głównych bohaterów oraz niegodziwości, które wychodzą na światło dzienne - to fikcja; natomiast świat, w którym ta akcja przebiega, jest rzeczywisty.

Tło wydarzeń opisanych w *Instynkcie śmierci* jest prawdziwe. W chwili eksplozji na Wall Street w budynku usytuowanym dokładnie naprzeciw miejsca wybuchu przenoszono złoto wartości miliarda dolarów amerykańskich z delegatury Departamentu Skarbu do przylegającego budynku Urzędu Probierczego po drewnianym pomoście nad dzielącą obydwu urzędy alejką. Kilka kilometrów dalej setka robotnic malowała tarcze zegarków luminescencyjną farbą, temperując włosie pędzli ustami. W Waszyngtonie senator Fall naprawdę prowadził knowania, które omal nie wywołały wybuchu wojny z Meksykiem, co przyniosłoby wielkie zyski zarówno jemu, jak i jego wpływowym przyjaciółom obracającym się w kręgu przemysłu naftowego. W zniszczonej wojną Europie natomiast Zygmunt Freud na nowo zdefiniował działanie ludzkiej psychiki, stwierdzając, że każdy człowiek rodzi się z dwoma podstawowymi instynktami - jednym pragnącym życia i miłości oraz drugim - dążącym do śmierci.

Z kolei przedstawiona w *Instynkcie śmierci* kradzież złota ze skarbcza państwowego jest wyłącznie moim wymysłem. Stany Zjednoczone zawsze przeczyły jakiegokolwiek stracie złota. Według oficjalnej wersji czystym zbiegiem okoliczności był fakt, że do zamachu bombowego i przeniesienia sztabek złota doszło w tym samym czasie, a robotnicy, którzy przenosili złoto dosłownie na kilka chwil przed wybuchem, faktycznie udali się na przerwę obiadową, zamykając pancerne drzwi po obydwu stronach drewnianego pomostu.

Od wielkich wydarzeń historycznych, takich jak zamach na Wall Street, po małą

furgonetkę radiologiczną prowadzoną przez Colette, świat opisany na kartach tej powieści jest tak prawdziwy, jak tylko udało mi się go odtworzyć. Czytelnik może być pewien, że opisana na kartach tej książki niepotrzebna śmierć tysięcy żołnierzy w dniu 11 listopada 1918 roku, kiedy ich dowódcy wiedzieli już o zawartym rozejmie, została udokumentowana w licznych i wiarygodnych źródłach. Gdy cytuję tekst prasowy, przytaczam go dokładnie; jeśli poddałem go redakcji, to jedynie stylistycznej, niezminiającej treści. Opisując scenę zamachu bombowego z 16 września, opieram się na autentycznych relacjach: taksówka naprawdę wyleciała w powietrze, wybuch oderwał głowę od ciała kobiety, ślady ataku na ścianie banku Morgana widoczne są do dzisiaj. Nawet szokujące fałszerstwa mające dowodzić, że rząd meksykański przekupił trzech senatorów Stanów Zjednoczonych, którzy sprzeciwiali się interwencji zbrojnej, są udokumentowane historycznie, ale pojawiły się dopiero kilka lat później, podczas kolejnych prób popchnięcia Ameryki do inwazji na Meksyk.

Nie mam oczywiście podstaw, by gwarantować lub podważać prawdziwość materiałów historycznych, na których się opieram. Opis niemieckich zbrodni wojennych we Francji w 1914 roku zaczerpnąłem od Toynbeego i odwzorowałem dokładnie - nie mogę jednak gwarantować, ponieważ sam nie wiem, czy relacja tego brytyjskiego historyka i filozofa jest rzetelna. Ostateczną weryfikację źródeł historycznych pozostawiam jednak historykom.

Pewne wydarzenia, które można by uznać za zupełnie nieprawdopodobne, również zaczerpnąłem z dokumentacji źródłowej. Na przykład ostrzeżenia Edwina Fischera o wybuchu po zakończeniu dnia pracy 15 września na Wall Street

- powtarzane wielokrotnie różnym ludziom przed zamachem
- są faktem, choć do dziś pozostają niewyjaśnione. (Wszystkie na pozór absurdalne szczegóły tego wątku - cztery tytuły mistrzowskie w U.S. Open, kilka garniturów noszonych jeden na drugim, zeznanie, że o zamachu dowiedział się „z powietrza”, pobyt w zakładzie psychiatrycznym i tak dalej - zostały udokumentowane.) Skoro jednak Fischer wiedział o zamachu wcześniej, co kwestionują historycy, to można wnioskować, że za zamachem stali ludzie należący do zupełnie innych kręgów niż cierpiący nędzę włoscy anarchiści, których na ogół obarcza się winą za tę tragedię.

Choć nie jest to fakt powszechnie znany, Fischer naprawdę pozostawał w kontakcie z agentami rządu federalnego kilka lat przed zamachem, jak to opisałem. Ale zamieszczona w powieści historia jego późniejszej współpracy z Biurem Śledczym oraz opisany na końcu *Instynktu śmierci* epizod, w którym Littlemore demaskuje rozmowę bohaterów sprzed lokalu Oyster Bar na stacji kolejowej Grand Central jako źródło głosów, które Fischer słyszał „z powietrza”, są fikcją. Muszę jednak zaznaczyć, że naprawdę można usłyszeć szepty dochodzące z przeciwnej strony wielkiej hali dworcowej dokładnie w miejscu, które opisuję.

Fundusz Radowy zarządzany przez niestrudzoną panią Williamową B. Meloney zebrał w końcu sumę, która pozwoliła zakupić gram radu dla Marii Curie. Przyjechała ona do Stanów Zjednoczonych w 1921 roku, aby odebrać ten dar z rąk prezydenta Hardinga. Maria Curie jest nie tylko pierwszą kobietą, która otrzymała profesurę na Sorbonie i pierwszym laureatem dwóch Nagród Nobla - jednej z fizyki w 1903 roku, drugiej z chemii w 1911 roku - ale do dziś pozostaje jedyną kobietą, która zdobyła to naukowe wyróżnienie w dwóch różnych dziedzinach. Napromieniowanie radem najprawdopodobniej spowodowało jej kataraktę w 1920 roku i niemal na pewno

przyczyniło się do śmierci na anemię aplastyczną (lub może białaczkę) w 1934 roku.

Choć moi główni bohaterowie - Younger, Littlemore, Colette i Luc - są fikcyjni, to jednak wiele osób, z którymi się kontaktują, zalicza się do postaci historycznych, jak komendant policji Enright, burmistrz Nowego Jorku Hylan, Duży Bill Flynn i doktor Walter Prince z Towarzystwa Parapsychologicznego. Naprawdę istniała także Grace Cross i faktycznie romansowała z Warrenem Hardingiem, ale postać powieściowa, której nadałem to nazwisko, z historyczną postacią nie ma nic wspólnego.

Arnold Brighton jest postacią fikcyjną. Naprawdę usiłowania Falla zmierzające do wszczęcia wojny z Meksykiem wspierał Edward Doheny. On też wręczył mu łapówkę w wysokości co najmniej stu tysięcy dolarów, co skończyło się uwięzieniem Falla za przestępstwo popełnione w trakcie urzędowania i zapewniło mu miejsce w historii - był pierwszym członkiem amerykańskiego gabinetu, którego spotkał podobny los. W 1920 roku dyrektorem U.S. Radium Company, posiadającej w New Jersey fabrykę, w której pracowała autentyczna Quintera Maggia McDonald oraz jej siostry, był naprawdę Arthur Roeder. Nie ma absolutnie żadnych powodów, by przypuszczać, że Doheny albo Roeder mieli coś wspólnego z zamachem bombowym na Wall Street.

Tragiczne przypadki zatrucia radem zawartym w luminescencyjnych farbach są natomiast udokumentowane w źródłach. W kilku wypadkach ich opis jest bardziej drastyczny od mojego. Przypuszczalnie około stu pracowników malujących wskazówki zegarków umarło w rezultacie splaszczania końcówek pędzli ustami, której to praktyki zakazano dopiero w 1925 roku. Wiele więcej ucierpiało z powodu bolesnych i wycieńczających chorób popromiennych.

Siostry Maggia - Quintera, Amelia i Albina - naprawdę znalazły się wśród ofiar tych zatruc. Choć używam w mojej książce imion tych trzech kobiet, losy moich bohaterek nie mają nic wspólnego z ich prawdziwym życiem, a opisana na kartach powieści historia ucieczki z fabryki radowej, pościgu za nimi, a także podejmowane przez nie próby nawiązania kontaktu z Colette są całkowitą fikcją. Zmarła w 1922 roku Amelia była pierwszą pracownicą, która padła ofiarą zatrucia radem podczas malowania wskazówek zegarków farbą luminescencyjną. Kiedy jej ciało ekshumowano w 1927 roku, nadal było napromieniowane. Kilka kobiet, w tym Quintera i Albina, pozwało do sądu firmę U.S. Radium w połowie lat dwudziestych, ale prawo nie potraktowało ich najlepiej. W 1928 roku śmiertelnie chora Quintera otrzymała skromne odszkodowanie w gotówce oraz sześćset dolarów rocznej renty do końca życia; zmarła dwa lata później. Albina dożyła do 1946 roku.

Korporacja radowa rzeczywiście zataiła raport dowodzący, że kontakt z farbą jest niebezpieczny dla kobiet malujących wskazówki zegarków. Pewien specjalista z Columbia University na ochotnika przeprowadził niezależne badanie kontestujących pracownic i orzekł, że cieszą się one dobrym zdrowiem, a objawy u tych, które chorowały, to skutek syfilisu bądź innych schorzeń niezwiązanych z miejscem pracy. Ów specjalista, Frederick Flinn, nie uznał za stosowne wspomnieć, że nie jest lekarzem i że płaciła mu za przeprowadzenie badań firma U.S. Radium. Mój bohater Frederick Lyme dopuszcza się podobnych występków, ale jego pozostałe niegodziwości są fikcją.

Zygmunt Freud ogłosił teorię instynktu śmierci w krótkim esejku *Poza zasadą przyjemności* w 1920 roku. Rozumiany jako skłonność do agresji, żądza zabijania i niszczenia instynkt śmierci może podawać w wątpliwość szlachetność ludzkiej natury, ale jest zrozumiały. Freud twierdził jednak, że instynkt śmierci bywa pierwotnie i

fundamentalnie skierowany na autodestrukcję. W rezultacie uważa się to pojęcie za o wiele trudniejsze i wzbudzające więcej kontrowersji - choć autodestrukcja należy do zjawisk niemal tak częstych jak agresja.

W zasadzie świat psychoanalizy zapomniał o instynkcie śmierci, a przynajmniej skwapliwie pomniejszał jego znaczenie. Melanie Klein stanowiła ważny wyjątek, podobnie jak Jacques Lacan, który uważał instynkt śmierci za centralne pojęcie psychoanalizy, choć przedstawiał go w oderwaniu od biologicznych fundamentów, które przypisał mu Freud. Także francuski psychoanalityk André Green, który niedawno opublikował doskonałą książkę o instynkcie śmierci - *Pourquoi les pulsions de destruction ou de mort?* (Editions du Panama, 2007) - w odróżnieniu od Lacana wyraźnie łączy teorię Freuda z apoptozą, czyli biologicznym procesem zaprogramowanej śmierci komórek, zwanym także genetycznym samobójstwem. Na stronach mojej powieści każę Freudowi, zapewne anachronicznie, wyciągać te paralele w rozmowie z Colette. Choć apoptoza była znana naukowcom pod koniec dziewiętnastego wieku (wtedy nazywano ją „chromatolizą”), jej związek z rakiem wykazano dopiero sto lat później.

Czytelnik zaznajomiony z dorobkiem Freuda z pewnością rozpozna słynną zabawę „fort-da”, zajmującą tak ważne miejsce w jego pracy *Poza zasadą przyjemności*. Nieznany z imienia chłopiec, który się jej oddaje w eseju Freuda, został zidentyfikowany jako jego prawnuk Ernst; matką dziecka była Sophie, której śmierć Freud tak bardzo opłakiwał w 1920 roku. Na kartach tej powieści jest jeszcze jeden epizod, w którym Luc odgrywa rolę jednego z wnuków Freuda. Anegdotę, którą opowiadam o Freudzie, Lucu i żebraku symulującym atak epilepsji, usłyszałem od Clementa Freuda, brata malarza Luciana Freuda, i pojawia się w autobiografii nieżyjącego już sir Clementa *Freud Ego*.

Zdumiewająca historia, opowiedziana przez Freuda Youngerowi i Colette, ilustrująca dokładnie przeprowadzoną przez niego interpretację snu - w której Freud słusznie dedukuje, że w wieku około czterech lat pacjentka była świadkiem romantycznej sceny między guwernantką a stajennym - jest całkowicie prawdziwa, a przynajmniej potwierdzona przez samą pacjentkę, księżną Marię Bonaparte. Tyle tylko że księżna Maria została pacjentką Freuda w 1925 roku, a więc Freud nie mógł jej opowiedzieć bohaterom mojej powieści kilka lat wcześniej.

Podobnie jak w *Sekrecie Freuda*, także w *Instynkcie śmierci* wiele wypowiedzi tego historycznego bohatera zaczerpnąłem z jego publikacji. Choć obecnie freudowski instynkt śmierci często określa się terminem „tanatos” (od imienia boga śmierci w mitologii greckiej), sam Freud nigdy tak go nie nazwał w swoich tekstach, a zatem także ja nie używam tego terminu. Za to odwołuje się do bogini śmierci Atropos z eseju z 1913 roku *Das Motiv der Kästchenwahl* (*Motyw trzech szkatuł*), który zawiera klucz do symboliki *Instynktu śmierci*. Freud mieszkał w Wiedniu do 1938 roku i ledwo uniknął nazistowskich prześladowań. Zmarł w Anglii w 1939 roku.

PODZIĘKOWANIA

Zbyt wiele zaciągnąłem zobowiązań, pisząc tę książkę, by je tu wszystkie wymienić. Przede wszystkim moja cudowna żona Amy, której i tak zawdzięczam niemal wszystko, co dobre w moim życiu, wprowadziła niezliczone ulepszenia, małe i duże, do maszynopisu. Moje córki, Sophia i Louisa, okazały się ponad wiek mądre, ratując mnie przed niejedną kłopotliwą sytuacją. Sarah Bilston, James Bundy, Alexis Contant, Anne Dailey, Susan Birke Fiedler, Paul Fiedler, Dan Knudsen, Daniel Markovits, Katherine Oberembt, Sylvia Smoller, Walter Austerer i Lina Tetelbaum byli się niewiarygodnie życzliwymi, genialnymi i uważnymi czytelnikami. Jestem też wdzięczny mojej niezrównanej agentce Suzanne Gluck, wydawcy w Riverhead Geoffowi Kloskemu oraz skrupulatnym redaktorom, Mary-Anne Harrington i Jake owi Morrisseyowi. Ponadto adresatami moich podziękowań są: Jennifer Barth, Diana i Leon Chua, Kathleen Brown-Dorato, Nancy Greenberg, Tony Kronman, Marina Santilli, Jordan Smoller, Anne Tofflemire oraz Lucy Wang, którzy bardziej, niż myślą, przyczynili się do powstania tej książki.

Jed Rubinfeld - wykłada prawo na Uniwersytecie Yale. Jest jednym z wiodących ekspertów prawa konstytucyjnego. Na rynku literackim zadebiutował słynnym *Sekretem Freuda* (Wydawnictwo Sonia Draga, 2006), sprzedanym na świecie w łącznym nakładzie ponad miliona egzemplarzy. *Instynktem śmierci* potwierdził tylko swój talent i powtórzył sukces sprzedażowy. Autor mieszka w New Haven w stanie Connecticut z żoną i dwiema córkami.

